

**Margaret Weis  
Tracy Hickman**

# **CZAS BLIŹNIAKÓW**

**LEGENDY TOM I**

*(Time of the Twins)*

*DRAGON LANCE® LEGENDS*

*Volume One*

*Przełożyła Dorota Żywno*

*Dla Samuela G. i Alty Hickman*

*Mojego dziadka, który wrzucał mnie do łóżka na swój własny specjalny sposób i mojej niani-babci, która jest zawsze taka mądra. Dziękuję wam wszystkim za bajki na dobranoc, życie, miłość i historię. Będziecie żyć wiecznie*

*Tracy Raye Hickman*

*Ta książka, o fizycznych i duchowych więzach łączących braci, może być zadedykowana tylko jednej osobie – mojej siostrze. Dla Terry Lynn Weis Wilhelm z wyrazami miłości*

*Margaret Weis*

## Podziękowania

Chcielibyśmy wyrazić podziękowania następującym osobom:

Michaelowi Williamsowi  
za wspaniałe wiersze i ciepłą przyjaźń.

Steve'owi Sullivanowi  
za jego cudowne mapy. (Teraz już wiesz, gdzie jesteś, Steve!)

Patrickowi Price'owi  
za pomocne rady i przemyślaną krytykę.

Jean Black,  
naszej redaktorce, która wierzyła w nas od samego początku.

Valerie Valusek  
za doskonałe rysunki piórkiem i tuszem.

Ruth Hoyer  
za projekty okładki i stron wewnętrznych.

Rogeroi Moore'owi  
za artykuły do DRAGONA i historię o Tasslehoffie i włochatym mamucie.

Zespołowi DRAGONLANCE w składzie:  
Harold Johnson, Laura Hickman, Douglas Niles, Jeff Grubb, Michael Dobson, Michael Breault, Bruce Heard.

Malarzom kalendarza DRAGONLANCE na 1987 rok,  
w składzie: Clyde Caldwell, Larry Elmore, Keith Parkinson i Jeff Easley.

## Spotkanie

Samotna postać stąpała po cichu w stronę odległego światła. Szła bezgłośnie, a jej kroki wsysała niezgłębiona ciemność dookoła niej. Bertrem pozwolił sobie na puszczenie wodzy wyobraźni, zerkając na pozornie nie kończące się rzędy ksiąg i zwojów, które stanowiły część Kronik Astinusa i szczegółowo opisywały historię tego świata, historię Krynny.

Zupełnie jakby było się wessanym w głąb czasu, pomyślał i spojrzął z westchnieniem na nieruchome, milczące rzędy. Przez krótką chwilę chciał, żeby zassało go gdzieś daleko stąd, żeby nie musiał sprostać trudnemu zadaniu, jakie na niego czekało.

– Cała wiedza świata jest w tych księgach – powiedział do siebie z żalem. – A mnie nigdy nie udało się w nich znaleźć czegoś, co pomogłoby mi uczynić łatwiejszym przeszkadzanie ich autorowi.

Bertrem zatrzymał się przed drzwiami, by zebrać odwagę. Jego powiewna szata estetyka ułożyła się w porządne fałdy. Jednakże jego żołądek odmawiał pójścia w ślady szat i skakał szaleńczo. Bertrem przesunął dłonią po głowie nerwowym gestem, który został mu z młodszych lat, zanim wybrana profesja pozbawiła go włosów.

Co go tak niepokoiło? zastanawiał się ponuro. Oczywiście poza samym wejściem na spotkanie z mistrzem, coś, czego nie robił od czasu... od czasu... Wzdrygnął się. Tak, od czasu, gdy ten młody mag nieomal nie umarł na ich progu podczas ostatniej wojny.

Wojna... Zmiana, to właśnie to. Podobnie jak jego szaty, świat wreszcie zdawał się ułożyć wokół niego, niemniej jednak znów czuł zbliżającą się zmianę, tak jak poczuł ją dwa lata temu. Żałował, że nie może tego powstrzymać...

Bertrem westchnął. – Na pewno niczego nie powstrzymam, stojąc tu po ciemku – mruknął. I tak czuł się nieswojo, jakby otaczały go duchy. Spod drzwi świeciło jasne światło, padając na korytarz. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na cienie książek, spokojne trupy spoczywające w swych grobowcach, estetyk otworzył drzwi i szybko wszedł do gabinetu Astinusa z Palanthas.

Choć mistrz był wewnątrz, nie odezwał się ani nawet nie podniósł głowy.

Przeszedłszy delikatnym, równym krokiem po grubym dywanie z jagnięcej wełny, który leżał na marmurowej posadzce, Bertrem zatrzymał się przed wielkim biurkiem z wypolerowanego drewna. Przez długą chwilę nic nie mówił, pochłonięty przyglądaniem się, jak ręka historyka wodzi piórem po pergaminie, zdecydowanymi, równymi pociągnięciami.

– I cóż, Bertremie? – Astinus nie przestawał pisać. Bertrem stojący naprzeciwko przeczytał litery, które – nawet do góry nogami – były wyraźne i łatwe do odczytania.

*Tego dnia jak powyżej, Godziny Ciemnej Straży wznoszącej 29, Bertrem wszedł do mego gabinetu.*

– Crysania z rodu Tariniusów przybyła, by się z tobą zobaczyć, mistrzu. Mówi, że jej oczekujesz... – Głos Bertrema przeszedł w szept, bowiem odwaga estetyka była na wyczerpaniu.

Astinus nadal pisał.

– Mistrzu – zaczął nieśmiało Bertrem. – Ja... my nie wiemy, co robić. W końcu ona jest wielebną córką Paladine'a i ja... my nie mogliśmy zakazać jej wstępu. Co ma...

– Zaprowadź ją do moich prywatnych komnat – rzekł Astinus, nie przerywając pisania ani nie podnosząc głowy.

Język przywarł Bertremowi do podniebienia, tak iż na chwilę odebrało mu zdolność mówienia. Litery spływały z pióra na biały pergamin.

*Tego dnia jak powyżej, Postrazniczej Godziny wznoszącej 28, Crysania z Tariniusów przybyła na spotkanie z Raistlinem Majere.*

– Raistlin Majere? – wysapał Bertrem, któremu wstrząs i przerażenie odkleiły język. – Mamy go wpu...

Astinus teraz podniósł głowę, a na jego czole rysowały się zmarszczki rozdrażnienia i irytacji. Gdy jego pióro zaprzestało swego wiecznego skrzypienia po pergaminie, w pokoju zapadła głęboka, nienaturalna cisza. Bertrem zbladł. Twarz historyka można by uznać za przystojną; nie zmieniała się i nie starzała. Jednakże nikt, kto zobaczył jego twarz, nie zapamiętywał jej. Pamiętano jedynie oczy ciemne, uważne, świadome, stale poruszające się, widzące wszystko. Te oczy potrafiły również przekazać niezmierną niecierpliwość, przypominając Bertremowi, że czas upływa. Nawet w chwili, gdy rozmawiali, mijały całe minuty nie zarejestrowanej historii.

– Wybacz mi, mistrzu! – Bertrem skłonił się z głębokim szacunkiem, po czym pośpiesznie wycofał się z gabinetu, zamykając za sobą cicho drzwi. Kiedy znalazł się na zewnątrz, wytarł ogoloną głowę, na której perlił się pot, po czym pośpieszył w głąb milczących, marmurowych korytarzy Wielkiej Biblioteki w Palanthas.

Astinus zatrzymał się na progu swej prywatnej komnaty, mierząc spojrzeniem kobietę, która siedziała wewnątrz.

Położona w zachodnim skrzydle Wielkiej Biblioteki kwatery historyka była mała i jak wszystkie komnaty w bibliotece wypełniona wszelkiego rodzaju książkami w przeróżnych oprawach, które stały na półkach wokół ścian i emanowały do części mieszkalnej słaby zapach stęchlizny, który przypominał mauzoleum zapieczętowane od stuleci. Umeblowanie było skromne. Drewniane, pięknie rzeźbione krzesła, były twarde i niewygodne. Na niskim stole pod oknem, pozbawionym wszelkich ozdób, nie stał żaden przedmiot. Na gładkiej, czarnej powierzchni blatu odbijał się blask zachodzącego słońca. Wszystko w tym pomieszczeniu było w idealnym porządku. Nawet drewno na wieczorne rozpalenie ognia – nocie późną wiosną bywały zimne daleko na północy – ułożono w tak równe rzędy, że przypominały stos

pogrzebowy.

Niemniej jednak, jakkolwiek chłodny, nieskalany i czysty byłby ten prywatny pokój historyka, sama komnata zdawała się jedynie odzwierciedlać zimną, nieskazitelną, czystą urodę kobiety, która siedziała z rękoma złożonymi na kolanach, czekając.

Crysania z Tariniusów czekała cierpliwie. Nie kręciła się, nie wzdychała i nie spoglądała na napędzane wodą urządzenie do odmierzenia czasu. Nie czytała – choć Astinus był pewien, że Bertrem zaproponowałby jej książkę. Nie krążyła po pokoju ani nie oglądała nielicznych ozdób, które stały w zacienionych zakamarkach w szafach na książki. Siedziała w prostym, niewygodnym, drewnianym krześle, wbijając wzrok jasnych, błyszczących oczu w zabarwione czerwienią obrzeża chmur nad górami, jakby przyglądała się być może po raz pierwszy – albo ostatni – zachodowi słońca nad Krynem.

Tak była zajęta widokiem za oknem, że Astinus wszedł bez zwrócenia jej uwagi. Przyglądał jej się z niezmiernym zainteresowaniem. Nie było to niczym niezwykłym dla historyka, który mierzył wszystkie istoty żyjące na Krynem tym samym niezgłębionym, przenikliwym spojrzeniem. Natomiast niezwykle było to, iż przez chwilę przez twarz historyka przemknął wyraz litości i głębokiego smutku.

Astinus zapisywał historię. Zapisywał ją w swych księgach od początków czasu, patrząc, jak rozwija się przed jego oczyma. Nie potrafił przewidzieć przyszłości, to była dziedzina bogów. Potrafił jednakże wyczuć wszystkie oznaki zmiany, te same znaki, które tak zaniepokoiły Bertrema. Stojąc tam, słyszał, jak krople wody spadają w urządzeniu odmierzającym czas. Podstawiając pod nie dłoń, mógł zatrzymać kapanie wody, lecz czas będzie płynął dalej.

Westchnąwszy, Astinus przeniósł uwagę na kobietę, o której słyszał, lecz której nigdy jeszcze nie spotkał.

Jej włosy były czarne, niebieskoczarne, czarne jak spo – kojna toń morza w nocy. Nosiła je prosto zaczesane do tyłu, spięte zwykłym, drewnianym grzebieniem, bez żadnych ozdób. Ten surowy styl nie współgrał z jej bladymi, delikatnymi rysami, podkreślając ich bladość. W jej twarzy nie było zupełnie kolorów. Oczy miała szare i wydawało się, że są stanowczo za duże. Nawet jej wargi były bez krwi.

Kilka lat temu, gdy była młoda, służące splotały i zwijały te gęste, czarne włosy w najnowsze, najmodniejsze fryzury, przetykając je szpilami ze srebra i złota, zdobiąc błyszczącymi klejnotami. Barwiły jej policzki sokiem zgniecionych jagód i ubierały w strojne suknie w barwach najbledszego różu i delikatnego błękitu. Niegdyś była piękna. Niegdyś zalotnicy ustawiali się do niej w kolejce.

Szata, w jaką teraz była odziana, była biała, jak przystoi kapłance Paladine'a i prosta, choć uszyta ze świetnego materiału. Była bez ozdób, z wyjątkiem złotego paska, który otaczał jej smukłą kibić. Jedyna jej ozdoba należała do Paladine'a – medalion z platynowym smokiem.

Włosy miała przykryte luźnym, białym kapturem, który podkreślał marmurową gładkość i chłód cery kapłanki.

Astinus pomyślał, że wygląda jak wykuta z marmuru z jedną różnicą – marmur może ogrzać się od słońca.

– Bądź pozdrowiona, wielbna córko Paladine’a rzekł Astinus, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

– Bądź pozdrowiony, Astinusi – powiedziała Crysania z Tariniusów, wstając.

Kiedy ruszyła ku niemu przez niewielki pokój, Astinus był nieco zaskoczony tym, jak szybkie i niemal po męsku długie były jej kroki. Zdawało się to dziwnie kłócić z delikatnością jej rysów. Jej uścisk dłoni był również zdecydowany i silny, nietypowy dla kobiet z Palanthas, które rzadko podawały dłoń, a jeżeli już, to tylko końce palców.

– Muszę wyrazić swe podziękowania za to, że zechciałeś poświęcić swój bezcenny czas, by pełnić rolę neutralnej strony w tym spotkaniu – rzekła chłodno Crysania. – Wiem, jak bardzo nie lubisz odrywać się od swych studiów.

– Nie mam nic przeciwko temu tak długo, jak nie jest to marnowaniem czasu – odparł Asfinus, trzymając ją za dłoń i przyglądając się jej uważnie. – Muszę jednak przyznać, że czynię to z niechęcią.

– Czemu? – Szczerze zdumiona Crysania starała się wyczytać powód w pozbawionej śladów wieku twarzy mężczyzny. Potem – nagle zrozumiałwszy – uśmiechnęła się chłodno uśmiechem, który nie bardziej ożywił jej twarz niż księżycowa poświata śnieg. – Ty nie wierzysz, że on przybędzie, prawda?

Astinus parsknął, wypuszczając dłoń kobiety, jakby całkiem przestało go interesować samo jej istnienie. Odwróciwszy się, podszedł do okna i spojrzał na Palanthas, którego lśniące białe budynki błyszczały w blasku słońca, zapierając dech w piersi swą urodą. Z jednym wyjątkiem. Jednego budynku słońce nie dotykało nawet w najjaśniejsze południe.

W tym właśnie budynku utkwił wzrok Astinus. Budowla o wykrzywionych wieżach z czarnego kamienia wznosiła się pośrodku olśniewająco pięknego miasta, a jej minarety niedawno naprawione i zbudowane siłami czarnoksiężskimi – połyskiwały krwawo w zachodzącym słońcu, nadając wieżom wygląd gnijących palców trupa, wygrzebujących się spod ziemi na jakimś przeklętym cmentarzysku.

– Dwa lata temu wszedł do Wieży Wielkiej Magii powiedział Astinus spokojnym, beznamiętnym tonem, gdy Crysania stanęła obok niego przy oknie. – Wszedł w środku nocy, w ciemności, bowiem jedynym księżycem na niebie był ten, który nie rzuca światła. Przebył zagajnik Shoikan – gaj przeklętych dębów, do którego żaden śmiertelnik nawet z rasy kenderów – nie ośmielił się zbliżyć. Podszedł do wrót, gdzie wciąż wisiały zwłoki złego maga, który tuż przed śmiercią rzucił przekleństwo na wieżę i skoczył z górnego okna, nabijając się na ostrza bramy – straszliwy to strażnik. Jednakże kiedy on przybył, strażnik skłonił się przed nim, wrota

otworzyły się pod jego dłonią, a potem zamknęły za nim. I nie otworzyły się przez ostatnie dwa lata. On nie wyszedł, a jeśli kogokolwiek wpuszczono do wnętrza, nikt tego nie widział. I ty spodziewasz się go... tutaj?

– Władca przeszłości i teraźniejszości. – Crysania wzruszyła ramionami. – Przybył zgodnie z przepowiednią.

Astinus spojrział na nią z pewnym zdumieniem.

– Znasz jego historię?

– Oczywiście – odpowiedziała spokojnie kapłanka, zerkając na niego przez chwilę, a potem wracając jasnym wzrokiem do wieży, którą już spowijały cienie nadchodzącej nocy. – Dobry generał zawsze studiuje swego wroga przed podjęciem walki. Znam Raistlina Majere bardzo dobrze, doprawdy bardzo dobrze. I wiem – on przyjdzie tej nocy.

Crysania nadal spoglądała na straszną wieżę z podniesionym podbródkiem, zaciśniętymi w prostą kreskę bezbarwnymi wargami i rękoma założonymi na plecach.

Twarz Astinusa nagle stała się poważna i zamyślona, a jego oczy zdradzały niepokój, choć głos pozostał chłodny jak zwykle. – Zdajesz się bardzo pewna siebie, wielebna córko. Skąd o tym wiesz?

– Paladine przemówił do mnie – odparła Crysania, ani na chwilę nie odrywając oczu od wieży. – We śnie Platynowy Smok zjawił się przede mną i powiedział, że zło – niegdyś wypędzone z tego świata – powróciło w postaci czarodzieja w czarnych szatach, Raistlina Majere. Stoimy w obliczu strasznego zagrożenia i mnie wyznaczono zadanie zapobieżenia temu. – Gdy Crysania mówiła, jej marmurowa twarz wygładziła się, a szare oczy błyszczały jasno. – Będzie to próba mej wiary, o jaką się modliłam!

– Spojrzała na Astinusa. – Widzisz, od dziecka wiedziałam, że moim przeznaczeniem jest dokonać czegoś wielkiego, przysłużyć się światu i jego narodom. Oto moja szansa.

Twarz Astinusa poważniała w miarę słuchania i stawła się jeszcze sroższa.

– Paladine ci to powiedział? – zapytał nagle. Crysania, wyczuwając być może niedowierzanie mężczyzny, zacisnęła wargi. Jednakże jedyną oznaką gniewu była wąska kreska, która pojawiła się między jej brwiami. To, i jeszcze bardziej wyszukany spokój jej odpowiedzi.

– Żałuję, że wspomniałam o tym, Astinusi, wybacz mi. To sprawa między moim bogiem a mną i o takich świętych rzeczach nie powinno się dyskutować. Wspomniałam o tym tylko po to, by udowodnić ci, że ten zły człowiek przybędzie. Nie może nic na to poradzić. Paladine go sprowadzi.

Astinus tak wysoko uniósł brwi, że niemal znikły w jego siwiejących włosach.

– Ten zły człowiek, jak go nazywasz, wielebna córko, służy bogini równie potężnej co Paladine – Takhisis, Królowej Ciemności! A może nie powinienem był mówić służy – zauważył Astinus z krzywym uśmiechem. – Nie on... Czoło Crysanii wygładziło się i na jej usta powrócił



chłodny uśmiech. – Dobro wybawia swoich – odparła łagodnie. – Zło obraca się przeciwko samemu sobie. Dobro znów zatriumfuje jak podczas Wojny Lancy, wydanej Takhisis i jej złym smokom. Z pomocą Paladine’a odniosę zwycięstwo nad złem, jak ten bohater, Tanis Półelf, który pokonał samą Królową Ciemności.

– Tanis Półelf odniósł zwycięstwo przy pomocy Raistlina Majere – stwierdził niewzruszony Astinus. – A może to jest ta część legendy, którą postanowiłaś zignorować?

Ani zmarszczka emocji nie skaziła nieruchomej, spokojnej twarzy Crysanii. Jej uśmiech tkwił jak przyrośnięty, wzrok był wbity w ulice.

– Spójrz, Astinusię – powiedziała cicho kobieta. On nadchodzi.

Słońce zaszło za odległymi górami, a niebo, rozjaśnione jeszcze poświatą, miało barwę purpurowego klejnotu. Służba weszła po cichu, by zapalić ogień w małej komnacie Astinusa. Palił się cicho, jakby same płomienie zostały nauczone przez historyka, by nie mącić spokoju Wielkiej Biblioteki. Crysania znów siadła na niewygodnym krześle, ponownie złożony dłoń na podołku. Na zewnątrz była spokojna i chłodna jak zawsze. Wewnątrz jej serce waliło z podniecenia, które zdradzał tylko większy blask jej szarych oczu.

Urodzona w zacnej i bogatej rodzinie Tariniusów z Palanthas, rodzinie niemal równie starej, co samo miasto, Crysania otrzymała wszelkie korzyści, jakie mogą przynieść pieniądze i stanowisko. Inteligentna, obdarzona silną wolą, mogła z łatwością wyrosnąć na upartą i samowolną kobietę. Jednakże jej mądrzy i kochający rodzice starannie pielęgowali i formowali silnego ducha swej córki, by zakwitł głęboką i niewzruszoną wiarą. Crysania w całym swym życiu uczyniła tylko jedną rzecz, która zasmuciła jej troskliwych rodziców i zraniła ich głęboko. Odtrąciła idealne małżeństwo z pięknym i szlachetnym młodzieńcem, dla życia poświęconego służbie dawno zapomnianym bogom.

Po raz pierwszy usłyszała kapłana imieniem Elistan, kiedy przybył do Palanthas pod koniec Wojny Lancy. Jego nowa religia – a może raczej należałoby ją nazwać starą religią – rozprzestrzeniła się po Krynnie jak pożar, bowiem nowo powstałe legendy przypisywały wierze w starych bogów pomoc w zwyciężeniu złych smoków i ich panów, smoczycich władców.

Po wysłuchaniu Elistana Crysania była nastawiona sceptycznie. Młoda kobieta – miała wtedy dwadzieścia kilka lat – wychowała się na opowieściach o tym, jak bogowie pokarali Krynn Katakлизmem, zrzucając z wysokości ognistą górę, która rozdarła lądy i zatopiła, święte miasto Istar w Krwawym Morzu. Po tym, jak ludzie powiadali, bogowie odwrócili się od ludzkości, nie chcąc mieć z nią nic wspólnego. Crysania była przygotowana na uprzejme wysłuchanie Elistana, lecz miała na podorędziu argumenty, by zbić jego twierdzenia.

Kiedy go spotkała, wywarł na niej bardzo korzystne wrażenie. Elistan w tym czasie był u szczytu swej potęgi. Przystojny i silny, w średnim wieku, przypominał kapłanów z dawnych czasów, którzy pojechali w bój – jak mówiły niektóre legendy – z potężnym rycerzem Humą.

Crysanía zaczęła go podziwiać. Skończyła na kolanach, u jego stóp, płacząc z pokory i radości, bowiem jej dusza wreszcie znalazła kotwicę.

Bogowie nie odwrócili się od ludzi, tak głosiło przesłanie. To ludzie odwrócili się od bogów, żądając w swej pysze tego, o co Huma pokornie prosił. Następnego dnia Crysanía porzuciła majątek, służbę, rodziców i narzeczonego, by przeprowadzić się do małego, zimnego domu, który był poprzednikiem nowej świątyni, jaką Elistan zamierzał wybudować w Palanthas.

Teraz, dwa lata później, Crysanía była wielebną córką Paladine'a, jedną z nielicznych, które uznano godnymi przewodzenia kościołowi podczas jego bolesnego młodzieńczego dojrzewania. Dobrze, że kościół miał młodą krew. Elistan nie szczędził swego życia i energii. Teraz wydawało się, że bóg, któremu tak wiernie służył, wkrótce wezwie do siebie swego kapłana. A kiedy nadejdzie ta smutna chwila, wielu było przekonanych, że Crysanía przejmie jego dzieło.

Z całą pewnością Crysanía wiedziała, że jest gotowa na przejście władzy w kościele, ale czy to wystarczy? Jak już powiedziała Astinusowi, od dawna czuła, że jej przeznaczeniem jest uczynić coś wielkiego dla świata. Przewodzenie kościołowi we wszystkich codziennych zadaniach teraz, gdy wojna dobiegła końca, wydawało się nużące i przyziemne. Co dzień modliła się do Paladine'a, by dał jej jakieś trudne zadanie. Przysięgała, że oddałaby wszystko, nawet swe życie, w służbie umiłowanemu bogu.

I wtedy nadeszła odpowiedź.

Teraz czekała z niecierpliwością, nad którą ledwo mogła zapanować. Nie bała się – nawet spotkania z tym mężczyzną, który obecnie był ponoć najpotężniejszym przedstawicielem sił zła na Krynnie. Gdyby nie jej dobre wychowanie, skrzywiłaby usta w pogardliwym grymasie. Jakie zło mogłoby się oprzeć potężnemu mieczowi jej wiary? Jakie zło mogłoby przebić jej błyszczącą zbroję?

Jak ustrojony w girlandy od damy swego serca, jadący na turniej rycerz który wie, że nie może przegrać z takimi znakami łopoczącymi na wietrze, Crysanía wbijała wzrok w drzwi, chciwie oczekując pierwszych ciosów turnieju. Kiedy drzwi się otworzyły, jej dłonie – dotychczas spokojnie złożone – zbieleły z podniecenia.

Wszedł Bertrem. Jego spojrzenie padło na Astinusa, który siedział przy ogniu nieruchomy niczym kamienny słup na twardym, niewygodnym krześle.

– Czarodziej Raistlin Majere – rzekł Bertrem. Głos mu się załamał przy ostatniej sylabie. Być może myślał o ostatnim razie, gdy zapowiadał tego gościa – wtedy Raistlin umierał, wymiotując krwią na schodach Wielkiej Biblioteki. Astinus zmarszczył brwi na ten brak opanowania Bertrema i estetyk znikł za drzwiami tak szybko, jak tylko na to pozwalały jego łopocące szaty.

Crysanía nieświadomie wstrzymywała oddech. Najpierw nic nie zobaczyła, jedynie cień mroku w drzwiach, jakby sama noc przybrała postać i kształt, zatrzymując się na progu.

Ciemność zatrzymała się tam.

– Wejdz, stary przyjacielu – rzekł Astinus głębokim, wypranym z uczuć głosem.

Cień został oświetlony połyskiem ciepła – ogień na kominku zaświecił na aksamitnie miękkich, czarnych szatach – a potem drobnymi iskierkami, gdy światło zamigotało na srebrnych nitkach, wyszywanych runach na obramowaniu aksamitnego kaptura. Cień stał się postacią, której całe ciało spowijały czarne szaty. Przez krótką chwilę jedyną widoczną, ludzką kończyną, była chuda, niemal szkieletowa dłoń ściskająca drewnianą laskę. Sama laska była zwieńczona kryształową kulą, mocno osadzoną w szponach wyrzeźbionej łąpy złotego smoka.

Kiedy postać weszła do komnaty, Crysania poczuła chłód rozczarowania. Prosiła Paladine'a o trudne zadanie! Gdzież to wielkie zło z którym miała walczyć? Teraz, gdy widziała lepiej, dostrzegła wątłego, chudego mężczyznę o lekko zgarbionych ramionach. Idąc, wspierał się na lasce, jakby był zbyt słaby, by poruszać się bez niej. Znała jego wiek, wiedziała, że ma teraz około dwudziestu ośmiu lat. A jednak poruszał się jak dziewięćdziesięcioletni starzec – jego kroki były powolne i niepewne, wręcz chwiejne.

Czy próbą mej wiary ma być pokonanie tej nędznej istoty? Crysania z goryczą zadała pytanie Paladine'owi. Nie muszę z nim walczyć. Jego pożera od środka własne zło!

Stając naprzeciwko Astinusa, odwrócony plecami do Crysanii, Raistlin zsunął swój czarny kaptur.

– Bądź znów pozdrowiony, Nieśmiertelny – rzekł do Astinusa cichym głosem.

– Bądź pozdrowiony, Raistlinie Majere – powiedział Astinus, nie podnosząc się z miejsca. W jego głosie pobrzmiwała delikatna nuta sarkazmu, jakby dzielił z magiem jakiś prywatny żart. Astinus wykonał gest. – Przedstawiam ci Crysanię z rodu Tariniusów.

Raistlin odwrócił się.

Crysania jęknęła, straszny, tępy ból w piersi zacisnął jej gardło, tak że przez chwilę nie mogła zaczerpnąć tchu. Poczowała ukłucia ostrych igiełek w opuszkach palców i przeszedł ją zimny dreszcz. Nieświadomie skuliła się na krześle, zaciskając dłonie i wbijając paznokcie w zdrętwiałe ciało.

Przed sobą widziała jedynie parę złotych oczu błyszczących z głębi ciemności. Oczy były niczym połączone lustro, puste, zwierciadlane, nie odsłaniające w najmniejszym stopniu duszy. A źrenice – Crysania przyglądała się ciemnym źrenicom w zdjętej grozą fascynacji. Źrenice złotych oczu miały kształt klepsydr! A sama twarz – ściągnięta cierpieniem, naznaczona męką udręczonego życia, jakie ten młody człowiek wiódł od siedmiu lat, od chwili, gdy okrutne próby w Wieży Wielkiej Magii złamały jego ciało, nadając skórze złoty odcień i czyniąc twarz maga metaliczną maską, nieprzeniknioną i nieczułą, jak złota smocza łapa na szczycie jego laski.

– Wielebna córka Paladine'a – powiedział cichym głosem pełnym szacunku i... nawet czci.

Crysania drgnęła, wpatrując się w niego ze zdumieniem. Z pewnością nie tego się

spodziewała.

Niemniej jednak nie mogła się ruszyć. Jego spojrzenie unieruchomiło ją i przez chwilę pomyślała w panice, czy nie rzucił na nią jakiegoś zaklęcia. Zdając się wyczuwać jej lęk, stanął obok niej w pozie, która była jednocześnie protekcyjna i uspokajająca. Podniósłszy głowę, dostrzegła błyski ognia migoczące w jego złotych oczach.

– Wielebna córka Paladine’a – powtórzył Raistlin, a jego miękki głos otoczył Crysanię jak aksamitna czern jego szat. – Mam nadzieję, że zastałem cię w dobrym zdrowiu. – Teraz usłyszała gorzki, cyniczny sarkazm w tym głosie. Tego się spodziewała, na to była przygotowana. Przyznała w duchu ze złością, że jego wcześniejszy ton szacunku zaskoczył ją, lecz jej pierwsza słabość minęła. Podnosząc się i stając oko w oko z nim, nieświadomie zacisnęła dłoń na medalionie Paladine’a. Dotyk chłodnego metalu dodał jej otuchy.

– Nie sądzę, abyśmy musieli wymieniać nic nie znaczące zwyczajowe uprzejmości – stwierdziła rzeczowo Crysania. Jej twarz ponownie była gładka i zimna. – Odrywamy Astinusa od jego studiów. Byłby nam wdzięczny za zwięzłe doprowadzenie naszych rozmów do końca.

– Popieram to z całego serca – rzekł odziany na czarno mag z lekkim skrzywieniem cienkich warg, które mogło uchodzić za uśmiech. – Przybyłem na twoje żądanie. Czego ode mnie chcesz?

Crysania wyczuła, że śmieje się z niej. Przyzwyczajona do najwyższego szacunku, wpadła w jeszcze większy gniew. Zmierzyła go spojrzeniem zimnych, szarych oczu. – Przybyłam cię ostrzec, Raistlinie Majere, że twoje złe knowania są znane Paladine’owi. Strzeż się albo cię zniszczy...

– Jak? – spytał niespodziewanie Raistlin, a jego dziwne oczy zabłyśły osobliwym, intensywnym blaskiem.

– Jak mnie zniszczy? – powtórzył. – Piorunami? Potopem i ogniem? Być może kolejną ognistą górą?

Zrobił następny krok w jej kierunku. Crysania spokojnie odsunęła się od niego i natknęła na swe krzesło. Chwyciwszy mocno twarde, drewniane oparcie, obeszła je, po czym odwróciła się do maga.

– Drwisz sobie z własnej zguby – odparła cicho. Raistlin jeszcze bardziej skrzywił wargi, lecz nadal mówił tak, jakby nie słyszał jej słów. – Elistan? – Raistlin zniżył głos do syczącego szeptu. – Pos’le Elistana, żeby mnie zgładził? – Czarodziej wzruszył ramionami. – Ależ nie, skądże. Wedle wszelkich doniesień wielki i święty kapłan Paladine’a jest zmęczony, słaby i umierający...

– Nie! – krzyknęła Crysania, a potem przygryzła wargę, rozgniewana, że ten mężczyzna nakłonił ją do okazania uczuć. Przerwała i zaczerpnęła głęboko tchu. – Nie należy poddawać w wątpliwość ani drwić z wyroków Paladine’a – oświadczyła z lodowatym spokojem, lecz nie mogła ukryć łagodniejszego tonu w swym głosie. A zdrowie Elistana nie powinno ciebie

obchodzić.

– Być może bardziej mnie ono obchodzi niż tobie się zdaje – odparł Raistlin z uśmiechem, który Crysanii wydał się szyderczy.

Poczuła, jak krew łomocze jej w skroniach. Jeszcze nim mag skończył mówić, obszedł krzesło i zbliżył się do młodej kobiety. Był teraz tak blisko, że Crysania czuła dziwne, nienaturalne ciepło bijące od jego ciała przez czarne szaty. Czuła też nieco mdłości, lecz miły zapach, który go otaczał. Korzenny – nagle uświadomiła sobie, że to są składniki zaklęć. Ta myśl wzbudziła w niej mdłości i odrazę. Trzymając w dłoni medalion Paladine'a, czując jak jego gładkie krawędzie wbijają się w jej ciało, znów odsunęła się od czarodzieja.

– Paladine przyszedł do mnie we śnie... – rzekła dumnie.

Raistlin zaśmiał się.

Niewielu słyszało maga śmiejącego się, a ci, którzy słyszeli, zapamiętali to na zawsze, jego śmiech rozbrzmiewał bowiem echem w ich najmroczniejszych snach. Był wysoki i ostry niczym klinga noża. Zaprzeczał wszelkiemu dobru, drwił z wszystkiego, co prawe i zacne, i przeszył dusze Crysanii.

– A więc dobrze – powiedziała Crysania, spoglądając na niego z pogardą, która sprawiła, że jej błyszczące, szare oczy nabrały surowego odcienia stalowego błękitu. Uczyniłam wszystko, co w mojej mocy, by sprowadzić cię z tej ścieżki. Dałam ci uczciwe ostrzeżenie. Twa zguba spoczywa teraz w rękach bogów.

Nagle, być może dlatego, iż Raistlin zauważył niezłomność, z jaką stawiała mu czoło, przestał się śmiać. Przyglądał jej się uważnie, zmrużywszy złote oczy. Potem uśmiechnął się tajemniczo taką dziwną radością, że Astinus, przysłuchujący się wymianie zdań tych dwojga, nagle wstał. Postać historyka przesłoniła blask ognia. Jego cień padł na nich oboje. Raistlin drgnął, niemal zaniepokojony. Na wpół odwróciwszy się, posłał Astinusowi, pełne groźby spojrzenie.

– Strzeż się, stary przyjacielu – ostrzegł mag. A może chcesz mieszać się do biegu historii?

– Ja się nie mieszam – odrzekł Astinus – i dobrze o tym wiesz. Jestem obserwatorem, kronikarzem. We wszystkim jestem neutralny. Znam twoje spiski i plany tak samo, jak znam spiski i zamysły wszystkich, którzy tego dnia czerpią tchu. Zatem posłuchaj mnie, Raistlinie Majere, i zważ na to ostrzeżenie. Ona jest ukochana przez bogów – jak sugeruje jej imię.

– Ukochana przez bogów? Wszyscy tacy jesteśmy, nieprawdaż, wielebna córko? – spytał Raistlin, odwracając się ponownie do Crysanii. Jego głos był miękki jak aksamit jego szaty. – Czyż nie tak jest napisane w dyskach Mishakal? Czyż nie tego uczy świątobliwy Elistan?

– Tak – powiedziała powoli Crysania, przyglądając mu się podejrzliwie i oczekując następnej drwiny. Lecz metaliczna twarz była poważna i niespodziewanie mag nabrał wyglądu uczonego – inteligentnego i mądrego. – Tak jest napisane. – Uśmiechnęła się zimno. – Miło mi dowiedzieć

się, że czytałeś święte dyski, choć najwyraźniej nie zaczerpnąłeś z nich nauk. Czy nie przypominasz sobie, co powiedziane jest w...

Przerwało jej parsknięcie Astinusa.

– Dość długo już odrywałem się od mych studiów. Historyk podszedł po marmurowej posadzce do drzwi przedpokoju. – Zadzwoń po Bertrema, kiedy będziesz gotowa. Żegnaj, wielbna córko. Żegnaj... stary przyjacielu.

Astinus otworzył drzwi. Spokojna cisza biblioteki wplynęła do komnaty, otaczając Crysanię odświeżającym chłodem. Poczwała, że odzyskuje panowanie nad sobą i rozluźniła się. Wypuściła medalion z dłoni. Oficjalnie i z wdziękiem skłoniła się na pożegnanie Astinusowi, tak samo jak Raistlin. Potem drzwi zamknęły się za historykiem. Zostali sami.

Przez dłuższą chwilę żadne się nie odzywało. Potem Crysania, czując moc Paladine'a przepływającą przez nią, zwróciła się do Raistlina. – Zapomniałam, że to ty i twoi towarzysze odzyskaliście święte dyski. Oczywiście musiały je przeczytać. Chciałabym jeszcze podyskutować z tobą o nich, lecz od tej pory we wszelkich przyszłych kontaktach, jakie możemy ze sobą utrzymywać, Raistlinie Majere powiedziała chłodno – proszę, byś wyrażał się o Eli stanie z większym szacunkiem. On...

Przerwała, w zdumieniu przyglądając się, jak smukłe ciało maga zdaje się rozpadać na jej oczach. Szarpany spazmami kaszlu, trzymając się za pierś, Raistlin usiłował złapać tchu. Zachwiał się. Gdyby nie laska, na której się wspierał, upadłby na posadzkę. Zapomniawszy o swej niechęci i odrzucie, reagując odruchowo, Crysania z niepokojem wyciągnęła do niego ręce i położywszy dłonie na jego ramionach, wyszeptwała modlitwę uzdrawiającą. Czarne szaty pod jej dłońmi były miękkie i ciepłe. Wyczuwała drgające w skurczach mięśnie Raistlina, czuła jego ból i cierpienie. Żalność przepełniła jej serce.

Raistlin wyszarpnął jej się spod rąk, odpychając ją. Jego kaszel stopniowo zelżał. Kiedy czarodziej mógł znów swobodnie oddychać, przyjrzał się jej pogardliwie.

– Nie marnuj swych modłów, wielbna córko – rzekł z goryczą. Wyciągnąwszy kawałek miękkiej tkaniny ze swej szaty, otarł wargi, a Crysania spostrzegła, że na chustce zostały plamy krwi. – Nie ma lekarstwa na moją dolegliwość. To moja ofiara, cena, jaką zapłaciłem za swą magię.

– Nie rozumiem – szepnęła. Dłonie jej zadrżały, gdy przypomniała sobie aksamitnie miękką gładkość czarnych szat i nieświadomie splotła palce dłoni za plecami.

– Czyżby? – spytał Raistlin, spoglądając w głąb jej duszy swymi dziwnymi, złotymi oczyma. – A jaką ofiarę ty poniosłaś dla zdobycia swej mocy?

Delikatny rumieniec, ledwo widoczny w gasnącym ogniu na kominku, zabarwił policzki Crysanii krwią, zupełnie taką, jaką były splamione wargi maga. Zaniepokojona tym, odwróciła twarz, znów wyglądając przez okno. Nad Palanthas zapadła noc. Srebrny księżyc, Solinari, był

wąskim skrawkiem światła na ciemnym niebie. Czerwony księżyc, który był mu bliźniakiem, jeszcze nie wzeszedł. Czarny księżyc – przyłapała się na zadawaniu sobie pytania: gdzie on jest? Czy on naprawdę go widzi?

– Muszę już iść – powiedział Raistlin, a oddech rzeził mu w gardle. – Te spazmy osłabiają mnie. Muszę odpocząć.

– Oczywiście. – Crysania znów poczuła się spokojna. Schludnie schowawszy wszystkie luźne kosmyki uczuć, zwróciła znów ku niemu twarz. – Dziękuję, że przybyłeś...

– Ale nasze rozmowy jeszcze nie są zakończone powiedział cicho Raistlin. – Chciałbym mieć szansę udowodnienia ci, że obawy twego boga są bezpodstawne. Mam propozycję. Przyjdź do mnie z wizytą do Wieży Wielkiej Magii. Tam zobaczysz mnie wśród mych ksiąg i zrozumiesz moje badania. Kiedy tak się stanie, twój umysł zazna spo – koju. Jak uczą nas dyski, boimy się tylko tego, co jest nieznanne. – Zbliżył się do niej o krok.

Zdumiona jego propozycją Crysania rozwarła szeroko oczy. Próbowwała się od niego odsunąć, lecz nieszczęśliwie dała się zapędzić pod okno. – Nie mogę pójść... do Wieży – zająknęła się, gdy jego bliskość ją zdławiła, skradła jej oddech. Spróbowała obejść go, lecz on przysunął laskę, zagradzając jej drogę. Ozieble ciągnęła: – Zakłęcia, jakie na niej spoczywają, nie pozwalają nikomu wejść...

– Z wyjątkiem tych, których wejścia sobie życzę szepnął Raistlin. Złożywszy zakrwawioną chusteczkę, wsunął ją ponownie do kieszeni ukrytej w szatach. Potem wyciągnął rękę i ujął dłoń Crysanii.

– Jakże dzielna jesteś, wielebna córko – stwierdził.

– Nie drżysz pod moim złym dotykiem.

– Paladine jest przy mnie – odparła wzgardliwie Crysania.

Raistlin uśmiechnął się ciepło, mrocznym i tajemniczym uśmiechem – przeznaczonym tylko dla niej. Potem wypuścił jej dłoń. Oparłszy laskę o krzesło, podniósł ręce i dotknął głowy kobiety smukłymi dłońmi, kładąc palce na jej białym kapturze. Teraz Crysania zadrżała pod jego dotykiem, lecz nie była w stanie się ruszyć ani przemówić, ani zrobić czegokolwiek poza spoglądaniem na niego w dzikim przerażeniu, którego nie umiała stłumić ani zrozumieć.

Trzymając ją mocno, Raistlin schylił się i musnął splamionymi krwią wargami jej czoło. Czyniąc to, wyszeptał dziwne słowa. Następnie wypuścił ją.

Crysania zachwiała się i niemal upadła. Czuła się słabo i kręciło jej się w głowie. Podniosła dłoń do czoła, gdzie dotyk jego warg palił jej skórę rozżarzonym bólem. – Co uczyniłeś? – krzyknęła żałośnie. – Nie możesz rzucić na mnie zakłęcia! Moja wiara chroni...

– Oczywiście – westchnął znużony Raistlin, a jego twarz i głos wyrażały smutek osoby stale podejrzewanej i źle rozumianej. – Po prostu dałem ci amulet, który pozwoli ci przejść przez zagajnik Shoikan. Droga nie będzie łatwa – jego sarkazm powrócił – lecz bez wątpienia wiara

doda ci sił!

Naciągnąwszy kaptur nisko na oczy, mag skłonił się Crysanii, która była w stanie tylko patrzeć na niego, po czym podszedł do drzwi powolnym, chwiejnym krokiem. Wyciągnąwszy chudą jak u szkieletu dłoń, pociągnął za sznur dzwonka. Bertrem wszedł tak szybko i niespodziewanie, iż Crysania domyśliła się, że musiał stać pod drzwiami. Zacisnęła wargi. Posłała estetykowi takie wściekłe, władcze spojrzenie, że mężczyzna wyraźnie zbladł, choć był zupełnie nieświadom przestępstwa, jakie popełnił, po czym wytarł błyszczące czoło rękawem szaty.

Raistlin chciał już wyjść, lecz Crysania zatrzymała go.

Przepraszam, że ci nie ufałam, Raistlinie Majere rzekła cicho. – I jeszcze raz dziękuję, że przyszedłeś.

Raistlin odwrócił się. – A ja przepraszam za ostre słowa – powiedział. – Żegnaj, wielbna córko. Jeśli naprawdę nie obawiasz się wiedzy, przybądź do Wieży za dwie noce od dzisiejszej, kiedy tylko Lunitari pojawi się na niebie. – Będę tam – odparła Crysania zdecydowanie, z satysfakcją zauważając pełne przerażenia i zaszokowane spojrzenie Bertrema. Skinąwszy głową na do widzenia, położyła dłoń na oparciu misternie rzeźbionego krzesła.

Mag wyszedł z komnaty z Bertremem, który zamknął za nim drzwi.

Gdy została sama w ciepłym, ciemnym pokoju, padła na kolana. – Och, dzięki ci Paladine! – szepnęła. – Przyjmuję twe wyzwanie. Nie zawiodę cię! Nie zawiodę!



## **Księga pierwsza**

## **Rozdział I**

*Za sobą słyszała zgrzyt pazurzystych stóp rozdrapujących suche liście. Tika była spięta, lecz próbowała zachowywać się tak, jakby nic nie słyszała, wabiąc w ten sposób stworzenie. Zdecydowanie ścisnęła miecz w rękę. Serce jej waliło. Kroki zbliżały się, słyszała już chrapliwy oddech. Szponiasta łapa spadła na jej ramię. Odwróciwszy się gwałtownie, Tika zamachnęła się mieczem i...*

...z łoskotem strąciła na podłogę tacę pełną kufla.

Dezra wrzasnęła i odskoczyła ze strachu. Klienci siedzący przy barze ryknęli chrapliwym śmiechem. Tika wiedziała, że jej twarz musi być równie czerwona, co jej włosy. Serce jej głośno biło, ręce się trzęsły.

– Dezro – powiedziała chłodno – masz wdzięk i rozum krasnoluda żlebowego. Być może ty i Raf powinniście się zamienić miejscami. Ty będziesz wynosić śmieci, a jemu pozwolę podawać do stołu!

Dezra spojrzała na nią znad pływających w morzu piwa kawałków rozbitych kufla, które zbierała na klęczkach. Może powinnam! – krzyknęła kelnerka, rzucając skorupy na posadzkę. – Sama podawaj do stołu... a może teraz to poniżej twojej godności, Tiko Majere, bohaterko Lancy?

Rzuciwszy Tice urażone, pełne wyrzutów spojrzenie, Dezra wstała, nogą odtrąciła skorupy i wyniosłym krokiem wymaszerowała z gospody.

Kiedy frontowe drzwi gospody rozwarły się z hukiem, uderzyły gwałtownie we framugę, aż Tika skrzywiła się, wyobraziwszy sobie rysy na drewnie. Ostre słowa cisnęły jej się na wargi, lecz ugryzła się w język, wiedząc, że później będzie tego żałować;.

Drzwi pozostały otwarte i jaskrawe światło późnego popołudnia zalewało wnętrze gospody. Ciepły, czerwony blask zachodzącego słońca połyskiwał na świeżo wypolerowanym drewnianym kontuarze i lśnił w szklankach. Tańczył nawet na powierzchni kałuży na podłodze. Dotknął żartobliwie płomiennie czerwonych loków Tiki, niczym dłoń kochanka, sprawiając, że niejednen z drzwiących klientów zdusił śmiech i spoglądał na urodziwą kobietę z tęsknotą.

Jednakże Tika tego nie dostrzegała. Zawstydzona swym wybuchem gniewu, wyjrzała przez okno, gdzie zobaczyła Dezrę wycierającą oczy fartuchem. Przez szeroko otwarte drzwi wszedł klient, zamykając je za sobą. Światło zgasło, znów pograżając gospodę w chłodnym półmroku.

Tika przetarła oczy dłonią. W jakiego potwora się zamieniam? spytała siebie z żalem. W końcu to nie była wina Dezry. To przez te straszne emocje! Niemal żałuję, że nie ma już smokowców, z którymi mogłabym walczyć. Przynajmniej wiedziałam wtedy, czego się bać,

przynajmniej mogłam walczyć własnymi rękoma! Jak mam walczyć z czymś, czego nie potrafię nawet nazwać?

Jej rozmyślania przerwały głosy domagające się piwa i jedzenia. Rozległ się śmiech, rozbrzmiewając w całej gospodzie „Ostatni Dom”.

Właśnie to zastałam po powrocie. Tika pociągnęła nosem i wytarła go w szmatę do kontuaru. To jest mój dom. Ci ludzie są równie dobrzy, piękni i ciepłi jak zachodzące słoń – ce. Jestem otoczona dźwiękami miłości – śmiech, serdeczność przyjaciół, chłepący piesek...

Chłepący piesek! Tika jęknęła i wybiegła zza kontuaru.

– Raf! – wykrzyknęła, patrząc zrozpaczona na krasnoluda żlebowego.

– Piwo rozlane. Ja zbierać – powiedział, spoglądając na nią i radośnie wycierając usta dłonią.

Kilku starych bywalców wybuchło śmiechem, lecz byli także tacy, nowi w gospodzie, którzy patrzyli na krasnoluda żlebowego z obrzydzeniem.

– Użyj szmaty do wycierania! – syknęła Tika i uśmiechnęła się blade do klientów z wyrazem przeprosin. Rzuciła Rafowi szmatę i krasnolud złapał ją. Jednakże tylko trzymał ją w ręku, przyglądając jej się ze zdumioną miną.

– Co ja z tym robić?

– Powycieraj piwo! – skarciła go Tika, bezskutecznie starając się zasłonić go przez wzrokiem klientów swą długą, powiewną spódnicą.

– Och! Ja tego nie potrzebować – stwierdził z namaszczaniem Raf. – Nie pobrudzić śliczna szmata. – Oddawszy gałgan Tice, krasnolud żlebowy opadł znów na czworaki i zaczął zlizywać rozlane piwo, teraz już beznadziejnie wymieszane z naniesionym błotem.

Czując jak jej policzki płoną, Tika złapała Rafa za kołnierz i potrząsając nim postawiła go na nogi. – Użyj szmaty! – szepnęła rozwścieczona. – Goście tracą apetyt! A kiedy skończysz, masz pozierać naczynia z dużego stołu koło kominka. Oczekuję przyjaciół...

Raf gapił się na nią, wybałuszając oczy i starając się przyswoić sobie skomplikowane polecenia. Był kimś wyjątkowy m jak na krasnoluda żlebowego. Był tu zaledwie od trzech tygodni, a Tika już nauczyła go liczyć do trzech (niewielu krasnoludów żlebowych dociera powyżej dwóch) i wreszcie pozbyła się jego smrodu. Te nowo nabyte umiejętności intelektualne, w połączeniu z czystością, uczyniłyby z niego króla w królestwie krasnoludów żlebowych, lecz Raf nie miał takich ambicji. Wiedział, że żaden król nie żył tak jak on – „wycierając” rozlane piwo (jeśli zdążył) i „wynosząc” śmieci. Jednakże istniał kres talentów Rafa i Tika właśnie do niego dotarła.

– Oczekuję przyjaciół i... – znów zaczęła, po czym zrezygnowała. – Och, nieważne. Tylko to powycieraj, szmatą – dodała surowo – a potem przyjdź dowiedzieć się, co masz później robić.

– Ja nie pić? – zaczął Raf, a potem dostrzegł wściekle spojrzenie Tiki. – Dobra.

Wzdychając z rozczarowania, krasnolud żlebowy wziął znów szmatę i smarował nią po

podłódze, mamrocząc coś o „marnowaniu dobrego piwa”. Potem podniósł skorupy rozbitych kufli i po przyjrzeniu im się przez chwilę, wyszczerzył zęby w uśmiechu i schował je do kieszeni koszuli.

Tika zastanawiała się przez moment, co zamierza z nimi zrobić, lecz wiedziała, że lepiej nie pytać. Powróciwszy do baru, chwyciła następne kufle i napełniła je, starając się nie zauważać, że Raf skaleczył się którymś z ostrzejszych kawałków i siedział w kucki, przyglądając się z wielkim przejęciem krwi kapiącej mu z ręki.

– Czy widziałeś... hmm... dziś Caramona? – zapytała go od niechcienia.

– Nie. – Raf wytarł okrwawioną dłoń we włosy. Ale ja wiedzieć, gdzie szukać. – Podskoczył radośnie. Iść znaleźć?

– Nie! – warknęła Tika, marszcząc brwi. – Caramon jest w domu.

– Ja tak nie myśleć – powiedział Raf, potrząsając głową. – Nie po tym, jak słońce zachodzi...

– On jest w domu! – Tika krzyknęła z taką złością, że krasnolud źlebowy skulił się ze strachu.

– Chcesz się założyć? – mruknął Raf cichutko pod nosem. Ostatnio temperament Tiki był równie ognisty, jak jej włosy.

Na szczęście dla Rafa, Tika go nie dosłyszała. Skończyła napełniać kufle, po czym zaniósła tacę dużej grupie elfów, którzy siedzieli przy drzwiach.

Spodziewam się przyjaciół, ospale powtórzyła sobie w duchu. Drogich przyjaciół. Niegdyś czułaby się taka podekscytowana, taka uradowana, że zobaczy Tanisa i Riverwinda. Teraz... Westchnęła, podając kufle z piwem, nie uświadamiając sobie nawet tego, co robi. W imię prawdziwych bogów, modliła się, niech przyjadą i szybko wyjadą! Tak, przede wszystkim, niech szybko wyjadą! Gdyby zostali... Gdyby dowiedzieli się...

Tika podupadła na duchu na myśl o tym. Dolna warga zaczęła jej się trząść. Gdyby zostali, to byłby koniec. Tak po prostu. Jej życie dobiegłoby kresu. Nagle nie mogła znieść tego bólu. Pośpiesznie postawiwszy ostatni kufel, Tika opuściła elfów. Nie zauważyła rozbawionych spojrzeń, jakie wymienili między sobą, zapomniała też, że wszyscy zamawiali wino.

Mając oczy pełne łez, Tika myślała tylko o tym, żeby uciec do kuchni, gdzie mogłaby płakać nie dostrzeżona. Elfowie rozglądali się już za inną kelnerką, a Raf z westchnieniem zadowolenia wychłęptał resztę piwa, Tanis Półelf stał u podnóża małego pagórka, spoglądając na prostą, błotnistą drogę, jaka się przed nim rozciągała. Kobieta, którą eskortował, i ich wierzchowce czekały w pewnej odległości za nim. Kobieta potrzebowała odpoczynku, tak samo jak konie. Choć duma nie pozwalała jej powiedzieć ani słowa, Tanis zauważył, że jej twarz jest pobladła i wymęczona. Prawdę mówiąc, już raz tego dnia usnęła w siodle i spadłaby, gdyby nie jego silne ramię. W związku z tym, choć spieszno jej było dotrzeć do miejsca przeznaczenia, nie protestowała, gdy Tanis oświadczył, że chce sam wyjechać naprzód na zwiady. Pomógł jej zejść

z konia i usadowił ją bezpiecznie w gąszczu.

Miał opory przed zostawieniem jej bez opieki, jednakże wyczuł, że śledzące ich istoty mroku zostały z tyłu. Nale – ganię na pośpiech opłacało się, choć zarówno on, jak i kobieta, byli obolali i zmęczeni. Tanis miał nadzieję utrzymać przewagę, dopóki nie będzie mógł przekazać swej towarzyszki jedynej osobie na Krynnie, która będzie mogła jej pomóc.

Jechali konno od świtu, uciekając przed okropieństwem, które podążało ich śladem od Palanthas. Co to było dokładnie, Tanis – mimo całego swego doświadczenia wyniesionego z wojen – nie umiał określić. A to czyniło je jeszcze straszniejszym. Wiecznie nieobecne, gdy próbował stawić mu czoło, widoczne jedynie kątem oka, kiedy szukał czegoś innego. Wiedział, że jego towarzyszka też je wyczuła, lecz, co typowe dla niej, była zbyt dumna, by się przyznać do obaw.

Oddalając się od gęstwiny, Tanis czuł się winny. Wiedział, że nie powinien zostawiać jej samej. Nie powinien marnować bezcennego czasu. Wszystkie jego zmysły wojownika protestowały. Musiał jednakże coś zrobić i musiał to zrobić sam. Inaczej wydawałoby się to świętokradztwem.

Tak więc Tanis stał u stóp wzgórza, zbierając odwagę, by pójść przed siebie. Każdy kto spojrzalby na niego, mógłby przypuszczać, że szykuje się do walki z ogrem. Nie było to jednak prawdą. Tanis Półelf wracał do domu. Zarazem tęsknił i obawiał się tego pierwszego spojrzenia.

Popołudniowe słońce zaczynało swą podróż w dół, ku nocy. Zapadnie zmierzch, nim dotrze do gospody, a bardzo obawiał się podróżowania w ciemności. Jednak kiedy już tam dotrze, ta koszmarne podróż zakończy się. Zostawi kobietę w dobrych rękach i pojedzie dalej do Qualinesti. Najpierw jednak musiał stawić czoło temu. Z głębokim westchnieniem Tanis Półelf naciągnął na głowę zielony kaptur i zaczął wspinaczkę.

Kiedy znalazł się na szczycie, jego wzrok padł na wielki, porośnięty mchem głaz. Przez chwilę zawładnęły nim wspomnienia. Zamknął oczy, czując szczypanie łez pod powiekami.

– Głupia wyprawa – usłyszał głos krasnoluda, dźwięczący echem w jego wspomnieniach. – Najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem!

Flint! Mój stary przyjacielu!

Nie mogę tak dalej, pomyślał Tanis. To zbyt bolesne. Dlaczego w ogóle zgodziłem się tu wrócić? Teraz nie ma tu dla mnie niczego... Niczego, prócz bólu starych ran. Życie jest wreszcie dla mnie dobre. Wreszcie pogodziłem się ze sobą, jestem szczęśliwy. Dlaczego... dlaczego powiedziałem im, że wrócę?

Zaczerpnąwszy z drzeniem tchu, otworzył oczy i spojrzął na głaz. Dwa lata temu – będą trzy tej jesieni – stanął na tym szczycie i zastał swego starego przyjaciela, krasnoluda Flinta Fireforge, siedzącego na tym kamieniu, rzeźbiącego w drewnie i uskarżającego się – jak zwykle. Tamto spotkanie uruchomiło wydarzenia, które wstrząsnęły światem i znalazły kulminację w Wojnie

Lancy, bitwie, która zepchnęła Królową Ciemności ponownie do Otchłani i złamała potęgę smoczycich władców.

Teraz jestem bohaterem, pomyślał Tanis, spoglądając żałośnie na krzykliwe panoplium, jakie miał na sobie: napierśnik rycerza solamnijskiego; szarfa z zielonego jedwabiu, oznaka Swobodnych Biegaczy z Silvanesti, najbardziej szanowanego z elfich legionów; medal Kharasa, najwyższe odznaczenie krasnoludów; plus całe mnóstwo innych. Nikt poza nim – człowiek, elf czy półelf – nie został tak uhonorowany. Cóż za ironia losu. On, który nienawidził pancerzy i nie cierpiał ceremonii, zmuszony był teraz nosić zbroję jako oznakę godności. Jakże śmiałyby się stary krasnolud.

Ty – bohaterem! Niemal słyszał jego parsknięcie. Lecz Flint nie żył. Tej wiosny będą dwa lata od chwili, gdy umarł na rękach Tanisa.

Po co ci ta broda? Mógłby znów przysiąc, że słyszy głos Flinta, pierwsze słowa, jakie wypowi ‘dział, ujrawszy półelfa na drodze. – I tak byłeś wystarczająco brzydki...

Tanis uśmiechnął się i podrapał po brodzie, której żaden elf na Krynnie nie mógłby zapuścić, brodzie, która była zewnętrzną, widzialną oznaką jego półludzkiego pochodzenia. Flint dobrze wiedział, po co ta broda, pomyślał Tanis, zerkając z czułością na wygrzany słońcem głaz. Znał mnie lepiej niż ja sam siebie. Wiedział, jaki zamęt szaleje w mej duszy. Wiedział, że musiałem dostać nauczkę.

– I dostałem ją – szepnął Tanis do nieobecnego przyjaciela. – Dostałem ją, Flincie. Lecz... och, jakże była gorzka!

Nagle dotarła do niego woń dymu. Wraz z ukośnymi promieniami słońca i chłodem w wiosennym powietrzu przypomniała mu, że ma przed sobą kawał drogi. Odwróciwszy się, Tanis Półelf spojrział w dolinę, gdzie spędził gorzko-słodkie lata wczesnego wieku męskiego, spojrział w dół, na Solące.

Była jesień, kiedy po raz ostatni widział to małe miasteczko. Drzewa vallen w dolinie płonęły barwami tej pory roku, jaskrawą czerwienią i złotem, przechodząc następnie w fiolet szczytów gór Kharolis wznoszących się za nimi. Widział głęboki lazur nieba, które przeglądało się w nieruchomej toni jeziora Crystalmir. Nad doliną unosiła się mgiełka dymu z domowych ognisk, palących się w spokojnym miasteczku, które niegdyś gnieździło się w koronach vallenów jak zadowolone ptactwo. Wraz z Flintem obserwowali, jak jedno po drugim zapalają się światła w domach wtulonych między listowie wielkich drzew. Solące – miasto na drzewach – jedna z pereł urody i cudów Krynnu.

Przez chwilę Tanis miał przed oczami obraz równie wyraźny, jak to, co ujrzał dwa lata temu. Potem wizja rozmyła się. Wtedy była jesień. Teraz jest wiosna. Wciąż snuł się tam dym, dym z domowych palenisk. Jednakże teraz pochodził głównie z domów wybudowanych na ziemi. Pieniła się żywa, bujna roślinność, lecz zieleń zdawała się jedynie – w oczach Tanisa –

podkreślać czarne blizny na ziemi; blizny, których nigdy nie da się całkiem zatrzeć, choć tu i tam dostrzegał ślady pługa.

J Tanis potrzęsął głową. Wszyscy spodziewali się, że wraz ze zniszczeniem strasznej świątyni Królowej w Nerace, wojna się skończy. Wszystkim spieszno było zaorać czarną, spaloną ziemię, spopieloną smoczym ogniem i zapomnieć o cierpieniach.

Jego spojrzenie padło na wielki, czarny krąg pośrodku miasta. Tam nic nie chciało rosnąć. Żaden pług nie był w stanie zaorać gleby zniszczonej smoczym ogniem i nasiąkniętej krwią niewinnych, zamordowanych przez wojska smoczycy władców.

Tanis uśmiechnął się ponuro. Wyobrażał sobie, jak taka plama musi kłuć w oczy tych, co tak starali się zapomnieć. Cieszył się z jej istnienia. Miał nadzieję, że zostanie tam na zawsze.

Po cichu powtórzył słowa, które wypowiedział Elistan podczas solennej uroczystości poświęcenia Wieży Najwyższego Klerysta ku pamięci rycerzy, którzy tam polegli.

– Musimy pamiętać albo pogrążymy się w samozadowoleniu – jak stało się uprzednio – i zło znów nadejdzie.

Jeśli już nie nadeszło, pomyślał posepnie Tanis. Z taką myślą zawrócił i zszedł szybko ze wzgórza.

Gospoda „Ostatni Dom” była tego wieczoru zatłoczona.

O ile wojna przyniosła dewastację i zniszczenia mieszkańcom Solące, z jej zakończeniem nastąpił taki dobrobyt, że znaleźli się tacy, którzy twierdzili, iż nie była ona taka zła. Solące od dawna leżało na skrzyżowaniu dróg wiodących przez ziemie Abanasinii. Jednakże przed wojną podróżnych było stosunkowo niewiele. Krasnoludowie – oprócz kilku odszczepieńców jak Flint Fireforge – zamknęli się w swym górskim królestwie Thorbardin albo zabarykadowali się na wzgórzach, odmawiając wszelkich kontaktów z resztą świata. Elfowie uczynili to samo, zamieszkując piękne ziemie Qualinesti na południowym zachodzie i Silvanesti na wschodniej krawędzi kontynentu ansalońskiego.

Wojna to odmieniła. Elfowie, krasnoludowie i ludzie podróżowali teraz bardzo dużo, a ich ziemie i królestwa były otwarte dla wszystkich. Trzeba było niemal całkowitego unicestwienia, by doprowadzić do tego kruchej zbratania.

Gospoda „Ostatni Dom” – zawsze ciesząca się dobrą sławą wśród wędrowców dzięki wyśmienitym napojom i słynnym korzennym ziemniakom Otika – stała się jeszcze popularniejsza. Napoje wciąż były świetne, a ziemniaki równie dobre jak zawsze – choć Otik przeszedł na emeryturę jednak prawdziwym powodem zwiększonej popularności gospody był fakt, iż stała się ona sławnym miejscem. Bohaterowie Lancy – jak teraz ich nazywano – odwiedzali tę gospodę w minionych czasach.

Prawdę powiedziawszy, Otik, zanim jeszcze się wycofał, zastanawiał się nad powieszeniem tabliczki nad stołem przy kominku – być może z napisem w stylu „Tanis Półelf i drużyna pili

tutaj”. Jednak Tika sprzeciwiła się temu tak zaciekle (na samą myśl o tym, co Tanis powiedziałby, gdyby to zobaczył, Tice płonęły policzki), że Otik zrezygnował. Niemniej jednak grubemu karczmarzowi nigdy nie znudziło się opowiadanie klientom o tym wieczorze, gdy barbarzyńska kobieta zaśpiewała swą dziwną pieśń i uleczyła Hedericka Teokratę swą laską z błękitnego kryształu, dając pierwszy dowód na istnienie starożytnych, prawdziwych bogów.

Tika, która przejęła prowadzenie gospody po odejściu Otika na emeryturę i miała nadzieję, że uskłada dość pieniędzy, by odkupić interes, z całego serca wierzyła, iż Otik powstrzyma się od opowiadania znów tej historii dzisiejszego wieczoru. Była to jednak płonna nadzieja.

Obecnych było kilka grup elfów, którzy przybyli aż z Silvanesti, by wziąć udział w pogrzebie Solostarana, Mówcy Słońc i władcy elfiej krainy Qualinesti. Nie tylko zachęcali Otika do opowiedzenia jego historii, lecz także sami opowiadali o wizycie Bohaterów w ich krainie i o tym, jak uwolnili ją spod władania złego smoka, Cyana Bloodbane.

Tika spostrzegła, że Otik zerka na nią żałośnie – w koń – cu należała do drużyny, która była w Silvanesti. Uciszyła go wściekłym potrząśnięciem rudych loków. To była jedyna część ich podróży, o której nie chciała opowiadać, ani nawet wspominać o niej. Prawdę powiedziawszy, co noc modliła się, aby móc zapomnieć o ohydnych koszmarach tej udreżonej ziemi.

Tika zamknęła oczy, pragnąc, by elfowie zrezygnowali z tego tematu. Miała w tej chwili własne koszmary. Nie potrzebowała przeszłych, żeby ją dręczyły. – Niech tylko przyjdą i pójdą sobie szybko – powiedziała cicho do siebie i do obojętnie jakiego boga, który mógł się przysłuchiwać.

Słońce właśnie zaszło. Przybywało coraz więcej gości, domagając się jedzenia i napojów. Tika przeprosiła Dezrę, obie przyjaciółki uroniły razem kilka łez, a teraz były zajęte bieganiem od kuchni do baru i stołów. Tika podskakiwała za każdym razem, gdy drzwi się otwierały, i krzywiła z irytacją, gdy słyszała głos Otika, który przebijał się przez brzęk kufli i szum rozmów.

– ...piękny, jesienny wieczór, jak sobie przypominam, a ja oczywiście byłem bardziej zajęty niż sierżant od musztry smokowców. – To zawsze wzbudzało śmiech. Tika zacisnęła zęby. Otik miał chętną publiczność i już się rozkręcił. Teraz nie sposób byłoby go zatrzymać. – Gospoda znajdowała się na drzewach vallen, jak reszta naszego pięknego miasta, zanim zniszczyły je smoki. Ach, jakie było piękne w dawnych czasach. – Westchnął, zawsze wzdychał w tym momencie, i otarł łzę. Wśród tłumu rozległ się współczujący pomruk. – Na czym to ja skończyłem? – Wydmuchał nos, co stanowiło kolejną część przedstawienia. – Ach, tak. Stałem właśnie za kontuarem, gdy drzwi się otworzyły...

Drzwi się otworzyły jak na zawołanie, tak doskonale zgrały się te wydarzenia. Tika odsunęła pasmo rudych włosów ze spoconego czoła i zerknęła nerwowo. W sali zapadła cisza. Tika zeszywniała, wbijając paznokcie w dłonie.

Na progu stanął wysoki mężczyzna, tak wysoki, że musiał się schylić, by zmieścić się



w drzwiach. Miał ciemne włosy i zawziętą, surową twarz. Choć otulony był w futra, widać było po jego sposobie poruszania się i pozie, że ciało ma muskularne i silne. Mężczyzna powiódł szybkim spojrzeniem po zatłoczonej gospodzie, mierząc wzrokiem obecnych, ostrożny i wyczulony na niebezpieczeństwo.

Było to jednakże tylko odruchowe działanie, gdy bowiem jego przenikliwe, srogie spojrzenie padło na Tikę, posępna twarz rozjaśniła się w uśmiechu i mężczyzna rozłożył szeroko ramiona.

Tika zawahała się, lecz widok przyjaciela nagle napełnił ją radością i dziwnym przypływem tęsknoty. Przepchnąwszy się przez tłum, padła mu w ramiona.

– Riverwindzie, mój przyjacielu! – szepnęła drżącym głosem.

Ściskając młodą kobietę, Riverwind uniósł ją bez wysiłku, jakby była dzieckiem. Tłum zaczął wiwatować, stukając kuflami w stoły. Większość nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Oto sam Bohater Lancy, jakby przyniesiony na skrzydłach opowieści Otika. Nawet wyglądał odpowiednio! Byli oczarowani.

Wypuściwszy Tikę, wysoki mężczyzna zrzucił z ramion futrzaną pelerynę i teraz wszyscy mogli podziwiać Płaszcz Wodza, który nosił. Każdy z naprzemiennych pasów w kształcie litery V, wykonanych z futer i wyprawionej skóry, reprezentował jedno z plemion Równin, nad którym panował. Przystojna twarz mężczyzny, choć starsza i bardziej stroskana niż wtedy, gdy Tika ostatnio go widziała, była ogorzała od słońca i wiatru, a w jego oczach malowała się wewnętrzna radość mówiąca, że znalazł spokój, którego szukał przez lata.

Tika poczuła dławienie w gardle i szybko odwróciła głowę.

– Tiko – powiedział mężczyzna z lekkim akcentem – dobrze widzieć, że jesteś zdrowa i wciąż piękna. Gdzie jest Caramon? Nie mogę się doczekać. Och, Tiko, co się stało?

– Nic, nic – odparła pośpiesznie Tika, potrząsając rudymi lokami i mrugając powiekami. – Chodź, zostawiłam specjalnie dla ciebie miejsce przy ogniu. Musisz być zmęczony i głodny.

Prowadziła go, bez przerwy mówiąc i nie pozwalając mu dojść do słowa. Tłum nieświadomie pomógł jej, odwracając uwagę Riverwinda. Wszyscy chcieli dotknąć i podziwiać jego futrzaną pelerynę lub próbowali uścisnąć mu rękę (który to zwyczaj mieszkańcy Równin uważali za barbarzyński) albo podsuwali mu różne napoje.

Riverwind przyjmował to ze stoickim spokojem, idąc za Tiką przez podniecony tłum i przyciskając do boku swój piękny miecz elfiej roboty. Jego ponura twarz spochmurniała jeszcze bardziej. Mężczyzna często wyglądał przez okno, jakby tęsknił za ucieczką od ciasnoty tego głośnego, przegrzanego pokoju z powrotem w otwartą przestrzeń, którą kochał. Jednakże Tika zrezygnowała z bardziej żywiołowych klientów i wkrótce usadziła swego przyjaciela niedaleko ognia przy stole na uboczu, w pobliżu drzwi kuchennych.

– Zaraz wracam – powiedziała, posyłając mu uśmiech i znikając w kuchni, nim zdążył otworzyć usta.

Znów rozległ się głos Otika, któremu towarzyszyło głośnie łomotanie. Ponieważ przerwano mu, Otik używał swej laski – broni wzbudzającej bodaj największy strach w Solące – aby przywrócić porządek. Karczmarz był kaleki na jedną nogę i uwielbiał opowiadać historię o tym, jak został ranny podczas upadku Solące, gdy, według własnego sprawozdania, sam jeden walczył z najeźdźczymi armiami smokowców.

Chwyciwszy patelnię pełną korzennych ziemniaków i śpiesząc do Riverwinda, Tika spojrzała ze złością na Otika. Ona wiedziała, jak było naprawdę – zranił się w nogę podczas wyciągania go z kryjówki pod podłogą. Nigdy jednak nie powiedziała o tym nikomu. W głębi serca kochała staruszkę jak ojca. Przyjął ją pod swój dach i wychował, gdy jej własny ojciec przepadł. Dał jej uczciwą pracę, ratując przed złodziejstwem. Poza tym samo przypominanie, że zna prawdę, pomagało powstrzymać wydumane opowieści Otika od rozrastania się do nowych rozmiarów.

Tłum już przycichł, gdy Tika wróciła, dzięki czemu miała okazję porozmawiać ze swym starym przyjacielem.

– Jak się ma Goldmoon i twój syn? – zapytała wesoło, widząc, że Riverwind przygląda się jej uważnie.

– Czuje się dobrze i przesyła pozdrowienia – odparł Riverwind głębokim barytonem. – Mój syn – oczy mu zalśniły dumą – ma zaledwie dwa latka, a już jest taki wysoki, i siedzi na koniu lepiej niż większość wojowników.

– Miałam nadzieję, że Goldmoon przybędzie z tobą – powiedziała Tika z westchnieniem, którego nie miała zamiaru zdradzać przed Riverwindem. Mieszkaniec Równin jadł przez chwilę w milczeniu, zanim odpowiedział.

– Bogowie pobłogosławili nas dwojgiem następnych dzieci – rzekł, przyglądając się Tice z dziwnym wyrazem swych ciemnych oczu.

– Dwojgiem? – Tika wyglądała na zdumioną, a potem wykrzyknęła radośnie: – Och, bliźnięta! Jak Caramon i Rais... – Przerwała nagle, przygryzając wargę.

Riverwind zmarszczył brwi i uczynił znak mający odpędzić złe. Tika zaczerwieniła się i odwróciła spojrzenie. W uszach jej huczało. Zakręciło jej się w głowie z gorąca i hałasu. Przełknąwszy gorycz, zmusiła się do zadania następnego pytania o Goldmoon, a po chwili mogła spokojnie przysłuchiwać się odpowiedzi Riverwinda.

– ...wciąż za mało kapłanów w naszej krainie. Jest wielu nawróconych, lecz moc bogów przychodzi powoli. Goldmoon ciężko pracuje, według mnie za ciężko, lecz pięknieje z dnia na dzień. A niemowlęta, nasze córeczki, obie mają srebrnozłote włosy...

Niemowlęta... Tika uśmiechnęła się smutno. Widząc jej minę, Riverwind zamilkł, skończył jeść i odsunął talerz. Na niczym mi tak nie zależy, jak na przedłużeniu tej wizyty – powiedział powoli – lecz nie mogę na długo opuścić swego ludu. Znasz wagę mojej misji. Gdzie jest Cara...

– Muszę sprawdzić twój pokój – powiedziała Tika, wstając tak szybko, że potrafiła stół,

rozlewając napój Riverwinda. – Ten krasnolud źlebowy miał pościelić łóżko. Pewno zastanę go smacznie śpiącego...

Spiesznie oddaliła się. Nie pobiegła jednakże na górę. Stała za drzwiami do kuchni i czując, jak powiew nocnego wiatru chłodzi jej rozpalone policzki, wpatrywała się w ciemność. – Niech już sobie pójdzie! – szeptała. – Proszę...

## ***Rozdział II***

Być może najbardziej Tanis obawiał się pierwszego spojrzenia na gospodę „Ostatni Dom”. Tu wszystko się zaczęło, trzy lata temu jesienią. Tu on, Flint, i wiecznie wesoły kender, Tasslehoff Burrfoot, przybyli tamtego wieczoru na spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Tu jego świat legł w gruzach, z których już nigdy się nie podniósł.

Jednakże w miarę zbliżania się do gospody, obawy Tanisa gasły. Tak wiele się zmieniło, że miał wrażenie jakby przyjeżdżał do obcego miejsca, miejsca, które nie budziło wspomnień. Gospoda stała na ziemi zamiast wśród gałęzi wielkiego drzewa vallen. Dobudowano pokoje, by pomieścić napływających podróżnych, i dach też był nowy, znacznie nowocześniejszej konstrukcji. Usunięto bliźny wojenne wraz ze wspomnieniami.

Wtem, gdy Tanis zaczął się rozluźniać, otworzyły się frontowe drzwi gospody. Padła struga światła, tworząc złotą ścieżkę powitania, a podmuch wieczornego wiatru przyniósł zapach korzennych ziemniaków i odgłosy śmiechu. Wspo – mnienia powróciły gwałtowną falą i Tanis spuścił głowę pod ich ciężarem.

Teraz jednak, być może szczęśliwie, nie miał czasu rozwozić się nad przeszłością. Kiedy wraz z towarzyszką dotarł do gospody, podbiegł chłopiec stajenny, by zająć się końmi.

– Wody i obroku – rzekł Tanis, zmęczony zsuwając się z siodła i rzucając chłopcu monetę. Przeciągnął się, by rozluźnić zdrętwiałe mięśnie. – Posłałem wieść naprzód, żeby czekał tu na mnie wypoczęty koń. Nazywam się Tanis Półelf.

Chłopiec wytrzeszczył oczy; już przedtem gapił się na błyszczący pancerz i bogaty płaszcz, w jaki był odziany Tanis. Teraz jego ciekawość zastąpił podziw i szacunek zmieszany z lękiem.

– T-tak, panie – wyjąkał zawstydzony, że zwraca się do niego tak wielki bohater. – K-koń już gotowy, czy m-mam go przyprowadzić, panie?

– Nie – Tanis uśmiechnął się. – Najpierw coś zjem. Przyprowadź go za dwie godziny.

– D-dwie godziny. Tak, panie. Dziękuję, panie. – Kiwając głową, chłopiec wziął wodze, które Tanis wcisnął do jego nieruchomej ręki, po czym stał tak i gapił się, zapomniawszy o swym zadaniu, aż wreszcie zniecierpliwiony koń trącił go głową, niemal przewracając.

Kiedy chłopiec odszedł pośpiesznie, odprowadzając konia Tanisa, półelf odwrócił się, by pomóc swej towarzyszce zsiąść.

– Musisz być z żelaza – powiedziała, spoglądając na Tanisa. – Czy naprawdę zamierzasz jechać dalej nocą?

– Prawdę powiedziawszy, bolą mnie wszystkie kości – zaczął Tanis, po czym przerwał, czując się dziwnie. Po prostu nie umiał zachowywać się swobodnie w towarzystwie tej kobiety.

Tanis widział jej twarz w blasku światła z gospody. Dostrzegł znużenie i ból. Miała

podkrążone oczy i blade, zapadnięte policzki. Zachwiała się, stając na ziemi, i Tanis szybko podał jej ramię, aby mogła się na nim wesprzeć. Tak też uczyniła, lecz tylko na chwilę. Później wyprostowała się i łagodnie, acz zdecydowanie odepchnęła go i stanęła o własnych siłach, rozglądając się wokół bez zainteresowania.

Tanis czuł ból przy każdym ruchu i wyobrażał sobie, jak musi czuć się ta kobieta, nieprzywykła do wysiłku fizycznego i trudów. Mimo woli zmuszony był traktować ją z podziwem. Ani razu nie poskarżyła się podczas długiej i przerażającej podróży. Dotrzymywała mu kroku, nie zostawiała w tyle i posłusznie wypełniała jego polecenia.

Więc dlaczego, zastanawiał się, nie czuł do niej sympatii? Co w niej go drażniło i złościło? Spojrzawszy na jej twarz, Tanis znał już odpowiedź. Jedyne ciepłym elementem tej postaci było odbicie blasku z gospody. Jej twarz – nawet wyczerpana – była zimna, beznamietna, pozbawiona... Czego? Ludzkich odczuć? Taka była przez całą tę długą, niebezpieczną podróż. Och, była oziębło uprzejma, oziębło wdzięczna, oziębło wyniosła. Prawdopodobnie oziębło pogrzebałaby mnie, pomyślał ponuro Tanis. Potem, jakby po to, by skarcić się za te pozbawione szacunku myśli, jego spojrzenie padło na medalion, który nosiła na szyi: platynowego smoka Paladine'a. Przypomniawszy sobie pożegnalne słowa Elistana, wypowiedziane na osobności tuż przed rozpoczęciem ich podróży.

– Dobrze się składa, że ty ją eskortujesz, Tanisie rzekł kapłan o nadwątlonym już zdrowiu. – Pod wieloma względami ona rozpoczyna wyprawę przypominającą twoją sprzed lat – szuka samowiedzy. Masz rację, sama o tym jeszcze nie wie. – Była to odpowiedź na pełne powątpiewania spojrzenie Tanisa. – Ona kroczy naprzód z wzrokiem utkwionym w niebiosach. – Elistan uśmiechnął się smutno. – Jeszcze się nie nauczyła, że tak postępując, z pewnością się potknie. Jeśli się tego nie dowie, jej upadek może być dotkliwy. – Potrząsając głową, wyszeptał cichą modlitwę. – Musimy jednak pokładać ufność w Paladynie.

Tanis zmarszczył brwi wtedy i zmarszczył je teraz, my – śląc o tym. Choć doszedł do mocnej wiary w prawdziwych bogów – bardziej dzięki miłości Laurany i wierze w nich oboje niż dzięki czemukolwiek innemu – czuł się nieswojo, zawierzając im swe życie, i niecierpliwili go tacy jak Elistan, którzy, jego zdaniem, zbyt wielki ciężar zrzucali na bogów. Niech człowiek będzie odpowiedzialny za samego siebie dla odmiany, pomyślał ze złością Tanis.

– Co się stało, Tanisie? – spytała chłodno Crysania. Zdając sobie sprawę, że cały czas jej się przygląda, Tanis kaszlnął z zażenowania, chrząknął i odwrócił wzrok. Na szczęście, w tym momencie chłopiec stojący przy koniu Crysanii i oszczędził Tanisowi konieczności odpowiedzi. Wskazał na gospodę i we dwoje ruszyli w jej stronę.

– Prawdę mówiąc – rzekł Tanis, gdy milczenie stało się zbyt niezręczne – niczego bardziej nie pragnąłbym, niż zostać tu dłużej u moich przyjaciół. Muszę być jednak w Qualinesti pojutrze, a zdążę, jeśli będę szybko jechał. Moje stosunki ze szwagrem nie są aż tak dobre, bym mógł

pozwolić sobie na obrażenie go, spóźniając się na pogrzeb Solostarana. – Zarówno pod względem stosunków politycznych, jak i osobistych, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć – dodał z posępnym uśmiechem.

Teraz Crysania się uśmiechnęła, lecz Tanis dostrzegł, że nie był to uśmiech zrozumienia. Uśmiechnęła się z pobłażaniem, jakby cała ta rozmowa o polityce i rodzinie była poniżej jej godności.

Stanął przed drzwiami gospody. – Poza tym – dodał cicho Tanis – tęsknię za Lauraną. To zabawne, prawda. Kiedy jest blisko i jesteśmy zajęci własnymi sprawami, czasami wystarcza nam tylko przelotny uśmiech lub dotknięcie, a potem znikamy na całe dni w swoich własnych światach. Lecz kiedy jestem daleko od niej, czuję się nagle tak, jakbym obudził się i stwierdził, że obcięto mi prawą rękę. Może nie kładę się spać, myśląc o swej prawej ręce, ale kiedy jej nie ma...

Tanis nagle przerwał, czując się głupio i obawiając się, że zabrzmiało to jak wypowiedź zadurzonego nastolatka.

Uświadomił sobie jednak, że Crysania najwyraźniej w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Jej gładka, marmurowa twarz ochłodziła się jeszcze bardziej, aż srebrna poświata księżycy zdawała się cieplejsza w porównaniu z nią. Potrząsając głową, Tanis otworzył drzwi.

Nie zazdroścąc Caramonowi i Riverwindowi, pomyślał ponuro.

Znajome dźwięki i zapachy gospody otoczyły Tanisa i przez długą chwilę mąciło mu się przed oczyma. Oto Otik, starszy i grubszy, jeśli to w ogóle możliwe, wsparty na lasce i klepiący go po plecach. Oto ludzie, których nie widział od lat, którzy przedtem nie mieli z nim wiele do czynienia, a teraz ściskają mu rękę i przyznają się do przyjaźni z nim. Oto stary bufet, nadal wypolerowany do połysku, i jakimś cudem udało mu się nadepnąć na krasnoluda źlebowego...

A potem pojawił się wysoki mężczyzna odziany w futra i Tanis znalazł się w serdecznym uścisku przyjaciela.

– Riverwindzie – szepnął schrypniętym głosem, mocno ściskając mieszkańca Równin.

– Mój bracie – odrzekł Riverwind w que-shu, języku swego narodu. Tłum w gospodzie wiwatował, lecz Tanis tego nie słyszał, bowiem piegowata kobieta o płomiennorudych włosach położyła dłoń na jego ramieniu. Wyciągnąwszy ku niej rękę i nie wypuszczając wciąż Riverwinda, Tanis przygarnął Tikę i przez dłuższą chwilę troje przyjaciół stało przytulonych do siebie – połączeni smutkiem, cierpieniem i chwałą.

Riverwind sprowadził ich na ziemię. Nie przyzwyczajony do takich publicznych przejawów uczuć, wysoki mieszkaniec Równin oprzytomniał i z gburowatym chrząknięciem odsunął się, szybko mrugając powiekami i wpatrując się w sufit, póki nie odzyskał panowania nad sobą. Tanis, którego ruda broda zamokła od łez, jeszcze raz szybko uścisnął Tikę, po czym rozejrzał się.

– Gdzie się podziewa ten wielki osiłek, twój mąż? spytał wesoło. – Gdzie jest Caramon?

Było to proste pytanie i Tanis zupełnie nie był przygotowany na taką reakcję. Tłum zamilkł. Twarz Tiki oblała się brzydkim rumieńcem. Kobieta wymamrotała coś niezrozumiale i schyliwszy się, podniosła z podłogi krasnoluda żlebowego, po czym potrząsnęła nim tak, aż zęby mu zagrzechotały.

Zaskoczony Tanis spojrzał na Riverwinda, lecz mieszkaniec Równin wzruszył ramionami i uniósł ciemne brwi. Pótlef zwrócił się do Tiki, by zapytać ją, co się dzieje, ale wtedy poczuł chłodny dotyk na ramieniu. Crysania! Zupełnie o niej zapomniał!

Zaczerwieniwszy się, trochę spóźniony przedstawił towarzystwo.

– Pozwólcie, że przedstawię Crysanię z Tariniusów, wielbną córkę Paladine’a – rzekł oficjalnie Tanis. Pani Crysania, Riverwind, wódz plemion Równin i Tika Waylan Majere.

Crysania rozsuptała płaszcz podróżny i zsunęła kaptur. Kiedy to uczyniła, platynowy medalion, który nosiła na szyi, zabłysnął w jasnym blasku świec w gospodzie. Czysto białe szaty z jagnięcej wełny błysnęły spod fałd jej płaszcza. Szmer – pełen jednocześnie czci i szacunku – rozległ się wśród tłumu.

– Święta kapłanka!

– Słyszałeś jej imię? Crysania! Następna w kolejności...

– Następczyni Elistana...

Crysania pochyliła głowę. Riverwind z poważną miną skłonił się głęboko, a Tika z twarzą tak zaczerwioną, że wyglądała jak w gorączce, pośpiesznie wepchnęła Rafa za szynkwasa, po czym nisko dygnęła.

Na dźwięk nazwiska Tiki po mężu, Majere, Crysania zerknęła na Tanisa pytająco i otrzymała w odpowiedzi skinienie głową.

– To dla mnie zaszczyt – rzekła Crysania swym głębokim, chłodnym głosem – spotkać dwoje ludzi, których dzielne czyny błyszczą jako przykład dla nas wszystkich.

Tika zaczerwieniła się z zażenowania. Surowa twarz Riwierwinda nie zmieniła wyrazu, lecz Tanis dostrzegł, jak wiele znaczył komplement kapłanki dla głęboko wierzącego mieszkańca Równin. Tłum natomiast krzyknął radośnie i nie przestawał wiwatować. Otik z całą pompą i paradą zaprowadził gości do stolika, szczerząc zęby do bohaterów, jakby sam zaaranżował całą wojnę specjalnie dla nich.

Tanis początkowo czuł się wytrącony z równowagi tym hałasem i zamieszaniem, lecz wkrótce doszedł do wniosku, że to działa na jego korzyść. Przynajmniej może porozmawiać z Riverwindem bez obawy, że zostanie podsłuchany. Jednak najpierw musi się dowiedzieć gdzie jest Caramon.

Znów zamierzał zapytać, lecz Tika – kiedy już dopilnowała, żeby usiedli, cały czas krzątając się przy Crysanii niczym kwoka nad kurczętami – zobaczyła, że Tanis otwiera usta

i odwróciwszy się raptownie, znikła w kuchni.

Tanis potrząsnął głową zdumiony, lecz zanim zdołał zastanowić się nad tym dłużej, Riverwind zadał mu pytanie. Wkrótce obaj byli pogrążeni w rozmowie.

– Wszyscy sądzą, że wojna się skończyła – powiedział Tanis, wzdychając. – A to naraża nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż przedtem. Przymierza między ludźmi i elfami, które były mocne w mrocznych czasach, zaczynają topnieć w słońcu. Laurana jest w Qualinesti bierze udział w pogrzebie swego ojca, a jednocześnie próbuje doprowadzić do porozumienia między Porthiosem, swym bratem o sztywnym karku, a rycerzami solamnijskimi. Jedynym promykiem nadziei, jaki nam pozostał, jest żona Porthiosa, Alhana Starbreeze. – Tanis uśmiechnął się. Nigdy bym nie pomyślał, że doczekam się czasów, gdy ta elfia kobieta nie tylko będzie odnosić się tolerancyjnie do ludzi i innych ras, ale wręcz serdecznie popierać ich u swego nietolerancyjnego męża.

– Dziwne małżeństwo – skomentował Riverwind, a Tanis pokiwał głową. Obaj mężczyźni byli myślami przy swym przyjacielu, nieżyjącym już rycerzu Sturmie Bright – blade – bohaterze Wieży Najwyższego Klerysta. Obaj wiedzieli, że serce Alhany zostało tam pochowane w ciemności wraz ze Sturmem.

– Z pewnością nie małżeństwo z miłości. – Tanis wzruszył ramionami. – Może jednak okazać się związkiem, który pomoże przywrócić ład temu światu. A teraz, co u ciebie, przyjacielu? Oblicze masz chmurne i pobrużdżone nowymi troskami, a jednocześnie promieniejesz nową radością. Goldmoon posłała Lauranie wiadomość o bliźniaczkach.

Riverwind uśmiechnął się. – Masz rację. Żałuję każdej minuty, kiedy jestem z dala od nich, choć twój widok zdejmuje część ciężaru z mego serca. Zostawiłem jednakże dwa plemiona na krawędzi wojny. Do tej pory udawało mi się nakłaniać ich do rozmów i nie doszło do przelewu krwi. Niemniej jednak malkontenci knują przeciwko mnie za moimi plecami. Każda minuta, kiedy mnie tam nie ma, daje im szansę na obudzenie starych, krwawych uraz.

Tanis ścisnął go za ramię. – Przykro mi, przyjacielu, i wdzięczny jestem, że przybyłeś. – Potem znów westchnął i zerknął na Crysanię, zdając sobie sprawę, że ma nowe kłopoty. – Miałem nadzieję, że będziesz mógł zapewnić tej pani swe przewodnictwo i opiekę. – Ściszył głos do szeptu. – Ona wybiera się do Wieży Wielkiej Magii w lesie Wayreth.

Riverwind rozwarł szeroko oczy z niepokojem i dezaprobaty. Mieszkaniec Równin nie ufał magom i wszystkim, co się z nimi wiązało.

Tanis pokiwał głową. – Widzę, że pamiętasz opowieści Caramona o czasach, gdy udał się tam w podróż z Raistlinem. A oni zostali zaproszeni. Ta pani jedzie bez zaproszenia, żeby zapytać magów o radę w kwestii...

Crysania posłała mu ostre, władcze spojrzenie. Tanis przygryzł wargę i dodał niezręcznie: – Miałem nadzieję, że mógłbyś ją odprowadzić...



– Tego się obawiałem, kiedy otrzymałem twą wiadomość – rzekł Riverwind – i dlatego czułem, że muszę przybyć, żeby w jakiś sposób wytłumaczyć ci moją odmowę. Gdyby to było kiedykolwiek indziej, wiesz, że z radością pomógłbym, a szczególnie byłbym zaszczycony, mogąc zaoferować swe usługi osobie tak czcigodnej. – Skłonił się lekko Crysanii, a ona przyjęła ten hołd z uśmiechem, który natychmiast znikł, kiedy przeniosła spojrzenie na Tanisa. Mała, głęboka zmarszczka gniewu pojawiła się między jej brwiami.

Riverwind ciągnął: – Jednak stawka jest zbyt wysoka. Pokój, do którego zdołałem nakłonić plemiona, z których wiele toczyło wojny od lat, jest kruchy. Nasze przetrwanie jako narodu i ludu zależy od zjednoczenia i współpracy przy odbudowie naszego kraju i naszego życia.

– Rozumiem – rzekł Tanis, wzruszony wyraźnym żalem Riverwinda, że musi odmówić jego prośbie o pomoc. Półelf jednakże zauważył niezadowolone spojrzenie Crysanii i zwrócił się do niej zawzięcie, acz uprzejmie. – Wszystko będzie dobrze, wielbna córko – rzekł z wyszukaną cierpliwością. – Caramon poprowadzi cię, a on jest wart nas trzech, zwykłych śmiertelników, prawda, Riverwindzie?

Mieszkaniec Równin uśmiechnął się, gdy wróciły stare wspomnienia. – Z pewnością potrafi zjeść tyle, co trzech zwykli śmiertelnicy. I jest silny jak trzech mężów, może więcej. Czy pamiętasz, Tanisie, jak podnosił krzepkiego WiHama Świńskiego Ryja, kiedy pokazywaliśmy sztuki... Gdzie to było... We Flotsam?

– I wtedy, gdy zabił tych dwóch smokowców, zderzając ich głowami. – Tanis roześmiał się, czując jak mrok świata nagle rozplywa się, gdy tak wspomina te czasy z przyjacielem. – A pamiętasz, kiedy byliśmy w królestwie krasnoludów i Caramon zakradł się od tyłu do Flinta i... Nachyliwszy się w przód, Tanis szepnął coś Riverwindowi do ucha. Mieszkaniec Równin zaczerwienił się od śmiechu. Przypomniał kolejną historię i obaj mężczyźni zaczęli wymieniać opowieści o sile Caramona, jego zdolnościach szermierczych, odwadze i honorze.

– I jego łagodności – dodał Tanis po chwili cichego skupienia. – Widzę go, jak cierpliwie opiekuje się Raistlinem, tuląc brata w swych objęciach, gdy ataki kaszlu niemal rozrywały mu piersi...

Przerwał mu stłumiony okrzyk, trzask i głuchy łomot. Odwróciwszy się ze zdumieniem, Tanis dostrzegł, że Tika wpatruje się w niego z pobladłą twarzą i błyszczącymi od łez zielonymi oczyma.

– Wyjedź natychmiast! – prosiła pobladłymi wargami. – Proszę, Tanisie! Nie zadawaj żadnych pytań! Po prostu idź już! – Chwyliła go za ramię, a jej paznokcie boleśnie wrzynały mu się w ciało.

– Tiko, co tu się, w imię Otchłani, dzieje? – spytał poirytowany Tanis, wstając i odwracając się do niej.

W odpowiedzi rozległ się trzask i łoskot. Drzwi do gospody otworzyły się z hukiem,

uderzone od zewnątrz jakąś ogromną siłą. Tika odskoczyła, a gdy spojrzała na drzwi, przez jej twarz przebiegł grymas takiego strachu i grozy, że Tanis szybko odwrócił się, sięgając po miecz, a Riverwind zerwał się na nogi.

Wielki cień rzucił mrok na całą salę. Radosna wrzawa i śmiech przycichły nagle, ustępując gniewnym szemraniom.

Przypomniawszy sobie o mrocznych i złych stworach, które ich ścigały, Tanis wyciągnął miecz, stając między ciemnością a Crysanią. Wyczuwał za sobą nieustraszoną obecność Riverwinda.

A więc dogoniło nas, pomyślał Tanis, niemal ciesząc się z okazji, że może walczyć z tym niewyraźnym, nieznanym zagrożeniem. Ponuro patrzył na drzwi, przyglądając się, jak opasła, groteskowa postać wyłania się z mroku.

Tanis zobaczył, że była to istota ludzka, olbrzymi mężczyzna, lecz kiedy przyjrzał mu się uważniej, dostrzegł, że był to człowiek z posturą olbrzymia obrosłego sadłem. Pękate brzuszysko wisiało nad zasznurowanymi, skórzanymi nogawicami. Brudna koszula była rozpięta na pępku, bowiem zabrakło materii, żeby przykryć tyle cielska. Twarz mężczyzny – częściowo zasłonięta trzydniowym zarostem – była niezdrowo zaczerwieniona i pokryta plamami, a włosy tłuste i rozczochrane. Jego ubranie, choć bogate i dobrze uszyte, było brudne i silnie cuchnęło wymiocinami oraz surowym alkoholem, znanym pod nazwą gorzałki krasnoludzkiej.

Tanis opuścił miecz, czując się jak głupiec. To jakiś biedny, nieszczęsny pijanica, prawdopodobnie miejski osiłek, który swymi wielkimi rozmiarami zastraszał mieszkańców. Z politowaniem i odrazą spojrzał na mężczyznę, myśląc jednocześnie, że wydaje mu się osobliwie znajomy. Prawdopodobnie to ktoś, kogo znał, kiedy mieszkał w Solące dawno temu, jakiś żalosny moczymorda, który popadł w nędzę.

Półelf zamierzał już się odwrócić, gdy zauważył – ku swemu zdumieniu – że wszyscy w gospodzie przyglądali mu się wyczekująco.

Co oni chcą, żebym zrobił? pomyślał Tanis w nagłym, szybkim gniewie. Zaatakować go? Dopiero bym wyszedł na bohatera – pobić miejscowego pijaka!

Wtedy usłyszał szlochanie u swego boku. – Mówiłam ci, żebyś odjechał – jęknęła Tika, osuwając się na krzesło i zakrywszy twarz dłońmi, zaczęła rzewnie płakać.

Coraz bardziej zdumiony Tanis zerknął na Riverwinda, lecz mieszkaniec Równin podobnie, jak jego przyjaciel, nie miał o niczym pojęcia. Tymczasem pijak wtoczył się do sali i rozejrzał wokół.

– Co to takiego? Pszyjście? – burknął. – I nikt nie za-za-prosił swego starego... nie za-prosił mnie?

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy ignorowali niechlujnego mężczyznę, nie spuszczać z oczu Tanisa, a teraz nawet opój zwrócił uwagę na półelfa. Usiłując skupić na nim mętny wzrok, pijak

przyglądał się Tanisowi z pewnego rodzaju zdumionym gniewem, jakby obwinił go za wszystkie swe kłopoty. Nagle pijanica szerzej rozwarł oczy, a na jego twarzy wykwitł głupkowaty uśmiech. Chwiejąc się, ruszył przed siebie z wyciągniętymi rękoma.

– Tanisz... Mój przy...

– W imię bogów – szepnął Tanis, rozpoznając go wreszcie.

Mężczyzna brnął przed siebie, i zataczając się, wpadł na krzesło. Przez chwilę stał, chwiejąc się niepewnie niczym drzewo, które ścięto i które za chwilę upadnie. Oczy mu uciekły w głąb głowy, a ludzie odskoczyli mu z drogi. Potem – z głuchym łomotem, od którego zatrzęsała się gospoda – Caramon Majere, bohater Lancy, padł nieprzytomny u stóp Tanisa.

### ***Rozdział III***

W imię bogów – powtórzył Tanis ze smutkiem, nachylając się nad nieprzytomnym wojownikiem. – Caramon...

– Tanisie! – Głos Riverwinda sprawił, że półelf szybko podniósł głowę. Mieszkaniec Równin trzymał Tikę w objęciach i wraz z Dezrą usiłovali pocieszyć zrozpaczoną młodą kobietę. Jednak ludzie pchali się blisko, starając się wypytać Riverwinda lub poprosić Crysanię o błogosławieństwo. Inni domagali się więcej piwa albo po prostu stali, gapiąc się.

Tanis podniósł się szybko. – Koniec na dzisiaj, zamykamy gospodę – krzyknął.

Z tłumu dobiegły obraźliwe gwizdy, z wyjątkiem nielicznych oklasków z tyłu, gdzie kilku klientów sądziło, że Tanis stawia wszystkim kolejkę.

– Mówię poważnie – rzekł zdecydowanie Tanis, głosem, który niósł się ponad hałasem. Tłum ucichł. – Dziękuję wszystkim za powitanie. Nie potrafię wyrazić, co to dla mnie znaczy wrócić do ojczyzny. Jednakże ja i moi przy – jaciele chcielibyśmy zostać teraz sami. Proszę, już jest późno...

Rozległy się współczujące pomruki i nieco serdecznych oklasków. Tylko nieliczni krzywili się i mamrotali pod nosem uwagi, że im większy rycerz, tym bardziej mu własna zbroja świeci w oczy (stare powiedzenie z czasów, gdy rycerzy solamnijskich miano w pogardzie). Riverwind zostawił Tikę pod opieką Dezry i wysunął się naprzód, by wypchnąć maruderów, którzy sądzili, że Tanis miał na myśli wszystkich, z wyjątkiem ich. Półelf stał na straży błogo chrapiącego na podłodze Caramona i nie pozwalał, by ludzie nadepnęli na wielkiego mężczyznę. Wymienił spojrzenia z mijającym go Riverwindem, lecz żaden nie miał dość czasu, by porozmawiać, póki gospoda nie opustoszała.

Otik Sandeth stał przy drzwiach, dziękując wszystkim za przybycie i zapewniając, że gospoda będzie otwarta jutro wieczorem. Kiedy wszyscy wyszli, zakłopotany Tanis podszedł do byłego właściciela, czując się niezręcznie. Otik jednak nie pozwolił mu dojść do słowa.

Chwyciwszy Tanisa za rękę, stary mężczyzna szepnął: – Cieszę się, że wróciłeś. Zamkniesz, kiedy skończycie.

– Spojrzał na Tikę, a potem gestem spiskowca wezwał półelfa, by ten nachylił się ku niemu. – Tanisie – szepnął – jeśli zobaczysz, że Tika podbiera trochę pieniędzy z kasetki, nie zwracaj na to uwagi. Kiedyś’je zwróci. Ja po prostu udaję, że tego nie zauważam. – Przeniósł spojrzenie na Caramona i pokiwał głową ze smutkiem. – Wiem, że będziesz umiał mu pomóc – szepnął, po czym pokiwał głową i pokuśtykał w noc, wspierając się na lasce.

Pomóc! pomyślał szaleńczo Tanis. Przybyliśmy szukać u niego pomocy. Caramon chrapnął wyjątkowo głośno, na wpeł się przebudził, beknął wielką chmurą oparów krasnoludzkiej

gorzałki, po czym znów zapadł w sen. Tanis spojrział posępnie na Riverwinda, a potem z rozpaczą pokręcił głową.

Crysanía patrzyła na Caramona z litością i odrazą. – Biedny człowiek – rzekła cicho. Medalion Paladine’a zabłyszczał w blasku świateł. – Może mogłabym...

– Nie możesz nic dla niego zrobić – krzyknęła z goryczą Tika. – On nie potrzebuje uzdrawiania. Jest pijany, nie widzisz tego? Pijany w trupa!

Crysanía spojrzała ze zdumieniem na Tikę, lecz zanim kapłanka zdołała coś powiedzieć, Tanis wrócił spiesźnie do Caramona. – Pomóż mi, Riverwindzie – powiedział, nachylając się. – Zabierzmy go do domu...

– Och, zostawcie go! – warknęła Tika, wycierając oczy rogiem fartucha. – Nie pierwszą noc spędza na podłodze karczmy. Jeszcze jedna nie zrobi mu różnicy. – Odwróciła się do Tanisa. – Chciałam ci powiedzieć. Naprawdę chciałam. Myślałam jednak... Wciąż łudziłam się nadzieją... Taki był podniecony, gdy przyszedł twój list. Był... cóż, od dawna nie był tak podobny do siebie. Myślałam, że to pomoże, że się zmieni. Więc pozwoliłam ci przyjechać. – Zwiesiła głowę. – Tak mi przykro...

Tanis stał niezdecydowany przy ogromnym wojowniku. – Nie rozumiem. Od jak dawna...

– Dlatego nie mogliśmy przyjechać na twój ślub, Tanisie – powiedziała Tika, mnąc w rękę fartuch. – Ja tak bardzo chciałam! Ale... – Znów zaczęła płakać. Dezra wzięła ją w ramiona.

– Usiądź, Tiko – szepnęła, sadzając ją na ławie w drewnianej łoży o wysokich ściankach.

Tika osunęła się na ławę, gdy nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa, po czym zakryła głowę rękoma.

– Siądźmy wszyscy – rzekł zdecydowanie Tanis – i oprzytomnijmy. Ty tam. – Pótełf machnął ręką do krasnoluda źlebowego, który przyglądał im się spod drewnianego kontuaru. – Przynieś nam dzban piwa i kilka kubków, wino dla pani Crysanii, trochę korzennych ziemniaków...

Tanis przerwał. Zbity z tropu krasnolud gapił się na niego, wybałuszając oczy i otwierając z zaskoczenia usta.

– Lepiej ja pójdę, Tanisie – zaproponowała Dezra z uśmiechem. – Prawdopodobnie dostałbyś dzban ziemniaków, gdyby poszedł po nie Raf.

– Ja pomagać! – zaprotestował urażony Raf.

– Ty wynieś śmieci! – warknęła Dezra.

– Ja wielka pomagać... – mruzczał niepokieszony Raf, oddalając się człapiącym krokiem i kopiąc nogi od stołów, by wyładować złość.

– Wasze pokoje są w nowej części gospody – wymamrotała Tika. – Pokażę wam...

– Później je znajdziemy – oświadczył szorstko Riverwind, lecz kiedy spojrział na Tikę, w jego oczach odmalowało się łagodne współczucie. – Posiedź i porozmawiaj z Tanisem. On

musi wkrótce wyjechać.

– Do licha! Mój koń! – powiedział Tanis, zrywając się nagle. – Kazałem chłopcu przyprowadzić go...

– Pójdę i każę im poczekać – zaproponował Riverwind.

– Nie, ja pójdę. Zajmie mi to tylko chwilę...

– Mój przyjacielu – rzekł cicho Riverwind, mijając go. – Ja muszę wyjść na zewnątrz! Wróć, żeby pomóc przy... – Skinął głową w stronę chrapiącego Caramona.

Tanis z ulgą usiadł ponownie. Mieszkaniec Równin wyszedł. Crysania usiadła obok Tanisa po przeciwnej stronie stołu, spoglądając z zakłopotaniem na Caramona. Tanis rozmawiał wciąż z Tiką o drobnych, mało znaczących sprawach, aż była w stanie wyprostować się, a nawet odrobinę uśmiechnąć. Gdy Dezra wróciła z napojami, Tika sprawiała wrażenie bardziej odprężonej, choć jej twarz wciąż była stroskana i pełna napięcia. Tanis zauważył, że Crysania prawie nie tknęła wina. Po prostu siedziała, co jakiś czas zerkając na Caramona, a pomiędzy jej brwiami znów pojawiła się ciemna bruzda. Tanis wiedział, że powinien wyjaśnić jej, co się tu dzieje, ale chciał, żeby wprawdzie jemu ktoś to wyjaśnił.

– Kiedy to się... – zaczął niepewnie.

– Zaczęło? – Tika westchnęła. – Jakies sześć miesięcy po tym, jak tu wróciliśmy. – Jej spojrzenie padło na Caramona. – Był taki szczęśliwy – na początku. Miasto było w okropnym stanie, Tanisie. Zima była straszna dla niedobitków. Większość przymierała głodem, bowiem smokowcy i gobliny żołnierze zabrali wszystko. Ci, którym zniszczono domy, mieszkali, gdzie się dało – w grotach, byle jakich lepiankach. Do czasu, gdy wróciliśmy, smokowcy opuścili miasto i ludzie zaczęli się odbudowywać. Powitali Caramona jak bohatera – bardowie dotarli tu wcześniej z pieśnią o klęsce Królowej.

Oczy Tiki zabłyszczały od łez i wspomnień.

– Taki był szczęśliwy, Tanisie, przez jakiś czas. Ludzie go potrzebowali. Pracował dniem i nocą – wyrąbywał drzewa, ciągnął drewno ze wzgórz, stawiał domy. Zabrał się nawet do kowalstwa, skoro Therosa nie było. Och, nie szło mu najlepiej – Tika uśmiechnęła się smutno. – Ale był szczęśliwy, a nikomu to nie wadziło. Robił gwoździe, podkowy i koła do wozów. Ten pierwszy rok był dobry dla nas – naprawdę dobry. Wzięliśmy ślub i Caramon zdawał się zapomnieć o... o...

Tika przetknęła ślinę. Tanis poklepał ją po dłoni, a kiedy Tika posiliła się nieco i wypła w milczeniu trochę wina, mogła ciągnąć opowieść.

– Jednak rok temu, zeszedł wiosny, wszystko zaczęło się zmieniać. Coś się stało z Caramonem. Nie jestem pewna, co. To miało coś wspólnego z... – Przerwała i potrząsnęła głową. – Miasteczko bogaciło się. Kowal, który przebywał w niewoli w Pax Tharkas, zamieszkał u nas i przejął kuźnię. Och, ludzie wciąż potrzebowali domów, ale nie było już takiego

pośpiechu. Ja zajęłam się prowadzeniem gospody. – Tika wzruszyła ramionami. – Sądzę, że Caramon po prostu nie miał co robić z wolnym czasem.

– Nikt go nie potrzebował – stwierdził ponuro Tanis.

– Nawet ja... – rzekła Tika, przełykając łzy i wycierając oczy. – Może to moja wina...

– Nie – powiedział Tanis, błędzący myślami i wspomnieniami daleko stąd. – To nie twoja wina, Tiko. Myślę, że wiem, czyja to wina.

– W każdym razie – Tika westchnęła głęboko próbowałam pomóc, ale taka byłam zajęta. Podsuwałam mu pomysły, czym mógłby się zająć i on próbował – naprawdę próbował. Pomagał miejscowemu konstablowi wytropić smokowców-odszczepieńców. Przez jakiś czas był ochroniarzem i oferował swe usługi ludziom podróżującym do Haven. Jednakże nikt nie zatrudnił go drugi raz.

– Zniżyła głos. – A potem, pewnego dnia zeszłej zimy, grupa, którą miał ochraniać, wróciła, ciągnąc go na saniach. Był pijany jak bela. Skończyło się na tym, że to oni musieli ochraniać jego! Od tamtego czasu tylko albo śpi i je, albo przesiaduje z kilkoma byłymi najemnikami w karczmie „Pod Korytem”, tej obleśnej spelunce na drugim końcu miasta.

Żałując, że nie ma tu Laurany, by porozmawiać, Tanis zasugerował cicho: – Może... hm... dziecko?

– Zeszłego lata byłam w ciąży – powiedziała głuchym tonem Tika, spuszczać głowę na ramię. – Ale nie na długo. Poroniłam. Caramon nawet o tym nie wiedział. Od tamtej pory – wbiła wzrok w drewniany stół – cóż, nawet nie śpimy w tym samym pokoju.

Czerwieniąc się z zażenowania, Tanis nie mógł zrobić nic innego, jak poklepać ją po ręce i szybko zmienić temat.

– Przed chwilą powiedziałaś, że to miało coś wspólnego z... z czym?

Tika zadrżała, po czym upiła łyk wina. – Wtedy zaczęły się pogłoski, Tanisie – powiedziała niskim, przyciszonym głosem. – Mroczne pogłoski. Możesz się domyśleć, na jaki temat!

Tanis pokiwał głową.

– Caramon do niego napisał, Tanisie. Widziałam ten list. Aż żalność brała na jego widok. Nie zawierał ani słowa wyrzutów czy obwiniania. Pełen był miłości. Caramon błę – gał swego brata, żeby wrócił i zamieszkał z nami. Prosił, żeby odwrócił się od ciemności.

– I co się stało? – spytał Tanis, choć domyślił się odpowiedzi.

– List wrócił – szepnęła Tika. – Nie otworzony. Pieczęć nawet nie była złamana. A na zewnątrz był napis: „Nie mam brata. Nie znam nikogo imieniem Caramon. Podpisano Raistlin!” – Raistlin! – Crysania spojrzała na Tikę jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. Spojrzenie jej zaskoczonych i szeroko rozwartych oczu padło wpierw na rudowłosą kobietę, potem na Tanisa, a w końcu na olbrzymiego wojownika na podłodze, który beknął w pijanym śnie. – Caramon... To jest Caramon Majere? To jest jego brat? Ten bliźniak, o którym mi opowiadałaś? Człowiek,

który miał mnie zaprowadzić...

– Przykro mi, wielebna córko – rzekł Tanis, czerwieniąc się. – Nie miałem pojęcia, że on...

– Ale Raistlin jest taki... inteligentny, potężny. Sądziłam, że jego bliźniaczy brat musi być taki sam. Raistlin jest wrażliwy, panuje nad sobą i tymi, którzy mu służą. On jest perfekcjonistą, podczas gdy ten – Crysania wskazała ręką – ten żalosny nędznik, o ile zasługuje na naszą litość i nasze modły, jest...

– Twój wrażliwy i inteligentny perfekcjonista przyłożył się do uczynienia z tego mężczyzny żalosnego nędznika, jakiego widzisz przed sobą, wielebna córko – rzekł zgryźliwie Tanis, panując nad swym gniewem.

– Być może było odwrotnie – powiedziała Crysania, mierząc Tanisa chłodnym spojrzeniem.

– Może to brak miłości sprawił, że Raistlin odwrócił się od światła, by iść przez mrok.

Tanis podniósł głowę i spojrzał na Crysanię z dziwnym wyrazem oczu. – Brak miłości? – powtórzył łagodnie.

Caramon jęknął przez sen i zaczął rzucać się na podłozę. Tika szybko wstała.

– Lepiej zabierzmy go do domu. – Podniosła wzrok i dostrzegła wysoką postać Riverwinda, który stanął w drzwiach, po czym zwróciła się do Tanisa. – Zobaczymy się rano, prawda? Czy nie mógłbyś zostać... choć na noc?

Tanis spojrzał w jej pełne błagania oczy i miał ochotę odgryźć sobie język, nim odpowiedział. Jednak nie mógł nic na to poradzić. – Bardzo chciałbym, ale muszę jechać dalej. Stąd jest jeszcze daleko do Qualinesti, a nie ośmieliłbym się spóźnić. Los dwóch królestw być może zależy od mojego tam pobytu.

– Rozumiem – powiedziała cicho Tika. – To nie twój problem. Poradzę sobie.

Tanis gotów był wyrwać sobie brodę z frustracji. Bardzo chciał zostać i pomóc, jeśli w ogóle mógł pomóc. Przynajmniej mógłby porozmawiać z Caramonem, spróbować wbić mu trochę rozumu do tego zakutego łba. Jednakże Porthios potraktuje nieobecność Tanisa na pogrzebie jako osobistą urazę, co wpłynie nie tylko na jego osobiste stosunki z bratem Laurany, lecz wywrze wpływ na pakt przymierza, do którego pertraktacje są właśnie prowadzone między Qualinesti a Solamnią.

A potem, kiedy Tanis spojrzał na Crysanię, uświadomił sobie, że ma jeszcze jeden problem. Jęknął w duchu. Nie mógł zabrać jej do Qualinostu. Porthios nie znośli ludzkich kapłanów.

– Posłuchaj – rzekł Tanis, któremu nagle zaświtał pomysł. – Przyjadę po pogrzebie. – Tice zabłysły oczy. Zwrócił się do Crysanii. – Zostaniesz tutaj, wielebna córko. Będziesz bezpieczna w tym miasteczku, w tej gospodzie. Potem będę mógł odprowadzić cię do Palanthas, ponieważ twa podróż zakończyła się niepowodzeniem...

– Moja podróż nie zakończyła się niepowodzeniem stwierdziła stanowczo Crysania. – Skończę tak, jak zaczęłam. Zamierzam udać się do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth, by tam



naradzić się z Par-Salianem z Białych Szat.

Tanis pokręcił głową. – Ja nie mogę tam ciebie zapro – wadzić – powiedział. – A Caramon, oczywiście, jest do tego niezdolny. W związku z tym sugeruję...

– Tak – przerwała pewna siebie Crysania. – Caramon jest wyraźnie niezdolny. W związku z tym zaczekam na twego przyjaciela kendera, który ma się ze mną tu spotkać wraz z osobą, po którą został wysłany, po czym zamierzam kontynuować podróż samodzielnie.

– Absolutnie zabraniam! – krzyknął Tanis. Riverwind uniósł brwi, przypominając Tanisowi, do kogo się zwraca. Półelf z wysiłkiem opanował się. – Pani, nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa! Poza tym, te istoty mroku, które nas śledziły – wydaje mi się, że wszyscy wiemy, kto je wysłał – słyszałem też opowieści Caramona o lesie Wayreth. Jest jeszcze mroczniejszy! Wróćmy do Palanthas, znajdę rycerzy...

Po raz pierwszy Tanis spostrzegł, jak rumieniec wypływa na marmurowe policzki Crysanii. Jej ciemne brwi zeszyły się i wyglądała na zamyśloną. Potem twarz jej się wypogodziła. Spojrzawszy na Tanisa, uśmiechnęła się.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa – powiedziała. – Jestem w rękach Paladine'a. Istoty mroku może są naślane przez Raistlina, lecz nie mają mocy, by mnie skrzywdzić! Tylko wzmocniły me przekonanie. – Widząc, jak twarz Tanisa spochmurniała jeszcze bardziej, westchnęła. Tyle mogę obiecać. Pomyślę o tym. Być może masz rację. Być może podróż jest zbyt niebezpieczna...

– I szkoda na nią czasu! – mruknął Tanis. Smutek i znużenie skłoniły go do powiedzenia wprost tego, co od dawna myślał o obłąkańczym pomysle tej kobiety. – Gdyby Par-Salian mógł unicestwić Raistlina, zrobiłby to dawno temu...

– Unicestwić? – Crysania posłała Tanisowi zaskoczone spojrzenie zimnych, szarych oczu. – Ja nie pragnę jego unicestwienia.

Tanis spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Pragnę go uratować – ciągnęła Crysania. – Udam się teraz do moich komnat, jeśli ktoś będzie tak uprzejmy i wskaże mi drogę.

Dezra pośpieszyła naprzód. Crysania spokojnie pożegnała się z wszystkimi i poszła za Dezrą. Tanis odprowadził ją wzrokiem, czując, że zupełnie zabrakło mu słów. Usłyszał, że Riverwind wymamrotał coś w que-shu. Potem Caramon znów jęknął. Riverwind trącił Tanisa łokciem. Razem nachylili się nad śpiącym Caramonem i z wysiłkiem postawili olbrzymiego mężczyznę na nogi.

– W imię Otchłani, ależ on jest ciężki! – sapnął Tanis, zataczając się pod bezwładnym ciężarem, gdy zarzucił sobie na barki wiotkie ręce Caramona. Przetrawiony zapach krasnoludzkiej wódki przyprawiał go o mdłości.

– Jak on może pić to paskudztwo? – powiedział Tanis do Riverwinda, gdy we dwóch ciągnęli

pijanego ku drzwiom. Zatrokana Tika szła za nimi.

– Widziałem kiedyś wojownika, który padł ofiarą tego przekleństwa – mruknął Riverwind. – Zabił się, skacząc z urwiska, ścigany przez stworzenia, które istniały tylko w jego wyobraźni.

– Powiniennem zostać... – szepnął Tanis.

– Nie możesz toczyć boju za inną osobę, mój przyjacielu – rzekł zdecydowanie Riverwind. – Szczególnie jeśli to jest bój męża z jego własną duszą.

Było już po północy, gdy Tanis i Riverwind docięgnęli Caramona bezpiecznie do domu i rzucili bezceremonialnie na łóżko. Tanis nigdy w życiu nie był tak zmęczony. Barki go bolały od dźwigania bezwładnego ciężaru gigantycznego wojownika. Czuł się znużony i wycieńczony, a jego wspomnienia z przeszłości – niegdyś miłe – przypominały teraz stare rany, otwarte i krwawiące. A przed nim wciąż jeszcze godziny jazdy, nim wstanie świt.

– Chciałbym móc zostać – znów powiedział do Tiki, kiedy stanęli z Riverwindem przed jej drzwiami, spoglądając z góry na spokojne, uśpione miasteczko Solące. – Czuję się odpowiedzialny...

– Nie, Tanisie – rzekła cicho Tika. – Riverwind ma rację. Nie możesz walczyć w tej wojnie. Masz teraz własne życie. Poza tym, nic nie możesz poradzić. Mógłbyś tylko pogorszyć sytuację.

– Może i tak – Tanis zmarszczył brwi. – W każdym razie wrócę mniej więcej za tydzień. Porozmawiam wtedy z Caramonem.

– To byłoby miłe. – Tika westchnęła, a po chwili zmieniła temat. – A przy okazji, co miała na myśli pani Crysania, mówiąc, że przybędzie tu kender? Tasslehoff?

– Tak – powiedział Tanis, drapiąc się po brodzie. To ma coś wspólnego z Raistlinem, choć nie jestem pewien, co. Natknęliśmy się na Tasa w Palanthas. Zaczął jedną z tych swoich historyjek – ostrzegałem ją, że tylko mniej więcej połowa z tego, co mówi, jest prawdą, a nawet ta połowa to bezsens, lecz najwyraźniej Tas przekonał ją, by wysłała go na poszukiwanie jakiejś osoby, która jej zdaniem ma jej pomóc uratować Raistlina!

– Może ta kobieta jest świętą kapłanką Paladine'a stwierdził szorstko Riverwind – i niech bogowie mi wybaczą, jeśli mówię coś złego o jednej z ich wybranych, ale sądzę, że ona jest niespełna rozumu. – Oświadczywszy to, zarzucił sobie łuk na ramię i przygotował się do odejścia.

Tanis pokręcił głową. Objąwszy ramieniem Tikę, ucałował ją. – Obawiam się, że Riverwind ma rację – powiedział do niej cicho. – Miej oko na panią Crysanię podczas jej pobytu tutaj. Będę musiał porozmawiać o niej z Elistanem, kiedy wrócimy. Zastanawiam się, czy on coś więcej wiedział o tym jej obłąkańczym planie. Aha, a jeśli Tasslehoff rzeczywiście się pojawi, przytrzymaj go, dobrze? Nie chciałbym, żeby zjawił się w Qualinosti! I bez tego będę miał dość kłopotów z Porthiosem i elfami!

– Jasne, Tanisie – powiedziała cicho Tika. Przez chwilę tuliła się do niego, czerpiąc otuchę

z jego siły i współczucia, jakie wyczuwała zarówno w jego dotyku, jak i głosie.

Tanis zawahał się, niechętnie wypuszczając ją z objęć.

Zajrzawszy do wnętrza domu, usłyszał, jak Caramon krzyczy przez sen.

– Tiko... – zaczął.

Jednak ona odsunęła się od niego. – Idź już, Tanisie – rzekła stanowczo. – Masz przed sobą długą drogę.

– Tiko. Chciałbym... – Oboje jednak wiedzieli, że nic, co mógłby powiedzieć, nie pomogłoby.

Odwróciwszy się pomału, powłókł się za Riverwindem. Odprowadzając ich wzrokiem, Tika uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo mądry, Tanisie Półelfie. Jednak tym razem mylisz się – powiedziała do siebie, stojąc samotnie na ganku. – Pani Crysania nie jest obłąkana. Ona jest zakochana.

## *Rozdział IV*

Armia krasnoludów maszerowała po sypialni, łomocząc podkutymi stałą butami: ŁUP, ŁUP, ŁUP! Każdy krasnolud miał w ręku młotek i przechodząc obok łóżka Caramona, uderzał go nim w głowę. Caramon jęczał i słabo opędział się rękoma. – Idźcie precz! – mamrotał. – Idźcie precz!

Jednakże krasnoludowie odpowiedzieli na to podniesieniem jego łóżka na swe silne barki i obracaniem go w szybkim tempie, nadal maszerując i stukając butami w drewnianą podłogę: ŁUP, ŁUP, ŁUP!

Caramon poczuł, że żołądek mu się wywraca. Po kilku rozpaczliwych próbach zdołał wyskoczyć z obracającego się łóżka i niezgrabnie dobiec do nocnika w kącie. Kiedy zwymiotował, poczuł się lepiej. Przejaśniło mu się w głowie. Krasnoludowie znikli – choć podejrzewał, że schowali się pod łóżkiem i czekają, aż znowu się położy.

Zamiast kłaść się, otworzył szufladę w malutkim stoliku nocnym, gdzie trzymał niewielką flaszkę krasnoludzkiej gorzałki. Znikła! Caramon zrobił paskudną minę. A więc Tika znowu zaczyna te swoje gierki! Z zarozumiałym uśmiechem na ustach Caramon zataczając się, podszedł do dużej skrzyni na ubranie stojącej pod przeciwległą ścianą pokoju. Podniósł wieko i zaczął grzebać w koszulach i spodniach, za ciasnych już na jego spalone cielsko. Jest – schowana w starym bucie.

Caramon czule wyjął butelczynę, pociągnął łyk ognistego napoju, czknał i głęboko westchnął. No proszę, łomotanie w głowie ustało. Rozejrzał się po pokoju. Niech krasnoludowie siedzą sobie pod łóżkiem. Nic go to nie obchodzi.

W drugim pokoju słychać było brzęk naczyń. Tika! Caramon pośpiesznie wypił jeszcze łyk, po czym zakorkował flaszkę i schował ją ponownie do buta. Zamknął wieko bardzo, bardzo cicho, wyprostował się, przecesał zmierzwiłone włosy dłonią i chciał wejść do dużego pokoju. Wtedy zauważył swe odbicie w lustrze.

– Zmienię koszulę – wymamrotał bełkotliwie.

Po dłuższym szarpaniu ściągnął brudną koszulę, którą miał na sobie, i rzucił ją w kąt. Może powinien się umyć? Jeszcze czego! Kim jest – jakimś mięczakiem? No to co, że go czuć – to woń mężczyzny. Wielu kobietom się podobała, uważały ten zapach za pociągający, uważały jego za pociągającego mężczyznę! Nigdy nie skarżyły się ani nie zrzędziły jak Tika. Dlaczego ona nie może przyjąć go takiego, jakim jest? Naciągając świeżą koszulę, którą znalazł w nogach łóżka, Caramon zaczął się uzalać nad sobą. Nikt go nie rozumie... życie jest ciężkie... właśnie przechodzi trudny okres... ale to się zmieni... poczekajcie tylko... któregoś dnia – może jutro...

Wychodząc z sypialni i starając się wyglądać nonszalancko, Caramon szedł niepewnym krokiem przez zadbane i czysty salon, po czym padł na krzesło przy stole. Krzesło zaskrzyphiało

pod jego ogromnym ciężarem. Tika odwróciła się.

Zauważywszy jej spojrzenie, Caramon westchnął. Tika była wściekła – znowu. Spróbował do niej wyszczerzyć zęby w uśmiechu, lecz uśmiech był blady i nic nie pomógł. Potrząsając gniewnie rudymi kędziorami, Tika odwróciła się i znikła w drzwiach kuchni. Caramon skrzywił się, słysząc huk ciężkich, żelaznych garnków. Dźwięk sprowadził ponownie krasnoludów z ich młotkami. Po kilku chwilach Tika wróciła z wielkim talerzem skwierczącego bekonu, smażonych racuchów kukurydzianych i jajek. Postawiła talerz przed nim z takim rozmachem, że racuchy podskoczyły na siedem centymetrów.

Caramon znów się skrzywił. Zastanowił się krótko nad jedzeniem – biorąc pod uwagę mdłości i niepewny stan żołądka – po czym zrzędlawie przypomniał żołądkowi, kto tu jest panem. Umierał z głodu, nie pamiętał, kiedy jadł ostatni raz. Obrażona Tika usiadła obok niego. Kiedy podniósł wzrok, dostrzegł, że jej zielone oczy płoną. Piegi wyraźnie odcinały się na tle jej skóry – pewna oznaka wściekłości.

– W porządku – burknął Caramon, wpychając kopiastrą porcję jedzenia do ust. – Co takiego teraz zrobiłem?

– Nie pamiętasz. – To było stwierdzenie. Caramon pośpiesznie przeczesał mętne obszary swej pamięci. Coś przypominał sobie jak przez mgłę. Gdzieś miał być zeszłego wieczoru. Cały dzień siedział w domu, przygotowując się. Obiecał Tice... ale zachciało mu się pić. Butelka była pusta. Poszedł tylko „Pod Koryto” na jednego głębszego, a potem do... gdzie... dlaczego...

– Miałem pewne interesy do załatwienia – rzekł, unikając spojrzenia Tiki.

– Tak, widzieliśmy te twoje interesy – warknęła gorzko Tika. – Te interesy, przez które padłeś nieprzytomny prosto pod nogi Tanisowi!

– Tanis! – Caramon upuścił widelec. – Tanis... zeszłej nocy... – Z żalnym jękiem wielki mężczyzna spuścił obolałą głowę i zasłonił ją rękoma.

– Ładne zrobiłeś z siebie widowisko – ciągnęła Tika zduszonym głosem. – Przed całym miastem, plus połową elfów z Krynnu. Nie wspominając o naszych starych przyjaciółach. – Płakała teraz cicho. – Naszych najlepszych przyjaciółach...

Caramon znów jęknął. Teraz i on szlochał. – Dlaczego? Dlaczego? – zasmarkał się. – Akurat Tanis... – Jego samoobwinianie zostało przerwane przez stukanie do drzwi frontowych.

– A teraz co? – mruknęła Tika, wstając i ocierając łzy rękawem bluzki. – Może to jednak Tanis. – Caramon uniósł głowę. – Postaraj się przynajmniej wyglądać jak mężczyzna, którym kiedyś byłeś – powiedziała pod nosem, śpiesząc do drzwi.

Odciągnąwszy zasuwę, otworzyła je. – Otik? – spytała zdumiona. – Co ty tu robisz – dla kogo to jedzenie?

Pękaty stary karczmarz stał w drzwiach z parującym talerzem w ręku. Zajrzał Tice przez ramię.

– Nie ma jej tu? – spytał zaskoczony.

– Nie ma tu kogo? – Tika była najwyraźniej zbита z tropu. – Tu nikogo nie ma.

– Ojej! – Twarz Otika spoważniała. Z roztargnieniem zaczął zjadać danie prosto z talerza. –

W takim razie chłopiec stajenny miał chyba rację. Wyjechała. A ja przyrządziłem takie pyszne śniadanie!

– Kto wyjechał? – spytała doprowadzona do ostateczności Tika, zastanawiając się, czy Otik nie ma na myśli Dezry.

– Pani Crysania. Nie ma jej w pokoju. Nie ma też jej rzeczy. A chłopiec stajenny powiedział, że dziś rano kazała mu osiodłać konia i odjechała. Myślałem, że...

– Pani Crysania! – jęknęła Tika. – Wyjechała zupełnie sama. Jasne, oczywiście...

– Co takiego? – spytał Otik, wciąż żując.

– Nic. – Tika wyraźnie zbladła. – Nic, Otiku. Wiesz, lepiej wracaj do gospody. Ja dzisiaj mogę się nieco spóźnić.

– Jasne, Tiko – powiedział serdecznie Otik, widząc Caramona zgarbionego za stołem. – Przyjdiesz, kiedy będziesz mogła. – Potem wyszedł, jedząc po drodze. Tika zamknęła drzwi za nim.

Widząc, że Tika wróciła i szuka mu się kazanie, Caramon niezdarnie wstał.

– Nie czuję się dziś najlepiej – oświadczył. Ciężkim krokiem poczłapał do sypialni i z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi. Tika słyszała dochodzący ze środka żałosny płacz.

Usiadła przy stole i zastanowiła się. Pani Crysania sama pojechała do lasu Wayrem. Lub raczej wyjechała w poszukiwaniu go. Według legendy, nikt go jeszcze nie znalazł. To las znajdował szukającego! Tika zadygotała, przypominając sobie opowieści Caramona. Straszny las był na mapach, ale – kiedy się je porównało – nie mogły się zgodzić co do jego umiejscowienia. A zawsze obok niego był ostrzegawczy symbol. W środku lasu stała Wieża Wielkiej Magii w Wayreth, gdzie teraz skupiała się cała moc wszystkich magów na Ansalonie. No, prawie cała...

W nagłym przypływie zdecydowania Tika wstała i otworzyła na oścież drzwi do sypialni. Kiedy weszła do środka, zastała Caramona leżącego na łóżku, szlochającego i zasmarkanego jak dziecko. Tika stanowczym krokiem podeszła do wielkiego kufra na ubrania. Kiedy otworzyła wieko i zaczęła przetrząsać stroje, znalazła butelkę, lecz po prostu rzuciła ją w kąt. Potem – na samym dnie – znalazła to, czego szukała.

Zbroję Caramona.

Wyciągnąwszy kirys za skórzany pasek, Tika wyprostowała się, odwróciła i cisnęła wypolerowany metal prosto w Caramona.

Zbroja trafiła go w ramię, odbiła się i spadła na podłogę z łoskotem.

– Auu! – wrzasnął ogromny mężczyzna, siadając. – W imię Otchlani, Tiko! Daj mi spokój...

– Pojedziesz za nią – powiedziała stanowczo Tika, wyciągając następny kawałek zbroi. –

Pojedziesz za nią, nawet gdybym miała cię stąd wywieźć na taczkach!

– Przepraszam bardzo – rzekł kender do mężczyzny stojącego na poboczu drogi na obrzeżu Solące. Mężczyzna natychmiast złapał się za sakiewkę. – Szukam domu przy – jaciela. Właściwie dwojga moich przyjaciół. Jedno z nich to kobieta, ładna, z rudymi lokami. Nazywa się Tika Waylan...

Patrząc złym wzrokiem na kendera, mężczyzna wskazał kciukiem. – O, tam.

Tas popatrzył. – Tam? – Pokazał palcem, będąc pod dużym wrażeniem. – Ten doprawdy cudowny dom na nowym drzewie vallen?

– Co? – Mężczyzna wybuchnął krótkim, ostrym śmiechem. – Jak ty to nazwałeś? Doprawdy cudowny? A to ci dopiero! – Wciąż chichocząc, odszedł, jednocześnie pośpiesznie licząc monety w mieszk.

Co za gbur! pomyślał Tas, od niechcienia chowając scyzoryk mężczyzny do jednej ze swoich sakiewek. Potem, szybko zapomniawszy o incydencie, kender udał się w stronę domu Tiki. Jego spojrzenie pieściło czule każdy szczegół pięknego domu, wtulonego bezpiecznie w konary wciąż rosnącego drzewa vallen.

– Tak się cieszę ze względu na Tikę – rzucił Tas do czegoś, co wyglądało na stertę łąchów z nogami, która szła obok niego. – I Caramona również – dodał. – Ale Tika nigdy nie miała własnego, prawdziwego domu. Jaka musi być dumna!

Zbliżywszy się do domu, Tas zobaczył, że była to jedna z lepszych siedzib w miasteczku. Zbudowano ją według odwiecznej tradycji Solące. Delikatne kształty wysokich szczytków dachu zaprojektowano tak, by zdawały się częścią samego drzewa. Każdy pokój odchodził od głównej części domu, a drewno ścian wyrzeźbiono i wypolerowano tak, żeby przypominało pień. Cała budowla wpasowana była w kształt drzewa, a pełna spokoju harmonia między dziełem człowieka i wytworem natury tworzyła miłą dla oka całość. Tas poczuł ciepło rozchodzące się po sercu, kiedy pomyślał o dwojgu swoich przyjaciółach, którzy pracowali nad tak cudownym schronieniem i zamieszkali w nim. Wtem...

– To dziwne – powiedział do siebie Tas. – Ciekawe, dlaczego nie ma dachu.

Kiedy podszedł bliżej i przyjrzał się uważniej domowi, dostrzegł, że brakowało w nim niejednej rzeczy – dachu między innymi.

Wielkie, strome szczytki w rzeczywistości tworzyły zaledwie ramę dla dachu, którego nie było. Ściany pokoi nie otaczały całkowicie budynku. Podłoga była zaledwie nagą platformą.

Stanąwszy dokładnie pod nią, Tas spojrzał w górę, zastanawiając się, co to znaczy. Widział młotki, siekiery i piły rdzewiejące pod gołym niebem. Po ich wyglądzie można było się domyślić, że nie używano ich od miesięcy. Sama budowla zdradzała oznaki długiego wystawienia na deszcz i słońce. Tas w zamyśleniu pociągnął się za kitkę. Dom zapowiadał się na najwspanialszy w całym Solące – jeśli tylko zostanie kiedykolwiek dokończony!

Wtedy Tas rozpromienił się. Jedna część domu była już gotowa. Wszystkie szyby starannie wprawiono w ramy okienne, ściany były całe, a dach chronił pokój przed żywiołami. Kiedy jednak przyjrzał się pokojowi uważniej, mina mu zrzędła. Pomimo wypłowienia nad drzwiami widać było wyraźnie starannie wykonany symbol oznaczający siedzibę czarodzieja.

– Mogłem się domyślić – powiedział Tas, potrząsając głową. Rozejrzał się dookoła. – Cóż, Tika i Caramon nie mogą tu mieszkać. Ale ten człowiek mówił... – Och.

Kiedy obszedł wielkie drzewo vallen, natknął się na mały domek, niemal niewidoczny wśród przerośniętych chwastów i ukryty w cieniu drzewa vallen. Najwyraźniej zbudowany jako tymczasowe schronienie, zaczynał przybierać wygląd siedziby aż nazbyt stałej. Jeśli budynek może wyglądać nieszczęśliwie, pomyślał sobie Tas, ten z pewnością tak wygląda. Dach zapadł się niczym ściągnięte ponuro brwi. Popękana farba łuszczyła się. Niemniej jednak w skrzynkach pod oknami rosły kwiaty, a w oknach były zasłonki z fal – bankami. Kender westchnął. Więc to jest dom Tiki, zbudowany w cieniu marzenia.

Zbliżywszy się do domku, stanął pod drzwiami, nasłuchując uważnie. W środku działy się jakieś straszne rzeczy. Słyszał łomoty, brzęk tłuczonego szkła, krzyki i głucho stuki.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli tu poczekaasz – powiedział Tas do tobołka szmat.

Tobołek westchnął i pacnął sobie wygodnie na błotnistą drogę przed domem. Tas zerknął nań niepewnie, po czym wzruszył ramionami i podszedł do drzwi. Położywszy dłoń na klamce, nacisnął ją i zrobił krok, z całym przekonaniem, że wejdzie do środka. Zamiast tego rozpląszczył sobie nos na drewnie. Drzwi były zamknięte.

– To dziwne – rzekł Tas i odsunął się o krok, rozglądając wokół. – Co ta Tika sobie myśli? Zamyka drzwi! Cóż za barbarzyństwo. I to w dodatku na zasuwę. Jestem pewien, że się mnie spodziewali... – Spojrzał ponuro na zamek. Z wnętrza nadal dochodziły wrzaski i krzyki. Wydawało mu się, że słyszy tubalny głos Caramona.

– Sądząc po odgłosach, w środku musi być ciekawie. – Tas rozejrzał się wokół i natychmiast poweselał. – Okno! Oczywiście!

Jednak kiedy Tas podbiegł do okna, stwierdził, że jest również zamknięte! – Po kim jak po kim, ale po Tice nie spodziewałbym się tego – kender smutno komentował to pod nosem. Przyjrząwszy się zamkowi, stwierdził, że jest prosty i łatwo da się otworzyć. Z zestawu narzędzi schowanych w sakwie wyjął wytrych, który jest dziedzictwem kendera. Wsunął go do zamka, z wprawą przekręcił i z satysfakcją usłyszał zgrzyt mechanizmu. Uśmiechnął się radośnie, pchnięciem otworzył okno i wczołgał się do środka. Bezszelestnie zeskoczył na podłogę. Wyrzawszy przez okno, zobaczył, że bezkształtny tobołek drzemie w rynsztoku.

Uspokojony tym widokiem, Tasslehoff przystanął na chwilę, by rozejrzeć się po domu. Jego bystre oczy wypatrzyły wszystko, dłonie wszystkiego dotknęły.

– Czyż to nie interesujące – tak brzmiał stały komentarz Tasa podczas zbliżania się do



zamkniętych drzwi, zza których dochodziły trzaski i łomoty. – Tika nie będzie miała nic przeciwko, jeśli sobie to obejrzę. Zaraz odłożę.

– Przedmiot z własnej woli wpadł do jego sakiewki. A spójrzcie na to! Oho! Tu jest pęknięcie. Jeszcze mi podziękuj za to, że jej o tym powiedziałem. – Przedmiot wślizgnął się do kolejnej sakwy. – A co tu robi ta maselniczka? Jestem pewien, że Tika trzymała ją w spizarce. Lepiej zaniosę ją na właściwe miejsce. – Maselniczka trafiła do trzeciego mieszka.

Tymczasem Tas dotarł do zamkniętych drzwi. Nacisnął klamkę (wdzięczny był Tice, że tych nie zamknęła!), i wszedł do środka.

– Cześć – rzekł wesoło. – Pamiętacie mnie? Wiedziecie co, to wygląda na fajną zabawę! Mogę się przyłączyć? Daj mi też coś do rzucania w niego, Tiko. Hej, Caramonie...

– Tas wszedł do sypialni i zbliżył się do Tiki, która stała z napierśnikiem w dłoni i przyglądała mu się z wyrazem osłupienia na twarzy. – Co ci się stało, wyglądasz okropnie, po prostu okropnie! Tiko, a po co rzucamy zbroją w Caramona? – spytał Tas, podnosząc koleczą kamizelę i odwracając się do olbrzymiego wojownika, który zabarykadował się za łóżkiem. – Czy wy robicie coś takiego regularnie? Słyszałem, że małżeństwa robią różne osobliwe rzeczy, ale to wygląda na prawdziwe dziwactwo...

– Tasslehoffie Burrfoot! – Tika odzyskała zdolność mówienia. – W imię wszystkich bogów, co ty tu robisz?

– Tanis musiał ci chyba powiedzieć, że przyjdę rzekł Tas, rzucając koleczuga w Caramona. – Hej, to niezła zabawa! Stwierdziłem, że frontowe drzwi są zamknięte. Tas posłał jej pełne urazy spojrzenie. – Prawdę mówiąc, Tiko, musiałem wejść przez okno – rzekł surowo. – Myślałem, że będziesz miała więcej szacunku dla mnie. W każdym razie, mam się tu spotkać z panią Crysanią i...

Ku zdumieniu Tasa Tika upuściła napierśnik, wybuchła płaczem i rzuciła się na podłogę. Kender obejrzał się na Caramona, który wychylał się zza łóżka niczym upiór wstający z grobu. Caramon stał, patrząc na Tikę z zagubionym i żalonym wyrazem twarzy. Potem przeszedł wśród fragmentów zbroi rozrzuconych na podłodze i przykląkł obok żony.

– Tiko – szepnął żałośnie, klepiąc ją po ramieniu. Przykro mi. Wiesz, że nie miałem na myśli tego wszystkiego, co powiedziałem. Kocham cię! Zawsze cię kochałem. Tylko... nie wiem, co ja mam zrobić!

– Wiesz, co masz zrobić! – krzyknęła Tika i odsuwając się od niego, szybko wstała. – Właśnie ci powiedziałam! Pani Crysania jest w niebezpieczeństwie! Musisz pojechać za nią!

– Kim jest ta pani Crysania? – odrzyknął Caramon. – Dlaczego miałoby mnie cokolwiek obchodzić to, czy jest w niebezpieczeństwie, czy nie?

– Posłuchaj mnie choć raz w życiu – syczała Tika przez zaciśnięte zęby, a gniew wysuszył jej łyzy. – Pani Crysania jest potężną kapłanką Paladine'a, jedną z najpotężniejszych na świecie obok

Elistana. Została ostrzeżona we śnie, że zło Raistlina może zniszczyć świat. Jedzie do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth porozmawiać z Par-Salianem, żeby...

– Żeby pomógł jej zniszczyć go, nieprawdaż? warknął Caramon.

– A jeśli nawet? – wypaliła Tika. – Czy on zasługuje na to, żeby żyć? Zabiłby ciebie bez chwili zastanowienia!

Caramonowi oczy zabłyśły groźnie, a twarz zaczerwieniła się. Tas przełknął ślinę, widząc, jak pięści ogromnego mężczyzny zaciskają się, lecz Tika podeszła i stanęła tuż przed nim. Choć jej głowa sięgała mu zaledwie do podbródka, Tasowi wydało się, że wielki mężczyzna skulił się przed jej gniewem.

– Jednak nie, Caramonie – rzekła ponuro Tika ona nie chce go zniszczyć. Jest tak samo głupia jak ty. Ona kocha twego brata i – niech bogowie jej pomogą. Chce go uratować, zawrócić ze ścieżki zła.

Caramon spoglądał na Tikę ze zdumieniem. Twarz mu złagodniała.

– Naprawdę? – spytał.

– Tak, Caramonie – powiedziała Tika znużonym głosem. – Dlatego przybyła tu, żeby się z tobą zobaczyć. Sądziła, że możesz jej pomóc. A potem, kiedy zobaczyła cię zeszłego wieczoru...

Caramon spuścił głowę. Oczy zaszyły mu łzami. – Kobieta, obca, chce pomóc Raistowi. I naraża swe życie, by to uczynić. – Znów zaczął sniarkać.

Tika spojrzała na niego z irytacją. – Och, na miłość... Jedź za nią, Caramonie! – krzyknęła, tupiąc nogą w podłogę. – Ona sama nigdy nie dotrze do Wieży. Wiesz o tym! Przebyłeś las Wayreth.

– Tak – powiedział Caramon, pociągając nosem. Pojechałem z Raistem. Zabrałem go tam, żeby mógł znaleźć Wieżę i przejść próbę. Tę przeklętą próbę! Strzegłem go. Potrzebował mnie... wtedy.

– A Crysania potrzebuje ciebie teraz! – rzekła ponuro Tika. Caramon wciąż stał niezdecydowany. Tas dostrzegł, jak twarz Tiki przybiera twardy, stanowczy wyraz. – Nie masz wiele czasu do stracenia, jeśli chcesz ją dogonić. Pamiętasz drogę?

– Ja pamiętam! – wrzasnęła podekscytowany Tas. To znaczy, mam mapę. – Tika i Caramon odwrócili się i spojrzeli ze zdumieniem na kendera, oboje bowiem zapomnieli o jego istnieniu.

– No, nie wiem – stwierdził Caramon, mierząc Tasa ponurym wzrokiem. – Pamiętam te twoje mapy. Jedna z nich zaprowadziła nas do morskiego portu, który w ogóle nie był nad morzem!

– To nie była moja wina! – krzyknął urażony Tas. Nawet Tanis tak powiedział. Moja mapa została narysowana, zanim Kataklizm pochłonął morze. Ale ty musisz mnie za – brać ze sobą, Caramonie! Mam spotkać się z panią Crysanią. Posłała mnie z misją, prawdziwą misją. I właśnie

ją ukończyłem. Znalazłem – nagle poruszenie przyciągnęło uwagę Tasa. – O, już idzie.

Pomachał ręką i Tika z Caramonem odwrócili się, by zobaczyć, jak na progu ich sypialni stoi bezkształtna sterta ubrań, spośród których połyskuje para czarnych, podejrzliwych ślepeków.

– Ja głodna – oskarżycielskim tonem powiedział tobolek do Tasa. – Kiedy my jeść?

– Udałem się z misją odnalezienia Bupu – stwierdził dumnie Tasslehoff Burrfoot.

– Ale czego, w imię Otchłani, może pani Crysanią chceć od krasnoludki żlebowej? – powiedziała absolutnie zdumiona Tika. Zabrała Bupu do kuchni, dała jej trochę czerstwego chleba i połówkę gomółki sera, po czym odesłała na zewnątrz – woń krasnoluda żlebowego nie powiększała uroków małego domku. Bupu z zadowoleniem wróciła do rynsztoka, gdzie uzupełniła posiłek, popijając go wodą prosto z kałuży na drodze.

– Och, obiecałem, że nie powiem – wyznał z poczuciem wielkiej wagi Tas. Kender pomagał Caramonowi nałożyć zbroję – co było raczej skomplikowanym zadaniem, bowiem wielki mężczyzna stał się zdecydowanie większy od czasu, gdy ostatni raz miał ją na sobie. Zarówno Tika, jak i Tas pracowali, aż im pot wystąpił na czoło, szarpiąc za paski, upychając i utykając zwały tłuszczu pod metalem.

Caramon jęczał i stękał zupełnie jak człowiek na łożu tortur. Oblizwał wargi, a jego spojrzenie nieraz padło tęsknie na sypialnię i małą flaszkę, którą Tika tak beztrąsko odrzuciła w kąt.

– Och, przestań, Tas. – Tika wierciła mu dziurę w brzuchu, wiedząc, że kender nie potrafi zachować tajemnicy, nawet gdyby od tego zależało jego życie. – Jestem pewna, że pani Crysanią nie miałyby nic przeciwko temu...

Tas wykrzywił się boleśnie. – K-kazała mi obiecać i przysiąc na Paladine'a, Tiko! – Kender zrobił bardzo poważną minę. – A wiesz przecież, że Fizban – to znaczy Paladine – i ja jesteśmy osobistymi przyjaciółmi. Kender przerwał. – Wciągnij brzuch, Caramonie – rozkazał z rozdrażnieniem. – Jakżeś ty się doprowadził do takiego stanu?

Zapierając się stopą o udo ogromnego mężczyzny, Tas szarpnął. Caramon zawył z bólu.

– Jestem w doskonałym stanie – wymamrotał gniewnie wielkolud. – To przez tę zbroję. Skurczyła się, czy co.

– Nie wiedziałem, że ten rodzaj metalu się kurczy stwierdził z zaciekawieniem Tas. – Założę się, że trzeba go podgrzać! Jak ty to robiłeś? A może po prostu robiło się tu naprawdę gorąco?

– Och, zamknij się! – warknął Caramon.

– Chciałem tylko pomóc – powiedział urażony Tas. – Aha, w każdym razie, co do pani Crysanii... – Jego twarz przybrała wyniosły wyraz. – Złożyłem świętą przysięgę. Mogę tylko zdradzić, że chciała, bym opowiedział jej wszystko, co pamiętałem na temat Raistlina. I tak zrobiłem. I to ma coś wspólnego z tym. Pani Crysania jest naprawdę wspaniałą osobą, Tiko – ciągnął Tas z namaszczaniem. Może nie zauważyłaś, ale ja nie jestem bardzo religijny. Kenderzy nie są z zasady. Ale nie trzeba być religijnym, żeby zauważyć prawdziwe dobro bijące od pani

Crysanii. Jest też bystra. Może nawet bystrzejsza od Tanisa.

Oczy Tasa błyszczały tajemniczo i widać było, że czuł się ważny. – Sądzę, że mogę ci tyle powiedzieć – rzekł szeptem. – Ona ma plan. Plan, aby ocalić Raistlina! A Bupu jest częścią tego planu. Chce ją zabrać do Par-Saliana!

Na te słowa nawet Caramon spojrzał powątpiewająco, a Tika zaczynała prywatnie sądzić, że może Riverwind i Tanis mieli rację. Może pani Crysania rzeczywiście była szalona. Niemniej jednak wszystko, co mogłoby pomóc Caramonowi, mogło dać mu nadzieję...

Caramon najwyraźniej sam się nad tym zastanawiał.

J – Wiesz co? To wszystko wina tego Fis-Fistandoodla, czy jak mu tam – stwierdził, z niezadowoleniem ciągnąc za skórzane paski w miejscach, gdzie wpijały mu się w tłuste cielsko. – Wiesz, ten mag, o którym powiedział nam Fizban – to Paladine. A Par-Salian też coś wie o tym! Twarz mu się rozpromieniła. – Wszystko załatwimy. Sprowadzę tu do nas Raistlina, tak jak planowaliśmy, Tiko! Może wprowadzić się do pokoju, który wykończyliśmy dla niego. Zaopiekujemy się nim, ty i ja. W naszym nowym domu. Wszystko będzie wspaniale, wspaniale! – Oczy Caramona błyszczały. Tika nie mogła na niego patrzeć. Mówił tak jak dawny Caramon, ten Caramon, którego kochała...

Nadal z surową miną odwróciła się szybko i ruszyła w stronę sypialni. – Pójdę po resztę twoich rzeczy...

– Zaczekaj! – zatrzymał ją Caramon. – Nie, to znaczy, dziękuję, Tiko. Sam sobie poradzę. Może byś... hm... zapakowała nam coś do jedzenia.

– Ja pomogę – zaproponował Tas, śpiesząc z zapalem do kuchni.

– Dobrze – powiedziała Tika. Wyciągnęła rękę i złapała kendera za kitkę, która spływała mu na plecy. Chwileczkę, Tasrslehoffie Burrfoot. Nigdzie nie pójdziesz, póki nie siądziesz i nie opróżnisz wszystkich swych sakiewek!

Tas zawył w proteście. Korzystając z zamieszania, Caramon pośpieszył do sypialni i zamknął drzwi. Bez zatrzymywania się poszedł prosto do kąta i podniósł butelkę. Potrząsnąwszy nią, stwierdził, że jest w połowie pełna. Uśmiechając się pod nosem z zadowolenia, wepchnął ją głęboko do plecaka, po czym szybko upchnął na wierzchu trochę dodatkowych ubrań.

– Teraz jestem gotów! – zawołał wesoło do Tiki.

– Jestem gotów – powtórzył Caramon, stojąc niepocieszony na ganku.

Przedstawiał śmieszny i żałosny widok. Po powrocie do Solące ogromny wojownik całkowicie odnowił skradzioną smoczą zbroję, którą nosił w czasie ostatnich miesięcy kampanii. Wyklepał wgniecenia, wyczyścił, wypolerował i przerobił ją tak dokładnie, że nie przypominała oryginału. Bardzo dbał o nią, po czym troskliwie spakował ją i schował. Nadal była w doskonałym stanie. Tylko teraz, na nieszczęście, widniała wielka luka między błyszczącą, czarną kolczugą, która osłaniała jego pierś, a szerokim pasem, który okalał jego potężną talię.

Ani jemu, ani Tasowi nie udało się zapiąć blach osłaniających nogi na jego grubych udach. Schował więc blachy do plecaka. Jęknął, podnosząc tarczę, i spojrzął na nią podejrzliwie, jakby był pewien, że ktoś ją wypełnił ołowianymi ciężarkami w ostatnich dwóch latach. Pas z mieczem nie dopinał się na obwisłym kałdunie. Oblewając się rumieńcem, Caramon przypiął na plecach miecz w znoszonej pochwie.

W tym momencie Tas zmuszony był odwrócić wzrok. Kender sądził, że wybuchnie śmiechem, lecz z zaskoczeniem stwierdził, że jest bliski płaczu.

– Wyglądam jak idiota – mruknął Caramon, widząc, jak Tas pośpiesznie odwraca głowę. Bupu z otwartymi ustami gapiła się na niego oczami wielkimi jak spodki.

– On wyglądać jak Najwyższy Bulp, Phudge I – westchnęła Bupu.

Tasowi stanął przed oczami jak żywy opasty, niechlujny król klanu krasnoludów zlebowych z Xak Tsaroth. Złapawszy krasnoludkę, wepchnął jej do ust kawałek chleba, żeby się zamknęła. Niemniej jednak szkoda została już wyrządzona. Najwyraźniej Caramon również sobie przypomniiał.

– Dość tego – warknął, oblewając się ciemnym rumieńcem i ciskając tarczę na drewniany ganek, gdzie padła z głośnym hukiem i łoskotem. – Nigdzie nie idę! To był głupi pomysł! – Spojrzął oskarżycielsko na Tikę, po czym odwrócił się i chciał podejść do drzwi. Tika jednak zagroziła mu drogę.

– Nie – rzekła cicho. – Nie wejdiesz do mojego domu, Caramonie, dopóki nie staniesz się znów jedną całą osobą.

– On wyglądać jak dwie całe osoby – wymamrotała Bupu zdławionym głosem. Tas zatkał jej usta kolejnym kawałkiem chleba.

– Pleciesz coś od rzeczy! – wypalił wściekle Caramon, biorąc ją za ramię. – Zejdz mi z drogi, Tiko!

– Posłuchaj mnie, Caramonie – powiedziała Tika. Jej głos był cichy, lecz przenikliwy, a jej oczy przykuły uwagę wielkiego mężczyzny. Wsparłszy dłoń na jego piersi, spojrzała na niego szczerze. – Kiedyś powiedziałeś, że jesteś gotów pójść za Raistlinem w ciemność. Pamiętasz?

Caramon przełknął ślinę, po czym skinął głową w milczeniu, poblady.

– On nie pozwolił – ciągnęła łagodnie Tika – twierdząc, że oznaczałoby to dla ciebie śmierć. Niemniej jednak, czy ty tego nie widzisz, Caramonie – ty poszedłeś za nim w ciemność! I umierasz po trochu! Raistlin sam ci powiedział, żebyś szedł własną drogą i pozwolił jemu iść jego własną. Ty jednak nie postąpiłeś tak! Usiłujesz iść obiema ścieżkami naraz, Caramonie! Pół ciebie żyje w mroku, a pół próbuje wódką zabić ból i grozę, jaką tam widzisz.

– To moja wina! – załkał Caramon i znów zaczął się mazać. – To moja wina, że przystał do Czarnych Szat. Ja go w to wpędziłem! To właśnie Par-Salian usiłował mi wytłumaczyć...

Tika przygryzła wargę. Tas widział, jak jej twarz staje się surowa i zawzięta od gniewu, lecz

kobieta zdołała go stłumić. – Być może – tylko tyle powiedziała. Potem zaczerpnęła głęboko tchu. – Ale ty nie wrócisz do mnie jako mąż, ani nawet przyjaciel, dopóki nie wrócisz pogodzony ze sobą.

Caramon spojrzął na nią, patrząc tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Tika miała zdecydowaną i stanowczą minę, a jej zielone oczy błyszczały chłodno. Tas nagle przypomniał sobie, jak walczyła ze smokowcami w świątyni w Nerace tej ostatniej, strasznej nocy wojny. Wyglądała tak samo.

– Może to będzie nigdy – burknął obrażony Caramon. – Pomyślałaś o tym, moja piękna pani?

– Tak – stwierdziła stanowczo Tika. – Pomyślałam o tym. Do widzenia, Caramonie.

Odwróciwszy się od męża, Tika weszła do domu i zamknęła drzwi. Tas usłyszał zgrzyt zasuwki. Caramon również go usłyszał i drgnął na ten dźwięk. Zaciśnął olbrzymie pięści i przez chwilę Tas obawiał się, że może wyłamać drzwi. Potem opuścił ręce bezwładnie. Rozgniewany Caramon, próbując uratować resztki nadwerężonej dumy, zszedł z ganka.

– Ja jej jeszcze pokażę – mamrotał, oddalając się zamaszystym krokiem i podzwaniając kawałkami zbroi. Wrócę za jakieś trzy, cztery dni z tą panią Crystle – jak jej tam. Wtedy porozmawiamy sobie. Nie może mi tego zrobić! Nie, na wszystkich bogów! Trzy, cztery dni. Będzie mnie błagała, żebym wrócił. A ja może będę chciał, a może nie...

Tas stał niezdecydowany. Jego bystry kenderski słuch wychwycił dochodzące z domu rozpaczliwe szlochanie. Wiedział, że Caramon przez swe mamroczące uzalanie się nad sobą i podzwanianie zbroi nie słyszał niczego. Ale co on mógł zrobić?

– Zaopiekuję się nim, Tiko! – krzyknął Tas, po czym złapał Bupu i oboje pośpieszyli za wielkim mężczyzną. Tas westchnął. Z wszystkich przygód, w jakich brał udział, ta z pewnością zaczynała się zupełnie nieodpowiednio.

## **Rozdział V**

Palanthas – legendarne miasto piękna.

*Miasto, które odwróciło się plecami od świata i wpatruje się z podziwem w swe odbicie w zwierciadle.*

Kto je tak opisał? Kitiara usadowiona na grzbiecie swego niebieskiego smoka, Skie, zastanawiała się od niechcienia, przelatując w pobliżu murów miasta. Być może nieżyjący, nie opłakiwany smoczy władca Ariakas. Opis brzmiał wystarczająco pretensjonalnie, by posądzić go o autorstwo. Kit była jednak zmuszona przyznać, że miał rację co do mieszkańców Palanthas. Tak byli przerażeni, że ich ukochane miasto może zostać obrócone w perzynę, iż prowadzili pertraktacje w sprawie osobnego pokoju z najwyższymi smoczymi władcami. Dopiero pod sam koniec wojny – kiedy stało się oczywiste, że nie mają nic do stracenia – z ociąganiem przyłączyli się do pozostałych, by walczyć z potęgą Królowej Ciemności.

Dzięki bohaterskiemu poświęceniu rycerzy solamnijskich Palanthas ominęło zniszczenie, którego ofiarą padły inne miasta – takie jak Solące i Tarsis. Przelatując w odległości strzału z łuku od murów, Kit skrzywiła się szyderczo. Teraz ponownie Palanthas odwróciło oczy do lustra, wykorzystując przypływ nowego dobrobytu, by podkreślić swój legendarny już urok.

Na myśl o tym, Kitiara roześmiała się w głos, widząc poruszenie na murach Starego Miasta. Ułynęły dwa lata od chwili, gdy niebieski smok przeleciał nad murami. Wyobrażała sobie panikę i zamieszanie. W chłodnym powietrzu nocy słyszała słabo dochodzące do niej bicie w bębny i przenikliwe sygnały trąbek.

Skie również słyszał. Krew w nim zawrzała na te wojenne odgłosy. Obrócił płonące, krwawe oko do Kitiary, błagając ją, by zmieniła zdanie.

– Nie, mój kochany – zawołała Kitiara, nachylając się, by poklepać go uspokajająco po karku. – Jeszcze nie pora! Ale wkrótce – jeśli nam się powiedzie! Wkrótce, obiecuję ci!

Skie zmuszony był zadowolić się tym. Jednak z pewną satysfakcją wypuścił z rozwartej paszczy błyskawicę, osmalając kamienną ścianę, kiedy przelatywał obok niej tuż poza zasięgiem łuczników. Gdy zbliżył się, wojowie rozbiegli się jak mrówki, ogarnęły ich bowiem fale smoczego strachu.

Kitiara leciała powoli, nie śpiesząc się. Nikt nie śmiał jej tknąć – między jej armiami w Sanction a mieszkańcami Palanthas panował pokój, choć wśród rycerzy solamnijskich byli tacy, którzy usiłowali przekonać wolne narody Ansalonu, by się zjednoczyły i zaatakowały Sanction, gdzie Kitiara wycofała się po wojnie. Palanthian jednakże nic to nie obchodziło. Wojna się skończyła, zagrożenie minęło.

– A z każdym dniem ja rosnę w siłę i potęgę – powiedziała im Kitiara, przelatując nad

miastem i notując wszystko w pamięci.

Palanthas zbudowane było na planie koła. Wszystkie ważne budowle – pałac rządzącego władcy, urzędy i prastare siedziby szlachty – stały w środku. Miasto obraca się wokół swej osi. W następnym kręgu wybudowane są domy bogatych mieszczan – „nowobogackich” – i letnie siedziby tych, którzy mieszkają poza granicami miasta. Tu również znajdują się ośrodki szkoleniowe wraz z Wielką Biblioteką Astinusa. Wreszcie w pobliżu murów Starego Miasta znajduje się plac targowy i sklepy wszelkiego typu.

Osiem szerokich alei wychodzi od środka Starego Miasta niczym szprychy koła. Aleje, obsadzone precudnymi drzewami, których liście przez cały rok przypominają złotą koronkę, wiodą do portu morskiego na północy i wszystkich siedmiu bram w murach Starego Miasta.

Za murem Kit widziała Nowe Miasto, zabudowane dokładnie tak samo jak Stare, w tym samym koncentrycznym kształcie. Wokół Nowego miasta nie ma murów, bowiem mury „psują” ogólny plan, jak stwierdził jeden z tamtejszych władców.

Kitiara uśmiechnęła się. Nie dostrzegła urody miasta. Drzewa nic dla niej nie znaczyły. Patrzyła na olśniewające cuda siedmiu bram i nie zapierały jej tchu w piersi – no, może odrobinę. Jak łatwo byłoby je podbić, pomyślała z westchnieniem.

Dwa inne budynki przyciągnęły jej uwagę. Jednym była nowa budowla wznoszona w środku miasta – świątynia poświęcona Paladine’owi. Drugi budynek był celem jej podróży. I na nim właśnie spoczęło jej zadumane spojrzenie.

Gmach tak radykalnie kontrastował z pięknem otaczającego go miasta, że zauważyła to nawet zimna, nieczuła Kitiara. Budowla, wznosząca się ze spowijających ją cieni niczym zbielała kość palca, promieniowała mrokiem i brzydotą, tym straszniejszą, iż niegdyś musiał być to najcudowniejszy budynek w Palanthas – starożytna Wieża Najwyższej Magii.

Spowijał ją mrok za dnia i w nocy, strzegł jej bowiem zagajnik potężnych dębów, największych drzew rosnących na Krynnie, jak szeptali z lękiem i podziwem bardziej obeznani wędrowcy. Nikt nie wiedział tego na pewno, nikt bo – wiem, nawet z rasy kenderów, którzy boją się niewielu rzeczy na świecie, nie mógł wejść w przerażający mrok drzew. – Zagajnik Shoikan – szepnęła Kitiara do swego niewidzialnego towarzysza. – Żadna żywa istota, obojętnie jakiej rasy, nie ośmieliła się doń wejść. Dopóki nie przyszedł on – władca przeszłości i terażniejszości. – Jeśli rzekła to z przekąsem, szyderstwo straciło na sile, gdy Skie zaczął krążyć coraz bliżej tej plamy czerni.

Niebieski smok wylądował na opuszczonych ulicach w pobliżu zagajnika Shoikan. Kit próbowała wszystkiego, od przepukstwa do straszliwych gróźb, by nakłonić Skie do przelecenia nad zagajnikiem i zanieśienia jej do samej wieży. Jednakże Skie, choć przelałby ostatnią kroplę krwi za swą panią, odmówił. To nie było w jego mocy. Żadna żywa istota, nawet smok, nie mogła przekroczyć przeklętego pierścienia strażniczych dębów.



Skie stał, z nienawiścią wpatrując się w zagajnik płonącym wzrokiem czerwonych oczu, a jego szpony nerwowo wydzierały kamienie, którymi wybrukowano ulice. Chciałby powstrzymać swą panią, lecz dobrze znał Kitiarę. Kiedy coś postanowiła, nic nie mogło jej zatrzymać. Tak więc Skie owinął się swymi wielkimi, skórzastymi skrzydłami i spoglądał na to piękne miasto, podczas gdy myśli o płomieniach, dymie i zagładzie napełniały go tęsknotą.

Kitiara powoli zsiadła ze swego smoczego siodła. Srebrny księżyc, Solinari, wisiał na niebie niczym błada, odcięta głowa. Jego bliźniak, czerwony księżyc Lunitari, dopiero co wstał i migotał na horyzoncie jak knot gasnącej świecy. Zbroja Kitiary ze smoczych łusek połyskiwała w wąłym świetle obu księżyców, które nadawało jej upiorny kolor krwi.

Kit przyglądała się zagajnikowi z uwagą, zrobiła krok w jego stronę, a potem zatrzymała się nerwowo. Za sobą słyszała szelest – skrzydła Skie udzielające jej nie wypowiedzianej rady: Odlemy stąd, z tego miejsca zagłady, pani! Uciekajmy, póki jeszcze żyjemy!

Kitiara przełknęła ślinę. Język miała suchy i nabrzmiały. Kurcz ścisnął boleśnie mięśnie jej brzucha. Przed oczyma stanęły jej jak żywe sceny z bitwy, kiedy po raz pierwszy stanęła twarzą w twarz z wrogiem i wiedziała, że musi zabić tego człowieka – inaczej bowiem sama zginie. Wtedy do zwycięstwa wystarczyło zręczne pchnięcie mieczem. Ale jak pokonać to?

– Byłam w niejednym mrocznym miejscu na świecie – powiedziała Kit do swego niewidocznego towarzysza głębokim, niskim głosem – i nie znałam strachu. Ale tutaj nie mogę wejść.

– Trzymaj po prostu klejnot, który ci dał, wysoko w rękę – rzekł jej towarzysz, materializując się z mroku nocy.

– Strażnicy zagajnika nie będą w stanie wyrzucić ci krzywdy.

Kitiara spojrzała na gęsty pierścień wysokich drzew. Ich wielkie, rozłożyste gałęzie przesłaniały światło księżyców i gwiazd nocą, a słońca w dzień. Wokół ich korzeni płynęła wieczna noc. Żaden delikatny podmuch wiatru nie dotykał ich omszałych rąk, żaden sztormowy wichur nie kołysał ogromnymi konarami. Powiadano, że nawet podczas strasznych dni przed Katakлизmem, gdy szalały burze, jakich Krynn dotąd nie znał, jedynie drzewa zagajnika Shoikan nie ugięły się przed gniewem bogów.

Jednakże straszniejsze nawet od ich nie kończącej się ciemności było echo nie kończącego się życia, które pulsowało z głębin pod nimi. Nie kończące się życie, nie kończąca się rozpacz i udręka...

– Mój umysł wierzy w to, co mówisz – odparła Kitiara, drżąc – lecz moje serce nie, lordzie Soth.

– Zawróć więc – odpowiedział upiorny rycerz i wzruszył ramionami. – Pokaż mu, że najpotężniejszy ze smoczych władców na świecie jest tchórzem.

Kitiara posłała Sothowi spojrzenie zza szpar smoczego hełmu. Jej brązowe oczy połyskiwały,

a dłoń zaciskała się kurczowo na rękojeści miecza. Soth odpowiedział spojrze – niem, a pomarańczowe płomienie migoczące w jego oczodołach płonęły jasno ohydny sztyderstwem. A jeśli jego oczy naśmiewały się z niej, co malowałyby się w tych złotych oczach maga? Nie śmiech – triumf!

Zacisnąwszy mocno wargi, Kitiara dotknęła łańcuszka, na którym wisiał amulet przysłany jej przez Raistlina. Chwyliła go i jednym szarpnięciem zerwała z szyi.

Kamień czarny jak smocza krew był zimny w dotyku, promieniując chłodem, wyczuwalnym nawet przez grube, skórzane rękawice. Nie błyszczący, niepiękny, ciążył jej w dłoni.

– Jak mogą go dostrzec strażnicy? – spytała Kitiara, podnosząc klejnot do światła księżyca. – Spójrz, nie świeci ani nawet nie błyszczy. Można by pomyśleć, że trzymam w ręku kawałek węgla.

– Księżyc, który błyszczy w tym klejnocie jest dla ciebie niewidzialny, tak samo dla wszystkich innych, z wyjątkiem tych, którzy go czczą – odparł lord Soth. – Tych – i potępionych umarłych, którzy jak ja zostali skazani na wieczne życie. My go widzimy! Dla nas on świeci jaśniej od wszystkich światel na niebie. Trzymaj go wysoko, Kitiaro, trzymaj go wysoko i idź przed siebie. Strażnicy nie powstrzymają cię. Zdejmij hełm, aby mogli spojrzeć na twą twarz i ujrzeć blask klejnotu, odbijający się w twych oczach. Kitiara wahała się jeszcze. Potem – słysząc w myślach drwiący śmiech Raistlina – smocza władczyni zdjęła rogaty hełm z głowy. Nadal stała, rozglądając się. Żaden wiatr nie potargał jej ciemnych kędziurów. Czuła, jak zimny pot ścieka jej strużką po skroni. Wytała go gniewnym machnięciem rękawicy. Usłyszała dochodzący z tyłu skowyt smoka – dźwięk był dziwny i nigdy nie słyszała, żeby Skie taki przedtem wydawał. Zabrakło jej zdecydowania. Dłoń, w której trzymała klejnot, zadrżała.

– Oni żywią się strachem, Kitiaro – powiedział lord Soth cicho. – Podnieś klejnot wysoko, niech zobaczą, jak odbija się w twych oczach!

Pokaż mu, że jesteś tchórzem! Te słowa dźwięczały echem w jej umyśle. Ściskając klejnot nocy i wznosząc go wysoko nad głowę, Kitiara wkroczyła do zagajnika Shoikan.

Zapadła ciemność, ogarniając ją tak niespodzianie, że przez jedną okropną, paraliżującą chwilę Kitiara myślała, że oślepla. Dopiero widok płonących oczu lorda Sotha, które migotały w jego bladej, szkieletowej twarzy, dodał jej otuchy. Zmusiła się do tego, by stanąć spokojnie i poczekać, aż minie moment osłabiającego strachu. I wtedy dostrzegła po raz pierwszy światło, bijące z klejnotu. Nie przypominało ono żadnego, które widziała do tej pory. Nie tyle rozjaśniało mrok, ile pozwalało Kitiarze odróżnić wszystko, co żyło w tej ciemności od samej ciemności.

Dzięki mocy klejnotu Kitiara zaczynała dostrzegać pnie żywych drzew. Teraz widziała ścieżkę u swych stóp. Płynęła naprzód jak rzeka nocy w głąb zagajnika i Kitiara miała niesamowite wrażenie, że płynie wraz z nią.

Zafascynowana, przyglądała się, jak jej nogi poruszają się i niosą ją naprzód bez udziału jej

woli. Nagle zdjeta grozą uświadomiła sobie, że uprzednio zagajnik nie chciał jej wpuścić, a teraz wciąga ją!

Rozpaczliwie walczyła o odzyskanie panowania nad swym ciałem. Wreszcie wygrała – a przynajmniej tak jej się zdawało, bo przestała się posuwać naprzód. Jednakże teraz nie mogła zrobić nic innego, jak stać w tej płynącej ciemności i dygotać, wstrząsana dreszczami strachu. Gałęzie skrzypiały nad jej głową, chichocząc z tego żartu. Liście ocierały się o jej twarz. Kit rozpaczliwie starała się je odpędzić, lecz potem przestała. Ich dotyk był chłodny, lecz nie był niemiły. Był niemal pieszczotą, gestem szacunku. Została rozpoznana, uznana za jedną ze swoich. Kit natychmiast odzyskała panowanie nad sobą. Uniosła głowę i zmusiła się do spojrzenia na ścieżkę.

Ta nie poruszała się. To było wyłącznie złudzenie, zrodzone z jej przerażenia. Kit uśmiechnęła się ponuro. Same drzewa się poruszały! Odsuwały się na bok, by pozwolić jej przejść. Pewność siebie Kitiary cały czas rosła. Stąpała po ścieżce zdecydowanym krokiem i nawet odwróciła się, by posłać triumfalne spojrzenie lordowi Sothowi, który szedł kilka kroków za nią. Upiorny rycerz jednakże zdawał się jej nie zauważać.

– Pewnie rozmawia z pokrewnymi duszami. – Kit zaśmiała się pod nosem, lecz jej śmiech zmienił się nagle w krzyk strasznego przerażenia.

Coś ją złapało za kostkę! Przenikający do szpiku kości chłód powoli sączył się przez jej ciało, zmieniając jej krew i nerwy w lód. Ból był przejmujący. Kit krzyknęła. Chwyciwszy się za nogę, zobaczyła, co ją złapało – biała dłoń! Wystawała spod ziemi, a jej kościste palce były zaciśnięte kurczowo na kostce Kitiary. Czując odpływające ciepło, Kit zdała sobie sprawę, że ta dłoń wysysała z niej życie. Wtedy z przerażeniem dostrzegła, że jej stopa zaczyna się pogrążyć w miękkiej ziemi.

Wpadła w panikę. Rozpaczliwie kopnęła rękę, starając się uwolnić od jej lodowatego uścisku, ta jednak trzymała ją mocno. Tymczasem następna ręka wyłoniła się z czarnej ścieżki i złapała ją za drugą kostkę. Krzycząc z przerażenia, Kitiara straciła równowagę i upadła na ziemię.

– Nie upuść klejnotu! – dobiegł ją martwy głos lorda Sotha. – Bo wciągną cię pod ziemię!

Kitiara ścisnęła kamień w dłoni, jednocześnie szarpiąc się i tarzając, by wyrwać się ze śmiertelnego uścisku, który powoli wciągał ją do wspólnego grobu. – Pomóż mi! krzyknęła, szukając zalęknionym wzrokiem Sotha.

– Nie mogę – odrzekł posępnie upiorny rycerz. Moja magia tu nie zadziała. Może cię ocalić jedynie siła twojej woli, Kitiaro. Pamiętaj o klejnocie...

Przez chwilę Kitiara leżała nieruchomo, drżąc od lodowatego dotyku. I wtedy ogarnął ją gniew. Jak on śmie! pomyślała, znów widząc drwiące, złote oczy, które bawi widok jej cierpień. Gniew roztopił lód strachu i wypalił panikę. Była już spokojna. Wiedziała, co należy uczynić.

Powoli pod – niosła się z ziemi. Potem, z zimnym wyrachowaniem spuściła klejnot w poblize trupiej ręki i drżąc, dotknęła nim bladego ciała.

Spod ziemi zagrzmiało stłumione przekleństwo. Ręka zadrżała, po czym rozluźniła uścisk i zniknęła pod gnijącymi liśćmi obok ścieżki.

Pośpiesznie Kitiara przyłożyła klejnot do drugiej dłoni, która ją trzymała. Ta również znikła. Smocza władczyni szybko podniosła się na nogi i rozejrzała wokół. Potem wysoko podniosła klejnot.

– Widzicie go, wy przekłete, żywe trupy? – wrzasnęła przenikliwie. – Nie zatrzymacie mnie! Słyszycie! Ja przejdę!

Nie było odpowiedzi. Gałęzie już nie skrzypiały, liście wisały bezwładnie. Po chwili stania w milczeniu z klejnotem w dłoni, Kitiara znów zaczęła iść ścieżką, przeklinając Raistlina pod nosem. Zdawała sobie sprawę z obecności lorda Sotha w pobliżu.

– Już niedaleko – powiedział. – Znów, Kitiaro, zasłużyłaś na mój podziw.

Kitiara nie odpowiedziała. Jej gniew znikł, zostawiając po sobie puste miejsce w dołku, które znów szybko wypełniało się lękiem. Nie ufała sobie na tyle, by się odezwać. Niemniej jednak szła nadal, wbijając zawzięcie wzrok w ścieżkę przed sobą. Teraz widziała wszędzie wokół palce, które wygrzebywały się z ziemi, szukając żywego ciała, którego jednocześnie pożądały i nienawidziły. Blade, zapadłe oblicza spoglądały na nią ponuro spomiędzy drzew, czarne i bezkształtne stworzenia latały wokół, wypełniając zimne, lepkie powietrze zgniłą wonią śmierci i rozkładu.

Lecz choć dłoń trzymająca klejnot dygotała, Kitiara nie wahała się. Kościste palce nie zatrzymały jej. Twarze o rozwartych ustach daremnie wyły, pożądając jej ciepłej krwi. Dęby nadal powoli rozstępowały się przed Kitiara, ich gałęzie usuwały się z drogi.

Na końcu ścieżki stał Raistlin.

– Powinam cię zabić, ty cholerny draniu! – powiedziała Kitiara zdrewniałymi wargami i położyła dłoń na rękojeści miecza.

– Ja również się cieszę, że ciebie widzę, moja siostrzyczko – odparł Raistlin swym cichym głosem.

Było to pierwsze od dwóch lat spotkanie brata i siostry. Teraz, gdy Kitiara wyszła z ciemności drzew, widziała swego brata, który stał w bladej poświacie Solinari. Odziany był w szaty z najdelikatniejszego, czarnego aksamitu. Spływając z jego przygarbionych, wątych barków, układały się w miękkie fałdy wokół jego smukłego ciała. Srebrne runy były wyszyte na obrzeżu kaptura, który zasłaniał jego głowę tak, że w cieniu były widoczne tylko jego złote oczy. Największa runa znajdowała się pośrodku – była to klepsydra. Inne srebrne runy iskrzyły się w blasku księżyca na mankietach szerokich, luźnych rękawów. Czarodziej wspierał się na lasce Magiusa, której ciemny i zimny kryształ – zapalający się jedynie na rozkaz Raistlina –

umieszczony był w łapie złotego smoka.

– Powinam cię zabić! – powtórzyła Kitiara i zanim w pełni zdała sobie z tego sprawę, rzuciła spojrzenie na upiornego rycerza, który zdawał się materializować z ciemności zagajnika. Było to spojrzenie nie rozkazujące, lecz zachęcające – spojrzenie nie wypowiedzianego słowami wyzwania.

Raistlin uśmiechnął się tym uśmiechem, który niewiele widziało.

– Lordzie Soth – rzekł, odwracając się na powitanie upiornego rycerza.

Kitiara przygryzła wargę, gdy klepsydrowe oczy Raistlina badały zbroję nie umarłego rycerza, na której wciąż widniały wygrawerowane symbole rycerza solamnijskiego róża, zimorodek i miecz – lecz osmolone, jakby zbroja wyszła z pożaru.

– Rycerz Czarnej Róży – ciągnął Raistlin – który zginął w płomieniach podczas Kataklizmu, zanim przeklefi – stwo elfiej panny, którą skrzywdził, obudziło go ponownie do gorzkiej egzystencji.

– Taka jest moja historia – rzekł upiorny rycerz, stojąc bez ruchu. – A ty jesteś Raistlin, władca teraźniejszości i przeszłości, ten z przepowiedni.

Stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem, zapomniawszy o Kitiarze, która – wyczuwając toczące się w milczeniu, śmiertelne zawody między tymi dwoma – zapomniała o własnym gniewie i z zapartym tchem oczekiwała na wynik.

– Twoja magia jest silna – stwierdził Raistlin. Delikatny pomuch wiatru poruszył gałęziami dębów i pieścił czarne fałdy szat maga.

– Tak – rzekł spokojnie lord Soth. – Potrafię zabić jednym słowem. Potrafię cisnąć kulę ognia między mych wrogów. Władam zastępem szkieletowych wojowników, którzy potrafią przynieść śmierć samym dotykiem. Mogę wznieść ścianę lodu, by ochronić tych, którym służę. Niewidzialne staje się widoczne dla mych oczu. Zwykle czary rozpraszają się w mej obecności.

Raistlin pokiwał głową, a fałdy jego kaptura poruszyły się delikatnie.

Lord Soth przyglądał się magowi bez słowa. Podszedł do Raistlina i zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od wątego ciała czarodzieja. Oddech Kitiary stał się szybszy.

Wtedy dworskim gestem przeklęty rycerz solamnijski położył dłoń tam, gdzie w jego ciele nigdyś biło serce.

– Jednakże kłaniam się przed mistrzem – rzekł lord Soth.

Kitiara przygryzła wargę, dławiąc okrzyk. Raistlin zerknął na nią i w jego złotych, klepsydrowych oczach błysnęło rozbawienie.

– Rozczarowana, moja droga siostrze?

Jednak Kitiara była przyzwyczajona do zmiennych wiatrów losu. Wybadała wroga i dowiedziała się, czego potrzebowała. Teraz mogła przystąpić do boju. – Skądże znowu, mój braciszku – odparła z tym krzywym uśmiechem, który tak wielu uznawało za czarujący. –

W końcu to do ciebie przyszedłam z wizytą. Zbyt wiele czasu upłynęło od ostatnich odwiedzin. Dobrze wyglądasz.

– Och, bo dobrze się czuję, droga siostró – powiedział Raistlin. Podeszedł bliżej, położył chudą rękę na jej ramieniu. Drgnęła pod jego dotykiem, ciało bowiem miało tak rozpalone, jakby trawiła go gorączka. Jednak, gdy ujrzała jego wzrok – wbity w nią, śledzący każdą reakcję – nie odsunęła się. Raistlin uśmiechnął się.

– Jak dawno widzieliśmy się ostatni raz? Dwa lata temu? Tak, rzeczywiście, dwa lata minęły wiosną – kontynuował, od niechcienia ściskając dłonią ramię Kitiary. W jego głosie pobrzmiwało szyderstwo. – To było w świątyni Królowej Ciemności w Nerace, tej nieszczęsnej nocy, gdy moja królowa poniosła klęskę i została wygnana z tego świata...

– Po twojej zdradzie – warknęła Kitiara, bezskutecznie usiłując wyrwać się z jego uścisku. Raistlin nadal trzymał dłoń na ramieniu Kitiary. Choć wyższa i silniejsza od wątłego maga, pozornie zdolna złamać go wpół gołymi dłońmi, Kitiara pragnęła uciec od tego palącego dotyku, a jednak bała się poruszyć.

Raistlin zaśmiał się i ciągnąc ją za sobą, podprowadził do zewnętrznej bramy Wieży Najwyższej Magii.

– Może pomówimy o zdradzie, droga siostró? Czyżbyś nie ucieszyła się, gdy użyłem swych czarów, by zniszczyć tarczę ochronną lorda Ariakasa, dając Tanisowi Półelfowi szansę wbicia miecza w ciało twego pana i władcy? Czyż to nie ja – przez ten czyn – uczyniłem ciebie najpotężniejszym ze smoczycich władców na Krynnie?

– I cóż mi z tego przyszło! – odparła z goryczą Kitiara. – Jestem w Sanction niemal więźniem tych podłych rycerzy solamnijskich, którzy rządzą całą okolicą! Strzeżona dniem i nocą przez złote smoki, bez przerwy obserwowana. Moje wojska rozproszyły się po kraju...

– A jednak przybyłaś tu – powiedział po prostu Raistlin. – Czy zatrzymały cię złote smoki? Czy rycerze wiedzieli o tym, że się oddaliłaś?

Kitiara przystanąła na ścieżce wiodącej do wieży i spojrzała na brata ze zdumieniem. – To twoja robota?

– Oczywiście! – Raistlin wzruszył ramionami. Ale porozmawiamy o tym później, droga siostró – rzekł, gdy ponownie ruszyli. – Jesteś zziębnięta i głodna. Zagajnik Shoikan nadszarpuje nerwy nawet najbardziej niezłomnym. Tylko jeszcze jednej osobie udało się przejść przezeń, oczywiście z moją pomocą. Spodziewałem się, że ty spiszesz się doskonale, ale muszę przyznać, że byłem odrobinę zaskoczony odwagą pani Crysanii...

– Pani Crysania! – powtórzyła osłupiała Kitiara. Wielebna córka Paladine'a! Wpuściłaś ją tutaj?

– Nie tylko wpuściłem ją, ja ją tu zaprosiłem – odparł niewzruszony Raistlin. – Bez mego zaproszenia, i oczywiście amuletu ochronnego, nigdy by tu nie dotarła.

– I przyszła?

– Och, zapewniam cię, że z wielką chęcią. – Teraz Raistlin zatrzymał się. Stali przed wejściem do Wieży Wielkiej Magii. Blask pochodni z okien padał na jego twarz. Kitiara widziała ją wyraźnie. Wargi miał skrzywione w uśmiechu, a jego obojętne, złote oczy błyszczały chłodno i blado, jak zimowe słońce. – Z wielką chęcią – powtórzył cicho.

Kitiara zaczęła się śmiać.

Późno w nocy, kiedy zaszły już dwa księżycy, o ciemnej jeszcze godzinie przed brzaskiem, Kitiara, marszcząc czoło, siedziała w gabinecie Raistlina z kieliszkiem ciemnoczerwonego wina w dłoni.

Gabinet był wygodny, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wielkie, pluszowe fotele z najlepszego materiału i najwspanialszej roboty stały na ręcznie tkanych dywanach, na które mogliby sobie pozwolić jedynie najbogatsi ludzie na Krynnie. Utkane w wymyślne wzory przedstawiające zwierzęta i kolorowe kwiaty, przyciągały oko, zachęcając obserwatora do zagubienia się na długie godziny w ich pięknie. Tu i tam stały rzeźbione, drewniane stoły, a przedmioty rzadkie i piękne – lub rzadkie i okropne – ozdabiały pokój.

Jednakże dominującym elementem były książki. Pokój był zastawiony głębokimi, drewnianymi półkami, na których stały niezliczone tomy. Wiele było podobnych do siebie, wszystkie oprawione w ciemnoniebieskie okładki zdobione srebrnymi runami. Mimo ognia huczącego w ogromnym, otwartym kominku po drugiej stronie zacisznego gabinetu, w powietrzu czuć było chłód, przenikający do szpiku kości. Kitiara nie miała pewności, lecz zdawał się on promieniować z tych książek.

Lord Soth stał daleko od blasku ognia, ukryty w cieniu. Kit nie widziała go, lecz wyczuwała jego obecność – podobnie jak Raistlin. Mag siedział naprzeciwko swej przyrodniej siostry w wielkim fotelu za gigantycznym biurkiem z czarnego drewna, wyrzeźbionym tak przemyślnie, że stworzenia, które zdobiły mebel, zdawały się śledzić Kitiarę drewnianymi oczyma.

Kręcąc się niespokojnie, wypita wino nieco za szybko. Choć przyzwyczajona była do mocnych napitków, zaczynało jej się kręcić w głowie, a tego uczucia nie cierpiała. Oznaczało ono, że traci panowanie nad sobą. Gniewnie odsunęła kieliszek, zdecydowana nie pić więcej.

– Ten twój plan to szaleństwo! – powiedziała Raistlinowi z irytacją. Nie spodobało jej się spojrzenie złotych oczu, którym ją mierzył, więc wstała i zaczęła krążyć po pokoju. – To bez sensu! Strata czasu. Z twoją pomocą moglibyśmy rządzić Ansalonem, ty i ja. Prawdę mówiąc Kitiara zatrzymała się nagle, a jej twarz błyszczała zapałem – z twoją mocą moglibyśmy rządzić światem! Nie potrzebujemy pani Crysanii ani tego gamonia, twego brata...

– Rządzić światem – powtórzył cicho Raistlin z błyskiem w oczach. – Rządzić światem? Ty wciąż nic nie ro – zumiesz, prawda, moja droga siostrze? Pozwól mi wyrazić to najprościej, jak umiem. – Teraz on z kolei wstał. Przyciskając chude dłonie do blatu biurka, nachylił się ku niej

niczym wąż.

– Mnie nic nie obchodzi ten świat! – rzekł cicho. Mógłbym rządzić nim jutro, gdybym tylko chciał! Ale nie chcę.

– Nie chcesz świata. – Kit wzruszyła ramionami, a jej głos pobrzmiwał gorzkim sarkazmem. – To zostaje tylko...

Kitiara niemal ugryzła się w język. Spojrzała ze zdumieniem na Raistlina. W mroku komnaty płomienne oczy lorda Sotha rozgorzały jaśniej od ognia.

– Teraz rozumiesz. – Raistlin uśmiechnął się z satysfakcją i wrócił na swe miejsce. – Teraz rozumiesz znaczenie tej wilebnej córki Paladine'a! Samo przeznaczenie mi ją zesłało, akurat gdy zbliżał się czas mej podróży.

Kitiara była w stanie jedynie przyglądać mu się w osłupieniu. Wreszcie odzyskała mowę. – Skąd-skąd wiesz, że pójdzie za tobą? Chyba jej nie powiedziałeś!

– Dość, by zasiać tę ideę w jej sercu. – Raistlin uśmiechnął się, wracając pamięcią do owego spotkania. Opadłszy na oparcie, przyłożył chude palce do warg. Ten popis, szczerze mówiąc, należał do mych najlepszych. Niechętnie mówiłem, a słowa padały, wydobyte ze mnie przez jej dobro i czystość. Padały, splamione krwią i wtedy była już moja... zgubiona przez własne współczucie. Z drgnieniem wrócił do terażniejszości. – Ona przyjdzie – rzekł zimno, znów się nachylając. – Ona i ten błazen, mój brat. On oczywiście przysłuży mi się nieświadomie. Lecz przecież on wszystko tak robi.

Kitiara przyłożyła dłoń do głowy, czując pulsowanie krwi. To nie wino, była już kompletnie trzeźwa. To wściekłość i frustracja. On mógł mi pomóc! pomyślała gniewnie. Jest naprawdę tak potężny, jak powiadają. Nawet bardziej! Ale jest obłąkany. Postradał rozum... „Ytedy rozległ się nieproszony głos gdzieś głęboko w jej wnętrzu.

A jeśli nie jest obłąkany? Jeśli naprawdę zamierza do tego doprowadzić?

Kitiara na chłodno zastanowiła się nad jego planem, badając go pod wieloma względami. To, co zobaczyła, zdjęło ją zgrozą. Nie. On nie może wygrać! A co gorsza, prawdopodobnie pociągnie ją za sobą na dno!

Te myśli szybko przemknęły Kitiarze przez głowę, lecz żadna nie odmalowała się na jej twarzy. Szczerze mówiąc, jej uśmiech stał się jeszcze bardziej czarujący. Niejeden mężczyzna umarł z tym uśmiechem przed oczyma.

Może Raistlin zastanawiał się nad tym, przyglądając się jej uważnie. – Możesz dla odmiany znaleźć się po zwycięskiej stronie, droga siostrze.

Kitiara straciła przekonanie. Gdyby zdołał tego dopiąć, byłoby wspaniale! Wspaniale! Krynna należałaby do niej. Spojrzała na maga. Dwadzieścia osiem lat temu był noworodkiem, chorowitym i słabym, wątłym towarzyszem swego silnego, krzepkiego bliźniaczego brata.

– Niech umrze. Tak będzie dla niego lepiej – powiedziała akuszerka. Kitiara była wtedy



nastolatką. Z przerażeniem usłyszała, jak jej matka, ze łzami w oczach, zgadza się.

Jednak Kitiara się nie godziła. Coś nakazało jej podjąć wyzwanie. Dziecko będzie żyło! Każe mu żyć, bez względu na to, czy będzie tego chciało, czy nie. Swą pierwszą bitwę – miała zwyczaj dumnie opowiadać – stoczyłam z bogami. I wygrałam!

A teraz! Kitiara zmierzyła go wzrokiem. Zobaczyła mężczyznę. Zobaczyła – oczami duszy – tamto zapłakane niemowlę. Nagle odwróciła się.

– Muszę wracać – powiedziała, naciągając rękawice.

– Dasz mi znać po powrocie?

– Jeśli odniosę zwycięstwo, nie będzie potrzeby dawać ci znać – rzekł cicho Raistlin. – Będiesz wiedziała!

Kitiara powstrzymała się od szyderczego parsknięcia. Zerknąwszy na lorda Sotha, gotowa była opuścić komnatę.

– Żegnaj więc, mój bracie. – Mimo iż była opanowana, nie potrafiła całkowicie ukryć gniewu w głosie. – Przykro mi, że nie podzielasz moich pragnień w tym życiu! Moglibyśmy razem działać wiele dobrego, ty i ja!

– Żegnaj, Kitiaro – powiedział Raistlin, szczupłą dłonią wzywając widmowe postaci tych, którzy mu służyli, by odprowadzili gości do drzwi. – Och, przy okazji dodał, gdy Kitiara stała na progu. – Zawdzięczam ci życie, droga siostrze. Przynajmniej tak mi powiedziano. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że – wraz ze śmiercią lorda Ariakasa, który, bez wątpienia, zabiłby cię – uważam swój dług za spłacony. Nic ci nie jestem winien!

Kitiara spojrzała w złote oczy maga, szukając w nich groźby, obietnicy – czegokolwiek. Jednakże niczego nie zobaczyła. Zupełnie niczego. Wtedy, w mgnieniu oka, Raistlin wypowiedział magiczne słowo i zniknął.

Droga powrotna przez zagajnik Shoikan nie była trudna. Strażników nie obchodzili ci, którzy opuszczali wieżę. Kitiara i lord Soth szli razem; upiorny rycerz stąpał bezszelestnie przez gaj, a jego stopy nie zostawiały śladów na martwych i gnijących liściach, które leżały na ziemi. Wiosna nie dotarła do zagajnika Shoikan.

Kitiara nie odzywała się, dopóki nie minęli zewnętrznego pierścienia drzew i nie stanęli ponownie na solidnym bruku Palanthas. Wschodziło słońce, niebo rozjaśniało się, przechodząc z głębokiego błękitu nocy w bladą szarość. Budzili się palanthianie, których interesy zmuszały do wczesnego wstawania. W głębi ulicy, za opuszczonymi budynkami, które otaczały wieżę, Kitiara słyszała stukot butów przy zmianie warty na murach. Znowu znajdowała się między żywymi.

Zaczerpnęła głęboko tchu, po czym rzekła do lorda Sotha: – Trzeba go powstrzymać. Upiorny rycerz nic nie rzekł.

– To nie będzie łatwe, wiem – powiedziała Kitiara, nakładając smoczy hełm i idąc szybko do Skie, który trium – falnie zadań łeb na jej widok. Klepiąc czule smoka po karku, Kitiara

odwróciła się do upiornego rycerza.

– Nie musimy przeciwstawiać się Raistlinowi bezpośrednio. Jego plan zależy od pani Crysanli. Usuńmy ją, a powstrzymamy jego. Prawdę mówiąc, on nie musi się dowiedzieć, że miałam z tym coś wspólnego. Wielu zginęło, próbując dostać się do lasu Wayreth. Czyż nie tak?

Lord Soth skinął głową, a jego płonące oczy zaśniły jaśniej.

– Ty się tym zajmiesz. Spraw, by wyglądało to na... przeznaczenie – powiedziała Kitiara. – Mój braciszek najwyraźniej w nie wierzy. – Dosiadła smoka. – Kiedy był mały, nauczyłam go, że odmowa wykonania mojego polecenia oznacza lanie. Zdaje się, że znów musi dostać nauczkę!

Wydała rozkaz i potężne tylne nogi Skie wbiły się w chodnik, rozbijając bruk. Smok skoczył, rozpostarł skrzydła i wzniósł się na poranne niebo. Mieszkańcy Palanthas odnieśli wrażenie, jakby zdjęto im kamień z serca, lecz nic więcej nie wiedzieli. Niewielu zobaczyło odlatującego smoka i jeźdźca.

Lord Soth został na obrzeżu zagajnika Shoikan.

– Ja również wierzę w przeznaczenie, Kitiaro – szepnął upiorny rycerz. – To, które człowiek sam sobie wykuwa.

Zerkając w górę, na okna Wieży Wielkiej Magii, Soth zobaczył, że w pokoju, w którym byli zgasło światło. Na krótką chwilę wieża pogrzyżyła się w wiecznej ciemności, która zdawała się ją spowijać, ciemności, której nie mogło przeniknąć słońce. Potem zapaliło się jedno światełko w pomieszczeniu na szczycie.

Było to laboratorium maga, mroczna i tajna komnata, w której Raistlin odprawiał swe czary.

– Ciekawe, kto dostanie nauczkę? – mruknął Soth. Wzruszywszy ramionami znikł, rozpuszczając się w cieniach, które gasły w miarę zbliżania się brzasku.

## **Rozdział VI**

Zatrzymajmy się tu – powiedział Caramon, idąc w stronę walącej się chałupy, która stała na uboczu traktu, wtulona w zarośla niczym nieufne zwierzę. – Może tam była.

– Szczerze w to wątpię – powiedział Tas, z powątpiewaniem przyglądając się szyldowi, który wisiał na łańcuchu nad drzwiami. – „Pod Pękniętym Kuflem” – to chyba nie jest najlepsze miejsce...

– Bzdury – burknął Caramon. Uczynił to więcej razy podczas tej podróży, niż Tas umiał zliczyć. – Ona musi jeść. Nawet takie zakichane wielkie kapłanki muszą jeść. A może okaże się, że ktoś tu ją widział na szlaku. Nam szczęście nie dopisuje.

– Nie – mruknął Tasslehoff pod nosem – ale moglibyśmy mieć więcej szczęścia, gdybyśmy szukali na drodze, a nie w karczmach.

Byli w drodze od trzech dni i najgorsze przypuszczenia Tasa zaczynały się sprawdzać. Normalnie kenderzy są entuzjastami podróży. Wszystkich kenderów nachodzi nieod – parta chęć wędrowki około dwudziestego roku życia. W tym czasie radośnie wyruszają w nieznaną z zamiarem znalezienia przygód i wszelkich pięknych, okropnych, czy ciekawych przedmiotów, jakie przez przypadek mogą zawędrować do ich wypchanych sakiewek. Całkowicie odporna na samozachowawcze uczucie strachu i dotknięta nie zaspokojoną ciekawością populacja kenderów na Krynnie nie należała do wielkich, za co większość Krynnu była dozgonnie wdzięczna.

Tasslehoff Burrfoot, obecnie zbliżający się do trzydziestki (przynajmniej, o ile pamiętał), pod wieloma względami był typowym kenderem. Przemierzył wzdłuż i wszerz cały kontynent ansaloński, pierw z rodzicami, zanim osiedlili się na stałe w Kenderówku. Po osiągnięciu pełnoletności wędrował sam, aż spotkał Flinta Fireforge, krasnoludzkiego kowala, i jego przyjaciela, Tanisa Półelfa. Po tym, jak przyłączył się do nich Sturm Brightblade, rycerz solamnijski, i bliźniacy, Caramon i Raistlin, Tas wziął udział w najcudowniejszej przygodzie swego życia – Wojnie Lancy.

Jednakże pod wieloma względami Tasslehoff nie był typowym kenderem, choć zaprzeczyłby temu, gdyby o tym wspomniano. Strata dwóch ludzi, których bardzo kochał Sturm Brightblade i Flinta – dotknęła kendera głęboko. Poznał uczucie strachu, nie strachu o siebie, lecz obawy i troski o tych, na których mu zależało. W tej chwili bardzo martwił się o Caramona.

Jego troska rosła z każdym dniem.

Z początku wyprawa była zabawna. Kiedy Caramon przestał się dąsać z powodu braku litości Tiki i ogólnej niezdolności świata do zrozumienia go, pociągnął kilka łyków z flaszki i poczuł się lepiej. Po następnych kilku łykach zaczął opowiadać historyjki z czasów, gdy tropił smokowców. Tasa bardzo to śmieszyło i bawiło, i choć musiał stale pilnować Bupu, aby nie

wpadła pod jakiś wóz albo nie utopiła się w błocie, spędził poranek bardzo miło.

Do południa flaszka była pusta, a Caramon był w tak dobrym humorze, że gotów był wysłuchać kilku historii Tasa, które ten mógł powtarzać w nieskończoność. Na nieszczęście, w najlepszym momencie, właśnie gdy uciekał z włochatym mamutem, a czarnoksiężnicy strzelali do niego błyskawicami, Caramon dotarł do karczmy.

– Tylko napełnię flaszkę – wymamrotał i wszedł do środka.

Tas chciał pójść za nim, lecz zobaczył Bupu, która z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrywała się w rozpalone do czerwoności palenisko w kuźni po przeciwnej stronie drogi. Uświadomiwszy sobie, że krasnoludka podpali albo siebie, albo miasteczko, albo jedno i drugie, i wiedząc, że nie może zabrać jej do karczmy (w większości odmawiano obsługiwanie krasnoludów żlebowych), Tas doszedł do wniosku, że zostanie i będzie miał ją na oku. W końcu Caramona nie będzie prawdopodobnie tylko kilka chwil...

Dwie godziny później wielki mężczyzna wyszedł, zataczając się.

– Gdzieś ty się podziewał, w imię Otchłani? – spytał Tas, skacząc na Caramona jak kot.

– Tylko wypilem... troszeczkę... trosz... – Caramon zachwiał się niepewnie – ...na drogę.

– Ja mam misję! – wrzasnął poirytowany Tas. To moja pierwsza misja, przydzielona mi przez Ważną Osobę, która może być w niebezpieczeństwie. A siedzę tu od dwóch godzin z krasnoludka żlebową! – Tas wskazał na Bupu, która spała w rowie. – W życiu tak się nie nudziłem, a ty siedzisz tam sobie i zalewasz się krasnoludzką wódką!

Caramon spojrział na niego spode łba i wydał wargi. Wiesz co – wymamrotał olbrzymi mężczyzna, idąc drogą i zataczając się – zaszynasz mówić całkiem jak Tika...

Od tej pory sytuacja zaczęła się szybko pogarszać. Wieczorem dotarli do rozstajnych dróg.

– Chodźmy tędy – wskazał Tas. – Pani Crysania z pewnością wie, że ludzie będą się starali ją zatrzymać. Pojedzie niezbyt uczęszczaną drogą, by zmylić i zgubić pościg.

Sądzę, że powinniśmy pójść tą samą ścieżką, którą dwa lata temu opuszczaliśmy Solące...

– Bzdury! – parsknął Caramon. – Ona jest kobietą i w dodatku kapłanką. Wybierze łatwiejszą drogę. Pójdziemy drogą do Haven.

Tas miał wątpliwości co do tej decyzji i jego powątpiewania okazały się nie pozbawione podstaw. Przebyli nie więcej niż kilka kilometrów, gdy natknęli się na kolejną karczmę.

Caramon wszedł do środka, by dowiedzieć się, czy ktoś nie widział kobiety odpowiadającej opisowi pani Crysanii, zostawiając Tasa – znowu – z Bupu. Godzinę później potężny mężczyzna wyszedł z zaczerwienioną twarzą i wesołą miną.

– I jak tam, ktoś ją widział? – spytał rozzłoszczony Tas.

– Kogo widział? Aa – ją? Nie...

A teraz, dwa dni później, znajdowali się zaledwie w połowie drogi do Haven. Kender jednakże mógłby napisać o przydrożnych karczmach.

– Dawniej – złościł się Tas – mogliśmy przez ten czas zawędrować pieszo do Tarsis i z powrotem!

– Wtedy byłem młodszy i niedojrzały. Moje ciało jest teraz dojrzałe, a ja muszę nabierać sił – stwierdził wyniośle Caramon – po troszeczku.

– On czegoś nabiera po troszeczku – ponuro powiedział do siebie Tas – ale na pewno nie sił!

Caramon nie był w stanie maszerować dłużej niż godzinę, później musiał usiąść i odpocząć. Często padał całkiem wykończony, zlany potem i jęczał boleśnie. Trzeba było siły Tasa, Bupu i butelki krasnoludzkiej gorzałki, by go znów postawić na nogi. Caramon uskarżał się gorzko i bezustannie. Zbroja go uwierała, dokuczał mu głód, słońce świeciło za mocno, chciało mu się pić. Pod wieczór upierał się, żeby zanocować w jakiejś nędznej oberży. Tam Tas miał przyjemność przyglądać się, jak olbrzymi mężczyzna upija się do nieprzytomności. Tas z oberżystą zaciągali go potem do jego pokoju, gdzie spał aż do następnego poranka.

Po trzecim dniu (i dwudziestym karczmiem), wciąż nie znalazłszy śladu pani Crysanii, Tasslehoff poważnie się zastanawiał nad powrotem do Kenderówka, kupieniem ładnego domku i zaprzestaniem poszukiwania przygód.

Zbliżało się południe, gdy dotarli do karczmy „Pod Pękniętym Kuflem”. Caramon natychmiast zniknął wewnątrz. Wydawszy westchnienie, które zdawało się zaczynać w czubkach nowych, jaskrawozielonych butów, Tas razem z Bupu zostali na zewnątrz, przyglądając się w ponurym milczeniu niechlujnej karczmie.

– Mnie się to już nie podobać – oświadczyła Bupu i spojrzała na Tasa oskarżycielsko. – Ty mówić my iść znaleźć ładnego pana w czerwonych szatach. My znaleźć tylko jeden tłusty pijak. Moja wracać do domu, do Wielkiego Bulpa, Phudga I.

– Nie, nie odchodź! Jeszcze nie! – krzyknął rozpaczliwie Tas. – Znajdziemy tego... hm... ładnego pana. A przynajmniej ładną panią, która chce pomóc ładnemu panu. Może... może tutaj czegoś się dowiemy.

Było oczywiste, że Bupu mu nie wierzy. Tas sam sobie nie wierzył.

– Posłuchaj – rzekł. – Tylko poczekaj tu na mnie. To już niedaleko. Wiem – przyniosę ci coś do jedzenia. Obiecasz, że nie pójdziesz sobie?

Bupu mlasnęła z powątpiewaniem przyglądając się Tasowi. – Ja poczekać – stwierdziła i pacnęła na błotnistą drogę. – Przynajmniej do obiadu.

Zdecydowanie wysunąwszy ostry podbródek, Tas pośpieszył za Caramonem do karczmy. Będzie musiał porozmawiać z nim...

Okazało się jednak, że nie było to konieczne.

– Wasze zdrowie, panowie – rzekł Caramon, wznosząc szklanekę do nie domytej gromady tłoczącej się w knajpie. Nie było ich aż tak wielu: kilku podróżujących kras – noludów siedzących przy drzwiach i grupa ludzi ubranych jak łowcy, którzy wznieśli kufle w odpowiedzi

na toast.

Tas usiadł obok Caramona tak przygnębiony, że aż oddał sakiewkę, którą jego ręce (bez udziału jego świadomości) zwinęły z paska jednego z wymijanych krasnoludów.

– Chyba pan to upuścił – wymamrotał Tas, podając ją krasnoludowi, który przyglądał mu się ze zdumieniem.

– Szukamy pewnej młodej kobiety – powiedział Caramon, szykując się na spędzenie tu popołudnia. Wyrecytował jej rysopis tak samo, jak czynił to w każdej karczmie od chwili opuszczenia Solące. – Czarne włosy, delikatna, blada twarz, białe szaty. Jest kapłanką...

– Aha, widzieliśmy ją – stwierdził jeden z łowców. Caramon zakrztusił się piwem, które trysnęło mu z ust.

– Naprawdę? – wysapał, kaszląc. Tas ożywił się. – Gdzie? – spytał z zapalem.

– Kręciła się po lesie na wschód stąd – powiedział łowca, wskazując kciukiem.

– Taak? – spytał podejrzliwie Caramon. – A co wy tam robiliście?

– Ścigamy goblinów. W Haven wyznaczono za nich nagrodę.

– Trzy sztuki złota za uszy goblina – powiedział jego przyjaciel, wykrzywiając się w bezzębnym uśmiechu – jeśli macie ochotę spróbować szczęścia.

– I co z tą kobietą? – dopytywał się Tas.

– Chyba jakaś wariatka. – Łowca pokiwał głową. Powiedzieliśmy jej, że okolica roi się od goblinów, i że nie powinna być tam sama. Ona oznajmiła tylko, że jest w rękach Paladine'a, czy kogoś takiego, i że on się o nią zatroszczy.

Caramon westchnął głęboko i uniósł szklanicę do ust. To brzmi jak jej słowa...

Podskoczywszy, Tas wyrwał wielkiemu mężczyźnie szklanke z ręki.

– Co jest? – Caramon spojrzał na niego wściekle.

– Chodźmy! – powiedział Tas, szarpiąc go. – Musimy iść! Dzięki za pomoc – wysapał, ciągnąc Caramona do drzwi. – Gdzie ją widzieliście?

– Szesnaście kilometrów na wschód stąd. Za karczmą znajdziecie szlak. Odchodzi od głównego traktu. Idźcie nim, a zaprowadzi was przez las. Kiedyś był to skrót do Gateway, zanim zrobiło się zbyt niebezpiecznie, by nim podróżować.

– Dzięki jeszcze raz! – Tas wypchnął za drzwi wciąż protestującego Caramona.

– Do licha, co ci się tak śpieszy? – warknął gniewnie Caramon, wyszarpując się z jego rąk. – Mogliśmy chociaż zjeść kolację...

– Caramonie! – powiedział z naciskiem Tas, nie mogąc ustać w miejscu. – Pomyśl! Przypomnij sobie! Czy nie zdajesz sobie sprawy, gdzie ona jest? Szesnaście kilometrów na wschód stąd! Spójrz! – Otworzywszy szarpnięciem jedną ze swoich toreb, Tas wyciągnął plik map. Pośpiesznie przeglądał je. – Spójrz – powtórzył wreszcie, rozwijając mapę i podsuwając Caramonowi pod zaczerwieniony nos.

Wielki mężczyzna spojrział mętnym wzrokiem.

– He?

– Och, na miłość... Spójrz, jesteśmy tu, o ile się orientuję. A tu jest Haven, dalej na południe od nas. Tam jest Gateway. A tu jest ścieżka, o której oni mówili, a tu? Tas wskazał palcem.

Caramon zmrużył oczy. – Mro-Mro-Mrocza Puszcza – wymamrotał. – Mrocza Puszcza. Jakoś znajomo brzmi...

– Oczywiście, że brzmi znajomo! Omal tam nie zginęliśmy! – wrzasnął Tas, wymachując rękoma. – Trzeba było Raistlina, żeby nas ocalić...

Widząc ponury grymas Caramona, Tas spiesznie ciągnął dalej. – A co będzie, jeśli ona zawędruje tam sama? spytał błagalnie.

Caramon spojrział na las, mętnym wzrokiem przyglądając się wąskiej, zarośniętej ścieżce. Nadał się jeszcze bardziej.

– Przypuszczam, zechcesz, żebym ją zatrzymał – burknął.

– Ależ oczywiście, musimy ją zatrzymać! – zaczął Tas, po czym nagle zamilkł. – Ty nigdy nie miałeś takiego zamiaru – stwierdził cicho kender, przyglądając się Caramonowi. – Przez cały czas wcale nie miałeś zamiaru iść za nią. Chciałeś pokręcić się po okolicy przez kilka dni, wypić kilka głębszych, pośmiać się trochę, a potem wrócić do Tiki i powiedzieć jej, że jesteś żalonym nieudacznikiem, w nadziei, że przyjmie cię z powrotem jak zawsze...

– Więc czego się po mnie spodziewałeś? – warknął Caramon, unikając pełnego wyrzutu spojrzenia Tasa. Jak mam pomóc tej kobiecie odnaleźć Wieżę Najwyższej Magii, Tas? – Zaczął żałośnie pochlipywać. – Ja jej nie chcę znaleźć! Przysiągłem sobie, że nigdy nie zbliżę się do tego okropnego miejsca! Oni go tam zniszczyli, Tas. Kiedy wyszedł, jego skóra miała dziwny, złoty odcień. Dali mu ten przeklęty wzrok, tak że teraz widzi tylko śmierć. Strzaskali jego ciało. Nie może teraz zaczerpnąć tchu bez kaszlu. I kazali mu... kazali mu zabić mnie! – Caramon zdławił te słowa i ukrył twarz w dłoniach, szlochając z cierpienia i drżąc ze strachu.

– On-on cię nie zabił, Caramonie – powiedział Tas, czując się całkowicie bezradny. – Tanis opowiedział mi. To był tylko twój wizerunek. A on był chory, przerażony i bardzo zbolały w środku. Nie wiedział, co robi...

Jednak Caramon tylko pokręcił głową. Kender o czułym sercu nie mógł mieć mu tego za złe. Nic dziwnego, że nie chce tam wracać, pomyślał z żalem kender. Może powinienem go zabrać do domu. W takim stanie z pewnością na niewiele może się przydać komukolwiek. Jednak wtedy Tas przypomniał sobie o pani Crysanii, zupełnie samej, zabłąkanej w Mroczej Puszczy...

– Już kiedyś rozmawiałem tam z duchem – szepnął Tas – ale wcale nie jestem pewien, czy oni pamiętaliby mnie. Są tam też gobliny. Nie boję się ich, ale nie sądzę, żeby udało mi się pokonać więcej niż trzech czy czterech.

Tasslehoff wciąż nie wiedział, co robić. Gdyby Tanis tu 11 był! Półelf zawsze wiedział, co

powiedzieć, co robić. Przemówiłby Caramonowi do rozumu. Jednak Tanisa tu nie ma, rzekł we wnętrzu kendera surowy głos, który czasami podejrzenie brzmiał jak głos Flinta. Decyzja należy do ciebie, głąbie kapuściany!

Ja nie chcę, żeby ona zależała ode mnie! jęknął Tas, a potem odczekał chwilę, by sprawdzić, czy głos mu odpowie. Nie odpowiedział. Tas był sam.

– Caramonie – rzekł najbardziej tubalnie, jak potrafił, bardzo starając się, by jego głos brzmiał jak głos Tanisa.

– Posłuchaj, chodź z nami tylko do obrzeża lasu Wayreth. Potem będziesz mógł pójść do domu. Wtedy zapewne będziemy już bezpieczni...

Caramon jednak nie słuchał. Pokonany przez alkohol i litość nad sobą, osunął się na ziemię. Oparty o drzewo bełkotał coś bez sensu o bezimiennych strachach i błagał Tikę, żeby go znów przygarnęła.

Bupu stanęła przed ogromnym wojownikiem. – Ja iść sobie – oświadczyła z odrazą. – Ja nie chcę pijany, zaśliniony grubas, ja takiego znaleźć dużo w domu. – Pokiwawszy głową, ruszyła przed siebie. Tas pobiegł za nią, dogonił i przyciągnął z powrotem.

– Nie, Bupu! Nie możesz! Jesteśmy niemal na miejscu! Nagle cierpliwość Tasslehoffa dobiegła kresu. Tanisa tu nie było. Nie było nikogo, kto mógłby pomóc. Zupełnie jak wtedy, gdy stłukł smoczą kulę. Może to, co robi, nie było właściwe, ale tylko to przychodziło mu na myśl. Tas podszedł do Caramona i kopnął go w goleń.

– Auu! – zawył Caramon, zaskoczony. Spojrzał na Tasa urażony i zdumiony. – Po coś to zrobił?

W odpowiedzi Tas kopnął go znowu, z całych sił. Caramon jęknął i chwycił się za nogę.

– Hej, teraz jest fajnie – stwierdziła Bupu. Podbiegła radośnie i kopnęła Caramona w drugą nogę. – Ja teraz zostać.

Olbrzymi mężczyzna ryknął. Zerwał się na nogi i spojrzał wściekle na Tasa. – Do licha, Burrfoot, jeśli to jedna z twoich zabaw...

– To nie zabawa, ty wielki byku! – krzyknął kender. – Postanowiłem kopniakami wtłoczyć ci trochę rozumu do łba, nic więcej! Mam powyżej dziurek w nosie twojego skomlenia! Nic innego nie robiłeś przez wszystkie te lata, tylko skomlałeś! Szlachetny Caramon, który poświęcił wszystko dla swego niewdzięcznego brata. Kochający Caramon, zawsze myślący wpierw o Raistlinie! Cóż – może tak, a może nie. Zaczynam myśleć, że zawsze myślałeś wpierw o Caramonie! I może Raistlin w głębi duszy wiedział to, czego ja teraz zaczynani się domyślać! Robiłeś to tylko dlatego, że dzięki temu czułeś się dobry! Raistlin nie potrzebował ciebie – to ty go potrzebowałeś! Żyłes jego życiem, bo bałeś się żyć własnym!

Oczy Caramona połyskiwały gorączkowo, twarz zbiełała mu z gniewu. Powoli wstał, zaciskając ogromne pięści. Tym razem posunął się za daleko, ty mały draniu...



– Czyżby? – Tas wrzeszczał z całych sił i podskakiwał. – No, to posłuchaj tego, Caramonie! Zawsze szlochałeś, że nikt ciebie nie potrzebuje. Czy zatrzymałeś się na chwilę, żeby pomyśleć, że Raistlin teraz potrzebuje ciebie bardziej niż kiedykolwiek? A pani Crysania – ona ciebie potrzebuje! A ty tu stoisz jak wielka góra trzęsącej się galarety, z przesiąkniętym alkoholem i rozmiękczonego mózgiem!

Tasslehoff sądził przez chwilę, że rzeczywiście posunął się za daleko. Caramon zrobił chwiejny krok naprzód. Jego twarz była nabrzmiąta, brzydka, pokryta plamami. Bupu pisnęła i schowała się za Tasa. Kender nie cofnął się – zupełnie jak wtedy, gdy rozwścieczeni elfi panowie zamierzali rozplatać go na pół za to, że rozbił smoczą kulę. Caramon górował nad nim złowieszczo, a jego cuchnący wódką oddech niemal doprowadził Tasa do wymiotów. Kender odruchowo zamknął oczy. Nie ze strachu, tylko żeby nie widzieć udreki i wściekłości na twarzy Caramona.

Stał przygotowany, czekając na cios, który prawdopodobnie przepchnie mu nos na drugą stronę głowy.

Jednakże cios nie padł. Dał się słyszeć odgłos łamanych gałęzi i wielkich stóp przedzierających się przez gęste poszycie.

Tas ostrożnie otworzył oczy. Caramon znikł na szlaku wiodącym do lasu. Tas westchnął, przyglądając się oddalającemu mężczyźnie. Bupu wychyła z za pleców kendera.

– To fajne – oświadczyła. – To ja zostanę. Może znowu się pobawimy?

– Nie sądzę, Bupu – stwierdził żałośnie Tas. Chodźmy. Myślę, że lepiej będzie pójść za nim.

– No, dobra – oświadczyła filozoficznie krasnoludka żlebowa. – Znajdzie się jakaś inna zabawa, równie fajna.

– Taak – zgodził się zamyślony Tas. Odwróciwszy się z obawą, że ktoś w tej nędznej karczynie mógł podsłuchać i narobić kłopotów, kender rozwarł szeroko oczy.

Karczma „Pod Pękniętym Kuflem” nie było. Znikł rozsypujący się budynek, szyld dyndający na jednym łańcuchu, krasnoludowie, łowcy, karczmarz, nawet szklanka, którą Caramon podnosił do ust. Wszystko rozwiało się w popołudniowym powietrzu niczym zły sen po przebudzeniu.

## **Rozdział VII**

*Śpiewaj, gdy w oczach ci się dwoi,  
Śpiewaj, gdy wódka gra dla ciebie,  
Brzydka Jane to śliczna Lindas  
Gdy sześć księżyców świeci na niebie.*

*Śpiewaj za żeglarską śmiałość,  
Śpiewaj, póki nie jest z ciebie trup,  
Rubinowe porto to jest przystań twa,  
No to chlup w ten głupi dziób.*

*Śpiewaj, póki kordiał serca płynie,  
Śpiewaj za ten absynt trosk,  
Śpiewaj za kielicha na zawitą drogę,  
I za klina i karafek wosk.*

*Wszystkie kelnerki cię kochają,  
Każdy pies przyjaciel twój po grób,  
Cokolwiek powiesz, to na myśli miałeś,  
Więc chlup w ten głupi dziób.*

Zanim zapadł zmierzch, Caramon był pijany w sztok.

Tasslehoff i Bupu dogonili ogromnego mężczyznę, gdy stanął na środku szlaku, pijąc z flaszki ostatki krasnoludzkiej gorzałki. Odchylił głowę do tyłu, by wysączyć ją do ostatniej kropli. Kiedy wreszcie opuścił butelkę, uczynił to tylko po to, by zajrzeć do niej z rozczarowaniem. Chwiejąc się na nogach, potrząsnął nią.

– Nic nie zostało. – Tas usłyszał jego żalosne mamrotanie.

Kender podupadł na duchu.

– No to już koniec – mruknął do siebie żałośnie. Nie mogę mu powiedzieć o znikającej gospodzie. Nie w tym jego stanie! Pogorszyłbym tylko sytuację!

Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo, póki nie zbliżył się do Caramona i nie klepnął go po ramieniu. Wielki mężczyzna odwrócił się gwałtownie w pijackim zaniepokojeniu.

– Czo jest? Kto tu? – Rozglądał się po szybko ciemniejącym lesie.

– To ja, tu na dole – odezwał się nieśmiałym głosem Tas. – Ja-ja tylko chciałem powiedzieć,

że jest mi przykro, Caramonie, i...

– Hm? Och... – Zatoczywszy się do tyłu, Caramon przyjrzał mu się, po czym wyszczerzył zęby w głupim uśmiechu. – Oo, cześć malutki. Kender – jego spojrzenie powędrowało teraz do Bupu – i źle-źle-źlebowa ksroludka – dokończył pośpiesznie, po czym się skłonił. Jak was zwać?

– Co? – spytał Tas.

– Jakwaszwać? – powtórzył z godnością Caramon.

– Przecież znasz mnie, Caramonie – powiedział zdumiony Tas. – Ja jestem Tasslehoff.

– Ja Bupu – odpowiedziała krasnoludka źlebowa i rozpromieniła się, najwyraźniej mając nadzieję, że to kolejna zabawa. – Kto ty?

– Wiesz przecież, kim on jest – zaczął poirytowa – ny Tas, a potem niemal połknął język, gdy Caramon mu przerwał.

– Jestem Raistlin – rzekł ogromny mężczyzna z powagą, jeszcze raz kłaniając się chwiejnie.

– Wie-wielki i po-po-potężny czarodziej.

– Och, przestań już, Caramonie! – rzekł Tas z odrazą.

– Powiedziałem, że jest mi przykro, więc nie rób...

– Caramon? – Wielki mężczyzna otworzył szeroko oczy, po czym zmrużył je chytrze. – Caramon nie żyje. Zabiłem go. Dawno temu w Wie-w Wiewż – w Wiewży WielMagii.

– Na brodę Reorxa! – westchnął Tas.

– On nie Raistlin! – parsknęła Bupu. Potem zatrzymała się, przyglądając mu się z powątpiewaniem. – On to?

– N-nie! Skądże! – wypalił Tas.

– To nie fajna zabawa! – stwierdziła zdecydowanie Bupu. – Moja nie lubić! On nie ładny pan, który miły dla mnie. On gruby opój. Ja iść do domu. – Rozejrzała się.

– Którędy do domu?

– Nie teraz, Bupu! – Co tu się dzieje? Tas zastanawiał się posepnie. Chwyciwszy się za kitkę, szarpnął nią mocno. Oczy mu zaszyły łzami z bólu i kender westchnął z ulgą. Przez chwilę sądził, że nieświadomie zasnął.

Jednakże najwyraźniej była to rzeczywistość – aż nazbyt realna. Przynajmniej dla niego, bo dla Caramona była to zupełnie inna historia.

– Patrz – powiedział z namaszczeniem Caramon, chwiejąc się to w jedną, to w drugą stronę. – Szucam czary.

– Uniósł ręce i wyrzucił z siebie stek bzdur. – Popiólikurz i muszy kusz! Burrung! – Wskazał na drzewo. – Puf! szepnął, zataczając się o krok do tyłu. – Stań w płomieniach! Stań! Stań! Pal się, pal, pal... Człkiem jak biedny Caramon. – Zachwiał się i ruszył ścieżką chwiejnym krokiem.

– Wszystkie kelnerki cię kochają – śpiewał. – Każdy pies przyjaciół twój po grób. Cokolwiek powiesz, to na myśli m-miałeś...

Załamując ręce, Tas pośpieszył za nim. Bupu dreptała z tyłu.

– Drzewo nie palić się – powiedziała surowo do Tasa.

– Wiem! – jęknął Tas. – Tylko, że... on sądzi...

– On kiepski magik. Moja kolej. – Pogrzebawszy w ogromnej torbie, o którą stale się potykała, Bupu wydała okrzyk zwycięstwa i wyciągnęła bardzo sztywnego, bardzo zdechłego szczura.

– Nie teraz, Bupu... – zaczął Tas, czując, że traci resztki własnych zdrowych zmysłów. Caramon na przedzie przestał śpiewać i krzyczał coś o zasnuciu lasu pajęczynami.

– Ja zamierzać mówić magiczne słowo – oświadczyła Bupu. – Ty nie słuchać. Popsujesz efekt.

– Nie będę słuchał – rzekł zniecierpliwiony Tas, starając się dogonić Caramona, który mimo zataczania się, sunął naprzód z niezłą szybkością.

– Ty słuchać? – spytała Bupu, sapiąc za nim.

– Nie – powiedział Tas z westchnieniem.

– Czemu nie?

– Nie pozwoliłaś mi! – wrzasnął doprowadzony do rozpaczyny Tas.

– Ale skąd ty wiedzieć, kiedy nie słuchać, jeśli ty nie słuchać? – spytała gniewnie Bupu. – Ty próbować ukraść magiczne słowo! Ja iść do domu.

Krasnoludka żlebową stanęła jak wryta, wykonała w tył zwrot i podreptała z powrotem szlakiem. Tas zatrzymał się z poślizgiem. Widział już Caramona, który przywarł do drzewa i – sądząc po odgłosach – wyczarowuje stado smoków. Wyglądało na to, że ogromny mężczyzna zostanie w jednym miejscu, przynajmniej przez jakiś czas. Klnąc pod nosem, kender odwrócił się i pobiegł za krasnoludką żlebową.

– Zatrzymaj się, Bupu! – krzyknął rozpaczliwie, chwytając garść brudnych gałęzi, które omyłkowo wziął za jej ramię. – Przysięgam, nigdy nie skradłbym twego magicznego słowa!

– Ukradłeś je! – wrzasnęła krasnoludka, grożąc mu zdechłym szczurem. – Powiedziałeś je!

– Co powiedziałem? – spytał Tasslehoff, zupełnie zbity z tropu.

– Tajne, magiczne słowo! Ty mówić! – wrzasnęła rozwścieczona Bupu. – Tu! Patrz! – Wyciągając przed siebie nieżywego szczura, wskazała przed siebie na ścieżkę i krzyknęła: – Ja teraz mówić tajne, magiczne słowo tajne, magiczne słowo! Masz. Teraz zobaczymy bomba czary.

Tas chwycił się za głowę. Zakręciło mu się w niej.

– Patrz! Patrz! – wrzasnęła Bupu triumfalnie, pokazując brudnym palcem. – Widzisz? Ja zapaliłam ogień. Tajne, magiczne słowo nigdy nie zawieść. Umf. On kiepski magik.

Zerknąwszy w głąb szlaku, Tas zamrugał. Rzeczywiście przed nimi widać było płomienie.

– Zdecydowanie wracam do Kenderówka – mruknął cicho do siebie. – Kupię sobie mały

domek... albo wprowadzę się do rodzinki na jakieś kilka miesięcy, zanim nie poczuję się lepiej.

– Kto tam? – zawołał donośny, krystaliczny głos. Tasslehoff doznał ulgi. – To obozowe ognisko! – bełkotał, wpadłszy niemal w histerię z radości. I ten głos! Pośpieszył przed siebie, biegnąc przez ciemność w stronę blasku. – To ja – Tasslehoff Burrfoot. Ja – uf!

To „uf” zostało spowodowane tym, iż Caramon złapał kendera w swe silne ramiona, podniósł i dłonią zatkał mu usta.

– Szsz – szepnął Caramon Tasowi do ucha. Od wyziewów jego oddechu Tasowi zakręciło się w głowie. Ktosz tam jest!

– Mpf blsxtchscat! – Tas wił się rozpaczliwie, starając wyślizgnąć z objęć Caramona. Olbrzym bezlitośnie dusił kendera.

– Tak właśnie myślałem – szepnął Caramon, kiwając głową z namaszczeniem, jeszcze mocniej przyciskając dłoń do ust kendera.

Tas zobaczył niebieskie gwiazdy. Rozpaczliwie się wydierał, z całych sił odrywając ręce Caramona, lecz byłby to kres krótkiego, choć ekscytującego życia kendera, gdyby Bupu niespodziewanie nie pojawiła się pod nogami Caramona.

– Tajne, magiczne słowo! – krzyknęła, podsuwając Caramonowi pod nos zdechłego szczura. Odległy blask ogniska odbijał się w czarnych ślepiach truchła i połyskiwał na ostrych zębach wyszczerzonych w wiecznym uśmiechu.

~ AJjj! „~ wrzasnął Caramon i wypuścił kendera. Tas ciężko upadł na ziemię, głos’no dysząc.

– Co tu się dzieje? – spytał chłodny głos.

– Przybyliśmy... z pomocą... – powiedział Tasslehoff, wstając niezbyt pewnie.

Opatulona w futra postać w białej szacie pojawiła się na ścieżce przed nimi. Bupu spojrzała na nią z głęboką podejrzliwością.

– Tajne, magiczne słowo – stwierdziła krasnoludka żłebowa, wymachując zdechłym szczurem przed nosem wielebnej córce Paladine’a.

– Wybacz mi, jeśli nie okazuję szaleńczej wdzięczności – rzekła pani Crysania do Tasslehoffa, kiedy później tego wieczoru siedzieli przy ognisku.

– Wiem. Przepraszam – powiedział Tasslehoff. Siedział zgarbiony na ziemi. – Wszystko popsułem. Zazwyczaj tak robię – ciągnął żałośnie. – Proszę spytać kogokolwiek. Często mi mówiono, że doprowadzam ludzi do szału, ale pierwszy raz zdarzyło mi się to zrobić naprawdę!

Pociągając nosem, kender zerknął z troską na Caramona. Wielki mężczyzna siedział przy ogniu, zawinięty w swą pelerynę. Znajdując się wciąż pod wpływem krasnoludzkiej gorzałki, raz był Caramonem, a raz Raistlinem. Jako Caramon jadł żarłocznie, ze smakiem wpychając jedzenie do ust.

Potem uraczył ich kilkoma rubasznymi balladami – ku uciesze Bupu, która klaskała nie do

rytmu i głośno wtórowała przy refrenach. Tas czuł się rozdarty: miał ochotę roześmiać się jak szalony albo wczołgać pod kamień i skonać ze wstydu.

Niemniej jednak, wzdrygnąwszy się, kender doszedł do wniosku, iż stokroć woli Caramona z jego rubasznymi pieśniami od Caramona/Raistlina. Przemiana nastąpiła nagle, prawdę powiedziawszy, w środku piosenki. Masywny mężczyzna zgarbił się, zaczął kaszleć, a potem – przyglądając im się zwężonymi oczyma – chłodno nakazał sobie milczenie.

– Ty mu tego nie zrobiłeś – powiedziała pani Crysania do Tasa, mierząc Caramona chłodnym spojrzeniem. – To wódka. Ten człowiek jest nieokrzesany, tępy i najwyraźniej brak mu opanowania. Pozwala swoim żądom wziąć górę nad sobą. Dziwne to, nieprawdaz, iż on i Raistlin są bliźniaczymi braćmi? Jego brat jest tak bardzo opanowany, taki zdyscyplinowany, inteligentny i wyrafinowany.

Wzruszyła ramionami. – Och, nie ma wątpliwości, że temu biedakowi należy wielce współczuć. – Wstała i zbliżywszy się do swego uwiązane konia, zaczęła odpinać koc umocowany za siodłem. – Będę o nim pamiętać w modłach do Paladine’a.

– Jestem pewien, że modlitwy nie zaszkodzą stwierdził Tas z powątpiewaniem. – Jednak sądzę, że mocna herbata z tarbeanu mogłaby być w tej chwili jeszcze lepsza.

Crysania odwróciła się i posłała kenderowi pełne wyrzutu spojrzenie. – Pewna jestem, że nie zamierzałeś bluźnić. W związku z tym uznaję, że niczego innego nie miałeś na myśli poza tym, co rzekłeś. Proszę jednak, byś zadał sobie trud spoglądania na sprawy nieco poważniej.

– Ja byłem poważny – zaprotestował Tas. – Caramon potrzebuje teraz tylko kilka kubków dobrej, mocnej herbaty z tarbeanu...

Ciemne brwi Crysanii uniosły się tak gwałtownie, że Tas zamilkł, choć nie miał zielonego pojęcia, co takiego powiedział, że ją tak zezłościł. Zaczął odpakowywać swe koce, w humorze tak podłym, że nie przypominał sobie, kiedy było gorzej. Czuł się tak, jak wtedy gdy jechał na smoczym grzbiecie z Flintem podczas bitwy nad równinami Estwilde. Smok wzbił się w chmury, a potem wyłonił się z nich, wirując wokół własnej osi. Przez kilka chwil góra była dołem, niebo było poniżej, ziemia nad głową, a potem – szuu! w chmury i wszystko znikło w mgłę.

W głowie miał wtedy taki zamęt jak teraz. Pani Crysania podziwiała Raistlina i litowała się nad Caramonem. Tas nie był pewien, lecz wydawało mu się, że powinno być na odwrót. A potem jeszcze ten Caramon, który był Caramonem, a potem nie był Caramonem. Karczmy, które w jednej chwili są, a w drugiej już ich nie ma. Tajne, magiczne słowo, którego miał nasłuchiwać, żeby wiedzieć, kiedy nie podsłuchiwać. Potem wysunął doskonale logiczną, zdroworoządkową propozycję dotyczącą herbaty z tarbeanu i został skarcony za bluźnierstwo!

– W końcu – mamrotał pod nosem, szarpiąc za koce – Paladine i ja jesteśmy bliskimi, osobistymi przyjaciółmi. On wiedziałby, co miałem na myśli.

Westchnąwszy, kender wsparł głowę na zwiniętym w rulon płaszczu. Bupu – teraz całkiem

przekonana, że Caramon to Raistlin – spała mocno, zwinięta w kłębek, z głową wspartą o nogę wielkiego mężczyzny. Sam Caramon siedział cicho z zamkniętymi oczyma i nucił coś pod nosem. Czasami pokaszliwał i raz zaczął się głośno domagać, by Tas przyniósł mu księgę magiczną, żeby mógł studiować swe czary. Sprawiał jednak wrażenie całkiem spokojnego. Tas miał nadzieję, że wkrótce zapadnie w sen i odeśpi skutki krasnoludzkiej gorzałki.

Ogień przygasał. Crysania rozłożyła swe posłanie na stercie igieł sosnowych, które nagarnęła, by nie dopuścić wilgoci. Tas ziewnął. Z pewnością radziła sobie lepiej, niż się spodziewał. Wybrała dobre miejsce na obozowisko w pobliżu ścieżki, niedaleko strumyka z czystą, bieżącą wodą. Dobrze, że nie zawędrowała daleko w głąb tej ciemnej i upiornej puszczy...

Upiornej puszczy... Co mu to przypomina? Tas złapał się na tym, gdy zapadał w sen. Coś ważnego. Upiorny las. Upiory... Rozmawianie z upiorami...

– Mroczna Puszcza! – powiedział ze strachem, zrywając się z posłania.

– Co takiego? – spytała pani Crysania, owijając się płaszczem i szykując do spoczynku.

– Mroczna Puszcza! – Tas powtórzył z niepokojem. Był całkiem obudzony. – Jesteśmy blisko Mrocznej Puszczy. Przybyliśmy, żeby cię ostrzec! To straszne miejsce! Mogłabyś tam przypadkowo się zabłąkać. Może już w niej jesteśmy...

– Mroczna Puszcza? – Caramon otworzył oczy. Rozglądał się wokół niezbyt przytomnym spojrzeniem.

– Nonsens – rzekła pewnie pani Crysania, poprawiając pod głową podróżną poduszeczkę, którą wiozła ze sobą.

– Nie jesteśmy w Mrocznej Puszczy, jeszcze nie. Znajduje się w odległości około ośmiu kilometrów stąd. Jutro dotrzemy do ścieżki, która nas tam zawiedzie.

– Ty – ty chcesz tam iść? – wysapał Tas.

– Oczywiście – odrzekła chłodno pani Crysania. Udaję się tam, by prosić Panią Lasu o pomoc. Podróż stąd do lasu Wayreth zajmie wiele miesięcy, nawet konno. W Mrocznej Puszczy mieszkają z Panią Lasu srebrne smoki. Zniosą mnie do celu mej podróży.

– Ale widma, starożytny król i jego świta...

– Zostali wyzwoleni ze swych strasznych okowów, gdy odpowiedzieli na wezwanie do walki ze smoczymi władcami – rzekła pani Crysania, nieco ostrym tonem. – Doprawdy powinienes przestudiować historię wojny, Tasslehoffie. Tym bardziej, że brałeś w niej udział. Kiedy ludzkie i elfie siły połączyły się, by odbić Qualinesti, widma Mrocznej Pu – szczy walczyły u ich boku i w ten sposób złamały mroczny czar, który nakazywał im wieść ten przeklęty żywot. Opus'ciły ten świat i więcej ich nie widziano.

– Och – powiedział głupio Tas. Porozglądawszy się przez chwilę, usiadł na swym posłaniu. – Rozmawiałem z nimi – ciągnął smutno. – Byli bardzo uprzejmi. Trochę niespodziewanie

wychodzili i przychodzili, lecz byli bardzo uprzejmi. Smutno pomyśleć, że...

– Jestem zmęczona – przerwała pani Crysania. – I mam przed sobą długą podróż. Zabiorę krasnoludkę żlebową i pojedę do Mrocznej Puszczy. Ty możesz odprowadzić swego zapijaczonego przyjaciela do domu, gdzie miejmy nadzieję – znajdzie pomoc, jakiej mu potrzeba. Teraz idź spać.

– Czy ktoś z nas... nie powinien stanąć na warcie? spytał z wahaniem Tas. – Ci łowcy powiedzieli... – Przerwał nagle. Ci „łowcy” byli w gospodzie, której nie było.

– Nonsens. Paladine będzie czuwał nad naszym snem – oświadczyła ostro pani Crysania. Zamknąwszy oczy, zaczęła recytować ciche słowa modlitwy.

Tas przełknął ślinę. – Ciekawe, czy znamy tego samego Paladine’a? – spytał, myśląc o Fizbanie i czując się bardzo osamotniony. Powiedział to jednak pod nosem, nie chcąc być ponownie oskarżony o bluźnierstwo. Położywszy się, wiercił się pod kocami i nie mógł znaleźć wygodnej pozycji. Wreszcie, całkiem obudzony, usiadł i oparł się plecami o pień drzewa. Wiosenna noc była chłodna, lecz bez niemiłego zimna. Niebo było czyste i nie czuł wiatru. Drzewa rozmawiały ze sobą szumem. Nowe życie krążyło w ich konarach, budząc je po długim, zimowym śnie. Przesuwając dłonią po ziemi, Tas czuł pod palcami trawę kiełkującą spod butwiejących liści.

Kender westchnął. Taka piękna noc. Dlaczego czuł niepokój? Czy to jakiś dźwięk? Może trzask gałązki? Tas drgnął i rozejrzał się, wstrzymując oddech, by lepiej słyszeć. Nic. Cisza. Spoglądając w niebo, ujrzał gwiazdozbiór Paladine’a, Platynowego Smoka, obracającego się wokół gwiazdozbioru Gileana, Szal Równowagi. Naprzeciwko Paladine’a znajdowała się konstelacja Królowej Ciemności – Takhisis, Pięciogłowego Smoka – a każde z nich mierzyło drugie czujnym wzrokiem.

– Jesteś naprawdę okropnie daleko – powiedział Tas do Platynowego Smoka. – I musisz pilnować całego świata, nie tylko nas. Jestem pewien, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że ja również będę strzegł naszego snu. Oczywiście, nie zamierzałem cię obrażać. Po prostu mam wrażenie, że Ktoś Jeszcze tam na górze nam się przygląda, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Kender wzdrygnął się. Nie wiem, czemu tak się zniechęcam. Może to dlatego, że jesteśmy tak blisko Mrocznej Puszczy i – najwyraźniej ja ponoszę odpowiedzialność za wszystkich tu obecnych!

Była to nieprzyjemna myśl. Tas był przyzwyczajony do brania odpowiedzialności za siebie, ale kiedy podróżował z Tanisem i pozostałymi, zawsze ktoś inny był odpowiedzialny za grupę. Byli to silni, sprawni wojownicy...

Co to? Tym razem wyraźnie coś usłyszał! Podskoczywszy, Tas stanął cicho i wbił wzrok w ciemność. Cisza, potem szmer, potem...

Wiewiórka. Tas westchnął z głębi duszy.



– Skoro już wstałem, dorzucę kolejną kłodę do ognia – powiedział do siebie. Podchodząc szybko, zerknął na Ca – ramona i coś go ukłuło. Dużo łatwiej byłoby stać na warcie w ciemności, gdyby wiedział, że może liczyć na silne ramię wojownika. Ale wojownik, leżąc na wznak z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami, chrapał w pijanym zadowoleniu. Bupu leżała skulona wokół buta Caramona, z głową na jego stopie, i wtórowała mu chrapaniem. Naprzeciw nich, najdalej jak było to możliwe, spokojnie spała pani Crysania, oparłszy gładki policzek na złożonych dłoniach.

Z westchnieniem Tas dorzucił do ogniska. Przyjrzawszy się, jak ogień strzela w górę, siadł na warcie, wpatrując się uważnie w spowite nocną ciemnością drzewa, których szept miał teraz złowieszczy ton. Wtem znów to usłyszał.

– Wiewiórka! – szepnął rezolutnie Tas.

Czy tam w mroku coś się poruszało? Rozległ się wyraźny trzask – całkiem jak złamana gałązka. Żadna wiewiórka nie zrobiłaby tego! Tas grzebał w swej sakwie, aż jego dłoń zacisnęła się na małym nożu.

Las się ruszał! Drzewa się zbliżały!

Tas chciał krzyknąć na alarm, lecz cienka gałąź chwyciła go za rękę...

– Aiii! – wrzasnął Tas, wyrrywając się i dźgając gałąź swym nożem.

Dało się słyszeć przekleństwo i krzyk bólu. Gałąź wypuściła go i Tas odetchnął z ulgą. Żadne drzewo nigdy jeszcze nie krzyczało z bólu. Z czymkolwiek mieli do czynienia, to było żywe, oddychało...

– Atak! – wrzasnął kender, odskakując do tyłu. Caramonie! Pomóż! Caramonie!

Dwa lata temu ogromny wojownik natychmiast zerwałby się na równe nogi, z mieczem w garści, przytomny i gotowy do walki. Jednak, gdy Tas starał się stanąć plecami do ognia, mając mały nóż za jedyny oręż, zobaczył, że Caramon przewrócił głowę na bok w szczęśliwym upojeniu.

– Pani Crysanio! – wrzeszczał dziko Tas, widząc następne ciemne kształty wyłaniające się z lasu. – Obudź się! Proszę, obudź się!

Czuł już żar ogniska. Nie spuszczać z oczu złowieszczych cieni, Tas nachylił się i chwycił żarzące się polano – miał nadzieję, że był to jego zimny koniec. Podniósł je i dźgnął.

Kender zauważył ruch, gdy jedna z istot rzuciła się ku niemu. Tas zamachnął się nożem, odpędzając ją. Jednak w momencie, gdy padło na nią światło jego pochodni, zobaczył, co to było.

– Caramonie! – krzyknął. – Smokowcy!

Pani Crysania przebudziła się; Tas widział, że usiadła i rozglądała się zdezorientowana.

– Ogień! – krzyknął do niej rozpaczliwie Tas. – Po – dejdź do ognia! – Potknąwszy się o Bupu, kender kopnął Caramona. – Smokowcy! – wrzasnął jeszcze raz.

Caramon otworzył jedno oko, a potem drugie, rozglądając się wokół ponurym i mętym

wzrokiem.

– Caramonie! Dzięki bogom! – wysapał Tas z ulgą. Caramon usiadł. Gapiąc się na obozowisko, kompletnie zdezorientowany i zbity z tropu, był jednak wciąż na tyle wojownikiem, by zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wstając chwiejnie, ścisnął w garści rękojeść miecza i czknął.

– Co jeszt? – wymamrotał, starając się skupić mętny wzrok.

– Smokowcy! – wrzasnął Tasslehoff, skacząc dookoła niczym mały demon, wymachując pochodnią i nożem z takim zapalem, że rzeczywiście udawało mu się odpędzać wroga.

– Smokowcy? – wymamrotał Caramon, rozglądając się z niedowierzaniem. Wtedy mignęła mu wykrzywiona, gadzia twarz widoczna w blasku gasnącego ogniska. Otworzył szeroko oczy. – Smokowcy! – warknął. – Tanisie! Sturmie! Do mnie! Raistlinie – twoja magia! Weźmiemy się za nich.

Wyszarpując miecz z pochwy, Caramon skoczył naprzód z tubalnym okrzykiem bojowym – i padł jak długi na twarz.

Bupu wisiąca uczepiona jego nogi.

– Och, nie! – jęknął Tas.

Caramon leżał na ziemi, mrugając oczyma i potrząsając głową ze zdziwienia, starając się domyśleć, co go trafiło. Bupu, brutalnie obudzona, zaczęła wyć z przerażenia i bólu, po czym ugryzła Caramona w kostkę.

Tas chciał podejść do leżącego wojownika – przynajmniej oderwać od niego Bupu – gdy usłyszał krzyk. Pani Crysania! Do licha! Zapomniał o niej! Odwróciwszy się gwałtownie, dostrzegł kapłankę szarpiącą się z jednym ze smokoludzi.

Tas popędził do niej i z całych sił dźgnął smokowca. Potwór z wraskiem wypuścił Crysanię i upadł na plecy, a jego ciało zmieniło się w kamień u stóp Tasa. W samą porę kender przypomniał sobie, by wydobyć nóż, bowiem utkwiłby na stałe w skamieniałych zwłokach.

Tas pociągnął Crysanię z powrotem do leżącego Caramona, który próbował strząsnąć krasnoludkę żlebową z nogi.

Smokowcy zbliżali się. Rozglądając się gorączkowo, Tas zobaczył, że byli otoczeni. Dlaczego smokowcy nie atakowali pełną siłą? Na co czekali?

– Wszystko w porządku? – udało mu się spytać Crysanie.

– Tak – powiedziała. Choć była bardzo blada, sprawiała wrażenie spokojnej i – jeśli była przestraszona opanowała lęk. Tas dostrzegł, że porusza wargami – pewnie w bezgłośnej modlitwie. Kender zacisnął wargi.

– Proszę, pani – powiedział, wciskając jej żagiew w dłoń. – Sądzę, że będziesz musiała modlić się i walczyć jednocześnie.

– Elistan tak robił, to ja też potrafię – powiedziała Crysania głosem, który drżał tylko

odrobinę.

Z mroku dobiegły rozkazy. Głos nie należał do smoków ca. Tas nie potrafił go rozpoznać. Wiedział tylko, że na samo jego brzmienie przechodził go zimny dreszcz. Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Smokowcy rzucili się na nich, wysuwając z paszcz języki.

Crysania niezdarnie machnęła żarzącą się głownią, lecz to wystarczyło, by smokowcy zawahali się. Tas wciąż usiłował oderwać Bupu od Caramona. Jednakże to smokowiec nies' wiadomie przyszedł im z pomocą. Odepchnąwszy Tasa w tył, smokolud położył szponiastą łapę na Bupu.

Krasnoludy źlebowe słyną na całym Krynnie z niesłychanego tchórzostwa i całkowitej nieodpowiedzialności w bitwie. Jednakże – zapędzone w kąt – potrafią walczyć jak wściekłe szczury.

– Glupca! – wrzasnęła rozgniewana Bupu i zaprzestawszy podgryzania kostki Caramona, zagłębiła zęby w pokrytą łuskami skórę nogi smokowca.

Bupu nie miała wielu zębów, lecz te, które miała, były ostre, a wbiła je w zielone ciało smokowca z apetytem wywołanym faktem, iż nie zjadła wielkiego obiadu.

Smokowiec wrzasnął okropnie. Uniósłszy miecz, miał już zakończyć dni Bupu na Krynnie, gdy Caramon – kręcąc się wokół i starając zorientować, co się dzieje – przypadkowo odciął łapę potwora. Bupu usiadła, oblizując wargi i z zapalem rozglądała się za następną ofiarą.

– Hurra! Caramon! – wiwatował radośnie Tas, zadając pchnięcia swym nożykiem, tak szybko jak atakujący wąż. Pani Crysania uderzyła jednego ze smokowców swą zagwią, wzywając imię Paladine'a. Potwór przewrócił się.

Tas widział już tylko dwóch czy trzech stojących smokowców i zaczął czuć radosne uniesienie. Stwory czaiły się tuż za zasięgiem światła, ostrożnie przyglądając się ogromnemu wojownikowi, Caramonowi, który z trudem podnosił się na nogi. Widziany tylko w cieniu, wciąż sprawiał wrażenie groźnej postaci, jak za dawnych czasów. Ostrze jego miecza połyskiwało złowieszczo w czerwonym blasku płomieni.

– Bierz ich, Caramonie! – pisnął przenikliwie Tas. – Zderz ich głowami!

Głos kendera ucichł, gdy Caramon powoli odwrócił się do niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Ja nie jestem Caramonem – rzekł cicho. – Jestem Raistlinem, jego bliźniakiem. Caramon nie żyje. Zabiłem go. – Spojrzawszy na miecz w dłoni, olbrzymi wojownik upuścił go, jakby został ukłuty. – Co ja robię z zimną stalą w dłoniach? – spytał srogo. – Nie mogę rzucać czarów z mieczem i tarczą! Tasslehoff jęknął, rzuciwszy zaniepokojone spojrzenie na smokowców. Wiedział, jak wymieniają przebiegłe spojrzenia. Zaczęli przysuwać się powoli, choć nie spuszczaali wielkiego wojownika z oczu, prawdopodobnie podejrzewając jakąś pułapkę.

– Ty nie jesteś Raistlinem! Jesteś Caramonem! – krzyknął zrozpaczony Tas, lecz

nadaremnie. Mózg mężczyzny wciąż pływał w oparach krasnoludzkiej gorzałki. Całkowicie postradawszy rozum, Caramon zamknął oczy, uniósł dłonie i zaczął nucić.

– Mysz kusz silwer asz bukara – wymamrotał, kołysząc się w przód i w tył.

Wyszczierzona w uśmiechu twarz smokowca pojawiła się nagle przed Tasem. Błysk stali i kenderowi wydało się, że głowa eksploduje mu z bólu...

Tas znalazł się na ziemi. Ciepła ciecz spływała mu po twarzy, zalewając jedno oko i wpływając do ust. Wyczuł smak krwi. Był zmęczony... bardzo zmęczony.

Jednak ból był okropny. Nie pozwalał mu usnąć. Kender obawiał się poruszyć głową, bał się, że gdyby tak zrobił, rozpadłaby się na dwie części. Więc leżał całkiem bez ruchu, przyglądając się światu jednym okiem.

Słyszał nie kończące się wrzaski krasnoludki, zupełnie jak skowyt dręczonego zwierzęcia, a potem krzyki urwały się nagle. Usłyszał głęboki krzyk bólu, stłumiony jęk i wielkie ciało padło z łoskotem na ziemię obok niego. To był Caramon, który broczył krwią z ust i wpatrywał się przed siebie pustymi, szeroko otwartymi oczyma.

Tas nie potrafił czuć smutku. Nie czuł niczego z wyjątkiem okropnego bólu głowy. Nad nim stał olbrzymi smokowiec z mieczem w rękę. Wiedział, że potwór dobije go za chwilę. Tas nie dbał o to. Skończ tę mękę, błagał. Skończ ją szybko.

Wtedy dostrzegł łopocące białe szaty i posłyszał wyraźny głos wzywający imię Paladine'a. Smokowcy znikli nagle z trzaskiem szponiastych stóp deptających poszycie. Białe szaty przyklekły przy nim. Tas poczuł dłoń delikatnie dotykającą jego głowy i znów usłyszał imię Paladine'a. Ból znikł. Spojrzawszy w górę, zobaczył, jak dłoń kapłanki dotyka Caramona i dostrzegł, że powieki ogromnego mężczyzny drgnęły i zamknęły się w spokojnym śnie.

Wszystko już dobrze! pomyślał w uniesieniu Tas. Ucie – kli! Nic nam nie będzie. Wtedy poczuł, jak dłoń drży. Odzyskawszy nieco zmysłów, gdy uzdrawiająca moc kapłanki przepełniła jego ciało, kender uniósł głowę i rozejrzał się widzącym okiem.

Coś się zbliżało. Coś odwołało smokowców. Coś wchodziło w krąg światła ogniska.

Tas chciał krzyknąć ostrzegawczo, lecz poczuł ucisk w gardle. W głowie mu się zakręciło. Przez chwilę, zbyt przerażony i chory, by jasno myśleć, miał wrażenie, że ktoś celowo pomieszał mu przygody.

Zobaczył, jak pani Crysania wstaje; jej białe szaty zamiotły ziemię w pobliżu jego głowy. Powoli zaczęła cofać się przed tym czymś, co szło za nią. Tas usłyszał, że wzywa Paladine'a, lecz słowa zamarały jej na ustach z przerażenia.

Tas rozpaczliwie pragnął zamknąć oczy. Strach i ciekawość toczyły bój ze sobą w jego małym ciele. Ciekawość zwyciężyła. Zerkając zdrowym okiem, Tas przyglądał się straszliwej postaci, która zbliżała się do kapłanki. Postać odziana była w zbroję rycerza solamnijskiego, lecz pancerz był poczerńiały i popalony. Zbliżywszy się do Crysanii, postać wyciągnęła rękę, która

nie kończyła się dłonią. Wypowiedziała słowa, które nie padły z ust. Jej oczy płonęły pomarańczowo, przezroczyste stopy przeszły prosto przez żarzący się popiół ogniska. Mróz regionów, w których zmuszona była żyć wiecznie, promieniował z jej ciała, przenikając Tasa do szpiku kości.

Zalękniony Tas uniósł głowę. Zobaczył, jak pani Crysania cofa się. Zobaczył, jak upiorny rycerz zbliża się do niej powolnymi, pewnymi krokami.

Rycerz uniósł prawą dłoń i wskazał na Cysanie bladym, migotliwym palcem.

Tas poczuł ogarniające go nagłe, nieopanowane przerażenie. – Nie! – jęknął, dygocząc, choć nie miał pojęcia, jakie okropieństwo ma się wydarzyć.

Rycerz wypowiedział jedno słowo.

– Giń.

W tym momencie Tas zobaczył, że pani Crysania podniosła dłoń i chwyciła medalion, który miała na szyi. Dostrzegł błysk białego światła wydostający się spomiędzy jej palców, a potem Crysania padła na ziemię, jakby przebita tym widmowym palcem.

– Nie! – Tasslehoff usłyszał swój krzyk. Zobaczył, że wzrok pomarańczowych, płonących oczu przenosi się na niego, a chłodna, stęchła ciemność, podobna do ciemności grobu, pieczętuje mu oczy i zamyka usta...

## ***Rozdział VIII***

Dalamar zbliżył się do drzwi laboratorium maga z obawą, wodząc nerwowo palcem po runach ochronnych, wyszytych na materiale jego czarnych szat, i pośpiesznie powtarzając w pamięci kilka ochronnych zaklęć. Pewna ostrożność nigdy nie zawadzi młodemu uczniowi zbliżającemu się do wewnętrznych, tajnych komnat mrocznego i potężnego mistrza. Jednakże ostrożność Dalamara była nadzwyczajna. I nie bez powodu. Dalamar miał własne tajemnice do ukrycia, a niczego w świecie nie bał się tak bardzo, jak spojrzenia tych złotych, klepsydrowych oczu.

A jednak, w żyłach Dalamara pulsował głębszy niżli strach nurt podniecenia, tak jak zawsze, gdy stawał przed tymi drzwiami. Widywał cudowne rzeczy wewnątrz tej komnaty, cudowne... straszne...

Unosząc prawą rękę, wykonał szybki znak w powietrzu i wyszeptał kilka magicznych słów. Nie było reakcji. Na drzwi nie rzucono żadnego zaklęcia. Dalamar odetchnął nieco lżej, a może było to westchnienie rozczarowania. Jego mistrz nie był zajęty żadnymi potężnymi, wielkimi czarami, inaczej bowiem Raistlin rzuciłby czar magicznego zamknięcia. Zerknąwszy na posadzkę, czarny elf nie dostrzegł migotliwych, błyskających płomieni świecących spod ciężkich, drewnianych drzwi. Nie czuł innej woni niż zwykłe zapachy korzeni i rozkładu. Dalamar położył opuszki palców lewej dłoni na drzwiach i czekał w milczeniu.

Po chwili, jaką zajęło czarnemu elfowi zacerpnięcie tchu, padło cicho wypowiedziane polecenie: – Wejdz, Dalamarze.

Wziąwszy się w garść, Dalamar wkroczył do komnaty, gdy drzwi rozwarły się cicho przed nim. Raistlin siedział za olbrzymim i prastarym kamiennym stołem, tak wielkim, że mógłby się na nim wyciągnąć jeden z tych wysokich, barczystych minotaurów żyjących na Mithas i miałby jeszcze dość miejsca. Ten kamienny stół, a po prawdzie całe laboratorium, należało do oryginalnego wyposażenia, jakie Raistlin odkrył, gdy zajął Wieżę Wielkiej Magii w Palanthas.

Wielka, mroczna komnata zdawała się znacznie większa niż mogła być w rzeczywistości, a jednak czarny elf nigdy nie ustalił, czy sama komnata wydawała się większa, czy on zdawał się maleć, gdy do niej wchodził. Pod ścianami stały półki z książkami, tak samo jak w gabinecie maga. Runy i zawile pismo jarzyło się poprzez kurz, który osiadł na ich grzbietach. Szklane butle i słoje pokraccznych kształtów stały na stołach pod ścianami komnaty, a ich jaskrawo ubarwiona zawartość bulgotała i burzyła się od skrywanej mocy.

Tu, w tym laboratorium, dawno temu odprawiano wielkie i potężne czary. Tu magowie wszystkich trzech zakonów Szat – Białych dobra, Czerwonych neutralności i Czarnych zła – połączyli swe siły, by stworzyć smocze kule – z których jedną obecnie posiadał Raistlin. Tu trzy

zakony Szat zebrały się w ostatecznej, rozpaczliwej walce, by ocalić Wieże, bastiony swej siły, przed królem-kapłanem Istar i motłochem. Tu ponieśli klęskę, przekonani, że lepiej żyć jako pokonani, niż walczyć, wiedząc, że ich magia mogła zniszczyć świat.

Magowie zostali zmuszeni do opuszczenia Wieży i przenieśli swe księgi zaklęć oraz inne magiczne przedmioty do Wieży Wielkiej Magii ukrytej w ostępach magicznego lasu Wayreth. Właśnie kiedy opuszczali tę Wieżę, rzucono na nią przekleństwo. Zagajnik Shoikan wyrósł, by strzec jej przed intruzami aż do czasu, gdy – zgodnie z przepowiednią – „Przybędzie w potęgde władca przeszłości i terażniejszości”.

I władca powrócił. Siedział teraz w prastarym laboratorium, zgarbiony nad kamiennym stołem, który dawno temu wyciągnięto z dna morskiego. Na tym stole wykuto runy strzegące przed wszystkimi zaklęciami, przez co wolny był od wszelkich wpływów zewnętrznych, jakie mogły zakłócić pracę czarodzieja. Błat stołu był wygładzony i wypolerowany do niemal lustrzanego połysku. Dalamar widział, jak w blasku świec odbijają się w nim granatowe niczym noc oprawy ksiąg magicznych.

Porozrzucane na nim były również inne przedmioty przedmioty ohydne i osobliwe, straszne i przepiękne: składniki zaklęć maga. Raistlin pogrążony był w pracy, wertując księgę magiczną i szepcząc ciche słowa, jednocześnie krusząc coś w delikatnych palcach i wysypując proch do fiołki, którą trzymał w dłoni.

– Shalafi – rzekł cicho Dalamar, co w mowie elfów oznaczało „mistrz”.

Raistlin podniósł wzrok.

Dalamar poczuł, jak spojrzenie złotych oczu przeszywa jego serce z nie dającym się określić bólem. Dreszcz lęku przebiegł czarnego elfa, słowa On wie\ kotłowały mu się w głowie. Jednakże żadnej z tych emocji nie było widać na zewnątrz. Przystojne rysy czarnego elfa pozostały niezłomne, niewzruszone, chłodne. Spokojnie patrzył w oczy Raistlinowi. Dłonie wciąż trzymał schowane w fałdach szaty, jak należało.

Tak niebezpieczne było jego zadanie, że – kiedy Oni uznali za stosowne umieścić szpiega w siedzibie maga poprosili o ochotnika, nikt z Nich nie chciał bowiem wziąć odpowiedzialności za rozkazanie z zimną krwią komukolwiek podjęcia się tego zabójczego zadania. Dalamar zgłosił się natychmiast.

Magia była jedyną ojczyzną Dalamara. Wywodził się z Silvanesti, lecz obecnie ani nie przyznawał się do związku z tą szlachetną rasą elfów, ani też nie był przez nią uznawany. Urodzony w niskiej kaście, poznał jedynie najbardziej podstawowe sztuki magiczne, wyższe bowiem wtajemniczenia były dostępne wyłącznie osobom królewskiej krwi. Jednak Dalamar posmakował mocy i stała się ona jego obsesją. Potajemnie pracował, studiując zakazane nauki, poznając cuda zarezerwowane dla elfich magów najwyższej rangi. Czarna magia wywarła na nim największe wrażenie, i tak, gdy odkryto, że nosi Czarne Szaty, na jakie żaden prawdziwy elf nie

mógł nawet spojrzeć, wygnano go z ojczyzny. I tak stał się „czarnym elfem”, tym, który jest poza światłem. To mu odpowiadało, wcześniej bowiem już dowiedział się, że w mroku jest potęga.

Tak więc Dalamar przyjął zadanie. Kiedy spytanego, dlaczego dobrowolnie naraża swe życie, odpowiedział oziębło: – Oddałbym duszę za szansę studiowania u największego i najpotężniejszego przedstawiciela naszego zakonu, jaki kiedykolwiek żył!

– Tak właśnie może się stać – odrzekł smutny głos. Wspomnienie tego głosu nawiedzało Dalamara w najdziwniejszych momentach, zazwyczaj w ciemności nocy, która była bardzo ciemna wewnątrz wieży. Nawiedziło go właśnie teraz. Dalamar siłą woli usunął je z myśli.

– Co tam? – spytał łagodnie Raistlin.

Mag zawsze odzywał się łagodnie i cicho, czasami nawet nie wznosząc głosu ponad szept. Dalamar widział straszliwe burze szalejące w komnacie. Błyskające pioruny i trzaskające gromy pozbawiały go częściowo słuchu na całe dni.

Obecny był przy tym, gdy jego mistrz wzywał istoty z płaszczyzn wyższych i niższych, by były posłuszne jego woli; ich wrzaski, wycia i przekleństwa wciąż rozbrzmiewały w jego snach. A jednak, przez cały ten czas ani razu nie słyszał, by Raistlin podniósł głos. Jego cichy, syczący szept zawsze przebijał się przez zamęt i przywracał ład.

– W świecie zewnętrznym, shalafi, zachodzą zdarzenia, które wymagają twojej uwagi.

– Doprawdy? – Raistlin ponownie spuścił wzrok, zajęty swą pracą.

– Pani Crysania...

Raistlin szybko podniósł głowę w kapturze. Dalamar, odniósłszy neodparte wrażenie, że ma do czynienia z atakującym wężem, mimowolnie odsunął się o krok pod tym badawczym spojrzeniem.

– Co? Mów! – wysyczał Raistlin.

– Powinieneś – powinieneś przyjść, shalafi – zająknął się Dalamar. – Żyjący donoszą...

Czarny elf mówił do pustki. Raistlin znikł.

Zaczerpnąwszy z drżeniem tchu, czarny elf wypowiedział słowa, które natychmiast postawiły go u boku jego mistrza.

Daleko pod Wieżą Wielkiej Magii, głęboko pod ziemią, znajdowało się niewielkie, okrągłe pomieszczenie magicznie wycięte w skale, która podtrzymywała wieżę. Tego pomieszczenia początkowo tu nie było. Znane pod nazwą Komnaty Widzenia, było dziełem Raistlina.

Pośrodku małego pokoju z zimnego kamienia znajdowała się idealnie okrągła sadzawka z czarną, nieruchomą wodą. Ze środka tego osobliwego, nienaturalnego zbiornika strzelał snop niebieskich płomieni. Wznosząc się pod samo sklepienie komnaty, płonął wiecznie, dniem i nocą. A wokół niego zawsze siedzieli zgromadzeni Żyjący.

Choć Raistlin był najpotężniejszym magiem na Krynnie, jego moc daleka była od kompletnej i nikt lepiej od niego samego nie zdawał sobie z tego sprawy. Zawsze przypominał sobie



dotkliwie o swych słabościach, ilekroć wchodził do tego pomieszczenia – był to jeden z powodów, dla których unikał go, jeśli tylko było to możliwe. Tu bowiem znajdowały się widzialne, zewnętrzne symbole jego niepowodzeń – Żyjący.

Żałosne istoty omyłkowo stworzone przez nieudane czary, trzymano w niewoli w tej komnacie, by służyły swemu stwórcy. Tu toczyły swój pełen udręki żywot, wijąc się na podobieństwo larw krwawiącą masą wokół płonącej sadzawki. Ich połyskujące, wilgotne ciała pokrywały okropnym dywanem posadzkę, której kamienie, oślizgłe od ich wydzielin, widać było tylko wtedy, gdy się rozstępowały przed swym stwórcą.

A jednak pomimo stałej, pokracznej udręki, Żyjący nie skarżyli się ani słowem. Ich los był dużo lepszy od tych, którzy snuli się po wieży, od tych, których zwano Martwymi...

Raistlin zmaterializował się w Komnacie Widzenia niczym mroczny cień wyłaniający się z mroku. Srebrne nici, którymi wyszyte były jego szaty, iskrzyły się w blasku błękitnego płomienia, czarne sukno połyskiwało. Dalamar zjawił się obok niego i razem podeszli do nieruchomej, ciemnej wody.

– Gdzie? – spytał Raistlin.

– Tu, p-panie – wybełkotał jeden z Żyjących, wyciągając zniekształconą kończynę.

Raistlin pośpieszył, by stanąć obok niego, a Dalamar towarzyszył mu. Ich czarne szaty cicho szeleściły na oślizgłej, kamiennej podłodze. Spoglądając w toń wody, Raistlin gestem nakazał to samo uczynić Dalamarowi. Czarny elf spojrział na nieruchomą taflę, przez chwilę widząc jedynie odbicie strugi niebieskiego płomienia. Potem płomień i woda stopiły się w jedno, po czym rozstały, i znalazł się w lesie. Wielki mężczyzna, ubrany w źle dopasowaną zbroję, stał spoglądając na leżące ciało młodej kobiety w białych szatach. Obok niej klęczał kender, trzymając ją za rękę. Dalamar usłyszał słowa ogromnego mężczyzny, równie wyraźnie jakby stał obok niego.

– Ona nie żyje...

– Ja – nie jestem pewien, Caramonie. Sądzę...

– Widziałem śmierć wystarczająco często, wierz mi. Ona nie żyje. I to wszystko moja wina... moja wina...

– Caramonie, ty imbecyлу! – warknął Raistlin i zaklął. – Co się stało? Co się nie powiodło?

Kiedy mag się odezwał, Dalamar zobaczył, że kender szybko podniósł głowę.

– Mówiłeś coś? – kender spytał ogromnego mężczyznę, który kopał w ziemi.

– Nie, to tylko wiatr. – Co robisz?

– Kopię grób. Musimy ją pochować.

– Pochować? – Raistlin zaśmiał się gorzko. – Ależ oczywiście, ty niezdamy idioto! Nic innego nie przychodzi ci na myśl! – Mag wściekał się. – Pochować ją! Muszę wiedzieć, co się stało! – Zwrócił się do Żyjącego. – Co widziałeś?

– O-oni o-obozowali wśród d-drzew, p-panie. – Z ust stwora ciekła piana, praktycznie czyniąc jego mowę niezrozumiałą. – S-smoko z-zabija...

– Smokowcy? – powtórzył ze zdumieniem Raistlin. – W pobliżu Solące? Skąd oni się wzięli?

– N-nie wiem! Nie wiem! – Żyjący kulił się z przerażenia. – J-ja...

– Szsz – ostrzegł Dalamar, przyciągając uwagę swego mistrza znów ku sadzawce, gdzie kender wyklócał się z Caramonem.

– Caramonie, nie możesz jej pochować! Ona...

– Nie mamy innego wyjścia. Wiem, że to nieodpowiedni pochówek, ale Paladine dopilnuje, aby jej dusza odbyła podróż w pokoju. Nie możemy tu rozpaść stosu pogrzebowego, skoro smokoludzie są w pobliżu...

– Mimo to, Caramonie, naprawdę uważam, że powinieneś spojrzeć na nią! Na jej ciele nie ma żadnych śladów!

– Nie chcę na nią patrzeć! Ona nie żyje! To moja wina!

Pochowamy ją tu, a potem wrócą do Solące wykopać własny grób...

– Caramonie!

– Idź, poszukaj jakichś kwiatów i zostaw mnie w spokoju!

Dalamar zobaczył, jak wielki mężczyzna gołymi dłońmi rozdrapuje wilgotną ziemię i odrzuca ją na bok, a po twarzy płyną mu łzy. Kender został przy zwłokach kobiety, niezdecydowany, z twarzą pokrytą zaschniętą krwią i z miną wyrażającą jednocześnie żal i powątpiewanie.

– Żadnego śladu, żadnej rany, smokowcy pojawili się znikąd... – Raistlin w zamyśleniu zmarszczył brwi. Wtem nagle przyklęknął przy Żyjącym, który odsunął się od niego w przerażeniu. – Mów. Powiedz mi wszystko. Muszę wiedzieć. Dlaczego nie wezwano mnie wcześniej?

– S-smoko z-zabijali, p-panie – zbulgotał pełen udręki głos stwora. – A-ale d-duży człowiek też z-zabija. P-potem p-przychodzi w-wielka cie-ciemność! O-oczy z o-ognia! J-ja p-przerazić się. Ba-bać się w-wpaść do wowody...

– Znalazłem tego Żyjącego na brzegu sadzawki – wyjaśniał chłodno Dalamar – kiedy jeden z pozostałych powiedział mi, że dzieje się coś dziwnego. Spojrzałem w wodę. Znajac twoje zainteresowanie tą kobietą, pomyślałem, że...

– Bardzo dobrze – szepnął Raistlin, niecierpliwie przerywając wyjaśnienia Dalamara. Mag zmrużył złote oczy i zacisnął wąskie wargi. Wyczuwając jego gniew, biedny Żyjący odczłochał się jak najdalej od niego. Dalamar wstrzymał oddech. Jednakże gniew Raistlina nie był skierowany przeciwko nim.

– Wielka ciemność, oczy z ognia – lord Soth! A więc, moja siostrze, zdradzasz mnie – szepnął Raistlin. – Wyczuwam woń twego lęku, Kitiaro! Ty tchórze! Mogłem uczynić cię królową

tego świata. Mogłem tobie dać niezmiernie bogactwa, wszechpotężną władzę. Ale nie. Jesteś słabym i ograniczonym umysłowo robakiem!

Raistlin stał cicho, zastanawiając się i wpatrując w nieruchomą sadzawkę. Kiedy przemówił, w jego cichym głosie kryła się zabójcza nuta. – Nie zapomnę ci tego, droga siostrze. Masz szczęście, że w tej chwili mam na głowie ważniejsze sprawy, urzędowałabyś już bowiem z tym widmowym lordem, który ci służy! – Raistlin zacisnął chudą pięść, a potem z wyraźnym wysiłkiem opanował się i rozluźnił. – Tylko co mam teraz zrobić? Muszę coś zrobić, zanim mój brat zasadzi tę kapłankę w grządce kwiatowej!

– Shalafi, co się stało? – spytał Dalamar, zdobywając się na wielką śmiałość. – Ta... kobieta. Kim ona jest dla ciebie? Nic nie rozumiem.

Raistlin spojrział na Dalamara z irytacją i zamierzał skarcić go za impertynencję. Potem jednak zawahał się. Jego złote oczy rozblęskły wewnętrznym blaskiem, który sprawił, że Dalamar wcisnął głowę w ramiona, po czym wrócił do swego normalnego, obojętnego wyglądu.

– Oczywiście, uczniu. Dowiesz się wszystkiego. Ale najpierw...

Raistlin przerwał. Kolejna postać pojawiła się w leśnej scenerii, której przyglądali się tak uważnie. Była to żłebowa krasnoludka, pozawijana w niezliczone warstwy ubrań o jaskrawych kolorach, i ciągnąca za sobą wielką torbę.

– Bupu! – szepnął Raistlin, a na jego wargach wykwitł uśmiech. – Doskonale. Jeszcze raz przysłużysz mi się, maleńka.

Wyciągnąwszy rękę, Raistlin dotknął tafli nieruchomej wody. Żyjący wokół sadzawki krzyknęli z przerażenia, widzieli bowiem, jak niejeden z nich wpada przypadkiem do tej czarnej wody, gdzie kurczy się, marszczy i zmienia w zaledwie pasmo dymu, wznoszące się z wrzaskiem w powietrze. Jednakże Raistlin tylko wyszeptał ciche słowa, a potem cofnął rękę. Jego palce były białe jak marmur, a przez twarz przemknął mu skurcz bólu. Pośpiesznie wsunął dłoń do kieszeni szaty.

– Patrz – szepnął zwycięsko.

Dalamar spoglądał w wodę, przyglądając się, jak krasnoludka żłebowa zbliża się do nieruchomej, martwej postaci kobiety.

– Ja pomóc.

– Nie, Bupu!

– Ty nie lubisz mojej czarnej! Ja idę do domu. Ale wprawdzie pomóc ładnej pani.

– Co, w imię Otchłani... – wyszeptał Dalamar.

– Patrz! – rozkazał Raistlin.

Dalamar przyglądał się, jak krasnoludka sięga brudną rączką do torby u swego boku. Pogrzebawszy w niej przez kilka chwil, wydobyla straszne paskudztwo – zdechłą, sztywną jaszczurkę z rzemykiem zawiązanym wokół szyi. Bupu zbliżyła się do kobiety a kiedy kender

próbował ją powstrzymać, ostrzegawczo podsunęła mu pod nos małą piąstkę. Westchnąwszy i rzuciwszy kątem oka spojrzenie na Caramona, który kopał jak opętany, kender o twarzy zmienionej w maskę przez zaschniętą krew i smutek, odsunął się. Bupu pacnęła na ziemię obok martwego ciała kobiety i starannie położyła nieżywą jaszczurkę na jej nieruchomej piersi.

Dalamar westchnął.

Klatka piersiowa kobiety poruszyła się, białe szaty drgnęły. Kobieta zaczęła oddychać, głęboko i spokojnie.

Kender wrzasnął.

– Caramonie! Bupu ją wyleczyła! Ona żyje! Spójrz!

– Co się... – Ogromny mężczyzna podszedł chwiejnym krokiem, przyglądając się krasnoludce ze zdumieniem i strachem.

– Lekarstwo z jaszczurki – stwierdziła triumfalnie Bupu. – Zawsze działa.

– Tak, moja maleńka – rzekł Raistlin, wciąż się uśmiechając. – O ile pamiętam, skutkuje również na kaszel. – Machnął dłonią nad nieruchomą wodą. Głos maga stał się usypiającym zaklęciem. – A teraz śpij, mój bracie, zanim znów zrobisz coś głupiego. Śpij, kenderze, śpij ma – lutka Bupu. Ty też śpij, pani Crysanio, w królestwie, w którym Paladine strzeże twojej duszy.

Wciąż nucąc, Raistlin uczynił wzywający gest dłonią. A teraz, przybywaj lesie Wayreth. Zbliź się do nich w czasie ich snu. Zaśpiewaj im swą magiczną piosnkę. Zwab ich na tajne ścieżki.

Zaklęcie dobiegło końca. Wstając, Raistlin zwrócił się do Dalamara. – Ty też chodź, mój uczniu – delikatna nutka sarkazmu pobrzmiwała w głosie, który sprawił, że czarny elf zadygotał. – Chodź do mego gabinetu. Czas już, żebyśmy porozmawiali.

## ***Rozdział IX***

Dalamar siedział w gabinecie maga w tym samym fotelu, który zajmowała Kitiara podczas swej wizyty. Ale czarny elf czuł się znacznie mniej przyjemnie i pewnie niż ona. Mimo to trzymał swój strach pod dobrą przykrywką. Na zewnątrz sprawiał wrażenie rozluźnionego i opanowanego. Nikły rumieniec na jego bladej, elfiej twarzy mógł być przypisany podnieceniu wywołanemu tym, iż mistrz obdarzył go zaufaniem.

Dalamar bywał w gabinecie często, choć nie w obecności mistrza. Raistlin spędzał tu wieczory samotnie, czytając i studiując księgi, których pełne były półki na ścianach. Nikt nie odważył się mu przeszkadzać. Dalamar przychodził tu tylko za dnia i jedynie wtedy, gdy Raistlin był zajęty gdzie indziej. Czarny elf miał pozwolenie – wręcz nakaz – samodzielnie studiować księgi magiczne, to znaczy, niektóre z nich. Zabroniono mu otwierać, czy choćby dotykać tych, które miały okładki granatowe jak noc.

Dalamar oczywiście raz to uczynił. Okładka była w dotyku niesamowicie zimna, tak zimna, że parzyła. Ignorując ból, zdołał otworzyć okładkę, lecz po jednym spojrzeniu, zamknął ją szybko. Słowa wewnątrz były bezsensowne, nic nie mógł z tego zrozumieć. Wyczuł też zaklęcie ochronne. Każdy, kto przyglądałby im się zbyt długo bez odpowiedniego klucza, by je przetłumaczyć, oszalałby.

Widząc zranioną dłoń Dalamara, Raistlin spytał, jak to się stało. Czarny elf chłodno odpowiedział, że wylał mu się kwas ze składnika zaklęcia, które właśnie mieszał. Arcymag uśmiechnął się i nic nie rzekł. Nie było potrzeby. Obaj rozumieli.

Teraz jednak był w gabinecie na zaproszenie Raistlina i siedział tu ze swym mistrzem prawie jak równy z równym. Dalamar znów poczuł stary lęk wymieszany z upajającym podnieceniem.

Raistlin siedział naprzeciwko za rzeźbionym, drewnianym stołem, jedną dłoń trzymając na grubej księdze zaklęć, oprawionej w granatową jak noc okładkę. Palce arcymaga od niechcenia pieściły księgę, gładząc srebrne runy na okładce. Raistlin wbijał wzrok w Dalamara. Czarny elf ani nie drgnął, ani nie uchylił się przed przenikliwym, uporczywym spojrzeniem.

– Jesteś bardzo młody jak na kogoś, kto przeszedł Próbę – powiedział nagle Raistlin cichym głosem.

Dalamar mrugnął powiekami. Nie tego się spodziewał.

– Nie tak młody, jak ty, shalafi – odparł czarny elf.

– Mam ponad dziewięćdziesiąt lat, co przekłada się; na dwadzieścia pięć waszych, ludzkich, lat. Ty, jak mi się zdaje, miałeś zaledwie dwadzieścia jeden, gdy podjąłeś się Próby.

– Tak – szepnął Raistlin. Przez złotawą twarz maga przebiegi cień. – Miałem... dwadzieścia jeden lat.

Dalamar zauważył, że dłoń, która spoczywała na księdze zaklęć, zacisnęła się w nagłym bólu; zauważył błysk złotych oczu. Młody uczeń nie był zdziwiony tym przejawem emocji. Próbę musi przejść każdy mag, który pragnie się posługiwać magią na zaawansowanym poziomie. Przeprowadzali ją w Wieży Wielkiej Magii w Wayreth przywódcy wszystkich trzech zakonów Szat. Dawno temu użytkownicy magii na Krynnie uświadomili sobie bowiem to, co uszło uwagi kapłanów: jeśli równowaga świata ma być zachowana, wahadło musi swobodnie kołysać się między trzema punktami – Dobrem, Złem i Neutralnością. Niech jedno stanie się zbyt potężne – a świat zacznie się chylić ku upadkowi. Próba jest brutalna. Wyższe poziomy magii, gdzie zdobywa się prawdziwą moc, nie są miejscem dla nieporadnych niezdar. Próbę ułożono tak, by się ich pozbyć – na stałe, karą za niepowodzenie bowiem była śmierć. Dalamara wciąż dręczyły koszmary związane z jego własną Próba, więc dobrze rozumiał reakcję Raistlina.

– Zdałem – szepnął Raistlin, sięgając wzrokiem do tamtych czasów. – Lecz kiedy wyszedłem z tego okropnego miejsca, byłem taki, jakim widzisz mnie teraz. Moja skóra nabrała złotawego odcienia, moje włosy były białe, a moje oczy... – Wrócił do teraźniejszości, by przyszpilić spojrzeniem Dalamara. – Czy wiesz, co widzę tymi klepsydrowymi oczyma?

– Nie, shalafi.

– Widzę wpływ czasu na wszystkie rzeczy – odparł Raistlin. – Ludzkie ciało marszczy się przed moimi oczyma, kwiaty więdną i umierają, skały same rozsypują się w proch. Przed moimi oczyma rozciąga się wiecznie zima. Nawet ty, Dalamarze... – Oczy Raistlina pochwyciły i uwięziły młodego ucznia straszliwym spojrzeniem. – Nawet ciało elfa, który starzeje się tak powoli, że upływ lat jest dlań niczym przelotny deszcz na wiosnę – nawet na twej młodej twarzy, Dalamarze, widzę piętno śmierci!

Dalamar zdrzął i tym razem nie mógł ukryć emocji. Odruchowo wcisnął się w poduszki fotela. Zaklęcie chroniące szybko nasunęło mu się na myśl, podobnie jak – nieproszone – zaklęcie, którego celem było ranić, nie chronić. Głupiec! zaszydził z siebie samego, szybko odzyskawszy panowanie nad sobą, jakież moje nędzne zaklęcie może go zabić?

– Prawda, prawda – szepnął Raistlin, odpowiadając na myśli Dalamara, jak często to czynił. – Nie ma nikogo na Krynnie, kto miałby dość mocy, by mi wyrządzić krzywdę. A już z pewnością nie ty, uczniu. Jesteś jednak dzielny. Często byłeś obok mnie w laboratorium, stawiając czoło tym, których ściągałem z płaszczyzn ich istnienia. Wiedziałeś, że gdybym tylko zaczerpnął tchu w niewłaściwym momencie, wyrwaliby żywe serca z naszych ciał i pożarli je, podczas gdy my wilibyśmy się przed nimi w męce.

– To był dla mnie zaszczyt – szepnął Dalamar.

– Tak – odrzekł Raistlin od niechcienia, będąc myślami daleko. Potem uniósł brew. – I wiedziałeś, że gdyby coś takiego nastąpiło, ratowałbym siebie, a nie ciebie?

– Oczywiście, shalafi – odparł spokojnie Dalamar. – Rozumiem to i godzę się na ryzyko. –

Oczy czarnego elfa błysnęły. Zapomniawszy o obawach, z zapalem nachylił się w fotelu. – Nie, shalafi, ja cenię ryzyko! Poświęciłbym wszystko dla...

– Magii – dokończył Raistlin.

– Tak! Dla magii! – wykrzyknął Dalamar.

– I władzy, jaką daje. – Raistlin pokiwał głową. Jesteś ambitny. Jednakże, ciekaw jestem, jak bardzo ambitny? Czy, być może, pragniesz władać swymi pobratymcami? Albo jakimś królestwem, trzymając w niewoli monarchę, podczas gdy ty będziesz się rozkoszować bogactwem jego kraju? A może marzy ci się przymierze z jakimś mrocznym władcą, jak bywało w czasach smoków jeszcze nie tak dawno temu. Na przykład, moja siostra, Kitiara, uważała ciebie za całkiem atrakcyjnego mężczyznę. Chętnie przygarnęłaby cię. Szczególnie jeśli znasz jakieś sztuki magiczne, które praktykuje się w sypialni...

– Shalafi, nie zbeszcześciłbym...

Raistlin machnął dłonią. – To żart, uczniu. Rozumiesz jednak, co mam na myśli. Czy coś z tego odzwierciedla twoje marzenia?

– Cóż, oczywiście, shalafi. – Dalamar zawahał się, zbity z tropu. Dokąd to wszystko prowadziło? Miał nadzieję, że do informacji, którą mógłby wykorzystać i przekazać, lecz iJe siebie mógł odsłonić? – Ja...

Raistlin przerwał mu. – Tak, widzę, że trafiłem blisko celu. Odkryłem rozmiary twoich ambicji. Czy ty nigdy nie domyśliłeś się moich?

Dalamar poczuł przenikający go dreszcz radosnego podniecenia. Przysłano go właśnie po to, żeby tego się dowiedział. Młody mag odpowiedział powoli: – Często zastanawiałem się, shalafi. Jesteś tak potężny... – Dalamar wskazał na okno, za którym widać było pałacę się w nocy światła Palanthas – że to miasto, ten kraj, Solamnia, ten kontynent, Ansalon, mógłby należeć do ciebie.

– Ten świat mógłby należeć do mnie! – Raistlin uśmiechnął się, rozwierając lekko wąskie wargi. – Widzieliśmy krainy za morzami, nieprawdaż, uczniu. Kiedy spoglądamy w płonącą wodę, widzimy je i tych, którzy tam mieszkają. Zawładnięcie nimi byłoby takie proste...

Raistlin wstał. Podszedł do okna i wyjrzał przez nie na migoczące miasto, które rozpościerało się przed nim. Czując podniecenie mistrza, Dalamar wstał z fotela i poszedł w jego ślady.

– Mógłbym dać ci to królestwo, Dalamarze – rzekł cicho Raistlin. Dłonią odsunął kotarę i przez jakiś czas nie odrywał wzroku od świateł, które błyszcząły ciepłej niż gwiazdy w górze. – Mógłbym dać ci nie tylko władzę nad twymi nędznymi rodakami, lecz także nad wszystkimi elfami na Krynnie. – Raistlin wzruszył ramionami. – Mógłbym dać ci moją siostrę.

Odwróciwszy się od okna, Raistlin spojrział w twarz Dalamarowi, który śledził go pełnym zapalem wzrokiem.

– Lecz ja nie dbam o to – Raistlin wskazał dłonią, puszczając kotarę. – Wcale. Moja ambicja sięga dalej.

– Ależ, shalafi, niewiele zostaje, jeśli odtrącisz świat. – Dalamar zająknął się, nie rozumiejąc.  
– Chyba, że widziałeś światy, które są ukryte przed moimi oczami...

– Światy ukryte? – Raistlin zastanowił się. – Interesująca myśl. Być może któregoś dnia zastanowię się nad tą możliwością. Jednakże, nie to miałem na myśli. – Mag przerwał i gestem dłoni wezwał Dalamara. – Czy widziałeś te wielkie drzwi na tyłach laboratorium? Stalowe wrota z wprawionymi w nie runami ze srebra i złota? Wrota bez zamka?

– Tak, shalafi – odrzekł Dalamar, czując ogarniający go chłód, którego nie mógł przegnać nawet dziwny żar ciała Raistlina tak blisko niego.

– Czy wiesz, dokąd prowadzą te drzwi?

– Tak... shalafi. – Szept.

– I wiesz, czemu nie są otwarte?

– Nie potrafisz ich otworzyć, shalafi. Jedynie ktoś władający wielką i potężną magią wraz z kimś o prawdziwie świętej mocy może je otworzyć... – Dalamar przerwał, bowiem strach dusił mu gardło i dławiał go.

– Tak – szepnął Raistlin. – Rozumiesz. – „Ktoś o prawdziwie świętej mocy”. Teraz rozumiesz, dlaczego potrzebuję jej! Teraz rozumiesz wielkość – i głębię – mojej ambicji.

– To obłąd! – jęknął Dalamar, po czym ze wstydu spuścił wzrok. – Wybacz mi, shalafi, nie chciałem cię obrazić.

– Masz rację. To jest obłąd przy mojej ograniczonej mocy. – Nuta gorzkości zabarwiła głos maga. – Dlatego właśnie wybieram się w podróż.

– Podróż? – Dalamar uniósł głowę. – Dokąd?

– Nie dokąd – do kiedy – poprawił Raistlin. Słyszałeś, jak mówiłem o Fistantilusie?

– Wiele razy, shalafi – powiedział Dalamar tonem pełnym czci. – To największy z naszego zakonu. To są jego księgi, te w oprawach granatowych jak noc.

– Niewystarczające – mruknął Raistlin, podsumowując pogardliwym gestem całą bibliotekę.  
– Wszystkie przeczytałem wiele razy w ciągu ostatnich lat od chwili, gdy otrzymałem klucz do ich sekretów od samej Królowej Ciemności. Doprowadzają mnie jednak tylko do bezsilnej wściekłości! – Raistlin zacisnął pięść. – Czytam te księgi zaklęć i znajduję wielkie luki – brak całych tomów! Być może zostały zniszczone podczas Katakliizmu albo później, w wojnie Bramy Krasnoludów, która okazała się zgubą Fistantilusa. Te brakujące tomy, ta jego zaginiona wiedza da mi moc, jakiej potrzebuję!

– Zatem twa podróż zaprowadzi cię... – Dalamar przerwał nie dowierzając.

– Do przeszłości – dokończył spokojnie Raistlin. Z powrotem do dni tuż przed Kataklizmem, kiedy Fistantilus był u szczytu potęgi.

Dalamar poczuł zawroty głowy; miał jeden wielki mętlik. Co Oni powiedzieliby na to? Wśród wszystkich swych przypuszczeń, z pewnością tego nie przewidzieli!



– Spokojnie, mój uczniu – cichy głos Raistlina zdawał się dobiegać do Dalamara z oddali. – To wytrąciło cię z równowagi. Może wina?

Mag podszedł do stołu. Uniósł karafkę, nalał kieliszek czerwonego jak krew płynu i podał go czarnemu elfowi. Dalamar przyjął go z wdzięcznością, zaskoczony tym, że dłoń mu dygocze. Raistlin nalał mały kieliszek dla siebie.

– Nie pijam często mocnego wina, lecz dziś wydaje mi się, że powinniśmy urządzić małe święto. Toast za – jak to ująłeś? – kogoś o prawdziwie świętej mocy. Zatem, za panią Crysanię!

Raistlin wypił wino małymi łykami. Dalamar wychylił swoje jednym haustem. Ognisty płyn palił go w gardle. Elf zakasłał.

– Shalafi, jeśli Żyjący powtórzył dokładnie, lord Soth rzucił zaklęcie śmierci na panią Crysanię, a jednak ona wciąż żyje. Czy przywróciłeś jej życie?

Raistlin pokręcił głową. – Nie, po prostu nadałem jej widoczne oznaki życia, aby mój drogi brat nie pochował jej. Nie mogę być pewien, co się wydarzyło, lecz nietrudno jest się domyślić. Widząc przed sobą upiornego rycerza i znając swój los, wielebna córka zwalczyła zaklęcie jedyną bronią, jaką miała, a potężny to oręż – świętym medalionem Paladine’a. Bóg ochronił ją, przenosząc jej duszę do królestwa, gdzie mieszkają bogowie, zostawiając jej ciało, niczym skorupę, na ziemi. Nikt – nawet ja – nie potrafi złożyć ponownie jej ciała i duszy. Tylko wysoki kapłan Paladine’a ma taką moc.

– Elistan?

– Ależ, ten człowiek jest chory, konający...

– Więc straciłeś ją!

– Nie – rzekł łagodnie Raistlin. – Nadal mnie nie rozumiesz, uczniu. Przez nieuwagę straciłem panowanie. Jednakże odzyskałem je szybko. Co więcej, obrócę to na swoją korzyść. Teraz oni zbliżają się do Wieży Wielkiej Magii. Crysania udała się tam po pomoc magów. Kiedy przybędzie, znajdzie pomoc, tak samo jak mój brat.

– Ty chcesz, żeby oni jej pomogli? – spytał zbity z tropu Dalamar. – Ona spiskuje, by cię zniszczyć!

Raistlin spokojnie sączył wino, uważnie obserwując swego ucznia. – Pomyśl o tym, Dalamarze – rzekł cicho. Pomyśl o tym, a wtedy zrozumiesz. No, tak – mag odstawił pusty kieliszek – zatrzymałem cię dość długo.

Dalamar wyjrzał przez okno. Czerwony księżyc, Lunitari, zaczynał chować się za czarną, zębatą krawędzią gór. Zbliżał się środek nocy.

– Musisz udać się w podróż i wrócić, zanim wyruszę o poranku – kontynuował Raistlin. – Bez wątplenia będą jakieś polecenia w ostatniej chwili, oprócz wielu spraw, które będę musiał powierzyć twej opiece. Oczywiście, ty tu wszystkim zarządzasz na czas mojej nieobecności.

Dalamar pokiwał głową, po czym zmarszczył brwi. Mówiłeś o mojej podróży, shalafil Ja się

nigdzie nie wybieram... – Czarny elf przerwał, dławiąc się słowami, gdy przypomniał sobie, że rzeczywiście musi pójść i złożyć meldunek.

Raistlin stał, w milczeniu przyglądając się młodemu elfowi. Wyraz przerażonej świadomości, który pojawił się na twarzy Dalamara, odbijał się w zwierciadlanych oczach maga. Potem Raistlin powoli zbliżył się do młodego ucznia z delikatnym szelestem czarnych szat. Zdjęty grozą Dalamar nie mógł się ruszyć. Zaklęcia ochronne umknęły. Nie potrafił myśleć o niczym i nie widział niczego poza parą obojętnych, nie wyrażających niczego, złotych oczu.

Raistlin uniósł rękę i łagodnie położył ją na piersi Dalamara, dotykając czarnych szat młodego mężczyzny czubkami pięciu palców.

Ból był okropny. Twarz Dalamara zbieleła, oczy wyszły mu na wierzch. Jęknął, ale nie potrafił uwolnić się od tego strasznego dotyku. Uwięziony przez spojrzenie Raistlina, czarny elf nawet nie mógł krzyknąć.

– Powtórz im dokładnie zarówno to, co ci powiedziałem – szepnął Raistlin – jak i to, czego się domyśliłeś. I przekaz wielkiemu Par-Salianowi pozdrowienia... uczniu!

Mag cofnął dłoń.

Dalamar osunął się na podłogę, trzymając się za pierś i jęcząc. Raistlin wyminął go. Czarny elf słyszał, jak czarodziej opuszcza komnatę: cichy szelest czarnych szat, otwieranie i zamykanie drzwi.

W szale bólu Dalamar rozdarł swe szaty. Sącząc się z pięciu dziur wypalonych w jego ciele, pięć czerwonych, połyskujących ścieżek krwi spływało po jego piersi i wsiąkało w czarną tkaninę.

## *Rozdział X*

Caramonie! Wstawaj!

Zbudź się!

Nie. Leżę w grobie. Pod ziemią jest ciepło, ciepło i bezpiecznie. Nie możesz mnie obudzić, nie możesz dotrzeć do mnie. Jestem schowany w glinie, nie znajdziesz mnie.

– Caramonie, musisz to zobaczyć! Zbudź się! Czyjaś ręka odsunęła ciemność na bok i szarpała go. Nie, Tiko, odejdz! Raz już przywróciłaś mnie do życia, znów wystawiając na ból i cierpienie. Powinnaś była zostawić mnie w słodkim królestwie ciemności pod Krwawym Morzem Istar. Teraz wreszcie znalazłem spokój. Wykopałem sobie grób i pochowałem się w nim.

– Hej, Caramonie, zbudź się lepiej i popatrz, na to! Te słowa! Były znajome. Oczywiście, ja je powiedziałem! Powiedziałem je do Raistlina dawno temu, kiedy razem dotarliśmy do tego lasu. Więc jak to możliwe, że je słyszysz? Chyba, że to ja jestem Raistlin... Ach, to właśnie...

Czyjaś ręka była na jego powiece! Dwa palce rozwierały ją siłą! Od tego dotyku igielki strachu przebiegły przez całe ciało Caramona, sprawiając, że jego serce zaczęło gwałtownie bić.

– Arghhh! – ryknął przestraszony, próbując zakopać się pod ziemią, gdy jedno, otworzone siłą, oko ujrzało wiszącą nad nim gigantyczną twarz – twarz krasnoludki żlebowej!

– On obudzony – oświadczyła Bupu. – Masz – zwróciła się do Tasa – ty trzymaj to oko. Ja otwierać drugie.

– Nie! – krzyknął pośpiesznie Tas. Ściągając Bupu z wojownika, wepchnął ją za siebie. – Ee... idź przynieś trochę wody.

– Dobry pomysł – zauważyła Bupu i oddaliła się pędem.

– Już... już wszystko w porządku, Caramonie – powiedział Tas, klękając obok wielkiego mężczyzny i poklepując go pocieszająco. – To była Bupu. Przepraszam, ale ja... ee... patrzyłem na... Cóż, sam zobaczysz... i zapomniałem jej przypilnować.

Caramon jęcząc, zakrył twarz dłonią. Przy pomocy Tasa z wysiłkiem usiadł. – Śniło mi się, że umarłem – powiedział. – Potem zobaczyłem tę twarz i wiedziałem, że to już koniec. Byłem w Otchłani.

– Możesz jeszcze pożałować, że nie jesteś – stwierdził posepnie Tas.

Caramon podniósł głowę. – Dlaczego? Co chcesz przez to powiedzieć? – dociekał szorstko, zdumiony niezwykle poważnym tonem kendera.

Zamiast odpowiedzi Tas spytał: – Jak się czujesz?

Caramon zrobił ponurą minę. – Jestem trzeźwy, jeśli to chcesz wiedzieć – wymamrotał. – I na bogów, chciałbym nie być. Bo co mi z tego.

Tasslehoff przez chwilę przyglądał mu się w zamyśleniu, po czym powoli sięgnął do swej sakwy i wyjął małą, obszytą skórą flaszkę. – Proszę, Caramonie – rzekł cicho – jeśli naprawdę sądzisz, że tego potrzebujesz.

Oczy wielkiego mężczyzny rozbliły. Chciwie wysunął drżącą rękę i wyrwał mu butelkę z dłoni. Wyciągnąwszy korek, powąchał zawartość, uśmiechnął się i uniósł flaszkę do ust.

– Przestań się na mnie gapić! – rozkazał Tasowi obrażonym tonem.

– P-przepraszam. – Tas zaczerwienił się. Wstał. P-pójdę zobaczyć, co z panią Crysanią...

– Crysanią... – Caramon opuścił nietkniętą flaszkę. Przetarł zaklejone oczy. – No tak, zapomniałem o niej. Dobry pomysł, że to ty się nią zajmujesz. Prawdę mówiąc, zabierz ją i wynoś się stąd. Ty i ta twoja zawszona krasnoludka żlebowa! Wynoście się i zostawcie mnie w spokoju!

– Znów unosząc butelkę do warg, Caramon pociągnął długi łyk. Kaszlnął, opuścił butelkę i wytarł usta wierzchem dłoni. – No idź – powtórzył, patrząc tępo na Tasa. Idź stąd! Wszyscy! Zostawcie mnie w spokoju!

– Przykro mi, Caramonie – powiedział cicho Tas. Naprawdę chciałbym. Ale nie możemy.

– Dlaczego? – warknął Caramon.

Tas odetchnął głęboko. – Ponieważ, jeśli dobrze pamiętam historie, jakie opowiadał mi Raistlin, wydaje mi się, że las Wayreth znalazł nas.

Przez chwilę Caramon gapił się na Tasa, wybałuszając przekrwione oczy.

– To niemożliwe – powiedział po chwili głosem nieco tylko mocniejszym od szeptu. – Jesteśmy wiele kilometrów od niego! Ja... mnie i Raistowi... znalezienie tego lasu zajęło wiele miesięcy! A Wieża jest daleko stąd na południe! Według twojej mapy jest wyraźnie za Qualinesti. Caramon wrogo spojrział na Tasa. – To chyba nie jest ta sama mapa, która pokazywała Tarsis nad morzem, co?

– Być może – powiedział ostrożnie Tas, zwijając mapę i chowając ją za plecami. – Mam ich tak wiele... Pośpiesznie zmienił temat. – Ale Raistlin twierdził, że to magiczny las, więc sądzę, że mógł nas znaleźć, jeśli miał taką ochotę.

– To jest magiczny las – szepnął Caramon głębokim i drżącym głosem. – To miejsce grozy. – Zamknął oczy i potrząsnął głową. Potem nagle ją uniósł, a na jego twarzy odmalowała się przebiegłość. – To jakaś sztuczka, prawda? Sztuczka, żeby powstrzymać mnie od picia! O, nie uda się wam...

– To nie jest sztuczka, Caramonie. – Tas westchnął. Potem wyciągnął rękę. – Spójrz tam. Zupełnie taki, jak Raistlin kiedyś opisał.

Odwróciwszy głowę, Caramon zobaczył. Wzdrygnął się, zarówno z powodu widoku, jak i gorzkich wspomnień o bracie, jakie mu las przywiódł na myśl.

Polana, na której obozowali, była małą łąką niedaleko głównego szlaku. Otaczały ją klony,

sosny, orzechy, a nawet kilka osik. Drzewa dopiero zaczynały wypuszczać pąki. Caramon przyglądał im się, kiedy kopał grób dla Crysanii. Gałęzie migotały w słońcu wczesnego poranka delikatnym, żółtozielonym blaskiem wiosny. Dzikie kwiaty kwitły u ich korzeni, wczesne, wiosenne kwiaty – krokusy i fiołki.

Kiedy Caramon rozejrzał się teraz, zobaczył, że wciąż te same drzewa otaczały ich z trzech stron. Jednakże z c/wartej, południowej strony, drzewa się zmieniły.

Te drzewa, w większości martwe, stały jedno przy drugim w równych szeregach. Tu i tam, gdy zaglądało się w głąb lasu, można było dostrzec żywe drzewo, pilnujące – niczym oficer – milczących szeregów swych żołnierzy. Słońce tu nie świeciło. Spomiędzy drzew wyływała gęsta, niezdrowa mgła, przesłaniając niebo. Na same drzewa strach było patrzeć, tak były zdeformowane i pokrzywione, a ich konary przypominały wielkie łapy ze szponami ciągnącymi się po ziemi. Gałęzie nie poruszały się, wiatr nie szeleścił martwymi liśćmi, ale, co było najokropniejsze, w lesie coś się poruszało. Kiedy Caramon i Tas przyjrżeli się, dostrzegli cienie migające między pniami i kryjące się w ciemnym poszyciu.

– Spójrz na to – powiedział Tas. Ignorując zalężniony krzyk Caramona, kender pobiegł wprost do lasu. Kiedy to uczynił, drzewa się rozstały! Otworzyła się szeroka ścieżka wiodąca prosto do ciemnego serca lasu. – Widziałeś kiedyś coś takiego? – krzyknął pełen podziwu Tas, zatrzymując się, zanim postawił stopę na ścieżce. – A kiedy cofam się...

Kender poszedł do tyłu, a pnie ponownie się zsunęły, zwierając szeregi i tworząc szczerłą barierę.

– Masz rację – powiedział ochryple Caramon. To jest las Wayreth. Tak właśnie pokazał się nam pewnego poranka. – Spuścił głowę. – Nie chciałem tu wejść. Próbowałem zatrzymać Raista. Ale on się nie bał! Drzewa rozstały się przed nim i on wszedł. – „Zostań przy mnie, mój bracie – powiedział – a ja obronię cię przed wszelkim złem”. Jak często ja mówiłem te słowa do niego? On się nie bał! Ja tak!

Nagle Caramon wstał. – Chodźmy stąd! – Raptownie pochwycił swoje posłanie trzęsącymi się rękoma i wylał na koc zawartość butelki.

– Nic z tego – stwierdził lakonicznie Tas. – Już próbowałem. Patrz.

Odwróciwszy się plecami do drzew, kender pomaszerował na północ. Drzewa nie drgnęły. Niemniej – w niewytłumaczalny sposób – Tasslehoff szedł znów w kierunku lasu. Choć próbował, choć wiele razy skręcał, zawsze kończył maszerując prosto w stronę spowitych mgłą, koszmarnych rzędów drzew.

Wzdychając, Tas podszedł do Caramona. Kender popatrzył poważnie w zapłakane, zaczerwienione oczy wielkiego mężczyzny i wyciągnąwszy rączkę, położył ją na niegdyś mocarnym ramieniu wojownika.

– Caramonie, jesteś jedyną osobą, która tam już kiedyś była! Tylko ty znasz drogę. Poza tym,

jest coś jeszcze\* Tas pokazał, a Caramon odwrócił głowę. – Pytałeś o panią Crysanię. Ona jest tam. Żyje, lecz jednocześnie jest martwa.

Ma skórę zimną jak lód. Oczy jej okropnie znieruchomiały. Oddycha, jej serce bije, lecz równie dobrze mogłoby tłoczyć przez jej ciało tę korzenną ciecz, której elfowie używają do balsamowania zwłok! – Kender, drżąc, zaczerpnął głęboko tchu.

– Musimy jej pomóc, Caramonie. Może tam – wskazał na las – magowie zdołają jej pomóc! Ja nie mogę jej unieść. – Bezradnie rozłożył ręce. – Potrzebuję ciebie, Caramonie. Ona ciebie potrzebuje! Sądzę, że można by powiedzieć, iż jesteś jej to winien.

– Bo to moja wina, że stała jej się krzywda? – mruknął dziko Caramon.

– Nie, nie to miałem na myśli. – Tas zwiesił głowę i przetarł dłonią oczy. – To chyba niczyja wina.

– Nie, to jest moja wina – rzekł Caramon. Tas podniósł głowę usłyszawszy w jego głosie nutę, jakiej nie było w nim od bardzo dawna. Ogromny mężczyzna stał, przyglądając się butelce w swym ręku. – Czas już, żebym spojrział na to trzeźwo. Winiłem wszystkich – Raistlina, Tikę... Jednocześnie przez cały czas – w głębi duszy – wiedziałem, że to przeze mnie. Zrozumiałem to w tym śnie. Leżałem na dnie grobu i zdałem sobie sprawę, że to jest dno! Nie mogę stoczyć się niżej. Albo zostanę tu i pozwolę im przysypać się ziemią – jak zamierzałem pochować Crysanię – albo wygrzebię się. – Caramon wydał głębokie, drżące westchnienie. Następnie, w nagłym przypływie stanowczości, zakorkował butelkę i wręczył ją Tasowi. – Masz rzekł cicho. – To będzie długa wspinaczka i sądzą, że będę potrzebował pomocy. Ale nie takiej.

– Och, Caramonie! – Tas objął wielkiego mężczyznę w pasie tak mocno, jak tylko zdołał i uściskał go. Nie bałem się tego okropnego lasu, wcale nie. Ale zastanawiałem się, jak pokonam go sam. Nie wspominając już o pani Crysanii i... Och, Caramonie! Tak się cieszę, że wróciłeś! Ja...

– Już dobrze, dobrze – mruknął Caramon, czerwie – niąc się z zażenowania i łagodnie odpychając Tasa od siebie. – Wszystko w porządku. Nie jestem pewien, na ile się przydam – za pierwszym razem byłem w tym lesie śmiertelnie przerażony. Jednak masz rację. Może oni zdołają pomóc Crysanii. – Twarz Caramona zrobiła się surowa. Może też będą umieli udzielić mi odpowiedzi na kilka pytań dotyczących Raista. A gdzie się podziała ta krasnoludka żlebowa? I gdzie – spojrział na swój pas – jest mój sztylet?

– Jaki sztylet? – spytał Tas, podskakując i nie spuszczać oczu z lasu.

Caramon z pochmurną miną wyciągnął rękę i złapał kendera. Jego spojrzenie padło na pasek Tasa. Tas również tam spojrział. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Masz na myśli ten sztylet? Ojej, ciekawe, skąd on się tam wziął? Wiesz co – rzekł w zamyśleniu – mogę się założyć, że zgubiłeś go w czasie walki.

– Aha – mruknął Caramon. Warcząc pod nosem, odebrał sztylet i właśnie zamierzał schować

go do pochwy, gdy usłyszał jakiś hałas za swymi plecami. Kiedy odwrócił się zaniepokojony, prosto w twarz chlusnęła mu struga lodowatej wody.

– On teraz obudzony – oświadczyła z zadowoleniem Bupu, wypuszczając wiadro.

W czasie gdy jego ubrania schły, Caramon przyglądał się drzewom z twarzą ściągniętą bólem wspomnień. Wreszcie, westchnąwszy, ubrał się i sprawdził broń. Tasslehoff natychmiast znalazł się przy nim.

– Chodźmy! – powiedział z zapałem.

Caramon zatrzymał się. – Do lasu? – spytał pozbawionym nadziei głosem.

– Ależ oczywiście! – rzekł zaskoczony Tas. A gdzieżby indziej?

Caramon skrzywił się, westchnął, a potem pokręcił głową. – Nie, Tas – burknął. – Ty zostaniesz tu z panią Crysanią. Daj spokój – rzekł w odpowiedzi na obrażony pisk protestującego kendera. – Wchodzę tylko troszeczkę do lasu, żeby... ee... go sprawdzić.

– Sądziś, że tam coś jest, prawda? – spytał Tas podejrzliwie. – Dlatego nie pozwalasz mi wejść! Sam pójdiesz i będzie wielka bitwa. Prawdopodobnie zabijesz to, a mnie wszystko ominie!

– Wątpię – mruknął Caramon. Zerknąwszy z niepokojem na zamglony las, mocniej zacisnął pas z mieczem.

– Przynajmniej mógłbyś mi powiedzieć, co to jest, według ciebie – powiedział Tas. – A co mam zrobić, Caramonie, jeśli ono ciebie zabije? Czy wtedy mogę wejść? Jak długo powinienem odczekać? Czy ono może zabić cię w – powiedzmy – pięć minut? Dziesięć? Nie żebym sądził, że tak się stanie – dodał pośpiesznie, widząc jak oczy Caramona się rozszerzają. – Ale naprawdę powinienem wiedzieć, skoro zostawiasz mnie tu na straży.

Bupu z wyrachowaniem przyglądała się niechlujnemu wojownikowi. – Ja mówić – dwie minuty. To zabić go w dwie minuty. Założysz się? – spojrzała na Tasa.

Caramon zmierzył oboje ponurym spojrzeniem, po czym wydał kolejne westchnienie. W końcu Tas zachowuje się logicznie.

– Nie jestem pewien, czego się spodziewać – mruknął Caramon. – Pamiętam, jak ostatnim razem... spotkaliśmy to coś... upiora. Raist... – Caramon umilkł. – Nie wiem, co powinieneś zrobić – rzekł po chwili i odwrócił się, a potem skuliwszy się, zaczął powoli iść w stronę lasu.

– Radź sobie najlepiej, jak potrafisz.

– Ja mieć ładnego węża tutaj, ja mówić on wytrzyma dwie minuty – powiedziała Bupu do Tasa, grzebiąc w swej torbie. – Co stawiasz?

– Szsz – powiedział cicho Tas, patrząc za oddalającym się Caramonem. Potem potrząsając głową, pobiegł do pani Crysanii, która leżała na ziemi, nie widzącym wzrokiem wpatrując się w niebo. Tas delikatnie nasunął na głowę kapłanki kaptur jej białej szaty, osłaniający ją przed promie – niami słońca. Bezskutecznie próbował zamknąć wytrzeszczone oczy Crysanii, miał

wrażenie, że jej ciało zmieniło się w marmur.

Raistlin zdawał się towarzyszyć Caramonowi cały czas podczas drogi w głąb lasu. Wojownik niemal słyszał cichy szelest czerwonych szat swego brata – wtedy były czerwone! Słyszał jego głos – zawsze łagodny, zawsze cichy, lecz z delikatnym sykiem sarkazmu, który tak bardzo drażnił ich przyjaciół. Jednakże Caramonowi nigdy to nie przeszkadzało. On rozumiał – a w każdym razie zdawało mu się, że rozumie.

Drzewa w lesie nagle rozsunęły się przed Caramonem, tak jak uprzednio przed zbliżającym się kenderem.

Tak jak wtedy, gdy my się zbliżaliśmy... Ile to lat temu, pomyślał Caramon. Siedem? Czyżby dopiero minęło siedem lat? Nie, uświadomił sobie ze smutkiem. Minęło całe życie, całe życie dla nas obu.

Kiedy Caramon dotarł do obrzeża lasu, nad gruntem snuły się opary, które zmroziły mu kostki zimnem przenikającym ciało i wgrzyżającym się w kości. Drzewa przyglądały mu się, a gałęzie drżały w męce. Przypomniawszy sobie udręczone lasy Silvanesti, a to znów przypomniało mu o bracie. Caramon stał przez chwilę bez ruchu, spoglądając na las. Widział czekające na niego mroczne i widmowe kształty. A teraz nie było Raistlina, który powstrzymałby je.

– Nigdy niczego się nie bałem, póki nie wszedłem do lasu Wayreth – rzekł cicho do siebie. – Ostatnio wszedłem tylko dlatego, że ty byłeś ze mną, mój bracie. Tylko twoja odwaga trzymała mnie na nogach. Jak mogę teraz tam wejść bez ciebie? To magia. Ja nie rozumiem magii! Nie potrafię z nią walczyć! Jaką mogę mieć nadzieję? – Caramon przyłożył dłoń do oczu, by zasłonić straszny widok. – Nie mogę tam wejść – powiedział, czując się jak nędznik. – Za dużo ode mnie wymagacie!

Wyciągnąwszy miecz z pochwy, trzymał go\* przed sobą.

Ręka mu się tak trzęsła, że niemal upuścił oręż. – Ha! rzekł gorzko. – Widzisz? Nie potrafiłbym walczyć nawet z dzieckiem. Za dużo ode mnie wymagacie. Nie ma nadziei. Nie ma nadziei...

Łatwo jest mieć nadzieję na wiosnę, wojowniku, kiedy jest ciepło, a drzewa vallen zielone. Łatwo mieć nadzieję, w lecie, gdy valleny połyskują złotem. Łatwo mieć nadzieję jesienią, gdy drzewa vallen są czerwone jak żywa krew. Lecz zimą, gdy powietrze jest ostre i przenikliwe, a niebo szare, czy drzewa vallen umierają, wojowniku?

– Kto to powiedział? – krzyknął Caramon, rozglądając się szaleńczo i ściskając miecz w drżącej dłoni.

Co robi drzewo vallen zimą, wojowniku, gdy jest ciemno i nawet ziemia zamarza? Wkopuje się głęboko, wojowniku. Zapuszcza daleko, daleko w dół korzenie, daleko w głąb gleby, aż do ciepłego serca świata. Tam, w głębinie drzewo vallen znajduje pokarm, który pomaga mu przetrwać ciemność i mróz, aby mogło znów zakwitnąć na wiosnę.



– Co z tego? – spytał podejrzliwie Caramon, cofając się o krok i rozglądając wokół.

Tak ty znajdujesz się w najciemniejszej zimie swego życia, wojownika. Musisz więc wkopać się głęboko, by odnaleźć ciepło i siłę, które pomogą ci przetrwać siarczyste mrozy i straszliwą ciemność. Nie jesteś już w kwiecie wiosny, ani nie masz wigoru lata. Musisz znaleźć siłę, jaka ci jest potrzebna, w swym sercu, w swej duszy. Wtedy, jak drzewo vallen, znów zaczniesz rosnąć.

– Twe słowa brzmią ładnie – zaczął Caramon, marszcząc groźnie brwi i nie ufając tej przemowie o wiosnie i drzewach. Nie zdołał jednak dokończyć i oddech uwiązał mu w gardle.

Las zmieniał się na jego oczach.

Powykręcane drzewa wyprostowały się, unosząc konary ku niebu, rosnąc, rosnąc, rosnąc. Caramon odchylił głowę tak daleko, że omal nie stracił równowagi i wciąż nie widział ich czubków. To były drzewa vallen! Takie jak te w Solące przed przybyciem smoków. Kiedy przyglądał im się z podziwem i lękiem, zobaczył, jak martwe konary ozywają wypuszczając zielone pąki, które pękają i rozwijają się w zielone, lśniące liście, nabierające złotej barwy lata – pory roku zmieniały się, gdy zaczerpnął tchu.

Niezdrowa mgła znikła, zastąpiona przez słodką woń pięknych kwiatów, które pięły się wśród korzeni vallenów. Ciemność lasu rozproszyła się, a słońce rzucało swój blask na kołyszące się drzewa. Kiedy promienie dotknęły liści, wonne powietrze wypełnił śpiew ptaków.

*Spokojny jest las, spokojne jego posiadłości doskonałe,  
Gdzie wzrastamy i już nie umieramy, nasze drzewa są wiecznie zielone,  
Dojrzałe owoce nigdy nie spadają, strumyki są nieruchome i przejrzyste  
Jak szkło, jak serce pełne wytchnienia tego nie kończącego się dnia.*

*Pod tymi gałęziami dobrowolne poddanie się bezruchowi,  
Sprawy ptasich śpiewów, miłości, pozostawione na pograniczu  
Wraz z wszelkimi gorączkami, zawodną pamięcią.  
Spokojny jest las, spokojne jego posiadłości doskonałe.*

*I światło na świetle, światło jako odegnanie mroku,  
Pod tymi gałęziami brak cienia, bowiem cień jest zapomniany  
W ciepłe światła i chłodnej woni liści,  
Gdzie wzrastamy i umieramy; nasze drzewa już nie są wiecznie zielone.*

*Tu jest cisza, gdzie muzyka zwraca się przeciwko milczeniu,  
Tu na wyobrażonym krańcu świata, gdzie jasność  
Uzupełnia zmysły, nareszcie tam, gdzie dostrzegamy, że*

*Dojrzałe owoce nigdy nie spadają, strumyki są nieruchome i przejrzyste.*

*Gdzie łzy wyschły na naszych twarzach lub osiadły  
Nieruchome jak strumień w znakomitej krainie spokoju,  
A podróżnik otwiera się, pozwalając na wędrówkę światła  
Jak powietrze, jak serce pełne wytchnienia tego nie kończącego się dnia.*

*Spokojny jest las, spokojne jego posiadłości doskonałe,  
Gdzie wzrastamy i już nie umieramy, nasze drzewa są wiecznie zielone,  
Dojrzałe owoce nigdy nie spadają, strumyki są nieruchome i przejrzyste  
Jak powietrze, jak serce pełne wytchnienia tego nie kończącego się dnia.*

Caramonowi oczy zaszyły łzami. Piękno pieśni przeszło jego serce. Jest nadzieja! W lesie znajdzie wszystkie odpowiedzi! Znajdzie pomoc, jakiej szukał.

– Caramonie! – Tasslehoff podskakiwał z podniecenia. – Caramonie, to wspaniałe! Jak ty to zrobisz? Słyszysz ptaki? Chodźmy! Szybko.

– Crysania... – rzekł Caramon, chcąc się odwrócić. – Musimy zrobić nosze. Będziesz musiał pomóc... – Zanim jednak zdołał dokończyć, przerwał, patrząc ze zdumieniem na dwie postaci w białych szatach, które wychynęły ze złotej puszczy. Miały nasunięte głęboko na głowy białe kaptury i nie dostrzegał ich twarzy. Skłoniły się przed nim z namaszczeniem, po czym przeszły przez polanę do miejsca, gdzie leżała Crysania pogrążona w śmiertelnym śnie. Podnosząc jej nieruchome ciało, bez trudu przeniosły ją delikatnie tam, gdzie stał Caramon. Zbliżywszy się do obrzeża lasu, zatrzymały się i odwróciły zakapturzone głowy, spoglądając na niego wyczekująco.

– Zdaje mi się, że czekają, byś wszedł pierwszy, Caramonie – rzekł wesoło Tas. – Idź, ja sprowadzę Bupu.

Krasnoludka źlebowa została na środku polany, przyglądając się puszczy z głęboką podejrzliwością. Caramon, spojrzawszy na biało odziane postaci, nagle zaczął podzielać jej obawy.

– Kim jesteście? – spytał.

Nie odpowiedziały. Po prostu stały i czekały.

– Kogo obchodzi, kim oni są! – powiedział Tas, niecierpliwie chwytając Bupu i ciągnąc ją za sobą, aż worek obijał jej się o pięty.

Caramon zrobił wrogą minę. – Wy wejdźcie pierwsi. – Wskazał na biało odziane postaci, które nadal stały milczące i nieruchome.

– Dlaczego czekacie, żebyśmy wszedł do tego lasu? Caramon cofnął się o krok. – Proszę bardzo – wskazał dłonią – zabierzcie ją do Wieży. Możecie jej pomóc. Nie potrzebujecie mnie...

Postaci nie odezwały się, lecz jedna wyciągnęła rękę, wskazując drogę.

– Chodź już, Caramonie – popędzał Tas. – Spójrz, zupełnie jakby nas zapraszał!

Nie będą nas niepokoić, bracie... Zostaliśmy zaproszeni! Słowa Raistlina, wypowiedziane siedem lat temu.

– Zaprosili nas magowie. Nie ufam im. – Caramon cicho powtórzył odpowiedź, jakiej wtedy udzielił.

Niespodziewanie powietrze wypełnił śmiech – dziwny, niesamowity, szepczący śmiech. Bupu zarzuciła rączki wokół nóg Caramona, przywierając do niego ze strachu. Nawet Tasslehoff sprawiał wrażenie skonsternowanego. A potem rozległ się głos, taki jak Caramon usłyszał siedem lat temu.

Czy to dotyczy także mnie, drogi bracie?

## *Rozdział XI*

Straszna zjawia podchodziła coraz bliżej. Crysanię ogarnął strach, jakiego nie znała do tej pory, strach, w którego istnienie nigdy by nie uwierzyła. Kuląc się przed potworem, Crysania po raz pierwszy w życiu zastanowiła się nad śmiercią – własną śmiercią. To nie było spokojne przeniesienie się do błogosławionej krainy, w której istnienie zawsze wierzyła. To był dziki ból i ciemność, wieczne dni i noce spędzane na zazdrosczeniu żyjącym.

Usiłowała wzywać pomocy, lecz głos uwiązł jej w gardle. I tak nie było szans. Pijany wojownik leżał w kałuży własnej krwi. Uzdrowiająca moc ocaliła go, lecz będzie jeszcze spał długie godziny. Kender nie mógł jej pomóc. Nic nie mogło jej pomóc w obliczu tego...

Ciemna postać wciąż szła, podchodziła coraz bliżej. Uciekaj! krzyczał jej umysł. Lecz kończyny odmawiały posłuszeństwa. Mogła tylko czołgać się do tyłu, a potem jej ciało zaczęło się poruszać samo z siebie, bez udziału jej świadomości. Nawet nie mogła oderwać wzroku od upiora.

Pomarańczowe, migoczące światełka, które były jego oczami, przyszpiliły ją swym spojrzeniem.

Uniół rękę, widmową rękę. Widziała przez nią na wylot, prawdę mówiąc przez niego całego widziała spowite mrokiem nocy drzewa. Srebrny księżyc był na niebie, lecz to nie jego jasne światło błyszczało na starożytnej zbroi od dawna nieżyjącego rycerza solarnijskiego. Potwór jaśniał własnym niezdrowym blaskiem, świecił energią swego ohydneho rozkładu. Jego ręka wznosiła się coraz wyżej i Crysania wiedziała, że gdy zrówna się poziomem z jej sercem, wtedy ona umrze.

Wargami zdrętwiałymi ze strachu Crysania wyszeptwała imię – Paladine – zaczęła się modlić. Strach jej nie opuścił, wciąż nie potrafiła oderwać swej duszy od straszego spojrzenia ognistych oczu. Zdołała jednakże sięgnąć ręką do szyi. Chwyciwszy medalion, zerwała go. Czując, że siły ją opuszczają i traci przytomność, Crysania uniosła rękę. Platynowy medalion zalśnił w blasku Solinari i rozjarzył się błękitnobiałym blaskiem. Okropna zjawia rzekła: – Giń!

Crysania poczuła, że spada. Jej ciało padło na ziemię, lecz grunt jej nie zatrzymał. Spadała przez niego, albo może z dala od niego. Spadała... spadała... zamykała oczy... zapadała w sen... śniła...

Znajdowała się w dębowym gaju. Białe ręce łapały ją za stopy, ziejące paszcze chciały wyssać z niej krew. Ciemność nie miała końca, drzewa szydziły z niej, a skrzypiące gałęzie śmiały się okropnie.

– Crysanio – rzekł cichy, szepczący głos.

Co to było? Co wypowiedziało jej imię z cienia pod dębami? Widziała, że stoi na polanie,

odziane w czerń.

– Crysanio – powtórzył głos.

– Raistlin! – Zaszlochła z ulgi. Potykając się, wybiegła z przerażającego zagajnika dębów i, wymknąwszy się białym jak kość rękom, które chciały wciągnąć ją pod ziemię, by dzieliła z nimi ich wieczne męczarnie, Crysania po – czuła obejmujące ją wątłe ramiona. Poczowała dziwnie palący dotyk smukłych palców.

– Odpoczywaj spokojnie, wielbna córko – rzekł głos. Drżąc w jego objęciach, Crysania zamknęła oczy. – Twa próba już się skończyła. Bezpiecznie przebyłaś zagajnik. Nie było się czego obawiać, pani. Miałaś mój amulet.

– Tak – szepnęła Crysania. Dotknęła dłonią czoła, gdzie przycisnął wargi do jej skóry. Zdając sobie sprawę, przez co przeszła, i uświadamiając sobie jednocześnie, że pozwoliła mu zobaczyć, jak ulega słabości, Crysania odepchnęła maga. Odsunąwszy się od niego, przyjrzała mu się chłodnym wzrokiem.

– Dlaczego otaczasz się takimi okropieństwami? spytała natarczywie. – Skąd potrzeba posiadania takich... strażników! – Głos jej mimowolnie zadrżał.

Raistlin spojrział na nią łagodnie, a jego złote oczy błyszczały. – Jakimi strażnikami ty się otaczasz, wielbna córko? – spytał. – Jakie męki czekałyby mnie, gdybym postawił nogę na świętej ziemi świątyni?

Crysania otworzyła usta, by udzielić zgryźliwej odpowiedzi, lecz słowa zamarły jej na wargach. Rzeczywiście, świątynia była poświęconym gruntem. Poświęconym Paladine'owi, i gdyby jakikolwiek czciciel Królowej Ciemności wszedł na jej teren, odczułby gniew Paladine'a. Crysania zobaczyła, że Raistlin uśmiecha się, ale jego wąskie wargi drżą. Poczowała, że się oblewa rumieńcem. Jak on mógł coś takiego zrobić? Nigdy żaden mężczyzna tak jej nie upokorzył! Żaden mężczyzna nie wprowadził jej umysłu w stan takiego zamętu!

Od chwili spotkania z Raistlinem w domu Astinusa Crysania nie mogła przepędzić go ze swych myśli. Czekwała niecierpliwie na nocną wizytę w Wieży, a jednocześnie lękała się jej. Powiedziała Elistanowi wszystko o swej rozmowie z Raistlinem – to znaczy – o wszystkim, oprócz „amuletu”, który jej ofiarował. W żaden sposób nie mogła się zdobyć na to, by powiedzieć Elistanowi, że Raistlin dotknął jej, że... Nie, nie wspomni mu o tym.

L Elistan i tak był wytrącony z równowagi. Znał Raistlina, znał młodzieńca za dawnych czasów – mag należał bowiem do drużyny, która wyratowała kapłana z więzienia Yerminaarda w Pax Tharkas. Elistan nigdy nie lubił Raistlina, ani nie ufał mu, lecz w istocie nikt nie traktował go inaczej. Kapłan nie był zaskoczony, słysząc, że młody mag przywdział Czarne Szaty. Nie był zaskoczony, gdy usłyszał o ostrzeżeniu Paladine'a dla Crysanii. Jednakże zaskoczyła go reakcja Crysanii na spotkanie z Raistlinem. Był zaskoczony – i zaniepokojony – kiedy usłyszał, że Crysania została zaproszona na wizytę u Raistlina w Wieży – miejscu, gdzie biło serce zła na

Krynnie. Elistan zabroniłby Crysanii pójść, lecz nauki bogów mówiły o wolnej woli.

Powiedział Crysanii, co o tym myśli, a ona słuchała go z szacunkiem. Niemniej jednak poszła do Wieży, zwabiona pokusą, której nie potrafiła nawet pojąć – choć powiedziała Elistanowi, że idzie po to, by „zbawić świat”.

– Świat radzi sobie całkiem dobrze – odrzekł poważnie Elistan.

Crysania jednak nie posłuchała.

– Wejź do środka – powiedział Raistlin. – Łyk wina pomoże przegnać złe wspomnienia. – Przyjrzał jej się uważnie. – Jesteś bardzo dzielna, wielebna córko rzekł i nie usłyszała sarkazmu w jego głosie. – Niewielu ma dość sił, by przeżyć grozę zagajnika.

Odwrócił się wtedy i Crysania była zadowolona, że tak się stało. Poczula, że się rumieni z powodu jego pochwały.

– Trzymaj się blisko mnie – ostrzegł i poszedł przed nią, a jego czarne szaty szeleściły, owijając się wokół jego kostek. – Nie wychodź poza światło mej laski.

Crysania postąpiła zgodnie z poleceniem, zauważając podczas spaceru u jego boku, jak światło laski sprawiało, że jej szaty rozsiewały blask równie zimny jak srebrny księżyc. Powstał uderzający kontrast z dziwnym ciepłem aksamitnych miękkich, czarnych szat Raistlina.

Przeprowadził ją przez straszne wrota. Przyglądała im się z ciekawością, przypominając sobie makabryczną historię złego maga, który rzucił się na nie z okna, przeklinając je ostatnim tchnieniem. Coś szeptało i bełkotało wokół niej. Nieraz odwracała się na ten dźwięk, wyczuwając zimne palce na karku lub dotyk czyjejś chłodnej dłoni na swojej. Nieraz dostrzegała ruch kątem oka, lecz kiedy tam spojrzała, niczego nie było. Cuchnąca, przesycona smrodem rozkładu mgła unosiła się znad ziemi, sprawiając, że bolały ją kości. Zaczęła trząść się w nieopanowany sposób, a kiedy nagle obejrzała się i ujrzała wbite w nią spojrzenie pary oczu bez ciała – przyspieszyła kroku i wsunęła rękę pod chude ramię Raistlina.

Spojrzał na nią z ciekawością i łagodnym rozbawieniem, które znów wywołało rumieniec na jej twarzy.

– Nie ma powodów do obaw – rzekł po prostu. Jestem tu panem. Nie pozwolę, by stała ci się krzywda.

– N-nie boję się – powiedziała, wiedząc, że on wyczuwa drżenie jej ciała. – Ja... tylko... nie byłam pewna, gdzie stąпам, to wszystko.

– Wybacz mi, wielebna córko – powiedział Raistlin i teraz nie mogła mieć pewności, czy usłyszała sarkazm w jego głosie, czy nie. Mężczyzna zatrzymał się. – To było nieuprzejme z mojej strony, że pozwoliłem na to, byś szła po tym nieznanym gruncie, nie proponując ci mej pomocy. Czy teraz łatwiej ci iść?

– Tak, o wiele – rzekła, mocno się czerwieniąc pod tym dziwnym spojrzeniem.

Nic nie odrzekł, jedynie się uśmiechnął. Ona spuściła oczy, nie będąc w stanie spojrzeć mu

w twarz, i ponownie ruszyli. Crysania karciała siebie za swój lęk przez całą drogę, lecz nie zabrała dłoni z ramienia maga. Żadne z nich nie odezwało się, zanim nie dotarli do bram samej wieży. Były to zwykłe drewniane drzwi z runami wyrzeźbionymi na ich powierzchni. Raistlin nie wypowiedział żadnego słowa, nie uczynił żadnego gestu, który Crysania mogłaby dostrzec, lecz – kiedy się zbliżyli – drzwi powoli się rozwarły. Ze środka padło światło i Crysanię tak ucieszyło jego jasne i zachęcające ciepło, że przez chwilę nie dostrzegła jeszcze jednej postaci, której sylwetka była dobrze widoczna.

Kiedy zobaczyła ją, zatrzymała się i cofnęła zaniepokojona.

Raistlin dotknął jej dłoni swymi chudymi, rozpalonymi palcami.

– To tylko mój uczeń, wielbna córko – rzekł. Dalamar jest z krwi i kości i chodzi wśród żywych – przynajmniej na razie.

Crysania nie zrozumiała tych ostatnich słów, ani nie zwróciła na nie większej uwagi, słysząc czający się w głosie Raistlina śmiech. Zbyt była zaskoczona faktem, że mieszkają tu żywi ludzie. Cóż za głupota, skarciła się. Za jakiego potwora miałam tego człowieka? Jest mężczyzną, niczym więcej. Jest człowiekiem z krwi i kości. Ta myśl przyniosła jej ulgę i sprawiła, że się odprężyła. Przystąpiwszy próg, poczuła się lepiej. Wyciągnęła rękę do młodego ucznia, tak jakby podawała ją nowemu akolicie.

– Mój uczeń, Dalamar – powiedział Raistlin, przedstawiając go. – Pani Crysania, wielbna córka Paladine’a.

– Pani Crysanio – rzekł uczeń godnie i z powagą, biorąc jej dłoń i podnosząc ją do warg. Ułonił się lekko, a potem wyprostował i czarny kaptur, który ocieniał jego twarz, zsunął się.

– To elf! – sapnęła Crysania. Jej dłoń nadal była w jego uścisku. – Ależ, to niemożliwe – zaczęła, zmieszana. – Nie służyłby złu...

– Jestem czarnym elfem, wielbna córko – powiedział uczeń. Wydawało jej się, że słyszy gorzyc w jego głosie.

– Przynajmniej tak nazywa mnie mój lud.

Crysania szepnęła zażenowana: – Przepraszam. Nie miałam na myśli...

Zająknęła się i zamilkła, nie wiedząc, gdzie ma patrzeć. Niemal czuła, że Raistlin śmieje się z niej. Znów wytrącił ją z równowagi. Gniewnie wyszarpnęła dłoń z chłodu – nego uścisku ucznia i zabrała drugą dłoń z ramienia Raistlina.

– Wielbna córka miała męczącą podróż, Dalamarze – rzekł Raistlin. – Proszę zaprowadź ją do mego gabinetu i nalej jej kieliszek wina. Za twym pozwoleniem, pani Crysanio – mag skłonił się. – Jest kilka spraw, które wymagają mej uwagi. Dalamarze, wszystko, czego pani sobie zażyczy, natychmiast dostarczysz.

– Oczywiście, shalafi – Dalamar skłonił się z szacunkiem.

Crysania nic nie powiedziała, kiedy Raistlin wyszedł, nagle ogarnięta nieodpartym uczuciem

ulgi i odrętwiającego zmęczenia. Tak musi się czuć wojownik toczący bój o życie przeciwko przebiegłemu przeciwnikowi, zauważyła w milczeniu, idąc za uczniem wąskimi, krętymi schodami.

Gabinet Raistlina nie przypominał tego, czego się spodziewała.

A czego się spodziewałam? zadała sobie pytanie. Z pewnością nie miłego pokoju z mnóstwem dziwnych i fascynujących książek. Meble były ładne i wygodne, a w kominku palił się ogień wypełniający komnatę ciepłem, tak miłym po chłodzie drogi. Wino, które Dalamar nalał, było doskonałe. Ciepło ognia zdawało się przenikać do jej krwi, gdy upiła mały łyk.

Dalamar przyniósł niewielki, bogato rzeźbiony stół i umieścił go po jej prawej ręce. Na blacie postawił misę owoców i bochenek wonnego, jeszcze ciepłego chleba.

– Co to za owoc? – spytała Crysania, podnosząc jeden i oglądając go ze zdumieniem. – Nigdy takiego nie widziałam.

– Rzeczywiście, wielbna córko – odparł Dalamar, uśmiechając się. Crysania zauważyła, że uśmiech młodego ucznia odzwierciedlał się również w jego oczach. – Shalafi kazał je sprowadzić z wyspy Mithas.

– Mithas? – powtórzyła zdumiona Crysania. – Ależ to po drugiej stronie świata! Tam żyją minotaury. Nie wpuszczają nikogo do swego królestwa! Kto je przywozi?

Nagle stanął jej przed oczyma przerażający wizerunek sługi, który mógł zostać wezwany w celu sprowadzenia takich delikatesów dla swego pana. Pośpiesznie odłożyła owoc do miski.

– Spróbuj go, pani Crysanio – rzekł Dalamar bez cienia rozbawienia w głosie. – Jestem pewien, że będzie ci smakował. Shalafi jest delikatnego zdrowia. Tak niewiele rzeczy toleruje. Żywi się niemal wyłącznie tymi owocami, chlebem i winem.

Strach Crysanii zmalął. – Tak – szepnęła, mimowolnie patrząc na drzwi. – Jest strasznie wątpy, nieprawdaż? I ten okropny kaszel... – Jej głos był pełen współczucia.

– Kaszel? Och, tak – rzekł płynnie Dalamar. – Jego kaszel. – Nie kontynuował, i jeśli Crysanii wydało się to dziwne, wkrótce zapomniała o tym, rozglądając się po pokoju.

Uczeń stał przez chwilę, czekając, czy będzie jeszcze potrzebny. Kiedy Crysania milczała, skłonił się. – Jeśli niczego więcej nie potrzebujesz, pani, oddalę się. Muszę poświęcić się własnym naukom.

– Oczywiście. Jest mi tu zupełnie dobrze – rzekła Crysania, wrywając się nagle z zamyślenia. – Więc on jest twoim nauczycielem – stwierdziła, nagle uświadomiwszy to sobie. Teraz ona z kolei przyjrzała się uważnie Dalamarowi. – Jest dobry? Dużo uczysz się od niego?

– Jest najbardziej uzdolniony w naszym zakonie, pani Crysanio – rzekł cicho Dalamar. – Jest błyskotliwy, utalentowany, opanowany. Tylko jeden człowiek dorównywał mu mocą – wielki Fistantilus. A mój shalafi jest młody, ma zaledwie dwadzieścia osiem lat. Jeśli przeżyje, może...



– Jeśli przeżyje? – powtórzyła Crysania, a potem poczuła irytację, że mimowolnie pozwoliła, by do jej głosu wkradła się nuta zatroskania. Należy odczuwać zatroskanie, powiedziała sobie. W końcu on jest stworzeniem boskim. Wszelkie życie jest święte.

– Sztuka jest pełna niebezpieczeństw, pani – mówił Dalamar. – A teraz, jeśli mi wybaczysz...

– Oczywiście – szepnęła Crysania.

Skłoniwszy się ponownie, Dalamar cicho wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Bawiąc się kieliszkiem do wina, Crysania wpatrywała się w tańczące płomienie, pogrążona w rozmyślaniach. Nie słyszała, kiedy drzwi się otworzyły – jeśli rzeczywiście się otworzyły. Poczowała palce dotykające jej włosów. Drżąc, obejrzała się i zobaczyła Raistlina, który siedział za swym biurkiem na krześle o wysokim oparciu.

– Czy mogę posłać po coś jeszcze? Czy wszystko w porządku? – spytał uprzejmie.

– T-tak – wymamrotała Crysania, odstawiając kieliszek, aby nie spostrzegł, że ręka jej drży. – Wszystko w porządku. Nawet bardziej niż w porządku. Twój uczeń – Dalamar? Jest czarujący.

– Nieprawdaż? – stwierdził sucho Raistlin. Złożył razem opuszki wszystkich pięciu palców i oparł dłonie na blacie stołu.

– Jakie masz cudne dłonie – powiedziała Crysania bez zastanowienia. – Jakie smukłe i giętkie są twe palce, i takie delikatne. – Nagle uświadomiwszy sobie, co mówi, zaczerwieniła się i wyjąkała: – A-ale p-przypuszczam, że to niezbędne w twojej sztuce...

– Tak – rzekł Raistlin, uśmiechając się. Tym razem Crysanii zdawało się, że dostrzegła prawdziwą przyjemność w tym uśmiechu. Wyciągnął dłonie do światła rzucanego przez płomienie. – Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, potrafiłem zdumiewać i cieszyć mego brata sztuczkami, których te ręce – już wtedy – potrafiły dokonać. – Wyciągnąwszy złotą monetę z jednej z tajnych kieszeni swej szaty, Raistlin położył ją na knykciach jednej dłoni. Bez wysiłku sprawił, że tańczyła, obracała się i wirowała. Migąła mu w palcach. Kiedy podrzucił ją w powietrze, znikła tylko po to, by pojawić się w jego drugiej ręce. Crysania westchnęła z radości. Raistlin zerknął na nią i wtedy zobaczyła, jak uśmiech zadowolenia przemienia się w uśmiech gorzkiego bólu.

– Tak – powiedział – to była moja jedyna umiejętność, jedyny talent. Bawił inne dzieci. Czasami dzięki temu nie czyniły mi krzywdy.

– Czyniły ci krzywdę? – spytała z wahaniem Crysania, dotknięta bólem w jego głosie.

Nie odpowiedział od razu, przypatrując się złotej monecie, którą wciąż trzymał w dłoni. Potem zaczerpnął głęboko tchu. – Wyobrażam sobie twoje dzieciństwo – szepnął. – Pochodzisz z bogatej rodziny, tak mi powiedziano. Z pewnością byłeś kochana, chroniona, osłaniana, dostawałaś wszystko, czego zapragnęłaś. Podziwiano cię, lubiano, zabiegano o twoje względy.

Crysania nie umiała odpowiedzieć. Nagle ogarnęło ją ogromne poczucie winy.

– Jakże odmienne było moje dzieciństwo. – Znów ten uśmiech goryczy i cierpienia. –

Miałem przezwisko Chytrus. Byłem chorowity i wątpy. I zbyt bystry. Jacy oni byli głupi! Ich ambicje były takie przyziemne – zupełnie jak mojego brata, którego myśli nigdy nie były głębsze od jego talerza! Albo mojej siostry, dla której jedyną drogą do zamierzonego celu był miecz. Tak, byłem cherlawy. Tak, chronili mnie. Jednak poprzysiągłem sobie, że któregoś dnia nie będę potrzebował ich ochrony! Sam osiągnę wyżyny dzięki memu darowi – mojej magii!

Zacisnął dłoń, jego zabarwiona złotem skóra pobieliała. Nagle zaczął kaszleć. Męczący, suchy kaszel wywracał na nice jego chude ciało. Crysania wstała, czując jak serce jej się kraje, ale on gestem kazał jej usiąść. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł krew z warg.

– A to była cena, jaką zapłaciłem za swą magię – powiedział, kiedy odzyskał zdolność mówienia. Jego głos był zaledwie szeptem. – Strzaskali me ciało i dali mi te przeklęte oczy, abym widział, jak umiera wszystko, na co padnie mój wzrok. Ale warto było! Mam bowiem to, czego pragnąłem – moc. Nie potrzebuję ich już – żadnego z nich.

– Ta moc jest zła! – rzekła Crysania, nachylając się i z przejęciem wpatrując w Raistlina.

– Doprawdy? – spytał nagle Raistlin. Jego głos był łagodny. – Czy ambicja jest zła? Czy pragnienie władzy, panowania nad innymi, jest złe? Jeśli tak, pani Crysanio, obawiam się, że równie dobrze mogłabyś zamienić te białe szaty na czarne.

– Jak śmiesz! – wykrzyknęła wstrząśnięta Crysania. – Ja nie...

– Ależ tak – rzekł Raistlin i wzruszył ramionami. Nie starałabyś się tak zawzięcie o stanowisko, jakie piastujesz w kościele, gdybyś nie miała swego udziału w ambicji i żądzy władzy. – Teraz na niego przyszła kolej, by nachylić się do niej. – Czyż nie mówiłaś sobie zawsze: Moim przeznaczeniem jest uczynić coś wielkiego? Moje życie będzie odmienne od życia innych. Mnie nie wystarczy siedzieć i patrzeć, jak świat mnie omija. Ja chcę go kształtować, panować nad nim, naginać do siebie!

Przyszpilona płonącym spojrzeniem Raistlina, Crysania nie mogła ani drgnąć, ani wyrzec słowa. Skąd on wie? zadawała sobie to pytanie z przerażeniem. Czy on potrafi przejrzeć tajemnice mego serca?

– Czy to jest złe, pani Crysanio? – powtórzył Raistlin łagodnie, lecz z naciskiem.

Crysania powoli pokręciła głową. Powoli uniosła dłoń do pulsującej skroni. Nie, to nie było złe, ale coś było nie w porządku. Nie mogła się skupić. Była zbyt roztrzęsiona. Jedno tylko przebiegało jej przez myśl: Jacy jesteśmy podobni, on i ja!

Milczał, czekając aż ona się odezwie. Musiała coś powiedzieć. Szybko upiła wina, by zyskać czas na zebranie rozproszonych myśli.

– Być może nieobce mi są te pragnienia – rzekła, z trudem znajdując słowa – lecz jeśli nawet, nie pragnę tego dla siebie. Wykorzystuję swe umiejętności i talenty dla innych, by im pomagać. Używam ich dla kościoła...

– Kościoła! – parsknął szyderczo Raistlin. Zmieszanie Crysanii znikło, zastąpione przez

zimny gniew. – Tak – odrzekła, na pewnym i bezpiecznym gruncie, otoczona bastionem swej wiary. – To moc dobra, potęga Paladine’a, przegnała zło świata. Tej właśnie mocy pragnę. Tej mocy, która...

– Przegnała zło? – przerwał Raistlin.

Crysanía zamruwała. Dała się porwać natłokowi swych myśli. Nawet nie uświadamiała sobie w pełni tego, co mówi.

– Ależ tak...

– Lecz zło i cierpienie wciąż są obecne na świecie upierał się Raistlin.

– Z powodu takich jak ty! – krzyknęła z pasją Crysanía.

– Ach, nie, wielbna córko – rzekł Raistlin. – Nie z powodu moich czynów. Patrz! – Wezwał ją do siebie gestem jednej dłoni, podczas gdy drugą znów sięgnął do kieszeni ukrytej w połach szaty.

Widząc przedmiot, który wyjął, Crysanía znieruchomiła – stała się ostrożna i podejrzliwa. Był to mały, okrągły kawałek kryształu, migoczący wszystkimi kolorami, bardzo podobny do kulki z dziecięcych zabaw. Podnosząc srebrny postument stojący w kącie biurka, Raistlin umieścił na nim kulkę. Wyglądało to śmiesznie, bowiem kulka była bardzo mała w stosunku do ozdobnego stojaka. Wtedy Crysanía westchnęła. Kulka rosła! A może ona sama malała! Nie miała pewności. Niemniej szklana kula była teraz odpowiednich rozmiarów i spoczywała wygodnie na srebrnym postumencie.

– Spójrz w nią – powiedział cicho Raistlin.

– Nie – Crysanía odsunęła się, patrząc z obawą na glob. – Co to jest?

– Smocza kula – odparł Raistlin, nie spuszczać z niej oczu. – Jedyna, jaka została na Krynnie. Słucha mo – ich rozkazów. Nie pozwolę, by stała ci się krzywda. Spójrz w głąb kuli, pani – chyba, że obawiasz się prawdy.

– Skąd mam wiedzieć, że pokaże mi prawdę? – spytała natarczywie Crysanía drżącym głosem. – Skąd mam wiedzieć, że nie pokaże mi tylko tego, co każesz jej pokazać?

– Gdybyś wiedziała, jak zostały stworzone smocze kule – odparł Raistlin – wiedziałabyś, że dawno temu wykonali je czarodzieje ze wszystkich trzech zakonów Szat Białych, Czarnych i Czerwonych. Nie są narzędziami zła, nie są narzędziami dobra. Są wszystkim i niczym. Nosisz medalion Paladine’a – znów wrócił sarkazm – i masz silną wiarę. Czy ja mógłbym ciebie zmusić, byś zobaczyła coś, czego nie chciałabyś zobaczyć?

– Co ujrę? – szepnęła Crysanía, przyciągnięta do biurka ciekawością i dziwną fascynacją.

– Tylko to, na co twoje oczy spoglądały, lecz czego nie chciały widzieć.

Raistlin przyłożył chude palce do szkła, nucąc słowa zaklęcia. Wahając się, Crysanía nachyliła się i spojrzała w smoczą kulę. Początkowo nie dostrzegła w szklanym globie niczego, z wyjątkiem delikatnego, wirującego, zielonego koloru. Potem cofnęła się. W kuli były ręce!

Ręce, które wyciągały się...

– Nie bój się – szepnął Raistlin. – Te ręce przychodzą po mnie.

I rzeczywiście, kiedy to powiedział, Crysania zobaczyła, że ręce w kuli sięgają po dłonie Raistlina i dotykają ich. Obraz znikł. Przez chwilę w kuli zawirowały obłąkańczo dzikie, kontrastowe kolory, sprawiając, że Crysanii zakręciło się w głowie od ich blasku i jaskrawości. Potem one również znikły. Zobaczyła...

– Palanthas – powiedziała zaskoczona. Unosząc się we mgle poranka, widziała całe połyskujące niczym perła miasto, które rozpościerało się przed jej oczyma. Wtem miasto zaczęło pędzić w jej kierunku, a być może ona spadała ku niemu. Wisiała nad Nowym Miastem, była nad murami, była w Starym Mieście. Przed nią wznosiła się świątynia Paladine'a, a piękny, poświęcony teren w blasku poranka tchnął spokojem i ukojeniem. A potem znalazła się za świątynią, zaglądając za wysoki mur.

Wstrzymała oddech. – Co to jest? – spytała.

– Nigdy tego nie widziałas? – odparł Raistlin. Tego zaułka tak blisko poświęconej ziemi?

Crysania potrząsnęła głową. – N-nie – odpowiedziała załamującym się głosem. – A jednak musiałam. Całe życie spędziłam w Palanthas. Wiem wszystko...

– Nie, pani – rzekł Raistlin, lekko gładząc kryształową powierzchnię smoczej kuji. – Nie, wiesz bardzo niewiele.

Crysania nie umiała odpowiedzieć. Najwyraźniej mówił prawdę, tej części miasta bowiem nie знаła. Zasypany odpadkami zaułek był ciemny i ponury. Światło poranka nie przedostawało się tu, bo budynki nachylały się nad ulicą, jakby nie miały siły stać prosto. Crysania teraz rozpoznawała je. Widywała je od frontu. Trzymano w nich wszystko, począwszy od zboża do beczek z winem i piwem. Ale jakże inaczej budynki te wyglądały od tyłu! I kim byli ci ludzie, ci nędzarze?

– Oni tam mieszkają. – Raistlin odpowiedział na jej nie wypowiedziane pytanie.

– Gdzie? – spytała ze zgrozą Crysania. – Tam? Dlaczego?

– Mieszkają, gdzie mogą. Wgryzając się w serce miasta jak robactwo, żywią się jego rozkładem. A dlaczego? Raistlin wzruszył ramionami. – Nie mają gdzie pójść.

– Ależ to straszne! Powiem Elistanowi. Pomożemy im, damy im pieniądze...

– Elistan wie o tym – powiedział cicho Raistlin.

– Nie! To niemożliwe!

– Ty wiedziałas. Jeśli nie o tym, wiedziałas o innych, niezbyt pięknych miejscach w swym pięknym mieście.

– Ja nie... – zaczęła gniewnie Crysania, a potem umilkła. Wspomnienia nachodziły ją falami – matka odwracająca głowę, kiedy przejeżdżali powozem przez niektóre części miasta, ojciec pośpiesznie zaciągający zasłonki w oknach powozu albo wychylający się, by rozkazać woźnicy

wybrać inną drogę.

Kolory zawirowwały, scena zamigotała, zbladła i została zastąpiona przez następną, a później przez jeszcze inną. Crysania przyglądała się w udreće, jak mag zdziera periowobiałą fasadę z miasta, pokazując czerń i zgniliznę pod spodem. Knajpy, burdele, kasyna gry, przystań i doki... wszystkie wypluwały męty nieszczęścia i cierpienia na oczach zaszokowanej Crysanii. Nie mogła odwrócić głowy, nie było zasłon, które mogłaby zaciągnąć. Raistlin wciągnął ją do środka, do pozbawionych nadziei, głodujących, porzuconych, zapomnianych.

– Nie – błagała, potrząsając głową i starając się odsunąć od biurka. – Proszę, nie pokazuj mi już nic więcej.

Jednak Raistlin nie miał litości, kolory znów zawirowały. Opuścili Palanthas. Smocza kula zaniósła ich dookoła świata i gdzie tylko Crysania spojrzała, widziała następne okropności. Krasnoludy żłebowe – rasa, której wyrzekli się ich krasnoludzcy pobratymcy – żyjący w nędzy w każdym zakątku Krynnu, którego nie chciał nikt inny. Ludzie pędzący żalosny żywot w krainach, gdzie deszcz przestał padać. Dzicy elfowie zniewoleni przez własnych rodaków. Kapłani wykorzystujący swą moc, by oszukiwać i gromadzić wielkie majątki kosztem tych, którzy im ufali.

To było zbyt wiele. Z krzykiem Crysania zasłoniła twarz rękoma. Podłoga zakołysała się pod jej nogami. Kobieta zachwiała się i niemal upadła. A wtedy znalazła się w objęciach Raistlina. Poczowała dziwne, palące ciepło jego ciała i miękki dotyk czarnego aksamitu. Czuć było zapach korzeni, różanych płatków i inne, bardziej tajemnicze wonie. Słyszała, jak płytki oddech rzeźi w płucach maga.

Raistlin delikatnie podprowadził Crysanię do krzesła. Usiadła, szybko odsuwając się od jego dotyku. Jego bliskość była zarazem odstręczająca i pociągająca, co powiększało jej zagubienie i dezorientację. Rozpaczliwie pragnęła, by był tu Elistan. On by wiedział, on zrozumiałby. Przecież musi istnieć jakieś wyjaśnienie! Na takie straszne cierpienia, na takie zło nie powinno się pozwalać. Czując w środku pustkę, patrzyła w ogień.

– Nie jesteśmy wcale inni. – Głos Raistlina zdawał się dobiegać z płomieni. – Ja żyję w swej wieży, poświęcając się mym studiom. Ty mieszkasz w swojej wieży, poświęcając się swej religii. A świat obraca się wokół nas.

– I to jest prawdziwe zło -' rzekła Crysania do płomieni. – Siedzieć i nic nie robić.

– Teraz rozumiesz – powiedział Raistlin. – Nie wystarczy mi już siedzenie i przyglądanie się. Przez wiele lat oddawałem się studiom z jednego powodu, z jednym celem. A teraz mam go w zasięgu ręki. Crysanio, ja zmienię świat! To jest mój plan.

Crysania szybko uniosła głowę. Jej wiara została zachwiana, lecz jej podstawy były silne. – Twój plan! To ten plan, przed którym ostrzegiał mnie Paladine we śnie. Ten plan odmiany świata spowoduje jego zagładę! – Zaciśnęła dłoń na podołku. – Nie wolno ci go wprowadzać w życie!

Paladine...

Raistlin wykonał niecierpliwy gest dłonią. Jego złote oczy rozbłysły i na chwilę Crysania skuliła się, dojrawszy przebłysk utajonego ognia.

– Paladine nie powstrzyma mnie – rzekł Raistlin pragnę bowiem zrzucić z tronu jego największego wroga.

Crysania spojrzała na maga. Nie rozumiała. Jakież to może być wróg? Jakiego wroga Paladine może mieć ncl tym świecie? Wtedy zrozumiała, co miał na myśli Raistlin. Crysania poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a zimny strach wstrząsnął nią konwulsyjnie. Nie mogąc wykrztusić słowa, pokręciła głową. Ogrom jego ambicji i pragnień był zbyt przerażający, by nawet się nad nim zastanawiać.

– Posłuchaj – rzekł cicho. – Wszystko ci wyjaśnię...

I przedstawił jej swe plany. Siedziała przy ogniu, zauroczona spojrzeniem jego dziwnych, złotych oczu, zahipnotyzowana dźwiękiem cichego, szepczącego głosu, i słuchała, jak opowiada jej o cudach swojej magii i magii obecnie zaginionej, o cudach odkrytych przez Fistantilusa.

Raistlin umilkł. Crysania siedziała przez długi czas, zabłąkana w dalekim królestwie, którego nie знаła do tej pory. Ogień przygasał w szarej godzinie przed świtem. W komnacie zrobiło się jaśniej. Crysania wzdrygnęła się pod wpływem chłodu w pokoju.

Raistlin kaszlnął i Crysania spojrzała na niego zaskoczona. Mężczyzna był bładym z wycieńczenia, jego oczy błyszczały gorączkowo, a ręce się trzęsły. Crysania wstała.

– Przykro mi – powiedziała przyciszonym głosem.

– Przez całą noc trzymałam cię na nogach, a jesteś niezdrów. Muszę już iść.

Raistlin wstał wraz z nią. – Nie obawiaj się o me zdrowie, wielbna córko – rzekł z krzywym uśmiechem. Ogień, który we mnie płonie, wystarczy, by ogrzać tve zdruzgotane ciało. Dalamar będzie ci towarzyszył w drodze powrotnej przez zagajnik Shoikan, jeśli sobie życzysz.

– Tak, dziękuję – wymamrotała Crysania. Zapomniała, że musi ponownie przejść przez to okropne miejsce. Zaczerpnąwszy głęboko tchu, wyciągnęła rękę do Raistlina. – Dziękuję za spotkanie – zaczęła oficjalnie. – Mam nadzieję...

Raistlin ujął jej dłoń, a dotyk jego gładkiego ciała parzył. Crysania spojrzała mu w oczy. Zobaczyła tam swe odbicie – kobietę odzianą w biel, o bezbarwnej twarzy otoczonej czarnymi włosami.

– Nie możesz tego uczynić – szepnęła Crysania. To złe, trzeba cię powstrzymać. – Ścisnęła jego dłoń bardzo mocno.

– Udowodnij mi, że to niewłaściwe – odparł Raistlin, przyciągając ją blisko do siebie. – Pokaż mi, że to coś złego. Przekonaj mnie, że ścieżki dobra są sposobem ocalenia świata.

– A posłuchasz? – spytała smutno Crysania. Otoczony jesteś ciemnością. Jak mam do ciebie dotrzeć?

– Ciemność rozstąpiła się, czyż nie? – rzekł Raistlin. – Ciemność rozstąpiła się i weszłaś tu.

– Tak... – Crysania nagle zdała sobie sprawę z jego dotyku, ciepła jego ciała. Zaczerwieniła się, czując się nieswojo, i odsunęła. Uwolniła dłoń z jego uścisku i potarła ją.

– Żegnaj, Raistlinie Majere – powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

– Żegnaj, wielebna córko Paladine'a – odparł. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Dalamar, choć Crysania nie słyszała, by Raistlin wzywał młodego ucznia. Nakrywszy włosy białym kapturem, Crysania odwróciła się od Raistlina i wyszła. Idąc szarym, kamiennym korytarzem, czuła wzrok jego złotych oczu, przepalający jej szaty. Kiedy dotarła do krętych, wąskich schodów wiodących w dół, dobiegł ją jego głos; – Być może Paladine nie wysłał cię, byś powstrzymała mnie, pani Crysanio. Być może przysłał cię, byś mi pomogła.

Crysania zatrzymała się i spojrzała w tył. Raistlin znikł, szary korytarz był pusty i posepny. Dalamar stał obok niej i w milczeniu czekał.

Powoli, zebrawszy fałdy swych białych szat w dłoń, aby się nie potknąć, Crysania zaczęła schodzić.

I schodziła bez końca... coraz niżej... i niżej... w nie kończący się sen.

## ***Rozdział XII***

Wieża Najwyższej Magii w Wayreth od wieków była ostatnim bastionem magii na kontynencie Ansalon. Tutaj zostali wypędzeni magowie, kiedy król-kapłan rozkazał im opuścić pozostałe wieże. Tutaj przybyli, porzucając wieżę w Istar, teraz pod wodą Krwawego Morza, porzucając przeklętą i szerniącą wieżę w Palanthas.

Wieża w Wayreth była imponującą budowlą. Zewnętrzne mury tworzyły trójkąt równoboczny. W każdym rogu doskonałej figury geometrycznej stała mała wieżyczka. Pośrodku wznosiły się dwie główne wieże, nieco nachylone, tylko odrobinę pochyłe – dość, by obserwator mrugnął oczami i rzekł do siebie: Czyżby były krzywe?

Mury zbudowano z czarnego kamienia wypolerowanego na wysoki połysk. Błyszczały jaskrawo w słońcu, a w nocy odbijały blask dwóch księżyców i odzwierciedlały ciemność trzeciego. Na kamiennej powierzchni wyrzeźbiono znaki runiczne, runy mocy i potęgi, strzeżenia i ochrony, runy, które spajały te kamienie razem i które spajały te kamienie z grun – tem. Szczyty murów były płaskie. Nie było na nich blank, na których mieliby stać żołnierze. Nie było takiej potrzeby.

Oddaloną od ośrodków cywilizacji wieżę w Wayreth otaczał magiczny las. Nie mógł doń wejść nikt, kto tutaj nie należał, nie przychodził nikt, kto nie został zaproszony. Tak oto magowie bronili ostatniego przyczółka swej potęgi, dobrze go strzegąc przed światem zewnętrznym.

Mimo to wieża nie była martwa. Z całego świata przybywali tu ambitni uczniowie, by podejmować surową a czasami zgubną Próbę. Co dnia przybywali czarodzieje wysokiej rangi, by kontynuować studia, spotykać się z kolegami, dyskutować i przeprowadzać niebezpieczne eksperymenty. Dla nich wieża była otwarta dniem i nocą. Mogli przychodzić i odchodzić według woli – Czarne Szaty, Czerwone Szaty, Białe Szaty.

Choć uznawali odmienne filozofie oraz sposoby patrzenia na świat i życia w nim, czarodzieje wszystkich Szat spotykali się pokojowo. Spory tolerowano tylko o tyle, o ile przyczyniały się do poszerzenia Sztuki. Wszelkiego rodzaju walki były zakazane – karą była szybka, straszna śmierć.

Sztuka. To było to, co ich łączyło. Jej byli wierni przede wszystkim – bez względu na to, kim byli, komu służyli, jakiego koloru szaty nosili. Młodzi magowie, którzy narażali się na śmierć, kiedy ze spokojem godzili się na Próbę, rozumieli to. Sędziwi czarodzieje, którzy przybywali tu, by wydać ostatnie tchnienie i by ich pochowano w znajomych murach, rozumieli to. Sztuka – Magia. To była matka, kochanka, małżonka i dziecko. To była ziemia, ogień, powietrze, woda, To było życie. To była śmierć. To sięgało poza śmierć.

Par-Salian zastanawiał się nad tym wszystkim w swych komnatach w najdalej wysuniętej na północ z dwóch wysokich wież. Przyglądał się, jak Caramon ze swą nłąką świtą zbliża się do



wrót.

Caramon przypominał sobie przeszłość i tak samo czynił Par-Saiian. Niektórzy zastanawiali się, czy nie z żalem.

Nie, powiedział w duchu, patrząc, jak Caramon wspina się po ścieżce, podzwaniając mieczem, który obija się o jego tłuste uda. Nie żałuję przeszłości. Miałem straszliwy wybór i dokonałem go. Kto poddaje w wątpliwość wolę bogów? Zażądali miecza. Znalazłem go. I – jak wszystkie miecze – okazał się obusieczny.

Caramon i jego mała grupa stanęli pod zewnętrzną bramą. Nie było straży. W kwaterze Par-Saliana zadźwięczał srebrny dzwoneczek.

Stary mag uniósł dłoń. Wrota się otworzyły.

Był zmierzch, kiedy przestąpili próg zewnętrznej bramy Wieży Wielkiej Magii. Tas rozejrzał się dookoła, zaniepokojony. Ledwie chwilę temu był poranek. Albo przynajmniej wydawało się, że jest poranek! Spojrzawszy w górę, zobaczył czerwone promienie przecinające niebo i połyskujące niesamowicie na wypolerowanych, kamiennych murach wieży.

Tas potrząsnął głową. – Jak tu się zorientować, która jest godzina? – zadał sobie pytanie. Stał na rozległym dziedzińcu, otoczonym przez zewnętrzne mury i dwie wieże. Dziedziniec był nagi i pusty. Wybrukowany szarymi płytami z kamienia, sprawiał wrażenie zimnego i niemiłego. Nie rosły tu żadne kwiaty, żadne drzewa nie rozpraszały bezwzględnej monotonii szarego kamienia. Do tego Tas zauważył z rozczarowaniem, że w pobliżu, w zasięgu wzroku, nie było absolutnie nikogo.

A może jednak? Tas kątem oka zauważył ukradkowy ruch, mignięcie bieli. Jednakże, kiedy odwrócił się szybko, ku swemu zdumieniu niczego nie zobaczył! Nikogo tam nie było. Ale potem, kątem drugiego oka, dostrzegł twarz i rękę oraz rękaw czerwonej szaty. Spojrzał nań wprost – a wtedy znikł! Nagle Tas odniósł wrażenie, że jest otoczony przez ludzi, którzy wchodzi i wychodzą, rozmawiają lub tylko siedzą i przyglądają się, a nawet śpią! A jednak – dziedziniec nadal pozostawał cichy, nadal pusty.

– To muszą być magowie przechodzący Próbę! stwierdził Tas, będący pod dużym wrażeniem. – Raistlin powiedział mi, że podróżowali wszędzie, ale nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego! Ciekawe, czy oni mnie widzą? Jak sądzisz, Caramonie, czy mógłbym któregoś dotknąć, gdybym... Caramonie?

Tas mrugnął powiekami. Caramona nie było! Bupu też znikła! Odziane na biało postaci i pani Crysania znikły. Był zupełnie sam!

Nie na długo. Błysnęło żółte światło, rozniósł się nieprawdopodobnie wstrętny zapach i pojawił się górujący nad nim mag w czarnej szacie. Mag wyciągnął dłoń, kobiecą dłoń.

– Zostałeś wezwany.

Tas przełknął ślinę. Powoli wyciągnął rękę. Palce kobiety zacisnęły się na jego nadgarstku.

Kender zadrzał pod ich zimnym dotykiem. – Może zostanę zaczarowany! rzekł do siebie z nadzieją.

Dziedziniec, mury z czarnego kamienia, czerwone smugi słońca, szare płyty na dziedzińcu, wszystko zaczęło się rozplýwać wokół Tasa, spływając po krawędziach jego pola widzenia, niczym malunek nasiąknięty deszczem. Uradowany jak nigdy, kender poczuł, jak czarne szaty kobiety owijają go pod samą brodę...

Kiedy Tasslehoff oprzytomniał, leżał na bardzo twardej, bardzo zimnej, kamiennej posadzce. Obok niego błogo chrapała Bupu. Caramon podnosił się do pozycji siedzącej, potrząsając głową i starając się odpędzić resztki zalegającej mu w głowie mgły.

– Auu. – Tas rozcierał sobie kark. – Osobliwe pokoje gościnne, Caramonie – burknął, wstając. – Można by sądzić, że chociaż wyczarują łóżka. A jeśli chcą, żeby gość się przespał, czemu nie powiedzą tego, zamiast wysyłać go... och...

Słyszając, że głos Tasa zakończył się dziwnym gulgotem, Caramon szybko podniósł głowę.

Nie byli sami.

– Ja znam to miejsce – szepnął Caramon. Znajdowali się w obszernej komnacie, wykutej z obsydianu. Była tak rozległa, że jej ściany nikły w mroku, i tak wysoka, że sufit przesłaniał cień. Nie podpierały go żadne kolumny, żadne światła nie paliły się na nim. A jednak było światło, choć nikt nie potrafiłby nazwać jego źródła. Było blade i białe – nie żółte – zimne, ponure i nie dające ciepła.

Ostatnim razem, gdy Caramon był w tej komnacie, światło padało na starca odzianego w białe szaty, który siedział samotnie na wielkim, kamiennym krześle. Tym razem blask padał na tego samego starca, lecz nie był on sam. Wokół niego stał półokrąg kamiennych krzeseł – dwadzieścia jeden, dokładnie licząc. Starzec w białej szacie zasiadał pośrodku. Po jego lewej ręce znajdowały się trzy słabo widoczne postaci; trudno było powiedzieć, czy byli to mężczyźni, czy kobiety, ludzie, czy jakaś inna rasa. Kaptury mieli nasunięte nisko na twarze. Odziani byli w czerwone szaty. Na lewo od nich siedziało sześć postaci ubranych w czarne szaty. Jedno krzesło pośród nich stało puste. Po prawej ręce starca siedziały cztery następne osoby w czerwonych szatach, a po ich prawej sześć w bieli. Pani Crysania leżała na podłodze przed nimi. Jej ciało spoczywało na białej pryczy, nakryte białym płótnem.

Spośród uczestników Konklawe widoczna była tylko twarz starego człowieka.

– Dobry wieczór – powiedział Tasslehoff, kłaniając się i cofając, kłaniając i cofając tak długo, aż wpadł na Caramona. – Kim są ci ludzie? – szepnął głośno kender.

– I co oni robią w naszej sypialni?

– Ten starzec pośrodku to Par-Salian – powiedział cicho Caramon. – A my nie jesteśmy w sypialni. To jest główne pomieszczenie, Sala Magów, czy coś w tym rodzaju. Lepiej zbudź krasnoludkę żlebową.

– Bupu! – Tas kopnął chrapiącą krasnoludkę.

– Gulpfungerowe nasienie – warknęła, przewracając się na bok i mocno zaciskając powieki.

– Idź precz. Ja spać.

– Bupu! – Tas był zdesperowany; oczy starca zdawały się przewiercać go na wylot. – Hej, obudź się. Obiad.

– Obiad! – Otwierając oczy, Bupu zerwała się na równe nogi. Rozejrzawszy się z entuzjazmem dookoła, zobaczyła dwadzieścia spowitych w szaty postaci, które siedziały w milczeniu, zasłaniając twarze kapturami.

Bupu wrzasnęła jak dręczony królik. Konwulsyjnym skokiem rzuciła się na Caramona i kurczowo oplotła ramionami jego kostkę. Zdając sobie sprawę ze spojrzeń błyszczących oczu, które mu się przyglądały, Caramon starał się strząsnąć ją, lecz było to niemożliwe. Przywarła do niego niczym pijawka, drżąc i z przerażeniem przyglądając się magom. Wreszcie Caramon zrezygnował.

Twarcz starego człowieka zmarszczyła się w grymasie, który mógł być uśmiechem. Tas zobaczył, że Caramon spogląda z zawstydzeniem na swoje cuchnące ubranie. Zobaczył, jak wielki mężczyzna gładzi nie ogolone policzki i dłonią przeczesuje potargane włosy. Caramon zaczerwienił się z zażenowania, potem jednak przybrał poważny wyraz twarzy. Odezwał się z prostą godnością.

– Par-Salianie – rzekł Caramon, a jego słowa głośno zadudniły w obszernej, mrocznej komnacie – pamiętasz mnie?

– Pamiętam, wojowniku – powiedział mag. Jego głos był cichy, a jednak niósł się w komnacie. Szept konającego też niósłby się w tej komnacie.

Nie powiedział nic więcej. Żaden z pozostałych magów nie odezwał się. Caramon poczuł się nieswojo. Wreszcie wskazał na panią Crysanię. – Przyniosłem ją tu w nadziei, że potraficie jej pomóc. Potraficie? Czy ona wyzdrowieje?

– To czy wyzdrowieje, czy nie, nie zależy od nas odparł Par-Salian. – Nie mamy dość umiejętności, by zatroszczyć się o nią. Aby ochronić ją przed zaklęciem, jakie rzucił na nią upiorny rycerz, zaklęciem, które z pewnością znaczyłoby dla niej śmierć – Paladine wysłuchał jej ostatniej modlitwy i wysłał jej duszę, by zamieszkała w jego królestwie spokoju.

Caramon spuścił głowę. – To moja wina – rzekł chrapliwym głosem. – Zawiodłem ją. Może mógłbym...

– Obronić ją? – Par-Salian potrząsnął głową. Nie, wojowniku, nie mógłbyś obronić jej przed rycerzem Czarnej Róży. Próbując, sam postradałbyś życie. Czyż nie tak, kenderze?

Tas, który stwierdził nagle, że spojrzenie niebieskich oczu starca spoczywa na nim, poczuł przebiegający przez jego ciało dreszcz iskierok. – T-tak – wyjąkał. – W-widziałem go to. – Tasslehoff wzdrygnął się.

– I to mówi ktoś, komu strach jest obcy – rzekł łagodnie Par-Salian. – Nie, wojowniku, nie obwiniaj siebie. I nie trać nadziei. Choć sami nie jesteśmy w stanie przywołać jej duszy, znamy takich, którzy umieją. Powiedz mi jednak wpierw, dlaczego pani Crysania szukała nas. Wiemy bowiem, że starała się znaleźć las Wayreth.

– Nie jestem pewien – wymamrotał Caramon.

– Przybyła z powodu Raistlina – wtrącił pomocnie Tas. Jednakże jego głos zabrzmiał piskliwie i fałszywie w tej sali. Imię Raistlina zadźwięczało upiornie. Par-Salian zmarszczył brwi, Caramon odwrócił się i zmierzył kendera gniewnym spojrzeniem. Magowie lekko poruszyli zakapturzonymi głowami, jakby spoglądali na siebie, a ich szaty zaszeleściły. Tas przełknął ślinę i umilkł.

– Raistlin – imię to padło z ust Par-Saliana jako cichy syk. Mag wbił spojrzenie w Caramona.

– Co kapłanka dobra ma wspólnego z twoim bratem? Dlaczego wybrała się w tę niebezpieczną podróż dla niego?

Caramon potrząsnął głową, nie chcąc lub nie mogąc przemówić.

– Ty wiesz, że on jest zły? – Par-Salian ciągnął dalej srogo.

Caramon zawzięcie odmawiał udzielenia odpowiedzi, wbijając wzrok w kamienną posadzkę.

– Ja wiem... – zaczął Tas, lecz Par-Salian uczynił lekki gest dłonią i kender zamilkł.

– Wiesz, że sądzimy obecnie, iż zamierza podbić świat? – kontynuował Par-Salian, a jego bezlitosne słowa trafiały Caramona niczym strzałki. Tas widział, jak ogromny mężczyzna kuli się. – Wspólnie z twoją przyrodnią siostrą Kitiarą – lub Czarną Panią, jak zwana jest przez swych żołnierzy – Raistlin zaczął gromadzić wojska. On ma smoki, latające cytadele. A w dodatku wiemy...

W komnacie rozległ się szydery glos. – Niczego nie wiesz, o Wielki. Jesteś głupcem!

Słowa spadły jak krople wody do nieruchomej sadzawki, wywołując kręgi poruszenia, które rozeszły się wśród magów. Zaskoczony Tas odwrócił się, szukając źródła dziwnego głosu i zobaczył za sobą postać wyłaniającą się z mroku. Jej czarne szaty szeleściły, gdy wyminęła ich, by stanąć twarzą w twarz z Par-Salianem. W tym momencie postać zsunęła kaptur.

Tas poczuł, że Caramon sztywnieje. – Co to? – szepnął kender, nic nie widząc.

– Czarny elf! – wymamrotał Caramon.

– Naprawdę? – powiedział Tas i oczy mu się zaświeciły. – Wiesz, przez wszystkie lata, jakie przeżyłem na Krynnie, nigdy nie widziałem czarnego elfa. – Kender ruszył naprzód, lecz został złapany za kołnierz koszuli. Tas zapiszczał z irytacji, gdy Caramon odciągnął go do tyłu, lecz ani Par-Salian, ani postać w czarnej szacie zdawali się nie zauważyć zamieszania.

– Sądzę, że powinieneś się wytłumaczyć, Dalamarze – rzekł cicho Par-Salian. – Dlaczego jestem głupcem?

– Podbić świat! – parsknął Dalamar. – On nie ma zamiaru podbijać świata! Świat nic dla

niego nie znaczy. Mógłby mieć świat jutro, dziś jeszcze, gdyby tylko zechciał!

– Więc czego chce? – Pytanie zadał mag w czerwonej szacie, siedzący w pobliżu Par-Saliana.

Tas, wyglądając zza ramienia Caramona, dostrzegł, jak na delikatnej, choć okrutnej, twarzy czarnego elfa odmalowuje się uśmiech odprężenia – uśmiech, od którego kendera przeszedł dreszcz.

– On chce zostać bogiem – odrzekł cicho Dalamar. – Rzuci wyzwanie samej Królowej Ciemności. Taki jest jego plan.

Magowie nic nie powiedzieli, nie poruszyli się, lecz ich milczenie zdawało się drzeć wśród nich niczym zmienne prądy powietrza, gdy mierzyli Dalamara błyszczącymi, nieruchomymi oczyma.

Wtedy Par-Salian westchnął. – Wydaje mi się, że go przeceniasz.

Rozległ się dźwięk dartego materiału. Tas zobaczył gwałtowny ruch rąk czarnego elfa, który rozdarł tkaninę swej szaty.

– Czy to jest przecenianie go? – krzyknął Dalamar. Magowie nachylili się, a ich jęk przebiegł przez wielką salę niczym szept chłodnego wiatru. Tas starał się coś zobaczyć, lecz Caramon trzymał go mocno. Poirytowany Tas zerknął na twarz Caramona. Czy on nie jest ciekaw? Jednak Caramon sprawiał wrażenie niewzruszonego.

– Widzicie ślad, jaki zostawiła jego ręka – zasyczał Dalamar. – Nawet teraz ból jest niemal nie do zniesienia. Młody elf umilkł, po czym dodał przez zaciśnięte zęby: Powiedział, żebym przekazał ci pozdrowienia, Par-Salianie!

Wielki czarodziej spuścił głowę. Ręka, którą podniósł, by ją podtrzymać, dygotała jak porażona. Mężczyzna sprawiał wrażenie słabego i znużonego. Przez chwilę mag siedział, zasłaniając oczy, a potem podniósł głowę i uważnie przyjrzał się Dalamarowi.

– Więc nasze najgorsze obawy się potwierdziły. Par-Salian pytająco zmrużył oczy. – W takim razie on wie, że wysłaliśmy ciebie...

– Żeby go szpiegować? – Dalamar roześmiał się gorzko. – Tak, wie! – Czarny elf splunął tymi słowami. – Od samego początku wiedział. Wykorzystywał mnie na wszystkich – dla własnych celów.

– Bardzo trudno mi w to wszystko uwierzyć – łagodnym tonem stwierdził ubrany w czerwień mag. – Wszyscy przyznajemy, że młody Raistlin jest z pewnością potężny, niemniej ta mowa o rzucaniu wyzwania bogini jest raczej śmieszna... doprawdy całkiem śmieszna.

Z obu stron półokręgu padały szeptem potwierdzenia.

– Och, czyżby? – spytał Dalamar, a w jego głosie dała się słyszeć mordercza delikatność. – W takim razie pozwólcie, że powiem wam, głupcy, że nie macie pojęcia o znaczeniu słowa potęga. Nie w odniesieniu do niego! Nawet nie jesteście w stanie wyobrazić sobie głębi jego

mocy, ani wznieść się na jej wyżyny! Ja potrafię! Ja widziałem. Dalamar na chwilę zamilkł, a jego głos stracił ton gniewu i przepełniony był podziwem. Widziałem takie rzeczy, których nikt z was nie śmiałby sobie wyobrazić! Chodziłem w krainie snu z otwartymi oczyma! – Widziałem piękno, na którego widok serce może pęknąć z bólu. Zstępowałem w koszmary, byłem świadkiem okropieństw – wzdrygnął się – nienazwanych okropieństw tak strasznych, że błagałem, aby mnie raczej zabito, bylebym nie musiał więcej na nie patrzeć! – Dalamar powiódł wzrokiem po półokręgu swym błyszczącym spojrzeniem ciemnych oczu. – I wszystkie te cuda on wezwał, on stworzył, on ożywił swą magią.

Nie było słyhać żadnego dźwięku, nikt się nie ruszył.

– Mądry jesteś, że się obawiasz, Wielki. – Dalamar obniżył głos do szeptu. – Lecz bez względu na to, jak ogromny jest twój strach, nie boisz się go wystarczająco. Och, tak, brak mu mocy, by przekroczyć ten straszliwy próg. Jednakże udaje się właśnie w podróż, by tę moc zdobyć. Kiedy my tu rozmawiamy, on szykuje się do długiej wyprawy. Wyruszy po moim jutrzejszym powrocie.

Par-Salian podniósł głowę. – Twoim powrocie? – spytał zaszokowany. – Przecież on wie, kim jesteś: szpiegiem naślany przez nas, Konklawe, jego kolegów. Spojrzenie wielkiego maga padło na puste krzesło, które stało między Czarnymi Szatami, po czym wstał. – Nie, młody Dalamarze. Jesteś bardzo odważny, lecz nie mogę ci pozwolić na powrót, który bez wątpienia skończyłby się śmiercią w mękach z jego rąk.

– Nie możesz mnie powstrzymać – rzekł Dalamar, a w jego głosie nie było żadnych uczuć. – Powiedziałem już – oddałbym duszę, by móc studiować u kogoś takiego, jak on. A teraz, choćbym miał to przypłacić życiem, zostanę z nim. On oczekuje, że wrócę. Powierza mej opiece Wieżę Wielkiej Magii na czas swej nieobecności.

– Zostawia ciebie na straży? – rzekł z powątpiewaniem mag w czerwonej szacie. – Ciebie, który go zdradziłeś?

– On mnie zna – rzekł gorzko Dalamar. – On wie, że wpadłem w jego sidła. Uządził me ciało i wysłał ze mnie duszę do cna, a jednak wrócę do pajęczyny. I nie będę pierwszy. – Dalamar wskazał na nieruchomą, białą postać leżącą na pościeli przed nim. Potem, w połowie odwróciwszy się, czarny elf zerknął na Caramona. – Nieprawdaż, bracie? – spytał szyderczo.

Wreszcie Caramon poczuł się zmuszony zareagować. Gniewnie strząsając Bupu z nogi, wojownik zrobił krok naprzód, a kender i krasnoludka żlebowa posunęli się tuż za nim.

– Kto to jest? – spytał natarczywie Caramon, robiąc wrogą minę do czarnego elfa. – Co tu się dzieje? O kim wy mówicie?

Zanim Par-Salian zdołał odpowiedzieć, Dalamar odwrócił się twarzą do olbrzymiego wojownika.

– Nazywają mnie Dalamar – rzekł chłodno czarny elf. – A mówię o twoim bliźniaczym

bracie, Raistlinie. Jest moim mistrzem. Ja jestem jego uczniem. Dodatkowo jestem szpiegiem wysłanym przez to szacowne zgromadzenie – nie, które widzisz przed sobą, po to by donosić o poczynaniach twego brata.

Caramon nic nie odrzekł. Być może nawet tego nie usłyszał. Nie mógł oderwać oczu – szeroko rozwartych ze zgrozy – od piersi czarnego elfa. Idąc za spojrzeniem Caramona, Tas ujrzał pięć wypalonych i krwawiących dziur w ciele Dalamara. Kender przełknął ślinę, bowiem nagle zrobiło mu się mdło.

– Tak, zrobiła to ręka twego brata;– zauważył Dalamar, odgadując myśli Caramona. Uśmiechnąwszy się ponuro, czarny elf chwycił poły rozdartej czarnej szaty i zsunął je, zakrywając rany. – To drobiazg – mruknął – nic ponad to, na co zasłużyłem.

Caramon odwrócił głowę, a twarz miał tak bladą, że Tas chwycił wielkiego mężczyznę za rękę, bojąc się, że ten może zemdleć. Dalamar przyglądał się Caramonowi z pogardą.

– Cóż to? – spytał. – Nie sądziłeś, że jest do tego zdolny? – Czarny elf pokręcił głową z niedowierzaniem, przesuając spojrzeniem po zgromadzonych. – Nie, ty jesteś taki, jak wszyscy pozostali. Głupcy... wszyscy jesteście głupcami!

Magowie szeptali coś między sobą; jedne głosy były gniewne, inne zalęknione, większość pytająca. Wreszcie Par-Salian uciszył ich podniesieniem ręki.

– Powiedz nam, Dalamarze, o jego planach. Jeśli, oczywiście, nie zabronił ci o nich mówić. – W głosie maga zadźwięczała nutka ironii, która nie uszła uwagi czarnego elfa.

– Tak. – Dalamar uśmiechnął się ponuro. – Znam jego plany. To znaczy, w wystarczającym stopniu. Poleciał mi nawet, bym nie zapomniał dokładnie je wam przekazać.

W tym momencie rozległy się szmery i szydercze parsknięcia. Par-Salian jednakże sprawiał wrażenie jedynie jeszcze bardziej zatroskanego, jeśli to w ogóle możliwe. Mów dalej – powiedział niemal bezgłośnie.

Dalamar zaczerpnął tchu.

– On udaje się w podróż w przeszłość, do czasów tuż przed Katakлизmem, kiedy wielki Fistantilus był u szczytu swej potęgi. Zamiarem mojego shalafi jest spotkanie się z wielkim magiem, by studiować u niego i odkryć te jego dzieła, które, wedle naszego stanu wiedzy, zaginęły podczas Katakлизmu. Mój shalafi po lekturze ksiąg magicznych, które zabrał z Wielkiej Biblioteki w Palanthas, jest przekonany, że Fistantilus dowiedział się, jak przekroczyć próg dzielący bogów od ludzi. W ten sposób ten wielki czarodziej zdołał przedłużyć swe życie po Katakлизmie, by wziąć udział w wojnach krasnoludzkich. W ten sposób zdołał przeżyć straszliwą eksplozję, która obróciła w perzynę krainę Dergoth. W ten sposób był w stanie utrzymać się przy życiu, dopóki nie znalazł nowego naczynia dla swej duszy.

– Nic z tego nie rozumiem! Powiedźcie mi, co tu się dzieje! – domagał się odpowiedzi Caramon, gniewnie występując naprzód. – Bo inaczej rozwalę to wszystko i zrzucę na wasze

żałosne głowy! Kim jest ten Fistantilus? Co on ma wspólnego z moim bratem?

– Szs – uciszył go Tas, zerkając z lękiem na magów.

– My rozumiemy, kenderken – powiedział Par-Salian, uśmiechając się łagodnie do Tasa. – Rozumiemy jego gniew i żal. On ma rację – jesteśmy mu winni wyjaśnienia.

– Stary mag westchnął. – Być może to, co zrobiłem, było niewłaściwe. A jednak – czyż miałem wybór? Gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdybym nie podjął decyzji, jaką podjąłem?

Tas zobaczył, że Par-Salian odwraca się, by spojrzeć na magów po obu jego stronach, i nagle kender uświadomił sobie, że odpowiedź Par-Saliana jest adresowana do nich w równym stopniu, co do Caramona. Wielu zsunęło kaptury i Tas teraz widział ich oblicza. Gniew malował się na twarzach tych, którzy nosili czarne szaty, smutek i strach widoczny był na bladych twarzach tych, którzy odziani byli w biel. Spośród czerwonych szat, jeden człowiek w szczególności zwrócił uwagę Tasa, głównie dlatego, że jego twarz była gładka i pozbawiona wyrazu, choć oczy miał ciemne i ruchliwe. Był to ten czarodziej, który wątpił w moc Raistlina. Tas miał wrażenie, że w szczególności do tego człowieka Par-Salian skierował swe słowa.

– Ponad siedem lat temu objawił mi się Paladine. Oczy Par-Saliana utkwione były w mroku.

– Wielki bóg ostrzegł mnie, że czas przerażenia pochłonie świat. Królowa Ciemności obudziła złe smoki i zamierza wydać wojnę ludziom, aby ich podbić. „Wybierzesz jednego z waszego zakonu, by pomógł zwalczyć to zło”, powiedział mi Paladine. „Wybierz mądrze, bowiem ta osoba będzie niczym miecz przecinający ciemność. Nie wolno ci powiedzieć mu, co kryje przyszłość, bowiem od decyzji jego i innych, zależeć będzie, czy twój świat przetrwa, czy pograży się na wieczność w nieskończonej nocy.” Par-Salianowi przerwały rozgniewane głosy, szczególnie tych, którzy nosili czarne szaty. Par-Salian spojrział na nich i oczy mu rozbłysły. W tym momencie Tas zobaczył przejaw mocy i władzy, jaką dysponował ten słabowity, stary mag.

– Tak, być może powinienem był przedstawić tę sprawę Konklawe – rzekł Par-Salian ostrym głosem. – Uważałem jednakże wtedy, tak samo jak teraz, że decyzja należała wyłącznie do mnie. Dobrze wiedziałem, ile godzin Konklawe zajmą kłótnie, dobrze wiedziałem, że nikt z was się nie zgodzi! Podjąłem decyzję. Czy ktokolwiek z was kwestionuje moje prawo do tego?

Tas wstrzymał oddech, czując, jak gniew Par-Saliana dudni po sali niczym grom. Czarodzieje Czarnych Szat opadli na kamienne siedziska, mamrocząc pod nosem. Par-Salian milczał przez chwilę, a potem jego spojrzenie padło ponownie na Caramona. Surowy wzrok nieco złagodniał.

– Wybrałem Raistlina – rzekł.

Caramon zrobił wrogą minę. – Dlaczego? – zapytał natarczywie.

– Miałem swoje powody – powiedział łagodnie Par-Salian. – Niektórych z nich nie mogę wyjaśnić nawet te – raz. Mogę jednak powiedzieć jedno: on urodził się z darem. I to jest



najważniejsze. Magia tkwi głęboko w twym bracie. Czy wiedziałeś, że od pierwszego dnia, gdy Raistlin zaczął chodzić do szkoły, jego mistrz bał się go i podziwiał? Jak można uczyć kogoś, jeśli uczeń wie więcej od nauczyciela? A wraz z darem magii połączona jest również inteligencja. Umysł Raistlina nigdy nie spoczywa. Szuka wiedzy, domaga się odpowiedzi. W dodatku on jest odważny – być może odważniejszy od ciebie, wojownika. Walczy z bólem każdego dnia swego życia. Nieraz stawiał czoło śmierci i zwyciężył. Nie boi się niczego – ani ciemności, ani światła. A jego dusza... – Par-Salian przerwał. – Jego duszę spala żądza władzy, żądza jeszcze większej wiedzy. Wiedziałem, że nic, nawet groźba śmierci, nie powstrzyma go od osiągnięcia jego celów. I wiedziałem też, że cele, do których dąży, mogą przynieść korzyść światu, nawet jeśli on sam postanowi odwrócić się od niego.

Par-Salian umilkł. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie pobrzmiwał smutek. – Wpierw jednakże musiał przejść Próbę.

– Powinieneś był przewidzieć wynik – rzekł mag w czerwonej szacie, mówiąc wciąż tym samym łagodnym tonem. – Wszyscy wiedzieliśmy, że on czeka przyczajony...

– Nie miałem wyboru! – warknął Par-Salian, a w jego błękitnych oczach zapłonął ogień. – Nasz czas dobiegał końca. Czas świata dobiegał końca. Ten młodzieniec musiał poddać się Próbie i przyswoić sobie to, czego się nauczył. Nie mogłem tego dłużej odwlekać.

Caramon przyglądał się najpierw jednemu, potem drugiemu. – Wiedziałeś, że Raistowi groziło niebezpieczeństwo, kiedy sprowadziłeś go tu?

– Niebezpieczeństwo zawsze istnieje – odparł Par-Salian. – Celem Próby jest odsianie tych, którzy mogliby być niebezpieczni dla siebie samych, dla zakonu i niewinnych tego świata. – Przyłożył dłoń do twarzy, pocierając brwi. – Pamiętaj, że celem Próby jest również nauczenie czegoś. Łudziliśmy się nadzieją nauczania twego brata współczucia, by utemperować jego samolubną ambicję, łudziliśmy się nadzieją nauczania go miłosierdzia i litości. Być może popełniłem błąd właśnie z tej chęci uczenia. Zapomniałem o Fistantilusie.

– Fistantilus? – odezwał się zmieszany Caramon. – Co masz na myśli, że zapomniałeś o nim? Z tego, co powiedziałeś, wynika, że stary mag nie żyje.

– Nie żyje? O, nie. – Twarz Par-Saliana spochmurniała. – Wybuch, który zabił tysiące podczas Wojny Krasnoludów i spustoszył krainę, która do tej pory jest nagim i jałowym pustkowiem, nie zabił Fistantilusa. Jego magia była dość potężna, by pokonać samą śmierć. Przeniósł się na inną płaszczyznę istnienia, daleko stąd, a jednak nie dość daleko. Stałe obserwował przyczajony, szukając ciała, które przyjęłoby jego duszę. I znalazł – twego brata.

Caramon słuchał spięty w milczeniu, śmiertelnie pobladły. Kątem oka Tas dostrzegł, że Bupu się wycofuje. Chwycił ją za rękę i mocno przytrzymał, powstrzymując przerażoną krasnoludkę od ucieczki w popłochu.

– Kto wie, jaką umowę zawarli podczas Próby? Prawdopodobnie nikt z nas. – Par-Salian

uśmiechnął się blado. – Wiem jedno. Raistlin spisywał się doskonale, jednakże zawodziło go słabe zdrowie. Być może przeżyłby ostateczny test – walkę z czarnym elfem, gdyby Fistantilus nie pomógł mu. Być może nie.

– Pomógł mu? On ocalił mu życie?

Par-Salian wzruszył ramionami. – Wiemy tylko tyle, wojowniku – nikt z nas nie nadał twemu bratu tego złotawego odcienia skóry. Czarny elf rzucił w niego ognistą kulę i Raistlin przeżył. Oczywiście, to niemożliwe...

– Nie dla Fistantilusa – przerwał mag w czerwonej szacie.

– Nie – przyznał ze smutkiem Par-Salian – nie dla Fistantilusa. Zastanawiałem się wtedy nad tym, lecz nie miałem okazji tego zgłębić. Wydarzenia na świecie pędziły ku punktowi kulminacyjnemu. Twój brat był sobą, kiedy wyszedł z Próby. Był węższy, oczywiście, lecz tego można było się spodziewać. A ja się nie myliłem – Par-Salian powiódł szybkim, triumfalnym spojrzeniem po półokręgu – jego magia była silna! Któż inny bez lat studiów zdobyłby władzę nad smoczą kulą?

– Oczywiście – rzekł odziany na czerwono mag przyszedł mu z pomocą ktoś, kto miał za sobą lata studiów.

Par-Salian zmarszczył brwi i nie odpowiedział.

– Wyjaśnijmy to sobie – powiedział Caramon, mierząc wściekłym spojrzeniem czarodzieja w biele. – Ten Fistantilus... opętał duszę Raistlina? To on nakazał Raistlinowi przywdziać Czarne Szaty.

– Twój brat sam dokonał wyboru – rzekł ostro Par-Salian. – Tak jak my wszyscy.

– Nie wierzę! – krzyknął Caramon. – Raistlin nie podjął tej decyzji. Kłamiesz, wszyscy kłamiecie! Torturowaliście mojego brata, a potem jeden z waszych starych czarnoksiężników posiadał to, co zostało z jego ciała! Słowa Caramona dudniły w komnacie, cienie tańczyły z niepokoju.

Tas zobaczył, że Par-Salian pośepnie przygląda się wojownikowi i skulił się, czekając na zakłęcie, które usmaży Caramona jak kurczaka na rożnie. Nie padło jednak. Jednym dźwiękiem był chrapliwy oddech Caramona.

– Mam zamiar sprowadzić go – oświadczył wreszcie Caramon ze łzami błyszczącymi mu w oczach. – Jeśli on może cofnąć się w czasie, by spotkać się z tym starym czarodziejem, ja też mogę. Możecie wysłać mnie w przeszłość. A kiedy znajdę Fistantilusa, zabiję go. Wtedy Raist będzie... – Zdławił szloch, starając się zapanować nad sobą.

– On będzie znów Raistem. I zapomni wszystkie te bzdury o rzucaniu wyzwania K-królowej Ciemności i... zostaniu bogiem.

W półokręgu zapanował chaos. Słysząc było głosy pod – niesione w gniewie. – Niemożliwe! On zmieni historię! Posunął się za daleko, Par-Salianie!

Odziany w białą szatę mag wstał i odwróciwszy się, po kolei spojrzął w twarz każdemu z magów w półokręgu. Tas wyczuwał bezgłośnie porozumienie, szybkie niczym błyskawica.

Caramon przetarł oczy dłonią, spoglądając wyzywająco na czarodziejów. Powoli wszyscy zasiedli na swoich miejscach. Tas dostrzegł jednakże zaciśnięte pięści i nie przekonane, pełne gniewu twarze. Mag w czerwonych szatach zmierzył Par-Saliana podejrzliwym spojrzeniem, unosząc jedną brew. Potem on również usiadł. Par-Salian omiół Konklawe ostatnim, szybkim spojrzeniem, zanim odwrócił się do Caramona.

– Rozważymy twą propozycję – rzekł Par-Salian. Może być skuteczna. Z pewnością tego się nie spodziewa...

Dalamar zaczął się śmiać.

### ***Rozdział XIII***

Nie spodziewa się? – Dalamar śmiał się do rozpuku. – On to zaplanował! Czy sądzicie, że ten olbrzymi gamoń – machnął ręką w stronę Caramona – trafiłby tu o własnych siłach? Kiedy istoty mroku ścigały Tanisa i panią Crysanię – ścigały, lecz nie dogoniły – jak sądzicie, kto je nasłał? Nawet spotkanie z upiornym rycerzem, spotkanie uknute przez jego siostrę, które mogło pokrzyżować mu plany – mój shalafi obrócił na swoją korzyść. Wy głupcy, bez wątpienia, posłecie tę kobietę, panią Crysanię, w przeszłość do jedynych ludzi, którzy mogą ją uzdrowić – króla-kapłana i jego popleczników. Wyślecie ją w przeszłość na spotkanie z Raistlinem! Co więcej, nawet dacie jej tego mężczyznę – jego brata – jako opiekuna i strażnika. Tylko tego potrzeba mojemu shalafi.

Tas dostrzegł, jak szponiaste palce Par-Saliana zaciskają się na zimnych, kamiennych poręczach krzesła, a niebieskie oczy starca groźnie błyszczą.

– Dość już tych obelg, Dalamarze – rzekł Par-Salian.

– Zaczynam sądzić, że twa lojalność wobec shalafi jest zbyt wielka. Jeśli to prawda, nastał kres twej użyteczności dla Konklawe.

Ignorując groźbę, Dalamar uśmiechnął się gorzko. Mój shalafi – powtórzył cicho, po czym westchnął, a jego smukłym ciałem wstrząsnął dreszcz. Miął podarte szaty w dłoni i spuścił głowę. – Utknąłem pośrodku, tak jak zamierzał – szepnął czarny elf. – Nie wiem już, komu służę, jeśli w ogóle komuś. – Podniósł ciemne, udreżone oczy, a ich widok sprawił, że Tasowi serce się ścisnęło z żałosci. – Wiem jedno: gdyby ktokolwiek z was próbował wejść do wieży podczas jego nieobecności, zabiłbym go. Tyle lojalności jestem mu winien. A jednak obawiam się go tak samo, jak wy. Pomogę wam, jeśli to będzie w mojej mocy.

Par-Salian wciąż surowo przyglądał się Dalamarowi. Nie rozumiem, czemu Raistlin powiedział ci o swych planach? Przecież musiał wiedzieć, że postaramy się zapobiec zrealizowaniu jego przerażających ambicji.

– Ponieważ – jak w moim przypadku – znaleźliście się tam, gdzie chciał was widzieć – powiedział Dalamar. Nagle zachwiał się, a jego twarz pobladła z bólu i wyczerpania. Par-Salian wykonał gest i z cienia wyłoniło się krzesło. Czarny elf usiadł ciężko. – Musicie postępować zgodnie z jego planem. Musicie wysłać tego człowieka w przeszłość – wskazał na Caramona – razem z tą kobietą. Tylko w ten sposób może mu się powieść...

– I to jest jedyny sposób, aby go powstrzymać – rzekł Par-Salian niskim głosem. – Ale dlaczego pani Crysania? Cóż może go interesować ktoś tak dobry, tak czysty...

– Tak potężny – powiedział Dalamar z ponurym uśmiechem. – Z tego, co udało mu się wyczytać z zachowanych pism Fistantilusa, będzie potrzebował osoby duchownej, która

pójdzie z nim na spotkanie ze straszliwą Królową Ciemności. Tylko kapłan dobra ma dość mocy, by sprzeciwić się Królowej i otworzyć Czarne Wrota. Och, pani Crysania nie była pierwsza na liście shalafi. Miał plan wykorzystania konającego Elistana – ale nie będę o tym opowiadał. Jak się okazało, pani Crysania wpadła mu w ręce – można by powiedzieć wręcz dosłownie. Jest dobra, silna wiarą, potężna...

– A zło ją przyciąga niczym płomień ćmę – szepnął Par-Salian, spoglądając na Crysanię z głęboką litością.

Tas, obserwując Caramona, zastanawiał się, czy do wielkiego mężczyzny dotarła choćby połowa tego, o czym mówili. Caramon sprawiał wrażenie nieobecnego i otumanionego, jakby nie był zupełnie pewny, gdzie – czy też kim – jest. Tas pokręcił głową z powątpiewaniem. I jego mają wysłać w przeszłość? pomyślał.

– Raistlin ma inne powody, by pragnąć, aby zarówno ta kobieta, jak i jego brat znaleźli się przy nim w przeszłości, tego możesz być pewien – rzekł ubrany na czerwono mag do Par-Saliana. – On nie ujawnił swoich kart, w żadnym przypadku. Powiedział nam – przez naszego agenta tylko tyle, by zasiać zamęt. Twierdzą, że powinniśmy zniweczyć jego plany!

Par-Salian nie odpowiedział. Jednakże, uniósłszy głowę, przyglądał się Caramonowi przez długą chwilę, a w jego oczach malował się smutek, który przeszył serce Tasa. Potem, potrząsnął głową, spuścił wzrok i utkwił go w lamówce swych szat. Bupu zaskomlała i Tas poklepał ją z roztargnieniem. Skąd ta dziwna mina u Caramona? zastanawiał się niespokojnie kender. Chyba nie wysłaliby go na pewną śmierć? A jednak, czyż nie byłoby tak, gdyby posłali chorego, przygnębionego, z zamętem w głowie? Tas przestąpił z nogi na nogę, a potem ziewnął. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Cała ta rozmowa była nudna. Czuł również głód. Jeśli mają zamiar wysłać Caramona w przeszłość, mogliby to zrobić od razu.

Nagle poczuł, jak jedna część jego umysłu (ta, która słuchała Par-Saliana) szarpnęła drugą. Tas pośpiesznie połączył obie połowy, by posłuchać, o czym jest mowa.

Mówił Dalamar. – Ona spędziła noc w jego gabinecie. Nie wiem, o czym rozmawiali, lecz wiem, że kiedy wyszła o brzasku sprawiała wrażenie wstrząśniętej i załamanej. Jego ostatnie słowa do niej brzmiały: „Czy nie przyszło ci na myśl, że Paladine przysłał cię nie po to, byś mnie powstrzymała, lecz byś mi pomogła?” – I co ona na to?

– Nie odpowiedziała mu – odparł Dalamar. – Szła przez wieżę, i później przez zagajnik, jak ktoś, kto nic nie widzi, ani nie słyszy.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego pani Crysania wybierała się do nas, by prosić o pomoc w wysłaniu jej w przeszłość? Przecież musiała wiedzieć, że odmówimy takiej prośbie! – stwierdził mag w czerwonej szacie.

– Ja mogę na to odpowiedzieć! – powiedział Tasslehoff, odzywając się, zanim pomyślał.

Par-Salian pierwszy zwrócił na niego uwagę, a po nim wszyscy magowie w półokręgu. Tas

rozmawiał z duchami w Mrocznej Puszczy, przemawiał na radzie Białego Kamienia, lecz na chwilę poczuł lęk zmieszany z szacunkiem przed tym milczącym, pełnym powagi gremium. Szczególnie, kiedy przyszło mu na myśl to, co ma do powiedzenia.

– Proszę, Tasslehoffie Burrfoot – rzekł Par-Salian z wielką uprzejmością – powiedz nam, co wiesz. – Mag uśmiechnął się. – Potem być może będziemy mogli zamknąć posiedzenie i zjeść obiad.

Tas zaczerwienił się, zastanawiając, czy przypadkiem Par-Salian nie potrafi zajrzeć mu do głowy i wyczytać myśli wdrukowanych w jego mózgu tak, jak czyta słowa wydrukowane na kartce pergaminu.

– Och! Tak, obiad byłby wspaniałą rzeczą. Ale, teraz, uhm – co do pani Crysanii. – Tas umilkł na chwilę, by poukładać myśli, a potem zaczął snuć opowieść. – Cóż, pamiętajcie, że nie jestem tego całkiem pewien. Wiem tylko tyle, ile udało mi się poskładać z tego, co usłyszałem tu i tam. Zacznę od początku: spotkałem panią Crysanię pod – czas mojego pobytu w Palanthas, gdzie odwiedzałem mego przyjaciela, Tanisa Półelfa. Znasz go? I Lauranę, Złotego Generała? Walczyłem u ich boku podczas Wojny Lancy. Pomogłem ocalić Lauranę przed Królową Ciemności. – Kender mówił to z dumą. – Czy słyszałeś kiedyś tę historię? Byłem w świątyni w Nerace...

Par-Salian nieznacznie unióśł brwi i Tas się zająknął.

– No, cóż, o tym opowiem później. W każdym razie, spotkałem panią Crysanię w domu Tanisa i usłyszałem o ich planach wyprawy do Solące, żeby zobaczyć się z Caramonem. Tak się złożyło, że, no, tak jakby... Cóż, znalazłem list, który pani Crysania napisała do Elistana. Sądzę, że musiał wypaść jej z kieszeni.

Kender przerwał, żeby odsapnąć. Par-Salianowi drgnęły wargi, lecz powstrzymał się od uśmiechu.

– Przeczytałem go – kontynuował Tas, zadowolony teraz z uwagi publiczności – żeby sprawdzić, czy jest ważny. Mogła go przecież wyrzucić. W liście pisała, że jest bardziej – hm, jak to szło „bardziej przekonana niż kiedykolwiek, po tej rozmowie z Tanisem, że w Raistlinie musi być dobro” i że można go „zawrócić z tej ścieżki zła. Muszę przekonać o tym magów”. – W każdym razie, zobaczyłem, że list jest ważny, więc go jej odniosłem. Była bardzo wdzięczna, że go odzyskała – stwierdził z powagą Tas. – Nie zdawała sobie sprawy, że go zgubiła.

Par-Salian położył palce na wargach.

– Powiedziałem, że mógłbym jej opowiedzieć mnóstwo historii o Raistlinie, gdyby chciała ich posłuchać. Bardzo chciała, więc opowiedziałem jej wszystkie historyjki, jakie przychodziły mi na myśl. Szczególnie zainteresowały ją te, które opowiadałem o Bupu...

– „Gdybym tylko mogła znaleźć tę krasnoludkę zlebową!” – powiedziała do mnie pewnego wieczoru. – „Na pewno udałoby mi się przekonać Par-Saliana, że jest jeszcze nadzieja i że można

go ocalić!” Na te słowa jeden z Czarnych głośno parsknął. Par-Salian posłał ostre spojrzenie w tym kierunku i czarodzieje się uciszeli. Jednak Tas zauważył, że wielu z nich – w szczególności pośród Czarnych Szat – skrzyżowało gniewnie ramiona na piersi. Widział ich oczy błyszczące w cieniu kapturew.

– Ee, jestem p-pewien, że nie chciałem nikogo obrazić – wyjąkał Tas. – Zawsze uważałem, że Raistlinowi jest do twarzy w czerni, no wiecie, przy tej jego złotej cerze. Ja z pewnością nie uważam, że wszyscy powinni być dobrzy, oczywiście. Fizban – tak naprawdę Paladine – jesteśmy z Paladine’em dobrymi przyjaciółmi. W każdym razie Fizban powiedział, że musi istnieć równowaga w świecie, że walczymy o przywrócenie równowagi. To oznacza, że muszą być Czarne Szaty tak samo jak Białe, prawda?

– Wiemy, co masz na myśli, kenderken – rzekł łagodnie Par-Salian. – Nasi bracia nie obrazili się. Ich gniew skierowany jest gdzie indziej. Nie wszyscy na tym świecie są tak mądrzy, jak wielki Fizban Bajeczny.

Tas westchnął. – Czasami tęsknię za nim. Ale, na czym to ja stanąłem? Ach tak, Bupu. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Powiedziałem pani Crysanii, że może gdyby Bupu opowiedziała swoją historię, magowie uwierzyliby jej. Zgodziła się, więc zaproponowałem, że pójdę poszukać Bupu. Nie byłem w Xak Tsaroth od czasów, gdy Goldmoon zabiła czarną smoczycę, a to bliźniutko miejsca, gdzie byliśmy, więc Tanis powiedział, że nie ma nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, chyba ucieszył się z mojego wyjazdu.

Najwyższy Bulp pozwolił mi zabrać Bupu po... hm... krótkiej wymianie zdań i kilku interesujących przedmiotów, jakie miałem w sakwie. Zabrałem Bupu do Solące, ale Tanis już wyjechał i pani Crysania też. Caramon był... – Tas przerwał, słysząc, jak Caramon chrząka za jego plecami. Caramon był... nie całkiem dysponowany, ale Tika – to jest żona Caramona i moja wielka przyjaciółka – w każdym razie Tika powiedziała, że musimy pójść za panią Crysania, bo las Wayreth to okropna okolica i... Nie chciałem oczywiście nikogo obrazić, ale czy kiedyś przyszło wam do głowy, że ten las jest naprawdę wredny? To znaczy, nie jest przyjazny. – Tas spojrzał srogo na magów. – Zupełnie nie wiem, dlaczego pozwalacie mu wałęsać się swobodnie! Uważam, że to nieodpowiedzialne! Par-Salianowi zadrżały ramiona.

– Cóż, to wszystko, co wiem – powiedział Tas. A to jest Bupu i może... – Tas przerwał, rozglądając się dookoła. – Gdzie ona poszła?

– Tutaj – rzekł zawzięcie Caramon, wyciągając krasnoludkę żlebową zza swych pleców, gdzie skuliła się z ogromnego przerażenia. Widząc, że magowie patrzą na nią, krasnoludka żlebową zapiszczała i padła na podłogę jak dygoczący tłumoczek obszarpanych ubrań.

– Sądzę, że będzie lepiej, jeśli ty opowiesz nam jej historię – powiedział Par-Salian do Tasa. – To znaczy, jeśli potrafisz.

– Tak – odparł Tas, nagle spokorniał. – Wiem, co pani Crysania chciała, żebym

opowiedział. To wydarzyło się w czasie wojny, kiedy byliśmy w Xak Tsaroth. Jedynymi osobami, które cokolwiek wiedziały o tym mieście, były krasnoludy żłebowe. Większość jednak nie chciała nam pomóc. Raistlin zauroczył zaklęciem jedną z krasnoludek Bupu. Zauroczenie nie oddaje dokładnie tego, jaki wpływ na nią to wywarło. Ona się w nim zakochała. – Tas przerwał, wzdychając, po czym podjął opowieść tonem pełnym żalu. – Sądzę, że niektórym z nas wydawało się to zabawne. Jednak nie Raistlinowi. Był dla niej naprawdę dobry i raz nawet ocalił jej życie, kiedy napadli nas smokowcy. Zatem, gdy opuściliśmy Xak Tsaroth, Bupu poszła z nami. Nie mogła znieść rozstania z Raistlinem.

Tas ściszył głos. – Pewnej nocy zbudziłem się. Usłyszałem płacz Bupu. Chciałem podejść do niej, ale dostrzegłem, że Raistlin ją również usłyszał. Ona tęskniła za domem. Chciała wrócić do swego ludu, ale nie mogła opuścić Raistlina. Nie wiem, co powiedział, ale zobaczyłem, że położył dłoń na jej głowie. Wydawało mi się, że dostrzegłem poświęcenie wokół Bupu. Potem odesłał ją do domu. Musiała przejść przez krainę pełną strasznych stworów, jednak wiedziałem jakimś cudem, że będzie bezpieczna. No i tak było – dokończył poważnie Tas.

Na chwilę zaległa cisza, a potem wydawało się, że wszyscy czarodzieje zaczęli mówić jednocześnie. Magowie Czarnych Szat potrząsali głowami. Dalamar parsknął szyderczo.

– Temu kenderowi coś się przyśniło – rzekł pogardliwie.

– A kto w ogóle wierzy kenderowi? – powiedział ktoś inny.

Czarodzieje Czerwonych i Białych Szat sprawiali wrażenie zamyślonych i zakłopotanych.

– Jeśli to prawda – powiedział jeden z nich – być może źle go oceniliśmy. Być może powinniśmy skorzystać z tej szansy, jakkolwiek byłaby ona nikła.

Wreszcie Par-Salian uciszył ich, podnosząc rękę.

– Przyznaję, że trudno w to uwierzyć – powiedział w końcu. – Nie poczytuj sobie tego za ujmę, Tasslehoffie Burrfoot – dodał delikatnie, uśmiechając się do obrażonego kendera. – Ale wszyscy wiemy, że twoja rasa ma pożałowania godną skłonność do, powiedzmy, przesady. Widać na pierwszy rzut oka, że Raistlin po prostu zauroczył to... to stworzenie... – Par-Salian wyrzekł to ze wstrętem.

– By je wykorzystać i...

– Ja żadne stworzenie!

Bupu podniosła zapłakaną, ubłoconą twarz znad podłogi, a włosy zjeżyły jej się jak u rozniewanego kota. Patrząc wściekle na Par-Saliana, wstała i podreptała naprzód, ale potknęła się o torbę, którą niosła i padła jak długa na podłogę. Nieustraszona krasnoludka pozbierała się i stanęła naprzeciwko maga.

– Ja nie wiedzieć nic o dużych, potężnych czarowaczach. – Bupu machnęła brudną rączką. – Ja znać czary w tym. – Pogrzebała w torbie, po czym wyciągnęła zde – chłego szczura i pomachała nim w kierunku Par-Saliana. I ja wiedzieć, ten pan, co wy o nim mówicie, jest



dobry. On dobry dla mnie. – Tuląc zdechłego szczura do piersi, Bupu spojrziała przez łzy na Par-Saliana. – Inni – ten duży pan i kender – śmieją się z Bupu. Oni patrzyć na mnie jak na jakiegoś robala.

Bupu potarła oczy. Tas czuł ściskanie w gardle i sam poczuł się gorszy od robaka.

Bupu cicho ciągnęła dalej. – Ja wiedzieć, jak wyglądać. – Brudnymi rączkami bez powodzenia usiłowała wygładzić sukienkę, zostawiając na niej zabłocone smugi. Ja wiedzieć, że nie jest ładna, jak ta pani, co tu leży. Krasnoludka żlebowa pociągnęła nosem, po czym wytarła go ręką i, podnosząc głowę, spojrziała dumnie na Par-Saliana.

– Ale on nie nazywać mnie „stworzenie”! On nazywać mnie „maleńka”. Maleńka – powtórzyła.

Przez chwilę milczała, wspominając. Potem westchnęła z głębi serca. – J-ja chcieć z nim zostać. Ale on mówi „nie”. On mówi, że musi iść droga, co jest ciemna. On mi mówi, że chce, żebym była bezpieczna. On położyć rękę na głowie – Bupu spuściła głowę, wspominając – i ja czuć ciepło w środku. Potem on mówi „Żegnaj, Bupu”. On nazywa mnie „maleńka”. – Spoglądając w górę, Bupu rozejrzała się po półokręgu. – On się ze mnie nigdy nie śmiać – powiedziała zdławionym głosem. – Nigdy! Wybuchnęła płaczem.

Przez chwilę jedynymi odgłosami w pomieszczeniu były szlochy krasnoludki żlebowej. Caramon z przejścia zasłonił rękoma twarz. Tas westchnął z drzeniem i szukał chusteczki do nosa. Po chwili Par-Salian wstał ze swego kamiennego krzesła i stanął przed krasnoludką, która przyglądała mu się podejrzliwie i jednocześnie czkała.

Wielki czarodziej wyciągnął rękę. – Wybacz mi, Bupu – powiedział z powagą – jeśli cię uraziłem. Muszę przyznać, że wypowiedziałem te okrutne słowa celowo, mając nadzieję, że zezłoscisz się wystarczająco, by opowiedzieć nam swą historię. Dopiero wtedy bowiem moglibyśmy być pewni prawdy. – Par-Salian położył dłoń na głowie Bupu. Jego twarz była zmęczona, lecz sprawiał wrażenie uradowanego. – Może nie ponieśliśmy klęski, może on nauczył się trochę współczucia – szepnął. Łagodnie pogłaskał szorstkie włosy krasnoludki żlebowej. – Nie, Raistlin nigdy nie śmiałyby się z ciebie, maleńka. On wiedział i pamiętał. Zbyt wielu naśmiewało się z niego.

Tas nie widział przez łzy, ale słyszał, jak Caramon cicho płacze obok niego. Kender wydmuchał nos w chusteczkę, a potem poszedł po Bupu, która smarkała w rąbek białej szaty Par-Saliana.

– Więc to jest powód, dla którego pani Crysania podjęła tę podróż? – spytał Par-Salian Tasa, gdy kender podszedł bliżej. Mag spojrział na leżącą pod płótnem nieruchomą, białą postać, której oczy patrzyły nie widzącym wzrokiem w pełny cieni mrok. – Ona wierzy, że potrafi rozdmuchać tę iskierkę dobra, którą próbowaliśmy bezskutecznie rozpalić?

– Tak – odparł Tas, nagle czując się nieswojo pod przenikliwym spojrzeniem niebieskich

oczu maga.

– A dlaczego pragnie tego dokonać? – nalegał ParSalian.

Tas postawił Bupu na nogi i podał jej chusteczkę, próbując ignorować to, że krasnoludka ze zdumieniem wybałusza oczy, najwyraźniej nie mając pojęcia, co z nią zrobić. Wreszcie wydmuchała nos w rąbek swej sukienki.

– Cóż, Tika powiedziała... – Tas umilkł i zaczerwienił się.

– Co takiego powiedziała Tika? – spytał cicho ParSalian.

– Tika powiedziała – Tas przetknął ślinę. – Tika powiedziała, że ona to robi, bo... go kocha – Raistlina.

Par-Salian pokiwał głową. Jego spojrzenie padło na Caramona. – A ty, bliźniaku? – spytał niespodziewanie. Caramon uniósł głowę i spojrzał na Par-Saliana pełnymi udręki oczyma.

– Czy wciąż go kochasz? Powiedziałeś, że wróciłbyś, żeby zniszczyć Fistantilususa. Niebezpieczeństwo, jakiemu stawisz czoło, będzie wielkie. Czy kochasz brata wystarczająco mocno, by wyruszyć w tę niebezpieczną podróż? Aby narażać dla niego życie, jak uczyniła to ta pani? Pamiętaj, zanim odpowiesz, że nie wybierasz się na wyprawę, by ocalić świat. Udajesz się na wyprawę, by ocalić duszę, nic więcej. Nic mniej.

Caramon poruszył wargami, lecz żaden dźwięk nie wydobył się spomiędzy nich. Z jego twarzy biły radość i szczęście, które promieniowały gdzieś z głębi jego wnętrza. Mógł tylko skinąć głową.

Par-Salian zwrócił się do członków Konklawe.

– Podjąłem decyzję – zaczął.

Jedna z Czarnych Szat wstała i zrzuciła kaptur. Tas zobaczył, że była to kobieta, która go tu sprowadziła. W jej oczach płonął gniew. Uczyniła szybki gest cięcia dłonią.

– Sprzeciwiamy się tej decyzji, Par-Salianie – rzekła niskim głosem. – A wiesz, że to oznacza, iż nie możesz rzucić zaklęcia.

– Mistrz Wieży sam może rzucić to zaklęcie, Ladonno – odparł zawzięcie Par-Salian. – Ta moc przysługuje wszystkim mistrzom. Raistlin odkrył ten sekret, gdy został Mistrzem Wieży w Palanthas. Nie potrzebuję pomocy ani Czerwonych, ani Czarnych.

Rozległ się szmer również wśród Czerwonych Szat; wielu spoglądało na Czarne Szaty i kiwało głowami, przyznając im rację. Ladonna uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście, Wielki – powiedziała. – Wiem o tym. Nie potrzebujesz nas do rzucenia zaklęcia, niemniej jednak potrzebujesz nas. Potrzebujesz naszej współpracy, Par-Salianie, naszej milczącej współpracy – aby cienie naszej magii nie wzniosły się i nie przyćmiły blasku srebrnego księżyca. Bo wtedy poniesiesz klęskę.

Twarz Par-Saliana poszarzała. – A co z tą kobietą? zapytał natarczywie, wskazując na Crysanię.

– Cóż znaczy dla nas życie kapłanki Paladine’a? rzuciła szyderczo Ladonna. – Interesują nas znacznie ważniejsze sprawy i nie należy ich omawiać w obecności obcych. Odeślij ich – wskazała na Caramona. – Spotkamy się na osobności.

– Sądzę, że to dobry pomysł, Par-Salianie – powiedział łagodnie czarodziej w czerwonej szacie. – Nasi goście są zmęczeni i głodni, a nasze rodzinne kłótnie znudziłyby ich niezmiernie.

– Zgoda – rzekł nagle Par-Salian. Kiedy jednak mag w białej szacie odwrócił się do nich, Tas zobaczył jego gniewną minę. – Zostaniecie wezwani.

– Zaczekaj! – krzyknął Caramon. – Muszę być obecny! Ja...

Wielki mężczyzna zaczął się dławić i zamilkł. Sala znikła, magowie znikli, kamienne krzesła znikły. Caramon wrzeszczał do wieszaka na kapelusze.

Czując zawroty głowy, Tas rozejrzał się dookoła. Razem z Caramonem i Bupu znaleźli się w przytulnej komnacie, która wyglądała jak wzięta z gospody „Ostatni Dom”. W kominku palił się ogień, w drugim końcu pomieszczenia stały wygodne łóżka. Stół w pobliżu kominka ugiął się od jedzenia, a od zapachu świeżo upieczonego chleba i pieczonego mięsiwa kenderowi pociekła ślinka. Tas westchnął z rozkoszy.

– Myślę, że to najcudowniejsze miejsce na świecie powiedział.

## *Rozdział XIV*

Stary, odziany na biało mag siedział w gabinecie bardzo przypominającym gabinet Raistlina w wieży w Palanthas, tyle tylko, że książki na półkach Par-Saliana były oprawione w białą skórę. Srebrne runy, wyciśnięte na ich grzbietach i okładkach, połyskiwały w blasku ognia. Każdemu, kto wchodził do pokoju, wydawał się on gorący i duszny, jednakże Par-Salian odczuwał już chłód starości w kościach. Jemu było przyjemnie w tej komnacie.

Mag siedział przy biurku, wpatrując się w płomienie. Drgnął lekko na cichy dźwięk pukania do drzwi, a potem, westchnąwszy, zawołał cicho: – Wejść.

Młody mag w białej szacie otworzył drzwi, kłaniając się wymijającej go czarodziejce odzianej na czarno – jak przystoi jej randze. Przyjęła hołd bez komentarza. Zrzuciwszy kaptur, weszła do komnaty Par-Saliana, zatrzymując się tuż za progiem. Czarodziej w białej szacie delikatnie zamknął za nią drzwi, zostawiając sam na sam dwoje przewodniczących zakonów.

Ladonna omiotła komnatę przenikliwym spojrzeniem. Duża część pomieszczenia ginęła w mroku, ogień bowiem rzucał jedyne światło. Nawet zasłony były zaciągnięte, nie wpuszczając upiornej poświaty księżyców. Podnosząc rękę, Ladonna wyszeptała kilka cichych słów. Kilka przedmiotów w pokoju zaczęło się jarzyć niesamowitym, czerwonym blaskiem, co oznaczało, że mają właściwości magiczne między innymi laska oparta o ścianę, kryształowy pryzmat na biurku Par-Saliana, rozgałęziony kandelabr, gigantyczna klepsydra i kilka pierścieni na palcach starca. To nie zaniepokoiło Ladonny, która tylko spojrzała na nie po kolei i pokiwała głową. Potem, zadowolona, zasiadła w fotelu w pobliżu biurka. Par-Salian przyglądał się jej z lekkim uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

– Zapewniam cię, Ladonno, że tu w kątach nie czają się potwory z zaświatów – rzekł sucho mag. – Gdybym chciał wygnać ciebie z tej płaszczyzny, mógłbym zrobić to dawno temu, moja droga.

– Kiedy byliśmy młodzi? – Ladonna zsunęła kaptur. Szpakowate włosy, splecione w wyszukany warkocz owinięty wokół jej głowy, otaczały twarz, której piękno zdawały się podkreślać zmarszczki starości, sprawiające wrażenie narysowanych przez artystę mistrza – tak doskonale podkreślały jej inteligencję i mroczną mądrość. – To dopiero byłyby zawody, o Wielki.

– Daj spokój z tym tytułem, Ladonno – rzekł Par-Salian. – Znamy się od tak dawna.

– Znamy się od dawna i to dobrze – powiedziała Ladonna z uśmiechem. – Całkiem dobrze – szepnęła cicho, spoglądając na ogień.

– Czy chciałabyś cofnąć się do czasów naszej młodości, Ladonno? – spytał Par-Salian.

Nie odpowiadała przez chwilę, a potem spojrzała na niego i wzruszyła ramionami. – Żeby

zamienić moc, mądrość i umiejętności na co? Gorącą krew? Mało prawdopodobne, mój drogi. A ty?

– Odpowiedziałbym tak samo dwadzieścia lat temu powiedział Par-Salian, rozcierając skronie. – Jednak teraz... zastanawiam się.

– Nie przybyłam tu, by wspominać dawne czasy, niezależnie od tego, jak były przyjemne – rzekła Ladonna i chrząknęła. Jej głos nabrał nagle surowości i chłodu. Przybyłam tu, by sprzeciwić się temu szaleństwu. – Nachyliła się, a jej ciemne oczy zabłyśły. – Mam nadzieję, że nie mówiłeś serio, Par-Salianie? Nawet ty nie możesz mieć tak miękkiego serca ani tak mało rozumu, by wysłać tego głupiego człowieka w przeszłość, by spróbował powstrzymać Fistantilususa? Pomyśl o niebezpieczeństwie! On może zmienić historię! Moglibyśmy wszyscy przestać istnieć!

– Ależ, Ladonno, pomyśl tylko! – warknął Par-Salian. – Czas jest wielką, rwącą rzeką, rozleglejszą i szerszą niż każda z rzek, jakie znamy. Rzuć kamyk w nurt rzeki – czy woda nagle się zatrzyma? Czy zaczyna płynąć wstecz? Czy zawraca swój nurt i płynie w innym kierunku? Oczywiście, nie! Kamyk być może wywoła kilka zmarszczek na powierzchni, ale potem tonie. Rzeka płynie, jak zawsze.

– Co mówiłeś? – spytała Ladonna, wpatrując się z uwagą w Par-Saliana.

– Że Caramon i Crysania są kamykami, moja droga.

– Nie wywrą większego wpływu na nurt czasu, tak samo jak dwa kamyczki wrzucone do Thon-Tsalarian nie zmienią jej biegu.

– Dalamar twierdzi, że nie doceniamy Raistlina przerwała Ladonna. – On musi być dość pewny sukcesu, bo inaczej nie podjąłby takiego ryzyka. On nie jest głupcem, Par-Salianie.

– Jest pewien, że zdobędzie czarnoksiężską moc. W tym nie możemy mu przeszkodzić. Jednakże ta moc zda mu się na nic bez kapłanki. On potrzebuje Crysanii. – Mag w białej szacie westchnął. – I dlatego musimy wysłać ją w przeszłość.

– Zupełnie nie widzę...

– Ona musi umrzeć, Ladonno! – warknął Par-Salian.

– Czy muszę wyczarować ci wizję? Trzeba ją wysłać w przeszłość do czasów, gdy wszyscy kapłani znikli z tej ziemi. Raistlin powiedział, że będziemy musieli wysłać ją w przeszłość. Nie będziemy mieli wyboru. Jak sam powiedział to jedyny sposób, by pokrzyżować mu plany! To jego największa nadzieja – i jego największa obawa. Musi zabrać ją ze sobą do Wrót, lecz ona musi pójść z nim z własnej woli! Toteż próbuje podważyć jej wiarę, sprawić, by straciła złudzenia i współpracowała z nim. – Par-Salian machnął dłonią z irytacją. – Marnujemy czas. On wyrusza o poranku. Musimy działać natychmiast.

– Więc zatrzymaj ją tu! – rzekła z pogardą Ladonna.

– To wydaje się dość proste.

Par-Salian potrząsnął głową. – On po prostu wróciłby po nią. A wtedy będzie już dysponował magią. Będzie miał dość mocy, by zrobić to, co będzie chciał.

– Zabij ją.

– Tego już próbowano i nie powiodło się. Poza tym, nawet ty, z wszystkimi twymi umiejętnościami, czy potrafiłabyś ją zabić póki znajduje się pod ochroną Paladine’a?

– Być może w takim razie bóg zapobiegnie jej wyprawie?

– Nie. Wróżba, jaką otrzymałem, była neutralna. Paladine zostawił tę sprawę w naszych rękach. Crysania jest tutaj niczym więcej niż rośliną i nie będzie nigdy inaczej, bowiem w dzisiejszych czasach nie żyje nikt, kto ma dość mocy, by przywrócić jej życie. Być może Paladine pragnie, by umarła w miejscu i czasie, gdzie jej śmierć będzie miała znaczenie, aby mogła dopełnić cykl swego życia.

– A więc wyślesz ją na śmierć – szepnęła Ladonna, spoglądając na Par-Saliana ze zdumieniem. – Twoje białe szaty będą splamione krwią, mój przyjacielu.

Par-Salian walnął pięściami w stół, a jego twarz wykrzywiło cierpienie. – Do diabła, nie cieszysz mnie to! Ale co mogę zrobić? Czy nie rozumiesz, w jakim znajduję się położeniu? Kto zasiada teraz jako głowa zakonu Czarnych Szat?

– Ja – odrzekła Ladonna.

– Kto zasiądzie, jeśli on wróci zwycięski? Ladonna zmarszczyła brwi i nic nie odpowiedziała.

– Właśnie. Moje dni są policzone, Ladonno. Wiem o tym. Och – machnął ręką – moja moc jest wciąż wielka. Być może nigdy nie była większa. Jednak o poranku, gdy się budzę, czuję strach. Czy dziś będzie ten dzień, który mnie zawiedzie? Za każdym razem, gdy mam trudności z przypomnieniem sobie zaklęcia, przechodzi mnie dreszcz. Wiem, że nadejdzie taki dzień, kiedy nie będę umiał przypomnieć sobie właściwych słów. – Zamknął oczy. – Jestem zmęczony, Ladonno, bardzo zmęczony. Nie pragnę niczego więcej niż siedzieć w tym pokoju, przy ogniu i zapisywać w księgach wiedzę, którą zgromadziłem przez te wszystkie lata. Jednak nie mam odwagi teraz ustąpić, bo wiem, kto zająłby moje miejsce.

Stary mag westchnął. – Wybiorę swego następcę, Ladonno – rzekł cicho. – Nie pozwolę, żeby wydarło mi stanowisko. Mam więcej do stracenia niż ty.

– Być może, nie – powiedziała Ladonna, patrząc w ogień. – Jeśli on wróci zwycięski, nie będzie już więcej Konklawe. Wszyscy będziemy jego sługami. – Zaciśnęła pięść. – Nadal jestem temu przeciwna, Par-Salianie! Niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie! Niech ona zostanie tu, niech Raistlin nauczy się, czego może od Fistantilususa. Rozprawimy się z nim, kiedy wróci! On oczywiście jest potężny, lecz lata upłyną zanim dojdzie do mistrzostwa w sztuce, jaką znał Fistantilus, kiedy umarł! Możemy wykorzystać ten czas, by się uzbroić przeciwko niemu! Możemy...

Z cienia komnaty dobiegł szelest. Ladonna drgnęła i odwróciła się, natychmiast wsuwając dłoń do tajnej kieszonki w swej szacie.

– Zaczekaj, Ladonno – rzekł łagodny głos. – Nie musisz marnować energii na zaklęcie ochronne. Nie jestem potworem z zaświatów, jak Par-Salian już powiedział. Postać lekko wkroczyła w krąg światła, a jej czerwone szaty połyskiwały delikatnie, Ladonna z westchnieniem opadła na fotel, lecz w jej oczach błysnął gniew, na widok którego uczeń odskoczyłby przerażony. – Nie, Justariusie – rzekła chłodno – nie jesteś potworem z zaświatów. Więc udało ci się ukryć przede mną? Jakże sprytny stałeś się, magu Czerwonych Szat! Odwracając się w fotelu, popatrzyła na Par-Saliana z pogardą. – Rzeczywiście starzejesz się, mój przyjacielu, skoro potrzebowaleś pomocy, by sobie ze mną poradzić!

– Och, jestem pewien, że Par-Salian jest równie zaskoczony moim widokiem jak ty, Ladonno – oświadczył Justarius. Owinąwszy się swą czerwoną szatą, zbliżył się powoli i usiadł w fotelu przed biurkiem Par-Saliana. Szedł kulejąc, powłócząc lewą stopą. Raistlin nie był jedynym magiem okaleczonym podczas Próby.

Justarius uśmiechnął się. – Chociaż Wielki nabrał sporych umiejętności ukrywania swych uczuć – dodał.

– Byłem świadom twojej obecności – powiedział cicho Par-Salian. – Powinieneś przecież o tym wiedzieć, mój przyjacielu.

Justarius wzruszył ramionami. – To właściwie bez znaczenia. Ciekaw byłem usłyszeć, co masz do powiedzenia Ladonnie...

– To samo powiedziałbym tobie.

– Prawdopodobnie mniej, bowiem ja nie sprzeczałbym się tak jak ona. Zgadzam się z tobą, zgadzałem się od samego początku. A to dlatego, że ty i ja znamy prawdę.

– Jaką prawdę? – powtórzyła Ladonna. Jej spojrzenie powędrowało od Justariusza do Par-Saliana, a oczy rozszerzyły się z gniewu.

– Będziesz musiał jej pokazać – powiedział Justarius tym samym, łagodnym głosem. – Inaczej jej nie przekonasz. Udowodnij jej, jak wielkie jest niebezpieczeństwo.

– Niczego mi nie pokażecie! – rzekła Ladonna drżącym głosem. – Nie uwierzę w nic, co wy dwaj uknuliście...

– W takim razie pozwól jej samej zobaczyć – podsunął Justarius, wzruszając ramionami.

Par-Salian zmarszczył brwi, po czym z pochmurną miną podsunął w jej stronę kryształowy pryzmat na biurku. Wyciągnął rękę. – Ta laska w kącie należała do Fistantilusa – największego, najpotężniejszego maga, jaki kiedykolwiek żył. Rzuć zaklęcie widzenia, Ladonno. Spójrz na laskę.

Ladonna niepewnie dotknęła pryzmatu, a jej spojrzenie jeszcze raz powędrowało podejrzliwie od Par-Saliana do Justariusza i z powrotem.

– Śmiało! – warknął Par-Salian. – Nie majstrowałem przy nim. – Zmarszczył siwe brwi. – Wiesz, że nie potrafię cię okłamać, Ladonno.

– Choć umiesz kłamać innym – powiedział cicho Justarius.

Par-Salian posłał wściekłe spojrzenie magowi w czerwieni, lecz nic nie odpowiedział.

Ladonna uniosła kryształ z nagłą stanowczością. Trzymając go w dłoni, podniosła go na wysokość oczu, wymawiając słowa, które zabrzmiały szorstko i ostro. Z pryzmatu wystrzeliła tęczowa smuga światła, która padła na zwykłą, drewnianą laskę opartą o ścianę w kącie gabinetu. Tęcza rozszerzyła się, promieniując z kryształu, i objęła całą laskę. Następnie zafalowała i zgęściła się, tworząc migotliwy obraz właściciela laski.

Ladonna przyglądała się wizerunkowi przez długą chwilę, a potem powoli opuściła pryzmat. W momencie, gdy odwróciła od niego uwagę, obraz znikł, a tęczowe światło zgasło. Twarz kobiety była blada.

– Cóż, Ladonno – spytał cicho Par-Salian po chwili. – Zabieramy się do pracy?

– Chcę zobaczyć zakłęcie podróży w czasie – rzekła pełnym napięcia głosem.

Par-Salian wykonał gest zniecierpliwienia. – Wiesz, że to niemożliwe, Ladonno! Tylko Mistrzowie Wieży mogą znać to zakłęcie...

– Jestem uprawniona do ujrzenia przynajmniej opisu – odparła oziębłe Ladonna. – Jeśli chcesz, możesz ukryć przed moimi oczami składniki i słowa. Domagam się jednak zobaczenia oczekiwanych skutków. – Wyraz jej twarzy stał się surowszy. – Wybacz mi, jeśli nie ufam tobie tak, jak niegdyś, stary przyjacielu, ale twe szaty wydają się równie szare jak twe włosy.

Justarius uśmiechnął się, jakby to go rozbawiło.

Par-Salian siedział przez chwilę niezdecydowany.

– Jutrzejszego poranka, przyjacielu – szepnął Justarius. Par-Salian wstał gniewnie. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął srebrny klucz, który nosił na szyi na srebrnym łańcuszku klucza, którego może używać jedynie Mistrz Wieży. Niegdyś było ich pięć, zostały tylko dwa. Gdy Par-Salian zdjął klucz z szyi i włożył go do zamka bogato rzeźbionej skrzyni stojącej obok jego biurka, wszyscy troje zastanawiali się w duchu, czy Raistlin – może w tej samej chwili – nie czyni tego samego kluczem, który był w jego posiadaniu, być może wyciąga taką samą księgę zaklęć oprawioną w srebro. Być może nawet przewraca powoli i z szacunkiem te same strony, badając spojrzeniem zakłęcia znane tylko Mistrzom Wież.

Zanim Par-Salian otworzył księgę, wyszeptał odpowiednie słowa, znane jedynie mistrzom. Gdyby tego nie uczynił, księga znikłaby mu z rąk. Znalazłszy właściwą stronę, podniósł pryzmat, który odłożyła Ladonna, i trzymał go nad stronicą, wypowiadając te same ostre, szorstkie słowa, jakich ona użyła wcześniej.

Tęczowe światło trysnęło z pryzmatu, oświetlając stronę. Na polecenie Par-Saliana blask z pryzmatu padł na nagą ścianę naprzeciwko nich.



– Spójrzcie – powiedział Par-Salian głosem, w którym wciąż pobrzmiwał gniew. – Tam, na ścianę. Przeczytajcie opis zaklęcia.

Ladonna i Justarius zwrócili się ku ścianie, ale żadne z nich nie mogło odczytać, jakie były potrzebne składniki i słowa. Tekst jawił się jako bezsensowny – albo dzięki sztuce Par-Saliana, albo warunkom narzucanym przez samo zaklęcie. Niemniej jednak sam opis czaru był jasny.

Umiejętność podróżowania w czasie jest dostępna dla elfów, ludzi i ogrów, ponieważ są to rasy stworzone przez bogów na początku czasu. W związku z tym podróżują zgodnie z jego biegiem. Zaklęcia tego nie mogą używać krasnoludowie, gnomowie ani kenderzy, bowiem powstanie tych ras było wypadkiem nie przewidzianym przez bogów. (Odniesienie do Szarego Kamienia z Gargath, patrz Aneks G.) Wprowadzenie którejkolwiek z tych ras do minionego czasu może mieć bardzo poważne konsekwencje w teraźniejszości, choć jakie one będą, nie wiadomo. (Notatka, wykonana rozchwianym charakterem pisma Par-Saliana, dodawała słowo „smokowiec” do ras zakazanych.) Istnieją jednakże zagrożenia, jakich rzucający czar musi być świadom. Jeśli rzucający zaklęcie umrze, będąc w przeszłości, niczego to nie zmieni w teraźniejszości, bowiem będzie tak, jakby umarł tego dnia w teraźniejszości. Jego śmierć nie wpłynie ani na przeszłość, ani teraźniejszość, czy przyszłość, z wyjątkiem skutków, jakie normalnie wynikłyby w tej sytuacji. Z tego powodu nie marnujemy energii na żadne zaklęcie ochronne.

Rzucający czar nie będzie w stanie zmienić, ani w żaden sposób wpłynąć na to, co już się wydarzyło. To oczywiste zabezpieczenie. W związku z tym zaklęcie to jest przydatne jedynie dla nauki. W takim właśnie celu zostało stworzone. (Kolejna notatka, tym razem charakterem pisma znacznie starszym od pisma Par-Saliana, uzupełnia na marginesie: „Nie można zapobiec Kataklizmowi. Dowiedzieliśmy się tego, płacąc wysoką cenę, ku naszemu wielkiemu zmartwieniu. Niech jego dusza spoczywa w spokoju Paladine ‘a ,,).

– Więc taki spotkał go los – powiedział Justarius i gwizdnął cicho. – To dobrze skrywany sekret.

– Byli głupcami, że w ogóle próbowali – powiedział Par-Salian – ale znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji.

– Tak samo jak my – dodała gorzko Ladonna. Cóż, jest coś więcej?

– Tak, następna strona – odparł Par-Salian.

Jeśli rzucający zaklęcie nie udaje się w przeszłość sam, lecz wysyła kogoś innego (proszę wziąć pod uwagę ograniczenia rasowe z poprzedniej strony), należy wyposażyć podróżnika w urządzenie, które może być uruchomione w dowolnej chwili i przeniesie podróżnika do jego własnego czasu. Opisy takich urządzeń i sposób ich wykonania można znaleźć na następnych...

– I tak dalej – rzekł Par-Salian. Tęczowe światło znikło w dłoni maga, gdy ten otoczył je palcami. – Reszta jest poświęcona szczegółom technicznemu wykonania urządzenia. Mam jedno

takie – starożytne. Dam je Caramonowi.

Nacisk, jaki położył na imię mężczyzny, był całkiem nieświadomy, lecz zostało to zauważone w komnacie. Ladonna uśmiechnęła się zgryźliwie, lekko muskając swe czarne szaty. Justarius pokręcił głową. Nawet Par-Salian, z twarzą pobrużdżoną smutkiem, uświadomiwszy sobie konsekwencje, zagłębił się w swoim fotelu.

– Więc Caramon użyje go sam – powiedział Justarius. – Rozumiem, dlaczego wysyłamy Crysanię, Par-Salianie. Ona musi udać się w przeszłość i nigdy nie wrócić. Ale Caramon?

– Caramon jest moim odkupieniem – powiedział Par-Salian, nie podnosząc głowy. Sędziwy mag spojrział na swe drżące dłonie, spoczywające na otwartej księdze czarów. On udaje się w podróż, by ocalić duszę, tak jak mu powiedziałem. Ale to nie będzie dusza jego brata. – Par-Salian podniósł wzrok, a jego oczy były pełne udreki. Jego spojrzenie padło na Justariusza, potem na Ladonnę i spotkało się z ich pełnym zrozumieniem.

– Prawda może go zniszczyć – rzekł Justarius.

– Moim zdaniem zostało już bardzo niewiele do zni – szczenia – zauważyła chłodno Ladonna. Wstała. Justarius wstał razem z nią, chwiejąc się lekko, póki kaleką nogą nie złapał równowagi. – Jeśli pozbędziesz się tej kobiety, nie obchodzi mnie, co zrobisz z mężczyzną, Par-Salianie. Jeśli uważasz, że to zmyje krew z twoich szat, pomagaj mu, proszę bardzo. – Uśmiechnęła się ponuro. – Na swój sposób to nawet wydaje mi się zabawne. Może – w miarę, jak się starzejemy – przestajemy być tacy odmienni, nieprawdaż, mój drogi?

– Różnice istnieją, Ladonno – rzekł Par-Salian, uśmiechając się ze znużeniem. – Ale te wyraźne, jasne krawędzie zaczynają blednąć i rozmywać się nam przed oczyma. Czy to oznacza, że Czarne Szaty zgodzą się z moją decyzją?

– Wydaje się, że nie mamy wyboru – powiedziała beznamiętnie Ladonna. – Jeśli ci się nie powiedzie...

– Będziesz się cieszyć z mego upadku – rzekł kwaśno Par-Salian.

– Tak – odpowiedziała cicho kobieta. – Tym bardziej, że będzie to prawdopodobnie ostatnia rzecz, jaką będę się cieszyć w tym życiu. Żegnaj, Par-Salianie.

– Żegnaj, Ladonno – powiedział.

– Mądra kobieta – zauważył Justarius, gdy zamknęły się za nią drzwi.

– Godny ciebie rywal, mój przyjacielu – Par-Salian wrócił na swój fotel za biurkiem. – Z przyjemnością będę się przyglądał waszym zmaganiom o moje stanowisko.

– Mam szczerą nadzieję, że będziesz miał ku temu sposobność – rzekł Justarius z dłonią na kłamce. – Kiedy rzucisz zaklęcie?

– Wczesnym rankiem – powiedział Par-Salian ponuro. – Do tego trzeba dni przygotowań. Już poświęciłem na nie wiele godzin.

– A pomoc?

– Żadnej pomocy, nawet ucznia. Pod koniec będę wyczerpany. Zajmiesz się rozwiązaniem Konklawe, dobrze, mój przyjacielu?

– Oczywiście. A kender i krasnoludka żlebowa?

– Odeślij krasnoludkę do domu z wszelkimi skarbami, które twoim zdaniem będą jej się podobały. Co do kendera – Par-Salian uśmiechnął się – możesz wysłać go gdziekolwiek, gdzie będzie chciał się udać, oczywiście z wyjątkiem księżyców. Jeśli idzie o skarby, jestem pewien, że przed odejściem zgromadzi wystarczającą ich ilość. Przeszukaj dyskretnie jego sakwy, lecz jeśli nie będzie miał nic ważnego, pozwól mu zatrzymać jego zdobycze.

Justarius pokiwał głową. – A Dalamar? Twarz Par-Saliana spochmurniała. – Czarny elf bez wątpienia już odszedł. Nie chciałby, aby jego shalafi czekał.

– Par-Salian bębnił palcami w blat biurka, marszcząc brwi z frustracji. – Cóż za dziwny czar roztacza ten Raistlin! Ty go nigdy nie spotkałeś, prawda? Nie. Sam nie mogę zrozumieć...

– Być może ja potrafię – rzekł Justarius. – W pewnym okresie naszego życia naśmiewano się z nas. Wszyscy zazdrościliśmy rodzeństwu. Czuliśmy ból i cierpieliśmy, tak jak on cierpiał. I wszyscy pragnęliśmy – choć raz mieć dość mocy, by zgnieść naszych wrogów! Litujemy się nad nim. Obawiamy się go, a wszystko dlatego, że w każdym z nas jest odrobina niego, choć przyznajemy się do tego tylko w najciemniejszym mroku nocy.

– Jeśli w ogóle przyznajemy się. Ta nieszczęsna kapłanka! Dlaczego musiała się w to wplątać? – Par-Salian chwycił się za głowę drżącymi dłońmi.

– Żegnaj, mój przyjacielu – rzekł łagodnie Justarius.

– Będę czekał na ciebie przed laboratorium, gdybyś potrzebował pomocy.

– Dziękuję – szepnął Par-Salian, nie podnosząc głowy. Justarius kulejąc, wyszedł z gabinetu. Zatraskując drzwi zbyt pośpiesznie, przyciął sobie brzeg czerwonej szaty i chcąc się uwolnić, zmuszony był otworzyć je jeszcze raz. Zanim znów zamknął drzwi, posłyszał płacz.

## ***Rozdział XV***

Tasslehoff Burfoot nudził się. A jak wszystkim wiadomo, nie ma na Krynnie niczego niebezpieczniejszego niż znudzony kender.

Tas, Bupu i Caramon zakończyli posiłek – bardzo nudny posiłek. Caramon, pogrążony w rozmyślaniach, nie odezwał się ani słowem, tylko siedział w ponurym milczeniu, z roztargnieniem pozerając niemal wszystko w zasięgu jego wzroku. Bupu nawet nie usiadła. Chwyciwszy miskę, wybierała zawartość rękoma, wpychając jedzenie do ust z prędkością, jakiej nauczyła się dawno temu przy stole krasnoludów żlebowych. Odstawiwszy tę, rozpoczęła następną i zdążyła opróżnić sosjerkę, maselniczkę, cukiernicę, naczynie ze śmietanką i w końcu połowę półmiska tłuczonych ziemniaków z mlekiem, zanim Tas zorientował się, co ona robi. Ledwo uratował solniczkę.

– Cóż – rzekł Tas wesoło. Odsuwając talerz, starał się nie zwracać uwagi na Bupu, która złapała naczynie i zaczęła wylizywać do czysta. – Czuję się dużo lepiej. A ty, Caramonie? Chodźmy pozwiedzać!

– Zwiedzać? – Caramon posłał mu tak przerażone spojrzenie, że Tas na chwilę ostupiał. – Oszalałeś? Ja za wszystkie skarby Krynnu nie wystawiłbym nosa za te drzwi!

– Naprawdę? – spytał pełen zapału Tas. – Dlaczego? Och, powiedz mi, Caramonie! Co tam jest?

– Nie wiem. – Ogromny mężczyzna wzdrygnął się.

– Ale z pewnością jest strasznie.

– Ja nie widziałem żadnych strażników...

– Nie, i jest ku temu cholernie dobra przyczyna warknął Caramon. – Tu strażnicy nie są potrzebni. Widzę, co ci chodzi po głowie, Tasslehoffie, i możesz o tym zapomnieć! Nawet gdybyś mógł się wydostać – Caramon posłał pełne udręki spojrzenie na drzwi komnaty – w co wątpię, prawdopodobnie wmaszerowałbyś wprost w ramiona licha albo gorzej!

Tas wytrzeszczył oczy. Niemniej jednak zdołał zdusić radosny okrzyk. Przyglądając się swym butom, wymamrotał: – Pewnie masz rację, Caramonie. Zapomniałem, gdzie jesteśmy.

– Zdaje się, że tak – stwierdził surowo Caramon. Rozcierając obolałe barki, wielki mężczyzna jęknął. – Jestem śmiertelnie zmęczony. Muszę się trochę przespać. Ty i ta, jak jej tam, kładźcie się też. Wszystko w porządku?

– Jasne, Caramonie – powiedział Tasslehoff. Bupu, czknąwszy z zadowoleniem, już zawinęła się w dywanik przed kominkiem, używając resztki tłuczonych ziemniaków z mlekiem za poduszkę.

Caramon podejrzliwie zerknął na kendera. Tas przybrał najniewinniejszą minę, jaką potrafi

przybrać kender, skutkiem czego Caramon pogroził mu surowo palcem.

– Obiecuj mi, że nie opuścisz tego pokoju, Tasslehoffie Burrfoot. Obiecuj tak, jakbyś obiecywał... powiedzmy Tani sowi, gdyby był tutaj.

– Obiecuję – rzekł z pełną powagą Tas. – Tak jakbym obiecał Tanisowi, gdyby był tutaj.

– Dobrze. – Caramon westchnął i padł na łóżko, któ – re zatrzeszczało protestując, a materac zapadł się aż do samej podłogi pod ciężarem olbrzyma. – Przypuszczam, że ktoś nas zbudzi, kiedy postanowią już, co robić.

– Naprawdę cofniesz się w przeszłość, Caramonie? spytał smutno Tas, siadając na swym łóżku i udając, że rozsznurowuje trzewiki.

– Jasne, pewnie. To nic wielkiego – szepnął sennie Caramon. – Teraz prześpij się i... dziękuję Tas. Byłeś... byłeś bardzo pomocny... – Jego słowa ucichły i przeszły w chrapanie.

Tas siedział w absolutnym bezruchu, czekając, aż oddech Caramona stanie się równy i regularny. Nie trwało to długo, bowiem wielki mężczyzna był wyczerpany emocjonalnie i fizycznie. Spoglądając na bladą, stroskaną i poznaczoną strużkami łez twarz Caramona, kender przez chwilę czuł, że gryzie go sumienie. Jednak kenderzy przyzwyczajeni są do ugryzień sumienia – tak jak ludzie do ugryzień komarów.

– Nawet nie będzie widział, że wyszedłem – powiedział do siebie Tas, skradając się obok łóżka Caramona. Poza tym tak naprawdę wcale nie przyrzekłem jemu, że nigdzie nie pójdę. Przyrzekłem Tanisowi. A Tanisa tu nie ma, więc obietnica się nie liczy. Poza tym, jestem pewien, że chciałby zwiedzać, gdyby tylko nie był taki zmęczony.

Do czasu, gdy Tas wyminął ostrożnie umorusane ciało Bupu, zdołał siebie stanowczo przekonać, że Caramon polecił mu rozejrzeć się przed pójściem spać. Pełen złych przeczuć, na próbę nacisnął klamkę, pamiętając ostrzeżenia Caramona. Drzwi jednak otworzyły się bez trudu. Jesteśmy więc gośćmi, nie więźniami. Chyba, że na zewnątrz stoi na straży lichy. Tas wystawił głowę za drzwi. Rozejrzał się w jedną stronę korytarza, a potem w drugą. Nic. Ani śladu licha. Wzdychając cichutko z rozczarowania, Tas wyślizgnął się z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Korytarz biegł w prawo i w lewo, znikając na ciemnych rogach z obu końców. Był pusty, zimny i nagi. Widoczne były inne drzwi, wszystkie ciemne, wszystkie zamknięte. Brak było jakichkolwiek ozdób, gobelinów na ścianach, dywanów na kamiennej podłodze. Nie było nawet świateł, żadnych pochodni, żadnych świec. Najwyraźniej zakładano, że magowie będą mieli własne oświetlenie, jeśli mają zamiar wędrować po ciemku.

Przez szklane szyby w oknie na jednym końcu sączyło się światło Solinari, srebrnego księżycy, lecz to było wszystko, dalej panowała absolutna ciemność. Zbyt późno Tas pomyślał, by zakraść się z powrotem do pokoju po świecę. Jeśli Caramon obudzi się, może sobie nie przypomnieć, że kazał kenderowi zwiedzać.

– Zajrzę tylko do któregoś z tych pokoi i pożyczę świeczkę – powiedział do siebie Tas. –

Poza tym, to dobry sposób, by poznać ludzi.

Sunąc przez korytarz ciszej niż promienie księżycy, które tańczyły na posadzce, Tas dotarł do następnych drzwi. Nie będzie pukał, na wypadek, gdyby spali – rozumował. Ostrożnie nacisnął klamkę. – Aha, zamknięte! – stwierdził, czując się niezmiernie uradowany. To da mu jakieś zajęcie przynajmniej na kilka chwil. Wydobywszy swój zestaw wytrychów, przysunął je do światła księżycy, by wybrać drut odpowiednich rozmiarów do tego zamka.

– Mam nadzieję, że nie jest zamknięty magicznie mruknął, a ta niespodziewana myśl zmroziła go. Wiedział, że magowie robili tak czasami – zwyczaj, który kenderzy uważali za wybitnie nieetyczny. Być może jednak w Wieży Najwyższej Magii, otoczeni przez czarodziejów, będą uważali, że nie warto. – Bo przecież każdy mógłby po prostu przyjść i wywalić drzwi – argumentował Tas.

I rzeczywiście, zamek otworzył się bez przeszkód. Z sercem bijącym z podniecenia Tas cicho pchnął drzwi i zajrzał do wnętrza. Pokój oświetlony był jedynie słabym blaskiem przygasającego ognia. Kender nasłuchiwał. Nie słyszał nikogo, żadnego chrapania ani oddechu, więc wszedł, stąpając po cichu. Byстрыm wzrokiem odnalazł łóżko. Było puste.

– W takim razie nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że pożyczę sobie świecę – powiedział do siebie uszczęśliwiony. Znalazł świeczkę i zapalił knot rozżarzonym węgielkiem. Potem oddał się rozkoszom przeglądania rzeczy, zauważając przy tym, że ktokolwiek zamieszkiwał ten pokój, nie był osobą porządną.

Po około dwóch godzinach zwiedzania wielu pokoi znużony Tas wracał do swej komnaty z sakiewkami wypchanymi niezwykle fascynującymi przedmiotami, które miał szczerzy zamiar zwrócić ich właścicielom rano. Większość rzeczy zabrał ze stołów, gdzie najwyraźniej rzucono je niedbale. Niejedną znalazł na podłodze (pewien był, że właściciele je zgubili) i nawet ocalił kilka z kieszeni szat, które prawdopodobnie przeznaczone były do prania, w którym to przypadku przedmioty te z pewnością zagubiłyby się.

Nagle spojrzął w głąb korytarza i doznał potężnego wstrząsu, zobaczywszy światło padające spod drzwi ich pokoju!

– Caramon! – Przełknął ślinę, lecz w tej samej chwili przyszła mu na myśl setka prawdopodobnych wymówek. A może Caramon jeszcze nie zauważył jego nieobecności? Może upił się krasnoludzką gorzałką? Biorąc to pod uwagę, Tas podreptał na palcach do zamkniętych drzwi komnaty i przycisnął do nich ucho, podsłuchując.

Usłyszał jakieś głosy. Jeden rozpoznał natychmiast: Bupu. Ten drugi... Zmarszczył brwi. Brzmiał jakoś znajomo... Gdzie go słyszał?

– Tak, ciebie zamierzam odesłać do Najwyższego Pulpa, jeśli tam chcesz się wybrać. Ale wpierw musisz mi powiedzieć, gdzie jest Najwyższy Pulp.

W głosie pobrzmiwała lekka rozpacz. Najwyraźniej trwało to już od dłuższego czasu. Tas

przyłożył oko do dziurki od klucza. Zobaczył Bupu ze zlepionymi od tłuczonych ziemniaków włosami. Patrzyła wrogo na p'ostać w czerwonej szacie. Teraz Tas przypomniał sobie, gdzie słyszał ten głos – to ten mężczyzna, który na Konklawe bez przerwy wypytywał Par-Saliana!

– Najwyższy Bulp! – powtórzyła urażona Bupu Nie Najwyższy Pulp! A Najwyższy Bulp jest w domu. Ty odesłać mnie do domu.

– Tak, oczywiście. A gdzie jest dom?

– Tam, gdzie Najwyższy Bulp.

– A gdzie jest Najwyższy Pul... Bulp? – spytał beznadziejnym tonem mag w czerwieni.

– W domu – stwierdziła zwięźle Bupu. – Ja ci to mówić już przedtem. Masz uszy pod tym kapturem? Może ty głuchy? – Krasnoludka żlebowa na chwilę znikła Tasowi z oczu. Kiedy ukazała się ponownie, trzymała wyjętą z torby, kolejną nieżywą jaszczurkę z rzemykiem związanym na ogonie. – Ja leczę. Włóż ogon do ucha i...

– Dziękuję – rzekł pośpiesznie mag. – Zapewniam cię, że mój słuch jest absolutnie bez zarzutu. Więc, jak nazywasz swój dom? Jak brzmi jego nazwa?

– Dziurra. Przez dwa r. Fajna nazwa, no nie? – powiedziała dumnie Bupu. – To pomysł Najwyższego Bulpa. On kiedyś zjeść książkę. Mnóstwo się nauczył. Wszystko tutaj. – Poklepała się po brzuchu.

Tas zasłonił usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Mag w czerwonej szacie miał podobny problem. Tas zobaczył, jak ramiona mężczyzny tak się trzęsą, że dopiero po dłuższej chwili mógł odpowiedzieć. Kiedy to uczynił, jego głos jeszcze odrobinę drżał.

– Jak... jak ludzie mówią na tę waszą, hm, Dziurce? Tas zobaczył skrzywioną minę Bupu. – Głupia nazwa.

Całkiem jakby ktoś splunął: Skroth.

– Skroth – powtórzył zdziwiony mag w czerwieni. Skroth – mruknął. Potem strzelił palcami. – Przypominam sobie. Kender powiedział to na Konklawe. Xak Tsaroth?

– Ja już to raz mówić. Jesteś pewien, że ty nie chcesz lekarstwa z jaszczurki na uszy? Wkładasz ogon...

Mag w czerwonej szacie westchnął i wyciągnął rękę nad głowę Bupu. Posypał ją czymś, co wyglądało jak kurz (Bupu kichnęła jak z armaty) i zanucił dziwne słowa.

– Ja teraz wracać do domu? – zapytała Bupu z nadzieją.

Mag nie odpowiedział, tylko dalej wypowiadał zaklęcie.

– On niemiły – mruknęła do siebie, znów kichając, gdy pył powoli osiadał na jej włosach i ciele. – Nikt niemiły. Nie tak jak mój ładny pan. – Potarła nos i smarknęła.

– On się nie śmiać... On nazwać mnie „maleńka”.

Pył na krasnoludce żlebowej zaczął się jarzyć delikatną, żółtą poświatą. Tas jęknął cicho. Blask stawał się coraz silniejszy, zmieniając kolor na żółtozielony, potem zielononiebieski,

potem niebieski i nagle...

– Bupu! – szepnął Tas. Krasnoludka żlebową znikła!

A ja jestem następny! – uświadomił sobie z przerażeniem Tas. I rzeczywiście, mag w czerwonej szacie pokuśtykał do łóżka, gdzie przemyślny kender zostawił kukłę zrobioną na swoje podobieństwo, żeby Caramon się nie niepokoił, gdyby się obudził.

– Tasslehoffie Burrfoot – zawołał cicho mag. Zniknął Tasowi z oczu. Kender stał nieruchomo, czekając, aż mag odkryje, że go tam nie ma. Nie żeby się obawiał, że go nakryją. Był przyzwyczajony do tego, że go nakrywają i był pewien, że uda mu się jakoś z tego wykręcić. Bał się jednak odesłania do domu! Oni chyba nie przypuszczają, że Caramon pójdzie gdziekolwiek bez niego?

– Caramon mnie potrzebuje! – szepnął do siebie Tas w udręce. – Oni nie wiedzą, w jakim kiepskim jest stanie. Co by się z nim stało, gdyby nie było mnie przy nim, żeby go wyciągać z karczem?

– Tasslehoffie – powtórzył głos maga. Musiał już podejść do łóżka.

Tas sięgnął pospiesznie do swej sakwy i wyciągnął garść śmieci, łudząc się nadzieją, że znajdzie coś użytecznego. Otworzył małą dłoń i przysunął do światła świecy. Znalazł pierścionek, winogrono i grudkę wosku do wąsów. Wosk i winogrono oczywiście nie nadawały się do niczego. Rzucił je na ziemię.

– Caramonie! – Tas usłyszał srogi głos ubranego w czerwoną szatę maga. Usłyszał, jak Caramon stęka i pojękuje i wyobraził sobie, jak czarodziej potrząsa nim. – Caramonie, obudź się. Gdzie jest kender?

Próbując nie zwracać uwagi na to, co działo się w pokoju, Tas skupił się na oglądaniu pierścionka. Był prawdopodobnie magiczny. Zabrał go z trzeciego pokoju na lewo. A może z czwartego? Zazwyczaj wystarczało nałożyć magiczny pierścień, żeby zadziałał. Tas był specjalistą od tych spraw. Kiedyś przypadkowo nałożył zaczarowany pierścień, który teleportował go w sam środek pałacu złego czarodzieja. Istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że ten może uczynić to samo. Nie miał pojęcia, do czego służył.

Może jakaś wskazówka będzie na samym pierścieniu?

Tas obrócił go w dłoniach, nieomal upuszczając z pośpiechu. Dzięki bogom, że Caramona tak trudno dobudzić!

Był to prosty pierścionek, wycięty z kości słoniowej, z dwoma różowymi kamyczkami. Od strony wewnętrznej były jakieś runy. Tas z żalem przypomniał sobie zaczarowane okulary widzenia, lecz te zaginęły w Nerace, chyba że nosił je jakiś smokowiec.

– Co... co... – bełkotał Caramon. – Kender? Kazałem mu... nie wychodzić... lichy...

– A niech to! – Mag w czerwonych szatach szedł w stronę drzwi.

Proszę, Fizbanie! szepnął kender, jeśli jeszcze mnie pamiętasz, a przypuszczam, że nie,



choć mógłbyś, bo to ja zawsze odnajdowałem twój kapelusz. Proszę, Fizbanie! Nie pozwól im wysłać Caramona beze mnie. Niech to będzie pierścień niewidzialności. A przynajmniej pierścień czegoś tam, żeby nie mogli mnie złapać!

Zamykając oczy z całych sił, żeby nie zobaczyć niczego Okropnego, co mógłby przez przypadek wyczarować, Tas wsunął pierścień na kciuk. (W ostatniej chwili otworzył oczy, żeby nie przegapić niczego Okropnego, co mógłby wyczarować.) Początkowo nic się nie stało. Słyszał, jak niepewne kroki maga w czerwonej szacie zbliżają się coraz bardziej do drzwi.

A potem – coś zaczęło się dziać, choć niezupełnie to, czego Tas oczekiwał. Korytarz rozrastał się! Kenderowi zaświszczało w uszach, gdy ściany przemknęły obok niego, a sufit pomknął wysoko. Z otwartymi ustami gapił się na drzwi, które rosły i rosły, aż nabrały gigantycznych rozmiarów.

Co ja zrobiłem? zastanawiał się zaniepokojony Tas. Czyżbym powiększył wieżę? Jak myślisz, czy ktoś to zauważył? A jeśli tak, czy bardzo będą się gniewać?

Olbrzymie drzwi rozwarły się z takim podmuchem wiatru, że kendera nieomal rozpląszczyło. Na progu stanęła gigantyczna postać w czerwonej szacie.

Olbrzym! jęknął Tas. Nie tylko wieżę powiększyłem! Magowie też urosli! Ojej, to chyba muszą zauważyć! Przynajmniej, kiedy pierwszy raz spróbują założyć buty! I jestem pewny, że będą się złościć. Ja złościłbym się, gdybym miał sześć metrów i nie mieścił się w żadne swoje ubranie.

Jednak ku wielkiemu zdumieniu Tasa, mag w czerwonej szacie wcale nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego nagłym rozrostem. Rozejrzał się tylko w jedną i drugą stronę korytarza, krzycząc: Tasslehoffie Burrfoot!

Spojrzał nawet dokładnie w miejsce, gdzie Tas stał i nie zobaczył go!

– Och, dziękuję ci, Fizbanie! – pisnął Tas. Potem kaszlnął. Jego głos miał dziwne brzmienie. Eksperymentalnie powiedział raz jeszcze: Fizbanie? – I znów zapiszczał.

W tym momencie mag w czerwieni spojrzał w dół.

– Aha! A z czyjego to pokoju uciekłeś, mój mały przyjacielu? – spytał czarodziej.

Kiedy Tasslehoff przyglądał się z podziwem i lękiem, olbrzymia ręka zniżyła się – sięgała po niego! Palce zbliżyły się coraz bardziej. Tas był tak zaskoczony, że nie mógł uciekać. Po prostu czekał, aż ta gigantyczna ręka go złapie. Wtedy będzie po wszystkim! Natychmiast odeślą go do domu, jeśli nie ukarzą jeszcze gorzej za powiększenie wieży, bo wcale nie był pewien, czy chcieli ją powiększać. Dłoń zawisła nad nim, a potem podniosła go za ogon.

– Mój ogon! – pomyślał Tas dziko, wijąc się w powietrzu, gdy dłoń uniosła go znad podłogi.

– Ja nie mam ogona! Ale przecież muszę mieć! Ta ręka za coś mnie trzyma!

Wykręcając głowę, Tas dostrzegł, że rzeczywiście ma ogon! I nie tylko ogon, ale także cztery różowe łapki! Cztery! A zamiast jaskrawoniebieskich nogawic ma białe futerko!

– A teraz – zadudnił mu wprost do ucha surowy głos – odpowiadaj, mały gryzoni! Czym jesteś chowańcem?

## **Rozdział XVI**

Chowaniec! Tasslehoff uczeplił się tego słowa. Chowaniec... Jego rozgorączkowany umysł przypomniał sobie rozmowy z Raistlinem.

– Niektórzy magowie mają zwierzęta, które muszą wykonywać ich polecenia – powiedział mu kiedyś Raistlin.

– Te zwierzęta, lub chowańce, jak się je nazywa, mogą funkcjonować jako poszerzenie własnych zmysłów czarodzieja. Mogą udawać się w miejsca, do których on nie może dotrzeć, widzieć rzeczy, których on nie potrafi zobaczyć, słyszeć rozmowy, do udziału w których go nie zaproszono. Wtedy Tasslehoff uważał to za wspaniały pomysł, choć przypominał sobie, że na Raistlinie nie robił większego wrażenia. Zdawał się zaliczać do słabości tak wielkie uzależnienie od innej żywej istoty.

– Odpowiesz mi wreszcie? – pytał natarczywie mag w czerwonych szatach, potrząsając Tasslehoffa za ogon. Krew napłynęła kenderowi do głowy, od czego zakreśliło mu się w niej, a poza tym trzymanie za ogon było dość bolesne, nie wspominając już o utracie godności! Przez chwilę był w stanie jedynie składać dzięki, że Flint go nie może zobaczyć.

Chowańcy chyba umieją mówić, pomyślał niewesoło. Mam nadzieję, że mówią we wspólnej mowie, a nie jakimś dziwnym językiem, na przykład po mysie.

– Ja jestem-ja-ee – należę do... – Jakże może być dobre imię dla maga? – Fa-Faikusa – zapiszczał Tas, przypomniawszy sobie, że Raistlin wymienił kiedyś to imię, nosił je kolega ze studiów.

– Aha – rzekł mag w czerwonej szacie, marszcząc brwi. – Mogłem się domyślać. Czy wykonywałeś polecenia swego pana, czy wędrowałeś sobie bez celu?

Na szczęście dla Tasa, mag zmienił chwyt i wypuścił ogon kendera, trzymając go teraz mocno w dłoni. Drżące przednie łapki kendera spoczywały na kciuku maga, a obecnie paciorkowate, jaskrawoczerwone ślepka Tasa wpatrywały się w chłodne, ciemne oczy maga.

Co mam odpowiedzieć? zastanawiał się rozpaczliwie Tas. Żadna z możliwości nie brzmiała najlepiej.

– M-mam dziś w nocy wolne – pisnął Tas, mając nadzieję, iż zrobił to urażonym tonem.

– Hm! – Czarodziej sapnął. – Jedno jest pewne, za długo przebywałeś z tym leniem Faikusem. Rano będę musiał porozmawiać z tym młodym człowiekiem. A co do ciebie, nie, nie musisz się wyrywać! Zapomniałeś, że w nocy po korytarzach wędruje chowaniec Sudory? Mógłbyś stać się deserem dla Marigold! Chodź ze mną. Kiedy skończę sprawy na dzisiejszy wieczór, odniosę cię do twego pana.

Tas, który był już gotów zatopić ostre ząbki w kciuku maga, nagle zrezygnował z tego

pomysłu. „Skończę sprawy na dzisiejszy wieczór!” Oczywiście musiało chodzić o Caramona! To nawet lepsze od bycia niewidzialnym! Po prostu zabierze się z magiem!

Kender zwiesił głowę w sposób, który jego zdaniem wyrażał myśłą pokorę i skruchę. Odniośł wrażenie, że zado – woliło to maga, uśmiechnął się bowiem w zamyśleniu i zaczął czegoś szukać w kieszeni szaty.

– Co się stało, Justariusie? – To odezwał się Caramon, na wpół jeszcze śpiący i wciąż sprawiający wrażenie nieprzytomnego. Mętym wzrokiem spojrzął w górę i w dół korytarza. – Znalazłeś Tasa?

– Kendera? Nie. – Mag znów się uśmiechnął, tym razem nieco żałośnie. – Obawiam się, że upłynie sporo czasu, zanim go znajdziemy – kenderzy doskonale potrafią się chować.

– Nie zrobicie mu krzywdy? – spytał zatroskany Caramon, tak zatroskany, że Tasowi zrobiło się żal wielkiego mężczyzny i bardzo pragnął go pocieszyć.

– Nie, skądże – odrzekł uspokajająco Justarius, wciąż przeszukując swe szaty. – Chociaż – dodał po chwili zastanowienia – on może sam zrobić sobie krzywdę przez przypadek. Poniewierają się tu przedmioty, którymi nie radziłbym się bawić. Cóż, jesteś gotowy?

– Ja naprawdę nie chcę iść, dopóki Tas nie wróci. Chcę mieć pewność, że nic mu nie jest – oświadczył uparcie Caramon.

– Obawiam się, że nie masz wyboru – powiedział czarodziej i Tas usłyszał chłód w jego głosie. – Twój brat rusza w podróż o świcie. Ty również musisz być przygotowany. Par-Salian potrzebuje wielu godzin na zapamiętanie i rzucenie tego skomplikowanego zaklęcia. Już zaczął. Prawdę mówiąc, zostałem tu zbyt długo, szukając kendera. Jesteśmy spóźnieni. Chodź już.

– Poczekaj... moje rzeczy... – powiedział żałośnie Caramon. – Mój miecz...

– Nie musisz się o nie martwić – odrzekł Justarius. Najwyraźniej znalazłszy to, czego szukał, wyciągnął z kieszeni swej szaty jedwabny woreczek. – Nie możesz udać się w przeszłość z żadną bronią ani urządzeniem z naszych czasów. Część zaklęcia polega na tym, abyś był odziany odpowiednio do epoki, do której się udajesz.

Caramon spojrzął po sobie z osłupieniem. – Ch-chcesz powiedzieć, że będę musiał zmienić ubranie? I nie będę miał miecza? Co...

I wy wysyłacie tego człowieka w przeszłość samego? pomyślał urażony Tas. On wytrzyma pięć minut! W najlepszym wypadku pięć minut! Nie, na wszystkich bogów, mam zamiar...

Dokładnie nie wiadomo, co kender zamierzał zrobić, bowiem niespodziewanie stwierdził, że został wrzucony do jedwabnego woreczka głową naprzód!

Wszystko zrobiło się atramentowoczarne. Kender spadł na dno mieszkania, koziółkując i wylądował na głowie. Gdzieś w jej wnętrzu odezwał się przeraźliwy strach przed znalezieniem się na grzbiecie w odłoniętej pozycji. Tas rozpaczliwie starał się wyprostować, szaleńczo drapiąc pazurkami śliskie ściany mieszkania. Wreszcie znalazł się właściwą stroną do góry

i okropne uczucie ustąpiło.

Więc to takie uczucie – wpaść w panikę, pomyślał Tas wzdychając. Jedno jest pewne, to nie szczególnie miłego. I bardzo się cieszę, że kenderzy zasadniczo nie odczuwają czegoś takiego. A teraz, co?

Opanowując się i zmuszając swe serduszko, by przestało walić jak oszalałe, Tas przycupnął na dnie jedwabnego woreczka i starał się pomyśleć, co teraz zrobić. Miał wrażenie, że podczas dzikiej szamotaniny przestał się orientować, co się dzieje, bowiem – nasłuchując – słyszał dwa rodzaje kroków rozbrzmiewających w kamiennym korytarzu: ciężki stuk butów Caramona i szuranie stóp maga. Wyczuwał również lekkie kołysanie i słyszał cichy szelest tkaniny ocierającej się o tkaninę. Nagle przyszło mu do głowy, że bez wątpienia mag w czerwonej szacie przytroczył sobie woreczek z nim do swego paska!

– Co ja mam tam zrobić? Jak mam później wrócić... To był głos Caramona, nieco stłumiony przez tkaninę woreczka, lecz wciąż dość wyraźny.

– Wszystkiego się dowiesz. – Głos maga brzmiał nad wyraz cierpliwie. – Ciekaw jestem... Czy masz jakieś wątpiwości, a może się rozmyśliłeś? Jeśli tak, powinieneś teraz powiedzieć nam o tym...

– Nie! – Głos Caramona zabrzmiał stanowczo, bardziej stanowczo niż przedtem. – Nie, nie mam żadnych wątpiwości. Wyruszę tam. Zabiorę panią Crysanię w przeszłość. To moja wina, że stała jej się krzywda, bez względu na to, co powiedział ten starzec. Dopilnuję, żeby otrzymała pomoc, i zajmę się dla was tym Fistandantilusem.

– M-m-m-m.

Tas usłyszał to „m-m-m-m”, choć wątpił, czy Caramon też potrafiłby. Ogromny mężczyzna plół coś o tym, co zrobi Fistandantilusowi, kiedy go złapie. Tasa jednak przebiegł zimny dreszcz, zupełnie jak wtedy, gdy w sali Par-Salian posłał Caramonowi to dziwne, smutne spojrzenie. Zapominając, gdzie się znajduje, kender zapiszczał z frustracji.

– Szszsz – szepnął z roztargnieniem Justarius, poklepując dłonią mieszek. – Niedługo wrócisz do klatki i będziesz sobie jadł ziarnka.

– He? – powiedział Caramon. Tas niemal widział zaskoczoną minę potężnego mężczyzny. Kender zazgrzytał zębami. Słowo „klatka” przywołało okropny obraz i wtedy nasunęła mu się doprawdy przerażająca myśl: Co będzie, jeśli nie zdołam wrócić do swojej postaci?

– Och, nie ty! – rzekł pośpiesznie mag. – Mówiłem do mego małego, puszystego przyjaciela. Zaczyna się niepokoić. Gdybyśmy nie byli spóźnieni, odniósłbym go natychmiast. – Tas zamarł. – No proszę, chyba się uspokoił. Więc, o czym mówiłeś?

Tas przestał uważać. Żałośnie uczeplił się łapkami woreczka, który kołysał się, lekko objijając o udo kuśtykającego maga. Zakłęcie można chyba odwrócić po prostu zdejmując pierścień?

Tasa śwędziały palce, by spróbować. Ostatni magiczny pierścień, jaki nałożył, nie dawał się

zdjąć! A jeśli z tym też tak będzie? Czyżby był skazany na wieczne życie z białym futerkiem i różowymi łapkami? Na tę myśl Tas zacisnął jedną łapkę na pierścieniu, wciąż przyczepionym do palca (jak inaczej to nazwać?) i niemal ściągnął go, by się upewnić.

Nagle przyszła mu do głowy myśl o wyskoczeniu z jedwabnego woreczka jako w pełni wyrośnięty kender i wylądowaniu u stóp maga. Powstrzymał drżącą łapkę. Nie. Tak przynajmniej zanosą go tam, dokąd zabierają Caramona. W najgorszym wypadku, może uda mu się wyruszyć z nim w mysiej postaci. Bywają gorsze rzeczy...

Jak wydostać się z mieszka?

Kenderowi serce opadło do samych tylnich łapek. Oczywiście, wydostanie się było prostą sprawą, jeśli wróci do swojej postaci. Ale wtedy złapią go i odeślą do domu! A jeśli zostanie myszą, skończy najedzeniu ziarna u Faikusa! Kender jęknął i skulił się, wciskając nos w przednie łapki. W gorszej sytuacji nie znajdował się w całym swym życiu, nawet wtedy, gdy dwaj czarodzieje przyłapali go na wykradaniu im włochatego mamuta. Na dokładkę zaczynało go mdlić od kołysania woreczka, osobliwego zapachu w środku i całego tego obijania.

– Mój błąd polegał na pomodleniu się do Fizbana rzekł ponuro kender. – Może on i jest w rzeczywistości Paladine'em, ale założę się, że ten szurnięty czarodziej teraz śmieje się w kułak z tego wszystkiego.

Rozmyślanie o Fizbanie i o tym, jak bardzo tęsknił za zwariowanym starym magiem, nie polepszyło samopoczucia Tasa, więc przestał myśleć i postarał się jeszcze raz skupić na otoczeniu, w nadziei, że wpadnie na pomysł, jak się wydostać. Wpatrywał się w jedwabistą ciemność i nagle^..

– Ty idioto! – powiedział do siebie z podnieceniem. – Ty tępy kenderski przygłupie, jak zwykły mawiać Flint!

Lub raczej, mysi przygłupie, bowiem nie jestem już kenderem! Jestem myszą... i mam zęby!

Tas pospiesznie spróbował nadgryźć materiał. Początkowo nie mógł uchwycić śliskiej tkaniny i znów wpadł w rozpacz.

– Spróbuj na szwie, bęcwale – skarcił siebie surowo i zagłębił zęby w nici zszywającej materiał. Pękła niemal natychmiast, gdy jego ostre ząbki rozcięły ją. Tas szybko przegryzł kilka następnych szwów i już wkrótce widział coś czerwonego – szaty czarodzieja! Poczł podmuch świeżego powietrza (co ten człowiek tu trzymał!) i tak był uradowany, że zaczął szybko przegryzać kolejne nitki.

Wtem przerwał. Jeśli powiększy otwór, wypadnie. A nie był na to gotowy, jeszcze nie. Przynajmniej dopóki nie dotrze tam, dokąd mieli dotrzeć. Najwyraźniej to nie było daleko. Do Tasa dotarło to, że od jakiegoś czasu wspinają się po schodach. Słyszał, jak Caramon zipie z wysiłku, od którego się odzwyczaił. Nawet mag sprawiał wrażenie nieco zasapanego.

– Dlaczego nie możesz po prostu przenieść nas czarami do tego laboratorium? – narzekał

zadzyszany Caramon.

– Nie! – odparł cicho Justarius, a w jego głosie pobrzmiwał lęk. – Czuję, jak powietrze przesycone jest mocą, którą roztacza Par-Salian, by rzucić to zaklęcie. Nie pozwolę, by jakieś moje drobne zaklęcie wywołało zakłócenia sił rozpętanych dzisiejszej nocy!

Tas zadrżał i pomyślał, że Caramon chyba też, bowiem usłyszał, jak wielki mężczyzna chrząka nerwowo, a potem w milczeniu wznawia wspinaczkę. Nagle zatrzymali się.

– Jesteśmy na miejscu? – spytał Caramon, starając się, by głos mu nie drżał.

– Tak – padła wyszeptana odpowiedź. Tas nadstawiał ucha. – Odprowadzę cię te kilka ostatnich stopni, a potem – gdy dotrzemy do drzwi na szczycie – otworzę je bardzo cicho i wpuszczę cię. Nie mów ani słowa! Nie mów niczego, co mogłoby zakłócić koncentrację Par-Saliana. To zaklęcie wymaga wielu dni przygotowań...

– Chcesz powiedzieć, że on wiedział o naszym przybyciu kilka dni temu? – przerwał szorstko Caramon.

– Cii! – rozkazał Justarius, a w jego głosie pobrzmiwał gniew. – Oczywiście wiedział, że istnieje taka możliwość. Musiał być przygotowany. Dobrze, że tak uczynił, bo nie mieliśmy pojęcia, że twój brat zamierza zacząć działać tak szybko! – Tas usłyszał, jak mężczyzna robi głęboki wdech. Kiedy znów się odezwał, przemówił znacznie spokojniejszym tonem. – Teraz, powtarzam, kiedy przejdziemy te ostatnie kilka stopni – nie piśnij ani słowem! Zrozumiałeś?

– Tak – Caramon sprawiał wrażenie potulnego.

– Rób dokładnie to, co ci każe Par-Salian. Nie zadawaj pytań! Bądź mu posłuszny. Potrafisz?

– Tak. – Odpowiedź Caramona zabrzmiała jeszcze potulniej. Tas wychwycił lekkie drżenie w głosie wielkiego mężczyzny.

On jest przerażony, uświadomił sobie Tas. Biedny Caramon. Dlaczego mu to robicie? Nie rozumiem. Tu się dzieje coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka. Cóż, nie obchodzi mnie, czy rozproszę uwagę Par-Saliana. Będę musiał zaryzykować. Tak czy siak – wybieram się z Caramonem! On mnie potrzebuje. Poza tym – kender westchnął – cofnąć się w czasie! Jakie to cudowne!

– Dobrze. – Justarius zawahał się i Tas wyczuł, jak jego ciało sztywnieje. – Ja się tu pożegnaj, Caramonie. Niech cię bogowie prowadzą. To, co robisz, jest niebezpieczne... dla nas wszystkich. Nawet nie wyobrażasz sobie tego niebezpieczeństwa. – Ostatnie słowa wyrzekł tak cicho, że tylko Tas je usłyszał i zastrzygł z niepokoju uszkami. Mag w czerwonej szacie westchnął. – Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że twój brat jest tego wart.

– Jest – rzekł stanowczo Caramon. – Zobaczycie.

– Modlę się do Gileana, abyś się nie mylił... A teraz, jesteś gotowy?

– Tak.

Tas usłyszał szelest, jakby mag w kapturze pokiwał głową. Potem znów ruszyli, wspinając

się powoli po schodach. Kender wyjrzał przez dziurkę na dnie woreczka, przyglądając się, jak niknące w cieniu stopnie migają pod nim. Wiedział, że ma tylko kilka sekund.

ac Schody się skończyły. Widział pod sobą szeroki, kamienny podest. Jestem na miejscu! powiedział sobie i przełknął ślinę. Znów usłyszał szelest i poczuł ruch ciała maga. Zaskrzypiały drzwi. Ostre zęby Tasa szybko przecięły ostatnie nici, którymi zszyta była tkanina. Usłyszał powolne kroki Caramona. Usłyszał, jak drzwi za nim zaczynają się zamykać...

Szew puścił. Tas wypadł z mieszka. Miał jeszcze ułamek sekundy, żeby zastanowić się, czy myszy zawsze spadają na cztery łapy – tak jak koty. (Kiedyś spuścił kota z dachu swego domu, żeby się przekonać, czy stare porzekadło jest prawdziwe. Jest.) A potem spadł na kamienną posadzkę. Drzwi zatrzasnęły się, mag w czerwieni odwrócił się. Nie rozglądając się, kender pomknął cicho i szybko po podłodze. Rozpłaszczając swe ciało, przecisnął się przez niewielką szparę pomiędzy drzwiami a podłogą i śmignął pod biblioteczkę pod ścianą.

Tam zatrzymał się, by złapać tchu i posłuchać.

A jeśli Justarius odkryje jego nieobecność? Czy wróci i będzie go szukał?

Przestań, zbeształ się surowo Tas. On nawet nie wie, gdzie wypadłem. Poza tym i tak prawdopodobnie nie wróci. Mógłby zakłócić zaklęcie.

Po kilku chwilach malutkie serduszko kendera uspokoiło się na tyle, że słyszał nie tylko sam łomot krwi w uszach. Na nieszczęście jego uszy podpowiadały mu bardzo niewiele. Słyszał cichy szept, jakby ktoś przepowiadał sobie wiersze ulicznej sztuki. Słyszał, jak Caramon próbuje złapać oddech po długiej wspinaczkę i jednocześnie tłumić sapanie, żeby nie przeszkadzać magowi. Skórzane buty wielkiego mężczyzny zaskrzypiały, gdy nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Lecz to było wszystko.

– Muszę zobaczyć! – powiedział sobie w duchu Tas. – Inaczej nie będę wiedział, co się dzieje.

Wypełznawszy spod szafki, kender zaczął naprawdę odkrywać wrażenia z tego maleńkiego, niezwykłego świata.

Był to świat okruszków, kłębow kurzu i nitek, szpilek i popiołu, wyschniętych płatków róż i wilgotnych listków herbacianych. Rzeczy nieistotne nagle stały się światem samym w sobie. Meble wznosiły się wysoko nad nim niczym drzewa w lesie i służyły mniej więcej temu samemu celowi – zapewniały schronienie. Płomyk świecy był słońcem, Caramon potwornym olbrzymem.

Tas ostrożnie okrążał gigantyczne stopy mężczyzny. Zauważywszy kątem oka jakiś ruch, zobaczył pod białą szatą stopę obutą w pantofel. Par-Salian. Tas szybko śmignął w drugą stronę pokoju, która na szczęście oświetlona była jedynie świeczkami.

Wtem zatrzymał się z poślizgiem. Raz już był w laboratorium maga, kiedy nosił ten przeklęty pierścień teleportacji. Dziwne i cudowne rzeczy, jakie tam zobaczył, utkwily mu w pamięci, toteż zatrzymał się, zanim wszedł do kręgu narysowanego na podłodze



sproszkowanym srebrem. Pośrodku owego połyskującego w blasku świec kręgu leżała pani Crysania. Jej wytrzeszczone oczy wciąż spoglądały w pustkę, a twarz była biała jak płótno, którym ją przykryto.

W tym miejscu odbędą się czary!

Z futerkiem zjeżonym na karku Tas pośpiesznie wycofał się jak najdalej i skulił za przewróconym nocnikiem. Na zewnątrz kręgu stał Par-Salian, którego białe szaty jarzyły się niesamowitym blaskiem. Trzymał przedmiot wysadzany klejnotami, które błyszcząły i iskrzyły się, gdy obracał go w dłoniach. Przypominał berło, które Tas widział kiedyś w rękach króla Nordmaaru, lecz to urządzenie wyglądało znacznie bardziej fascynująco. Miało fasetki i osobliwe złącza przegubowe. Tas zobaczył, że jedne części przedmiotu były ruchome, podczas gdy – co jeszcze bardziej go zdumiewało – inne części poruszały się jakby jednocześnie tkwiąc w miejscu! Na jego oczach Par-Salian manipulował tym przedmiotem, składając go, zginając i skręcając, aż stał się nie większy od jajka. Mrużąc nad nim dziwne słowa, arcymag wrzucił jajko do kieszeni swej szaty.

Potem, choć Tas mógłby przysiąc, że Par-Salian nie zrobił nawet kroku, mag znalazł się niespodziewanie wewnątrz srebrnego kręgu, obok nieruchomego ciała Crysanii. Czarodziej nachylił się nad nią i Tas zobaczył, że wsuwa coś w fałdy jej szaty. Następnie Par-Salian zaintonował pieśń w języku magii, sękatymi dłońmi zataczając nad kobietą coraz szersze kręgi. Zerknąwszy szybko na Caramona, Tas zobaczył, że mężczyzna stoi obok kręgu z dziwnym wyrazem twarzy. Była to mina kogoś, kto jest w obcym miejscu, a jednak czuje się jak u siebie w domu.

Oczywiście, pomyślał tęsknie Tas, on wychował się w obecności magii. Może to dla niego tak, jakby już był znów razem z bratem.

Par-Salian wstał. Kender był wstrząśnięty zmianą, jaka nastąpiła w wyglądzie mężczyzny. Jego twarz postarzała się o całe lata i pobladła jak ściana. Mag chwiał się na nogach. Gestem wezwał Caramona, który podszedł powoli, ostrożnie przestępując nad srebrnym proszkiem. Z twarzą zastygłą w transie podobnym do snu, stanął w milczeniu obok nieruchomego ciała Crysanii.

Par-Salian wyjął urządzenie z kieszeni i podał je Caramonowi. Wielki mężczyzna dotknął go i przez chwilę stali tak, obaj je trzymając. Tas zobaczył, że Caramon porusza wargami, choć nie słyszał dźwięku. Było tu zupełnie tak, jakby wojownik czytał po cichu, ucząc się na pamięć jakiejś magicznie przekazywanej informacji. Potem Caramon przestał mówić. Par-Salian uniośł ręce, a przy tym ruchu wzniósł się w powietrze i popłynął, opuszczając krąg i niknąc w mroku laboratorium.

Tas już go nie widział, lecz słyszał jego głos. Monotonny zaśpiew przybrał na sile i nagle z kręgu usypanego na posadzce strzeliła ściana srebrnego światła. Była tak jasna, że raziła

czerwone mysie oczy Tasa, jednak kender nie mógł oderwać wzroku. Par-Salian wykrzyknął teraz tak donośnym głosem, że kamienie w komnacie zaczęły odzywać się chórem głosów dobiegających z głębi ziemi.

Tas utkwiał spojrzenie w migoczącej zasłonie mocy. Za nią dostrzegł Caramona stojącego obok Crysanii, nadal trzymającego jakiś przedmiot w dłoni. Wtem Tas wydał cichutki jęk, który nie uczynił więcej hałasu w komnacie niż oddech myszy.

Przez tę migotliwą kurtynę wciąż widział samo laboratorium, lecz teraz zdawało się migotać, jakby walczyło o własne istnienie. A potem, kiedy mignęło i znikło, kender dostrzegł przeblysłk innego miejsca! Lasy, miasta, jeziora i oceany rozmywały mu się w oczach, znikwały i pojawiały się, ludzie byli widoczni przez chwilę, a potem niknęli, zastąpieni przez innych.

Ciało Caramona zaczęło pulsować z tą samą regularnością, co dziwne wizje, kiedy tam stał w kolumnie światła. Crysania również tam była, a potem już jej nie było.

Łzy spłynęły po drżącym nosku Tasa i pociekły mu po wąsach. – Caramon udaje się na największą przygodę wszechczasów! – pomyślał ponuro kender. – I zostawia mnie!

Przez jedną szaloną chwilę Tas walczył ze sobą. Wszystko w nim, co było logiczne, odpowiedzialne i podobne do Tanisa, mówiło mu: Tasslehoffie, nie bądź głupi. To są Wielkie Czary. Możesz naprawdę Nieźle Narozrabiać! Tas usłyszał ten głos, lecz zagłuszało go nucenie i śpiew kamieni, a wkrótce nie było go już słyhać...

Par-Salian nie usłyszał cichutkiego pisku. Pograżony rzucaniem czaru, ledwo kątem oka dostrzegł przeblysłk ruchu. Zbyt późno zauważył mysz, która wyskoczyła z kryjówki i popędziła wprost ku srebrzystej ścianie światła! Zdjęty grozą Par-Salian przerwał zakęcie, a głosy kamieni zabrzmiały głucho i ucichły. W ciszy słyszał niewyraźny głosik: – Nie zostawiaj mnie, Caramonie! Nie zostawiaj mnie! Wiesz, w jakie tarapaty wpadniesz beze mnie!

Mysz przebiegła przez srebrny proszek, zostawiając błyszczący ślad, i wpadła do rozświetlonego kręgu. Par-Salian usłyszał nikły brzęk i zobaczył pierścionek toczący się po kamiennej posadzce. Dostrzegł trzecią postać, która zmaterializowała się w kręgu i jęknął ze zgrozy. Wtedy pulsujące postaci znikły. Blask kręgu został wessany przez wielki wir i laboratorium pograżyło się w ciemności.

Oslabiony i wyczerpany Par-Salian osunął się na podłogę. Jego ostatnia myśl, nim stracił przytomność, była straszna.

Wysłał w przeszłość kendera.

## **Księga druga**

## *Rozdział I*

Denubis powolnym krokiem przemierzał szerokie, przestronne korytarze pełnej światła świątyni bogów w Istar. Myślami błędził daleko stąd, wbijając wzrok w zawile wzory na marmurowej posadzce. Widząc go tak zamyślonego i wędrującego bez celu, można by pomyśleć, że kapłan nie zdaje sobie sprawy, iż stąpa w sercu wszechświata. Denubis jednakże nie był tego faktu nieświadom, ani też nie istniało wielkie prawdopodobieństwo, iż o nim zapomni. Ażeby tak się nie stało, król-kapłan przypominał mu o tym co dnia w porannym wezwaniu do modłów.

– Jesteśmy sercem wszechświata – mówił król-kapłan głosem, którego melodia była tak piękna, iż czasami zapominało się o słuchaniu treści słów. – Istar, miasto ukochane przez bogów, jest środkiem wszechświata, a my – będąc w sercu miasta – jesteśmy sercem wszechświata. Tak jak krew wypływa z serca, niosąc składniki odżywcze do najmniejszego palca u nogi, tak nasza wiara i nasze nauki płyną z tej świątyni do najędźniejszych, najmniejszych spo – wśród nas. Pamiętajcie o tym, wykonując swe codzienne obowiązki, bowiem wy, którzy tu pracujecie, jesteście ulubieńcami bogów. Jak jedno dotknięcie najwęższej nici jedwabnej pajęczyny wywołuje drzenie całej sieci, tak wasz najdrobniejszy czyn może wstrząsnąć całym Krynem.

Denubisa przeszedł dreszcz. Chciałby, aby król-kapłan przestał używać akurat tej przenośni. Denubis nie cierpiał pajaków. Szczerze mówiąc, nienawidził wszystkich pajęczaków, do czego nigdy się nie przyznawał, prawdą jest, że czuł się z tego powodu winny. Czyż nie miał przykazane kochać wszystkie istnienia, z wyjątkiem oczywiście tych, które stworzyła Królowa Ciemności? To dotyczyło ogrów, goblinów, trolli i innych złych ras, lecz Denubis nie był pewien, czy także pajaków. Zamierzał o to zapytać, jednak wiedział, że skutkiem tego byłby godzinny spór filozoficzny wśród wielebnych synów, a nie sądził, aby rzecz była tego warta. Potajemnie nadal będzie nienawidził pajaków.

Denubis klepnął się delikatnie po łysiejącej głowie. Jak jego myśli mogły zawędrować do pajaków? Starzejąc się, pomyślał z westchnieniem. Wkrótce, jak biedny Arabacus, nic nie będę robił cały dzień, tylko siedział w ogrodzie i spał, aż ktoś obudzi mnie na obiad. Na tą myśl Denubis znowu westchnął, lecz było to raczej westchnienie zazdrości niż politowania. Doprawdy, biedny Arabacus! Przynajmniej oszczędzono mu...

– Denubisie...

Denubis przystanął. Rozglądając się po wielkim korytarzu, nie dostrzegł nikogo. Kapłan wzdrygnął się. Czy usłyszał ten cichy głos, czy tylko mu się zdawało?

– Denubisie – znów rozległ się głos.

Tym razem kapłan zajął uważniej w cień rzucany przez olbrzymie kolumny z marmuru, które podtrzymywały połączony sufit. Teraz widoczny był ciemniejszy cień, plama czerni

w ciemności. Denubis zdusił okrzyk irytacji. Powstrzymawszy się od następnego wzdrygnięcia, zatrzymał się i podszedł powoli do postaci stojącej w cieniu. Wiedział, iż postać ta nigdy nie wyszłaby z mroku na jego spotkanie. Nie chodziło o to, że światło szkodziło temu, kto oczekiwał na Denubisa, choć dla pewnych istot ciemności jest szkodliwe. Prawdę mówiąc, Denubis powątpiewał, czy cokolwiek na świecie mogłoby zaszkodzić temu człowiekowi. Nie, on po prostu wolał cień. Teatralny gest, pomyślał sarkastycznie Denubis.

– Wołałeś mnie, o Mroczny? – spytał Denubis, starając się bardzo, by jego głos zabrzmiał miło.

Dostrzegł uśmiech na twarzy w mroku i od razu wiedział, że wszystkie jego myśli są dobrze znane owemu człowiekowi.

– Do licha! – zaklął Denubis (zwyczaj ten niechętnie był widziany przez króla-kapłana, lecz Denubis, prosty człowiek, nie umiał się go pozbyć). – Dlaczego król-kapłan trzyma go na swym dworze? Dlaczego nie wypędzi go, tak jak pozbył się innych?

Oczywiście powiedział to do siebie, w głębi duszy bowiem Denubis znał odpowiedź. Ten mag był zbyt niebezpieczny, zbyt potężny, nie przypominał innych. Król-kapłan trzymał go po to, by jak groźny pies strzegł domostwa; człowiek wie, że pies zaatakuje na rozkaz, lecz stale musi się upewniać, że smycz mocno trzyma. Gdyby kiedyś smycz się zerwała, zwierzę rzuci mu się do gardła.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, Denubisie rzekł mężczyzna cichym głosem. – Szczególnie, iż widzę, że jesteś zajęty rozmyślaniami tak wielkiej wagi. Jednakże w chwili, gdy rozmawiamy, dzieje się rzecz niezwykle ważna. Weź oddział straży świątynnej i idź na rynek. Tam, na skrzyżowaniu, znajdziesz wielebną córkę Paladine'a. Jest bliska śmierci. Tam też znajdziesz człowieka, który ją napadł.

Denubis rozwarł oczy, a później zmrużył je, nagle zdjęty podejrzliwością.

– Skąd o tym wiesz? – spytał natarczywie. Postać w cieniu drgnęła, a ciemna linia utworzona przez jej wąskie wargi poszerzyła się – u owej postaci był to odpowiednik śmiechu.

– Denubisie – skarciła go postać – znasz mnie od wielu lat. Czy pytasz wiatru w jaki sposób wieje? Czy zadajesz pytania gwiazdom, by dowiedzieć się, dlaczego świecą? Ja wiem, Denubisie. Niech ci to wystarczy.

– Ale... – Denubis w zakłopotaniu przyłożył dłoń do głowy. To pociągnie za sobą wyjaśnienia i raporty dla odpowiednich władz. Nie można tak po prostu wyczarować oddziału straży świątynnej!

– Pośpiesz się, Denubisie – rzekł łagodnie mężczyzna. – Ona może długo nie pożyć...

Denubis przełknął ślinę. Wielebna córka Paladine'a napadnięta! Umierająca – na rynku! Prawdopodobnie otoczona tłumem gapiów. Skandal! Król-kapłan będzie wielce niezadowolony...

Kapłan otworzył usta, a potem znów je zamknął. Popatrzył przez chwilę na postać w cieniu,

po czym, nie znalazłszy tam pomocy, zawrócił i z łopotem szat pobiegł korytarzem w kierunku, z którego przybył. Jego skórzane sandały głośno stuknęły po marmurowej posadzce.

Kiedy Denubis dotarł do głównej kwatery dowódcy straży, ledwie zdołał wykrztusić swą prośbę porucznikowi na służbie. Tak jak przewidywał, wywołało to wielkie zamieszanie. Czekał na pojawienie się samego kapitana, Denubis osunął się na krzesło, usiłując złapać oddech.

Imię stwórcy pajaków mogło pozostawać kwestią sporną, lecz nie było żadnych wątpliwości co do stworzyciela tej istoty mroków, która bez wątpienia, stała tam teraz w cieniu i śmiała się z niego.

– Tasslehoff!

Kender otworzył oczy. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest, ani nawet, kim jest. Słyszał głos powtarzający imię, które wydawało mu się znajome. Zbity z tropu kender rozglądał się wokół. Leżał na wielkim mężczyźnie, który z kolei leżał na plecach pośrodku ulicy. Mężczyzna przyglądał mu się z niezmiernym zdumieniem, być może dlatego, że Tas znalazł się na jego rozłożystym brzuchu.

– Tas? – powtórzył ogromny mężczyzna i tym razem zrobił zamyśloną minę. – Czy ty miałeś być tutaj?

– N-nie jestem tego całkiem pewien – powiedział kender, zastanawiając się, kim jest „Tas”. Wtedy przypomniał sobie wszystko: Par-Salian nuący zaklęcie, zerwanie pierścienia z kciuka, oślepiające światło, śpiewające kamienie, pełen grozy wrzask czarodziejki...

– Oczywiście, że powinienem być tutaj – wypalił poirytowany Tas, wymazując z pamięci przerażony krzyk ParSaliana. – Nie myślisz chyba, że pozwoliliby ci cofnąć się w czasie zupełnie samemu, prawda? – Kender znajdował się praktycznie nos w nos z potężnym mężczyzną.

Zdziwiona mina Caramona ustąpiła posępnemu zmarszczeniu brwi. – Nie jestem pewien – wymamrotał – ale nie sądzę, żebyś ty...

– Cóż, jestem tutaj. – Tas stoczył się z pękatego cielska Caramona i wylądował na kocich łbach pod nim. Gdziekolwiek jest to „tutaj” – mruknął pod nosem. Chodź, pomogę ci – powiedział do Caramona, wyciągając małą rączkę i mając nadzieję, że ten gest oderwie uwagę Caramona od niego samego. Tas nie wiedział, czy może zostać odesłany z powrotem, ale nie zamierzał się tego dowiadywać.

Caramon z wysiłkiem próbował podnieść się. Ze wszech miar przypominał przewróconego zółwia, pomyślał Tas z chichotem. Wtedy właśnie kender zauważył, że Caramon jest ubrany zupełnie inaczej niż wtedy, gdy opuszczali Wieżę. Wtedy miał na sobie własną zbroję (tyle, ile wlaźło na niego) i luźną koszulę z dobrego sukna, uszytą z czułą troską przez Tikę.

Teraz odziany był w szorstkie, byle jak zszyte płótno. Z ramion zwisała mu prymitywna, skórzana kamizela. Może kiedyś miała guziki, lecz jeśli nawet, wszystkie dawno po – jdpadały.

Tas pomyślał, że guziki i tak nie były potrzebne, bowiem nie było mowy o tym, by kamizela rozciągnęła się wystarczająco, by przykryć wiszący kałdun Caramona. Workowate, skórzane gacie i połatane buciory z wielką dziurą na jednym palcu dopełniały niechlujnego widoku.

– Faj! – mruknął Caramon, węsząc. – Co to za okropny smród?

– To ty – powiedział Tas, zatykając nos i machając ręką, jakby to mogło rozwiać odór. Caramon cuchnął krasnoludzką gorzałką! Kender przyjrzał mu się uważnie. Caramon był trzeźwy, kiedy wyruszyli i z całą pewnością teraz też sprawiał wrażenie trzeźwego. Stał prosto, bez chwiania się, a jego oczy, choć zdezorientowane, były przytomne.

Wielki mężczyzna spuścił głowę i po raz pierwszy zobaczył jak wygląda.

– Co? Jak? – spytał osłupiały.

– Myślałem, że magów stać na coś lepszego! stwierdził niepochlebnie Tas, przyglądając się ze wstrętem strojowi Caramona. – To znaczy, wiem, że pewno ubrania kiepsko wychodzą w tym zakłęciu, ale z pewnością...

Wtedy coś mu nagle przyszło do głowy. Ze strachem Tas spojrzał na swoje ubranie, po czym odetchnął z ulgą. Jemu nic się nie stało. Nawet miał wszystkie sakiewki, absolutnie wszystkie, nienaruszone. Dokuczliwy głos w duchu wypomniał mu, że to pewno dlatego, że jego tu miało wcale nie być, ale kender beztrząsco zlekceważył głos.

– Cóż, chodźmy się rozejrzeć – powiedział wesoło Tas, dopasowując czyny do swych słów. Już od dawna, po zapachu, domyślił się gdzie są: w zaułku. Kender zmarszczył nos. A jemu się wydawało, że to Caramon brzydko pachniał! Pełen odpadków i wszelkiego rodzaju śmieci zaułek był ciemny, pograżony w mroku wielkiego budynku z kamienia. Jednak kiedy Tas zerknął na koniec zaułka, gdzie widać było zatłoczoną, ruchliwą ulicę, pełną kręcących się ludzi, zobaczył, że był dzień.

– Wydaje mi się, że to rynek – powiedział z zainteresowaniem Tas, ruszając w stronę wyjścia z zaułka, by się przekonać. – Do jakiego miasta nas wysłano?

– Istar – usłyszał z tyłu mamrotanie Caramona. A potem: – Tas!

Słyszając wystraszony głos Caramona, kender odwrócił się szybko, sięgając natychmiast po nożyk, który nosił za paskiem. Caramon klęczał przy kimś, kto leżał na bruku.

– Co tam? – spytał Tas, biegnąc z powrotem.

– Pani Crysania – rzekł Caramon, podnosząc ciemny płaszcz.

– Caramonie! – Tas jęknął z przerażeniem. – Co oni jej zrobili? Czy czary się nie powiodły?

– Nie wiem – powiedział cicho Caramon – ale musimy sprowadzić pomoc. – Starannie zasłonił peleryną posiniaczoną i okrwawioną twarz kobiety.

– Ja pójdę – zaproponował Tas. – Ty zostań tu z nią. To mi nie wygląda na najlepszą dzielnicę miasta, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Aha – rzekł Caramon, wdychając ciężko.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł Tas, poklepując pocieszająco wielkiego mężczyznę po ramieniu. Caramon pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Klepnąwszy go na odchodne, Tas odwrócił się i pobiegł w stronę ulicy. Kiedy dotarł do niej, wyskoczył na chodnik.

– Na po... – zaczął, lecz wtedy czyjaś ręka złapała go żelaznym uściskiem i podniosła nad powierzchnią chodnika.

– A ty gdzie się wybierasz? – spytał srogi głos. Tas wykręcił się i dostrzegł przyglądającego mu się ciemnymi, zimnymi oczyma brodatego mężczyznę. Część jego twarzy zasłaniała błyszcząca przyłbica.

Strażnik miejski, szybko zdał sobie sprawę kender, który często miewał do czynienia z tymi osobistościami urzędowymi.

– Właśnie zamierzałem pana sprowadzić – rzekł Tas, usiłując wyrwać mu się i jednocześnie robić niewinną minę.

– To dopiero historyjka z ust kendera! – parsknął strażnik, jeszcze mocniej ściskając Tasa. – Jedno jest pewne: to byłoby historyczne wydarzenie na Krynnie, gdyby to była prawda!

– Ale to jest prawda – powiedział Tas, posyłając mężczyźnie obrażone i wrogie spojrzenie. – Tam jest ranna nasza przyjaciółka.

Zobaczył, że strażnik spogląda na człowieka, którego wcześniej nie zauważył – kapłana odzianego w białe szaty. Tas rozpromienił się. – Och, kapłan? Jak...

Strażnik zatkał dłonią usta kenderowi.

– Co o tym myślisz, Denubie? To Zaulek Żebraków. Pewnie ktoś kogoś dźgnął nożem, zwykłe złodziejskie porachunki.

Kapłan był mężczyzną w średnim wieku o przerzedzonych włosach i melancholijnej, poważnej twarzy. Tas zobaczył, że mężczyzna rozgląda się po rynku i potrząsa głową.

– Mroczny powiedział, że na skrzyżowaniu – i oto jest – w każdym razie dość blisko. Powinniśmy to zbadać.

– Zgoda. – Strażnik wzruszył ramionami. Wyznaczywszy dwóch ze swych ludzi, obserwował, jak ostrożnie zagłębiali się w brudny zaułek. Zasłaniał dłonią usta kenderowi, który wydał żałosny pisk.

Kapłan, z niepokojem obserwujący strażników, obejrzał się.

– Pozwól mu odetchnąć, kapitanie – powiedział.

– Będziemy musieli słuchać jego trajkotania – burknął poirytowany kapitan, lecz zdjął dłoń z ust Tasa.

– Będzie cicho, prawda? – spytał kapłan, spoglądając na Tasa oczyma, które były serdeczne w zamyślony sposób.

– On zdaje sobie sprawę, jakie to ważne, prawda?

Nie mając całkowitej pewności, czy kapłan zwraca się do niego, do kapitana, czy do nich



obu, Tas uznał, że najlepiej będzie przytakująco pokiwać głową. Zadowolony kapłan odwrócił się, by znów obserwować straż. Tas wystarczająco wykręcił się z uścisku kapitana, żeby też móc po – patrzeć. Zobaczył, że Caramon wstaje, wskazując na ciemny, niekształtny toboł leżący obok niego. Jeden ze strażników przykląkł i odsunął płaszcz.

– Kapitanie! – krzyknął, a drugi strażnik natychmiast złapał Caramona. Zaskoczony i rozgniewany tym obcesowym potraktowaniem ogromny mężczyzna wyszarpnął się. Strażnik krzyknął i jego towarzysz podniósł się. Błysnęła stal.

– Do licha! – zaklął kapitan. – Masz, pilnuj tego małego drania, Denubisie! – Pchnął Tasslehoffa w kierunku kapłana.

– Czy nie powinienem pójść? – zaprotestował Denubis, chwytając Tasa, kiedy kender wpadł na niego.

– Nie! – Kapitan już biegł w głąb zaułka, wyciągnawszy krótki miecz. Tas usłyszał, że mamrocze coś jakby „wielkie bydlę... niebezpieczny”.

– Caramon nie jest niebezpieczny – zaprotestował Tas, spoglądając z z troskaniem na kapłana zwanego Denubisem. – Oni nie zrobią mi krzywdy, prawda? Co się stało?

– Przypuszczam, że wkrótce się dowiemy – rzekł Denubis surowo, lecz trzymał Tasa tak delikatnie, że kender mógłby z łatwością mu się wyrwać. Początkowo Tas zastanawiał się nad ucieczką – nie ma na to lepszego miejsca na świecie niż duży, miejski rynek. Myśl ta jednakże była odruchem, podobnie jak wyszarpięcie się Caramona z rąk straży. Tas nie mógł zostawić przyjaciela.

– Nie skrzywdzą go, jeśli pójdzie po dobroci. – Denubis westchnął. – Choć jeśli uczynił... – Kapłan zadrżał i zamilkł na chwilę. – Cóż, jeśli to zrobił, tutaj mógłby znaleźć łatwiejszą śmierć.

– Co zrobił? – Tas czuł się coraz bardziej zbity z tropu. Caramon również sprawiał wrażenie zdezorientowanego, Tas dostrzegł bowiem, jak podnosi ręce gestem protestu i niewinności.

Jednakże kiedy wielki mężczyzna sprzeciwiał się, jeden ze strażników zaszedł go od tyłu i uderzył pod kolanami drzewcem włóczni. Nogi pod Caramonem się ugięły. Kiedy się zachwiał, strażnik z przodu powalił go na ziemię niemal nonszalanckim ciosem w pierś.

Caramon nie zdążył jeszcze upaść na chodnik, gdy już miał grot włóczni na gardle. Bezradnie uniósł ręce gestem poddania. Strażnicy szybko przewrócili go na brzuch i sprawnie związali mu ręce na plecach.

– Każ im przestać! – krzyknął Tas, rwąc się do przodu. – Nie mogą tego zrobić...

Kapłan złapał go. – Nie, mój mały przyjacielu, lepiej będzie, jeśli zostaniesz ze mną – rzekł Denubis, łagodnie chwytając Tasa za ramiona. – Nie możesz mu pomóc, a próbując tylko pogorszysz swoją sytuację.

Strażnicy gwałtownie postawili Caramona na nogi i zaczęli go dokładnie obszukiwać, wsadzając dłonie nawet do jego skórzanych spodni. Znaleźli sztylet za paskiem – podali go

kapitanowi – i jakąś flaszkę. Wyciągnąwszy korek, powąchali zawartość, po czym z odrazą wyrzucili butelkę.

Jeden ze strażników wskazał na ciemny kształt na chodniku. Kapitan przykląkł i podniósł płaszcz. Tas zobaczył, jak kręci głowę. Potem kapitan, z pomocą drugiego strażnika, ostrożnie uniósł tobół i ruszył w stronę wyjścia z zaułku. Mijając Caramona, powiedział coś do niego. Dla Tasa wulgarnie słowo, jakie usłyszał, było niesamowitym wstrząsem; dla Caramona najwyraźniej również, bo ogromny mężczyzna zbladł jak trup.

Zerknąwszy na Denubisa, Tas dostrzegł, że kapłan zaciska wargi, a jego palce na ramionach Tasa zadrżały.

Wtedy Tas zrozumiał.

– Nie – szepnął cicho w udręce. – Och, nie! Nie mogą tak myśleć! Caramon nie skrzywdziłby nawet muchy! Nie zrobił krzywdy pani Crysanii! On tylko próbował jej pomóc! Dlatego przybyliśmy tutaj. W każdym razie to był jeden z powodów. Proszę! – Tas szybko odwrócił się do Denubisa, składając dłonie. – Musicie mi uwierzyć! Caramon jest żołnierzem. Zabijał – to jasne. Ale tylko pa – skudne istoty, jak smokowców i gobliny. Proszę, proszę uwierzcie mi!

Denubis tylko zmierzył go srogim wzrokiem.

– Jak mogliście coś takiego pomyśleć! Nienawidzę tego miejsca! Chcę do domu! – krzyknął załośnie Tas, widząc zdezorientowaną minę Caramona. Wybuchnąwszy płaczem, kender ukrył twarz w dłoniach i szlochał gorzko.

Wtedy Tas poczuł dłoń dotykającą go z wahaniem, a potem poklepującą łagodnie.

– Już dobrze, dobrze – mówił Denubis. – Będiesz miał okazję opowiedzieć swoją historię. Twój przyjaciel również. A jeśli jesteście niewinni, nie stanie się wam żadna krzywda. – Tas jednak usłyszał westchnienie kapłana. Twój przyjaciel pił, prawda?

– Nie! – Tas pociągnął nosem, patrząc na Denubisa błagalnie. – Ani kropelki, przysięgam...

Zamilkł jednak na widok Caramona, gdy strażnicy wyprowadzili go z zaułku na ulicę, gdzie stał Tas z kapłanem. Twarz Caramona była wysmarowana błotem i odpadkami z zaułku, a z rozciętej wargi sączyła się krew. Oczy miał nieobecne i pełne strachu. Ślady minionych pijatyk dało się wyraźnie widzieć w nalanych, czerwonych policzkach i drżących rękach. Z tłumu, gromadzącego się na widok straży, zaczęły padać szydercze słowa.

Tas zwiesił głowę. Co ten Par-Salian zrobił? zastanawiał się, zбитy z tropu. Czyżby coś się nie powiodło? Może nie są nawet w Istar? Może gdzieś się zagubili? A może to tylko jakiś straszny koszmar...

– Kto – Co się stało? – Denubis spytał kapitana. – Czy Mroczny miał rację?

– Rację? Oczywiście, że miał. Czy słyszałeś kiedykolwiek, żeby się omylił? – warknął kapitan. – A co do tego, kto – nie wiem, kim ona jest, ale należy do waszego zakonu. Nosi na

szy medalion Paladine'a. Jest poważnie ranna. Prawdę mówiąc, sądziłem, że nie żyje, ale wyczuwam słabe tętno na jej szyi.

– Czy sądzisz, że została... została... – Denubis zająknął się.

– Nie wiem – odparł ponuro kapitan. – Została jednak pobita. Myślę, że dostała jakiegoś ataku. Ma szeroko rozwarte oczy, ale zdaje się nie widzieć ani nie słyszeć niczego.

– Musimy natychmiast przenieść ją do świątyni – powiedział rzeczowo Denubis, choć Tas wyczuł drżenie w jego głosie. Straż rozpedzała gawiedź, trzymając włócznie przed sobą i odpychając wścibskich.

– Wszystko pod kontrolą. Rozejść się, rozejść się. Rynek za chwilę zostanie zamknięty. Skończcie lepiej zakupy, póki macie jeszcze czas.

– Ja jej nie skrzywdziłem! – powiedział żałośnie Caramon, trzęsąc się ze strachu. – Ja jej nie skrzywdziłem – powtarzał, a łzy spływały mu po twarzy.

– Akurat! – odparł z goryczą kapitan. – Zabierzcie tych dwóch do więzienia – rozkazał strażnikom.

Tas zaszlochał. Jeden ze strażników chwycił go brutalnie, ale kender – oszołomiony i ogłupiały – złapał Denubisą za szatę i nie chciał wypuścić. Kapłan, który położył dłoń na martwej postaci pani Crysanii, odwrócił się, gdy poczuł wczepiające się w niego dłonie kendera.

– Proszę – błagał Tas – proszę, on mówi prawdę. Surowa twarz Denubisa złagodniała. – Jesteś wiernym przyjacielem – powiedział serdecznie. – To raczej niecodzienna cecha u kendera. Mam nadzieję, że ufność, jaką pokładasz w tym człowieku jest usprawiedliwiona. – Kapłan głaskał kitkę Tasa z roztargnieniem i smutkiem na twarzy. – Musisz jednak zdawać sobie sprawę, że czasami, kiedy człowiek pije, alkohol skłania go do robienia rzeczy...

– Hej, ty, chodź już! – warknął strażnik, szarpiąc Tasa. – Przestań się zgrywać. Na nic ci się to nie zda.

– Nie przejmuj się tym, wielbny synu – powiedział kapitan. – Znasz kenderów!

– Tak – odparł Denubis, przyglądając się Tasowi, gdy dwóch strażników prowadziło kendera i Caramona przez szybko rzednący tłum na rynku. – Rzeczywiście znam kenderów. Ale ten jest wyjątkowy. – Potem, potrząsnąwszy głową, kapłan przeniósł ponownie uwagę na Crysanię. Jeśli zechcesz nadal ją trzymać, kapitanie – powiedział cicho – poproszę Paladine'a, by czym prędzej przeniósł nas do świątyni.

Wykręcając się w uścisku strażnika, Tas zobaczył, że kapłan i kapitan straży stoją samotni na rynku. Potem błysnęło białe światło i znikli.

Tas mrugnął i, zapominając o patrzeniu pod nogi, potknął się. Upadł na brukowaną kocimi łbami ulicę, obcierając sobie boleśnie kolana i dłonie. Mocne szarpnięcie za kołnierz postawiło go na nogi, a silna ręka pchnęła go w plecy.

– Idź przed siebie. Żadnych sztuczek.

Tas ruszył naprzód, zbyt roztrzęsiony i rozżalony, by nawet się rozglądać. Spojrzał na Caramona i poczuł, że mu się serce ściska. Przytłoczony wstydem i lękiem, Caramon chwiejnym krokiem brnął na oślep.

– Ja jej nie skrzywdziłem! – Tas usłyszał jego mamrotanie. – To jakieś nieporozumienie...

## ***Rozdział II***

Piękne elfie głosy wznosiły się coraz wyżej, a ich słodkie nuty pięły się spiralami po oktawach, jakby chciały zanieść modlitwy ku niebiosom, idąc po prostu po skalach. Twarze elfich kobiet opromienione zachodzącym słońcem, którego blask wpadał z ukosa przez wysokie okna z kryształowymi szybami, były zabarwione delikatnym różem, a ich oczy pałały żarliwym natchnieniem.

Słuchający śpiewu pielgrzymi płakali ze wzruszenia, tak że białe i błękitne szaty chóru – białe wielebnych córek Paladine'a i niebieskie córek Mishakal – rozmywały im się w oczach. Wielu później przysięgało, że widziało wniebowstąpienie elfich kobiet spowitych w puchate obłoki.

Kiedy ich pieśń osiągnęła crescendo słodczy, przyłączył się chór męskich głosów, przytrzymujących przy ziemi modły, które rwały się w niebo niczym uwolnione ptaki można by powiedzieć, przycinających im skrzydła, pomyślał zgryźliwie Denubis. Pewno dlatego, że nie była to dla niego pierwszozna. Będąc młodzieńcem, również oczyścił swą duszę łzami, kiedy po raz pierwszy usłyszał hymn wieczorny. Potem, wiele lat później, stało się to rutyną. Dobrze pamiętał wstrząs, jakiego doznał, gdy po raz pierwszy stwierdził, iż jego myśli podczas śpiewu powędrowały ku jakiejś nagłej sprawie kościoła. Teraz śpiew ten był gorszy niż zwykle. Stał się irytujący, mdląco słodki i drażnił go. Prawdę mówiąc, Denubis zaczął obawiać się tej pory dnia i korzystał z każdej nadarzającej się okazji ucieczki.

Dlaczego? W dużej mierze winą obarczał elfie kobiety. Uprzedzenia rasowe, mówił markotnie. A jednak nic na to nie mógł poradzić. Co roku grupa elfich kobiet, wielebnych córek i nowicjuszek, wyruszała w podróż z cudownej krainy Silvanesti, by spędzić rok w Istar, poświęcając się kościołowi. Oznaczało to, że co noc śpiewały wieczorny hymn, a przez cały dzień przypominały wszystkim wokół, że elfowie są ulubieńcami bogów – stworzonymi jako pierwsi spośród wszystkich ras i obdarzonymi setkami lat życia. Mimo to nikt, oprócz Denubisa, nie obrażał się z tego powodu.

Dzisiejszego wieczoru śpiew szczególnie drażnił Denubisa, bowiem kapłan martwił się o młodą kobietę, którą tego poranka przyniósł do świątyni. W samej rzeczy omal nie udało mu się uniknąć przyjscia tutaj, lecz w ostatnim momencie przyłapał go Gerald, stary kapłan – człowiek, którego dni na Krynnie były policzone i który czerpał największą przyjemność z uczestniczenia w wieczornych modłach. Denubis uważał, iż pewnie dlatego, że staruszek był niemal zupełnie głuchy. Z tego powodu nie sposób było wyjaśnić Geraldowi, że on sam – Denubis – musi pójść gdzie indziej. Wreszcie Denubis zrezygnował i podał staremu kapłanowi ramię, aby się na nim wsparł. Teraz Gerald stał obok niego z pełną ekstazą, niewątpliwie

wyobrażając sobie tę piękną płaszczyznę, na którą i on któregoś dnia się wzniesie.

Denubis rozmyślał o tym i o młodej kobiecie, której nie widział, ani o której nie miał żadnej wiadomości od chwili, gdy przyniósł ją do świątyni tego poranka. Nagle poczuł łagodny dotyk na swym ramieniu. Kapłan podskoczył i ro – zejrzał się z poczuciem winy, zastanawiając się, czy ktoś nie zauważył jego nieuwagi i nie złoży na niego donosu. Początkowo nie mógł się domyślić, kto go dotknął, bowiem obaj jego sąsiedzi sprawiali wrażenie pogrążonych w modlitwie. Potem znów poczuł dotyk i zorientował się, że pochodził z tyłu. Obejrzał się i dostrzegł rękę wysuwającą się niezauważalnie przez zasłonę oddzielającą balkon, na którym stali wielebni synowie, od przedsionka.

Ręka kiwała do niego, więc zdumiony Denubis opuścił swe miejsce w szeregu, niezdarnie zmagając się z zasłoną i starając się wyjść tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Ręka cofnęła się, a Denubis nie umiał znaleźć rozcięcia w fałdach ciężkich, aksamitnych zasłon. Wreszcie, kiedy był już pewien, że wszyscy obecni pielgrzymi muszą mu się przyglądać z niesmakiem, znalazł otwór i wypadł na zewnątrz.

Młody akolita, o twarzy gładkiej i spokojnej, skłonił się zaczerwienionemu i spoconemu kapłanowi, jakby wszystko było w porządku.

– Wybacz, że zakłócam twe wieczorne modły, wielebny synu, lecz król-kapłan życzy sobie, byś zaszczyił go kilkoma chwilami swego czasu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Akolita wypowiedział przepisowe słowa z taką niewymuszoną uprzejmością, że obserwatorowi nie wydawałoby się niczym dziwnym, gdyby Denubis odparł: Nie, nie teraz. W tej chwili mam ważniejsze sprawy. Może później?

Denubis jednakże nie powiedział niczego takiego. Zbladł wyraźnie i wymamrotał, że „to dla niego wielki zaszczyt”, głosem, który zamarł pod koniec. Jednakże akolita był przyzwyczajony do tego i, skinąwszy głową, zawrócił. Poprowadził Denubisa przez przestronne i kręte korytarze świątyni do siedziby króla-kapłana Istar.

Spiesząc za młodzieńcem, Denubis nie miał potrzeby zastanawiać się, o co szło. Oczywiście, o tę młodą kobietę. Od ponad dwóch lat nie stał przed obliczem króla-kapłana i nie mogło być przypadkiem to, iż został wezwany właśnie tego dnia, gdy znalazł w zaułku bliską śmierci wielebną córkę.

Może umarła, pomyślał ze smutkiem Denubis. Król-kapłan zamierza powiedzieć mi to osobiście. Z pewnością byłoby to miłe z jego strony. Być może nie wypada to osobie mającej na głowie tak ważne sprawy jak los państwa, niemniej jednak to bardzo miłe.

Miał nadzieję, że kobieta nie umarła. Nie tylko ze względu na nią, lecz także na tego człowieka i kendera. Denubis dużo myślał również o nich. Szczególnie o kenderze. Jak wielu ludzi na Krynnie, nie przepadał za kenderami, którzy nie mieli za grosz szacunku dla prywatnej własności – tak własnej, jak i cudzej. Jednakże ten kender sprawiał inne wrażenie. Większość

kenderów, których Denubis znał (albo wydawało mu się, że zna), uciekłyby przy pierwszej oznace kłopotów. Ten zaś został przy swoim dużym przyjacielu i nawet z wzruszającą wiernością przemawiał w jego obronie.

Denubis pokręcił głową ze smutkiem. Jeśli dziewczyna umarła, staną w obliczu... Nie, nie mógł o tym myśleć. Mruczając szczerą modlitwę do Paladine'a o ochronę dla wszystkich (jeśli byli tego godni), Denubis oderwał się od przygnębiających myśli i starał się podziwiać splendor prywatnej rezydencji króla-kapłana w świątyni.

Zapomniał o jej pięknie – mlecznobiałych ścianach jarzących się własnym, delikatnym światłem, które promieniowało – jak głosiła legenda – z samych kamieni. Tak były delikatnie obrobione i wyciosane, że połyskiwały niczym wielkie płatki białej róży, wznoszące się z wypolerowanej, białej posadzki. Przecinały je blade żyłki lekkiego błękitu, który łagodził surowość absolutnej bieli.

Cuda korytarza ustąpiły urodzie przedsionka. Tu ściany wznosiły się wysoko ku górze, podtrzymując kopułę sklepienia niczym dłonie śmiertelnika uniesione do bogów. Freski przedstawiające bogów, namalowane pastelowymi kolorami, również zdawały się promieniować własnym światłem: Paladine, Platynowy Smok, Bóg Dobra; Gilean od Księgi, Bóg Neutralności; nawet Królowa Ciemności – bowiem królkapłan nie obraziłby jawnie żadnego bóstwa. Namalowano ją jako pięciogłowego smoka, lecz tak potulnego i nieszkodliwego, iż Denubis dziwił się, że nie odwróciła się brzuchem do góry i nie lizała stóp Paladine'owi.

Taka myśl nasunęła mu się później. W tej chwili był zbyt zdenerwowany, by nawet przyglądać się cudownym malowidłom. Utkwił wzrok w platynowych wrotach prześwietnej roboty, które wiodły do samego serca świątyni.

Drzwi otworzyły się, a zza nich padł cudowny blask. Nadszedł czas jego audyencji.

Sala audiencyjna w pierwszym momencie uświadamiała nowo przybyłym ich pokorę. Oto serce dobra, chwała i potęga kościoła. Drzwi otworzyły się, ukazując wielką, okrągłą salę z posadzką z polerowanego białego granitu. Posadzka i ściany tworzyły płatki gigantycznej róży, która strzelała w niebo, by podtrzymać olbrzymią kopułę. Sama kopuła, była z matowego kryształu, pochłaniała blask słońca i księżyców. Ich poświata wypełniała każdy zakątek komnaty.

Wielka, wygięta w łuk fala błękitu morskiej piany wiodła od środka posadzki do alkowy znajdującej się naprzeciwko drzwi. Stał w niej pojedynczy tron. Blask i ciepło bijące od niego były jaskrawsze niżli blask padający z kopuły.

Denubis wszedł do komnaty z przepisowo spuszczoną głową i złożonymi przed sobą dłońmi. Był wieczór i słońce już zaszło. Korytarz, którym szedł, był oświetlony wyłącznie świecami. Lecz, jak zawsze, Denubis odniósł przemożne wrażenie, że wyszedł na otwarty dziedziniec, skąpany w świetle słonecznym.

I rzeczywiście, na chwilę blask oślepił jego oczy. Trzymając wzrok należycie spuszczoney,

póki nie otrzyma pozwolenia, by go ponieść, dostrzegał przelotnie posadzkę, przedmioty i ludzi w sali. Dostrzegał schody, po których wchodził. Jednakże blask bijący ze środka pokoju był tak wspaniały, że nie widział niczego innego.

– Wzniesь oczy, wielbny synu Paladine’a – odezwał się głos, którego melodyjność sprawiła, że Denubisowi łzy stanęły w oczach, choć nawet przecudne głosy elfich kobiet już nie były w stanie go wzruszyć.

Denubis podniósł oczy i dusza w nim zadrżała z lęku i podziwu. Minęły dwa lata, odkąd był tak blisko króla-kapłana, i czas zatarł wspomnienia. Co innego widzieć go tak z oddali każdego poranka – widzieć go jak widuje się wstające na horyzoncie słońce, wygrzewać się w jego ciepłe i czerpać otuchę z jego światła. Co innego być wezwanym przed oblicze słońca, stać przed nim i czuć, jak czystość i promienność jego blasku rozpała mu duszę.

Tym razem zapamiętam, upomniał się srogo Denubis. Nikt jednakże, wracając z audyencji u króla-kapłana, nie potrafi dokładnie przypomnieć sobie jego wyglądu. Prawdę mówiąc, sama próba wydawała się świętokradztwem jakby myślenie o nim w kategoriach pospolitego ciała było bluźnierstwem. Jedyne, co wszystkim zostawało w pamięci, to wrażenie, iż przebywali w obecności kogoś niewiarygodnie pięknego.

Aureola światła otoczyła Denubisa i natychmiast zaczęło go gryźć okrutne poczucie winy z powodu jego wątpliwości, nieufności i pytań. Przez kontrast z królem-kapłanem Denubis widział siebie jako najędzniejszą istotę na Krynnie. Padł na kolana, błagając o wybaczenie, niemal nieświadom tego, co czyni, wiedząc jedynie, że tak powinien postąpić.

I otrzymał wybaczenie. Odezwał się melodyjny głos i Denubisa natychmiast przepęłniło uczucie opanowania i słodkiego spokoju. Wstał, stanął przed królem-kapłanem z pokorną czcią i błagał, by powiedziano mu, jak może mu służyć. – Sprowadziłeś dziś rano do świątyni pewną młodą kobietę, wielbną córkę Paladine’a – rzekł głos – i rozumiemy, że byłeś o nią zatroskany. To jest naturalne i jak najbardziej tobie przystoi. Pomyśleliśmy, że pociechą dla ciebie będzie dowiedzieć się, że w pełni wróciła do zdrowia po strasznych przeżyciach. Może również ukoi twe myśli, Denubisie, ukochany synu Paladine’a fakt, iż nie została fizycznie skrzywdzona.

Denubis złożył dzięki Paladine’owi za powrót młodej kobiety do zdrowia i właśnie zamierzał odsunąć się na bok, by przez kilka chwil pławić się w cudownym blasku, gdy dotarło do niego pełne znaczenie słów króla-kapłana.

– N-nie napadnięto jej? – zdołał wyjąkać Denubis.

– Nie, mój synu – odrzekł głos, który brzmiał jak radosny hymn. – Paladine w swej nieskończonej mądrości zabrał jej duszę do siebie, a mnie się udało, po wielu długich godzinach modłów, przekonać go, by zwrócił nam taki skarb, bowiem przedwcześnie została wyrwana ze swego ciała. Ta młoda kobieta zażywa teraz ożywczego snu.

– A te ślady na jej twarzy? – zaprotestował zdezorientowany Denubis. – Krew...



– Nie było żadnych śladów – powiedział król-kapłan łagodnie, lecz z nutą wyrzutu, która sprawiła, iż Denubis poczuł się niewytłumaczalnie nędznie. – Rzekłem już, nie została fizycznie zraniona.

– R-rad jestem, że się myliłem – odrzekł szczerze Denubis. – Tym bardziej, że oznacza to, iż ten młodzieniec, którego aresztowano, jest niewinny i może odejść wolno.

– Szczerze wdzięczny jestem jak i ty, wielbny synu, wiedząc, że bratnia istota na tym świecie nie dokonała zbrodni tak plugawej, jak początkowo się obawiano. Niemniej jednak, któż wśród nas jest prawdziwie bez winy?

Melodyjny głos ucichł i zdawał się czekać na odpowiedź. I odpowiedzi padły. Denubis usłyszał zewsząd dookoła szepty udzielające właściwej odpowiedzi i dopiero wtedy dotarło do jego świadomości to, że w pobliżu tronu są obecni także inni. Taki był wpływ króla-kapłana, że Denubis niemal uwierzył, iż znajduje się z nim sam na sam.

Denubis wymamrotał odpowiedź na owo pytanie i nagle wyczuł bez słów, że może odejść sprzed oblicza czcigodnej osoby. Blask już nie padał bezpośrednio na niego, tylko na kogoś innego. Czując się, jakby wszedł z jaskrawego słońca w cień, na wpół oślepiiony kapłan zszedł chwiejnym krokiem po schodach. Tam, na głównym podeście, mógł odsapnąć, odprężyć się i rozejrzeć.

Król-kapłan siedział na końcu komnaty, spowity blaskiem. Denubisowi wydawało się, że jego oczy powoli przyzwyczajają się do światła, wreszcie zaczynał bowiem rozpoznawać obecnych. Byli tu przełożeni rozmaitych zakonów – wielbni synowie i wielbne córki. Zwani żartem „dłońmi i stopami słońca”, to właśnie oni zajmowali się przyziemnymi, codziennymi sprawami kościoła. To oni zarządzili Krynem. Poza urzędnikami kościoła byli tam jednak również inni. Spojrzenie Denubisa przyciągnął kąt sali, jak się zdawało, jedyny kąt pograżony w cieniu.

Siedziała tam postać odziana na czarno, której ciemność przytłoczył blask króla-kapłana. Jednak Denubis odniósł wyraźne wrażenie, że ciemność czekała przyczajona, wiedząc, że kiedyś – wreszcie – słońce musi zajść.

Świadomość, że Mroczny, jak na dworze nazywano Fistantilusa, na wstęp do sali audiencyjnej króla-kapłana, była wstrząsem dla Denubisa. Król-kapłan próbował oczyścić świat ze zła, a ono jest tu – na jego dworze! Wtedy Denubisa nawiedziła pocieszająca myśl: być może kiedy świat będzie całkowicie wolny od zła, kiedy zostanie usunięta ostatnia rasa ogrów, być może Fistantilus również upadnie.

Jednakże kiedy o tym pomyślał i uśmiechnął się do swej myśli, Denubis dostrzegł zimny błysk oczu maga, które skierowały się ku niemu. Denubis zadrzał i pośpiesznie odwrócił wzrok. Jakież kontrast istnieje pomiędzy tym człowiekiem a królem-kapłanem! Pławiąc się w blasku króla-kapłana, Denubis czuł się spokojny i odprężony. Kiedy jego oczy napotykały wzrok Fistantilusa, z całą siłą przypominał mu o mroku w jego własnym wnętrzu.

Mierzony spojrzeniem tych oczu, niespodziewanie zaczął zastanawiać się, co król-kapłan miał na myśli, wypowiadając to szczególne stwierdzenie: „któż z nas jest prawdziwie bez winy?” Zdjęty niemiłym wrażeniem Denubis wszedł do przedsionka, gdzie stał gigantyczny stół bankietowy.

Zapach obfitego, egzotycznego jadła, sprowadzonego z każdego zakątka Ansalonu przez wiernych pielgrzymów, bądź zakupionego na olbrzymich targach pod gołym niebem w miastach tak odległych, jak Xak Tsaroth, sprawił, że Denubis przypomniał sobie, iż nie miał w ustach niczego od samego rana. Wziąwszy talerz, zaczął chodzić wokół stołu wśród cudownych dań, wybierając to i tamto, aż napełnił talerz choć dotarł zaledwie do połowy stołu, który dosłownie ugiął się pod swym wonnym ciężarem.

Służący roznosił puchary aromatycznego, elfiego wina. Biorąc jeden z nich i balansując talerzem oraz sztuczkami w jednej dłoni, a kielichem wina w drugiej, Denubis usiadł na krześle i ze smakiem zabrał się do jedzenia. Właśnie rozkoszował się niebiańskim połączeniem pieczonego bażanta i smakiem elfiego wina, gdy na jego talerz padł cień.

Denubis podniósł wzrok, zakrzuszył się i pośpiesznie przełknął, z zażenowaniem wycierając wino, które pociekło mu po brodzie.

– W-wielebny synu – wyjąkał, czyniąc niezdarny wysiłek, by wstać na znak szacunku, jaki należy być przełożonemu braci.

Quarath przyglądał mu się ze zgrzyźliwym rozbawieniem i leniwie machnął dłonią. – Proszę, wielebny synu, nie przeszkadzaj sobie. Nie mam zamiaru przerywać ci kolacji. Chciałem jedynie zamienić z tobą słowo. Być może, kiedy skończysz...

– Już... właśnie skończyłem – rzekł pośpiesznie Denubis, podając w połowie pełny talerz i kieliszek przechodzącemu obok służącemu. – Nie jestem aż tak głodny, jak sądziłem. – Przynajmniej to była prawda. Całkiem stracił apetyt.

Quarath uśmiechnął się delikatnie. Jego szczupła, elfia twarz o pięknych rysach zdawała się być wykonana z kruchej porcelany. Uśmiechał się zawsze tak ostrożnie, jakby obawiał się, że twarz może mu się potłuc.

– Cóż, nie kuszą cię desery?

– N-nie, w najmniejszym stopniu. Słodycze... są złe na trawienie o t-tak późnej porze...

– W takim razie, chodź ze mną, wielebny synu. Dawno nie rozmawialiśmy. – Quarath wziął Denubisa pod ramię ze swobodną poufałością, choć minęły miesiące, odkąd kapłan widział swego przełożonego.

Najpierw król-kapłan, teraz Quarath. Denubis poczuł zimną grudę w dołku. Kiedy Quarath wyprowadzał go z sali audiencyjnej, melodyjny głos króla-kapłana zabrzmiał głośniejsze. Denubis obejrzał się, pławiąc się jeszcze przez chwilę w tym cudownym świetle. Wtedy, gdy odwracał oczy z westchnieniem, jego spojrzenie padło na czarodzieja w czarnych szatach. Fistantilus

uśmiechnął się i pokiwał głową. Wzdrygnąwszy się, Denubis szybko wyszedł na zewnątrz w towarzystwie Quaratha.

Dwaj kapłani szli przepysnie zdobionymi korytarzami, aż dotarli do małej komnaty należącej do Quaratha. Jej wnętrze również było wspaniale zdobione, lecz Denubis był zbyt zdenerwowany, by zauważyć jakiegokolwiek szczegóły.

– Proszę, siądź, Denubisie. Mogę tak ciebie nazywać, skoro znaleźliśmy się sam na sam.

Denubis nie był niczego pewien, lecz teraz był przekonany, że byli sami. Siadł na brzeжку krzesła, które podsunął mu Quarath, przyjął kieliszek kordiału, którego nie wypił, i czekał. Quarath mówił przez chwilę o nieistotnych drobiazgach, wypytując o pracę Denubisa – który tłumaczył ustępy z dysków Mishakal na swój ojczysty język solamnijski – i o inne sprawy, którymi najwyraźniej nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany.

Potem, po przerwie, Quarath rzekł od niechcienia: Nie mogłem nie dosłyszeć, jak wypytujesz króla-kapłana.

Denubis odstawił kordiał na stół, a dłoń tak mu drżała, że ledwo nie wylał trunku. – Ja... ja tylko... niepokoiłem się... o tego młodego człowieka... którego omyłkowo aresztowano – wyjąkał słabo.

Quarath pokiwał głową z powagą. – I bardzo dobrze. Tak właśnie się godzi. Napisane jest, że powinniśmy troszczyć się o naszych współbraci na tym świecie. Chwała ci za to, Denubisie, i z pewnością odnotuję to w moim rocznym raporcie.

– Dziękuję, wielbny synu – wymamrotał Denubis, nie wiedząc, co jeszcze powinien powiedzieć.

Quarath nie powiedział nic więcej, tylko przyglądał się kapłanowi swymi ukośnymi, elfimi oczyma.

Denubis wytarł twarz rękawem szaty. W pokoju panował nieznośny upał. Elfowie mają taką rzadką krew.

– Czy było coś jeszcze? – spytał łagodnie Quarath. Denubis wziął głęboki oddech. – Panie – rzekł szczerze – w kwestii tego młodego człowieka. Czy zostanie wypuszczony? A kender? – Nagle naszła go pewna myśl. Pomyślałem sobie, że może mógłby pomóc sprowadzić ich na ścieżkę cnoty. Skoro ten młodzieniec jest niewinny...

– Któż z nas jest prawdziwie bez winy? – spytał Quarath, patrząc w sufit, jakby sami bogowie mogli mu tam napisać odpowiedź.

– Jestem pewien, że to bardzo dobre pytanie – stwierdził potulnie Denubis – i bez wątpienia godne zgłębiania i dyskusji, lecz ten młody człowiek jest najwyraźniej niewinny – przynajmniej tak niewinny, jak to jest możliwe.

– Denubis urwał, nieco zbity z tropu.

Quarath uśmiechnął się ze smutkiem. – Ach, sam teraz widzisz? – rzekł, rozkładając ręce

i mierząc kapłana wzrokiem. – Futro królicze przykrywa kiel wilka, jak głosi porzekadło. – Odchylając się w krzesło, Quarath ponownie spojrzął w sufit. – Ci dwaj zostaną jutro sprzedani na targu niewolników.

Denubis na w pół zerwał się z krzesła. – Co takiego? Panie...

Quarath natychmiast wbił wzrok w kapłana, przykuwając go do miejsca.

– Jakież wątpliwości? Znów?

– Ależ... on jest niewinny! – Tylko tyle Denubisowi przychodziło na myśl.

Quarath znów się uśmiechnął, tym razem pobłażliwie i ze znużeniem.

– Jesteś poczciwym człowiekiem, Denubisie. Dobrym człowiekiem i dobrym kapłanem. Może prostym, lecz dobrym. Nie była to decyzja, którą podjęliśmy pochopnie. Przesłuchaliśmy tego mężczyznę. Jego zeznania dotyczące tego, skąd przybywa i co robi w Istar, były co najmniej mętne. Jeśli nie był winny napaści na dziewczynę, bez wątpienia inne przestępstwa targają jego duszą. To można wyczytać z jego twarzy. Nie ma żadnych środków utrzymania i nie miał przy sobie pieniędzy. To włóczęga i prawdopodobnie zacząłby kraść, gdyby zostawić go samemu sobie. Czynimy mu przysługę, dając mu pana, który będzie się o niego troszczył. Z czasem zasłuży na wolność i, miejmy nadzieję, jego dusza zostanie oczyszczona z ciężaru win. A co do kendera... – Quarath machnął niedbale dłonią.

– Czy król-kapłan wie? – Denubis zebrał się na odwagę, by spytać.

Quarath westchnął i tym razem kapłan zauważył zmarszczkę irytacji na gładkim czole elfa. – Ważniejsze sprawy zajmują obecnie umysł króla-kapłana, wielebny synu Denubisie – rzekł chłodno. – On jest tak dobry, że ból cierpienia jednego człowieka wytrąciłby go z równowagi na wiele dni. Nie powiedział konkretnie, że tego mężczyznę należy uwolnić, więc po prostu zdjeliśmy ciężar tej decyzji z jego myśli.

Widząc wątpliwości pojawiające się na twarzy Denubisa, Quarath nachylił się i spojrzął na kapłana spod ściągniętych brwi. – Dobrze, Denubisie, skoro musisz wiedzieć: pewne bardzo dziwne okoliczności towarzyszyły znalezieniu tej młodej kobiety. Wielce znaczący, jak rozumiemy, był fakt, iż zostało ono zapoczątkowane przez Mrocznego.

Denubis przełknął ślinę i osunął się ponownie na krzesło. Komnata nie wydawała mu się już gorąca. Zadrzał. – To prawda – rzekł żałośnie, przecierając twarz dłonią. Spotkał się ze mną...

– Wiem! – warknął Quarath. – Powiedział mi. Ta młoda kobieta zostanie tu z nami. Jest wielebną córką. Nosi medalion Paladine'a. Ona również jest nieco zdezorientowana, lecz tego należało się spodziewać. Możemy ją mieć na oku. Niemniej jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę z tego, że nie możemy pozwolić temu młodemu człowiekowi po prostu oddalić się. W dawnych wiekach wtrącono by go do lochów i nie przejmowano się nim więcej. Jesteśmy jednak bardziej oświeceni. Zapewnimy mu przyzwoity dom i jednocześnie będziemy mogli go obserwować.

Sprzedanie człowieka w niewolę brzmi w ustach Quaratha jak dobry uczynek, pomyślał zbity z tropu Denubis. Być może tak jest. Być może się mylę. Jak powiedział, jestem prostym człowiekiem. Czując zawroty głowy, wstał z krzesła. Tłuste dania, które spożył, ciążyły mu na żołądku jak kostka brukowa. Mamrocząc przeprosiny adresowane do swego przełożonego, skierował się ku drzwiom. Quaram, z uśmiechem pojednania na twarzy, również wstał.

– Odwiedź mnie znowu, wielbny synu – rzekł, stając przy drzwiach. – I nie obawiaj się zadawać nam pytań. W taki sposób uczymy się.

Denubis pokiwał głową w otepieniu, po czym zatrzymał się. – Mam-mam w takim razie jedno pytanie – powiedział z wahaniem. – Wspomniałeś o Mrocznym. Co wiesz o nim? To znaczy, dlaczego on tu jest? On budzi we mnie lęk.

Quarath miał poważną minę, lecz nie sprawiał wrażenia niezadowolonego z tego pytania. Być może ulżyło mu, że myśli Denubisa powędrowały ku innemu tematowi. Któż może cokolwiek wiedzieć o zwyczajach czarodziejów – odparł – z wyjątkiem tego, że ich zwyczaje nie są naszymi, ani też zwyczajami bogów. Z tego powodu król-kapłan poczuł się zmuszony oczyścić z nich Ansalon w sto – pniu, w jakim było to możliwe. Teraz zabarykadowali się w jedynej Wieży Wielkiej Magii, jaka im pozostała, w odciętym od świata lesie Wayreth. Wkrótce nawet ta przepadnie, w miarę zmniejszania się ich liczby, bowiem zamknęliśmy ich szkoły. Słyszałeś o przekleścu wieży w Palanthas? Denubis pokiwał głową w milczeniu.

– Ten straszny incydent! – Quarath zmarszczył brwi.

– Jest właśnie ilustracją tego, jak bogowie przekleli czarodziejów, którzy doprowadzili tę jedną biedną duszę do takiego obłędu, że nadziała się na wrota, ściągając gniew bogów i, jak podejrzewamy, zamykając wieżę na zawsze. Ale o czym my rozmawialiśmy?

– O Fistandantilusie – wymamrotał Denubis, żałując, że poruszył ten temat. Teraz pragnął tylko wrócić do swego pokoju i zażyć proszek na żołądek.

Quarath wznosił pierzaste brwi. – Wiem o nim jedynie to, że był tu, gdy przybyłem na Krynn mniej więcej sto lat temu. Jest stary, starszy nawet niż wielu mych pobratymców, bowiem niewielu nawet spośród najstarszych z mej rasy pamięta czasy, gdy jego imienia nie wymawiano szeptem. Jest on jednak człowiekiem, więc musi używać swej czarnoksiężskiej sztuki, by przedłużyć swe życie. W jaki sposób, nie ośmielam się wyobrazić sobie. – Quarath spojrział uważnie na Denubisa. – Rozumiesz teraz, oczywiście, dlaczego król-kapłan trzyma go na dworze?

– Obawia się go? – spytał niewinnie Denubis. Porcelanowy uśmiech Quaratha zastygł na chwilę, a potem zmienił się w uśmiech rodzica objaśniającego prostą sprawę tępemu dziecku. – Nie, wielbny synu – rzekł cierpliwie.

– Fistandantilus oddaje nam wielkie przysługi. Kto lepiej zna świat? On przemierzył go wzdłuż i wszerz. Zna języki, obyczaje, każdą rasę na Krynnie. Jest wielce uczoney. Przydaje się

królowi-kapłanowi, więc pozwalamy mu przebywać tu, zamiast przepędzić go do Wayreth, jak jego kolegów.

Denubis pokiwał głową. – Rozumiem – rzekł, uśmiechając się blado. – A teraz... teraz muszę już iść. Dziękuję za gościnę, wielbny synu, i za rozwianie mych wątpliwości. Czuję się znacznie lepiej.

– Rad jestem, że mogłem pomóc – powiedział łagodnie Quarath. – Niech bogowie obdarzą cię spokojnym snem, mój synu.

– I ciebie również – wymamrotał w odpowiedzi Denubis, po czym wyszedł, słysząc z ulgą, jak drzwi zatraskują się za nim.

Kapłan spiesznie minął salę audiencyjną króla-kapłana. Spod drzwi biło światło, a dźwięki słodkiego, melodyjnego głosu szarpały jego sercem, gdy przechodził obok, lecz obawiał się, że może się pochorować, więc oparł się pokusie powrócenia.

Tęskniąc za spokojem swej zacisznej komnaty, Denubis szedł szybko przez świątynię. Raz zabłądził, na skrzyżowaniu korytarzy skręciwszy w niewłaściwą stronę, lecz uprzejmy sługa odprowadził go w kierunku, w którym powinien się udać, by dojść do tej części świątyni, w której mieszkał.

Ta część była surowa w porównaniu z tą, gdzie zamieszkiwał król-kapłan ze swym dworem, choć wedle kryńskich standardów nie brakowało wszelkich wyobraźalnych luksusów. Kiedy jednak Denubis szedł korytarzami, pomyślał o tym, jak przytulne i miłe wydawało mu się przyćmione światło świec. Inni kapłani mijali go z uśmiechem i szeptali wieczorne pozdrowienia. Tu było jego miejsce. Było proste, jak on sam.

Westchnąwszy raz jeszcze z ulgą, Denubis dotarł do swego pokoiku i nacisnął klamkę (w świątyni niczego nie zamykano na klucz – byłaby to oznaka braku zaufania wobec współbraci) i chciał wejść. Wtedy zatrzymał się. Kątem oka dostrzegł ruch, ciemny cień w jeszcze ciemniejszym mroku. Spojrzał uważnie w głąb korytarza. Nikogo tam nie było. Korytarz był pusty.

Starzeję się. Oczy płatają mi figle, powiedział sobie Denubis, potrząsając głową ze znużeniem. Wszedł do pokoju ze szmerem białych szat łopoczących wokół kostek, dokładnie zamknął drzwi, po czym sięgnął po proszek na żołądek.

### *Rozdział III*

W zamku drzwi do celi zazgrzytał klucz.

Tasslehoff zerwał się natychmiast. Białe światło zakradało się do środka przez maleńkie, zakratowane okno umieszczone wysoko w grubym, kamiennym murze. Świt, pomyślał sennie kender. Klucz znów zazgrzytał, jakby nadzorca miał kłopot z otwarciem zamka. Tas zerknął niespokojnie na Caramona po drugiej stronie celi. Wielki mężczyzna leżał na kamiennej płycie, która służyła mu za łóżko, nie poruszając się, ani nie dając znaku, że usłyszał hałas.

Zły znak, pomyślał zatroskany Tas, wiedząc, iż dobrze wyszkolony wojownik (kiedy nie jest pijany) od razu obudziłby się na dźwięk kroków za drzwiami. Caramon jednak nie poruszył się ani nie odezwał od chwili, gdy strażę przyprowadziły ich tu wczoraj. Nie chciał jeść ani pić (choć Tas zapewniał go, że tutejsze jedzenie przewyższa o klasę to, co dają w większości więzień). Leżał na kamiennej płycie i gapił się w sufit aż do zapadnięcia zmroku. Wtedy poruszył się, przynajmniej trochę – zamknął oczy.

Klucz zgrzytał głośniejsze niż uprzednio, a odgłosowi towarzyszyły teraz przekleństwa nadzorcy. Tas szybko wstał i podreptał po kamiennej posadzce, wyjmując po drodze słomę z włosów i wygładzając ubranie. Zauważywszy nadwierzony stołek w kącie, przyciągnął go do drzwi, stanął na nim i spojrzął przez zakratowane okienko na dozorcę po drugiej stronie.

– Dzień dobry – rzekł wesoło Tas. – Jakież kłopoty? Strażnik podskoczył na metr, słysząc ten niespodziewany głos i niemal upuścił klucze. Był to mały człowieczek, pomarszczony i szary jak ściany. Patrząc wrogo na twarz kendera przez kratki, nadzorca warknął coś i ponownie włożył klucz do zamka, dłubiąc w nim i mocno potrząsając. Mężczyzna, który stał za nadzorcą, zrobił wściekłą minę. Był wysoki, potężnie zbudowany, wikwintnie odziany i opatulony w chroniącą przed porannym chłodem pelerynę z niedźwiedziego futra. W rękę trzymał tabliczkę z łupku, do której rzemieniem przymocowano kawałek kredy.

– Pośpiesz się – warknął mężczyzna do dozorcę. Targ otwierają w południe, a ja do tego czasu muszę umyć i doprowadzić do przyzwoitego wyglądu tę bandę.

– Musiał się popsuć – wymamrotał nadzorca.

– Och, nie, nie jest popsuty – rzekł pomocnie Tas.

– Prawdę mówiąc, sędzę, że twój klucz pasowałby doskonale, gdyby nie przeszkadzał mi mój wytrych.

Dozorca powoli opuścił klucze i podniósł wzrok, by zmierzyć kendera piorunującym spojrzeniem.

– To był bardzo osobliwy przypadek – ciągnął Tas.

– Widzisz, zeszłej nocy nudziło mi się, bo Caramon wcześniej usnął, a wy zabraliście mi

wszystkie rzeczy, więc kiedy przez przypadek odkryłem, że przegapiliście wytrych, który noszę w skarpetce, postanowiłem wypróbować go na tych drzwiach, żeby nie wyjść z wprawy, jak się powiada, i żeby zobaczyć, jak wyglądają tutejsze więzienia. Tak przy okazji, macie tu bardzo miłe więzienie – stwierdził z całą powagą Tas. – Jedno z najprzyjemniejszych, w jakich przebywa – łem... ee... jedno z najprzyjemniejszych, jakie widziałem. Przy okazji, nazywam się Tasslehoff Burrfoot. – Kender precisnął rączkę przez kraty na wypadek, gdyby któryś z mężczyzn miał ochotę ją uściskać. Nie mieli ochoty. Jestem z Solące. Tak samo jak mój przyjaciel. Jesteśmy tu z pewną misją, można by tak rzec i... Och, prawda, zamek. Cóż, mógłbyś nie patrzeć na mnie takim wzrokiem, to nie moja wina. Prawdę mówiąc, przez ten wasz głupi zamek złamał mi się wytrych! W dodatku jeden z moich najlepszych. Należał do mojego taty – powiedział smutno kender. – Dał mi go tego dnia, gdy stałem się pełnoletni. Naprawdę sędzę – dodał Tas surowo – że powinieneś przynajmniej mnie przeprosić.

Dozorca wydał dziwny dźwięk, coś jakby parsknięcie i wybuch. Wygrazając kenderowi kluczami na kółku, wybełkotał coś o „gniciu w tej celi do końca życia” i chciał odejść, lecz mężczyzna w pelerynie z niedźwiedziego futra chwycił go.

– Nie tak szybko. Potrzebuję tego, który tam siedzi.

– Wiem, wiem – zaskomlał piskliwie nadzorca ale będziesz musiał poczekać na ślusarza...

– Niemożliwe. Mam rozkaz odstawić go na targ jeszcze dziś.

– Cóż, w takim razie wymyśl sposób, jak ich stamtąd wydostać. Spraw kenderowi nowy wytrych – szydził nadzorca. – To jak, chcesz pozostałych, czy nie?

Zaczął oddalać się człapiącym krokiem, zostawiając mężczyznę w niedźwiedzim futrze wpatzonego pośpiesznie w drzwi. – Wiesz, skąd pochodzą moje rozkazy – rzekł mężczyzna złowieszczo.

– Moje rozkazy pochodzą z tego samego miejsca rzucił nadzorca przez ramię – a jeśli im się nie podoba, mogą przyjść i modłami otworzyć drzwi. Jeśli to nie pomoże, mogą poczekać na ślusarza, jak wszyscy.

– Zamierzacie nas wypuścić? – spytał z zapalem Tas. – Jeśli tak, moglibyśmy pomóc... – Wtedy zaświtała mu nagła myśl. – Chyba nie zamierzacie nas stracić, co? Bo w takim przypadku, sędzę, że wolelibyśmy poczekać na ślusarza...

– Stracić! – warknął mężczyzna w skórze niedźwiedzia. – Od dziesięciu lat nie było egzekucji w Istar. Kościół tego zabronił.

– Jasne, szybka, czysta śmierć była za dobra dla człowieka – zachichotał nieprzyjemnie nadzorca, który znów się odwrócił. – Co miałeś na myśli mówiąc o pomaganiu, ty mały zwierzaku?

– Cóż – zająknął się Tas – jeśli nie macie zamiaru stracić nas, to co chcecie z nami zrobić? Nie przypuszczam, żebyście nas puścili wolno? Chociaż jesteśmy niewinni. To znaczy, nie



zrobiliśmy...

– Nie zamierzam niczego robić z tobą – rzekł sarkastycznie mężczyzna w niedźwiedziej skórze. – Chcę tylko twego przyjaciela. I rzeczywiście, nie wypuszczą go wolno.

– Szybka, czysta śmierć – zamamrotał stary dozorca, pokazując w uśmiechu bezzębne dziąsła. – Zawsze zbierał się ładny tłumek, żeby popatrzeć. Człowiek czuł, że jego śmierć ma znaczenie. To właśnie powiedział mi Harry Snaggle, kiedy wyprowadzali go na szubienicę. Miał nadzieję, że zbierze się ładna widownia i tak było. Miał łzy w oczach. „Ci wszyscy ludzie”, mówił mi, „poświęcili swój wolny dzień, żeby mnie pożegnać”. Dżentelmen do samego końca.

– On idzie na targ! – powiedział głośno mężczyzna w niedźwiedziej skórze, ignorując nadzorcę.

– Szybko i czysto. – Dozorca pokręcił głową.

– Cóż – stwierdził z powątpiewaniem Tas – nie jestem pewien, co to znaczy, ale jeśli rzeczywiście nas wypuścicie, może Caramon mógłby pomóc.

Kender zniknął z okienka i usłyszeli, jak wrzeszczy: Caramonie, obudź się! Chcą nas wypuścić, ale nie mogą otworzyć drzwi i obawiam się, że to moja wina, w każdym razie częściowo...

– Zdajesz sobie sprawę, że musisz wziąć ich obu powiedział przebiegłe nadzorca.

– Co takiego? – Mężczyzna w niedźwiedziej skórze spojrział wściekle na dozorcę. – O tym nie było mowy...

– Mają zostać sprzedani razem. Takie są moje rozkazy, a ponieważ twoje i moje rozkazy pochodzą z tego samego źródła...

– Czy masz to na piśmie? – Mężczyzna skrzywił się.

– Oczywiście. – Dozorca był pewny siebie.

– Stracę majątek! Kto kupi kendera?

Dozorca wzruszył ramionami. To nie był jego kłopot.

Mężczyzna w niedźwiedziej skórze otworzył usta, a potem zamknął je, gdy inna twarz pokazała się w okienku w drzwiach celi. Tym razem to nie był kender. Była to twarz człowieka, młodego mężczyzny w wieku około dwudziestu ośmiu lat, która mogła niegdyś być przystojna, lecz teraz silny zarys szczęki obrósł sadłem, brązowe oczy przygasły, a kędzierzawe włosy były skołtunione i potargane.

– Jak zdrowie pani Crysanii? – spytał Caramon. Mężczyzna w niedźwiedziej pelerynie zamrugał, zbity z tropu.

– Pani Crysania. Zabrali ją do świątyni – powtórzył Caramon.

Dozorca trącił łokciem mężczyznę w niedźwiedziej skórze. – No wiesz, ta kobieta, którą on pobił.

– Ja jej nie dotknąłem – rzekł spokojnie Caramon. – Więc, jak ona się czuje?

– To nie twoja sprawa – warknął ten w niedźwiedzim futrze, nagle przypominając sobie, która godzina. – Jesteś może ślusarzem? Kender mówił, że umiałbyś otworzyć drzwi.

– Nie jestem ślusarzem – powiedział Caramon ale może zdołam je otworzyć. – Spojrzał na nadzorcę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że je popsuję?

– Zamek i tak jest popsuty! – oświadczył piskliwie nadzorca. – Nie mógłbyś wyrządzić większej szkody, chyba że wyłamałbyś drzwi.

– Właśnie to zamierzam uczynić – stwierdził chłodno Caramon.

– Wyważyc drzwi? – wrzasnął nadzorca. – Oszalałeś! Ależ...

– Zaczekaj. – Mężczyzna w niedźwiedziej skórze dostrzegł przez pręty w drzwiach byczy kark i barki Caramona.

– Zobaczmy to. Jeśli mu się uda, zapłacę za szkody.

– Jasne, że zapłacisz! – bełkotał dozorca. Mężczyzna w niedźwiedziej skórze zerknął na niego kątem oka i dozorca umilkł.

Caramon zamknął oczy i odetchnął głęboko kilka razy, za każdym razem powoli wypuszczając powietrze. Mężczyzna w niedźwiedziej skórze i dozorca odsunęli się od drzwi. Caramon zniknął im z oczu. Usłyszeli pomruk, a potem odgłos potężnego uderzenia w solidne, drewniane drzwi, które aż zadygotały w zawiasach, ale mimo to wytrzymały. Dozorca, z szeroko otwartymi ustami, cofnął się znowu.

Z wnętrza celi dobiegł pomruk, a potem kolejne uderzenie. Drzwi eksplodowały z taką siłą, że jedynymi rozpoznawalnymi ich resztkami były pogięte zawiasy i zamek, nadal mocno przyczepiony do framugi. Siła rozpędu wyrzuciła Caramona na korytarz. Dały się słyszeć stłumione wiwaty z pobliskich cel, gdzie więźniowie przyciskali twarze do krat.

– Zapłacisz za to! – pisał dozorca do mężczyzny w niedźwiedzim futrze.

– To warte każdego grosza – rzekł tamten, pomagając Caramonowi wstać i otrzepując go. W tym samym czasie przyglądał mu się krytycznym wzrokiem. – Jadło się trochę za suto, co? I mogę się założyć, że wypić też lubisz? Pewnie z tego powodu się tu znalazłeś. Cóż, nieważne. To się da niebawem naprawić. Nazywasz się... Caramon?

Wielki mężczyzna żałośnie pokiwał głową.

– A ja jestem Tasslehoff Burrfoot – powiedział kender, przestępując przez strzaskane drzwi i znów wyciągając rękę. – Chodzę z nim wszędzie, absolutnie wszędzie. Obiecałem Tice, że będę i...

Mężczyzna w niedźwiedziej skórze zapisywał coś na swojej tabliczce i tylko zerknął z roztargnieniem na kendera. – Mmmm, rozumiem.

– W takim razie – ciągnął kender, z westchnieniem wkładając dłoń do kieszeni – gdybyś mógł zdjąć nam łańcuchy z nóg, zdecydowanie łatwiej byłoby nam iść.

– Czyżby – mruknął mężczyzna w niedźwiedziej skórze, zapisując jakieś liczby na tabliczce.

Dodawszy je, uśmiechnął się. – Idź dalej – poinstruował dozorcę. Sprowadź pozostałych.

Starzec oddalił się człapiącym krokiem, wpierw posławszy wściekle spojrzenie Tasowi i Caramonowi.

– Wy dwaj, siadźcie tu pod ścianą, póki nie będziemy gotowi do wyjścia – rozkazał mężczyzna w niedźwiedzim futrze.

Caramon kucnął na podłodze, rozcierając bark. Tas usiadł obok niego z westchnieniem zadowolenia. Świat na zewnątrz celi więziennej wyglądał jaśniej. Zupełnie tak, jak powiedział Caramonowi: Kiedy wydostaniemy się stąd, będziemy mieli szansę! Zamknięci tu nie mamy żadnych szans.

– Och, tak przy okazji – zawołał Tas do oddalającej się postaci dozorczy. – Czy zechciałbyś dopilnować, żeby zwrócono mi mój wytrych? Wiesz, jestem do niego przywiązany.

– Szansa, co? – powiedział Caramon do Tasa, gdy kowal przygotowywał się do zakucia go w żelazną obrozę. Znalezienie wystarczająco dużej zajęło sporo czasu i Caramon był ostatnim z niewolników, któremu założono na szyję tę oznakę niewoli. Wielki mężczyzna skrzywił się z bólu, gdy kowal zespoił obrozę rozżarzonym do czerwoności żelazem. Rozszedł się swąd palonego ciała.

Tas szarpnął żałośnie za swoją obręcz i skrzywił się ze współczucia na widok cierpienia Caramona. – Przykro mi – powiedział, pociągając nosem. – Nie wiedziałem, że on miał na myśli „sprzedamy cię na targu”! Myślałem, że powiedział: „pójdiesz na targ”. No wiesz, tak jakbyśmy mieli się przespacerować na targ. Oni tu jakoś dziwacznie mówią. Serio, Caramonie...

– W porządku – rzekł Caramon z westchnieniem. To nie twoja wina.

– Ale czyjaś z pewnością – powiedział odruchowo Tas, przyglądając się z ciekawością, jak kowal chlapanął smalcem na oparzenie Caramona, po czym przyjrzał się swemu dziełu krytycznym wzrokiem. Niejeden kowal w Istar stracił pracę, gdy pojawił się właściciel niewolnika, domagając się odszkodowania za zbiega, który pozbył się obroży.

– Co masz na myśli? – wymamrotał otepiały Caramon, a na jego twarzy znów pojawiła się rezygnacja.

– Cóż – szepnął Tas, obejrzawszy się na kowala. Pomyśl choć trochę. Popatrz, jak byłeś ubrany, kiedy tu przybyliśmy. Wyglądałeś jak jakiś łazęga. Potem zjawił się ten kapłan i straż, zupełnie jakby nas się spodziewali. No i ten wygląd pani Crysanii.

– Masz rację – rzekł Caramon i błysk ożywienia zamigotał w jego otepiałych oczach. Błysk zmienił się w płomień, który wskrzesił uśpiony żar. – Raistlin – wyszeptał. – On wie, że zamierzam spróbować go powstrzymać. To jego sprawka!

– Nie jestem pewien – powiedział Tas po chwili namysłu. – No wiesz, czy nie bardziej prawdopodobne byłoby, gdyby po prostu usmażył nas na krucho, albo przerobił na dywanik na ścianę, czy coś w tym rodzaju?

– Nie! – rzekł Caramon i Tas dostrzegł podniecenie w jego oczach. – Nie rozumiesz? On chce, żebym tu był... żebym czegoś dokonał. On nas nie zamorduje. Ten... czarny elf, który pracuje dla niego, powiedział nam o tym, pamiętasz?

Tas popatrzył z powątpiewaniem i chciał coś powiedzieć, lecz w tej chwili kowal pchnięciem postawił wojownika na nogi. Mężczyzna w niedźwiedziej skórze, który przyglądał im się niecierpliwie na progu kuźni, gestem wezwał dwóch swych osobistych niewolników. Wbiegłszy do środka, chwycili bezceremonialnie Caramona i Tasa i wepchnęli do szeregu. Dwóch następnych niewolników zaczęło szepiać razem łańcuchy na nogach wszystkich więźniów, aż zostali ustawieni w rząd. Potem – na znak człowieka w niedźwiedziej skórze – żałosny, żywy łańcuch składający się z ludzi, półelfów i dwóch goblinów, poczłapał naprzód.

Nie zrobili więcej niż trzy kroki, gdy natychmiast wszyscy zaplątali się z powodu Tasslehoffa, który przez pomyłkę ruszył w przeciwnym kierunku.

Po licznych przekleństwach i kilku smagnięciach wierzbową wtką (uprzednio sprawdzono, czy w pobliżu są kapłani), kolumna znów ruszyła. Tas podskakiwał, usiłując dotrzymać kroku. Dopiero gdy kender dwukrotnie upadł na kolana, znów zagrażając całej kolumnie, Caramon objął go w pasie swym wielkim ramieniem, podźwignął – wraz z łańcuchem – i zaczął nieść.

– To było dość zabawne – skomentował zadyszany Tas. – Szczególnie, kiedy upadłem. Widziałeś twarz tego człowieka? Ja...

– Co miałeś wtedy na myśli? – przerwał mu Caramon. – Dlaczego sądzisz, że to nie Raistlin się za tym kryje?

Na twarzy Tasa pojawił się niezwykle dla niego wyraz powagi i zamyślenia. – Caramonie – powiedział po chwili, obejmując Caramona za szyję i mówiąc mu do ucha, żeby go usłyszał przez brzęk łańcuchów i odgłosy z ulic miasta. – Raistlin musiał być okropnie zajęty, wiesz, podróżowaniem w tę i z powrotem. Popatrz, Par-Salian potrzebował wielu dni na rzucenie zaklęcia podróży w czasie, a jest naprawdę potężnym magiem. Więc to musiało kosztować Raistlina mnóstwo energii. Jak mógł dokonać tego i jednocześnie zrobić to z nami?

– Cóż – rzekł Caramon, marszcząc brwi. – Jeśli nie on, to kto to zrobił?

– A może... Fistantilus? – szepnął dramatycznie Tas. Caramon wciągnął powietrze i spochmurniał na twarzy.

– On... on jest rzeczywiście potężnym czarodziejem przypomniał mu Tas. – I cóż, nie robiłeś tajemnicy z faktu, że przybyłeś tu, żeby... hm... załatwić go, że tak powiem. To znaczy, nawet powiedziałeś to w samej Wieży Najwyższej Magii. A my wiemy, że Fistantilus potrafi kręcić się po Wieży. Tam przecież spotkał Raistlina, prawda? Więc, jeśli właśnie tam stał i usłyszał ciebie? Przypuszczam, że bardzo by się rozżłościł.

– Ba! Jeśli jest taki potężny, zabiłby mnie na miejscu! – skrzywił się Caramon.

– Nie, nie może tego zrobić – powiedział zdecydowanie Tas. – Posłuchaj, wszystko

przemyślałem. Nie może zamordować brata swego własnego ucznia. Szczególnie, jeśli Raistlin sprowadził tu ciebie w jakimś celu. Cóż, z tego co wie Fistandantilus, Raistlin w głębi serca może cię kocha.

Caramon zbladł, a Tas natychmiast miał ochotę odgryźć sobie język. – W każdym razie – ciągnął pośpiesznie nie może pozbyć się ciebie od razu. Musi postarać się, żeby to dobrze wyglądało.

– Więc?

– Więc... – Tas zrobił głęboki wdech. – Cóż, nie urządzają tu egzekucji, lecz najwyraźniej mają inne sposoby pozbywania się ludzi, których nikt nie chce mieć w pobliżu. Ten kapłan i dozorca w więzieniu wspominali o tym, że egzekucja to „łatwa” śmierć, w porównaniu z tym, co się teraz dzieje.

Smagnięcie batem po plecach Caramona zakończyło dalszą rozmowę. Popatrzawszy ze złością na niewolnika, który go uderzył – podlizującego się i płaszczącego osobnika, który najwyraźniej lubił swoje zajęcie – Caramon zapadł w ponure milczenie, rozmyślając o tym, co mu powiedział Tas. Z pewnością to miało sens. Widział, ile mocy i wysiłku Par-Salian włożył w rzucenie tego trudnego zaklęcia. Rai – stlin jest potężny, ale nie aż tak! Poza tym jest słaby fizycznie.

Caramon nagle ujrzał wszystko zupełnie wyraźnie. Tasslehoff miał rację! Ktoś nas wrabia. Fistandantilus pozbędzie się mnie, a potem przedstawi moją śmierć Raistlinowi jako wypadek.

Gdzieś w zakamarkach umysłu Caramona odezwał się gderliwy głos starego krasnoluda, mówiący „Nie wiem, kto jest większym głuptasem – ty, czy ten pustogłowy kender! Jeśli któryś z was wyjdzie z tego żywy, to się zdziwię!” Caramon uśmiechnął się smutno na myśl o starym przyjacielu. Flinta jednak tu nie było, ani Tanisa, ani nikogo innego, kto mógłby mu udzielić porady. Wraz z Tasem zdani byli na własne siły, a gdyby nie nie przemyślany skok kendera w obręb czaru, mógłby znaleźć się tu samiuteńki, bez nikogo! Ta myśl przeraziła go. Caramon zadrżał.

– Wszystko to oznacza, że będę musiał rozprawić się z Fistandantilusem, zanim on rozprawi się ze mną – mruknął pod nosem.

Wielkie iglice świątyni spoglądały z wysokości na ulice miasta, skrupulatnie utrzymywane w czystości – wszystkie, z wyjątkiem zaułków od zaplecza. Na ulicach było tłoczno. Wokół krążyła straż świątynna utrzymująca porządek, wyróżniająca się wśród tłumu barwnymi pelerynami i pióropuszcami na hełmach. Piękne kobiety kątem oka posyłały strażnikom pełne podziwu spojrzenia. Przechadzały się po bazarze i wśród sklepów, omiatając bruk cudnymi, jedwabnymi sukniami. Jednakże w mieście było jedno miejsce, do którego kobiety się nie zbliżały, choć wiele ciekawie patrzyło w tamtą stronę – była to ta część placu, gdzie znajdował się targ niewolników.

Na targu niewolników, jak zawsze, panował tłok. Aukcje odbywały się co tydzień – dlatego właśnie mężczyźni w niedźwiedziej skórze, który był tam kierownikiem, tak pilno było wydostać z więzienia tygodniowy przydział nie – wolników. Choć pieniądze ze sprzedaży trafiały do państwowej kiesy, organizator oczywiście otrzymywał swój udział. Ten tydzień zapowiadał się wyjątkowo obiecująco.

Jak powiedział Tasowi, nie urządzano już egzekucji ani w Istar, ani podległej mu części Krynnu. W każdym razie niewiele. Rycerze solamnijscy wciąż obstawali przy karaniu zdrajców ich zakonu, w stary, barbarzyński sposób: przez podcięcie rycerzowi gardła jego własnym mieczem. Królkapłan jednak prowadził rozmowy z rycerzami i żywiono nadzieję, że wkrótce te niechlubne praktyki zostaną ukrócone.

Oczywiście, zniesienie egzekucji w Istar stworzyło inny problem: co zrobić z więźniami, których wciąż przybywało, i którzy stanowili poważne obciążenie dla państwowego budżetu. Kościół przeprowadził badania. Ustalono, że w większości przypadków więźniowie byli ubodzy, bezdomni i bez grosza przy duszy. Przestępstwa, jakie popełniali – kradzieże, włamania, prostytutka i im podobne – były skutkiem biedy.

– Czyż nie jest logiczne – powiedział król-kapłan swym ministrom tego dnia, gdy wygłosił oficjalne oświadczenie – że niewolnictwo nie tylko rozwiązuje problem przeludnienia naszych więzień, lecz jest także najgodniejszym i najkorzystniejszym sposobem zajęcia się tymi biednymi ludźmi? Ich jedyną zbrodnią jest to, iż zostali uwikłani w sieć ubóstwa, z której nie mogą się wydostać. Oczywiście, tak. Toteż naszym obowiązkiem jest pomóc im. Jako niewolnicy zostaną nakarmieni, odziani i otrzymają schronienie. Dostaną wszystko, czego im brakowało, i czego brak zmusił ich do wstąpienia na drogę przestępstwa. Dopilnujemy, by byli dobrze traktowani i zapewniamy, że po pewnym okresie służby, jeśli dobrze się spisywali, będą mogli kupić sobie wolność. Wrócą wtedy do nas jako przydatni członkowie społeczeństwa.

Pomysł natychmiast wprowadzono w życie i stosowano go obecnie od dziesięciu lat. Były pewne problemy, te jed – nakże nigdy nie dotarły do uszu króla-kapłana – nie były wystarczająco poważne, by wymagać jego uwagi. Niżsi rangą ministrowie sprawnie się z nimi uporali i system funkcjonował całkiem gładko. Kościół miał stały dochód, uzyskiwany za sprzedanych więźniów (aby trzymać ich z dala od niewolników sprzedawanych przez prywatne firmy), a niewolnictwo nawet odstraszało od przestępczości.

Problemy zaś dotyczyły dwóch grup kryminalistów: kenderów oraz tych zbrodniarzy, którzy popełnili szczególnie ciężkie przestępstwa. Odkryto, że nie sposób sprzedać komukolwiek kendera, jak również trudno było sprzedać mordercę, gwałciela czy szaleńca. Rozwiązanie znaleziono proste. Kenderów zamykano na noc, a następnie odprowadzano do bram miasta (czego skutkiem była mała procesja każdego poranka). Natomiast dla bardziej zatwardziałych zbrodniarzy stworzono specjalne instytucje.

Właśnie z krasnoludem, będącym kierownikiem jednej z nich, rozmawiał z ożywieniem tego poranka mężczyzna w niedźwiedziej skórze. Wskazywał na Caramona, który stał wraz z innymi więźniami w brudnej, cuchnącej zagrodzie dla niewolników za podwyższeniem, i wykonywał dramatyczny gest wyważania drzwi ramieniem.

Naczelnik instytucji nie wyglądał na osobę, na której to robi wrażenie. Nie było w tym nic dziwnego. Nauczył się dawno temu, że skutkiem pokazania po sobie, że niewolnik zrobił na nim wrażenie, było natychmiastowe podwojenie jego ceny. Toteż krasnolud spojrzął na Caramona z krzywym grymasem, splunął na ziemię, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył wrogo na mężczyznę w niedźwiedziej skórze.

– Jest w kiepskiej kondycji, za gruby. Oprócz tego to pijak, spójrz tylko na jego nos. – Krasnolud pokręcił głową. – Powiedziałeś, że co zrobił? Napastował kapłankę? Hm! – Krasnolud parsknął. – Wygląda tak, jakby umiał napastować tylko dzban z winem!

Człowiek w niedźwiedziej skórze oczywiście był do tego przyzwyczajony.

– Zmarnujesz szansę, jaka nadarza się raz w życiu, Rockbreaker – rzekł gładko. – Powinieneś być widzieć, jak wywalił te drzwi. Nigdy nie widziałem takiej siły w człowieku. Może jest otyły, ale to łatwo wyleczyć. Zajmij się nim, a będzie cud. Kobiety będą szaleć za nim. Patrz na to rzewne spojrzenie brązowych oczu i na te kędziory. – Mężczyzna w niedźwiedziej skórze ściszył głos. – To byłaby prawdziwa hańba zmarnować go w kopalni... Próbowałem nie rozgłaszać, czego dokonał, ale obawiam się, że Haarold i tak się dowiedział.

Zarówno mężczyzna w niedźwiedziej skórze, jak i krasnolud spojrzeli na człowieka, który stał w pewnej oddali, rozmawiając i śmiejąc się z kilkoma spośród swych krzepkich strażników. Krasnolud pogłaskał się po brodzie z miną nie zdradzającą uczuć.

Mężczyzna w niedźwiedzim futrze ciągnął dalej: – Haarold poprzysiągł sobie zdobyć go za wszelką cenę. Mówi, że będzie u niego pracował za dwóch normalnych ludzi. Ponieważ jesteś lepszym kupcem, spróbuję przechylić szalę na twoją korzyść...

– Niech Haarold bierze go sobie – burknął krasnolud. – Spasiony buc.

Jednak mężczyzna w niedźwiedziej skórze dostrzegł, że krasnolud przebiegle przygląda się Caramonowi. Wiedząc z doświadczenia, kiedy należy mówić, a kiedy siedzieć cicho, mężczyzna w niedźwiedziej skórze skłonił się krasnoludowi i odszedł w swoją stronę, zacierając ręce.

Podszuchawszy rozmowę i widząc spojrzenie krasnoluda, który taksował go takim wzrokiem, jakim człowiek spogląda na świnie-medalistkę, w Caramona wstąpiła nagle dzika chęć zerwania więzów, rozbicia zagrody, w której go zamknięto jak w klatce, i uduszenia zarówno mężczyzny w niedźwiedziej skórze, jak i krasnoluda. Słyszając krew huczącą mu w skroniach, naprężył mięśnie ramion i szarpnął kajdany. – Na ten widok krasnolud szeroko otworzył oczy, a strażnicy otaczający zagrodę wyciągnęli miecze z pochew. Jednakże Tasslehoff nagle dał mu kuksańca w bok. j – Caramonie, patrz! – rzekł z podnieceniem kender. Przez chwilę Caramon nie słyszał

niczego prócz szumu krwi w uszach. Tas znów go szturchnął.

– Spójrz, Caramonie. Tam, na obrzeżu tłumu, stoi sam. Widzisz?

Caramon z drżeniem zaczerpnął tchu i opanował się. Spojrzał w kierunku wskazanym przez kendera i nagle gorąca krew zastygła mu w żyłach.

Na skraju tłumu stał ktoś w czerni. Był zupełnie sam. Prawdę mówiąc, otaczała go szeroka, pusta przestrzeń. Nikt z tłumu nie zbliżał się do niego. Wielu omijało go, nadkładając nawet drogi, byleby uniknąć podchodzenia do niego. Nikt się do niego nie odzywał, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę z jego obecności. Ci, którzy stali w pobliżu i rozmawiali z ożywieniem, umilkli i, czując się nieswojo, rzucali nerwowe spojrzenia w jego kierunku.

Szaty tego człowieka były koloru głębokiej czerni, bez ozdób. Srebrne nici nie połyskiwały na rękawach i żadna lamówka nie otaczała czarnego kaptura, który nosił naciągnięty głęboko na twarz. Nie miał laski i żaden chowaniec nie szedł u jego boku. Niech inni magowie noszą runy ochronne i strzegące, niech inni magowie noszą laski magiczne lub każą zwierzętom być na ich usługi. Ten człowiek nie potrzebował żadnej z tych rzeczy. Jego moc miała źródło w jego wnętrzu – i była tak wielka, że sięgała wieków, a nawet innych płaszczyzn istnienia. Dawała się wyczuć i migotała wokół niego niczym żar z pieca hutniczego.

Był to wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna, a czarne szaty spływały z ramion smukłych, lecz muskularnych. Jego białe dłonie – jedyna widoczna część ciała – były silne, delikatne i sprawne. Choć mężczyzna ów był tak stary, że niewielu na Krynnie mogłoby choćby próbować domyślić się jego wieku, miał sylwetkę osoby młodej i silnej. Mroczne pogłoski mówiły o tym, w jaki sposób korzystał ze swej sztuki czarnoksięskiej, by pokonać niedołężność przychodzącą z wiekiem.

Stał samotnie, jakby czarne słońce spadło na dziedziniec. W mrocznej głębi jego kaptura nie widać było nawet błysku jego oczu.

– Kto to jest? – od niechcienia spytał Tas innego więźnia, kiwając głową w kierunku odzianej na czarno postaci.

– Nie wiesz? – spytał nerwowo więzień, jakby nie śpieszyło mu się odpowiedzieć.

– Jestem nietutejszy – przeprosił Tas.

– To przecież Mroczny – Fistandantilus. Chyba słyszałeś o nim?

– Tak – rzekł Tas, posyłając Caramonowi spojrzenie oznaczające „a nie mówiłem!” – Słyszeliśmy o nim.



## ***Rozdział IV***

Kiedy Crysania ocknęła się z zaklęcia, jakie rzucił na nią Paladine, znajdowała się w stanie takiego zamętu i oszołomienia, że kapłani byli wielce zatroskani, bojąc się, iż ciężkie przeżycia zakłóciły równowagę jej umysłu.

Mówiła o Palanthas, więc zakładali, iż musiała przybyć stamtąd. Jednakże stale wzywała przełożonego swego zakonu, kogoś imieniem Elistan. Kapłani znali przełożonych wszystkich zakonów na Krynnie, ale Elistana nie było wśród nich. Jednak początkowo Crysania tak mocno obstawała przy swym zdaniu, iż zaczęto się obawiać, że coś mogło się przytrafić obecnemu przełożonemu zakonu w Palanthas. Czym prędzej wyprawiono tam posłańców.

Potem Crysania wspominała też o świątyni w Palanthas, choć nie istniała tam żadna świątynia. Wreszcie opowiadała całkiem niestworzone rzeczy o smokach i „powrocie bogów”, co sprawiło, że obecni w komnacie – Quarath i Elsa, przełożona wielebnych córek – popatrzyli na siebie ze zgrozą i uczynili znaki ochronne przeciwko bluźnierstwu.

Crysania dostała ziołowy napar, który ją uspokoił, i wreszcie usnęła. Tych dwoje zostało przy niej długo po tym, jak zapadła w sen. Omawiali jej przypadek ściszonymi głosami. Wtedy do komnaty przyszedł król-kapłan, aby rozwiać ich obawy.

– Wykonałem wróżbę – rzekł melodyjny głos – i dowiedziałem się, że Paladine wezwał ją do siebie, by ochronić ją przed złym czarnoksięskim zaklęciem, które na nią rzucono. Nie sądzę, by któremukolwiek z nas trudno było w to wątpić.

Quarath i Elsa potrząsnęli głowami, wymieniając znaczące spojrzenia. Nienawiść króla-kapłana do czarodziejów była powszechnie znana.

– Przebywała z Paladine’em, zamieszkując w tym cudownym królestwie, które pragniemy odtworzyć na naszej glebie. Bez wątpienia, kiedy tam była, poznała przyszłość. Powiada o przepięknej świątyni wybudowanej w Palanthas. Czyż nie planujemy wybudować taką świątynię? Opowiada o Elistanie, który jest zapewne jakimś kapłanem, którego przeznaczeniem będzie tam rządzić.

– Ale... smoki i powrót bogów? – wyszeptała Elsa.

– Co do smoków – rzekł król-kapłan głosem pełnym serdeczności i rozbawienia – to prawdopodobnie jakaś bajka z dzieciństwa, która dręczyła ją w chorobie, a może to ma związek z czarem rzuconym na nią przez tego maga.

– Jego głos stał się surowy. – Jak wiecie, powiadają, iż czarodzieje mają moc sprawiania, że ludzie widzą to, co nie istnieje. A co do „powrotu bogów”...

Król-kapłan milczał przez chwilę. Kiedy znów odezwał się, mówił przyciszonym i zadyszonym głosem. – Wy dwoje, moi najbliżsi doradcy, znacie moje najskrytsze marzenie.

Wiecie, że któregoś dnia – a ten dzień szybko się zbliża – udam się do bogów i zażądam ich pomocy w walce ze złem, które wciąż jest obecne wśród nas. Tego dnia sam Paladine wysłucha mych modłów. Stanie u mego boku i razem stoczmy bój z ciemnością, aż pokonamy ją na zawsze! To właśnie ona miała na myśli, mówiąc o „powrocie bogów”!

Światło wypełniło komnatę, Elsa wyszeptała modlitwę i nawet Quarath spuścił oczy.

– Pozwólcie jej spać – rzekł król-kapłan. – Do rana wydobrzeje. Wspomnę o niej w mych modlitwach do Paladine’a.

Opuścił komnatę, a po jego wyjściu zrobiło się ciemniej. Elsa w milczeniu odprowadzała go wzrokiem. Potem, gdy drzwi komnaty Crysanii zamknęły się, elfia kobieta zwróciła się do Quaratha.

– Czy on ma taką moc? – spytała Elsa swego towarzysza, który w zamyśleniu przyglądał się Crysanii. – Czy on naprawdę zamierza zrobić... to, o czym mówił?

– Co mówisz? – Quarath był myślami daleko. Obejrzał się w stronę króla-kapłana, który wyszedł. – Och, to? Oczywiście, że ma taką moc. Widziałas, jak uleczył tę młodą kobietę. I bogowie przemawiają do niego przez wyrocznie, przynajmniej tak twierdzi. Kiedy ostatni raz kogoś uleczyłaś, wielbna córko?

– W takim razie wierzysz w to, że Paladine zabrał jej duszę do siebie i pozwolił jej ujrzeć przyszłość? – Elsa sprawiała wrażenie zdumionej. – Wierzysz, że naprawdę ją uzdrowił?

– Wierzę, że jest coś bardzo dziwnego w tej młodej kobiecie i w tych dwóch, którzy przybyli razem z nią – stwierdził poważnie Quarath. – Zajmę się nimi. Ty miej ją na oku. A co do króla-kapłana... – Quarath wzruszył ramionami.

– Niech sobie wzywa boską moc. Jeśli zstąpią z nieba, by walczyć po jego stronie, to świetnie. Jeśli nie, nas to nie dotyczy. Wiemy, kto wykonuje dzieło bogów na Krynnie.

– Ciekawa jestem – zauważyła Elsa, odsuwając ciemne włosy Crysanii z jej uśpionej twarzy.

– W naszym zakonie była pewna dziewczyna, która miała dar prawdziwego uzdrawiania. Tę dziewczynę uwiódł rycerz solamnijski. Jak on się nazywał?

– Soth – powiedział Quarath. – Lord Soth z twierdzy Dargaard. Och, nie wątpię w to. Czasami można znaleźć takich, szczególnie wśród bardzo młodych lub bardzo sędziwych, którzy mają tę moc. Albo wydaje im się, że mają. Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że na ogół wynika to po prostu z tego, iż ludzie tak bardzo chcą w coś uwierzyć, że wmawiają sobie, że to jest prawda. Co nam bynajmniej nie szkodzi. Obserwuj uważnie tę młodą kobietę, Elso. Jeśli nadal będzie mówić o takich rzeczach rano, po wyzdrowieniu, będziemy zmuszeni podjąć bardziej drastyczne kroki. Jednakże chwilowo...

Zamilkł. Elsa pokiwała głową. Wiedząc, że młoda kobieta będzie mocno spać pod wpływem napoju, oboje zostawili Crysanię samą, pogrążoną we śnie w komnacie wielkiej świątyni w Istar.

Crysania obudziła się następnego poranka, czując się tak, jakby głowę miała wypchaną watą.

W ustach czuła gorzki smak i dręczyło ją okropne pragnienie. Zakręciło jej się w głowie, kiedy usiadła i starała się poskładać myśli. Wszystko było bez sensu. Miała niejasne, przerażające wspomnienie jakiejś upiornej istoty zza grobu, która zbliżała się do niej. Była z Raistlinem w Wieży Wielkiej Magii, a potem męczyło ją mętne wspomnienie, iż jest otoczona przez magów ubranych w biel, czerwień i czerń – miała wrażenie, że kamienie śpiewają i uczucie, że odbyła długą podróż.

Pamiętała również, że zbudziła się i znalazła w obecności mężczyzny, którego piękno ją przytłaczało. Jego głos przepełnił jej umysł i duszę spokojem. Powiedział jej, że jest królem-kapłanem, a ona znajduje się w świątyni bogów w Istar. To zupełnie nie miało sensu. Pamiętała, że wzywała Elistana, lecz nikt o nim nie słyszał. Opowiedziała im o nim – jak został uzdrowiony przez Goldmoon, kapłankę Mishakal, przewodził w boju ze złymi smokami i jak opowiadał ludziom o powrocie bogów. Jej słowa sprawiały jedynie, że kapłani przyglądali jej się z litością i niepokojem. Wreszcie dali jej do wypicia wywar o dziwnym smaku i zapadła w sen.

Nadal czuła się zdezorientowana, lecz zdecydowana dowiedzieć się, gdzie jest i co się dzieje. Wstając z łóżka, zmusiła się do umycia jak co dzień, a potem siadła przy dziwnie wyglądającej komódce i spokojnie się czesała, splatając swe długie, ciemne włosy. Znajome czynności sprawiły, że poczuła się bardziej odprężona.

Poświęciła też chwilę na rozejrzenie się po sypialni. Nie mogła wyjść z podziwu dla jej piękna i przepychu, który jednak uznała za niestosowny w świątyni poświęconej bogom – jeśli rzeczywiście się tam znajdowała. Jej sypialnia w domu jej rodziców w Palanthas nie była nawet w połowie tak wspaniała, a przecież wyposażono ją we wszelkie luksusy, jakie można było kupić za pieniądze.

Przed oczami stanął jej nagle obraz, który pokazał jej Raistlin: ubóstwo i nędza tak blisko świątyni. Zaczerwieniła się, czując się nieswojo.

– Może to pokój gościnny – powiedziała do siebie Crysania. Mówiąc na głos, stwierdziła, że znajomy dźwięk własnego głosu uspokajał ją. – W końcu pokoje gościnne w naszej nowej świątyni są przecież tak urządzone, aby naszym gościom było wygodnie. Mimo to – zmarszczyła brwi, a jej spojrzenie powędrowało na kosztowny, złoty posąg driady trzymającej świecę w złotych dłoniach – to jest rozrzutność. Za to można by wyżywić rodzinę przez miesiąc.

Jakże była wdzięczna, że on tego nie widzi! Porozmawia z przełożonym tego zakonu, kimkolwiek on jest. (Musiała się pomylić, sądząc, że przedstawił się jako król-kapłan!) Podjąwszy decyzję i czując, że przejaśnia się jej w głowie, Crysania zdjęła nocną koszulę i włożyła białe szaty, które znalazła złożone starannie w nogach swego łóżka.

Jakie dziwaczne, staromodne szaty, zauważyła, wsuwając je przez głowę. Zupełnie niepodobne do prostych, surowych, białych szat noszonych przez jej zakon w Palanthas. Te były bogato zdobione. Złota nić błyszczała na rękawach i na obrębienu, przód zdobiła purpurowa

i karmazynowa wstążka, a fałdy w jej smukłej talii przytrzymywał ciężki, złoty pas.

Kolejna rozrzutność. Crysania przygryzła wargi z niezadowolenia, lecz jednocześnie zerknęła na swe odbicie w lustrze złożonej ramie. Z pewnością było jej w tym do twarzy, musiała to przyznać, wygładzając fałdy sukni.

Wtedy wyczuła kartkę w kieszeni.

Wsunęła dłoń do środka i wyciągnęła arkusik ryżowego papieru, który złożono we czworo. Przyglądając mu się ze zdumieniem i zastanawiając się od niechcienia, czy właścicielka tych szat nie zostawiła go przypadkiem, z zaskoczeniem ujrzała, że notatka zaadresowana była do niej.

*Pani Crysanio,*

*Wiem, że zamierzałaś prosić mnie o pomoc w powrocie do przeszłości, by uniemożliwić młodemu magowi, Raistlinowi, wyrządzenie zła, jakie planuje. W drodze do nas jednakże napadł na ciebie upiorny rycerz. Aby cię ocalić, Paladine wziął twą duszę do swej niebiańskiej siedziby. Nie ma obecnie nikogo wśród nas, kto potrafiłby cię stamtąd sprowadzić, nawet sam Elistan. Tylko kapłani żyjący w czasach króla-kapłana mają taką moc. Tak więc wystaliśmy cię w przeszłość do I star, do czasów tuż przed Kataklyzmem. Towarzyszy ci brat Raistlina, Caramon. Wysyłamy cię tam w dwojakim celu. Po pierwsze, aby uleczyć twą ciężką ranę, I po drugie, by pozwolić ci na podjęcie próby ocalenia tego młodego maga przed nim samym.*

*Jeśli dostrzegasz w tym palec boży, być może uznasz, że twe wysiłki mają boskie błogosławieństwo. Ośmielę się jedynie podsunąć ci tę radę: niezbadane dla śmiertelników są wyroki boskie, bowiem widzimy tylko część obrazu wokół nas. Miałem nadzieję, że przedyskutuję to z tobą osobiście przed twym odejściem, lecz to okazało się niemożliwe. Mogę tylko wzbudzić twą ostrożność w jednej kwestii – strzeż się Raistlina.*

*Jesteś cnotliwa, umocniona w wierze i dumna zarówno ze swej cnoty, jak i wiary. To zabójcze połączenie, moja droga. On wykorzysta je w pełni.*

*Pamiętaj również o tym. Wraz z Caramonem cofnęliście się do niebezpiecznych czasów. Dni króla-kapłana są policzone. Caramon udał się z misją, która może okazać się groźna dla jego życia. Lecz w twoim przypadku, Crysanio, niebezpieczeństwo grozi zarówno twemu życiu, jak i twojej duszy. Przewiduję, że będziesz zmuszona wybrać – aby ocalić jedno, musisz zrezygnować z drugiego. Istnieje wiele sposobów na opuszczenie tej epoki, między innymi dzięki Caramonowi. Niech Paladine będzie z tobą.*

*Par-Salian*

*Przełożony zakonu Białych Szat*

*Wieża Najwyższej Magii*

*Wayreth*

Crysania ciężko usiadła na łóżku, bowiem nogi ugięły się pod nią. Dłoń, w której trzymała list, drżała. Z oszołomieniem wpatrywała się weń, czytając go bez końca, nie rozumiejąc słów. Jednak po chwili uspokoiła się i zmusiła do przyjrzenia każdemu słowu. Czytała po jednym zdaniu, aż była pewna, że pojęła ich sens.

Niemal pół godziny czytała i zastanawiała się. Wreszcie była przekonana, że zrozumiała. Przynajmniej większość. Wróciła pamięć o tym, dlaczego podróżowała do Wayreth. Więc Parsalian wiedział. Spodziewał się jej. Tym lepiej. I nie mylił się – atak upiornego rycerza był oczywistym przykładem interwencji Paladine'a, zapewniającym jej pojawienie się w przeszłości. A co do tej uwagi na temat jej wiary i cnoty...

Crysania wstała. Na jej bladej twarzy zagościło stanowcze zdecydowanie, na policzkach wykwitły słabe rumieńce, a jej oczy błyszczały z gniewu. Żałowała tylko, że nie dane jej było rozmówić się z nim osobiście! Jak on śmie?

Z wargami zaciśniętymi w wąską, prostą kreskę Crysania złożyła ponownie notatkę, przesuając po niej szybko palcami, jakby chciała ją rozedrzeć. Na komódce obok połączanego lustra i szczotki stało małe, złote puzderko – ta – kie, jakich damy dworu używały do przechowywania swych klejnotów. Podniósłszy pudełko, Crysania wyciągnęła kluczyk z zamka, wsunęła list do środka i zatrzasnęła wieczko. Włożyła klucz, przekreśliła go i usłyszała zgrzyt zamka. Wrzuciwszy kluczyk do kieszeni, w której znalazła notatkę, Crysania jeszcze raz spojrzała w lustro.

Odsunęła włosy z twarzy, naciągnęła kaptur i ułożyła go na głowie. Zauważając rumieniec na policzkach, Crysania narzuciła sobie spokój i pozwoliła, by gniew odpłynął. Przypomniała sobie, że w końcu stary czarodziej miał dobre chęci. Poza tym, czy ktoś zajmujący się magią mógłby zrozumieć wiernego wyznawcę! Potrafiła wznieść się ponad przyziemny gniew. W końcu znajdowała się na progu swej wielkiej chwili. Paladine był przy niej. Niemal wyczuwała jego obecność. A ten człowiek, którego spotkała, był rzeczywiście królem-kapłanem!

Uśmiechnęła się, przypominając sobie uczucie dobra, jakie wzbudzał. Czy on mógł być odpowiedzialny za Katakлизм? Nie, jej dusza odmawiała dania temu wiary. Historia musiała go oczernić. Prawdą jest, że była przy nim zaledwie kilka sekund, lecz człowiek tak piękny, tak dobry i święty – byłby odpowiedzialny za zagładę i tyle zniszczeń? To niemożliwe! Być może uda jej się oczyścić go z zarzutów. Być może to kolejny powód, dla którego Paladine przysłał ją tu: aby odkryła prawdę!

Radość przepelniła duszę Crysanii. I w tym momencie zdało jej się, że bicie dzwonów na poranne modlitwy jest odpowiedzią na jej radość. Piękno tego dźwięku sprawiło, że łzy jej stanęły w oczach. Z sercem przepelnionym szczęściem, Crysania opuściła komnatę i wybiegła na korytarz, nieomal wpadając na Elbę.

– W imię bogów! – wykrzyknęła zdumiona Elsa. Czy to możliwe? Jak się czujesz?

– Czuję się znacznie lepiej, wielebna córko – rzekła nieco zmieszana Crysania, przypominając sobie, że to, co mówiła wcześniej, musiało wydawać im się szalonym i nie – zrozumiiałym bełkotem. – Zupełnie... zupełnie jakbym zbudziła się z dziwnego i plastycznego snu.

– Chwała niech będzie Paladine'owi – wyszeptała Elsa, przyglądając się Crysanii ostrym, przenikliwym spojrzeniem zmrużonych powiek.

– Nie zaniedbałam tego, możesz być pewna – stwierdziła szczerze Crysania. W swej radości nie zauważyła dziwnego spojrzenia elfiej kobiety. – Czy udajesz się na poranne modły? Jeśli tak, czy mogę ci towarzyszyć? Rozejrzała się po wspianiałym budynku z zatrwożonym podziwem. – Obawiam się, że upłynie sporo czasu, zanim poznam drogę.

– Oczywiście – powiedziała Elsa, odzyskawszy opanowanie. – Tędy. – Ruszyły w głąb korytarza.

– Martwiłam się również o... tego młodzieńca, którego... znaleziono ze mną – wyjąkała Crysania, nagle przypominając sobie, że wie bardzo niewiele o okolicznościach towarzyszących jej pojawieniu się w tych czasach.

Twarz Elsy stała się zimna i surowa. – On jest tam, gdzie dobrze się nim zaopiekują, moja droga. Czy to twój przyjaciel?

– Nie, skądże znowu – rzekła pośpiesznie Crysania, przypominając sobie ostatnie spotkanie z pijanym Caramonem. – On... on mnie eskortował. Wynajęty strażnik – wyjąkała, zdając sobie nagle sprawę, że bardzo kiepsko kłamie.

– Jest w szkole igrzysk – odparła Elsa. – Można mu posłać wiadomość, jeśli się martwisz.

Crysania nie miała pojęcia, co to za szkoła, a obawiała się zadawać zbyt wiele pytań. Toteż dziękując Elsie, porzuciła ów temat, czując się uspokojona. Przynajmniej wiedziała teraz, gdzie jest Caramon, i że jest bezpieczny. Poczawszy się pewniej, wiedząc, że ma możliwość powrotu do swych własnych czasów, pozwoliła sobie na odprężenie.

– Och, spójrz, moja droga – powiedziała Elsa oto nadchodzi następna osoba, by zapytać o twoje zdrowie.

– Wielebny synu – Crysania skłoniła się z szacunkiem, gdy Quarath zbliżył się do obu kobiet. Umknęło jej uwagi szybkie, pytające spojrzenie, jakie posłał Elsie i lekkie skinienie głową elfki.

– Rad jestem niezmiernie, że widzę cię w dobrym zdrowiu – rzekł Quarath, biorąc Crysanie za rękę z takim uczuciem i ciepłem, że młoda kobieta zarumieniła się. – Królkapłan spędził noc na modłach o twój powrót do zdrowia. Ten dowód jego wiary i mocy sprawi mu ogromną satysfakcję. Przedstawimy mu cię oficjalnie dziś wieczorem. Jednak teraz... – przerwał to, co Crysania zamierzała powiedzieć – powstrzymuję was przed udaniem się na poranne modły. Nie pozwólcie mi dłużej się zatrzymywać.

Skłoniwszy się im z wdziękiem, Quarath wyminął je i poszedł dalej korytarzem.

– Czy on nie bierze udziału w nabożeństwie? – spytała Crysania, odprowadzając kapłana spojrzeniem.

– Nie, moja droga – rzekła Elsa, uśmiechając się z powodu naiwności Crysanii. – On zawsze towarzyszy królowi-kapłanowi w jego prywatnym nabożeństwie wcześniej rano. Quarath jest przecież drugi po królu-kapłanie i co dzień musi się zajmować sprawami wielkiej wagi. Można by powiedzieć, że jeśli król-kapłan jest sercem i duszą kościoła, Quarath jest jego mózgiem.

– O, czyż to nie dziwne – szepnęła Crysania, myśląc o Elistanie.

– Dziwne, moja droga? – rzekła Elsa z lekkim wyrzutem. – Myśli króla-kapłana obracają się wokół bogów. Nie można od niego oczekiwać, że będzie zajmował się tak przyziemnymi sprawami, jak codzienne interesy kościoła, nieprawdaż?

– Nie, skądże znowu. – Crysania zaczerwieniła się z zażenowania.

Jakąż prowincjuską, prostacką i zacofaną musi wydawać się tym ludziom. Kiedy szła za Elsa przez jasne i przestronne korytarze, przepiękna muzyka dzwonów i cudowny śpiew chóru dziecięcego napełniły jej duszę ekstazą. Crysania przypomniała sobie prostą mszę, jaką Elistan odprawiał każdego poranka. I sam wykonywał większość prac w kościele!

Takie proste nabożeństwo wydawało jej się teraz nędzne, a praca Elistana poniżająca. Z pewnością odbiła się na jego zdrowiu. Być może, pomyślała z żalem, nie skróciłby tak swego życia, gdyby otoczony był ludźmi, którzy pomagiliby mu.

Cóż, to się zmieni, nagle postanowiła Crysania. Uświadomiła sobie, że to musiał być kolejny powód, dla którego wysłano ją w przeszłość: została wybrana, by przywrócić chwałę kościołowi! Drżąc z podniecenia, w myślach snując z przejęciem plany zmian, Crysania poprosiła Elbę, by opisała jej wewnętrzną strukturę kościelnej hierarchii. Elsa była ogromnie rada, że może rozwdzić się na ten temat podczas ich wędrówki korytarzem.

Pogrążona w ożywionej rozmowie i pilnie słuchająca każdego słowa Elsy Crysania zapomniała o Quarathu, który – w tym momencie – cicho otwierał drzwi do jej sypialni i wślizgiwał się do wnętrza.

## ***Rozdział V***

Quarath znalazł list od Par-Saliana w ciągu kilku chwil. Niemal natychmiast zauważył, że złote puzderko, które stało na blacie komódki, zostało przeniesione. Po krótkim przeszukaniu szuflad znalazł je, a ponieważ Quarath miał zapasowy klucz do wszystkich skrzynek, szuflad i drzwi w świątyni, z łatwością je otworzył.

Jednakże zrozumienie samego listu nie przyszło kapłanowi tak łatwo, choć na przyswojenie sobie jego treści potrzebował zaledwie kilku sekund. Została zapisana w jego pamięci, bowiem fenomenalna zdolność zapamiętywania wszystkiego, co widział, była jednym z największych talentów Quaratha. Tak więc w ciągu kilku sekund treść listu została powierzona jego pamięci. Zdawał sobie jednak sprawę, że zrozumienie jego sensu będzie wymagało wielu godzin rozważań.

Roztargnionym gestem Quarath złożył pergamin i schował go z powrotem w puzderku, po czym odstawił je dokładnie na to samo miejsce w szufladzie. Zamknął puzderko kluczykiem, bez zainteresowania przejrzał pozostałe szuflady i – nie znalazłszy niczego – opuścił pokój młodej kobiety, pogrążony w rozmyślaniach.

Treść listu była tak niepokojąca i zagadkowa, że odwołał wszystkie spotkania wyznaczone na ten poranek lub obarczył nimi swych podwładnych. Następnie udał się do swego gabinetu, przywołując na myśl każde zdanie, każde sformułowanie. Wreszcie domyślił się sensu – jeśli nie ku całkowitemu swemu zadowoleniu, przynajmniej w stopniu wystarczającym do określenia kierunku działania. Trzy sprawy rzucały się w oczy. Pierwsza: ta młoda kobieta może być kapłanką, ale ma coś wspólnego z czarodziejami, a więc jest podejrzana. Druga: król-kapłan jest w niebezpieczeństwie. Nie było to zaskoczeniem, bowiem czarodzieje mieli dość powodów, by obawiać się go i nienawidzić. Trzecia: młody mężczyzna, którego znaleziono wraz z Crysanią, był bez wątpienia zabójcą. Crysanią może być jego współniczką.

Quarath uśmiechnął się pośepnie, gratulując sobie, że już poczynił odpowiednie kroki w celu rozprawienia się z tym zagrożeniem. Dopilnował, by ten młodzieniec – najwyraźniej noszący imię Caramon – odbywał służbę w miejscu, gdzie od czasu do czasu zdarzały się nieszczęśliwe wypadki.

Co do Crysanii, ta znajdowała się w obrębie murów świątyni, gdzie można było ją bezpiecznie obserwować i subtelnie przesłuchiwać.

Oddychając lżej i czując, jak mu się przejaśnia w głowie, kapłan zadzwonił po służbę, aby przyniosła mu obiad. Był wdzięczny za świadomość, iż przynajmniej chwilowo, królkapłan jest bezpieczny.

Quarath był niezwykłym mężczyzną pod wieloma względami, między innymi dlatego, iż



pomimo swych wygórowanych ambicji, znał ograniczenia swych zdolności. Potrzebował króla-kapłana i nie miał ochoty zajmować jego miejsca. Quarathowi wystarczało pławienie się w blasku swego pana i jed – nocześnie rozszerzanie swej kontroli, władzy i potęgi nad światem – wszystko to w imieniu kościoła.

Rozszerzając swą władzę, poszerzał jednocześnie potęgę swej rasy. Natchnieni poczuciem wyższości nad innymi, jak również poczuciem własnego wrodzonego dobra, elfowie byli siłą motywującą kościół. Quarath miał wrażenie, że nieszczęśliwie się stało, iż bogowie uznali za stosowne stworzyć inne, słabsze rasy. Takie rasy, jak ludzi, którzy – ze swym krótkim i pośpiesznym żywotem – byli łatwym łupem dla pokus zła. Jednakże elfowie uczyli się radzić sobie z tym. Jeśli nie mogli zetrzeć całkowicie zła z powierzchni ziemi (a działali w tym kierunku), mogli chociaż zrobić coś, aby je opanować. To wolność rodziła zło – wolność wyboru. Szczególnie w przypadku ludzi, którzy bezustannie nadużywali tego daru. Trzeba dać im surowe reguły, w absolutnie jednoznaczny sposób określić, co jest dobre, a co złe, ograniczyć tę dziką wolność, z jakiej niewłaściwie korzystali. Quarath był przekonany, że w ten sposób podporządkuje ludzi i że będą zadowoleni.

Inne rasy na Krynnie, gnomów i krasnoludów, i (uff!) kenderów, Quarath (i wraz z nim kościół) szybko spychali na małe, izolowane terytoria, gdzie nie mogli wyrządzić większych szkód, i gdzie po pewnym czasie prawdopodobnie wymrą. (Ten plan dawał dobre rezultaty w przypadku gnomów i krasnoludów, których i tak nie interesowała reszta Krynnu. Na nieszczęście, kenderzy wcale nie wzięli sobie tego do serca i wciąż zadowoleni wędrowali po świecie, powodując nie kończące się kłopoty i bezmiernie ciesząc się życiem.) Takie myśli przebiegały Quarathowi przez głowę, gdy spożywał obiad i zaczynał układać plany. Niczego nie zrobi w pośpiechu w sprawie tej pani Crysanii. To nie leżało ani w jego zwyczaju, ani, jeśli o to chodzi, w zwyczaju elfów. Cierpliwość nade wszystko. Obserwować. Czekać. Potrzebował teraz tylko jednej rzeczy – więcej informacji. W tym celu potrząsnął złotym dzwoneczkiem. Młody akolita, który zaprowadził Denubisa do króla-kapłana, pojawił się na wezwanie tak szybko i cicho, jakby wślizgnął się pod drzwiami, a nie otworzył ich.

– Jaka jest twa wola, wielbny synu?

– Dwa niewielkie zadania – rzekł Quarath bez podnoszenia głowy, zajęty pisaniem listu. – Zanieś to Fistantilusowi. Dawno nie gościł u mnie na obiedzie i pragnę z nim porozmawiać.

– Fistantilus jest nieobecny, panie – powiedział akolita. – Właśnie byłem w drodze, aby ciebie o tym powiadomić.

Quarath uniósł głowę ze zdumienia.

– Nieobecny?

– Tak, wielbny synu. Przypuszczamy, że wyjechał zeszłej nocy. Przynajmniej wtedy ostatni raz go widziano. Jego pokój jest pusty, rzeczy zniknęły. Z tego, co powiedział, wnioskujemy, że

udał się do Wieży Wielkiej Magii w Wayreth. Wieść niesie, że czarodzieje urządzają tam Konklawe, choć nikt nie wie na pewno.

– Konklawe – powtórzył Quarath, marszcząc czoło. Milczał przez chwilę, stukając w papier czubkiem pióra. Wayreth jest daleko stąd... choć może nie wystarczająco... Kataklyzm... to dziwne słowo, którego użyto w liście. Czy to możliwe, że czarodzieje szykowali jakąś straszliwą katastrofę? Quarathowi zrobiło się zimno. Zgniół powoli zaproszenie, które pisał.

– Czy śledzono jego ruchy?

– Oczywiście, wielbny synu. W takim stopniu, jak było to możliwe w jego przypadku. Najwyraźniej nie opuszczał świątyni od miesiący. Za to, wczoraj widziano go na targu niewolników.

– Targ niewolników? – Quarath poczuł, jak ziąb rozprzestrzenia się po całym jego ciele. – Co on tam miał do roboty?

– Kupił dwóch niewolników, wielbny synu. Quarath nic nie rzekł, spojrzał jedynie pytająco.

.– Nie zakupił niewolników sam, panie. Zakupu dokonano przez jednego z jego agentów.

– Których niewolników? – Quarath znał już odpowiedź.

– Tych, których oskarżono o napad na tę kapłankę, wielbny synu.

– Wydałem przecież polecenie, żeby tych dwóch sprzedać albo krasnoludowi, albo do kopalni.

– Barak robił wszystko, co w jego mocy i rzeczywiście krasnolud zgłosił chęć zakupu. Jednak agenci Mrocznego przebili cenę. Barak nie mógł nic zrobić. Proszę pomyśleć o skandalu. Poza tym, jego agent i tak posłał ich do szkoły...

– Tak – mruknął Quarath. Zatem wszystko zaczynało się układać. Fistandantilus miał czelność kupić tego młodego mężczyznę, zabójcę! A potem zniknął. Bez wątpienia wyruszył złożyć raport. Ale dlaczego magowie mieliby wysługiwać się zabójcą? Fistandantilus sam mógłby zamordować króla-kapłana przy niezliczonych okazjach. Quarath miał wrażenie, że nieopatrznie zszedł z wyraźnej, dobrze oświetlonej ścieżki w ciemny i zdradziecki las.

Siedział w pełnym niepokoju milczeniu tak długo, że młody akolita trzykrotnie chrząknął, by subtelnie przypomnieć o swej obecności, zanim kapłan go zauważył.

– Masz jeszcze dla mnie jakieś zadanie, wielbny synu?

Quarath powoli pokiwał głową. – Tak, a ta wieść czyni owo zadanie jeszcze ważniejszym. Pragnę, byś sam się go podjął. Muszę porozmawiać z krasnoludem.

Akolita skłonił się i wyszedł. Nie było potrzeby pytać, kogo miał na myśli Quarath – w Istar był tylko jeden krasnolud.

Kim właściwie był Arack Rockbreaker, ani też skąd się tu wziął, nikt nie wiedział. Nigdy nie wspominał o swej przeszłości i zwykle robił tak groźną minę, gdy podnoszono ten temat, że natychmiast go porzucano. Spośród kilku interesujących przypuszczeń dotyczących tej sprawy

preferowano to, że jest banitą z Thorbardinu – prastarej ojczyzny górskich krasnoludów, gdzie popełnił jakąś zbrodnię, za którą został wygnany. Cóż to mogło być, nikt nie wiedział. Nikt też nie brał pod uwagę faktu, że krasnoludowie nigdy nie karali żadnej zbrodni wygnaniem, bowiem uważano egzekucję za karę bardziej humanitarną.

Inne plotki głosiły, że był w rzeczywistości Dewarem jednym z rasy złych krasnoludów, niemal wytępionej przez swych krewniaków i teraz zmuszonej pędzić nędzny, gorzki żywot w najgłębszych czeluściach ziemi. Choć Arack nie wyglądał, ani nie zachowywał się zdecydowanie jak Dewar, ta pogłoska swą popularność zawdzięczała faktowi, iż ulubionym (i jedynym) towarzyszem Aracka był ogr. Inna wieść niosła, że Arack wcale nie pochodził z Ansalonu, lecz zza morza.

Z pewnością był najgroźniej wyglądającym przedstawicielem swej rasy, jakiego ktokolwiek widział za swej pamięci. Poszarpane blizny, które pionowo przecinały jego twarz, sprawiały, że zdawał się wiecznie ponuro skrzywiony. Nie był otyły i ani gram wagi na jego ciele nie był zmarnowany. Poruszał się z kocim wdziękiem.

Bez względu na to, skąd pochodził, dla Aracka Istar był ojczyzną od tak wielu lat, że kwestia jego pochodzenia rzadko bywała poruszana. Wraz z ogrem, któremu na imię było Raag, przybyli na igrzyska w dawnych czasach, gdy zawody były odbywane na serio. Natychmiast stali się wielkimi ulubieńcami publiczności. Ludzie w Istar wciąż opowiadali o tym, jak Raag i Arack pokonali potężnego minotaura, Darmoorka, w trzech rundach. Zaczęło się od tego, że Darmoork wyrzucił krasnoluda poza arenę. Raag w szale berserkera uniósł minotaura i – lekceważąc własne, straszne rany nadział go na wielką Iglicę Wolności pośrodku areny.

Choć ani krasnolud (który przeżył tylko dzięki temu, że kapłan stał na ulicy w chwili, gdy krasnolud przeleciał nad murem areny i wylądował praktycznie u jego stóp), ani ogr nie zdobyli wolności tego dnia, nie było wątpliwości co do tego, kto był zwycięzcą zawodów. (Prawdę mówiąc, upłynęło wiele dni, zanim ktokolwiek dostał się do Złotego Klucza na iglicy, bowiem tak długo trwało usuwanie szczątków minotaura.) Arack dzielił się makabrycznymi szczegółami tej walki z dwoma nowymi niewolnikami.

– Stąd u mnie ta stara, potrzaskana facjata – rzekł krasnolud do Caramona, wiodąc ogromnego mężczyznę i kendera ulicami istar. – I w taki sposób wraz z Raagiem zdobyliśmy sławę w igrzyskach.

– Jakich igrzyskach? – spytał Tas, potykając się o łańcuchy i padając jak długi, ku wielkiej uciesze gawiedzi na rynku.

Poirytowany Arack skrzywił się gniewnie. – Zdejmij im to cholerne żelastwo – rozkazał gigantycznemu, żółtoskóremu ogrowi, który pełnił funkcję strażnika. – Chyba nie uciekniesz i nie porzucisz swego przyjaciela, prawda? – Krasnolud mierzył Tasa uważnym spojrzeniem. – Nie, nie zrobisz tego. Powiedziano mi, że raz miałeś okazję uciec i z niej nie skorzystałeś. Tylko

pamiętaj, żebyś nie próbował mi uciekać! – Naturalny grymas Aracka pogłębił się. Nigdy dotąd nie kupiłem kendera, ale nie miałem wielkiego wyboru. Oni powiedzieli, że wy dwaj musicie być sprzedani razem. Tylko pamiętaj, że – jeśli chodzi o mnie – jesteś bezużyteczny. A teraz, jakie głupie pytanie chciałeś zadać?

– Jak zamierzasz zdjąć te kajdany? Nie potrzebujesz klucza? Och! – Tas przyglądał się z radosnym zdumieniem, gdy ogr wziął łańcuchy w obie dłonie i rozerwał je szybkim szarpnięciem.

– Widziałeś to, Caramonie? – spytał Tas, gdy ogr podniósł go i postawiwszy na nogi, pchnął tak, że kender omal znów się nie przewrócił na ziemię. – On jest rzeczywiście silny! Nigdy przedtem nie spotkałem ogra. O czym to ja mówiłem? Och, o igrzyskach. Jakie igrzyska?

– No, przecież Igrzyska! – warknął doprowadzony do wściekłości Arack.

Tas zerknął na Caramona, lecz potężny mężczyzna wzruszył ramionami i pokręcił głową, marszcząc brwi. Najwyraźniej było to coś, o czym wszyscy tu wiedzieli. Zadawanie zbyt wielu pytań wyda się podejrzanе. Tas grzebał w pamięci i wywlekał wszelkie wspomnienia i opowieści, jakie słyszał o starożytnych czasach przed Katakлизmem. Nagle sapnął. – Te igrzyska! – rzekł do Caramona, zapominając, że krasnolud przysłuchuje się. – Wielkie Igrzyska Istar! Nie pamiętasz?

Caramon zrobił posępną minę.

– Czy to znaczy, że tam się udajemy? – Tas zwrócił się do krasnoluda, wytrzeszczając oczy. – Będziemy gladiatorami? I będziemy walczyć na arenie, a tłum będzie wiwatował i tak dalej! Och, Caramonie, pomyśl! Wielkie Igrzyska Istar! Ale słyszałem historie...

– Ja też – powiedział powoli wielki mężczyzna – i możesz o tym zapomnieć, krasnoludzie. Przyznaję, że zabijałem już ludzi – ale tylko wtedy, gdy mogłem przeżyć albo ja, albo oni. Nigdy nie lubiłem zabijać. Wciąż czasami w nocy widuję ich twarze. Nie będę mordować dla zabawy!

Oświadczył to tak srogo, że Raag spojrział pytająco na krasnoluda i lekko unióśł maczugę. Na jego żółtej, pokrytej brodawkami twarzy pojawił się entuzjazm. Arack jednakże spojrział na niego ze złością i potrząsnął głową. Tas przyglądał się Caramonowi z nowym szacunkiem. – Nigdy o tym nie myślałem – rzekł cicho kender. – Chyba masz rację, Caramonie. – Znów zwrócił się do krasnoluda. Bardzo mi przykro, Aracku, ale nie będziemy mogli walczyć dla ciebie.

Arack zachichotał. – Będiesz walczyć. Dlaczego? Bo to jedyny sposób zdjęcia tej obroży z twojej szyi, oto dlaczego.

Caramon zawzięcie potrząsnął głową. – Nie będę zabijał...

Krasnolud parsknął. – Gdzie wy żyliście? Na dnie Sirriona? Czy może w Solące wszyscy są tacy tępi, jak wy?

na arenie nie walczy aż do śmierci. – Oczy Aracka zaszyły mgłą. Przetarł je z westchnieniem. – Te dni odeszły na dobre, a szkoda. Teraz wszystko jest udawane.

– Udawane? – powtórzył ze zdumieniem Tas. Cara – mon patrzył bykiem na krasnoluda i nic nie mówił, najwyraźniej nie wierząc ani jednemu jego słowu.

– Od dziesięciu lat nie było na starej arenie prawdziwej walki – przysięgał Arack. – Wszystko zaczęło się od tych elfów – krasnolud splunął na ziemię. – Dziesięć lat temu elfi kapłani – oby wszyscy zapadli się do Otchłani, gdzie jest ich miejsce – przekonali króla-kapłana, by położył kres igrzyskom. Nazwali je „barbarzyństwem”! Barbarzyństwo, też coś! – Krasnolud wykrzywił się we wściekłym grymasie, a później znów westchnął i pokręcił głową.

– Wszyscy wielcy gladiatorzy odeszli – stwierdził z żalem Arack, cofając się wspomnieniami do czasów chwały. – Hobgoblin Danark – drugiego takiego wściekłego wojownika ze świecą by szukać. Albo Stary Josef Jednooki. Pamiętasz go, Raag? – Ogr smutno pokiwał głową. Stary Josef twierdził, że jest rycerzem solamnijskim. Zawsze walczył w pełnej zbroi bojowej. Wszyscy odeszli, z wyjątkiem mnie i Raaga. – W głębi zimnych oczu krasnoluda pojawił się błysk. – Widzisz, my nie mieliśmy gdzie się podziać, a poza tym miałem przecucie, że to jeszcze nie koniec igrzysk. Jeszcze nie.

Arack i Raag zostali w Istar. Zamieszkali na terenie opustoszałej areny i stali się nieoficjalnymi dozorcami. Przechodnie widywali ich tam codziennie. Raag człapał między ławkami na trybunie, zamiatał przejścia prymitywną miotłą albo po prostu siedział i gapił się tępo na arenę, gdzie pracował Arack. Krasnolud pieczołowicie konserwował maszyny w jamach śmierci, pilnując, by były naoliwione i sprawne. Ci, którzy widywali krasnoluda, czasami dostrzegali dziwny uśmiech na jego brodatej twarzy ze złamanym nosem.

Arack miał rację. Nie minęło kilka miesięcy od chwili, a już zakazano igrzysk, gdy kapłani zaczęli zauważać, że ich spokojne miasto nie było wcale spokojne. Bójki w karczmach i knajpach wybuchały z niepokojącą częstotliwością, zdarzały się bijatyki na ulicach, a raz nawet zamieszki. Napływały raporty, że igrzyska zeszyły do podziemia (dosłownie) i odbywają się w jaskiniach za miastem. Odkrycie kilku okaleczonych i zmasakrowanych ciał zdawało się to potwierdzać. Wreszcie w geście rozpaczony grupa ludzkich i elfich panów posłała do króla-kapłana delegację z prośbą o wznowienie igrzysk.

– Tak jak wulkan musi wybuchać, by dać ujście parze i trującym gazom spod ziemi – powiedział jeden z elfich panów – tak w szczególności dla ludzi igrzyska stanowią ujście dla ich bardziej przyziemnych instynktów.

Choć mowa ta bynajmniej nie zwiększyła sympatii ludzkich towarzyszy do owego elfiego szlachcica, zmuszeni byli przyznać, że miał wiele racji. Początkowo król-kapłan nie chciał o tym słyszeć. Nigdy nie cierpiał brutalnych zawodów. Życie jest świętym darem bogów, a nie czymś, co można zabrać tylko po to, by dostarczyć rozrywki żadnemu krwi tłumowi.

– I wtedy ja podsunąłem rozwiązanie – stwierdził zarozumiale Arack. – Nie mieli ochoty wpuścić mnie do swej pięknej i wymuskannej świątyni. – Krasnolud wyszczerzył zęby. – Ale nikt

nie zatrzyma Raaga, jeśli ten ma zamiar gdzieś wejść. Więc nie mieli wyboru.

– „Zacznijcie znów igrzyska”, powiedziałem im a oni spojrzeli na mnie, kręcąc tymi swymi długimi nosami.

– „Ale nie musi być zabijania”, mówię im. „Znaczy się, prawdziwego zabijania. Teraz posłuchajcie. Widzieliście, jak aktorzy uliczni grają Humę, prawda? Widzieliście, jak rycerz pada na ziemię, brocząc krwią, jęcząc i miotając się. A w pięć minut później wstaje i pije piwo w karczmie na rogu. Swego czasu pracowałem trochę na ulicy i... cóż... sami zobaczcie. Chodź tu, Raag”.

Raag podszedł z wielkim uśmiechem na tej jego brzydkiej, żółtej gębie.

„Daj mi miecz, Raag”, rozkazuję mu. Wtedy, zanim ktokolwiek pisnął choćby słowo, wbijam miecz Raagowi w kałdun. Trzeba było to widzieć! Jak nie tryśnie jucha! Ciekła mi po rękach, lała mu się z gęby. Ryknął głośno i padł na podłogę, jęcząc.

Trzeba było słyszeć, jak wrzasnęli – powiedział wesoło krasnolud, potrząsając głową nad tym wspomnieniem. – Już myślałem, że przyjdzie nam zbierać tych elfich panów z podłogi. No więc zanim zdążyli wezwać strażę, żeby mnie wyciągnęli, dałem kopa staremu Raagowi.

„Możesz już wstawać, Raag”, mówię mu.

No i usiadł, szczerząc do nich zębiska. A wszyscy zaczęli gadać naraz. – Krasnolud przedrzeźniał wysokie głosy elfów.

„Niezwykłe! Jak to zrobiłeś? To może być rozwiązanie...”

– A jak to zrobiłeś? – spytał zaciekawiony Tas. Arack wzruszył ramionami. – Dowiesz się. Dużo kurzej krwi, miecz z głownią, która chowa się do rękojeści – to proste. Tak też im powiedziałem. Poza tym, łatwo jest nauczyć gladiatorów, żeby udawali, że są ranni – nawet takiego matoła, jak mój stary Raag.

Tas spojrział z niepokojem na ogra, lecz Raag tylko szczerzył zęby, czule uśmiechając się do krasnoluda. – Większość z nich i tak robiła cyrk ze swych walk, żeby lepiej wyglądały dla frajerów – powinienem powiedzieć: dla publiczności. Cóż, król-kapłan zgodził się i – krasnolud wyprostował się z dumą – mianował mnie nawet mistrzem. Tak brzmi teraz mój tytuł: mistrz igrzysk.

– Nie rozumiem – rzekł powoli Caramon. – Chcesz powiedzieć, że ludzie płacą, żeby ich oszukiwać? Przecież musieli się domyślić...

– No, jasne – parsknął Arack. – Nigdy nie robiliśmy z tego wielkiej tajemnicy. Teraz to jest najpopularniejszy sport na Krynnie. Ludzie przebywają setki kilometrów, by obejrzeć igrzyska. Przychodzą elfi panowie – czasami nawet sam król-kapłan. No, jesteśmy na miejscu – powiedział Arack, zatrzymując się przed wielkim stadionem i przyglądając mu się z dumą.

Był z kamienia i miał setki lat, lecz w jakim celu go zbudowano, tego nikt nie pamiętał. W dni igrzysk ze szczytów kamiennych wież powiewały kolorowe proporce i tłoczyli się tu

ludzie. Dziś jednak nie odbywały się zawody, i nie zaczną się przed końcem lata. Teraz było tu nudno i szaro, pominąwszy jaskrawe malowidła na ścianach, przedstawiające wielkie wydarzenia w historii sportu. Na zewnątrz stało kilkoro dzieci, mając nadzieję, że choćby przelotnie zobaczy któregoś ze swych bohaterów. Warknąwszy na dzieci, Arack gestem kazał otworzyć Raagowi masywne, drewniane wrota.

– Mówisz, że nikt nie ginie – dopytywał się zawzięcie Caramon, spoglądając ponurym wzrokiem na arenę i krwawe malowidła.

Tas zauważył, że krasnolud dziwnie spojrział na Caramona. Twarz Aracka niespodziewanie stała się okrutna i wyrachowana, a ciemne, krzaczaste brwi zmarszczyły się nad jego małymi oczyma. Caramon nie dostrzegł tego, bowiem wciąż oglądał obrazy na ścianach. Tas pisnął i Caramon nagle obejrzał się na krasnoluda. Jednakże do tego czasu wyraz twarzy Aracka zmienił się.

– Nikt – powiedział krasnolud, szczerząc zęby i poklepując Caramona po ramieniu. – Nikt...

## ***Rozdział VI***

Ogr zaprowadził Caramona i Tasa do wielkiego pomieszczenia. Caramon odniósł wrażenie, że wypełnione jest ludźmi.

– On tu nowy – burknął Raag, wskazując żółtym, brudnym kciukiem na Caramona, który stał obok niego. W taki sposób Caramon został przedstawiony „szkole”. Czerwieniąc się, dotkliwie świadom żelaznej obręczy na szyi, która wskazywała, że jest czyjąś własnością, Caramon nie podnosił wzroku znad posypanej słomą drewnianej podłogi. Słyszając tylko mruknięcie w odpowiedzi na oświadczenie Raaga, Caramon podniósł głowę. Teraz widział, że znajduje się w jadalni. Dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn różnych ras i narodowości siedziało w małych grupkach i jadło obiad.

Niektórzy przyglądali się Caramonowi z zainteresowaniem, większość jednak wcale nie patrzyła na niego. Kilku skinęło głowami, inni nie przerywali jedzenia. Caramon nie był pewien, co ma teraz zrobić, lecz Raag rozwiązał ten problem. Położywszy rękę na ramieniu Caramona, ogr pchnął go obcesowo w stronę stołu. Caramon zachwiał się i niemal upadł, ale zdołał się zatrzymać w porę, by nie zderzyć się ze stołem. Odwróciwszy się gwałtownie, zmierzył ogra wściekłym spojrzeniem. Raag wyszczerzył do niego zęby, a ręce mu drżały z podniecenia.

On mnie celowo drażni, uświadomił sobie Caramon, który wiele razy widział takie miny w barach, gdzie ktoś zawsze starał się sprowokować osiłka do walki. Dobrze wiedział, że to akurat byłaby walka, której nie mógłby wygrać. Choć Caramon miał prawie dwa metry wzrostu, nie sięgał ogrowi nawet do ramienia, podczas gdy olbrzymia dłoń Raaga mogła owinać się dwukrotnie wokół grubego karku Caramona. Caramon przełknął ślinę, potarł posiniaczoną nogę i siadł na długiej, drewnianej ławie.

Posławszy szydercze spojrzenie wielkiemu człowiekowi, Raag omiół krzywym wzrokiem wszystkich pozostałych w jadalni. Ze wzruszeniem ramion i cichym szmerem rozczarowania mężczyźni wrócili do posiłku. Od stołu w kącie, gdzie siedziała grupa minotaurów, dobiegł śmiech. Uśmiechając się do nich, Raag wyszedł z pomieszczenia.

Czując, że się rumieni z zawstydenia, Caramon przycupnął na ławie. Ktoś siedział naprzeciwko niego, lecz ogromny wojownik nie czuł się na siłach spojrzeć mu w oczy. Tasslehoff nie miał takich oporów. Wgramoliwszy się na ławę obok Caramona, kender z ciekawością przyglądał się ich sąsiadowi.

– Jestem Tasslehoff Burrfoot – powiedział, wyciągając rączkę do olbrzymiego, czarnoskórego mężczyzny, również noszącego żelazną obrozę, który siedział naprzeciwko nich. – Ja też jestem nowy – dodał kender, czując się urażony, że go nie przedstawiono. Czarny mężczyzna podniósł wzrok znad talerza, spojrzął na Tasa, zignorował dłoń kendera, po czym



przeniósł spojrzenie na Caramona.

– Wy dwaj jesteście partnerami?

– Aha – odparł Caramon, wdzięczny, że mężczyzna nie wspomniał w ogóle o Raagu. Nagle zdał sobie sprawę, że pachnie jedzeniem i wachał chciwie, czując, jak mu ślina napływa do ust. Spoglądając z podziwem na talerz mężczyzny, na którym piętrzyła się pieczeń z jelenia, ziemniaki i grube kromki chleba, westchnął. – Wygląda na to, że przynajmniej karmią tu dobrze.

Caramon spostrzegł, że czarnoskóry mężczyzna zerka na jego wystający brzuch, a potem wymienia rozbawione spojrzenia z wysoką, uderzająco piękną kobietą, która zajęła miejsce obok niego, również z talerzem pełnym jedzenia. Kiedy Caramon spojrział na nią, wybałuszył oczy. Niezdarnie próbował wstać i skłonić się.

– Sługa uniżony, jaśnie pani... – zaczął.

– Siadaj, łamago! – warknęła gniewnie kobieta, a jej opalona skóra pociemniała. – Wszyscy będą się śmiać z ciebie!

Rzeczywiście, kilku mężczyzn zachichotało. Kobieta odwróciła się i posłała im wrogie spojrzenie, sięgając szybko po sztylet, który nosiła za paskiem. Na widok błysku w jej zielonych oczach, mężczyźni przestali się śmiać i wrócili do jedzenia. Kobieta zaczęła, by się upewnić, że wszyscy są odpowiednio zastraszeni, po czym poirytowana skupiła uwagę na swym posiłku, dziabiając mięso szybkimi uderzeniami widelca.

– Prze-przepraszam – wyjąkał Caramon, a jego wielka twarz zaczerwieniła się. – Nie chciałem...

– Daruj sobie – powiedziała kobieta gardłowym głosem. Miała osobliwy akcent, Caramon nie potrafił go umiejscowić. Wyglądała jak człowiek, pominawszy dziwny sposób mówienia – dziwniejszy jeszcze niż innych ludzi tutaj – oraz fakt, że jej włosy miały bardzo szczególny kolor – jakby matowy, ołowianozielony. Były gęste i proste, a nosiła je splecione w długi warkocz spuszczone na plecy.

– Rozumiem, że jesteś tu nowy. – Nie traktuj mnie inaczej niż całej reszty. Ani tu, ani na arenie. Zrozumiałeś?

– Na arenie? – powiedział osłupiały Caramon. Ty... ty jesteś gladiatorem?

– I to jednym z najlepszych – rzekł czarnoskóry mężczyzna naprzeciwko nich i uśmiechnął się. – Jestem Pheragas z Północnego Ergothu, a to jest sirina Kiiri...

– Sirina! Z głębin morskich? – spytał podekscytowany Tas. – Jedna z tych kobiet, które potrafią zmieniać kształt i...

Kobieta posłała kenderowi spojrzenie tak pełne wściekłości, że Tas zamrugał powiekami i umilkł. Potem jej wzrok padł szybko na Caramona. – Czy to cię bawi, niewolniku?

– spytała Kiiri, nie spuszczać oczu z nowej obroży Caramona.

Caramon dotknął jej dłonią, znów się czerwieniąc. Kiiri zaśmiała się, krótko i gorzko, lecz

Pheragas spojrział na niego ze współczuciem.

– Po jakimś czasie przyzwyczaisz się – powiedział wzruszając ramionami.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczajaj! – powiedział Caramon, zaciskając wielką pięść.

Kiiri zerknęła na niego. – Przyzwyczaisz się, bo inaczej pęknie ci serce i umrzesz – powiedziała chłodno. Tak była piękna i miała tak dumną postawę, że jej żelazna obroża mogła być złotym naszyjnikiem, pomyślał Caramon. Chciał odpowiedzieć, lecz przerwał mu grubas w białym, zatłuszczonym fartuchu, który z łomotem postawił talerz z jedzeniem przed Tasslehoffem.

– Dziękuję – powiedział uprzejmie kender.

– Nie przyzwyczajaj się do obsługi – warknął kucharz. – Potem będziesz sam brał swój talerz, jak wszyscy. Masz – rzucił na stół przed kenderem drewniany krążek – to twój żeton na posiłek. Jak go nie pokażesz, nie dostaniesz żarcia. A to twój – dodał, rzucając następny Caramonowi.

– A gdzie moje jedzenie? – spytał Caramon, chowając drewniany krążek do kieszeni.

Kucharz z rozmachem postawił miskę przed Caramonem, a potem odwrócił się, by odejść.

– Co to jest? – zawarczał Caramon, wpatrując się w miskę.

Tas nachylił się, by popatrzeć. – Rosół – stwierdził uczynnie.

– Ja wiem, co to jest – rzekł Caramon głębokim głosem. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy to jakiś dowcip? Jeśli tak, to nie jest śmieszny – dodał, patrząc spode łba na Pheragasa i Kiiri, którzy szczerzyli do niego zęby w uśmiechu. Obróciwszy się na ławie, Caramon wyciągnął rękę i złapał kucharza, szarpiąc go mocno. – Pozbądź się tych pomysłów i przynieś mi coś do jedzenia!

Kucharz wyrwał się z uścisku Caramona z zaskakującą zwinnością i szybkością, wykręcił ogromnemu mężczyźnie rękę do tyłu i wepchnął mu twarz do miski z zupą.

– Jedz i niech ci smakuje – warknął kucharz, za włosy wyciągając ociekającą głowę Caramona z zupy. – Bo – jeśli chodzi o jedzenie – niczego więcej nie zobaczysz przez dobry miesiąc.

Tasslehoff przestał jeść i rozpromienił się. Kender zauważył, że wszyscy znów przerwali posiłek pewni, że tym razem wybuchnie bijatyka.

Ociekająca zupą twarz Caramona pobladła śmiertelnie. Na jego policzkach wykwitły czerwone plamy, a oczy błyszczały mu groźnie.

Kucharz przyglądał mu się zarozumiale z zaciśniętymi pięściami.

Tas czekał z entuzjazmem na widok kucharza rozniesionego na strzępy po całej jadalni. Caramon zacisnął wielkie pięści, aż zbiały mu kostki. Jedna z ogromnych dłoni uniosła się i – powoli – Caramon zaczął wycierać rosół z twarzy.

Parsknąwszy wzgardliwie, kucharz odwrócił się i oddalił dumnym krokiem.

Tas westchnął. To z pewnością nie jest dawny Caramon, pomyślał ze smutkiem,

przypominając sobie Caramona, który gołymi rękoma zabił dwóch smokowców, zderzając ich o siebie głowami, Caramona, który kiedyś pokonał piętnastu rzezimieszków, próbujących go obrabować. Zerkając na Caramona kątem oka, Tas przełknął ostre słowa, które miał na końcu języka i z bólem serca wrócił do obiadu.

Caramon jadł pomału, nabierając zupę łyżką i łykając ją, jakby nie czuł jej smaku. Tas zobaczył, że kobieta i czarnoskóry mężczyzna znów zamienili spojrzenia i przez chwilę obawiał się, że będą się naśmiewać z Caramona. Prawdę powiedziawszy, Kiiri zamierzała coś powiedzieć, lecz rzuciwszy spojrzeniem po sali – gwałtownie zamknęła usta i zajęła się posiłkiem. Tas spostrzegł, że Raag ponownie wszedł do jadalni, a za nim wtoczyło się dwóch krępych ludzi.

Podeszli i zatrzymali się za Caramonem. Raag szturchnął potężnego wojownika.

Caramon obejrzał się powoli. – Co jest? – spytał otępiałym głosem, którego Tas nie poznawał.

– Chodź natychmiast – powiedział Raag.

– Jem teraz – zaczął Caramon, lecz ci dwaj złapali go za ramiona i zwlekli z ławy, zanim zdążył dokończyć zdanie. Wtedy Tas zauważył przeblysłk starego ducha Caramona. Z twarzą, która nabrała brzydkiego, ciemnego odcienia czerwieni, Caramon niezgrabnie zamachnął się na jednego z nich. Jednakże mężczyzna, śmiejąc się szydlerczo, uchylił się bez trudu. Jego partner brutalnie kopnął Caramona w brzuch. Caramon zgiął się z jękiem, padając na podłogę. Postawiono go na nogi. Zwiesiwszy głowę, Caramon dał się wyprowadzić.

– Zaczekaj! Gdzie... – Tas wstał, lecz poczuł silną dłoń na swej dłoni.

Kiiri potrząsnęła głową ostrzegawczo i Tas ponownie usiadł.

– Co oni z nim zrobią? – spytał.

Kobieta wzruszyła ramionami. – Skończ jeść – powiedziała surowo.

Tas odłożył widelec. – Nie jestem bardzo głodny – wymamrotał przygnębiony, przypomniawszy sobie dziwne, pełne okrucieństwa spojrzenie krasnoluda posłane Caramonowi przy wejściu do areny.

Czarnoskóry mężczyzna uśmiechnął się do kendera, który siedział naprzeciwko niego. – Chodź – powiedział, wstając i na znak przyjaźni wyciągając rękę do Tasa. Pokażę ci twój pokój. Wszyscy przez to przechodzimy pierwszego dnia. Twój przyjaciel będzie zdrow i cały w swoim czasie.

– W swoim czasie. – Kiiri parsknęła, odpychając swój talerz.

Tas leżał sam w pokoju, który wedle tego, co mu powiedziano, będzie dzielił z Caramonem. Nie było tu nic nadzwyczajnego. Umiejscowiona pod areną klitka przypominała raczej celę więzienną niż komnatę. Kiiri powiedziała mu, że wszyscy gladiatorzy mieszkali w takich pomieszczeniach. – Są czyste i ciepłe – powiedziała. – Niewielu na tym świecie mogłoby to samo

powiedzieć o miejscu, gdzie sypiają. Poza tym, gdybyśmy żyli w luksusie, stalibyśmy się mięczakami.

Cóż, to z pewnością im nie groziło, stwierdził kender spoglądając na gołe, kamienne ściany, pokrytą słomą posadzkę, stół z dzbankiem na wodę i miską, oraz dwa kufarki, w których mieli trzymać swe rzeczy. Przez jedyne okienko, umieszczone wysoko w suficie na wysokości gruntu, wpadał snop światła. Leżąc na twardym łóżku, Tas przyglądał się podróży słońca po pomieszczeniu. Kender mógłby wybrać się na zwiedzanie, ale miał wrażenie, że nie bawiłby się dobrze, póki nie dowie się, co zrobili z Caramonem.

Smuga słońca na podłodze wydłużała się coraz bardziej. Drzwi się otworzyły i Tas podskoczył z zapałem, lecz to był tylko kolejny niewolnik, który rzucił jakiś worek na podłogę, po czym ponownie zamknął drzwi. Tas obejrzał zawartość worka i serce mu się ścisnęło. To były rzeczy Caramona! Wszystko, co miał na sobie – łącznie z ubraniem!

Tas przyjrzał im się dokładnie, szukając plam krwi. Nic. Wyglądały zupełnie normalnie... Jego dłoń zacisnęła się na czymś twardym w wewnętrznej, tajnej kieszonce.

Tas szybko to wyciągnął. Wstrzymał oddech. Magiczne urządzenie Par-Saliana! Jak mogli je przegapić, zastanawiał się, podziwiając przepiękny, wysadzany klejnotami wisiorek, jednocześnie obracając go w dłoni. Oczywiście, przecież jest magiczny, przypomniał sobie. Teraz nie sprawiał wrażenia niczego więcej niż błyskotka, lecz na własne oczy widział, jak Par-Salian zmienił go w coś takiego z podobnego do berła przedmiotu. Bez wątplenia miał moc uniknięcia odkrycia, jeśli nie chciał zostać odkryty.

Gładząc go, trzymając i przyglądając się, jak słońce migocze w roziskrzonych klejnotach, Tas westchnął z tęsknotą. To była najwspanialsza, najcudowniejsza, najfantastyczniejsza rzecz, jaką widział w swym życiu. Pragnął jej wręcz rozpaczliwie. Bez namysłu podniósł się i sięgnął po sakiewki, ale zdołał się opanować.

Tasslehoffie Burrfoot, rzekł głos niemile przypominający głos Flinta, mieszasz się w Poważne Sprawy. To jest Droga do Domu. Sam Par-Salian, wielki Par-Salian dał to Caramonowi podczas poważnej ceremonii. To należy do Caramona. To jego własność, nie masz do niej żadnego prawa!

Tas zadrżał. Z pewnością nigdy przedtem nie przychodziły mu do głowy podobne myśli. Z powątpiewaniem popatrzył na urządzenie. Może to ono wkłada te nieprzyjemne myśli do jego głowy!

Doszedł do wniosku, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Czym prędzej odniósł urządzenie i włożył je do skrzyni Caramona. Potem w geście dodatkowego zabezpieczenia zamknął kuferek i wetknął klucz do ubrania Caramona. Wrócił na swe łóżko jeszcze bardziej przygnębiony.

Słońce niemal zupełnie znikło i kender niepokoił się coraz mocniej, gdy usłyszał jakies

hałas na zewnątrz. Drzwi otworzono gwałtownym kopniakiem.

– Caramonie! – krzyknął przerażony Tas, zrywając się na równe nogi.

Dwóch krzepkich ludzi wciągnęło ogromnego mężczyznę przez próg i rzuciło go na łóżko. Potem wyszli, szczerząc zęby w uśmiechu. Gdy zatrzasnęli drzwi za sobą, od strony posłania dobiegł cichy jęk.

– Caramonie! – szepnął Tas. Pośpiesznie chwycił dzbanek, nalał trochę wody do miski i przyniósł ją do łóżka potężnego wojownika. – Co oni ci zrobili? – spytał cicho, zwilżając mu wargi.

Caramon znów zajęczał i słabo pokręcił głową. Tas szybko obejrzał ciało wielkiego mężczyzny. Nie było widocznych ran, krwi, opuchlizn, sinych pręg, czy śladów chłosty. Niemniej jednak gołym okiem widać było, że torturowano go i że cierpiał męki. Był zlany potem, miał zapadnięte oczy. Jego mięśnie drżały konwulsyjnie, a z ust wyrwał się jęk bólu.

– Czy... czy rozciągano cię na łożu? – spytał Tas, przetykając ślinę. – Czy łamano cię kołem? A może to te śruby do miażdżenia kciuków? – Żadna z tych metod nie zostawiała śladów na ciele, tak przynajmniej słyszał.

Caramon wymamrotał jakieś słowo.

– Co? – Tas nachylił się, przemywając mu twarz wodą. – Co powiedziałeś? Ryt... rytmi... co? Nie dosłyszałem. – Kender zmarszczył czoło. – Nigdy nie słyszałem o torturze nazywanej rytmi-coś-tam – wymamrotał. Ciekawe, co to może być?

Caramon powtórzył, znów jęcząc.

– Rytmi... rytmi... rytmika! – stwierdził triumfalnie Tas. Wtedy upuścił dzbanek z wodą na podłogę. – Rytmika? To nie tortura!

Caramon znów zajęczał.

– To gimnastyka, ty wielki mazgaju! – wrzasnął Tas. – Czy chcesz powiedzieć, że podczas gdy ja czekałem tu i zamartwiałem się na śmierć, wyobrażając sobie najokropniejsze rzeczy, ty się gimnastykowałeś!

Caramon miał jeszcze dość siły, by podźwignąć się na posłaniu. Wyciągnąwszy wielką rękę, złapał Tasa za kołnierz koszuli i przyciągnął go, by spojrzeć mu w oczy.

– Kiedyś złapały mnie gobliny – wyszeptał ochryple Caramon – przywiązały do drzewa i dręczyły przez całą noc. Byłem raniony przez smokowców w Xak Tsaroth. Smoczęta gryzły mnie po nogach w lochach Królowej Ciemności. Przysięgam ci, że teraz cierpię większe męki niż kiedykolwiek w moim życiu! Odczep się ode mnie i pozwól mi umrzeć w spokoju.

Z kolejnym jękiem Caramon bezwładnie opuścił rękę. Zamknął oczy. Tłumiąc złośliwy uśmiech, Tas podreptał z powrotem do swego łóżka.

– On myśli, że teraz cierpi – zauważył kender. To co będzie jutro rano?

Lato skończyło się w Istar. Nadeszła jesień, jedna z piękniejszych za czyjejkolwiek pamięci.

Caramon rozpoczął trening i nie umarł, choć bywały takie chwile, kiedy myślał, że śmierć byłaby łatwiejsza. Tas również niejednokrotnie odczuwał nieodpartą pokusę, by dobić tego wielkiego, rozpuszczonego dzieciaka. Jedną z tych okazji była noc, kiedy Tasa zbudził raniący serce szloch.

– Caramonie? – powiedział sennie Tas, siadając na łóżku.

Żadnej odpowiedzi, tylko kolejny szloch.

– Co ci jest? – spytał Tas, nagle zatroskany. Wstał z łóżka i podreptał do niego po zimnej, kamiennej posadzce.

– Coś ci się śniło? Zobaczył w blasku księżycy, że Caramon pokiwał głową.

– Czy to była Tika? – zapytał kender o gołęxim sercu, czując, jak jemu samemu łzy napływają do oczu na widok żalu wielkiego mężczyzny. – Raistlin? Nie. Ty sam? Boisz się...

– Bułeczka! – zaszlochał Caramon.

– Co? – spytał osłupiały kender.

– Bułeczka! – zachlipał Caramon. – Och, Tas! Jestem taki głodny. I śniła mi się taka bułeczka, jakie piekła Tika, cała obłana słodkim miodem i posypana tymi malutkimi, chrupiącymi orzeszkami...

Tas podniósł but, rzucił nim w wojownika i z odrazą wrócił do łóżka.

Pod koniec drugiego miesiąca surowych ćwiczeń Tas popatrzył na Caramona i musiał przyznać, że było to właśnie to, czego ten ogromny mężczyzna potrzebował. Zwały tłuszczu w jego pasie znikły, uda znów były jędrne i muskularne, mięśnie napęczniały na ramionach, klatce piersiowej i plecach. Oczy miał błyszczące i bystre, znikło puste, tępe spojrzenie. Caramon wypocił krasnoludzką gorzałkę, pozbył się zaczerwienienia nosa i nalanych policzków. Od przebywania na słońcu był opalony na ciemnozłoty brąz. Krasnolud nakazał Caramonowi zapuścić długie włosy, zgodnie z obowiązującą aktualnie modą w Istar, tak że jego brązowe kędziory otaczały twarz i spływały mu na plecy.

Caramon był teraz doskonałym wojownikiem – choć zawsze był dobrze wyszkolony i choć przeszedł jedynie nieformalny trening, podchwytyjąc techniki władania bronią głównie od swej starszej przyrodniej siostry, Kitiary. Arack sprowadzał trenerów z całego świata i Caramon uczył się teraz techniki od najlepszych.

To nie było wszystko, zmuszony był bowiem również bronić się w codziennych starciach gladiatorów. Niegdyś dumny ze swych umiejętności zapaśniczych, Caramon został głęboko zawstydzony, kiedy zwałił się na plecy zaledwie po dwóch rundach walki z kobietą, Kiiri. Czarnoskóry mężczyzna, Pheragas, wytrącił Caramonowi miecz po jednym zwarciu, po czym na dokładkę przyłożył mu po głowie jego własną tarczą.

Caramon jednakże był pojętym i uważnym uczniem. Dzięki wrodzonym zdolnościom uczył się szybko i nie uptynęło wiele czasu, nim Arack z radością przyglądał się, jak wielki mężczyzna bez trudu przewrócił Kiiri, a potem spo – kojnie oplatał Pheragasa jego własną siecią,

przyspiliłając czarnego mężczyznę do areny jego własnym trójzębem.

Sam Caramon dawno nie czuł się taki szczęśliwy. Nadal nie cierpiał tej żelaznej obroży i wciąż miał ochotę zerwać ją i uciec. Niemniej jednak uczucia te słabły w miarę zaciekawienia treningiem. Caramonowi zawsze odpowiadało żołnierskie życie. Lubił, gdy ktoś mówił mu, co ma robić i kiedy ma to zrobić. Jedynym jego prawdziwym problemem był brak umiejętności aktorskich.

Caramon był otwarty i szczery, wręcz do przesady, toteż najtrudniejsza część jego szkolenia nadeszła w momencie, gdy musiał udawać, że przegrywa. Miał krzyknąć głośno z udawanego bólu, gdy Rolf skakał mu na plecy. Musiał nauczyć się, jak padać „straszliwie raniony”, gdy Barbarzyńca dźgał go składanymi mieczami.

– Nie! Nie! Nie! Ty wielki kretynie! – wydzierał się bez przerwy Arack. Kłąc, któregoś dnia krasnolud podszedł do Caramona, i uderzył go mocno pięścią prosto w twarz.

– Auuu! – wrzasnął Caramon z prawdziwego bólu, nie ośmielając się odwzajemnić ciosu. Raag przyglądał się temu z radością.

– O tak... – powiedział Arack, odstępując o krok zwycięsko i zaciskając pięści z zakrwawionymi knykciami. – Zapamiętaj ten wrzask. Frajerom bardzo się spodoba.

Jednakże jako aktor Caramon był beznadziejny. Nawet kiedy krzyczał, brzmiało to „bardziej jakby kto dziewczkę w tyłek uszczypnął niż jak głos konającego”, powiedział z odrazą Arack do Kiiri. Aż któregoś dnia krasnolud wpadł na pomysł.

Przyszedł mu on do głowy podczas przyglądania się popołudniowemu treningowi. Tak się złożyło, że tego dnia mieli nieliczną publiczność. Arack czasami wpuszczał niektóre osoby na trybuny, odkrył bowiem, że to jest korzystne dla interesów. Tym razem gościł szlachcica, który przyjechał ze swą rodziną z Solamnii. Szlachcic ów miał dwie niezmiernie czarujące, młode córki, które od chwili, gdy weszły na trybuny, nie odrywały oczu od Caramona.

– Dlaczego nie widziałyśmy jego walki wczoraj wieczorem? – jedna z nich spytała ojca.

Szlachcic spojrział pytająco na krasnoluda.

– On jest nowy – odburknął Arack. – Wciąż jest szkolony. Ale jest niemal gotów. Prawdę mówiąc, właśnie myślałem, żeby go wprowadzić. Czy powiedziałaś, panie, że wracasz na igrzyska?

– Nie zamierzaliśmy – zaczął szlachcic, lecz obie jego córki wykrzyknęły zrozpaczone. – Cóż – poprawił się. – Być może... jeśli dostaniemy bilety.

Obie dziewczyny klasnęły w dłonie, spoglądając znów na Caramona, który ćwiczył szermierkę z Pheragasem. Opalone ciało młodego mężczyzny błyszczało od potu, a włosy przykleiły się mokrymi splotami do jego twarzy. Mężczyzna poruszał się z wdziękiem wspaniale wyszkolonego atlety. Zauważywszy pełne podziwu spojrzenie dziewcząt, krasnolud nagle pojął, jak przystojnym młodzieńcem musi być Caramon.

– Musi wygrać – powiedziała jedna z dziewcząt, wzdychając. – Nie mogłabym znieść widoku jego klęski!

– Zwycięzy – stwierdziła druga. – Jego przeznaczeniem jest zwyciężać. Ma wygląd zwycięzcy.

– Oczywiście! To rozwiązuje wszystkie moje problemy! – powiedział niespodziewanie krasnolud. Szlachcic i jego rodzina spojrzeli na niego zdumieni. – Zwycięzca! Tak go nazwę. Nigdy nie został pokonany! Nie wie, jak się przegrywa! Przysiągł odebrać sobie życie, gdyby ktoś go kiedyś pobił!

– Och, nie! – wykrzyknęły zrozpaczone obie dziewczyny. – Nie mów takich rzeczy.

– To prawda – powiedział krasnolud z namaszczeniem, zacierając dłonie.

– Będą się zjeżdżać z całej okolicy w promieniu wielu kilometrów – powiedział później Raagowi – w nadziei, że będą obecni tego wieczoru, gdy Caramon przegra. A on oczywiście nie przegra – przynajmniej nieszybko. Tym – czasem będzie pozeraczem serc. Teraz to widzę. I mam właśnie odpowiedni kostium...

Tymczasem Tasslehoff stwierdził, że życie na arenie jest całkiem interesujące. Wpierw był głęboko zraniony, gdy powiedziano mu, że nie może być gladiatorem (Tas w marzeniach widział siebie jako kolejnego Kronina Thistleknota – bohatera Kenderówka), i przez kilka pierwszych dni snuł się przygnębiony i znudzony. Skończyło to się tym, że nieomal zginął, zabity przez rozwścieczonego minotaura, który zastał kendera radośnie przeszukującego jego pokój.

Minotaurzy wpadli w straszną złość. Walczyli na arenie jedynie z miłości do tego sportu i uważali się za wyższą rasę. Mieszkali i spożywali posiłki z dala od pozostałych, a ich kwatery były święte i nienaruszalne.

Zaciągnąwszy kendera przed oblicze Aracka, minotaur zażądał, aby pozwolono mu rozpruć Tasa i wypić jego krew. Krasnolud może zgodziłby się – osobiście nie przepadał za kenderami – ale przypomniał sobie rozmowę z Quarathem tuż po tym, jak kupił obu niewolników. Z jakiegoś powodu najwyższe władze kościoła w kraju były zainteresowane tym, by nic się tym dwóm nie stało. Musiał więc odmówić minotaurowi, lecz ułagodził go, dając mu dzika, którego mógł zarznąć dla zabawy. Potem Arack zabrał Tasa na bok, kilka razy uderzył go w twarz i wreszcie dał mu pozwolenie na opuszczenie stadionu i rozglądanie się po mieście, jeśli kender obieca wrócić na noc.

Tas, który i tak się wymykał ze stadionu, był niezmiernie uradowany i odpłacił krasnoludowi za jego dobroć, przynosząc mu wszystkie drobiazgi, jakie jego zdaniem mogły się Arackowi podobać. Doceniając te starania, Arack poprzestał na obiciu kendera kijem, gdy przyłapał go na próbie przemycenia ciasta dla Caramona, zamiast wychłostać go, jak uczyniłby to normalnie.

Tak więc Tas chodził po Istar właściwie jak chciał, szybko nauczywszy się wymijać straż miejską, która żywiła zu – pełnie niezrozumiały wstręt do kenderów. W taki oto sposób



Tasslehoff mógł wejść do samej świątyni.

Pomimo treningu, diety i innych problemów, Caramon nie tracił z oczu swego prawdziwego celu. Otrzymał zwięzłą wiadomość od pani Crysanii, więc wiedział, że jest zdrowa. Jednak po Raistlinie nie było śladu.

Z początku Caramon stracił nadzieję, że znajdzie swego brata czy Fistantilusa, nie pozwalano mu bowiem opuszczać areny. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że Tasowi znacznie łatwiej jest chodzić w różne miejsca i rozglądać się niż jemu, nawet gdyby był wolny. Ludzie skłonni byli traktować kenderów w taki sam sposób, w jaki traktowali dzieci: jakby ich nie było. A Tas był jeszcze większym ekspertem niż większość kenderów, jeśli chodziło o wtapianie się w cienie i chowanie za zasłony, czy skradanie po cichu korytarzami.

Oprócz tego korzystne było to, że sama świątynia była tak przestronna i pełna ludzi o niemal każdej porze, że jednego kendera łatwo zlekceważyć. Co najwyżej powiedziano by mu ze złością, żeby się nie plątał pod nogami. Jeszcze bardziej sprzyjał mu fakt, że w kuchni pracowało kilku kenderskich niewolników, a nawet byli tam nieliczni kenderscy kapłani, którzy mogli swobodnie przychodzić i odchodzić.

Tas miał ogromną ochotę zaprzyjaźnić się z nimi i wypytać o ojczyznę – szczególnie kenderskich kapłanów, bowiem nie wiedział nawet, że tacy istnieją. Nie śmiał jednak tego uczynić. Caramon ostrzegł go, by za dużo nie mówił i tym razem Tas wziął to ostrzeżenie serio. Stwierdził, że stałe pilnowanie się, by nie powiedzieć czegoś o smokach albo Kataklizmie, albo o czymś innym, co by wszystkich zdenerwowało, doprowadza go do rozstroju nerwowego. Doszedł do wniosku, że łatwiej będzie w ogóle uniknąć pokusy, więc zadowalał się myszkowaniem po świątyni i zbieraniem informacji.

– Widziałem Crysanię – zameldował Caramonowi pewnego wieczoru, gdy wrócili po kolacji i turnieju walki na ręce z Pheragasem. Tas położył się na łóżku, podczas gdy Caramon na środku pokoju ćwiczył władanie maczugą i łańcuchem. Arack chciał bowiem, by Caramon umiał posługiwać się także bronią inną niż miecz. Widząc, że Caramon nadal potrzebuje dużo ćwiczeń, Tas skulił się na końcu łóżka – poza zasięgiem dzikich zamachów wielkiego mężczyzny.

– Jak się miewa? – spytał Caramon, oglądając się na kendera z ciekawością.

Tas pokręcił głową. – Nie wiem. Wygląda dobrze, a przynajmniej nie wygląda na chorą. Nie sprawia jednak wrażenia szczęśliwej. Jest bardzo blada, a kiedy spróbowałem z nią porozmawiać, zlekceważyła mnie. Wydaje mi się, że mnie w ogóle nie poznała.

Caramon zmarszczył brwi. – Sprawdź, czy uda ci się dowiedzieć, co jej jest – powiedział. – Pamiętaj, że ona też szukała Raistlina. Może to ma coś wspólnego z nim.

– W porządku – odparł kender, a potem schylił się, gdy maczuga świsnęła mu nad głową. – Hej, ostrożnie! Odsuń się trochę. – Pomacał ostrożnie swoją kitkę, by sprawdzić, czy ma wszystkie włosy na miejscu.

– Jeśli chodzi o Raistlina – rzekł Caramon przygnębiony – to nie sądzę, żeby dziś udało ci się coś znaleźć, prawda?

Tas pokręcił głową. – Zadałem masę pytań. Fistantantilus ma uczniów, którzy czasami pojawiają się i znikają. Nikt jednak nie widział kogoś, kto odpowiadałby rysopisowi Raistlina. A wiesz, ludzie ze złotą skórą i klepsydrowymi oczami raczej rzucają się w oczy. Ale – kender spojrzał radośniej – może wkrótce czegoś się dowiem. Słyszałem, że Fistantantilus wrócił.

– Naprawdę? – Caramon przestał wymachiwać maczugą i odwrócił się do Tasa.

– Tak. Nie widziałem go, ale kilku kapłanów mówiło o tym. Zdaje się, że pojawił się wczoraj wieczorem w sali audiencyjnej króla-kapłana. Ot tak – puf! I już był. Bardzo dramatyczne.

– Aha – sapnął Caramon. Wymachując w zamyśleniu maczugą, milczał tak długo, że Tas ziewnął i zaczął zapadać w sen. Głos Caramona sprawił, że kender gwałtownie ocknął się.

– Tas – oświadczył Caramon – to jest nasza okazja.

– Nasza okazja na co? – Kender znów ziewnął.

– Nasza okazja, by zamordować Fistantantilusa powiedział cicho wojownik.

## **Rozdział VII**

Chłodne stwierdzenie Caramona szybko obudziło kendera.

– Za-zamordować! Sądzę, że... ee... powinieneś się nad tym zastanowić, Caramonie – wyjąkał Tas. – To znaczy, spójrz na to w ten sposób. Ten Fistantilus jest naprawdę, naprawdę dobrym, t-to znaczy, utalentowanym czarodziejem. Lepszym niż Raistlin i Par-Salian razem wzięci, jeśli to co powiadają, jest prawdą. Nie można po prostu zakraść się ot tak i zamordować takiego faceta. Zwłaszcza, że nigdy nie zamordowałeś nikogo! Nie pomyśl sobie tylko, że sugeruję, iż powinniśmy poćwiczyć, ale...

– On musi spać, prawda? – spytał Caramon.

– No cóż – zawahał się Tas. – Przypuszczam, że tak. Myślę, że każdy musi spać, nawet wielcy czarodzieje...

– Czarodzieje przede wszystkim – przerwał chłodno Caramon. – Pamiętasz, jaki Raist był słaby, kiedy nie spał? To dotyczy wszystkich czarodziejów, nawet najpotężniejszych. To jedna z przyczyn, dla których przegrali w wielkich bitwach – Przegranych Bitwach. Musieli odpoczywać.

i przestań używać tego „my”. Ja to zrobię. Ty nawet nie musisz iść ze mną. Dowiedz się tylko, gdzie znajduje się jego komnata, jakie ma zabezpieczenia, i kiedy Raist kładzie się spać. Od tego miejsca zajmę się wszystkim.

– Caramonie – zaczął Tas z wahaniem – czy sądzisz, że postąpisz dobrze? To znaczy, ja wiem, że dlatego magowie ciebie tu przysłali. Przynajmniej wydaje mi się, że to dlatego. Pod koniec wszystko się trochę pomieszało. I wiem, że ten Fistantilus jest podobno bardzo złą osobą, nosi czarne szaty i tak dalej, ale czy zamordowanie go to dobry uczynek? To znaczy, wydaje mi się, że przez to bylibyśmy tak samo źli jak on, prawda?

– Nie obchodzi mnie to – rzekł Caramon beznamiętnie, nie spuszczać z oczu maczugi, którą machał. – Tas, muszę wybrać między jego życiem a życiem Raistlina. Jeśli zabiję Fistantilusa teraz, w przeszłości, nie będzie mógł udać się w przyszłość i pochwycić Raistlina. Mógłbym uwolnić Raistlina z jego schorowanego ciała, Tas, i przywrócić mu zdrowie! Kiedy wyrwę go ze szponów tego złego człowieka, wiem, że znów będzie zupełnie jak dawny Raist. Mały braciszek, którego kochałem. – Głos Caramona posmutniał, a oczy zaszyły mu łzami. – Mógłby zamieszkać z nami, Tas.

– A co z Tiką? – spytał niepewnie Tas. – Co ona pomyśli sobie o tym, że chcesz mordować?

Brązowe oczy Caramona zabłyśły gniewnie. – Powiedziałem już: nie wspominaj o niej, Tas!

– Ależ, Caramonie...

– Mówię serio, Tas!

Tym razem w głosie wielkiego mężczyzny dał się słyszeć ton, po którym Tas poznał, że posunął się za daleko. Kender siedział żałośnie skulony na swym łóżku. Spojrzawszy na niego, Caramon westchnął.

– Posłuchaj, Tas – rzekł cicho. – Zaraz ci to wyjaśnię. N-nie byłem zbyt dobry dla Tiki. Miała rację, że mnie wyrzuciła, teraz to widzę, choć był taki czas, kiedy myśla – łem, że jej nigdy nie wybaczę. – Ogromny mężczyzna milczał przez chwilę, porządkując myśli. Potem, znów westchnawszy, ciągnął dalej. – Powiedziałem jej kiedyś, że póki Raist żyje, będzie pierwszy w mych myślach. Ostrzegłem ją, by poszukała sobie kogoś, kto będzie mógł poświęcić jej całą swą miłość. Początkowo sądziłem, że to potrafię, kiedy Raistlin odszedł na swoje. Ale... – Pokręcił głową.

– Nie wiem. Nic z tego nie wyszło. Teraz muszę to zrobić, czy ty tego nie rozumiesz? I nie mogę myśleć o Tice! Ona tylko stoi mi na przeszkodzie...

– Ale Tika tak bardzo cię kocha! – Tylko tyle Tas potrafił powiedzieć. I oczywiście nie powinien był tego mówić. Caramon skrzywił się i znów zaczął wymachiwać maczugą.

– W porządku, Tas – powiedział głosem tak głębokim, jakby wydobywał się spod stóp kendera. – Wydaje mi się, że to oznacza rozstanie. Poproś krasnoluda o inne pomieszczenie. Ja zamierzam to zrobić i jeśli cokolwiek się nie powiedzie, nie chcę, żebyś miał kłopoty...

– Caramonie, wiesz przecież, że to nie znaczy, że ci nie pomogę – wymamrotał Tas. – Ty mnie potrzebujesz!

– No, chyba tak – mruknął Caramon, czerwieniąc się. Potem obejrzał się na Tasa i uśmiechnął przeproszająco.

– Przepaszam. Ale nie mów już o Tice, dobrze?

– Dobrze – powiedział nieszczęśliwy Tas. Uśmiechnął się do Caramona, przyglądając się, jak potężny mężczyzna odkłada oręż i szykuje się do snu. Był to jednak błady uśmiech i kiedy Tas wczółgał się do swego łóżka, czuł się bardziej przygnębiony niż kiedykolwiek od śmierci Flinta.

– On nie pochwaliłby tego, to pewne – powiedział do siebie Tas, rozmyślając o zrzędlwym, starym krasnoludzie.

– Już go słyszę. „Tępy kenderski przygłup!”, powiedziałyby. „Chcesz mordować czarodziejów! Czemu nie oszczędzisz wszystkim fatygi i nie zabijesz się sam!” No i do tego Tanis – pomyślał jeszcze żałośnie Tas. – Mogę sobie wyobrazić, co on powiedziałyby! – Przewróciwszy się na bok, Tas podciągnął koc pod brodę. – Chciałbym, żeby on tu był! Chciałbym, żeby był tu ktokolwiek, żeby nam pomóc! Caramon nie myśli dobrze, wiem o tym! Ale co ja mogę zrobić? Muszę mu pomóc. On jest moim przyjacielem. I najprawdopodobniej beze mnie wpakuje się w okropne kłopoty!

Nazajutrz był pierwszy dzień Caramona na igrzyskach. Wczesnym rankiem Tas złożył wizytę w świątyni i wrócił na czas, by zobaczyć walkę Caramona, która miała się odbyć

wczesnym popołudniem. Siedząc na łóżku i wymachując krótkimi nogami, kender składał raport Caramonowi, który nerwowo krążył po pokoju, czekając, aż krasnolud z Pheragasem przyniosą mu kostium.

– Masz rację – przyznał z ociąganiem Tas. – Najwyraźniej Fistandantilus potrzebuje dużo snu. Kładzie się spać wcześniej i śpi jak zabity... t-to z-znaczy – Tas się zająknął – śpi mocno do rana.

Caramon popatrzył na niego ponuro.

– Straże?

– Nie ma – rzekł Tas, wzruszając ramionami. Nawet nie zamyka drzwi na klucz. Nikt nie zamyka drzwi w świątyni. W końcu to święte miejsce i przypuszczam, że albo wszyscy sobie ufają, albo nie mają czego chować. Wiesz co – stwierdził kender po zastanowieniu – zawsze nie cierpiałem zamków w drzwiach, lecz teraz doszedłem do wniosku, że życie bez nich byłoby naprawdę nudne. Byłem w kilku komnatach w świątyni – Tas błogo zignorował pełne zgrozy spojrzenie Caramona – i wierz mi, nie warto się fatygować. Można by pomyśleć, że czarodziej to co innego, ale Fistandantilus nie trzyma tam żadnych swoich magicznych rzeczy. Przypuszczam, że po prostu spędza w tym pokoju noc, gdy przebywa na dworze. Poza tym kender zauważył z nagłym przebłyskiem genialnej logiki On jest jedyną złą osobą na dworze, więc nie musi się strzec nikogo, z wyjątkiem siebie samego!

Caramon, który dawno przestał słuchać, mruknął coś i nadal krążył. Tas poczuł się niemiło i zmarszczył czoło. Niespodziewanie przyszło mu na myśl, że wraz z Caramonem w tej chwili stoją w tym samym szeregu, co źli czarodzieje. To pomogło mu podjąć decyzję.

– Posłuchaj, Caramonie, przykro mi – powiedział Tas. – Mimo wszystko nie sądzę, bym mógł ci pomóc. Kenderzy czasami nie przykładają wielkiej wagi do swoich rzeczy, a jeśli już o to chodzi, również do cudzych, ale nie sądzę, by jakikolwiek kender zamordował kogoś w swoim życiu! – Westchnął, a potem ciągnął drżącym głosem. Poza tym, myślałem o Flicie i... i Sturmie. Wiesz, że Sturm nie pochwałałby tego! Był taki honorowy. Po prostu tak nie można, Caramonie! Przez to staniemy się tak samo źli jak Fistandantilus. Może nawet gorsi.

Caramon otworzył usta i właśnie zamierzał odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem i wmaszerował Arack.

– Jak się mamy, olbrzymie? – powiedział krasnolud, mierząc Caramona obleśnym wzrokiem. – Sporo zmian od czasu, kiedy tu przybyłeś, co? – Poklepał z podziwem twarde muskuły potężnego mężczyzny, a potem – zacisnąwszy dłoń – nagle wbił pięść w brzuch Caramona. Twardy jak stal – powiedział, szczerząc zęby i potrząsając ręką z bólu.

Caramon spojrział na krasnoluda ze wstrętem, zerknął na Tasa, a potem westchnął. – Gdzie mój kostium? – burknął. – Już niemal godzina Wysokiej Straży.

Krasnolud podniósł w rękę worek. – Jest tutaj. Nie martw się, przebranie nie zajmie ci dużo

czasu.

Chwyciwszy worek, Caramon nerwowo otworzył go. A gdzie reszta? – zapytał natarczywie Pheragasa, który właśnie wchodził do pokoju.

– To wszystko! – zachichotał Arack. – Mówiłem, że nie będziesz się długo przebierał!

Caramon oblał się rumieńcem. – Ja-ja nie mogę mieć na sobie... tylko tego... – wyjąkał, pośpiesznie zamykając worek. – Powiedziałeś, że tam będą damy...

– I pokochają każdy centy metr twej opalenizny! – ryknął Arack. Potem śmiech znikł z pobrużdżonej twarzy krasnoluda, zastąpiony przez ponury i groźny grymas. – Zakładaj to, ty wielki gamoniu. Jak myślisz: za co płacą, co chcą zobaczyć? Szkółkę baletową? Nie – płacą, żeby zobaczyć ciała pokryte potem i krwią. Im więcej ciała, im więcej potu, im więcej krwi – prawdziwej krwi – tym lepiej!

– Prawdziwej krwi? – Caramon poniósł wzrok i jego brązowe oczy rozblęły. – Co chcesz przez to powiedzieć? Myślałem, że...

– Też coś! Przygotuj go, Pheragasio, i wyjaśnij realia życia temu zepsutemu dzieciakowi. Czas dorosnąć, Caramonie, moje ty śliczne maleństwo. – Powiedziawszy to, krasnolud wyszedł, śmiejąc się zgryźliwie.

Pheragas odsunął się, by przepuścić krasnoluda, a potem wszedł do małego pomieszczenia. Jego twarz, zazwyczaj jowialna i wesoła, była niczym maska. Unikał patrzenia prosto na Caramona, a jego oczy nie wyrażały niczego poza pustką.

– Co on miał namyśli? Dorosnąć? – spytał Caramon. – Prawdziwa krew?

– Masz – powiedział zrzędlawie Pheragas, ignorując pytanie. – Pomogę ci zapiąć te klamry. Początkowo trzeba się trochę przyzwyczaić. Są wyłącznie dla ozdoby, zrobione tak, żeby się łatwo odłamy wały. Publiczność szaleje, gdy kawałek pancerza obluźowuje się lub odpada.

Wyjął z worka ozdobny naramiennik i zaczął go przypinać Caramonowi, obchodząc go dookoła i nie podnosząc oczu znad klamerek.

– To jest ze złota – rzekł powoli Caramon. Pheragas mruknął.

– Masło lepiej zatrzymałoby nóż od tego – ciągnął Caramon, macając blachę. – I popatrz tylko na te fikuśne cudeńka! Ostrze miecza zahaczy się i utknie w każdym z nich.

– Aha. – Pheragas zaśmiał się wymuszenie. – Jak widzisz, lepiej jest być nagim niż w to ubranym.

– W takim razie nie muszę się o wiele martwić – zauważył pośpiesznie Caramon, naciągając skórzaną przepaskę biodrową, która była jedynym przedmiotem w worku poza ozdobnym hełmem. Przepaska również była zdobiona złotem i ledwo zakrywała jego przyrodzenie. Kiedy przy pomocy Pheragasa wojownik ubrał się, nawet kender zaczerwienił się na widok Caramona od tyłu.

Pheragas ruszył do wyjścia, ale Caramon zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu. – Lepiej

powiedz mi, przyjacielu. To znaczy, jeśli nadal jesteś moim przyjacielem.

Pheragas przyjrzał się uważnie Caramonowi, a potem wzruszył ramionami. – Sądziłem, że sam się domyśliłeś. Używamy ostrej broni. Och, miecze się składają – dodał, widząc, że Caramon zmrużył oczy. – Niemniej jednak, kiedy zostaniesz trafiony, naprawdę broczysz krwią. Dlatego kładliśmy taki nacisk na pchnięcia mieczem.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ludzie naprawdę zostają ranni? Że ja mógłbym kogoś zranić? Kiiri albo Rolfa, albo Barbarzyńcę? – Caramon gniewnie podniósł głos. Co będzie dalej? Czego jeszcze mi nie powiedziałeś, przyjacielu!

Pheragas spojrział zimno na Caramona. – Jak myślisz, skąd mam te blizny? Od zabaw z moją niańką? Posłuchaj, któregoś dnia zrozumiesz. Teraz nie ma czasu, by to wyjaśniać. Zaufaj nam, mnie i Kiiri. Idź za naszym przykładem. I miej oko na minotaurów. Oni walczą dla siebie, nie dla żadnych panów czy właścicieli. Nie odpowiadają przed nikim. Och, zgadzają się przestrzegać reguł – muszą, bo inaczej król-kapłan odesłałby ich do Mithas. Jednak... cóż, są faworytami tłumu. Ludzie lubią, jak leje się krew. Do tego minotaurzy potrafią równie dobrze odbierać rany, jak i je zadawać.

– Precz! – warknął Caramon.

Pheragas stał, przyglądając mu się przez chwilę, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Kiedy już tam doszedł, zatrzymał się.

– Posłuchaj, przyjacielu – rzekł surowo. – Te blizny, które zdobyłem na arenie, są godłem odwagi nie gorszym od ostróg, jakie zdobywają rycerze na turnieju! To jedyny honor, jaki możemy ocalić z tego tandetnego przedstawienia! Arena kieruje się własnymi prawami, Caramonie, i nie ma to absolutnie nic wspólnego z rycerzami i szlachcicami, którzy siedzą tam i przyglądają się, jak my, niewolnicy, przelewamy krew dla ich uciechy. Oni mówią o honorze. Cóż, my mamy własny honor. To nas utrzymuje przy życiu. – Zamilkł. Zdawało się, że jeszcze coś powie, lecz Caramon wbił wzrok w ziemię. Zawzięcie odmawiał przyjęcia do wiadomości jego słów i obecności.

Wreszcie Pheragas powiedział: – Masz pięć minut. Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Tas miał wielką ochotę coś powiedzieć, lecz zobaczywszy minę Caramona, nawet kender wiedział, że pora milczeć.

Rusz do boju ze złą krwią, a przed wieczorem zostanie przelana. Caramon nie przypominał sobie, który z gderliwych, starych komendantów mu to powiedział, lecz z doświadczenia wiedział, że to dobra maksyma. Życie często zależało od lojalności tych, u boku których się walczy. Dobrze było pogodzić się i wyjaśnić wszelkie spory. Nie lubił też chować urazy do nikogo. Zazwyczaj przyprawiało go to jedynie o ból żołądka.

Łatwo więc było uściśnąć dłoń Pheragasowi, kiedy czarny mężczyzna chciał się od niego odwrócić przed wyjściem na arenę i przeprosić go. Pheragas przyjął ten gest uprzejmie, podczas

gdy Kiiri – która najwyraźniej słyszała o incydencie od Pheragasa – okazała swoją aprobatę uśmiechem. Okazała również aprobatę dla kostiumu Caramona, przyglądając się mu z tak jawnym podziwem w jej błyszczących, zielonych oczach, że Caramon zaczerwienił się z zażenowania.

Cała trójka stała na korytarzu pod areną, rozmawiając i czekając na swe wejście. Razem z nimi byli inni gladiatorzy mający walczyć tego dnia: Rolf, Barbarzyńca i Czerwony Minotaur. Nad głowami słyszeli co jakiś czas ryk tłumu, lecz dźwięk był stłumiony. Wykręcając szyję, Caramon zdołał dostrzec drzwi wejściowe. Chciał, żeby to już się zaczęło. Rzadko czuł się tak zdenerwowany – bardziej niż przed bitwą.

Pozostali też czuli napięcie. Oczywistym jego przejawem był śmiech Kiiri, zbyt ostry i głośny, oraz strużki potu na twarzy Pheragasa. A jednak napięcie było przyjemne, zmieszane z podnieceniem. Nagle Caramon uświadomił sobie, że nie może się już doczekać.

– Arack wywołał nasze imiona – powiedziała Kiiri. Ona, Pheragas i Caramon wystąpili naprzód – krasnolud postanowił, że skoro dobrze ze sobą współpracują, będą występować jako zespół (miał również nadzieję, że dwoje zawodowców zamaskuje wszelkie błędy Caramona!).

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Caramon po wyjściu na arenę, był hałas. Uderzał w niego grzmiącymi falami, jedna za drugą, które zdawały się spadać z przesyconego słońcem nieba. Przez chwilę czuł się zagubiony i zdezorientowany. Znajoma arena – gdzie ciężko pracował i ćwiczył przez ostatnich kilka miesięcy – niespodziewanie stała się obca. Jego spojrzenie powędrowało ku rzędom ław półkołem otaczających arenę. Poczul się przytłoczony widokiem tysięcy ludzi, którzy – jak mu się zdawało – zerwali się na równe nogi, tupali i wrzeszczeli.

Kolory zawirowały mu przed oczami – łopocące, jaskrawe proporczyki, które ogłaszały Dzień Igrzysk, jedwabne sztandary wszystkich szlacheckich rodów w Istar i skromniejsze chorągiewki tych, którzy sprzedawali, co kto sobie życzył, od herbaty z owocami do herbaty z tarbeanu, w zależności od pory roku. I wszystko to zdawało się ruszać, od czego zakręciło mu się w głowie i nagle przyprawiło go o mdłości. Wtedy poczul na ramieniu chłodną dłoń Kiiri.

Odwróciwszy się, dostrzegł jej pełen otuchy uśmiech. Za nią zobaczył znajomą arenę, Pheragasa i innych przyjaciół.

Czując się lepiej, szybko skupił uwagę na akcji. Lepiej nie odrywać myśli od spraw bieżących, powiedział sobie srogo. Gdyby przegapił jeden przećwiczony ruch, nie tylko wyglądałby głupio, ale mógłby przez przypadek zrobić komuś krzywdę. Przypomniał sobie, jak bardzo Kiiri pilnowała, by zadawał pchnięcia mieczem w odpowiednim momencie. Teraz już wiedział, dlaczego.

Nie spuszczał partnerów i areny z oczu, nie zważając na wrzawę i tłumy, zajął swe miejsce, gotów rozpocząć walkę. Arena wydawała mu się inna i przez chwilę nie mógł domyślić się, dlaczego. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie tylko oni byli odziani w kostiumy, ale



że krasnolud ubrał również scenę. Te same, posypane trocinami platformy, na których walczył dzień w dzień, dziś oznaczono symbolami czterech stron świata.

Wokół tych czterech podwyższeń żarzył się węgiel, ryczał ogień i bulgotał wrzący olej. Przez te „jamy śmierci”, jak je nazywano, przerzucono drewniane mosty łączące cztery platformy. Początkowo wzbudziło to niepokój Caramona. Jednakże już na początku gry dowiedział się, że jamy służą tylko do wzmocnienia efektu. Publiczność uwielbiała, gdy wojownik został przegnany z platformy na kładkę. Szalała z radości, gdy Barbarzyńca trzymał Rolfa za nogi nad wrzącym olejem. Caramon, który widział to wszystko na próbach, mógł wraz z Kiiri śmiać się z przerażonej miny Rolfa i jego rozpaczliwych prób uwolnienia się, które kończyły się jak zawsze – wymierzeniem Barbarzyńcy ciosu w głowę potężnymi rękoma Rolfa.

Słońce stało w zenicie i złoty błysk przyciągnął wzrok Caramona ku środkowi areny. Tu stała Iglica Wolności wysoka wieżyczka ze złota, tak delikatna i zdobna, że zdawała się wręcz nie na miejscu w tym topornym otoczeniu. Na szczycie wisiał klucz – klucz, którym można było otworzyć zamek każdej z żelaznych obróż. Caramon często widywał iglicę podczas ćwiczeń, lecz nigdy nie widział klucza, który Arack trzymał u siebie w biurze. Samo spojrzenie na nią sprawiało, że żelazna obręcz na szyi wydawała się nadzwyczaj ciężać. Oczy nagle zasłyły mu łzami. Wołność... Móc obudzić się rano i powędrować dokąd tylko chce w szerokim świecie. To takie proste. Jak bardzo teraz za tym tęskni!

Wtedy usłyszał, że Arack wywołuje jego imię i zobaczył, że wskazuje ich. Ścisnąwszy broń, Caramon odwrócił się do Kiiri, wciąż mając przed oczyma wizję złotego klucza. Pod koniec roku każdy niewolnik, który dobrze się spisał w igrzyskach, mógł walczyć o prawo wspięcia się na iglicę i sięgnięcia po klucz. Oczywiście, wszystko było wielkim oszustwem. Arack zawsze wybierał tych, którzy gwarantowali przyciągnięcie największej publiczności. Caramon nigdy przedtem o tym nie myślał – zajęty był wyłącznie sprawą brata i Fistantilusa. Teraz jednak uświadomił sobie, że ma nowy cel. Z dzikim wrzaskiem wznosił imitację miecza wysoko w niebo w geście salutu.

Wkrótce Caramon zaczął się odprężać i dobrze bawić. Stwierdził, że lubi ryk i oklaski tłumu na trybunach. Udzieliło mu się jego podniecenie i odkrył, że stara się mu przypodobać – zupełnie jak przewidziała Kiiri. Tych kilka ran, które odniósł podczas starć w rozgrzewce, było niczym, ledwo skaleczeniami. Nawet nie czuł bólu. Śmiał się ze swego niepokojem. Pheragas miał rację, że nie wspominał o takim głupstwie. Przykro mu było, że narobił takiego zamieszania. – Podobasz im się – rzekła Kiiri, uśmiechając się do niego podczas jednej z przerw na odpoczynek. Znowu powiodła pełnym podziwu spojrzeniem po muskularnym, praktycznie nagim ciele Caramona. – Nie dziwię im się. Nie mogę się doczekać naszego pojedynku zapaśniczego.

Kiiri zaśmiała się z jego rumieńca, lecz Caramon dostrzegł w jej oczach, że nie żartowała i nagle zdał sobie sprawę z jej kobiecości – czegoś, co przedtem nie docierało do niego podczas

treningów. Być może spowodował to jej skąpy kostium, który zdawał się odsłaniać wszystko, a jednak skrywał to, co było najbardziej godne pożądania. Krew płuła w żyłach Caramona, zarówno od namiętności, jak i przyjemności, jaką zawsze znajdował w boju. Nasunęły mu się na myśl mgliste wspomnienia o Tice i pośpiesznie odwrócił głowę od Kiiri, zdając sobie sprawę, że jego oczy mówiły więcej niż zamierzał powiedzieć.

Ten sposób jedynie częściowo poskutkował, bowiem teraz patrzył na trybuny – prosto w oczy wielu podziwiających go pięknych kobiet, które najwyraźniej starały się przyciągnąć jego uwagę.

– Znów nasza kolej. – Kiiri trąciła go łokciem i Caramon z wdzięcznością wrócił na arenę.

W uśmiechu wyszczerzył zęby do Barbarzyńcy, gdy wysoki mężczyzna wyszedł naprzód. To był ich wielki numer, który wraz z Caramonem przeciwiczyli wiele razy. Barbarzyńca mrugnął do Caramona, gdy stanęli naprzeciwko siebie, z twarzami wykrzywionymi w grymasie zjadłej nienawiści. Warcząc i pomrukując jak zwierzęta, obaj mężczyźni przygarbili się i dość długo obchodzili się nawzajem po arenie, by zbudować napięcie. Caramon przyłapał się na tym, że miał ochotę się uśmiechnąć i musiał się upomnieć, że ma wyglądać groźnie. Lubił Barbarzyńcę. Ten mieszkaniec Równin pod wieloma względami przypominał mu Riverwinda – był wysoki, ciemnowłosy, choć ani w połowie nie tak poważny jak ów srogi łowca.

Barbarzyńca był również niewolnikiem, lecz żelazna obroża na jego szyi była stara i podrapana od niezliczonych bitew. Było pewne, że w tym roku zostanie wybrany, by walczyć o złoty klucz.

Caramon pchnął składanym mieczem. Barbarzyńca uskoczył z łatwością i zahaczywszy Caramona piętą, zgrabnie przewrócił go. Caramon ciężko zwałił się na podłogę. Publiczność jęknęła (kobiety westchnęły), lecz rozległo się także wiele wiwatów dla Barbarzyńcy, który był faworytem. Barbarzyńca dźgnął leżącego Caramona włócznią. Kobiety krzyknęły z przerażenia. W ostatnim momencie Caramon odturlał się na bok i chwyciwszy Barbarzyńcę za nogę, przewrócił go na posypaną trocinami platformę.

Grzmiące wiwaty. Dwaj mężczyźni tarzali się po podłodze. Kiiri podbiegła na pomoc swemu powalonemu towarzyszowi i Barbarzyńca, ku radości gawiedzi, walczył z obojgiem. Wtedy Caramon rycerskim gestem nakazał Kiiri wrócić na tyły. Dla widzów było oczywiste, że sam zajmie się zuchwałym przeciwnikiem.

Kiiri klepnęła Caramona w pośladki (tego nie było w scenariuszu, a Caramon niemal zapomniał o swym następnym ruchu), po czym oddaliła się biegiem. Barbarzyńca rzucił się na Caramona, który wyciągnął składany sztylet. To był gwóźdź programu – zgodnie z tym, co wcześniej zaplanowali. Schyliwszy się zgrabnie pod wzniesionym ramieniem Barbarzyńcy, Caramon wbił sztuczny sztylet prosto w brzuch Barbarzyńcy, gdzie pod upierzonym napierśnikiem zmyślnie schowano pęcherz z kurzą krwią.

Udało się! Krew trysnęła na Caramona, spływając mu po ręce i ramieniu. Caramon spojrzał na twarz Barbarzyńcy, przygotowany na kolejne zwycięskie mrugnięcie...

Coś było nie w porządku.

Mężczyzna szeroko rozwarł oczy, tak jak przewidywał scenariusz. Jednakże rozwarły się one od prawdziwego bólu i wstrząsu. Wojownik zachwiał się i postąpił kilka kroków naprzód – to też było w scenariuszu – lecz nie było w nim jęku konającego. Caramon z przerażeniem zdał sobie sprawę, że krew spływająca mu po ręce jest ciepła!

Wyszarpnąwszy sztylet, Caramon przyjrzał mu się, jednocześnie starając się podtrzymać Barbarzyńcę, który osuwał się na niego. Ostrze było prawdziwe!

– Caramonie... – wykrztusił mężczyzna. Krew popłynęła mu z ust.

Widownia ryczała. Takich efektów specjalnych nie widziała od miesięcy!

– Barbarzyńco! Ja nie wiedziałem! – krzyknął Caraj, patrząc ze zgrozą na sztylet. – Przysięgam! Wtedy Pheragas i Kiiri byli już u jego boku, pomagając mu ułożyć konającego Barbarzyńcę na podłodze areny. – Nie przerywaj przedstawienia! – warknęła szorstko Caramon niemal uderzył ją w gniewie, lecz Pheragas złapał go za rękę. – Twoje życie, nasze życie zależy od tego! – syczał czarny mężczyzna. – I życie twojego małego przyjaciela!

Caramon popatrzył na nich zdezorientowany. Co mieli na myśli? Co oni mówili? Właśnie zabił człowieka – przyjaciela! Z jękiem wyszarpnął się z rąk Pheragasa i ukląkł przy Barbarzyńcy. Jak przez mgłę słyszał radosne okrzyki tłumu i wiedział, że widzowie są zachwyceni. Zwycięzca składa hołd „poległemu”.

– Wybacz mi – rzekł do Barbarzyńcy, który skinął głową.

– To nie twoja wina – wyszeptał mężczyzna. – Nie obwiniaj się... – Oczy mu znieruchomiały, na wargach pękła bańka krwi.

– Musimy wynieść go z areny – szepnął ostro Pheragas do Caramona – i udawać, że nic się nie stało. Tak jak na próbach. Rozumiesz?

Caramon pokiwał głową w otępieniu. Twoje życie... życie twojego małego przyjaciela. Jestem wojownikiem. Już zabijałem. Śmierć nie jest niczym nowym. Życie twego małego przyjaciela. Bądź posłuszny rozkazom. Jestem do tego przyzwyczajony. Będę posłuszny rozkazom, a potem znajdę odpowiedź...

Powtarzając to, Caramon zdołał opanować tę część umysłu, która płonęła wściekłością i bólem. Chłodno i spokojnie pomógł Kiiri i Pheragasowi podnieść „martwe” ciało Barbarzyńcy, jak czynili to niezliczone razy na próbach. Nawet znalazł dość sił, by odwrócić się do publiczności i ukląknąć, „heragas zręcznym ruchem wolnego ramienia sprawił, że „martwy” Barbarzyńca jakby również się kłaniał. Tłum był zachwycony i wiwatował entuzjastycznie. Potem troje przyjaciół wywlokło trupa ze sceny w głąb ciemnych naw.

Kiedy tam się znaleźli, Caramon pomógł im położyć Barbarzyńcę na zimnych kamieniach.

Przez dłuższy czas patrzył na trupa, jak przez mgłę dostrzegając innych gladiatorów, którzy czekali na swą kolejkę na arenie, spoglądając na martwe ciało, a potem rozplywając się ponownie w mroku.

Powoli Caramon wstał. Odwróciwszy się, schwycił Pheragasa i z całej siły pchnął czarnego mężczyznę pod ścianę. Wyciągając zakrwawiony sztylet zza pasa, Caramon podsunął go Pheragasowi pod nos.

– To był wypadek – wycedził Pheragas przez zaciśnięte zęby.

– Ostra broń! – krzyknął Caramon, brutalnie uderzając głową Pheragasa o kamienny mur. – Trochę krwi! Teraz mów! Co tu się dzieje, w imię Otchłani?

– To był wypadek, ty kretynie – rozległ się szyderczy głos.

Caramon odwrócił się. Przed nim stał krasnolud. W ciemnym i wilgotnym korytarzu pod areną jego krępe ciało przypominało pokrecony cień.

– A teraz ja ci opowiem o wypadkach – rzekł Arack głosem cichym i złowrogim. Za nim majaczyła wielka sylwetka Raaga z maczugą w ogromnej pięści. – Puść Pheragasa. On i Kiiri muszą wrócić na arenę i ukłonić się widowni. Wszyscy byliście dziś zwycięzcami.

Caramon spojrzał krótko na Pheragasa, a potem opuścił rękę. Sztylet wysunął się z jego zdrętwiałych palców i upadł na podłogę. Caramon oparł się ciężko o ścianę. Kiiri przyglądała mu się z niemym współczuciem, kładąc dłoń na jego ramieniu. Pheragas westchnął, posłał zrozumiątemu krasnoludowi jadowite spojrzenie, a potem wraz z Kiiri opuścili korytarz. Obeszli zwłoki Barbarzyńcy, które leżały na kamieniach.

– Powiedziałeś mi, że nikt nie zginie! – wykrzyknął Caramon głosem zdławionym przez gniew i ból.

Krasnolud podszedł i zatrzymał się naprzeciwko ogromnego mężczyzny. – To był wypadek – powtórzył Arack. – Tu się zdarzają wypadki. Szczególnie ludziom, którzy nie są ostrożni. To się może przytrafić tobie, jeśli nie będziesz ostrożny. Albo temu twojemu małemu przyjacielowi. Widzisz, Barbarzyńca nie był ostrożny. Lub raczej, jego pan nie był ostrożny.

Caramon uniósł głowę, wpatrując się w krasnoluda oczyma szeroko rozwartymi od wstrząsu i zgrozy.

– Ach, widzę, że wreszcie załapałeś. – Arack pokiwał głową.

– Ten człowiek zginął, bo jego właściciel naraził się komuś – powiedział cicho Caramon.

– Taak. – Krasnolud wyszczerzył zęby i pociągnął się za brodę. – Cywilizowany sposób, nieprawdaż? Nie jak za dawnych czasów, I nikt nic nie wie. Z wyjątkiem, oczywiście, jego pana. Widziałem jego minę. On wiedział, gdy tylko dźgnąłeś Barbarzyńcę. Odebrał wiadomość bez wątpienia.

– To było ostrzeżenie? – spytał Caramon zduszonym tonem.

Krasnolud znów skinął głową i wzruszył ramionami.

– Kim był jego właściciel?

Arack zawahał się, przyglądając się Caramonowi z kpiną. Jego zniszczoną twarz wykrzywił złośliwy uśmiech. Caramon niemal dostrzegał, jak Arack rachuje i wylicza sobie, | ile może zyskać na powiedzeniu, a ile na zachowaniu milczenia. Najwyraźniej pieniądze szybko zostały zsumowane w kolumnie „powiedzieć”, bowiem nie wahał się długo. Gestem nakazawszy Caramonowi nachylić się, szepnął mu imię do ucha.

Caramon zrobił zdziwioną minę.

– Wysoki rangą kapłan, wielebny syn Paladine’a dodał krasnolud. – Drugi po samym królu-kapłanie. Ale uczynił sobie potężnego wroga, potężnego wroga. – Arack potrząsnął głową.

Salwa stłumionych wiwatów wybuchła nad ich głowami. Krasnolud spojrział w górę, a potem znów na Caramona. Będziesz musiał wyjść na górę ukłonić się. Tego od ciebie oczekują. Jesteś zwycięzcą.

– A co z nim? – spytał Caramon, kierując wzrok na Barbarzyńcę. – On nie wyjdzie. Nie będą się zastanawiać?

– Naciągnął sobie mięsień. Zdarza się. Nie może wyjść, żeby ukłonić się po raz ostatni – rzekł od niechcienia krasnolud. – Rozgłosimy, że wycofał się i został wyzwolony.

Wyzwolony] Łzy stanęły mu w oczach. Odwrócił głowę i spojrział w głąb korytarza. Rozległ się kolejny radosny okrzyk. Będzie musiał wyjść. Twoje życie. Nasze życie. Życie twego małego przyjaciela.

– To dlatego – powiedział zdławionym głosem. To dlatego kazałeś mnie go zabić! Bo teraz masz mnie! Wiesz, że nie powiem...

– I tak wiem o tym – rzekł Arack, uśmiechając się złowieszczo. – Powiedzmy, że zabicie go było dodatkowym akcentem. Klienci to lubią, widzą, że się staram. Widzisz, to twój właściciel wysłał to ostrzeżenie! Pomyślałem, że doceni fakt, że zadanie wykonał jego własny niewolnik. Oczywiście, to naraża ciebie na pewne niebezpieczeństwo. Śmierć Barbarzyńcy będzie musiała zostać pomszczona. Ale jakie cuda działa to dla interesu, kiedy wieść się rozniesie.

– Mój właściciel! – sapnął Caramon. – Przecież to ty mnie kupiłeś! Dla szkoły...

– Ach, ja byłem jedynie pośrednikiem. – Krasnolud zachichotał złośliwie. – Tak sobie myślałem, że może nie wiesz!

– Ale kto jest moim... – I wtedy Caramon znał już odpowiedź. Nawet nie słyszał słów wypowiedzianych przez krasnoluda. Nie usłyszał ich w nagłym huku, który zabrzmiał echem w jego głowie. Zalała go czerwona jak krew fala, dusząc go. Płuca go bolały, żołądek się skręcał, kolana się pod nim ugięły.

Następna rzecz, jakiej był świadom, to fakt, że siedzi na podłodze korytarza, a ogr trzyma mu głowę między kolanami. Zawroty głowy ustąpiły. Caramon jęknął i uniósł głowę, odtrącając ręce ogra.

– Nic mi nie jest – powiedział zbielełymi wargami.

Raag zerknął na niego, a potem na krasnoluda.

– Nie możemy go wyprowadzić na górę w takim stanie – rzekł Arack, przyglądając się Caramonowi ze wstrętem.

– Wygląda jak ryba pływająca brzuchem do góry. Zaciągnij go do jego pokoju.

– Nie – powiedział cichy głosik z ciemności. – J-ja się nim zajmę.

Tas wypełzł z cienia, błądy niemal tak samo jak Caramon.

Arack zawahał się, potem coś warknął i odwrócił się. Machnąwszy ręką na ogra, wyszedł pośpiesznie i wspinał się po schodach, by wręczyć nagrody zwycięzcom.

Tasslehoff ukląkł obok Caramona i położył dłoń na ramieniu wielkiego mężczyzny. Spojrzenie kendera padło na ciało, które leżało zapomniane na kamiennej podłodze. Caramon też tam popatrzył. Widząc ból i udrękę w jego oczach, Tas poczuł ucisk w gardle. Nie potrafił wykrztusić ani słowa, mógł tylko poklepać Caramona po ramieniu.

– Ile słyszałeś? – spytał głucho Caramon.

– Dość – szepnął Tas. – Fistandantilus.

– On to wszystko zaplanował. – Caramon westchnął i odchylił głowę do tyłu, zamykając oczy ze znużenia. W ten sposób pozbędzie się nas. Nawet nie będzie musiał sam tego robić. Pozwoli tylko temu... temu kapłanowi...

– Quarathowi.

– Właśnie, pozwoli temu Quarathowi zabić nas. – Caramon zacisnął pięści. – A czarodziej będzie miał czyste ręce! Raistlin nigdy się nie domyśli. A ja przez cały czas, Począwszy od tej walki, będę się zastanawiał, czy sztylet, który trzyma Kiiri, jest prawdziwy? – Otwierając oczy, Ca – ramon spojrzał na kendera. – I ty też. Ty też siedzisz w tym. Tak powiedział krasnolud. Ja nie mogę wyjść, ale ty tak! Musisz stąd się wydostać!

– Gdzie pójdę? – spytał bezradnie Tas. – On mnie znajdzie, Caramonie. – Jest najpotężniejszym czarodziejem, jaki kiedykolwiek żył. Nawet kender nie może się ukryć przed kimś takim.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, a ryk tłumu rozbrzmiewał echem nad ich głowami. Wtedy Tas dostrzegł błysk metalu po przeciwnej stronie korytarza. Rozpoznając przedmiot, wstał i zakradł się, by go podnieść.

– Mogę wprowadzić nas do świątyni – powiedział, biorąc głęboki oddech i starając się ukryć drżenie w głosie. Podniósłszy zakrwawiony sztylet, przyniósł go i podał Caramonowi.

– Mogę zrobić to dzisiejszej nocy.

## ***Rozdział VIII***

Srebrny księżyc, Solinari, błyszczał na horyzoncie. Wznoszący się nad środkową wieżą świątyni króla-kapłana przypominał płomyk na wysokiej, żłobkowanej świecy. Solinari był w pełni i świecił jasno, tak jasno, że niepotrzebne były usługi latarników. Chłopcy, którzy zarabiali na życie przyświecając biesiadnikom w drodze od jednego domu do drugiego swymi osobliwymi, srebrnymi latarenkami, spędzili tę noc w domu, przeklinając jasny blask księżyca, który odebrał im chleb. Bliźniak Solinari, czerwony jak krew Lunitari, nie wzeszedł jeszcze, i nie wszędzie wczesniej niż za kilka godzin, by zalać ulice swą niesamowitą, purpurową poświatą. Co do trzeciego księżyca, czarnego, jego ciemny okrąg pośród gwiazd zauważył jeden mężczyzna, który spojrzał na niego przelotnie, zdejmując czarne szaty, ciężkie od składników zaklęć, i przywdziewając prostszą, miększą, czarną koszulę nocną. Naciągnął na głowę kaptur, by zasłonić się przed zimnym, przenikliwym światłem Solinari, położył się do łóżka i zapadł w spokojny sen, niezbędny dla niego i jego sztuki.

Przynajmniej tak to sobie wyobrażał Caramon, wędrując z kenderem jasnymi od księżycowej poświaty, zatłoczonymi ulicami. Noc wrzała od zabawy. Mijali jedną po drugiej rozweselone grupy – mężczyzn, którzy przechwalali się, głośno śmiali i dyskutowali o igrzyskach, oraz gromadki kobiet, które trzymały się razem i posyłały Caramonowi nieśmiałe spojrzenia. Ich zwiewne suknie powiewały w delikatnych podmuchach ciepłego, jak na jesień, wiatru. W jednej z takich grup rozpoznano Caramona i ogromny mężczyzna nieomal uciekł w obawie, że wezwą strażę, by odprowadziły go do areny.

Jednak Tas – bardziej bywały w świecie – kazał mu zostać. Grupa była nim zachwycona. Widzieli jego walkę dzisiejszego popołudnia i już podbił ich serca. Zadawali trywialne pytania dotyczące igrzysk, po czym nie słuchali odpowiedzi – i całe szczęście. Caramon był tak zdenerwowany, że plótł niemal całkiem bez sensu. Wreszcie tamci poszli w swoją stronę, śmiejąc się i życząc mu powodzenia. Słyszając to, Caramon zerknął ze zdumieniem na kendera, lecz Tas tylko pokręcił głową.

– Jak myślisz, dlaczego kazałem ci się tak wystroić? – spytał krótko Caramona.

Prawdę mówiąc, Caramon właśnie się nad tym zastanawiał. Tas nalegał, by przywdział złocistą, jedwabną pelerynę, którą nosił na arenie, oraz hełm, jaki miał na głowie po południu. Ten strój nie wydawał się odpowiedni do zakradania się do świątyni – Caramon wyobrażał sobie, że będą czołgać się kanałami lub wspinać po dachach. Kiedy jednak zaczął się buntować, wzrok Tasa stał się chłodny. Albo Caramon będzie mu posłuszny, albo może zapomnieć o wszystkim, powiedział ostro kender.

Westchnąwszy, Caramon ubrał się zgodnie z poleceniem, nakładając pelerynę na swą

zwykłą, luźną koszulę i skórzane spodnie. Włożył za pas zakrwawiony sztylet. Z przyzwyczajenia chciał go wyczyścić, lecz przerwał. Nie, bardziej przyda się taki, jak jest teraz.

Kender z łatwością otworzył ich drzwi po tym, gdy Raag /arnknął ich na noc, i obaj bez kłopotów przemknęli przez sypialnie w kwaterach gladiatorów. Większość wojowników albo spała, albo – jak w przypadku minotaurów – hulała pijana.

Caramon czuł się nieswojo, gdy obaj z kenderem szli sobie ulicami. Kender jednak nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Niezwyczajnie ponury i milczący Tas ignorował powtarzające się pytania Caramona. Zbliżali się do świątyni, która majaczyła przed nimi w całym swym perłowym i srebrnym blasku. Wreszcie Caramon zatrzymał się.

– Zaczekaj chwilę, Tas – rzekł cicho, wciągając kendera do ciemnego kąta. – Jak zamierzasz nas tam wprowadzić?

– Frontowymi drzwiami – odparł spokojnie Tas.

– Frontowymi drzwiami? – powtórzył osłupiały Caramon. – Oszalałeś? A strażę? Zatrzymają nas...

– To jest świątynia, Caramonie – powiedział Tas z westchnieniem. – Świątynia bogów. Żli po prostu nie mogą tu wejść.

– Fistandantilus wchodzi – mruknął Caramon.

– Tylko dlatego, że pozwala mu na to król-kapłan odpowiedział Tas, wzruszając ramionami.

– Inaczej nie mógłby tu się dostać. Bogowie nie pozwoliliby. Przynajmniej tak powiedział mi jeden z kapłanów, gdy go zapytałem.

Caramon zmarszczył czoło. Sztylet za paskiem ciążył mu, a metal parzył skórę. To tylko wyobraźnia, powiedział sobie. W końcu już przedtem nosił sztylety. Wsunąwszy dłoń pod płaszcz, dotknął broni, by się uspokoić. Potem, zacisnąwszy usta, ruszył w stronę świątyni. Po chwili wahania Tas dogonił go.

– Caramonie – pisnął kender wątlym głosem. Wy-wydaje mi się, że wiem, o czym myślałeś. Ja myślałem o tym samym. A co będzie, jeśli bogowie nas nie wpuszczą?

– Zamierzamy zgnieść zło – powiedział stanowczo Caramon, zaciskając dłoń na rękojeści sztyletu. – Pomogą nam, a nie przeszkodzą w tym. Zobaczysz.

– Ależ, Caramonie... – Teraz była kolej Tasa zadawać pytania, a Caramona ponuro je lekceważyć. Wreszcie dotarli do cudownych schodów wiodących do świątyni.

Caramon zatrzymał się i przyjrzał budowli. Siedem wież wznosiło się ku niebu, jakby wychwalało bogów za ich stworzenie. Jedna wzbijała się spiralnie ponad wszystkie. Błyszcząc w świetle Solinari, zdawała się nie tyle głosić chwałę bogów, ile rywalizować z nimi. Uroda świątyni, perłowy i różany marmur, który połyskiwał delikatnie w blasku księżyca, nieruchome sadzawki, w których przeglądały się gwiazdy, rozległe ogrody przepięknych, wonnych kwiatów



oraz złote i srebrne ozdoby, wszystko to zaparło dech w piersi Caramonowi i przeszło jego serce. Z podziwu nie mógł ruszyć się z miejsca i stał niczym zaczarowany.

A potem, z głębi jego umysłu wypłynęło przyczajone uczucie grozy. Już to kiedyś widział! Tylko, że widział to w koszmarze – wieże były zniekształcone... Czuąc zamęt w głowie, zamknął oczy. Gdzie? Jak? Wtedy przypomniał sobie. Świątynia w Nerace, gdzie był uwięziony! Świątynia Królowej Ciemności! To była ta sama świątynia, wypaczona przez jej zło, zepsuta, zmieniona w przerażającą wizję. Caramon zdrzął. Przytłoczony strasznym wspomnieniem, zastanawiając się nad znaczeniem tego omenu, przez chwilę myślał o tym, by zawrócić i uciec.

Wtedy poczuł, że Tas szarpie go za rękę. – Nie zatrzymuj się! – rozkazał kender. – Zwracasz na siebie uwagę!

Caramon pokręcił głową, otrząsając się z głupich wspomnień, które nic nie znaczyły, jak sobie powiedział. We dwóch zbliżyli się do strażników przy drzwiach.

– Tas! – powiedział nagle Caramon, chwytając kendera za ramię tak mocno, że ten pisnął z bólu. – Tas, to jest próba! Jeśli bogowie nas wpuszczą, będę wiedział, że to co robimy, jest dobre! Będziemy mieli ich błogosławieństwo!

Tas zatrzymał się. – Tak myślisz? – spytał z wahaniem.

– Oczywiście! – Oczy Caramona błyszczały w jasnym świetle Solinari. – Zobaczysz. Chodź! – Odzyskawszy pewność siebie, potężny mężczyzna wkroczył na schody. Wyglądał imponująco w łopoczącej złocistej, jedwabnej pelerynie i złotym hełmie, błyszczącym w blasku księżyca. Strażnicy przestali rozmawiać i odwrócili się, by popatrzeć na niego. Jeden trącił łokciem drugiego, wykonując dłonią szybki gest dźgnięcia. Ten drugi wyszczerzył zęby w uśmiechu, spoglądając na Caramona z podziwem.

Caramon natychmiast odgadł znaczenie tej pantomimy i niemal zatrzymał się, znów czując chłaiście ciepłej krwi na rękę i słysząc ostatnie, zdławione słowa Barbarzyńcy. Zaszedł jednak zbyt daleko, by teraz rezygnować. Poza tym, może to też znak, powiedział sobie. Duch Barbarzyńcy unoszący się w pobliżu i żądny zemsty.

Tas spojrzał na niego z niepokojem. – Lepiej zostaw mnie mówienie – szepnął kender.

Caramon skinął głową, nerwowo przełykając ślinę.

– Witaj, gladiatorze – zawołał jeden ze strażników. – Jesteś nowy w igrzyskach, prawda? Właśnie opowiadałem koledze na warcie, że stracił dziś piękną walkę. Co więcej, dzięki tobie wygrałem sześć sztuk srebra. Jak cię nazywają?

– To jest Zwycięzca – rzekł płynnie Tas. – A dziś był dopiero początek. Nigdy nie został pokonany w walce i nigdy nie zostanie.

– A kim ty jesteś, mały rzezimieszku? Jego menadżerem?

To spotkało się z rykiem śmiechu drugiego strażnika i nerwowym, wysokim śmiechem Caramona. Potem wojownik zerknął na Tasa i natychmiast się zorientował, że są w kłopotach.

Tas zbiałał na twarzy. Rzezimieszek! Najstraszliwsza obelga, najokropniejsza na świecie, jaką można nazwać kendera! Caramon dłonią zatkał Tasowi usta.

– Jasne – rzekł Caramon, trzymając mocno wydzierającego się kendera – i to dobrym.

– No to miej go na oku – dodał drugi strażnik, śmiejąc się jeszcze bardziej. – Chcemy patrzeć, jak rozcinasz gardła – nie kieszenie!

Uszy Tasslehoffa – jedyna część twarzy widoczna nad szeroką dłonią Caramona – oblały się szkarłatem. Zza dłoni Caramona wydobywały się niezrozumiałe dźwięki. Le-lepiej już sobie pójdziemy – wyjąkał ogromny mężczyzna, zastanawiając się, jak długo utrzyma Tasa. – Jesteśmy spóźnieni.

Strażnicy mrugnęli do siebie porozumiewawczo, a potem jeden z nich potrząsnął głową. – Widziałem, jak ci się przyglądały kobiety – stwierdził z zazdrością i jego spojrzenie padło na szerokie barki Caramona. – Powinienem być się domyślić, że zostaniesz zaproszony tu na... hmm... kolację.

O czym oni mówią? Zdumiona mina Caramona wywołała kolejny wybuch śmiechu strażników.

– Na bogów! – parsknął jeden. – Popatrz na niego! On rzeczywiście jest nowy!

– Idź już. – Drugi strażnik przepuścił go gestem dłoni. – Smacznego!

Znów śmiech. Czerwieniąc się i nie wiedząc, co ma powiedzieć, wciąż starał się trzymać Tasa. Caramon wkroczył do świątyni, a wchodząc usłyszał, jak strażnicy wymieniają rubaszne żarty, dzięki czemu nagle wyraźnie zrozumiał ich aluzje. Ciągnąc wrywającego się kendera w głąb korytarza, wskoczył za pierwszy róg, do którego dotarł. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje.

Kiedy już nie widział i nie słyszał strażników, wypuścił Tasa. Kender był blady i miał rozszerzone oczy.

– Ach, ci-ci... Ja im... Jeszcze pożałują...

– Tas! – Caramon potrząsnął nim. – Przestań. Uspokój się. Przypomnij sobie, po co tu przyszliśmy!

– Rzezimieszek! Jakbym był pospolitym złodziejem! – Tasowi prawie wystąpiła piana na usta. – Ja...

Caramon spojrzał na niego groźnie i kender umilkł. Opanowując się, zaczerpnął głęboko tchu i powoli wypuścił powietrze. – Już nic mi nie jest – rzekł obrażonym tonem.

Powiedziałem, że nic mi nie jest – warknął, gdy Caramon nie przestawał przyglądać mu się z powątpiewaniem.

– No cóż, dostaliśmy się do środka, choć niezupełnie w taki sposób, jakiego się spodziewałem – mruknął Caramon. – Czy słyszałeś, co oni mówili?

– Nie, nie po „rzezi-rzezi”... po tym słowie. Częściowo zasłaniałeś mi uszy – stwierdził Tas

oskarżycielskim tonem.

– Oni... oni sugerowali, że... panie tutaj zapraszają mężczyzn, żeby-żeby... no, wiesz...

– Posłuchaj, Caramonie – rzekł doprowadzony do rozpaczy Tas. – Dostałeś swój znak. Wpuścili nas. Prawdopodobnie tylko żartowali sobie z ciebie. Wiesz przecież, jaki jesteś naiwny. Uwierzyłybyś we wszystko! Tika zawsze tak twierdziła.

Caramona naszło wspomnienie o Tice. Słyszał, jak mówiła ze śmiechem te właśnie słowa. Zraniło go to niczym nóż. Patrząc wściekle na Tasa, natychmiast odsunął to wspomnienie.

– Tak – rzekł gorzko, czerwieniąc się – pewnie masz rację. Zażartowali sobie ze mnie. I udało im się mnie nabrać!

– Uniósł głowę i po raz pierwszy przyjrzał się wspaniałościom świątyni. Zaczął sobie zdawać sprawę z tego, gdzie jest: w świętym miejscu, pałacu bogów. Znów ogarnęło go poczucie szacunku i czci, jakiego doznał, gdy przyglądał się świątyni skąpanej w promiennym blasku Solinari. – Ale tnaś rację – bogowie dali nam znak!

W świątyni był taki korytarz, gdzie niewielu zachodziło, a spośród tych, którzy tam zaglądali, nikt nie czynił tego dobrowolnie. Zmuszeni udać się tam w jakimś celu, kończyli szybko swe interesy i oddalali się najszybciej, jak to było możliwe.

Sam korytarz nie był niczemu winien. Był równie wspaniały, co reszta pomieszczeń w świątyni. Przepiękne gobeliny w stonowanych barwach zdobiły ściany, puszyste dywany okrywały marmurowe posadzki, wdzięczne posągi wypełniały mroczne wnęki. Znajdowały się tu bogato rzeźbione drewniane drzwi, które wiodły do komnat równie pięknie ozdobionych, co inne pokoje w świątyni. Jednakże te drzwi się nie otwierały, były zamknięte na klucz. Wszystkie pokoje były puste – wszystkie, z wyjątkiem jednego.

Ten pokój znajdował się na samym końcu korytarza, w którym nawet za dnia panowała cisza i mrok. Było to zupełnie tak, jakby mieszkaniec tej komnaty rzucał cień na posadzki, po których stąpał i powietrze, którym oddychał. Ci, którzy weszli do korytarza, skarżyli się na duszności. Nie mogli złapać tchu, niczym konający w płonącym domu.

Był to pokój Fistantilusa. Należał do niego od lat, od czasów, gdy król-kapłan doszedł do władzy i przegnał czarodziejów z ich wieży w Paianthas – wieży, w której Fistantilus rządził jako przełożony Konklawe.

Jaki układ zawarli – czołowe siły dobra i zła na świecie? Na mocy jakiej umowy Mroczny otrzymał pozwolenie zamieszkania w najpiękniejszym, najświętszym miejscu na Krynnie? Nikt nie wiedział, a wielu snuło domysły. Większość uważała, że była to łaska króla-kapłana, szlachetny gest wobec pokonanego wroga.

Jednakże nawet on – król-kapłan – nie chodził tym korytarzem. Przynajmniej tu wielki mag niepodzielnie sprawował mroczne i przerażające rządy.

Na końcu korytarza było wysokie okno. Zaciągnięto na nim ciężkie zasłony z pluszu, które

przesłaniały słońce za dnia, a promienie księżycy w nocy. Rzadko światło przenikało przez grube fałdy. Jednak tej nocy, być może dlatego, że przełożony domostwa zapędził do owego korytarza służbę, by odkurzyła go i wysprzątała, zasłony były odsunięte i wpuszczały srebrne światło Solinari do ciemnego i posępnego holu. Promienie księżycy zwanego przez krasnoludów Świecą Nocy przeszywały ciemność niczym długie, cienkie ostrze z migotliwej stali.

Albo chudy, biały palec trupa, pomyślał Caramon, zaglądając w głąb tego milczącego korytarza. Przenikający szybko palec księżycowego światła biegł przez wyłożoną dywanem podłogę i przebywszy cały korytarz, dotykał mężczyznę stojącego na jego końcu.

– To jego drzwi – powiedział kender tak cichym szeptem, że Caramon ledwo go słyszał przez odgłos bicia swego serca. – Po lewej stronie.

Caramon znów sięgnął pod pelerynę, szukając rękojeści sztyletu i jej dodającej otuchy obecności. Jednakże rękojeść noża była zimna. Wzdrygnął się po jej dotknięciu i szybko cofnął dłoń.

Wydawało się, że przejście tym korytarzem jest prostą sprawą, jednak nie mógł ruszyć się z miejsca. Być może było to spowodowane wagą tego, co zamierzał – zamierzał odebrać człowiekowi życie, nie w bitwie, lecz we śnie. Zabić człowieka we śnie – w tej chwili, gdy jest najbardziej bezbronny, gdy oddaje się w ręce bogów. Czyż istniała bardziej odrażająca, tchórzliwa zbrodnia?

Bogowie dali mi znak, przypomniał sobie Caramon i surowo nakazał sobie pamiętać o umierającym Barbarzyńcy. Przykazał sobie pamiętać o mękach brata w Wieży. Przypomniał sobie, jak potężny był zły mag, gdy nie spał. Caramon zaczerpnął głęboko tchu i mocno chwycił rękojeść sztyletu, choć nie wy dobył go zza paska. Ruszył cichym korytarzem, odnosząc teraz wrażenie, że księżycowa poświata wzywa go.

Poczuł za sobą czyjąś obecność tak blisko, że kiedy się zatrzymał, Tas wpadł na niego.

– Zostań tu i nie ruszaj się – rozkazał Caramon.

– Nie... – zaczął protestować Tas, ale Caramon uciszył go.

– Musisz. Zostań na straży na końcu korytarza. Gdyby ktoś nadchodził, krzyknij albo zrób coś.

– Ale...

Caramon zmierzył kendera piorunującym wzrokiem. Na widok posępnej miny i zimnego, beznamiętnego spojrzenia Tas przełknął ślinę i skinął głową. – T-to ja sobie stanę tu, w cieniu. – Wskazał miejsce i oddalił się na paluszkach.

Caramon czekał, aż był pewien, że Tas „przypadkowo” nie pójdzie jego śladem. Jednak kender skulił się żałośnie w cieniu ogromnego drzewka w donicy, które uschło przed miesiącami. Caramon odwrócił się i ruszył dalej.

Stojąc obok tego kruchego szkieletu, którego suche liście szeleściły, gdy kender się ruszał,

Tas śledził idącego w głąb korytarza Caramona. Zobaczył, że wielki mężczyzna dociera do jego końca, wyciąga rękę i kładzie dłoń na klamce. Zobaczył, jak Caramon delikatnie popycha drzwi, które ustąpiły pod jego naporem i otworzyły się bezgłośnie. Caramon znikł we wnętrzu pokoju.

Tasslehoff zaczął dygotać. Okropne mdłości rozeszły się od jego żołądka i ogarnęły całe ciało, a z gardła wydarł mu się jęk. Przyciskając dłoń do ust, aby nie krzyknąć, kender przywarł do ściany i pomyślał o umieraniu w samotności i w mroku.

Caramon przecisnął swe wielkie ciało w szparze drzwi, otworzywszy je jedynie odrobinę na wypadek, gdyby zawiasy miały zaskrzypieć. Mi leżały jednak. W całej komnacie panowała cisza. Żaden dźwięk ze świątyni nie docierał tutaj, jakby duszna ciemność wchłonęła wszelkie odgłosy życia. Caramon miał uczucie, że płoną mu płuca i wyraźnie stanęła mu przed oczami chwila, gdy tonął w Krwawym Morzu Istar. Stanowczo stłumił panikę.

Zatrzymał się na chwilę w progu, starając się uspokoić bijące szaleńczo serce, i rozejrzał się po pokoju. Światło Solinari sączyło się przez szczelinę w ciężkich zasłonach, które zakrywały okno. Cienka smużka blasku kroїła ciemność, c ją wąskim cięciem, które prowadziło prosto do łóżka po drugiej stronie pokoju.

Komnata była skromnie umeblowana. Caramon zauważył kształt ciężkiej, czarnej szaty zarzuconej na drewniane krzesło. Obok stała para miękkich, skórzanych butów z cholewami. Na kominku nie palił się ogień, noc była ciepła. Ściskając rękę do noża, Caramon wyciągnął go powoli i szedł przez pokój, wiedziony srebrnym blaskiem księżyca.

Znak od bogów, pomyślał. Czuł strach, taki strach, jakiego rzadko doznawał w swym życiu – paniczny, ściskający żołądek, szarpiący trzewiami – strach, od którego dygotały mu mięśnie i zaschło w gardle. Rozpaczliwie zmusił się do przełknięcia śliny, by nie kaszlnąć i nie zbudzić śpiącego.

– Muszę zrobić to szybko! – powiedział sobie, poważnie obawiając się, że może zemdleć albo pochorować się. Przeszedł przez pokój, a miękki dywan tłumił jego szybkie kroki. Teraz widział łóżko i śpiącą w nim postać. Widział ją wyraźnie, a poświata księżyca kładła się równą linią na podłodze, nogach łóżka, kołdrze, sięgając ukosem do głowy leżącej na poduszce, z kapturem naciągniętym na twarz, dla osłony przed światłem.

– Tak oto bogowie wskazują mi drogę – szepnął Caramon, nieświadom tego, że mówi. Podkradłszy się do łóżka, zatrzymał się ze sztyletem w dłoni, nasłuchując cichego oddechu swej ofiary, próbując wykryć każdą zmianę w głębokim, równym rytmie, która powiedziała by mu, że został wykryty.

Wdech i wydech... Wdech i wydech... Oddech był silny, głęboki, spokojny. Oddech zdrowego, młodego mężczyzny. Caramon wzdrygnął się, przypominając sobie, jak stary jest ponoć ten czarodziej, przypominając sobie mroczne pogłoski ° tym, w jaki sposób Fistantilus odnawia swą młodość. Oddech mężczyzny był równy, miarowy. Nie było żadnych przerw,

żadnego przyspieszenia. Światło księżyca sączyło się do wnętrza zimne, niewzruszone, stanowiąc znak...

Caramon uniósł sztylet. Jedno pchnięcie – szybkie i zręczne – głęboko w pierś i wszystko się skończy. Idąc naprzód, Caramon zawahał się. Nie, zanim zada cios, chce mu spojrzeć w twarz – spojrzeć w twarz człowiekowi, który zadawał męki jego bratu.

Nie! Głupcze! wrzeszczał jakiś głos w duszy Caramona. Dźgnij teraz, szybko! Caramon ponownie uniósł sztylet, lecz ręka mu drżała. Musiał zobaczyć tę twarz! Wyciągnąwszy drżącą rękę, delikatnie dotknął czarnego kaptura. Materiał był miękki. Odsunął go na bok.

Srebrna poświata Solinari dotknęła dłoni Caramona, a potem twarzy śpiącego maga, kąpiąc ją w swym blasku. Ręka Caramona zeszytwniała, blada i zimna jak u trupa, gdy wojownik popatrzył na twarz na poduszce.

Nie była to twarz sędziwego, złego czarnoksiężnika, pobrużdżona niezliczonymi grzechami. Nie była to nawet twarz udręczonej istoty, której wykradziono życie, by przedłużyć egzystencję umierającego maga.

Była to twarz młodego czarodzieja, zmęczona długimi wieczorami ślęczenia nad książkami, lecz teraz odprężona dzięki utęsknionemu wypoczynkowi. Była to twarz, na której zawzięte znoszenie cierpienia zostało wyryte w stanowczych, nieustępliwych bruzdach wokół ust. Była to twarz tak znajoma dla Caramona, jak jego własna, twarz, na którą spoglądał we śnie niezliczoną ilość razy, którą chłodził kojącą wodą...

Ręka trzymająca sztylet opadła i ostrze utkwilo w materacu. Rozległ się dziki, zdławiony krzyk i Caramon padł na kolana przy łóżku, ściskając kódrę palcami pokrzywionymi z bólu. Jego wielkie ciało dygotało konwulsyjnie, wstrząsane szlochem.

Raistlin otworzył oczy i usiadł, mrużąc oczy w jaskrawym świetle Solinari. Znów naciągnął na oczy kaptur, a potem, westchnąwszy z irytacją, ostrożnie wyjął sztylet ze zmartwiałej dłoni brata.

## ***Rozdział IX***

To było naprawdę głupie, mój bracie – powiedział Raistlin, obracając sztylet w smukłych dłoniach i przyglądając mu się od niechcienia. Trudno mi w to uwierzyć, nawet w twoim przypadku. Klęcząc na podłodze przy łóżku, Caramon popatrzył na swego bliźniaka. Twarz miał nieprzytomną i trupio bladą. Otworzył usta.

– Nie rozumiem, Raist – zaskomlał Raistlin, przedrzeźniając go.

Caramon zacisnął wargi, a jego twarz zastygła na kształt posępnej, pełnej goryczy maski. Jego wzrok padł na sztylet, który jego brat wciąż trzymał. – Może byłoby lepiej, gdybym nie odsunął kaptura – mruknął.

Raistlin uśmiechnął się, choć brat tego nie widział.

– Nie miałeś wyboru – powiedział. Potem westchnął i potrząsnął głową. – Mój bracie, czy ty rzeczywiście wierzyłeś, że możesz wejść do mojego pokoju i zamordować mnie we śnie? Wiesz przecież, jak lekki mam sen, zawsze miałem.

– Nie, nie ty! – krzyknął łamiącym się głosem Caramon, unosząc wzrok. – Myślałem... – Nie mógł ciągnąć dalej.

Raistlin przyglądał mu się przez chwilę zdumiony, po czym niespodziewanie zaczął się śmiać. Był to okropny śmiech, brzydki i szyderczy, a Tasslehoff – wciąż stojący na końcu korytarza – słysząc ten dźwięk, przycisnął dłonie do uszu. Jednocześnie zaczął się skradać w jego kierunku, by sprawdzić, co się dzieje.

– Zamierzałeś zamordować Fistantilusa! – rzekł Raistlin, przyglądając się bratu z rozbawieniem. Znow zaśmiał się. – Drogi bracie – powiedział – zapomniałem, jaki potrafisz być zabawny.

Caramon zaczerwienił się i niepewnie wstał.

– Zamierzałem zrobić to... dla ciebie – powiedział. Podchodząc do okna, odsunął zasłonę i wyjrzał ponuro na dziedziniec, który migotał perłowo i srebrnie w świetle Solinari.

– Ależ oczywiście – warknął Raistlin, a w jego tonie dał się słyszeć ślad dawnej goryczy. – Czy cokolwiek robiłeś nie dla mnie?

Wypowiedziawszy ostre słowo rozkazu, Raistlin sprawił, że komnata rozjarzyła się jasnym światłem promieniującym z laski Magiusa opartej o ścianę w kącie. Mag odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Podeszedł do kraty kominka, wypowiedział kolejne słowo i z nagiego kamienia strzeliły płomienie. Ich pomarańczowy blask padł na jego bladą, chudą twarz i odbił się w jego bystrych, brązowych oczach.

– Cóż, spóźniłeś się, mój bracie – kontynuował Raistlin, wyciągając dłonie przed siebie, by je ogrzać nad ogniem, rozprostowując i gimnastykując swe giętne palce. Fistantilus zginął.

Z mojej ręki.

Caramon gwałtownie się odwrócił i spojrzał na brata, zaskoczony dziwnym tonem w głosie Raistlina. Jednak jego brat nadal stał przy ogniu, wpatrując się w płomienie.

– Sądziłeś, że wejdiesz tu i zadłgasz go we śnie – epnął Raistlin z ponurym uśmiechem na wąskich wargach. – Największego maga, jaki kiedykolwiek żył – aż do chwili obecnej.

Caramon zauważył, że jego brat oparł się o kominek jakby nagle zasnął.

– Był zaskoczony moim widokiem – rzekł cicho Rai – stijn – i szdył ze mnie, tak samo jak w Wieży. Ale bał się. Widziałem to w jego oczach.

– „Więc, mizerny magu” – drwił Fistantilus – „jak tu się dostałeś? Czyżby przysłał cię wielki Par-Salian?” – „Przybyłem sam” – powiedziałem mu. – „Ja jestem teraz mistrzem Wieży”.

– Tego się nie spodziewał. „Niemożliwe”, powiedział, śmiejąc się. „Ja jestem tym, którego nadejście głosiła przepowiednia. Jestem władcą przeszłości i terażniejszości. Kiedy będę gotów, wrócę do swego dziedzictwa”.

Lecz strach rósł w jego oczach już w chwili, gdy to mówił, bowiem przeczytał me myśli. „Tak”, odpowiedziałem na jego nie wypowiedziane słowa. „Proroctwo nie zadziałało zgodnie z twymi nadziejami. Miałeś zamiar udać się z przeszłości do terażniejszości, wykorzystując siłę życiową, którą kradłeś mnie, by utrzymać się przy życiu. Jednakże zapomniałeś, a może nie dbałeś o to, że ja mogę czerpać z twojej duchowej siły! Musiałeś utrzymywać mnie przy życiu, by nadal wysysać ze mnie soki. W tym celu dałeś mi te słowa i nauczyłeś używania smoczej kuli. Kiedy leżałem umierający u stóp Astinusa, ty tchnąłeś powietrze w to nędzne ciało, które dręczyłeś. Ty sprowadziłeś mnie przed oblicze Królowej Ciemności i błagałeś ją, by dała mi klucz do otworzenia starożytnych tekstów magicznych, których nie umiałem odczytać. A wreszcie, gdy byłeś gotowy, zamierzałeś Wejść w strzaskaną skorupę mego ciała i objąć ją w posiadanie”.

Raistlin odwrócił twarz do brata, a Caramon cofnął się o krok, przerażony nienawiścią i furją, która płonęła w jego oczach jaśniej niż tańczące płomienie na kominku.

– Więc umyślił sobie, bym stale był słaby i wątpy. Lecz ja 2. nim walczyłem! Walczyłem z nim! – powtórzył cicho i z naciskiem Raistlin, utkwivszy spojrzenie w oddali. – Wykorzystałem go! Wykorzystałem jego ducha, żyłem z cierpieniem i pokonałem je! „Ty jesteś władcą przeszłości”, powiedziałem mu. „Lecz brak ci siły, by dostać się do terażniejszości. Ja jestem władcą terażniejszości, który wkrótce stanie się władcą przeszłości!” Raistlin westchnął, opuścił rękę, blask zamigotał w jego oczach i zgasł, pozostawiając po sobie ciemność i udrękę. – Zabiłem go – wyszeptał mag – lecz było to gorzkie zwycięstwo.

– Zabiłeś go? Oni-oni powiedzieli mi, że wróciłeś tu, by uczyć się od niego – wyjąkał Caramon z twarzą wykrzywioną przez poczucie dezorientacji.

– Tak było – rzekł cicho Raistlin. – Spędziłem z nim długie miesiące w przebraniu,



ujawniając się dopiero, gdy byłem gotowy. Tym razem ja wyssałem go na wiór!

Caramon potrząsnął głową. – To niemożliwe. Wyjechałeś nie wcześniej niż my tamtej nocy... Przynajmniej tak powiedział ten czarny elf...

Raistlin potrząsnął głową z irytacją. – Czas dla ciebie, mój bracie, jest podróżą od wschodu słońca do zmierzchu. Czas dla tych z nas, którzy opanowali jego tajemnice, jest podróżą poza słońca. Sekundy stają się latami, godziny tysiącleciami. Od miesięcy przemierzam te korytarze jako Fistantilus. W ciągu tych ostatnich kilku tygodni udałem się w podróż do wszystkich Wież Wielkiej Magii – to znaczy tych, co jeszcze stoją – aby uczyć się i studiować. Odwiedziłem Loraca w królestwie elfów i nauczyłem go posługiwać się smoczą kulą – to zabójczo groźny prezent dla kogoś tak słabego i próżnego jak on. Usidli go w późniejszych czasach. Spędziłem długie godziny z Astinusem w wielkiej bibliotece. A przedtem studiowałem u wielkiego Fistantilusa. Zwiedziłem też inne miejsca i widziałem okropności i cuda, których nie potrafisz sobie wyobrazić.

Niemniej dla Dalamara, na przykład, byłem nieobecny nie więcej niż dzień i noc. Tak samo dla ciebie.

To nie mieściło się Caramonowi w głowie. Rozpaczliwie tarał się uchwycić jakiegoś skrawka rzeczywistości.

– W takim razie... czy to oznacza, że jesteś... teraz zdrowy? To znaczy, w terażniejszości? W naszych czasach? Machnął ręką. – Twoja skóra nie jest złota, nie masz klepsydr w oczach. Wyglądasz... zupełnie jak wtedy, gdy byłeś młody i jechaliśmy do Wieży, siedem lat temu. Czy nadal taki będziesz, gdy wrócimy?

– Nie, mój bracie – powiedział Raistlin z cierpliwością, z jaką tłumaczy się coś dziecku. – Chyba Par-Salian wyjaśnił ci to? Cóż, najwyraźniej nie. Czas jest rzeką. Nie zmieniłem jego nurtu. Po prostu wyszedłem na brzeg i wskoczyłem w miejscu znajdującym się wyżej biegu czasu. Jego prąd niesie mnie ze sobą...

Raistlin nagle przerwał, rzucając ostre spojrzenie na drzwi. Szybkim ruchem dłoni sprawił, że otworzyły się gwałtownie i Tasslehoff Burrfoot wleciał do środka, padając na twarz.

– O, cześć – powiedział Tas, wesoło zbierając się z podłogi. – Właśnie miałem zamiar zapukać. – Otrzepując się, pełen entuzjazmu zwrócił się do Caramona. Ja już wszystko wiem! Widzisz, to jest tak – dawniej Fistantilus zmienił się w Raistlina, żeby zmienić się w Fistantilusa. A teraz Fistantilus zmienił się w Raistlina, który zmienił się w Fistantilusa, a potem zmienił się znów w Raistlina. Rozumiesz?

Nie, Caramon nie rozumiał. Tas odwrócił się do maga. – Czy nie mam racji, Raist?

Mag nie odpowiedział. Mierzył Tasslehoffa tak dziwnym i groźnym spojrzeniem, że kender obejrzał się niespokojnie na Caramona i zrobił krok czy dwa w stronę wojownika oczywiście na wypadek, gdyby Caramon potrzebował pomocy.

Nagle Raistlin wykonał lekki gest wezwania. Tasslehoff nie doznał wrażenia ruchu, lecz na czas połowy uderzenia serca pokój zmaćcił mu się w oczach, a potem okazało się że wisi, trzymany za kołnierz, kilka centymetrów przed chudą twarzą Raistlina.

– Dlaczego Par-Salian wysłał ciebie? – spytał Raistlin cichym tonem, od którego kendera przeszły ciarki, jak mawiał Flint.

– Cóż, oczywiście uważał, że Caramon potrzebuje pomocy i... – Raistlin zacisnął chwyt i zwięził oczy. Tas zająknął się. – Ee, tak naprawdę, to nie sądzę, żeby, ee, rzeczywiście zamierzał mnie w-wysłać. – Tas starał się wykręcić głowę, by spojrzeć błagająco na Caramona, lecz uścisk Raistlina był silny, nieubłagany i niemal dusił kendera. – Sądzę, że t-to był mniej więcej wypadek, przynajmniej jeśli chodzi o n-niego. A m-mógłbym mówić lepiej, gdybyś pozwolił mi odetchnąć... raz na jakiś czas.

– Nie przerywaj! – rozkazał Raistlin, potrząsając lekko Tasem.

– Raist, przestań... – zaczął Caramon, robiąc krok w jego stronę i marszcząc czoło.

– Zamknij się! – rozkazał wściekle Raistlin, nie odrywając płonących oczu od kendera. – Mów dalej.

– M-miałem taki pierścień, który ktoś zgubił... cóż, może nie zgubił... – wyjąkał Tas, wystarczająco zaniepokojony wyrazem oczu Raistlina, by być w zgodzie z prawdą, albo tak jej blisko, jak było to możliwe dla kendera.

– M-myślę, że tak jakby wszedłem do cudzego pokoju, a on chyba w-wpadł mi do sakiewki, bo nie wiem, jakim sposobem tam się dostał, ale kiedy t-ten mężczyzna w czerwonych szatach odesłał Bupu do domu, wiedziałem, że będę następny. A ja nie mogłem zostawić Caramona! W-więc pomodliłem się do F-Fizbana – to znaczy Paladine'a – i nałożyłem pierścień i... puf! – Tas uniósł ręce. – Zmieniłem się w mysz!

Kender przerwał dla efektu mając nadzieję, że wywoła odpowiednio dramatyczną i zdumioną reakcję publiczności.

i Hnakże oczy Raistlina tylko rozszerzyły się nieco ze znie:erpliwienia, a jego ręka wykręciła kołnierz kendera odroh'ne mocniej, Tas pośpiesznie kontynuował, jako że coraz trudniej było mu oddychać.

– Tak więc mogłem się schować – pisnął zupełnie jak mysz, którą był – i zakradłem się do labra-labora-lawaratorium – a on robił precudowne rzeczy: kamienie śpiewały i pani Crysania leżała tam cała blada, a Caramon wyglądał na przerażonego i nie mogłem go puścić samego, więc... więc... – Tas wzruszył ramionami i spojrzął na Raistlina z rozbrajającą niewinnością. – Jestem tu.

Raistlin nadal ścisnął go przez chwilę, pozerając wzrokiem, jakby chciał zedrzeć z niego skórę i zajrzeć mu do samej duszy. Potem, najwyraźniej zadowolony, mag opuścił kendera na podłogę, odwrócił głowę i utkwiał wzrok w ogniu, myślami będąc daleko.

– Co to oznacza? – szepnął. – Kender -'wszelkimi prawami magii zakazany! Czy to oznacza, że bieg czasu może zostać zmieniony? Czy on mówi prawdę? Czy tak wygląda ich spisek uknuty po to, by mnie powstrzymać?

– Co powiedziałaś? – spytał z ciekawością Tas, podnosząc głowę. Siedział na dywanie i próbował zaczerpnąć tchu. – Zmieniony bieg czasu? Przeze mnie? Czy chcesz powiedzieć, że mógłbym...

Raistlin odwrócił się gwałtownie i spojrzał na kendera tak morderczym wzrokiem, że Tas zamknął usta i zaczął się ostrożnie wycofywać do miejsca, gdzie stał Caramon.

– Ja byłem bardzo zdziwiony, gdy zastałem twego brata. A ty nie byłeś? – spytał Tas Caramona, nie zważając na skurcz bólu, który przemknął przez jego twarz. – Raistlin również był zaskoczony moim widokiem, prawda? To dziwne, bo ja go widziałem na targu niewolników i zakładałem, że on musiał nas widzieć...

– Targ niewolników! – rzekł nagle Caramon. Dość już teJ gadki o rzekach i czasie. Wreszcie coś, co rozumiał! – powiedziałaś, że jesteś tu od miesięcy! To ozna – cza, że to przez ciebie oni uwierzyli, że napadłem panią Crysanię! To ty mnie tu sprowadziłeś! Ty wysłałeś mnie na igrzyska!

Raistlin zrobił zniecierpliwony gest, poirytowany tym, że przerywa mu się tok myśli.

Jednak Caramon nie dawał za wygraną. – Dlaczego? – nalegał gniewnie. – Dlaczego tam?

– Och, na wszystkich bogów, Caramonie! – Raistlin znów się odwrócił, a jego oczy były zimne. – Na cóż byłbyś mi potrzebny w takim stanie, w jakim tu przybyłeś? Tam, dokąd się udamy, będę potrzebował silnego wojownika, a nie opasłego pijaka.

– I to ty... kazałeś zabić Barbarzyńcę? – spytał Caramon z błyskiem w oczach. – Ty wysłałeś to ostrzeżenie temu, jak-mu-tam – Quarathowi?

– Nie bądź idiotą, mój bracie – rzekł ponuro Raistlin. – Co mnie obchodzą przyziemne intrygi dworu? Ich bezrozumne gierki? Gdybym chciał się pozbyć wroga, jego życie zostałoby zdmuchnięte w kilka sekund. Quarath schlebia sobie, sądząc, że tak interesowałbym się nim.

– Ale krasnolud powiedział...

– Krasnolud słyszy tylko dźwięk pieniędzy wpadających mu do ręki. Możesz jednak wierzyć, w co chcesz. Raistlin wrzucił ramionami. – Mało o to dbam.

Caramon milczał przez chwilę, zastanawiając się. Tas otworzył usta – przynajmniej sto pytań koniecznie chciał zadać Raistlinowi – ale Caramon posłał mu wściekłe spojrzenie i kender zamknął je szybko. Caramon, powoli ułożywszy sobie w głowie wszystko, co mu powiedział brat, nagle uniósł wzrok.

– Co miałeś na myśli: „Tam, dokąd się udamy?” – Nie muszę się tłumaczyć – odparł Raistlin. – Dowiesz się, gdy nadejdzie czas, jak się powiada. Moje dzieło posuwa się naprzód, lecz nie jest jeszcze całkiem zakończone. Jest jeszcze ktoś oprócz ciebie, kogo trzeba przekuć

i nadać mu kształt.

– Crysania – szepnął Caramon. – To ma coś wspólnego z wyzwaniem rzuconym Królowej Ciemności, prawda? Tak jak mówiłeś? Potrzebna ci jest osoba duchowna...

– Jestem bardzo zmęczony, mój bracie – przerwał mu Raistlin. Na jego gest płomienie na kominku znikły. Na jego polecenie światło laski zgasło. Mrok, zimny i ponury, spowił troje stojących. Znikł nawet blask Solinari, bowiem księżyc schował się za budynkami. Raistlin przemierzył komnatę, idąc w stronę łóżka. Jego czarne szaty szeleściły cicho. – Zostaw mnie i daj mi wypocząć. W żadnym przypadku nie powinieneś tu zostawać za długo. Bez wątpienia szpiedzy donieśli o twojej obecności, a Quarath potrafi być groźnym wrogiem. Staraj się nie dać się zabić. Byłbym bardzo rozżłoszczony, gdybym musiał szkolić następnego ochroniarza. Żegnaj, mój bracie. Bądź gotów. Moje wezwanie nadejdzie wkrótce. Pamiętaj o dacie.

Caramon otworzył usta, lecz stwierdził, że mówi do drzwi. Wraz z Tasem stali na zewnątrz w ciemnym teraz korytarzu.

– To naprawdę niewiarygodne! – rzekł kender, wzdychając z radości. – Nie poczułem nawet, że się poruszam, a ty? W jednej chwili byliśmy tam, w następnej jesteśmy tutaj. Tylko machnięcie dłonią. To wspaniałe być magiem – stwierdził z żalem Tas, wpatrując się w zamknięte drzwi.

– Śmigać przez czas, przestrzeń i zamknięte drzwi.

– Chodź już – powiedział niespodziewanie Caramon, odwracając się i ruszając długim krokiem w głąb korytarza.

– Powiedz no, Caramonie – rzekł cicho Tas, śpiesząc za nim. – Co miał na myśli Raistlin, mówiąc: „Pamiętaj o dacie?” Czy to zbliża się jego Dzień Daru Życia, czy coś w tym rodzaju? Czy powinieneś dać mu prezent?

– Nie – warknął Caramon. – Nie bądź głupi.

– Wcale nie jestem głupi – protestował obrażony – W końcu Zimowe Święto jest już za kilka tygodni i on pewno spodziewa się prezentu z tej okazji. Przynajmniej przypuszczam, że tu w Istar obchodzą Zimowe Święto tak samo, jak my w naszych czasach. Czy sądzisz... Caramon nagle stanął jak wryty.

– Co się stało? – spytał Tas, zaniepokojony przerażonym wyrazem twarzy ogromnego mężczyzny. Kender pośpiesznie obejrzał się, zaciskając dłoń na rękojeści małego noża, który wsunął sobie za pasek.

– Co zobaczyłeś? Ja nic nie...

– Data! – krzyknął Caramon. – Data, Tas! Zimowe Święto! W Istar! – Odwróciwszy się raptownie, chwycił zaskoczonego kendera. – Jaki jest rok? Jaki rok?

– Chyba... – Tas przełknął ślinę, starając się pomyśleć. – Wydaje mi się, tak, ktoś mi powiedział, że jest... 962.

Caramon jęknął, wypuścił Tasa i złapał się za głowę.

– Co się stało? – zapytał Tas.

– Myśl, Tas, myśl! – wymamrotał Caramon. Potem, ściskając głowę z żalości, wielki mężczyzna poszedł przed siebie na oślep, potykając się w ciemności. – Co oni chcą, żebym zrobił? Co ja mogę zrobić?

Tas szedł za nim wolniej. – Popatrzmy. Jest Zimowe Święto, rok 962 I. A. Co za śmiesznie wysoka liczba. Z jakiegoś powodu brzmi mi znajomo. Zimowe Święto 962... Och, już sobie przypomniałem! – rzekł triumfalnie. – To były ostatnie Zimowe Święta przed... tuż przed...

Ta myśl zaparła kenderowi dech w piersi.

– Tuż przed Katakлизmem! – szepnął.

## ***Rozdział X***

Denubis odłożył pióro i przetarł oczy. Siedział w ciszy pomieszczenia kopistów, zasłaniając oczy dłonią. Miał nadzieję, że krótka chwila odpoczynku mu pomoże. Nie pomogła. Kiedy chwycił pióro, by podjąć prace, słowa, które próbował tłumaczyć, stale zlewały się w niezrozumiałą płataninę.

Skarcił się surowo i nakazał sobie skupienie – wreszcie słowa odzyskały sens. Praca jednakże szła mu ciężko. Bolała go głowa. Miał wrażenie, że od kilku dni dokucza mu tępym, pulsującym bólem, który nie ustępował nawet we śnie.

– To przez tę dziwną pogodę – powtarzał sobie bezustannie. – Za gorąco jak na początek świąt.

Rzeczywiście było dziwnie gorąco. Powietrze było wilgotne, ciężkie i duszne. Bezskutecznie czekano na orzeźwiający podmuchy wiatru. Powiadano, że sto sześćdziesiąt kilometrów dalej, w Karthayu, ocean rozciągał się nieruchomo pod palącym słońcem, tak spokojny, że żaden statek nie mógł żeglować. Okręty stały w portach, ich kapitanowie Przeklinali, a towary gniły w ładowniach.

Wycierając czoło, Denubis starał się nadal pilnie pracować nad przekładem dysków Mishakał na solamnijski. Nie mógł się jednak skupić. Przyszła mu na myśl historia, którą posłyszał zeszłej nocy z ust kilku rycerzy solamnijskich -. makabryczna opowieść, o której Denubis starał się zapomnieć.

Rycerz imieniem Soth uwiódł młodą elfią kapłankę, a potem poślubił ją i sprowadził jako żonę do swego zamku w twierdzy Dargaard. Jednak według rycerzy ów Soth był już żonaty i istniały powody, by wierzyć, iż jego pierwszą żonę spotkała podstępna i okrutna śmierć.

Rycerze wysłali delegację, by aresztować Sotha i sprowadzić go przed sąd, lecz jak powiadano, twierdza Dargaard była teraz zbrojną fortecą – wierni Sothowi rycerze bronili swego pana. Najbardziej w tym wszystkim przejmujące było to, że elfia kobieta, którą ów szlachcic oszukał, została przy nim w niezłomnej miłości, choć udowodniono jego winę.

Denubis wzdrygnął się i starał się odpędzić tę myśl. No proszę! Zrobił błąd. To beznadziejne! Chciał ponownie odłożyć pióro, gdy usłyszał, jak drzwi pokoju kopistów otwierają się. Czym prędzej podniósł pióro i zaczął szybko pisać.

– Denubisie – rozległ się cichy, pełen wahania głos. Kapłan podniósł wzrok. – Crysanio, moja droga – rzekł z uśmiechem.

– Czy nie przeszkadzam ci w pracy? Mogę przyjść później...

– Nie, nie – zapewniał ją Denubis. – Cieszę się, że cię widzę. Bardzo się cieszę. – Była to szczerza prawda. Przy Crysanii czuł się spokojny i opanowany. Nawet ból głowy zdawał się

słabnąć. Opuściwszy miejsce za biurkiem, znalazł krzesło dla gościa i drugie dla siebie, po czym usiadł przy niej, zastanawiając się nad powodem jej przybycia.

Crysanias rozejrzała się po cichym pomieszczeniu i uśmiechnęła się. – Podoba mi się tutaj – stwierdziła. – Tak tu spokojnie i zacisznie. – Jej uśmiech zgasł. – Czasami ffleczą mnie ludzie – rzekła, a jej spojrzenie padło na drzwi wiodące do świątyni.

– Tak, tu jest spokojnie – powiedział Denubis. – \V każdym razie teraz. W minionych latach tak nie było. Kiedy tu przybyłem, pełno tu było skrybów przekładających słowa bogów na różne języki, aby wszyscy mogli je przeczytać. Król-kapłan jednakże nie uważał tego za konieczne i jeden po drugim wszyscy odeszli. Wszyscy, z wyjątkiem mnie. – Westchnął. – Chyba jestem za stary – dodał łagodnie i przepraszająco. – Staralem się wymyślić coś ważnego, co mógłbym robić, ale nie potrafiłem. Więc zostałem tutaj. Zdaje się, że nikomu zbytnio nie przeszkadzam.

Nie mógł powstrzymać się od lekkiego zmarszczenia brwi, kiedy przypomniał sobie długie rozmowy z wielbnym synem Quarathem, który wciąż nalegał, aby wreszcie zajął się czymś użytecznym. W końcu wyższy rangą kapłan zrezygnował, oświadczając Denubisowi, że jest przypadkiem beznadziejnym. Tak więc Denubis wrócił do swego zajęcia i przesiadywał dzień za dniem w samotności, tłumacząc zwoje i księgi. Wysyłał je do Solamnii, gdzie bez czytania odkładano je na półkę w jakiejś wielkiej bibliotece.

– Ale, dość już o mnie – dodał, widząc pobladłą twarz Crysanias. – Co ci dolega, moja droga? Źle się czujesz? Wybacz, lecz nie mogłem nie zauważyć w ciągu ostatnich tygodni, jak nieszczęśliwie wyglądasz.

Crysanias w milczeniu przyglądała się swym dłoniom, a potem spojrzała na kapłana. – Denubisie – zaczęła z wahaniem – czy ty... czy sądzisz, że kościół jest... tym, czym powinien być?

Tego się spodziewał. Wyglądała raczej na młodą dziewczynę, którą zwiódł kochanek. – Ależ oczywiście, moja droga – stwierdził zbity z tropu Denubis.

– Doprawdy? – Unosząc wzrok, spojrzała mu w oczy tak uważnie, że Denubis zamarł. – Byłeś w służbie kościoła jeszcze przed przybyciem króla-kapłana i Quar – je – go ministrów. Mówisz o dawnych czasach. Widziałeś, jakie nastąpiły zmiany. Czy na lepsze?

Denubis otworzył usta, żeby powiedzieć: ależ oczywiście, tak, teraz jest lepiej. Jak mogłoby być inaczej, jeśli głową kościoła jest ktoś tak dobry i święty jak król-kapłan? Jednak uświadomił sobie nagle, że szare oczy pani Crysanias widzą jego duszę i poczuł, jak ich wnikliwe spojrzenie wnosi światło do ciemnych zakamarków, gdzie od lat chował różne rzeczy. W niemiły sposób przypomniało mu to Fistantilusa.

– Ja... cóż, oczywiście, tylko... – bełkotał i wiedział o tym. Zaczerwienił się i umilkł. Crysanias z powagą pokiwała głową, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Teraz jest lepiej – stwierdził stanowczo, nie chcąc, by jej młoda wiara ucierpiała tak, jak

stało się w jego przypadku. Biorąc ją za rękę, pochylił się. – Jestem tylko starszym panem w średnim wieku, moja droga. A starsi panowie w średnim wieku nie lubią zmian. To wszystko. Dla nas wszystko dawniej było lepsze. Wiesz co – zaśmiał się cicho – wydaje się, że nawet woda była smaczniejsza. Nie jestem przyzwyczajony do tych nowych mód. Trudno mi to zrozumieć. Kościół czyni bardzo wiele dobrego, moja droga. Przynosi porządek krajowi i społeczeństwu...

– Bez względu na to, czy społeczeństwo sobie tego życzy, czy nie – mruknęła Crysania, lecz Denubis tego nie zauważył.

– Tępi zło – ciągnął, ale nagle historia lorda Sotha wpłynęła nieproszona na jego tok rozumowania i zagubił się w swym wykładzie. Pośpiesznie starał się podjąć wątek, lecz było już za późno.

– Czyżby? – spytała go pani Crysania. – Czyżby tępił zło? A może jesteśmy jak dzieci zostawione nocą same w domu, które zapalają jedną świecę po drugiej, by odpędzić ciemność. Nie pojmujemy, że ciemność ma swój sens choć może go nie rozumiemy – i tak oto, przez swój strach, doprowadzamy do pożaru domu!

Denubis zamrugał powiekami, nic z tego nie rozumiejąc, I cz Crysania kontynuowała, coraz bardziej podenerwowa – Denubis uświadomił sobie z niepokojem, że musiała to dusić w sobie przez wiele tygodni.

– Nie staramy się pomagać odnaleźć drogę tym, którzy ją zgubili! Odwracamy się do nich plecami, nazywając ich niegodnymi, albo się ich pozbywamy! Czy wiesz – odwróciła się do Denubisa – że Quarath zaproponował oczyszczenie świata z ras ogrów?

– Ależ, moja droga, ogrowie są przecież bandą zbrodniczych brutalni... – Denubis zdobył się na słaby protest.

– Stworzonych przez bogów, tak samo jak my – powiedziała Crysania. – Czy mamy prawo, nie do końca rozumiejąc wielki plan rzeczy, niszczyć cokolwiek, co stworzyli bogowie?

– Nawet pająki? – spytał Denubis bez zastanowienia. Widząc jej poirytowaną minę, uśmiechnął się. – Nieważne. To tylko starcze banialuki.

– Przybyłam tu przekonana, że kościół jest wszystkim, co dobre i szczerze, a teraz... – Ukryła głowę w dłoniach.

Serce bolało Denubisa niemal tak samo jak głowa. Wyciągnawszy drżącą rękę, łagodnie pogładził Crysanię po gładkich, czarnych włosach, pocieszając ją, jakby pocieszał własną córkę, której nie miał.

– Nie wstydz się swego zwątpienia, dziecko – powiedział, starając się zapomnieć, że wstydział się swojego. Idź, porozmawiaj z królem-kapłanem. On rozwieje twe wątpliwości. Jest mądrzejszy ode mnie.

Crysania z nadzieją podniosła wzrok. – Czy myślisz...

– Oczywiście. – Denubis uśmiechnął się. – Zobaczysz się z nim dziś wieczorem, moja droga.



Urządza audiencję. Nie obawiaj się. Takie pytania nie wzbudzają jego gniewu.

– Dobrze – rzekła Crysania ze stanowczą miną. Masz rację. To było niemądre z mojej strony, że zмагаłam się z tym sama, bez niczyjej pomocy. Spytam króla-kapłana On z pewnością potrafi rozjaśnić ten mrok.

Denubis uśmiechnął się i poderwał, kiedy Crysania wstała. Pod wpływem impulsu nachyliła się i ucałowała go delikatnie w policzek. – Dziękuję ci, mój przyjacielu – powiedziała cicho. – Zostawiam cię samego z twą pracą.

Przyglądając się kobiecie wychodzącej z cichego, słonecznego pokoju, Denubis poczuł nagły, niewytłumaczalny smutek, a potem bardzo wielki strach. Miał wrażenie, jakby stał w jaskrawym świetle i przyglądał się, jak ona odchodzi w przepastną, straszną ciemność. Blask wokół niego jaśniał, podczas gdy mrok wokół niej pogłębił się i stał się jeszcze bardziej przerażający.

Zdezorientowany Denubis zasłonił dłonią oczy. Światło było prawdziwe! Wpadało do jego pokoju, kąpiąc go w blasku tak promiennym i cudownym, że nie mógł nań patrzeć. Jasność przesywała mu mózg, ból głowy był nie do zniesienia. Mimo to muszę ostrzec Crysanię, pomyślał rozpaczliwie, muszę ją powstrzymać...

Blask pochłonął go, wypełniając jego duszę promienną jasnością. A potem jaskrawa poświata nagle zgasła. Znowu stał w słonecznym pokoju. Nie był jednak sam. Mrużąc oczy, by przyzwyczaić je do ciemności, rozejrzał się i dostrzegł elfa, który stał wraz z nim w komnacie i przyglądał mu się spokojnie. Ów elf był stary, łysiejący i miał długą, nienagannie zadbaną, siwą brodę. Odziany był w długie, białe szaty, a na jego szyi wisiał medalion Paladine'a. Twarz elfa wyrażała smutek tak wielki, że Denubisowi zebrało się na płacz.

– Przykro mi – wychrypiał Denubis. Przyłożywszy dłoń do głowy, zdał sobie nagle sprawę, że ból ustał. N-nie widziałem, abyś wchodził. Czy mogę ci pomóc? Szukasz kogoś?

– Znalazłem już tego, kogo szukam – powiedział spokojnie elf, wciąż z tą samą smutną miną – jeśli ty jesteś Denubis.

– Jestem Denubis – odparł zdziwiony kapłan. – Wybacz mi jednak, lecz nie potrafię zgadnąć, kim...

– Nazywam się Loralon – rzekł elf.

Denubis westchnął. Loralon, największy z elfich kapłanów, wiele lat temu sprzeciwiał się dojściu Quaratha do władzy. Quarath był jednak potężny i stały za nim wielkie siły. Głoszące potrzebę zgody i pokoju słowa Loralona nie były w cenie. Z żalem stary kapłan wrócił do swego ludu, do cudownej krainy Silvanesti, którą kochał, przysięgając, że już nigdy nie spojrzy na Istar.

Cóż w takim razie tu robisz?

– Z pewnością szukasz króla-kapłana – wyjąkał Denubis – ja zaraz...

– Nie, szukam w świątyni tylko jednej osoby i ty nią jesteś, Denubisie – powiedział Loralon.

– Chodź. Przed nami długa podróż.

– Podróż! – powtórzył głupkowato Denubis, zastanawiając się, czy przypadkiem nie oszalał.

– To niemożliwe. Nie opuszczałem Istar od chwili, gdy tu przybyłem trzydzieści lat temu...

– Chodź, Denubisie – rzekł łagodnie Loralon.

– Dokąd? Jak? Nie rozumiem! – wykrzyknął Denubis. Zobaczył, że Loralon stoi pośrodku słonecznego pokoju i przygląda mu się z tym samym głębokim, nieopisanym smutkiem. Podnosząc dłoń, Loralon dotknął medalionu, który wisiał na jego szyi.

I wtedy Denubis pojął. Paladine natchnął swego kapłana zrozumieniem. Denubis ujrzał przeszłość. Zbladłszy ze zgrozy, potrząsnął głową.

– Nie – szepnął. – To zbyt okropne.

– Decyzja jeszcze nie zapadła. Szale równowagi przechylają się. Ta podróż może okazać się krótka, ale może też trwać nieskończenie długo. Chodź, Denubisie, nie jesteś już tu potrzebny.

Wielki elfi kapłan wyciągnął rękę. Denubis poczuł, jak spływa na niego błogi spokój, jakiego przedtem nigdy nie doświadczał nawet w obecności króla-kapłana. Spuściwszy głowę, wyciągnął dłoń i wziął Loralona za rękę. Jednakże nie mógł powstrzymać łez...

Crysanía siedziała w kącie wystawnej sali audiencyjnej króla-kapłana z rękoma złożonymi na podołku, blada, lecz opanowana. Nikt by się nie domyślił zamętu w jej duszy. Nikt, może z wyjątkiem jednego człowieka, który niepostrzeżenie wszedł do komnaty i stał teraz w ocienionej wnęce, przyglądając się Crysanii.

Przysłuchując się melodyjnemu głosowi króla-kapłana, słysząc, jak dyskutuje ze swymi ministrami o poważnych sprawach państwowych, jak przechodzi od polityki do rozwiązywania wielkich zagadek wszechświata, Crysanía aż się zaczerwieniła. Myśl, że zbliży się do niego ze swymi mało znaczącymi pytaniami, nasunęła jej słowa Elistana: „Nie idź’ do innych po odpowiedzi. Spójrz w głąb swego serca. Albo znajdziesz odpowiedź, albo spostrzeżesz, że odpowiedź jest w rękach samych bogów, nie człowieka”.

Tak więc Crysanía pogrążona w rozmyślaniach, zaglądała do swego serca. Niestety, spokój, którego pragnęła, wymykał się. Być może na te pytania nie ma odpowiedzi, stwierdziła nagle. Wtedy Crysanía poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Zaskoczona spojrzała w górę.

– Istnieją odpowiedzi na twoje pytania, wielebna córko – rzekł znajomy głos, od którego wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł dreszcz – istnieją odpowiedzi, lecz ty nie chcesz ich wysłuchać.

Poznała głos, lecz – kiedy zapalczywie spojrzała w cień kaptura, nie mogła poznać twarzy. Zerknęła na dłoń na swym ramieniu, sądząc, że zna tę dłoń. Ujrzała fałdy czarnej szaty i na ten widok serce jej podskoczyło. Jednakże na szatach nie było srebrnych runów, jakie on nosił. Znów spojrzała na twarz. Widziała tylko blask oczu i bladą cerę. Wtedy dłoń opuściła jej ramię i spuściła kaptur.

Początkowo Crysanía odczuła gorzkie rozczarowanie.

Dczy młodzieńca nie były złote i nie miały kształtu klesydry, która stała się jego symbolem. Skóra nie miała złotego zabarwienia, twarz nie była wychudzona i chorowita. Oblicze tego mężczyzny było blade, jakby od długich godzin ślęczenia nad książkami, lecz zdrowe, a nawet przystojne, pominawszy, gorzki cynizm. Oczy miał brązowe i zimne jak szkło odbijające wszystko, co same widziały, i nie ujawniające niczego od wewnątrz. Ciało mężczyzny było smukłe, lecz muskularne. Czarne, pozbawione ozdób szaty, ujawniały zarys silnych barków, a nie zgarbioną sylwetkę maga. Mężczyzna uśmiechnął się, lekko rozwierając wąskie wargi.

– To ty! – szepnęła Crysania, zrywając się z krzesła.

Mężczyzna ponownie położył rękę na jej ramieniu, wywierając delikatny nacisk, który zmusił ją, by usiadła. Proszę, nie wstawaj, wielbna córko – powiedział. Dotrzymam ci towarzystwa. Tu jest cicho i nikt nam nie będzie przeszkadzał w rozmowie. – Odwrócił się, wykonał wdzięczny ruch dłonią i krzesło, które stało po drugiej stronie pomieszczenia, niespodziewanie stanęło obok niego. Crysania sapnęła cicho i rozejrzała się po pokoju. Lecz jeśli ktokolwiek to zauważył, pilnie udawał, że nie widzi maga. Obejrząwszy się, Crysania spostrzegła, że Raistlin patrzy na nią z rozbawieniem.

– Raistlinie – rzekła oficjalnie, by ukryć swe speszenie – cieszę się, że cię widzę.

– I ja się cieszę, że cię widzę, wielbna córko – powiedział tym drwiącym tonem, który tak działał jej na nerwy.

– Jednakże moje imię nie brzmi Raistlin.

Wbiła w niego wzrok, czerwieniąc się jeszcze bardziej z zażenowania. – Wybacz mi – powiedziała, wpatrując się uważnie w jego twarz – ale bardzo przypominasz mi kogoś, kogo znam... kiedyś znałam.

– Być może to rzuci światło na tę tajemnicę – powiedział cicho. – Moje imię tutaj brzmi Fistantilus.

Crysania zadrżała mimo woli, a światła w pomieszczeniu jakby przygasły. – Nie – oświadczyła, potrząsając głową – to niemożliwe! Wróciłeś... żeby uczyć się od niego!

– Wróciłem, by stać się nim – odparł Raistlin.

– Ale... słyszałam różne historie. On jest zły, podły... – Odsunęła się od Raistlina, utkwivszy w nim wzrok pełen zgrozy.

– Zła już nie ma – odrzekł Raistlin. – On nie żyje.

– Ty? – To słowo było szeptem.

– On zabiłby mnie, Cysanio – powiedział po prostu Raistlin – tak jak zamordował niezliczone ofiary. Stawką było życie jego lub moje.

– Zamieniliśmy jedno zło na drugie – odpowiedziała Crysania smutnym, beznadziejnym głosem.

Wymyka mi się z rąk! natychmiast zdał sobie sprawę Raistlin. Przyglądał jej się w milczeniu.

Zmieniła pozycję na krześle, odwracając twarz od niego. Widział jej profil, zimny i czysty jak blask Solinari. Chłodno obserwował ją, zupełnie tak samo jak zwierzątko, które szły pod jego nóż, gdy starał się zgłębić tajniki życia. Tak jak obdzierał je ze skóry, by zobaczyć ich bijące serca, tak w myślach rozbierał zewnętrzne mury obronne Crysanii, by zobaczyć jej duszę.

Przysłuchiwała się pięknemu głosowi króla-kapłana, a na jej twarzy malował się głęboki spokój. Jednakże Raistlin pamiętał jej wygląd w chwili, gdy wszedł. Od dawna przyzwyczajony do obserwowania innych i odgadywania emocji, które rzekomo ukrywali, spostrzegł pojawienie się lekkiej zmarszczki pomiędzy jej czarnymi brwiami, dostrzegł, że jej szare oczy pociemniały i zachmurzyły się. Trzymała dłonie na podołku, lecz widział, że palcami skubała materiał swej sukni. Wiedział o jej rozmowie z Denubisem. Wiedział, że wątpiła i że jej wiara słabnie, chwieje się na krawędzi przepaści. Niewiele będzie trzeba, by ją do niej zepchnąć. A przy odrobinie cierpliwości z jego strony, Crysania może nawet skoczyć z własnej woli.

Raistlin przypomniał sobie, jak drgnęła od jego dłoni.

przysunawszy się bliżej, wyciągnął rękę i chwycił ją za nad – rstek. Podskoczyła i natychmiast starała się uwolnić. Jednakże jego<sup>o</sup> uścisk był mocny. Crysania spojrzała mu w oczy, ale nie mogła się poruszyć.

– Czy naprawdę wierzysz w te bajki o mnie? – spytał Raistlin głosem kogoś, kto długo cierpiał, a potem wrócił i stwierdził, że wszystko było na nic. Zobaczył, że jego żal przeszywa jej serce. Chciała coś powiedzieć, lecz Raistlin kontynuował, obracając nóż wbity w jej duszę.

– Fistantilus zamierzał wrócić do naszych czasów, zabić mnie, zabrać moje ciało i podjąć dzieło w miejscu, gdzie porzuciła je Królowa Ciemności. Planował podporządkować sobie złe smoki. Smoczy władcy, jak moja siostra, Kitiara, zgromadziłiby się tłumnie pod jego sztandarem. Świat znów pograżyliby się w wojnie. – Raistlin przerwał. – Ta groźba już nie istnieje – rzekł cicho.

Jego wzrok więził Cysanię, tak jak dłoń więziła jej nadgarstek. Spoglądając w jego oczy, widziała swe odbicie w ich zwierciadlanej powierzchni. I zobaczyła siebie niejako bladą, żarliwą i surową kapłankę, jak nazywano ją nieraz, lecz jako osobę piękną i czułą. Ten mężczyzna przybył do niej z ufnością, a ona ją zawiodła. Cierpienie w jego głosie było nie do zniesienia i Cysania znów chciała coś powiedzieć, lecz Raistlin kontynuował.

– Znasz moje ambicje – powiedział. – Przed tobą otworzyłem serce. Czy jest moim zamiarem wznowić wojnę? Czy jest moim pragnieniem podbić świat? Moja siostra, Kitiara, przybyła do mnie, by prosić właśnie o to, by szukać mej pomocy. Odmówiłem, a ty, jak się obawiam, poniosłaś tego konsekwencje. – Raistlin westchnął i spuścił oczy.

– Powiedziałem jej o tobie, Cysanio, o twojej dobroci i potędze. Wpadła we wściekłość i wysłała swego upiornego rycerza, by cię zabił, pragnąc w ten sposób położyć kres twemu wpływowi na mnie.

– Czy mam na ciebie wpływ? – spytała cicho Crynie starając się już wyrwać z uścisku Raistlina. Głos jej drżał z radości. – Czy mogę mieć śmiałości wyrazić nadzieję, że ujrzałeś ścieżki kościoła...

– Ścieżki tego kościoła? – spytał Raistlin głosem znów gorzkim i pełnym drwiny. Cofnąwszy gwałtownie rękę, rozparł się w krzesło, owijając się połamami swej czarnej szaty i przyglądając się Crysanii z szyderczym uśmiechem.

Zażenowanie, gniew i poczucie winy zabarwiło policzki Crysanii bladym różem, a jej oczy pociemniały do barwy głębokiego błękitu. Rumieniec na jej policzkach rozprzestrzenił się na jej wargi i nagle rzeczywiście stała się piękna – co Raistlin zauważył mimo woli. Ta myśl rozdrażniła go niezmiernie, bo groziła rozproszeniem uwagi.

– Znam twe wątpliwości, Crysanio – podjął raptownie z irytacją. – Wiem, co widziałaś. Stwierdziłaś, że kościół bardziej jest zajęty rządzeniem światem niż głoszeniem nauk bogów. Widziałaś kapłanów zajmujących się oszustwami, mieszających się do polityki, trwoniących pieniądze, które mogłyby nakarmić ubogich. Chciałaś oczyścić imię kościoła, gdy tu przybyłaś, i ujawnić, że bogowie w słusznym gniewie zrzucili ognistą górę na tych, którzy ich porzucili. Chciałaś zrzucić winę – być może na czarodziejów.

Rumieniec Crysanii pogłębił się. Odwróciła głowę, lecz jej cierpienie i upokorzenie były oczywiste.

Raistlin ciągnął bezlitośnie. – Czas Kataklyzmu nadciąga nieubłaganie. Prawdziwi kapłani już opuścili ziemię. Nie wiedziałaś? Twój przyjaciel, Denubis, odszedł. Ty, Crysanio, jesteś jedyną prawdziwą kapłanką, która została.

Crysania patrzyła na Raistlina zaszokowana. – To... niemożliwe – wyszeptała. Omiotła spojrzeniem komnatę. I po raz pierwszy usłyszała rozmowy tych, którzy stali zgromadzeni w grupkach odsuniętych dalej od króla-kapłana. Usłyszała rozmowy o igrzyskach, kłótnie dotyczące dystrybucji publicznych funduszy, kierunku posuwania się wojsk, sposobów podporządkowania sobie buntowniczej krainy wszystko w imię kościoła.

I wtedy, jakby po to, by zagłuszyć te szorstkie głosy, jej wzburzonej duszy wezbrał słodki, melodyjny głos króla – kapłana, przynosząc ukojenie. Król-kapłan nadal tu był. Odwracając się od ciemności w stronę jego światła, poczuła, że jej wiara, znów silna i czysta, staje w jej obronie. Chłodno spojrzała na Raistlina.

– Wciąż istnieje dobro na świecie – rzekła surowo. Wstała i zamierzała odejść. – Dopóki ten święty mąż, który z pewnością jest pobłogosławiony przez bogów, sprawuje władzę, nie mogę uwierzyć, że bogowie skierowali swój gniew na kościół. Powiedzmy raczej, że na świat za lekceważenie kościoła – kontynuowała niskim i pełnym pasji głosem. Raistlin również wstał i podszedł przyglądając jej się uważnie.

Zdawała się tego nie zauważyć i ciągnęła dalej. – Lub za lekceważenie króla-kapłana! On

musi to przewidzieć! Być może już teraz stara się temu zapobiec! Błaga bogów, by mieli litość!

– Spójrz na tego człowieka – szepnął Raistlin – „błogosławionego” przez bogów. – Wyciągnąwszy rękę, pochwycił Crysanię w swe silne dłonie i zmusił ją, by odwróciła się twarzą do króla-kapłana. Przytłoczona poczuciem winy za swe zwątpienie i zła na siebie, że nieostrożnie pozwoliła Raistlinowi zajrzeć do swego wnętrza, Crysania gniewnie starała się wyrwać z jego rąk, lecz ścisnął ją mocno, a jego palce paliły jej skórę.

– Patrz! – powtórzył. Potrząsnąwszy nią lekko, zmusił ją do podniesienia głowy i spojrzenia wprost w jasność i glorię otaczającą króla-kapłana.

Raistlin poczuł, że Crysania, zaczyna drżeć i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Co widzisz, wielbna córko? – szepnął jej do ucha, a jego oddech musnął jej policzek.

Jej jedyną odpowiedzią był żalostny jęk.

– Powiedz mi – nalegał Raistlin.

– Mężczyznę – Crysania zająknęła się, nie spuszczać zaszokowanego spojrzenia z króla-kapłana. – Zwykle – go człowieka. Sprawia wrażenie zmęczonego i wystraszo nego, nie spał od wielu nocy. Bładoniebieskimi oczyma strzela ze strachu na wszystkie strony... – Nagle uświadomiła sobie, co mówi. Świadoma bliskości Raistlina, ciepła i dotyku silnego, muskularnego ciała pod miękkimi, czarnymi szatami, Crysania wyrwała się z jego uścisku.

– Jakie zaklęcie rzuciłeś na mnie? – zapytała gniewnie, odwracając się, by stawić mu czoło.

– Żadne zaklęcie, wielbna córko – odparł cicho Raistlin. – Złamałem czar, jakim on się otacza w swym strachu. Ten strach stanie się przyczyną jego zguby i sprowadzi zniszczenie na świat.

Crysania spojrzała na Raistlina. Chciała, żeby kłamał. Siłą woli naginała rzeczywistość, aby okazało się to kłamstwem. Jednakże wtedy zdała sobie sprawę, że nawet gdyby kłamał, nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Nie mogła dłużej okłamywać siebie samej.

Zbita z tropu, przestraszona i oszołomiona Crysania, na wpół oślepią łzami, wybiegła z sali audiencyjnej.

Raistlin przyglądał się jej, nie czując ani uniesienia, ani satysfakcji ze zwycięstwa. W końcu niczego innego się nie spodziewał. Siadłszy znów blisko kominka, z misy owoców stojącej na stole wybrał pomarańczę i od niechcenia zrywał z niej skórę, w zamyśleniu wpatrując się w płomień.

Jeszcze jedna osoba w komnacie przyglądała się, jak Crysania wybiega z sali audiencyjnej. Przyglądała się, jak Raistlin zjada pomarańczę, wpierw wysysając z niej sok, a potem pochłaniając miąższ.

Z twarzą bladą z gniewu spierającego się o pierwszeństwo ze strachem, Cjuarath opuścił salę audiencyjną i wrócił do swej komnaty, po której nie przestał krążyć aż do świtu.

## *Rozdział XI*

Tę noc, gdy prawdziwi kapłani opuścili Krynn, w historii znano pod nazwą Nocy Przeznaczenia. Gdzie się udali i jaki był ich los, tego nie zapisał nawet Astinus. Niektórzy powiadają, że widziano ich w ponurych, pełnych goryczy dniach Wojny Lancy, trzysta lat później. Wielu elfów przysięgnie na wszystko, co im drogie, że Loralon, największy i najpobożniejszy z elfich kapłanów, przemierzał udręczoną krainę Silvanesti, opłakując jej upadek i błogosławiąc wysiłki tych, którzy poświęcali się jej odbudowie.

Jednakże odejście prawdziwych kapłanów uszło uwagi większości mieszkańców Krynny. Niemniej owa noc pod wieloma względami okazała się Nocą Przeznaczenia.

Crysanja uciekła z sali audiencyjnej króla-kapłana w strachu i wzburzeniu. Jej wzburzenie łatwo było wyjaśnić. Zobaczyła najwspanialszego króla-kapłana, męża, którego kapłani czcili nawet w jej czasach, jako człowieka bojącego się własnego cienia, człowieka, który chował się za czarami i pozwalał innym rządzić za niego. Wszystkie wątpliwości i złe przecucia, wobec kościoła na Krynnie nękały ją po – nownie.

A przyczyny strachu nie umiała ani nie chciała określić. Kiedy wybiegła z sali, pędziła przed siebie na oślep, nie mając jasnego wyobrażenia ani dokąd idzie, ani co robi. PO – tem schroniła się w kącie, osuszyła łzy i wzięła się w garść. Zawstydzona chwilowym brakiem opanowania, od razu wie – działa, co musi uczynić.

Musi znaleźć Denubisa. Udowodni, że Raistlin się myli } Przez puste korytarze, rozjaśnione gasnącym blaskiem Sołinari, Crysanja szła do komnaty Denubisa. Ta opowieść o znikających kapłanach nie może być prawdziwa. Crysanja nigdy nie wierzyła w stare legendy o Nocy Przeznaczenia, uważając je za bajki dla dzieci. Teraz nadal nie chciała w nie uwierzyć. Raistlin był w błędzie.

Spieszyła przed siebie znajomą drogą bez chwili wytchnienia. Odwiedzała komnatę Denubisa wiele razy, by dyskutować o teologii i historii albo słuchać opowieści o jego ojczyźnie. Zapukała do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

– On śpi – powiedziała do siebie Crysanja, poirytowana nagłym dreszczem, jaki wstrząsnął jej ciałem. – Oczywiście, jest już po godzinie Głębokiej Straży. Przyjdę rano.

Jednakże zapukała raz jeszcze i nawet zawołała cicho: – Denubisie. Wciąż brak odpowiedzi.

– Wróć później. W końcu upłynęło zaledwie kilka godzin od chwili, gdy się z nim widziałam – znów powiedziała do siebie, lecz mimo woli położyła dłoń na klamce i lekko nią obróciła. – Denubisie? – szepnęła, czując w gardle bijące serce. W pokoju było ciemno, okno wychodziło na wewnętrzne podwórze, więc nie wpuszczało światła księżyca. Na chwilę Crysanję

opuściło zdecydowanie. To śmieszne! – skarciła sama siebie, wyobrażając sobie zażenowanie Denubisa i jej samej, jeśli mężczyzna obudzi się i ujrzy ją zakradającą się do jego sypialni w środku nocy.

Crysanias stanowczo otworzyła drzwi, tak że blask podni z korytarza wpadł do wnętrza pokoju. Był zupełny, jakim go zostawił – schludny, uporządkowany i... pusty – No, niezupełnie pusty. Książki kapłana, jego pióra, nawet ubrania wciąż leżały na wierzchu, jakby wyszedł tylko na chwilę i zamierzał zaraz wrócić. Jednak komnata była zimna i opuszczona.

Przez chwilę światła na korytarzu zamgliły Crysanias w oczach. Poczowała, że nogi się pod nią uginają i oparła się o drzwi. Potem, tak jak uprzednio, narzuciła sobie spokój i zmusiła do racjonalnego myślenia. Zdecydowanym krokiem wyszła na korytarz i jeszcze bardziej zdecydowanie nakazała sobie powrót do własnego pokoju.

Zgoda, nadeszła Noc Przeznaczenia. Prawdziwi kapłani odeszli. Zimowe Święto tuż-tuż. Trzydzieści dni po Zimowym Święcie nastąpi Kataklizm. Ta myśl zmusiła ją do zatrzymania się. Zrobiło jej się słabo i niedobrze, oparła się o okno i spojrzała nie widzącym wzrokiem na ogród skąpany w białej poświacie księżyca. Więc to był koniec jej planów, marzeń. Zmuszona będzie wrócić do swych własnych czasów i zameldować o katastrofalnej porażce.

Srebrny ogród rozmywał jej się w oczach. Odkryła, że kościół jest skorumpowany, a król-kapłan najwyraźniej odpowiedzialny za straszliwe zniszczenia świata. Nie powiodło jej się nawet wyciągnięcie Raistlina z zakamarków ciemności. On jej nigdy nie posłucha. Pewno teraz śmieje się z niej tym swoim przerażającym, szyderczym śmiechem...

– Wielebna córko? – rozległ się głos. Pośpiesznie wycierając oczy, Crysanias odwróciła się. – Kto tam? – spytała, starając się odkaslnąć. Mrugając szybko powiekami, wbijała wzrok w ciemność. Wtem wstrzymała oddech, gdy z cienia wychynęła postać spowita w ciemną szatę. Kapłance odebrało mowę.

– Byłem właśnie w drodze do swych komnat, gdy dostrzegłem, że tu stoisz – powiedział głos. Nie był roze – śmiany ani szyderczy, lecz spokojny i zabarwiony cynizmem. Cechowało go teraz coś nowego – ciepło, które sprawiło, że Crysanias zdrząła.

– Mam nadzieję, że nie jesteś chora – powiedział Raistlin, podchodząc. Choć stanął obok niej, nie widziała jego twarzy skrytej w cieniu kaptura. Dostrzegała jednak jego oczy, błyszczące, przenikliwe i zimne w blasku księżyca.

– Nie – szepnęła zmieszana Crysanias. Miała serdeczne pragnienie, by nie było znać śladów jej łez. Na niewiele jednak to się zdało. Zmęczenie i napięcie wzięły nad nią górę. Choć rozpaczliwie starała się opanować płacz, łzy znów pociekły jej po policzkach.

– Odejdź, proszę – powiedziała, zaciskając powieki i przełykając łzy niczym gorzkie lekarstwo.

Poczowała otaczające ją ciepło i aksamitną miękkość czarnych szat, które musnęły jej obnażone



ramię. Poczula słodki zapach korzeni, płatków róż i lekko mdlącą woń rozkładu – może skrzydła nietoperza, czaszka jakiegoś zwierzęcia – te tajemnicze rzeczy, jakich magowie używają do rzucania swych czarów. A potem poczuła, jak jej policzka dotyka dłoń, smukłe palce, wrażliwe, silne i palące tym dziwnym żarem.

Albo te palce otarły jej łzy, albo łzy same wyschły pod ich dotykiem, Crysania nie była pewna. Potem delikatnie uniesiono jej podbródek i odwrócono jej głowę od księżycowego światła. Crysanii zabrakło tchu, bicie serca dławilo ją. Zaciskała powieki, obawiając się tego, co może ujrzeć. Czula smukłe i jędrne ciało Raistlina, przywierające do jej ciała. Czula to straszliwe ciepło...

Crysania nagle zapragnęła, by jego mrok spowił ją, ukrył i ukoił. Pragnęła, by ten żar wypalił chłód w jej wnętrzu. Wyciągnęła ręce – ale jego już nie było. W ciszy korytarza słyszała oddalający się szelest jego szat.

Zaskoczona Crysania otworzyła oczy. Potem, znów płacząc, przycisnęła policzek do zimnej szyby. Tym razem były to łzy radości.

– Paladine – szepnęła – dziękuję ci. Moja droga jest jasna. Nie zawiodę!

Odziana w ciemną szatę postać snuła się korytarzami świątyni. Każdy, kto ją spotkał, odsuwał się od niej z przerażeniem, odsuwał się od gniewu, który było widać na zakapturzonej twarzy. Raistlin wreszcie dotarł do swego opustoszałego korytarza i uderzył w drzwi swej komnaty z taką siłą, że niemal roztrzaskał je. Jednym spojrzeniem sprawił, że w kominku strzeliły płomienie. Raistlin krążył po pokoju i kłął na siebie, aż zmęczony padł na fotel i spoglądał na ogień rozgorączkowanym spojrzeniem.

– Głupiec! – powtarzał. – Powinienem być to przewidzieć! – Zacisnął pięść. To ciało, mimo swej całej siły, podlega słabości powszechnej dla rodu męskiego. Bez względu na to jak inteligentny i zdyscyplinowany jest umysł, jak opanowane emocje, TO czai się w cieniu niczym wielka bestia, gotowa wyskoczyć i przejąć kontrolę. – Warknął z wściekłości i wbił paznokcie w dłoń, aż zaczęła krwawić.

– Wciąż ją widzę! Widzę jej skórę koloru kości słoniowej, jej miękkie wargi. Czuję zapach jej włosów i krągłości jej ciała!

– Nie! – To był nieomal wrzask. – To nie może się stać, nie dopuszczę do tego. A... – Naszła go myśl. A gdybym ją uwiódł? Czyż przez to nie byłaby bardziej podatna na mą moc? – Ta kusząca myśl wywołała taką falę pożądania w młodym mężczyźnie, że cały zadrżał.

Jednakże chłodna i wyrachowana, logiczna część umysłu Raistlina zwyciężyła. – Co ty wiesz o miłości? – zadał sobie z drwiną pytanie. – O uwodzeniu? Pod tym względem jesteś dzieckiem, głupszym niż ten wielkolud, twój brat.

Naszła go fala wspomnień z młodości. Wąty i chorowity, znany ze swego sarkazmu i przebiegłości, Raistlin z całą pewnością nie przyciągał uwagi kobiet, w odróżnieniu do swego

przystojnego brata. Pochłonięty obsesyjnie studiami nad magią nadmiernie nie odczuwał straty. Och, kiedyś zro – bił eksperyment. Jedna z dziewczyn Caramona, znudzona łatwym podbojem, pomyślała, że bliźniaczy brat wielkiego mężczyzny może okazać się bardziej interesujący. Sprovokowany niewybrednymi żartami brata i jego kolegów, Raistlin uległ jej prostackim zalotom. Rozczarowali się oboje. Dziewczyna z wdzięcznością wróciła w objęcia Caramona. Dla Raistlina był to jedynie dowód na to, co od dawna podejrzewał – że prawdziwą rozkosz znajduje tylko w magii.

Niemniej jednak to ciało – młodsze i silniejsze – aż kipiało z namiętności, jakiej do tej pory nie doświadczał. Jednakże nie mógł jej się poddać. – Skończyłoby to się moją zgubą – zrozumiał z chłodną dobitnością – nie tylko nie przysłużyłoby się mojemu celowi, ale mogłoby mu wręcz zaszkodzić. Ona jest dziewczicą, czystą umysłem i ciałem. Ta czystość jest jej siłą.

Doszedłszy do takiego stanowczego postanowienia i od dawna będąc przyzwyczajony do sprawowania ścisłej kontroli mentalnej nad swymi uczuciami, młody czarodziej odprężył się i rozparł w fotelu. Ogień przygasł, a zmęczony mag zamknął oczy i odpoczywał, by odbudować swą słabnącą moc.

Zanim jednakże zapadł w sen, w fotelu, ujrzał jeszcze raz z nieproszoną wyrazistością pojedynczą łzę połyskującą w świetle księżyca.

Noc Przeznaczenia trwała. Jednego z akolitów zbudzono z głębokiego snu i polecono mu zgłosić się do Quaratha. Zastał elfiego kapłana w jego komnacie.

– Czy wzywałeś mnie, panie? – spytał zaspany akolita, starając się zdławić ziewnięcie. Prawdę mówiąc, zewnętrzną szatę nałożył tyłem na przód, tak śpieszył się na wezwanie, które przyszło późno w nocy.

– Co ma znaczyć ten raport? – zażądał odpowiedzi Quarath, stukając palcem w arkusz papieru na biurku.

Akolita nachylił się, by spojrzeć, przecierając zaspane oczy, by móc coś odczytać.

– Ach, to – rzekł po chwili. – Dokładnie to, co tu jest napisane, panie.

– Że Fistantilus nie jest odpowiedzialny za śmierć mojego niewolnika? Bardzo trudno mi w to uwierzyć.

– Niemniej jednak, panie, możesz sam wypytać krasnoluda. Przyznał się – po sporej dozie pieniężnej perswazji – że rzeczywiście został wynajęty przez wymienionego tu lorda, którego najwyraźniej rozwścieczyło przejęcie przez kościół jego posiadłości na obrzeżach miasta.

– Już ja wiem, co go rozwścieczyło! – warknął Quarath. – A zabicie mojego niewolnika jest całkiem podobne do Onygiona – podstępne i skryte. Nie ośmiela się otwarcie stawić mi czoło.

Quarath siedział pogrążony w rozmyślaniach. – Dlaczego więc ten olbrzymi niewolnik uczynił to? – spytał nagle, rzucając przebiegłe spojrzenie na akolitę.

– Krasnolud oświadczył, że to ustalono prywatnie między nim a Fistantilusem.

Najwyraźniej pierwsza taka „robota” miała przypaść temu niewolnikowi, Caramonowi.

– Tego nie było w raporcie – rzekł Quarath, przyglądając się surowo młodemu człowiekowi.

– Nie – przyznał akolita, czerwieniąc się. – Ja naprawdę nie lubię... zapisywać niczego... o tym czarodzieju. Niczego, co mógłby przeczytać...

– No tak, trudno cię za to winić – mruknął Quarath. – Dobrze, możesz odejść.

Akolita skinął głową, skłonił się i z wdzięcznością wrócił do łóżka.

Jednakże Quarath nie położył się jeszcze przez wiele godzin, lecz w swym gabinecie czytał bez przerwy raport. Potem westchnął. – Staję się nie lepszy od króla-kapłana, który podskakuje na widok nie istniejących cieni. Gdyby Fistantilus chciał się mnie pozbyć, zrobiłby to w ciągu kilku sekund. Powinienem być zdawać sobie z tego sprawę to nie w jego stylu. – Wreszcie wstał. – Mimo to był przy niej tej nocy. Ciekawe, co to znaczy. Być może nic.

Być może ten mężczyzna jest bardziej ludzki niż gotów byłem przypuszczać. Z całą pewnością tym razem pojawił się w lepszym stanie niż zwykle.

Elf uśmiechnął się ponuro do siebie, poprawiając przybory na biurku i starannie chowając raport do kartoteki. Nadciągają Zimowe Święta. Nie będę myślał o tym do końca sezonu świątecznego. Szybko nadchodzi chwila, gdy królkapłan wezwie bogów, aby starli zło z oblicza Krynnu. To zepchnie Fistantilusa i jego popleczników z powrotem w ciemność, która ich zrodziła.

Potem ziewnął i przeciągnął się. – Wpierw jednak zajmę się lordem Onygiem.

Noc Przeznaczenia nieomal dobiegała kresu. Poranek zaświtał na niebie, gdy Caramon leżał w swej celi i wpatrywał się szary blask. Następnego dnia miały się odbyć kolejne igrzyska, jego pierwsze od czasu „wypadku”.

Życie wojownika przez ostatnich kilka dni nie było miłe. Pozornie nic się nie zmieniło. Inni gladiatorzy byli starymi wygami, od dawna obeznanymi ze zwyczajami igrzysk.

– To nie jest zły system – stwierdził Pheragas, gdy Caramon zwrócił się do niego w dzień po swym powrocie ze świątyni. – Z pewnością lepszy, niż tysiące ludzi zabijających się na polu walki. Tutaj, jeśli jakiś szlachcic czuje się obrażony przez innego, ich wojna toczy się potajemnie, po cichu i ku zadowoleniu wszystkich.

– Z wyjątkiem niewinnego człowieka ginącego dla sprawy, która go nie obchodzi, lub której nie rozumie! powiedział gniewnie Caramon.

– Nie bądź dzieckiem! – parsknęła Kiiri, polewając jeden ze swych składanych sztyletów. – Sam opowiadałeś, że trochę pracowałeś jako najemnik. Co rozumiałeś wtedy? Czy nie walczyłeś i zabijałeś dlatego, że ci dobrze płacono? Czy walczyłybyś, gdybyś nie dostał zapłaty? Ja nie widzę różnicy.

– Różnica polega na tym, że miałem wybór! – odparł Caramon z gniewnym grymasem. – I znałem sprawę, za którą się biłem! Nigdy nie walczyłybym, jeśli nie wierzyłybym w słusność

sprawy! Bez względu na to, ile by mi zapłacono! Mój brat uważał tak samo. On i ja... – Caramon nagle zamilkł – Kiiri spojrzała na niego dziwnie, a potem potrząsnęła głową. – Poza tym – dodała beztrąsko – to dodaje pieprzu, odrobiny prawdziwego napięcia. Od tej pory będziesz lepiej walczył. Zobaczysz.

Rozmyślając o tej rozmowie, Caramon starał się wyciągnąć z niej wnioski w swój metodyczny sposób. Może Kiiri i Pheragas mieli rację, może rzeczywiście roztkliwia się nad sobą, ponieważ kolorowa, błyszcząca zabawka, którą tak uwielbiał się bawić, skaleczyła go. Mimo to – przyglądając się temu ze wszystkich możliwych stron – wciąż nie mógł uwierzyć, że jest to właściwe. Człowiek zasługuje na możliwość wybrania sposobu na życie i na własną śmierć. Nikt inny nie ma prawa decydować za niego.

A potem, tuż przed brzaskiem, Caramonowi wydało się, że spadł na niego miazdzący ciężar. Mężczyzna usiadł, wspierając się na łokciu, i wpatrywał się nie widzącym wzrokiem w szarość celi. Jeśli to prawda, jeśli każdy człowiek zasługiwał na wybór, co z jego bratem? Raistlin dokonał wyboru – postanowił kroczyć ścieżkami nocy zamiast dnia. Czy Caramon miał prawo siłą sprowadzać brata z tych ścieżek?

Sięgnął pamięcią do dni, które nieświadomie przywołał podczas rozmowy z Kiiri i Pheragasem – dni tuż przed Próba, najszcześniejszych w jego życiu – dni służby najemniczej. Obaj doskonale walczyli razem i zawsze byli mile widziani przez szlachtę. Choć wojownicy są tak pospolici jak liście na drzewach, czarodzieje, którzy chcieli wziąć udział w walce, byli zupełnie inni. Choć wielu wielmożów miało powątpiewającą minę na widok wątego i chorowitego Raistlina, wkrótce doceniali jego odwagę i talent. Bracia byli dobrze opłacani.

Zawsze jednak starannie wybierali sprawę, o którą walczyli.

– To była robota Raista – szepnął do siebie Caramon ze smutkiem. – Ja walczyłbym dla każdego. Jednak Raistlin obstawał przy tym, by sprawa była słuszna i sprawiedliwa. Odrzuciliśmy niejedną ofertę, ponieważ on twierdził, że dotyczyła silnego człowieka, który starał się zdobyć jeszcze większą siłę przez...

– Ależ Raistlin właśnie to czyni! – powiedział cicho Caramon, wpatrując się w sufit. – A może nie? To oni tak twierdzą, ci czarodzieje. Czy jednak mogę im zaufać? Par-Salian go w to wpakował, sam to przyznał! Raistlin uwolnił świat od tego potwora Fistantilusa. To ze wszelkich miar dobry uczynek. Raistlin powiedział mi też, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Barbarzyńcy. Więc naprawdę nie zrobił niczego złego. Może źle go osądziłem. Może nie mamy prawa siłą go zmieniać...

Caramon westchnął. – Co ja mam zrobić? – Niepocieszony zamknął oczy ze znużenia i zapadł w sen, a wkrótce jego umysł wypełnił zapach gorących, świeżo upieczonych bułeczek.

Słońce rozjaśniło niebo. Noc Przeznaczenia skończyła się. Tasslehoff wstał z łóżka, entuzjastycznie powitał nowy dzień i postanowił, że on sam – osobiście – powstrzyma

Kataklizm.

## ***Rozdział XII***

Zmienię czas! – rzekł Tasslehoff z zapalem, przeskakując przez mur i lądując pośrodku grządki kwiatowej. Po ogrodzie spacerowało kilku kapłanów, rozmawiając o zabawach podczas zbliżających się Zimowych Świąt. Zamiast przeszkodzić im, Tas zrobił to, co uważał za uprzejme i legł na płask wśród kwiatów, dopóki nie odeszli, choć oznaczało to, że pobrudzi sobie niebieskie nogawice.

Całkiem przyjemnie było leżeć wśród czerwonych świątecznych róż, tak nazwanych, ponieważ kwitły tylko w okresie Zimowego Świąta. Było ciepło, za ciepło, jak twierdziła większość ludzi. Tas skrzywił się. Zaufaj tu istotom ludzkim. Gdyby pogoda była chłodna, typowa dla Zimowych Świąt, też by się skarżyli. Jego zdaniem ciepło było rozkoszne. Może odrobinę ciężko było oddychać w dusznym powietrzu, ale nie można mieć wszystkiego.

Tas z ciekawością przysłuchiwał się kapłanom. Świąteczne przyjęcia muszą być wspaniałe, pomyślał i przez głowę przebiegła mu myśl, żeby udać się na któreś z nich.

Pierwsze miało odbyć się tego wieczoru – Powitanie Zimowego Świąta. Zakończy się wcześniej, bowiem wszyscy chcieli się wyspać przed wielkimi, świątecznymi przyjęciami, które zaczną się jutro o świcie i będą trwać przez wiele dni – zanim nastąpi surowa, mroczna zima.

Może wybiorę się na to jutrzejsze przyjęcie, pomyślał Tas. Początkowo sądził, że Powitanie Zimowego Świąta w świątyni będzie podniosłe i pełne powagi, a przez to nieznośnie nudne – przynajmniej z punktu widzenia kendera. Z tego jednakże, co opowiadali kapłani, zapowiadało się całkiem wesoło.

Caramon miał jutro walczyć – igrzyska były jednym z głównych punktów programu sezonu świątecznego. Jutrzejsze igrzyska zadecydują o tym, które zespoły będą miały prawo stanąć do walki w finale – ostatnich zawodach roku, zanim zima wymusi zamknięcie areny. Zwycięzcy igrzysk zdobędą wolność. Oczywiście już podjęto decyzję, kto jutro wygra – zespół Caramona. Z jakiegoś powodu ta wieść wpędziła Caramona w posępne przygnębienie.

Tas potrząsnął głową. Doszedł do wniosku, że nigdy nie zrozumie tego człowieka. Całe to dąsanie się. Honor. W końcu to tylko zabawa. W każdym razie, ułatwi mu to wszystko. Tas bez trudu wymknie się i świetnie będzie się bawić.

Wtedy jednak kender westchnął. Nie, musi się zająć ważnymi sprawami – zapobieżenie Kataklizmowi jest ważniejsze od przyjęcia, nawet od kilku przyjęć. Poświęci swoją rozrywkę dla tej wielkiej sprawy.

Czując się bardzo szlachetny i przekonany o zaletach swego charakteru (i niespodziewanie dość znudzony), kender posłał kapłanom pełne irytacji spojrzenie, pragnąc, aby się pośpieszyli. Wreszcie spacerkiem opuścili ogród. Westchnąwszy z ulgą, Tas pozbiierał się i otrzepał z ziemi.

Zerwał świąteczną różę i wetknął ją w swą kitkę dla ozdoby na cześć świąt, po czym wślizgnął się do świątyni.

Ta również była przystrojona, a piękno i przepych zaparły kenderowi dech w piersi. Rozglądał się z radością, podzi – wiając tysiące świątecznych róż, które wyhodowano w ogrodach na całym Krynnie i sprowadzono tu, by wypełniły korytarze świątyni swą słodką wonią. Wieńce z wiecznokwiatu dodawały korzennego zapachu, a ostre, błyszczące liście przeplecione czerwonym aksamitem i łabędzimi piórami połyskiwały w słońcu. Kosze egzotycznych owoców stały na niemal każdym stole – dary z całego Krynnu, którymi mogli się delektować wszyscy w świątyni. Obok nich stały talerze pełne przepysznych ciast i słodczy. Z myślą o Caramonie Tas napchał swe sakwy do pełna, z zadowoleniem wyobrażając sobie radość ogromnego mężczyzny. Nigdy jeszcze nie widział, by Caramona nie opuściło przygnębienie na widok migdałowego ciastka posypanego kryształkami cukru.

Tas wędrował po salach, pogrążony w szczęściu. Niemal zapomniał, po co tu przybył, i musiał stale przypominać sobie o Ważnej Misji. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wszyscy, których mijał, zajęci byli zbliżającą się uroczystością albo sprawami rządu lub kościoła, albo obiema naraz. Czasami jakiś strażnik popatrzył na niego srogo, lecz Tas tylko uśmiechał się wesoło, machał ręką i szedł dalej. Było takie stare kenderskie przysłowie: Nie zmieniaj koloru, by dopasować się do ściany. Sprawiaj wrażenie, że jesteś tam, gdzie powinieś, a ściany zmieniają kolor, by dopasować się do ciebie.

Wreszcie po wielu zakrętach i zwrotach (i kilku przystankach, by zbadać interesujące przedmioty, z których pewne przypadkiem wpadły kenderowi do sakiewek), Tas znalazł się w korytarzu, który nie był przystrojony, który nie był pełen rozweselonych ludzi radośnie umawiających się na przyjęcia, który nie rozbrzmiewał głosem chórów ćwiczących świąteczne hymny. W tym korytarzu zaciągnięte zasłony nie wpuszczały słońca. Było tam ciemno, zimno i z powodu kontrastu z resztą świata jeszcze bardziej odstręczająco.

Tas skradał się po cichu. Korytarz był tak ponuro cichy i posepny, że zdawał się tego oczekiwać od wszystkich, którzy do niego wchodzili i byłby bardzo obrażony, gdyby tak nie było. Tas powiedział sobie, że ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie, byłoby obrazić korytarz, więc szedł po cichutku. Możliwość, że może podkraść się do Raistlina tak, żeby ten się nie dowiedział, i podejrzeć jakiś wspaniały magiczny eksperyment, z całą pewnością nie powstała kenderowi w głowie.

Zbliżając się do drzwi, usłyszał głos Raistlina, a sądząc z tonu, miał on gościa.

Do licha, taka była pierwsza myśl Tasa. – Będę musiał poczekać, póki ta osoba nie wyjdzie. A ja mam też Ważną Misję. Jakie to nieuprzejme. Ciekawe, jak długo to potrwa.

Przykładając ucho do dziurki od klucza – żeby sprawdzić, czy uda mu się stwierdzić, jak długo jeszcze ta osoba zamierza tam przebywać – Tas z zaskoczeniem usłyszał kobiecy głos.

– Ten głos wydaje mi się znajomy – powiedział kender do siebie, przyciskając się bliżej, by posłuchać. – Oczywiście! Crysania! Ciekawe, co ona tam robi.

– Masz rację, Raistlinie – powiedziała z westchnieniem. – Tu jest znacznie zaciszniej niż w tych jaskrawo zdobionych korytarzach. Kiedy przyszedłam tu po raz pierwszy, bałam się. Uśmiechasz się! Tak było. Przyznaję. Ten korytarz wydawał mi się tak posępny i chłodny. Teraz jednak korytarze świątyni są duszne i nawet ozdoby świąteczne mnie przygnębiają. Widzę tyle marnotrawstwa, wyrzuconych w błoto pieniędzy, które mogłyby pomóc potrzebującym.

Zamilkła, a Tas usłyszał szelest. Ponieważ nikt nie mówił, kender przestał podsłuchiwać i przyłożył oko do dziurki od klucza. Widział całkiem wyraźnie wnętrze pokoju. Ciężkie zasłony były zaciągnięte, lecz komnatę rozświetlał delikatny blask świecy. Crysania siedziała na krześle naprzeciwko niego. Szeleszczący dźwięk, jaki usłyszał, był najwyraźniej spowodowany jej niecierpliwym, pełnym frustracją – cji poruszeniem. Wsparła głowę na dłoni, a wyraz jej twarzy świadczył o zmieszaniu i zadziwieniu.

Nie to jednak sprawiło, że kender wybałuszył oczy. Crysania zmieniła się! Znikły jej proste, pozbawione ozdób, białe szaty i skromna fryzura. Teraz odziana była, jak inne kapłanki, w białe szaty, lecz bogato ozdobione delikatnym, złotym haftem. Ramiona miała nagie, a cienka, złota bransoleta podkreślała subtelną biel jej skóry. Jej włosy były zaczesane z czoła i spadały na ramiona z miękkością puchu. Policzki miała zaróżowione, oczy pełne ciepła, a ich spojrzenie spoczywało na odzianej w czarną szatę postaci, która siedziała naprzeciw niej, plecami do Tasa.

– Uff – stwierdził kender z zainteresowaniem. – Tika miała rację.

– Nie wiem, po co tu przyszedłam – usłyszał Tas słowa Crysanii po chwili przerwy.

Ja wiem, pomyślał z radością kender, znów przykładając ucho do dziurki, żeby lepiej słyszeć.

Crysania mówiła dalej. – Przepelnia mnie taka nadzieja, kiedy przychodzę cię odwiedzać, lecz odchodzę przygnębiona i nieszczęśliwa. Mam zamiar wskazać ci drogę sprawiedliwości i prawdy, udowodnić ci, że tylko wówczas możemy mieć nadzieję na przywrócenie pokoju naszemu światu. Ty jednak zawsze wątpisz w me słowa.

– Pytania, jakie zadajesz, są istotne – Tas usłyszał Raistlina, a potem kolejny szelest, jakby mag przysunął się bliżej do kobiety. – Ja po prostu otwieram twe serce. Z pewnością Elistan przeciwny jest ślepej wierze...

Tas zauważył sarkastyczną nutę w głosie maga, lecz Crysania najwyraźniej nie, bo odpowiedziała szczerze. – Oczywiście. Zachęca nas do zadawania pytań i często opowiada nam o Goldmoon – o tym, jak jej pytania doprowadziły do powrotu prawdziwych bogów. Dobre pytania powinny prowadzić do zrozumienia, ale te tylko zbijają mnie z tropu i czynią nieszczęśliwą!

– Jak dobrze znam to uczucie – szepnął Raistlin tak cicho, że Tas niemal go nie usłyszał. Kender zaryzykował szybkie zerknięcie. Mag był blisko niej, jedną rękę trzymał na jej ramieniu.



Kiedy wypowiedział te słowa, Crysania przysunęła się ku niemu, odruchowo nakrywając jego dłoń swoją. Odezwała się z taką nadzieją, miłością i radością w głosie, że Tas poczuł, jak po całym jego ciele rozchodzi się ciepło.

– Mówisz to szczerze? – spytała Crysania. – Czy moje biedne słowa coś dla ciebie znaczą? Nie, nie odwracaj oczu! Poznaję po twojej minie, że myślałeś o nich i zastanawiałeś się nad nimi. Jesteśmy tacy podobni! Wiedziałam o tym, gdy tylko cię spotkałam. Ach, znów się uśmiechasz, drwiąc ze mnie. Proszę bardzo. Ja znam prawdę. Powiedziałeś mi to samo w Wieży. Powiedziałeś, że jestem równie ambitna jak ty. Myślałam o tym i nie mylisz się. Nasze ambicje przybierają różne postaci, lecz być może nie są tak niepodobne, jak niegdyś sądziłam. Oboje prowadzimy samotniczy tryb życia, oddając się naszym studiom. Nie otwieramy serc przed nikim, nawet najbliższymi. Ty otaczasz się ciemnością, lecz, Raistlinie, ja sięgam dalej. To ciepło, światło...

Tas znów szybko przyłożył oko do dziurki. On ją pocałuje! pomyślał, szaleńczo podniecony. To jest wspaniałe! Poczekaj tylko, aż powiem Caramonowi.

– No, dalej, głupku! – niecierpliwie instruował Raistlina, kiedy mag trzymał ręce na ramionach Crysanii. Jak on może się powstrzymać? – mruknął kender, spoglądając na rozchylone wargi kobiety i jej błyszczące oczy.

Nagle Raistlin wypuścił Crysanię i odwrócił się od niej, gwałtownie wstając z krzesła. – Idź już lepiej – powiedział zachrypniętym głosem.

Tas westchnął i z niesmakiem odsunął się od drzwi. Oparłszy się o ścianę, potrząsnął głową.

Rozległ się odgłos głębokiego kaszlu i głos Crysanii, łagodny i zatroskany.

– To drobiazg – powiedział Raistlin, otwierając drzwi.

– Nie czuję się dobrze od kilku dni. Nie domyślasz się przyczyny? – spytał, trzymając drzwi na wpół uchylone. Tas przywarł plecami do ściany, żeby go nie zauważyli, nie chcąc przegapić czegokolwiek. – Nie czułaś tego?

– Co masz na myśli? – szepnęła zdyszana Crysania.

.– Gniew bogów – odparł Raistlin. Dla Tasa było oczywiste, że Crysania miała nadzieję na inną odpowiedź. Raistlin nie zauważał tego i kontynuował. – Ich wściekłość bije we mnie, jakby Słońce zbliżało się coraz bliżej do tej nieszczęsnej planety. Być może dlatego czujesz się taka przygnębiona i nieszczęśliwa.

– Być może – szepnęła Crysania.

– Jutro jest Zimowe Święto – ciągnął dalej Raistlin cichym głosem. – Trzydzieści dni później król-kapłan zgłosi swe żądania. Już planuje to ze swymi ministrami. Bogowie wiedzą. Wysłali mu ostrzeżenie – zniknięcie kapłanów. On jednakże nie posłuchał. Począwszy od Zimowego Święta znaki ostrzegawcze będą coraz wyraźniej sze. Czy czytałaś kiedyś Kroniki z ostatnich trzynastu dni Astinusa? Nie jest to przyjemna lektura, a jeszcze mniej przyjemnie będzie to

przeżyć.

Crysania spojrzała na niego i jej twarz się rozpromieniła. – Wróć więc z nami, nim to nastąpi – powiedziała z zapałem. – Par-Salian dał Caramonowi magiczne urządzenie, które zabierze nas z powrotem do naszych czasów. Kender powiedział mi...

– Jakie magiczne urządzenie? – zapytał natarczywie Raistlin, a dziwny ton jego głosu sprawił, że dreszcz przebiegł kendera i zaskoczona Crysanie. – Jak ono wygląda? Jak działa? – Oczy płonęły mu gorączkowo.

– J-ja nie wiem – wyjąkała Crysania.

– Och, ja ci powiem – zaproponował Tas, odrywając się od ściany. – Hej, przepraszam, nie chciałem nikogo przestraszyć. Nie mogłem jednak nie podsłuchać. A tak przy okazji, życzę wam wesółych świąt. – Tas wyciągnął rączkę, której nikt nie uścisnął.

Zarówno Raistlin, jak i Crysania przyglądali mu się z miną, jaką można zobaczyć u kogoś, komu nagle podczas obiadu wpadnie pajak do zupy. Nie kłopotząc się tym wcale, Tas plótł wesóło, wkładając dłoń do kieszeni. – O czym to mówiliśmy? A, o magicznym urządzeniu. Tak, cóż – ciągnął Tas nieco szybciej, widząc, że oczy Raistlina zwięzły się niepokojąco. – Kiedy jest rozłożone, ma kształt jakby berła i ma taką kulę na końcu, całą błyszczącą od klejnotów. Jest mniej więcej takie duże. – Kender rozłożył ręce na odległość ramienia. – Znaczy się, wtedy, kiedy jest rozciągnięte. Potem Par-Salian zrobił z nim coś 1 ono...

– Złożyło się – dokończył Raistlin – i mogłeś je nosić w kieszeni.

– Ależ tak! – rzekł podekscytowany Tas. Tak właśnie! Skąd wiedziałeś?

– Znam ten przedmiot – odparł Raistlin i Tas znów zauważył dziwny ton w głosie maga, drżenie, napięcie lęk? Albo uniesienie? Kender nie potrafił odgadnąć. Crysania również to dostrzegła.

– Co się stało?

Raistlin nie odpowiedział natychmiast, a jego twarz nagle zmieniła się w nieprzeniknioną maskę, zimną i obojętną. Waham się, co powiedzieć – rzekł do niej. – Muszę przestudiować tę sprawę. – Rzucił spojrzenie na kendera. Czego ty chcesz? Czy po prostu podsłuchujesz przez dziurki od kluczy?

– Skądże znowu! – oświadczył obrażony Tas. Przyszedłem porozmawiać z tobą, to znaczy, jeśli ty i pani Crysania już skończyliście – poprawił pośpiesznie, spoglądając na Crysanie.

Zmierzyła go dość nieprzyjaznym spojrzeniem, jak uznał kender, po czym odwróciła się od niego. – Czy zobaczę cię jutro? – spytała Raistlina.

– Nie sądzę – powiedział. – Ja, oczywiście, nie będę obecny na przyjęciu świątecznym.

– Och, ja również nie chcę na nie iść – zaczęła Cry – sania.

– Będą cię tam oczekiwać – rzeki nagle Raistlin. – Poza tym, zbyt długo zaniedbywałem me studia dla przyjemności twego towarzystwa.

– Rozumiem – stwierdziła Crysania. Jej głos brzmiał chłodno i wyniośle. Nie uszło uwagi kendera, że była urażona i rozczarowana.

– Żegnam, panowie – powiedziała po chwili, kiedy stało się oczywiste, że Raistlin nie zamierza niczego dodać. Skłoniła się lekko i odeszła ciemnym korytarzem. Zdawało się, że jej białe szaty zabrały całe światło.

– Powiem Caramonowi, że posyłasz mu pozdrowienia – zawołał za nią Tas, lecz Crysania nie odwróciła się. Ken – der westchnął. – Obawiam się, że Caramon nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. No, ale wtedy był całkiem zamroczony krasnoludzką gorzałką...

Raistlin kaszlnął. – Czy przyszedłeś rozmawiać o moim bracie? – przerwał oziębło – bo jeśli tak, możesz odejść...

– Och, nie! – oświadczył pośpiesznie Tas. Potem, podnosząc głowę, wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Przybyłem, żeby powstrzymać Katakлизм!

Po raz pierwszy w swym życiu kender miał satysfakcję ujrzenia, jak jego słowa wprawiły Raistlina w absolutne osłupienie. Jednakże nie nacieszył się tą satysfakcją. Twarz maga zbieleła i zeszywniała, a lustrzane oczy ujawniły mroczne głębie, które mag ukrywał. Jego dłonie, silne niczym szpony drapieżnego ptaka, wpiły się w barki kendera, sprawiając mu ból. W przeciągu sekund Tas został wciągnięty do komnaty Raistlina. Drzwi zatrzasnęły się z druzgocącym łoskotem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – domagał się odpowiedzi Raistlin.

Tas skulił się i cofnął zaskoczony, rozglądając z niepokojem po komnacie, bowiem kenderski instynkt podpowiadał mu, że powinien poszukać kryjówki.

– Ee – ty mi t-to podsunąłeś – wyjąkał Tas. – Cóż, może n-niezupełnie. Ale powiedziałaś coś o m-moim powrocie tutaj i zdolności zmieniania biegu czasu. Pomyślałem sobie, że p-powstrzymanie Kataklizmu byłoby dobrym uczynkiem...

– Jak zamierzałeś tego dokonać? – spytał Raistlin, a jego oczy pały żarem ognia, na sam widok którego Tas się spocił.

– No oczywiście, planowałem najpierw porozmawiać o tym z tobą – powiedział kender, mając nadzieję, że Raistlin wciąż jest podatny na pochlebstwa. – Pomyślałem, że gdybyś powiedział, że to w porządku, to powinienem po prostu pójść i porozmawiać z królem-kapłanem i powiedzieć mu, iż robi naprawdę wielki błąd – jeden z Wielkich Błędów Wszechczasów – jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. I jestem pewien, że gdy mu to wyjaśnię, on posłucha...

– Jestem pewien – rzekł Raistlin, opanowany. Tas jednak miał dziwne wrażenie, że usłyszał w jego głosie nutę olbrzymiej ulgi. – Więc – mag odwrócił się – zamierzasz rozmawiać z królem-kapłanem. A jeśli on nie zechce cię wysłuchać? Co wtedy?

Tas przerwał i stał z otwartymi ustami. – Chyba nie pomyślałem o tym – stwierdził kender po chwili. Westchnął, po czym wzruszył ramionami. – Wrócimy do domu.

– Istnieje inny sposób – powiedział cicho Raistlin, przyglądając się kenderowi swymi lustrzanymi oczyma. Pewny i niezawodny sposób na powstrzymanie Kataklizmu.

– Naprawdę? – spytał z zapałem Tas. – Jaki?

– To magiczne urządzenie – odparł Raistlin, rozkładając smukłe ręce. – Jego moce są wielkie, znacznie większe od tego, co Par-Salian powiedział temu idiocie, memu bratu. Uruchom je w Dzień Kataklizmu, a jego magia zniszczy wysoko nad światem ognistą górę, aby nikomu nie wyrządziła krzywdy.

– Rzeczywiście? – wysapał Tas. – To cudowne.

Potem zmarszczył brwi. – AJe skąd mam mieć pewność. Przypuśćmy, że nie zadziała...

– A co masz do stracenia? – spytał Raistlin. – Jeśli z jakiegoś powodu zawiedzie cię, w co doprawdy wątpię.

– Mag uśmiechnął się z naiwności kendera. – W końcu stworzył! je czarodzieje najwyższego poziomu...

– Jak smocze kule? – przerwał Tas.

– Jak smocze kule – warknął Raistlin, poirytowany. – Gdyby jednak rzeczywiście zawiodło, zawsze możesz go użyć, by w ostatniej chwili uciec.

– Z Caramonem i Crysanią – dodał Tas.

Raistlin nie odpowiedział, lecz kender nie zauważył tego w swym podnieceniu.

– A jeśli Caramon postanowi wrócić wcześniej? spytał z obawą.

– Nie zrobi tego – odparł cicho Raistlin. – Zaufaj mi – dodał, widząc, że Tas ma zamiar się spierać.

Kender zastanowił się ponownie, a potem westchnął. Właśnie pomyślałem o czymś. Nie sądzę, żeby Caramon pozwolił mi wziąć to urządzenie. Par-Salian kazał mu go strzec jak oka w głowie. Nigdy nie spuszcza z niego oka i zamyka je w skrzyni, kiedy musi wyjść. Jestem pewien, że nie uwierzyłby mi, gdybym wyjaśnił mu, do czego jest mi potrzebne.

– To mu nie mów. Kataklizm przypada na dzień finałów igrzysk – rzekł Raistlin, wzruszając ramionami. Jeśli urządzenie zniknie na chwilę, nie zauważy jego braku.

– Ale to byłaby kradzież! – stwierdził zaszokowany Tas.

Raistlinowi zdrzały wargi. – Powiedzmy: wypożyczenie – dodał kojąco mag. – Dł a godnej sprawy! Caramon nie będzie się gniewał. Znam swego brata. PomyśJ, jaki będzie z ciebie dumny!

– Masz rację – powiedział Tas i oczy mu zabłyśły. Zostanę prawdziwym bohaterem, większym niż sam Kronin Thistleknot! Skąd mam wiedzieć, jak się je obsługuje?

– Dam ci wskazówki – powiedział Raistlin i wstał.

Znów zaczął kaszleć. – Wróć... za trzy dni. A teraz... muszę odpocząć.

– Jasne – powiedział wesoło Tas, zrywając się na równe nogi. – Mam nadzieję, że poczujesz

się lepiej. Ruszył w stronę drzwi. Jednak kiedy już stał przy nich, zawahał się. – Och, wiesz, nie mam dla ciebie prezentu. Przepraszam...

– Dafeś mi już prezent – powiedział Raistlin – prezent nieocenionej wartości. Dziękuję ci.

– Naprawdę? – powiedział zdumiony Tas. – Och, pewno masz na myśli powstrzymanie Katakliizmu. Cóż, nie warto o tym wspominać. Ja...

Tas niespodziewanie znalazł się w środku ogrodu, gapiąc się na krzewy róż i nadzwyczaj zaskoczonego kapłana, który ujrzał kendera pojawiającego się najwyraźniej znikąd na samym środku ścieżki.

– Na brodę wielkiego Reorxa! Chciałbym wiedzieć, jak to się robi – stwierdził z żalem Tas.

### ***Rozdział XIII***

W samo Zimowe Święto nastąpiło pierwsze wydarzenie z tych, które później znano pod nazwą Trzynastu Klęsk (proszę zwrócić uwagę, że Astinus zapisuje je w swej Kronice jako Trzynaście Ostrzeżeń).

Dzień zaświtał upalny i duszny, nacieplejszy dzień Zimowego Święta, jakie ktokolwiek pamiętał – nawet elfowie. W świątyni róże zwiędły i opadły, wieńce z wiecznokwiatu wydzielają woń, jakby przypieczono je w piecu, a śnieg, którym chłodzono wino w srebrnych misach, topniał tak szybko, że służba nie robiła nic innego, jak tylko biegała w tę i z powrotem od czeluści kamiennych piwnic do sal, gdzie odbywały się przyjęcia, z wiadrami topniejącej brei.

Raistlin obudził się tego poranka w mroku przed świtem tak chory, że nie mógł się zwlec z posłania. Leżał w pościeli nagi, zlany potem. Padł ofiarą gorączkowych zwidów, które kazały mu zedrzeć z siebie odzienie. Bogowie rzeczywiście byli blisko, lecz w szczególności bliskość jednej bogini jego bogini, Królowej Ciemności – wywierała na niego taki wpływ. Czuł jej gniew, tak jak czuł gniew wszystkich bogów z powodu wysiłków króla-kapłana w celu unicestwienia równowagi, jaką pragnęli zaprowadzić na świecie.

Śnił o swej Królowej, która nie uznała za stosowne pojawić się taka, jakiej można by się spodziewać. Nie przyśniła mu się jako straszliwy pięciogłowy smok, Smok Wszystkich Kolorów i Żadnego, który spróbuje zniewolić cały świat podczas Wojny Lancy. Nie ujrzał jej też jako Mrocznego Wojownika wiodącego swe legiony na śmierć i zniszczenie. Nie, pojawiła się jako Mroczna Kusicielka, najpiękniejsza z wszystkich kobiet, najbardziej uwodzicielska, i w takiej postaci spędziła z nim noc, dręcząc go tą słabością i chwałą cielesności.

Zamykając oczy i dygocząc, pomimo upału na zewnątrz, Raistlin jeszcze raz przywołał na myśl obraz ciemnych włosów wiszących nad nim; czuł jej dotyk, jej ciepło. Wyciągnąwszy rękę, tonąc w otchłani jej zakłęcia, rozgarnął splątane włosy – i ujrzał twarz Crysanii!

Sen skończył się raptownie, gdy jego umysł ponownie przejął kontrolę. Teraz mag leżał przebudzony, pełen uniesienia z powodu zwycięstwa, jednak świadom ceny, jaką za nie zapłacił. Jakby po to, by przypomnieć mu o tym, chwycił go atak kaszlu.

– Nie poddam się – wymamrotał, gdy złapał oddech.

– Nie zwyciężysz mnie tak łatwo, moja Królowo. – Podnosząc się chwiejnie, tak słaby, że musiał zatrzymać się na odpoczynek, nałożył swe czarne szaty i podszedł do biurka. Przeklinając ból w klatce piersiowej, otworzył prastary tekst dotyczący magicznych przyborów i rozpoczął pilne studia.

Crysania również źle spała. Podobnie jak Raistlin, czuła bliskość wszystkich bogów, lecz swego boga – Paladine'a – najwyraźniej. Wyczuwała jego gniew, jednak był on zabarwiony

smutkiem tak głębokim, że Crysania nie mogła go znieść. Przytłoczona poczuciem winy, odwróciła się od tej łagodnej twarzy i zaczęła uciekać. Biegła, płacząc i nie widząc, dokąd idzie. Potknęła się i spadała w nicość, a jej duszą targał lęk. Wtem pochwyciły ją silne ramiona. Była spowita w miękkie, czarne szaty, przyciśnięta do muskularnego ciała. Smukłe palce gładziły jej włosy, uspokajając ją. Spojrzała w tę twarz...

Dzwony. Dzwony przerwały ciszę. Zaskoczona Crysania siadła na łóżku, rozglądając się w panice. Wtedy przypomniała sobie twarz, którą widziała, ciepło tego ciała i ukojenie, jakiego przy nim zaznała. Spuściła obolałą głowę i rozplakała się.

Tasslehoff po przebudzeniu początkowo czuł się rozczarowany. Przypomniał sobie, że jest Zimowe Święto, jak również dzień, w którym według słów Raistlina zaczną się dziać Okropne Rzeczy. Kiedy Tas rozejrzał się w szarym świetle, jakie wpadało przez ich okno, jedyną okropną rzeczą, jaką dostrzegł, był Caramon leżący na podłodze zawzięcie sapiący i dyszący podczas wykonywania porannej gimnastyki.

Choć dni Caramona wypełnione były ćwiczeniami z bronią i treningami z członkami zespołu w celu opracowania nowych części występu, zwalisty mężczyzna wciąż toczył nie kończącą się walkę z tuszą. Nie był już na diecie i mógł jeść to samo, co inni. Niemniej jednak bystrooki krasnolud wkrótce zauważył, że Caramon jadł średnio pięć razy więcej!

Kiedyś ogromny mężczyzna jadł dla przyjemności. Teraz, zdenerwowany, nieszczęśliwy i pochłonięty myślami o bracie, Caramon szukał pociechy w jedzeniu, tak jak inni szukają pociechy w wódce. (Prawdę mówiąc, Caramon tego też próbował, poleciwszy Tasowi przemycić mu flaszkę krasnoludzkiej gorzałki. Jednakże odzwyczaił się od mocnego alkoholu i gwałtownie się od niego rozchorował ku wielkiej, choć skrywanej uldze kendera.) W związku z tym Arack zarządził, że Caramon mógł jeść tylko wtedy, jeśli wykona szereg męczących ćwiczeń. Caramon często zastanawiał się, skąd krasnolud wiedział, że opuścił trening, gimnastykował się bowiem wcześniej rano, zanim ktokolwiek wstał. Jakimś cudem jednak, Arack wie – działa. Tego poranka, kiedy Caramon opuścił ćwiczenia, drogę do jadalni zagroził mu uzbrojony w maczugę i szczerzący zęby Raag.

Znudzony słuchaniem jęków, sapania i przekleństw Caramona, Tas wdrapał się na krzesło i wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, czy coś okropnego nie dzieje się na zewnątrz. Natychmiast poweselał.

– Caramonie! Chodź, popatrz! – zawołał pełen podniecenia. – Czy widziałeś kiedyś niebo w takim dziwnym odcieniu?

– Dziewięćdziesiąt dziewięć, sto – wysapał zwalisty mężczyzna. Potem Tas usłyszał głośne „uff”. Z łomotem, od którego zatrzęsł się pokój, Caramon padł na twardej teraz jak kamień brzuch, by odpocząć. Potem wielki mężczyzna podźwignął się z kamiennej posadzki i wycierając pot ręcznikiem, podszedł do zakratowanego okna.

Rzuciwszy znudzone spojrzenie na zewnątrz i nie spodziewając się niczego innego niż zwykły wschód słońca, ogromny mężczyzna zamrugał, a potem wybałuszył oczy.

– Nie – szepnął, zarzucając ręcznik na szyję i stając za Tasem. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. A widywałem różne dziwne rzeczy.

– Och, Caramonie! – krzyknął Tas. – Raistlin miał rację. Powiedział...

– Raistlin!

Tas przełknął ślinę. Nie zamierzał poruszać tego tematu.

– Gdzie widziałeś Raistlina? – zapytał natarczywie Caramon, głosem głębokim i srogim.

– Oczywiście w świątyni – odparł Tas, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie. – Czy nie wspominałem ci, że poszedłem tam wczoraj?

– Tak, ale...

– Cóż, w jakim innym celu miałbym tam iść, jeśli nie po to, by zobaczyć się z naszymi przyjaciółmi?

– Ty nigdy...

– Widziałem się z panią Crysanią i Raistlinem. Jestem przekonany, że o tym wspominałem. Wiesz co, ty mnie nigdy nie słuchasz – poskarżył się urażony Tas. – Siedzisz co noc na tym łóżku naburmuszony, zasepiony i mówisz do siebie. Mógłbym powiedzieć „Caramonie, dach się wali”, a ty byś odpowiedział „To bardzo miło, Tas”.

– Posłuchaj, kenderze, wiem, że gdybym usłyszał, że wspominasz...

– Pani Crysania, Raistlin i ja odbyliśmy wspólną pogawędkę – ciągnął spieszenie Tas – o Zimowych Świątach – a tak przy okazji, Caramonie, powinienes zobaczyć, jak prześlicznie przyozdobiono świątynię! Pełno tam róż i wiecznokwiatu i, powiedz no, czy pamiętałem dać ci te cukierki? Poczekaj, mam je w torbie. Chwileczkę – kender próbował zeskoczyć z krzesła, lecz Caramon zagroził mu drogę. – Cóż, to chyba może poczekać. O czym to ja mówiłem? Och, tak – zobaczył zaciętą minę Caramona – Raistlin, pani Crysania i ja rozmawialiśmy i, och, Caramonie! To takie ekscytujące. Tika miała rację, ona jest zakochana w twoim bracie.

Caramon zamrugał, kompletnie zgubiwszy wątek rozmowy, czemu Tas, raczej beztronski w kwestii zaimków, bynajmniej nie pomagał.

– Nie, nie miałem na myśli, że Tika jest zakochana w twoim bracie – poprawił się Tas, zauważając dezorientację Caramona. – Chciałem powiedzieć, że pani Crysania jest zakochana w twoim bracie! Ale było fajnie. Niby opierałem się o zamknięte drzwi Raistlina i odpoczywałem, czekając, aż skończą rozmowę i przez przypadek zajrzałem przez dziurkę od klucza. On niemal ją pocałował, Caramonie! Twój brat! Czy możesz to sobie wyobrazić? Ale nie zrobił tego. – Kender westchnął. – Prawie wrzasnął na nią, żeby sobie poszła. Poszła, ale widziałem, że niechętnie. Była wystrojona i wyglądała naprawdę ładnie.

Zauważywszy, że twarz Caramona spochmurniała i zaczął się na niej malować wyraz



przejęcia, Tas zaczął oddychać nieco lżej. – Doszliśmy do rozmowy o Kataklizmie i Raistlin wspominał o tym, że Okropne Rzeczy zaczną się dziać od dziś” – Zimowego Świąta – kiedy bogowie będą próbowali ostrzec ludzi, żeby się zmienili.

– Zakochana w nim? – mruknął Caramon. Zmarszczył brwi i odwrócił się, pozwalając Tasowi ześlizgnąć się z krzesła.

– Jasne. Bez wątpienia – rzekł gładko kender, podbiegając do swej sakwy i grzebiąc w niej, aż natrafił na łakocie, które przyniósł ze sobi}. Wszystkie były na wpół roztopione i sklezione w lepka, ciągnącą się papkę dodatkowo pokrytą z wierzchu warstwą paprochów z torby kendera, lecz Tas był niemal pewien, że Caramon tego nie zauważy. Nie mylił się. Wielki mężczyzna przyjął słodczy nawet nie spojrzawszy na nie.

– Powiedzieli, że on potrzebuje osoby duchownej wymamrotał Caramon z pełnymi ustami. – Czyżby mieli rację? Czy on zamierza się tego podjąć? Czy powinienem mu na to pozwolić? Czy powinienem go powstrzymać? Czy mam prawo go powstrzymać? Jeśli ona postanowi pójść z nim, czyż to nie jej decyzja? Może to dla niego będzie najlepsze – powiedział cicho Caramon, oblizując lepkie palce. – Może, jeśli ona kocha go...

Tasslehoff westchnął z ulgą i ciężko siadł na swym posłaniu, by zaczekać na sygnał na s’niadanie. Caramon nie pomyślał, żeby zapytać, po co w ogóle kender poszedł zobaczyć się z Raistlinem. A Tas był teraz całkowicie pewien, że nie będzie pamiętał, że tego nie zrobił. Jego sekret był bezpieczny.

Niebo było czyste w dniu Zimowego Świąta, tak czyste, że miało się wrażenie, iż można spojrzeć na tę ogromną kopułę przykrywającą świat i dostrzec położone za nią królestwo. Niemniej jednak, choć wszyscy wznosili wzrok ku niebu, niewielu miało ochotę przyglądać się wystarczająco długo, by cokolwiek zobaczyć. Niebo bowiem rzeczywiście miało dziwny odcień, jak powiedział Tas – było zielone.

Zjadliwie, paskudnie zielone, co w połączeniu z dusznym upałem i ciężkim powietrzem, skutecznie odebrało świętom atmosferę wesołości i radości. Ci, którzy zmuszeni byli wyjść na ulicę, by udać się na przyjęcia, śpieszyli rozpalonymi ulicami i mówili z rozdrażnieniem o dziwnej pogodzie. Rozmawiali jednak przyciszonymi głosami i każdy czuł, jak drobniotka drzazga strachu przekłuwła ich świątecznego ducha.

Przyjęcie w świątyni było weselsze, bowiem odbywało się w komnatach króla-kapłana, odciętych od świata zewnętrznego. Nikt nie widział dziwnego nieba, a wszyscy, którzy znaleźli się blisko króla-kapłana, poczuli, jak ich rozdrażnienie i strach mijają. Z dala od Raistlina Crysania znów znalazła się pod urokiem króla-kapłana i siedziała przy nim przez dłuższy czas. Nie odzywała się, po prostu pozwalała, by jego jaśniejsza obecność dodawała jej otuchy i przepędzała mroczne myśli. Ona jednak również widziała zielone niebo. Przywoławszy na myśl słowa Raistlina, starała się przypomnieć sobie, co słyszała o Trzynastu Dniach.

Były to dziecinne bajki pomieszane ze snami, jakie miała zeszłej nocy. Z pewnością królkapłan będzie czujny! pomyślała. Posłucha ostrzeżeń. Pragnęła ze wszystkich sił odmienić czas, a jeśli nie było to możliwe, chciała, by królkapłan okazał się niewinny. Siedząc w jego blasku, negowała w myślach widziany wcześniej obraz przestraszonego śmiertelnika o bladoniebieskich, rozbieganych oczach. Widziała silnego mężczyznę, denuncjującego ministrów, którzy go oszukali, niewinną ofiarę ich zdrady...

Tłumu na arenie nie było, bo mało kto miał ochotę siedzieć pod zielonym nieboskłonem, który ciemniał przerażająco w miarę upływu godzin.

Gładiatorzy byli niespokojni, zdenerwowani i odgrywali przedstawienie bez serca. Widzowie, naburmuszeni, nie chcieli wiwatować, gwizdali i szydzili nawet ze swych faworytów.

– Czy często miewacie takie niebo? – spytała Kiiri, spojrzała w górę i wzdrygnęła się. Wraz z Caramonem i Pheragasem czekała na swoją kolej na arenie. – Jeśli tak, to teraz wiem, dlaczego mój lud postanowił żyć pod wodą!

– Mój ojciec żeglował po morzu – burknął Pheragas – tak samo, jak jego ojciec i ja, zanim nie spróbowałem wbić knagą trochę rozumu do głowy pierwszemu oficerowi i nie zostałem tu zesłany. Nigdy nie widziałem nieba takiego koloru. Ani nie słyszałem o czymś podobnym. Mogę się założyć, że to zły omen.

– Bez wątpienia – rzekł z niemiłym uczuciem Caramon. Wielkiemu mężczyźnie nagle zaczęło świtać, że od Kataklyzmu dzieli ich już tylko trzynaście dni! Trzynaście dni... i tych dwoje przyjaciół, którzy stali się mu tak drodzy jak Sturm i Tanis, tych dwoje przyjaciół zginie! Reszta mieszkańców Istar mało go obchodziła. Z tego, co widział, byli samolubami żyjącymi głównie dla własnej przyjemności i pieniędzy (choć stwierdził, że nie może patrzeć na dzieci bez ukłucia żalu), lecz tych dwoje... Musi jakoś ostrzec przyjaciół, żeby opuścili miasto.

Pogrążony w rozmyślaniach, nie zwracał uwagi na arenę. Walczył Czerwony Minotaur, tak nazwany, ponieważ futro, jakie porastało jego zwierzęcą twarz, miało wyraźnie czerwonawobrazowy odcień, z młodym wojownikiem” – nowym człowiekiem, który przybył zaledwie kilka tygodni wcześniej. Caramon przyglądał się treningom młodzieńca z pobłażliwym rozbawieniem.

Wtedy jednak wyczuł, że stojący obok niego Pheragas zeszywniał. Spojrzenie Caramona natychmiast powędrowało w stronę areny. – Co się stało?

– Trójzab – rzekł cicho Pheragas. – Widziałeś go kiedyś w sali rekwizytów?

Caramon przyjrzał się uważnie orężowi Czerwonego Minotaura, mrużąc oczy z powodu ostrego słońca, które jarzyło się na zaciągniętym zielenią niebie. Powoli pokręcił głową, czując wzbierający gniew. Młodzieniec nie miał szans w bo – ju z minotaurem, który walczył na arenie od miesiący, i który prawdę mówiąc, rywalizował z zespołem Caramona o mistrzostwo. Młody mężczyzna wytrzymał tak długo tylko dzięki zręcznym popisom aktorskim minotaura,

podskakującego dookoła w udawanym szale bojowym, który nawet pobudził publiczność do kilku salw śmiechu.

– Prawdziwy trójzęb. Bez wątpienia Arack zamierza upuścić trochę krwi temu młodzieńcowi – mruknął Caramon. – Popatrzcie, miałem rację. – Pokazał trzy krwawiące draśnięcia, które nagle pojawiły się na piersi młodego mężczyzny.

Pheragas nic nie powiedział, tylko posłał spojrzenie Kiiri, która wzruszyła ramionami.

– Co jest? – krzyknął Caramon ponad wrzaskiem tłumu. Czerwony Minotaur zwyciężył, zgrabnie podcinając nogi przeciwnikowi i przygważdżając go do ziemi ostrzami trójzębu.

Młodzieniec wstał z trudem, udając zawstydzenie, gniew i upokorzenie – jak go nauczono. Nawet pogroził pięścią przeciwnikowi, kiedy schodził z areny. Jednakże zamiast uśmiechnąć się do Caramona i jego drużyny, ciesząc się z żartu z widowni, młody człowiek sprawiał wrażenie dziwnie przejętego i nawet nie spojrzał na nich. Caramon dostrzegł, że miał wykrzywioną bólem bladą twarz, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Trzymał rękę przyciśniętą do krwawiącego torsu.

– To człowiek lorda Onygiona – rzekł cicho Pheragas, kładąc dłoń na ramieniu Caramona. – Masz szczęście, przyjacielu. Możesz przestać się martwić.

– Co takiego? – Caramon gapił się na oboje, zbity z tropu. Wtedy usłyszał przenikliwy krzyk i łomot w podziemnym korytarzu. Odwracając się gwałtownie, Caramon zobaczył, że młodzieniec padł bezwładnie na ziemię i trzymając się za klatkę piersiową, krzyczy z bólu.

– Nie! – rozkazała Kiiri, przytrzymując Caramona. – Teraz nasza kolej. Patrz, schodzi Czerwony Minotaur.

Minotaur przeszedł obok nich dziarskim krokiem, ignorując ich (jego rasa ignoruje wszystkich, których uważa za gorszych od siebie). Czerwony Minotaur obok konającego człowieka przeszedł również bez jednego spojrzenia. Arack nadbiegł korytarzem, a Raag za nim. Gestem krasnolud nakazał ogrowi wynieść martwe ciało.

Caramon zawahał się, lecz Kiiri wbiła paznokcie w jego ramię, wyciągając go na słońce. – Rachunek za Barbarzyńcę został wyrównany – syknęła. – Najwyraźniej twój pan nie miał z tym nic wspólnego. Teraz lord Onygion i Quarath wyrównali rachunki.

Tłum zaczął wiwatować i zagłuszył słowa Kiiri. Widzowie zaczęli zapominać o przygnębieniu na widok swej ulubionej trójki. Caramon jednak nic nie słyszał. Raistlin powiedział mu prawdę! Nie miał nic wspólnego ze śmiercią Barbarzyńcy. To był zbieg okoliczności, a może wypaczone poczucie humoru krasnoluda. Caramon poczuł ogarniający go przyływ ulgi.

Mógł wracać do domu! Wreszcie zrozumiał. Raistlin usiłował mu to powiedzieć. Ich ścieżki były odmienne, ale jego brat ma prawo iść swoją, skoro ją wybrał. Caramon się mylił, czarodzieje się mylili. Pani Crysania się myliła. Wróci do domu i wyjaśni to. Raistlin nikomu nie

robi krzywdy i nie stanowi zagrożenia. Po prostu pragnie oddawać się swym studiom w spokoju.

Wychodząc na arenę, Caramon pomachał do wiwatującego tłumu.

Wielkiemu mężczyźnie walka sprawiała przyjemność. Rozgrywka była oczywiście ustawiona, tak by jego drużyna wygrała, a finał zawodów odbył się między nimi a Czerwonym Minotaurem w dzień Kataklizmu. Caramon nie musiał jednakże się o to martwić. Zniknie na długo przed tym, będzie w domu z Tiką. Oczywiście wpierw ostrzeże swoich dwoje przyjaciół i nakłoni ich do opuszczenia skazanego na zagładę miasta. Potem przeprosi brata, powie mu, że rozumie, zabierze panią Crysanig i Tasslehoffa z powrotem do jch własnego czasu i zacznie życie od nowa. Wyruszy jutro albo pojutrze.

Jednakże w chwili, gdy Caramon i jego zespół kłaniali się po dobrze wyreżyserowanej walce, w świątynię w Istar uderzył cyklon.

Zieleń nieba pogłębiła się do barwy ciemnej i stęchłej wody bagiennej. Pojawiły się skłębione chmury spływające węzowym ruchem z niezmierzonej pustki nieba, by owinąć swymi splotami jedną z siedmiu wież świątyni i wyrwać ją z fundamentów. Unosząc ją w przestworza, cyklon roztrzaskał marmur na okruchy drobne jak grad i zrzucił je na miasto.

Nikt nie został poważnie ranny, choć wielu ucierpiało. Nastąpiły lekkie skaleczenia od uderzeń ostrych kawałków skały. Zniszczona część świątyni służyła nauce i kościołowi. Była – na szczęście – pusta w czasie świąt. Jednakże wśród mieszkańców świątyni i miasta zapanowała panika.

Obawiając się cyklonów, ludzie uciekli z areny i tłoczyli się na ulicach, próbując dotrzeć do domów. W świątyni melodyjny głos króla-kapłana umilkł, światło zadrżało. Po zbadaniu zniszczeń on sam i jego ministrowie – wielebni synowie i wielebne córki Paladine'a – zeszedli do wewnętrznego sanktuarium, by przedyskutować tę sprawę. Wszyscy pozostali krzatali się przy porządkach, bo podmuch przewrócił meble, zerwał obrazy ze ścian i wzbudził obłoki kurzu, które teraz osiadały na wszystkim.

To jest początek, pomyślała z lękiem Crysania, starając się skłonić zdrętwiałe dłonie, by przestały drżeć, kiedy zbierała fragmenty delikatnej porcelany z jadalni. To dopiero początek...

A będzie gorzej.

## ***Rozdział XIV***

To siły zła, które starają się mnie pokonać! – krzyknął król-kapłan, a jego silny głos wzbudził odwagę w duszach słuchaczy. – A ja się nie poddam! I wam też nie wolno! Musimy być silni w obliczu zagrożenia...

– Nie – szepnęła Crysania z rozpaczą. – Nie, wszystko pomyliłeś! Ty nie rozumiesz! Jak możesz być tak zaślepiony!

Siedziała na porannych modłach dwanaście dni po tym, jak pierwsze z Trzynastu Ostrzeżeń zostało objawione i zlekceważone. Od tamtej pory z wszystkich stron kontynentu nadchodziły nowe raporty o innych dziwnych wydarzeniach.

– Król Lorac donosi, że w Silvanesti drzewa płakały krwią przez cały dzień – wyliczał król-kapłan głosem nabrzmiałym trwogą i zgrozą. – Palanthas spowiła biała mgła, tak gęsta, że ludzie błądzą, jeśli poważą się wyjść na ulice. W Solamni ogień nie chce się palić. Paleniska stoją zimne, kuźnie są zamknięte, węgiel bowiem równie dobrze mógłby być lodem. Tymczasem na równinach Abanasinii zapaliła się trawa w stepie. Szaleją nieokiełznane pożary, które zasnuwają niebo czarnym dymem i wypędzają mieszkańców równin z ich plemiennych siedzib. Dzisiejszego poranka gryfy przyniosły wieść, że do elfiego miasta Qualinost wdzierają się leśne zwierzęta, obce i zdiczające.<sup>^</sup> Crysania nie mogła tego dłużej znieść. Gdy wstała, kobiety zmierzyły ją zaszokowanym wzrokiem, ale zlekceważyła ich wściekle; spojrzenia i wybiegła na korytarz.

Postrzępiony błysk pioruna oślepił ją, a straszny huk grzmotu, który nastąpił natychmiast po tym, sprawił, że zasłoniła twarz rękoma.

– To się musi skończyć, bo inaczej oszaleję! – szepnęła załamana, kuląc się w kącie.

Przez dwanaście dni od czasu cyklonu nad Istar szalała burza z piorunami i gradem. Błyskawice i grzmoty niemal bezustannie wstrząsały świątynią, nie pozwalały spać, atakowały umysł. Odrętwiała z wyczerpania i przerażenia Crysania osunęła się na krzesło, podpierając głowę rękoma.

Łagodny dotyk czyjejś ręki na jej ramieniu sprawił, że drgnęła spłoszona. Ujrzała przed sobą wysokiego i przystojnego młodego mężczyznę w przemoczonej do suchej nitki pelerynie. Zauważyła zarys krzepkich, muskularnych barków.

– Przepraszam, wielbna córko, nie chciałem cię wystraszyć – rzekł głębokim głosem, który wydawał jej się znajomy.

– Caramon! – westchnęła z ulgą Crysania, ściskając go. Kolejny jaskrawy błysk i eksplozja. Crysania mocno zacisnęła powieki. Poczuła, jak nawet potężne, muskularne ciało Caramona zeszywniało nerwowo.

– M-musiałam iść na poranne nabożeństwo – powiedziała Crysania. – Na zewnątrz musi być strasznie! Jesteś przemoczony na wylot!

– Od kilku dni usiłuję się z tobą zobaczyć... – zaczął Caramon.

– W-wiem – Crysania zająknęła się. – Przykro mi. Byłam zajęta...

– Pani Crysanio – przerwał Caramon, starając się ukryć drżenie głosu. – Nie chodzi o zaproszenie na świąteczne przyjęcie. Jutro to miasto przestanie istnieć! Ja...

– Cicho! – rozkazała Crysania. Rozejrzała się nerwowo. – Nie możemy rozmawiać tutaj! – Skuliła się od blasku błyskawicy i druzgocącego trzasku grzmotu, lecz niemal natychmiast odzyskała panowanie. – Chodź ze mną.

Caramon zawahał się i zmarszczył brwi, ale poszedł jej śladem w głąb świątyni do jednego z licznych, wewnętrznych pokoi. Tu przynajmniej błyskawice nie mogły się wedrzeć, a grzmoty były stłumione. Zamknąwszy starannie drzwi, Crysania usiadła i gestem poleciła Caramonowi uczynić to samo.

Caramon stał przez chwilę, po czym przysiadł na brzeżku krzesła. Czuł się nieswojo i aż zbyt dobrze był świadom okoliczności ich ostatniego spotkania, gdy przez jego pijaństwo oboje omal nie zginęli. Crysania może również o tym myślała. Mierzyła go chłodnym wzrokiem. Caramon zaczerwienił się.

– Cieszę się, że widzę cię w lepszym zdrowiu – powiedziała Crysania, bez powodzenia starając się ukryć surowość głosu.

Caramon oblał się jeszcze głębszym rumieńcem. Wbił wzrok w podłogę.

– Przepraszam – rzekła nagle Crysania. – Proszę, wybacz mi. Nie spałam od wielu nocy, od chwili, gdy to się zaczęło. – Przyłożyła drżącą dłoń do czoła. – Nie jestem w stanie myśleć – dodała ochryple. – Ten nie kończący się hałas...

– Rozumiem – powiedział Caramon, podnosząc wzrok. – Masz wszelkie prawo gardzić mną. Sam sobą gardzę za to, czym byłem. Teraz to już nie ma znaczenia. Musimy uciekać, pani Crysanio!

– Tak, masz rację. – Crysania zaczerpnęła tchu. – Musimy się stąd wydostać. Mamy tylko kilka godzin na ucieczkę. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, możesz mi wierzyć. – Westchnęła i spojrzała na swe dłonie. – Zawiodłam – powiedziała otepiałym głosem. – Do ostatniej chwili łudziłam się nadzieją, że jakimś cudem sytuacja się zmieni. Jednak król-kapłan jest ślepy! Ślepy!

– Nie dlatego jednak unikałaś mnie, prawda? – spytał Caramon. – Uniemożliwiłaś mi odejście?

Teraz Crysania spłonęła rumieńcem. Spojrzała na dłonie, które zaciskała na podolku. – Nie – rzekła tak cicho, że Caramon ledwie ją słyszał. – Nie, nie chciałam odchodzić bez... bez...

– Raistlina – dokończył Caramon. – Pani Crysanio, on ma własną magię. Dzięki niej się tu

w ogóle znalazł. On dokonał wyboru. Przybyłem po to, by zdać sobie z tego sprawę. Powinniśmy odejść...

– Twój brat był ostatnio strasznie chory – powiedziała niespodziewanie Crysania.

Caramon szybko podniósł wzrok, a na jego obliczu odmalowała się troska.

– Od Zimowego Święta próbuję się z nim zobaczyć, lecz on nie wpuszcza nikogo, nawet mnie. Ale dziś posłał po mnie – ciągnęła Crysania, czując, jak ją twarz pali od przenikliwego wzroku Caramona. – Mam zamiar przekonać go, żeby udał się z nami. Jeśli jego zdrowie jest nadwątlone, nie będzie miał dość sił, by użyć swych czarów.

– Tak – mruknął Caramon, myśląc o trudnościach związanych z rzuceniem tak potężnego, skomplikowanego zaklęcia. Par-Salianowi zajęło ono kilka dni, a był zdrowy.

– Co dolega Raistowi? – spytał nagle.

– Bliskość bogów wywiera na niego duży wpływ odparła Crysania. – Tak samo jak na innych, choć nie chcą się do tego przyznać. – Umilkła w smutku, na chwilę mocno zacisnęła wargi, a potem kontynuowała. – Musimy być przygotowani na szybkie wyruszenie, jeśli zgodzi się pójść z nami...

– A jeśli się nie zgodzi? – przerwał Caramon. Crysania pokraśniała. – Sądzę, że się zgodzi – rzekła. Zażenowana wróciła myślami do tamtej chwili w jego komnacie, gdy był tak blisko niej, a w jego oczach widziała tęsknotę, pożądanie i podziw. – Od jakiegoś czasu – rozmawiam z nim o... niegodziwości jego postępów. Pokazałam mu, jak zło nigdy nie może budować, a jedynie niszczyć. Uznał moje argumenty i obiecał o nich pomyśleć.

– On cię kocha – rzekł cicho Caramon. Crysania nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Nie umiała odpowiedzieć. Serce waliło jej młotem i przez chwilę niczego nie słyszała. Wyczuwała spojrzenie posępnych oczu Caramona, który spokojnie przyglądał jej się w dygoczącej od huku grzmotów świątyni. Crysania zacisnęła dłonie, by powstrzymać je od drżenia. Wtedy zdała sobie sprawę, że Caramon wstaje.

– Pani – rzekł ściszym, pełnym powagi głosem – gdybyś miała rację, gdyby dobroć twoja i miłość zdołały zawrócić go ze ścieżek ciemności, którą kroczy, ja... ja zrobiłbym... – Caramon załkał i czym prędzej odwrócił głowę.

Kiedy Crysania usłyszała tyle miłości w głosie wielkiego mężczyzny i zobaczyła łzy, które starał się ukryć, poczuła, że ogarnia ją żal. Zaczęła zastanawiać się, czy nie osądziła go źle. Wstała i łagodnie dotknęła ramienia olbrzymiego mężczyzny, czując napięcie mięśni, gdy Caramon starał się odzyskać panowanie nad sobą.

– Czy musisz wracać? Nie mógłbyś zostać...

– Nie. – Caramon potrząsnął głową. – Muszę zabrać Tasa i urządzenie Par-Saliana. Schowałem je pod kluczem. Poza tym mam przyjaciół... Starałem się ich przekonać, by opuścili miasto. Może już być za późno, ale muszę spróbować jeszcze raz...

– Oczywiście – rzekła Crysania. – Rozumiem. Wróc najszybciej, jak będziesz mógł. Spotkajmy się... spotkajmy się w komnatach Raistlina.

– Dobrze, pani – odpowiedział z przejęciem. – A teraz muszę iść, zanim moi przyjaciele pójdą na trening. Uścisnął jej dłoń i pośpiesznie odszedł. Crysania przyglądała się, jak wychodzi na korytarz. Pochodnie rozpraszały jego ponury mrok. Mężczyzna szedł szybko i nawet nie drgnął, mijając okno na końcu korytarza, w chwili, gdy został niespodziewanie oświetlony jaskrawym rozbłyskiem pioruna. Nadzieja była kotwicą dla jego targanej burzą duszy, ta sama nadzieja, jaką Crysania nagle poczuła w głębi ducha.

Caramon zniknął w ciemności. Crysania chwyciła poły swej białej szaty jedną ręką, odwróciła się i wspięła po schodach do kwatery maga w czarnych szatach.

Dobry nastrój i nadzieja opuściły ją, gdy weszła na korytarz. Tutaj burza zdawała się szaleć z niepohamowaną wściekłością. Nawet najcięższe zasłony nie mogły zatrzymać oślepiających błyskawic, najgrubsze mury nie mogły wygłuszyć dudnienia gromów. Być może z powodu nieszczelnego okna wydawało się, że wiatr przeniknął w mury świątyni. Tu żadne pochodnie nie chciały się palić, zresztą nie były potrzebne z powodu nieustającego blasku błyskawic.

Rozwiane wiatrem włosy przesłoniły Crysanii oczy, a szaty wydymały się. Kiedy zbliżyła się do pokoju maga na końcu korytarza, usłyszała deszcz dzwoniący o szyby. Powietrze było chłodne i wilgotne. Wzdrygnęła się, przyspieszyła kroku i już uniosła rękę, by zapukać do drzwi, gdy korytarz nagle zaskwierczał od białoniebieskiego błysku pioruna. Łoskot gromu rzucił Crysanie o drzwi, które otwały się, a ona znalazła się w ramionach Raistlina.

To było jak sen. Szlochając z przerażenia, wtuliła się w aksamitną miękkość czarnych szat i ogrzała się od ciepła ciała maga. Początkowo był sztywny, lecz potem wyczuła, jak się rozluźnia. Jego ramiona zacisnęły się wokół niej niemal kurczowo, a dłoń gładziła jej włosy uspokajająco i pocieszająco.

– Już dobrze – szeptał, jakby mówił do przerażonego dziecka – nie bój się burzy, wielbna córko. Raduj się nią! Posmakuj mocy bogów, Crysanio! Wzbudzają trwogę tylko w głupcach. Nie mogą wyrządzić nam krzywdy – jeśli nie podejmiesz innej decyzji.

Stopniowo szloch Crysanii przycichł. Słowa Raistlina nie były łagodnymi słowami matki. Ich znaczenie dotarło do niej gwałtownie. Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Co masz na myśli? – zająknęła się, nagle zdjęta lękiem. W jego lustrzanych oczach pojawiło się pęknięcie, przez które mogła zajrzeć do jego gorejącej duszy.

Odruchowo chciała odsunąć się od niego, lecz on wyciągnął rękę i drżącymi dłońmi, odsuwając z jej twarzy splątane włosy, szepnął: – Chodź ze mną, Crysanio! Chodź ze mną do czasów, gdy będziesz jedyną kapłanką na świecie, do czasów, gdy będziemy mogli przestąpić próg i rzucić wyzwanie bogom, Crysanio! Pomyśl o tym! Aby rządzić, pokazać światu moc taką, jak ta!



Raistlin wypuścił ją z uścisku. Unosząc ręce, zaśmiał się, a jego czarne szaty zamigotały wokół niego, gdy trzasnęła błyskawica i ryknął grzmot. Wtedy Crysania dostrzegła chorobliwy blask w jego oczach i jaskrawe plamy rumieńców na trupiobladych policzkach. Mag był chudy, znacznie szczuplejszy niż wtedy, gdy widziała go ostatnio.

– Jesteś chory – powiedziała, cofając się do drzwi. – Sprowadzę pomoc...

– Nie! – krzyk Raistlina był głośniejszy od grzmotu. Jego oczy odzyskały zwierciadlaną powłokę, a twarz opanowanie. Wyciągnął rękę, boleśnie chwycił jej nadgarstek i wciągnął ją z powrotem do komnaty. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. – Jestem chory – powiedział ciszej – ale na moją dolegliwość nie ma ratunku i nie ma lekarstwa, oprócz ucieczki od tego szaleństwa. Moje plany są już na ukończeniu. Jutro, w dzień Katakliizmu, bogowie zajmą się nauczka, jaką muszą dać tym biednym nieszczęśnikom. Sama Królowa Ciemności nie zdoła mnie powstrzymać, gdy rzucę swe czary i przeniosę się w przyszłość do jedyne go czasu w historii, gdy nie będzie mogła się oprzeć mocy prawdziwej kapłanki!

– Puść mnie! – krzyknęła Crysania. Ból i wściekłość zdławiły jej strach. Oburzona wyrwała rękę z jego uścisku. Wciąż jednak pamiętała jego objęcia, dotyk jego dłoni... Zraniona i zawstydzona Crysania odwróciła się. – Musisz działać beze mnie – powiedziała głosem dławionym przez łzy. – Ja z tobą nie pójdę.

– W takim razie zginiesz! – oświadczył ponuro Raistlin.

– Śmiesz mi grozić! – krzyknęła Crysania, odwracając się raptownie do niego, a furia osuszyła jej łzy.

– Och, nie z mojej ręki – powiedział Raistlin z dziwnym uśmiechem. – Zginiesz z rąk tych, którzy cię tu wysłali.

Crysania zamrugnęła osłupiała. Potem szybko odzyskała panowanie nad sobą. – Kolejna sztuczka? – spytała oziębło, cofając się przed nim. Ból serca wywołany jego podstępem był niemal nie do zniesienia. Chciała odejść, nim on zauważy, jak bardzo ją zrani...

– To żadna sztuczka, wielbna córko – oświadczył po prostu Raistlin. Wskazał na księgę w czerwonej oprawie, która leżała otwarta na jego biurku. – Zobacz sama. Długo to studiowałem. – Wskazał dłonią na niezliczone rzędy ksiąg na półkach na ścianie. Crysania westchnęła. Nie było ich tu zeszłym razem. Spoglądając na nią, pokiwał głową. – Tak, sprowadziłem je z odległych miejsc. Daleko podróżowałem w poszukiwaniu wielu z nich. Tę znalazłem w Wieży Najwyższej Magii w Wayreth. Chodź, spójrz na nią.

– Co to jest? – Crysania przyglądała się tomowi, jakby to był zwinięty w kłębek jadowity wąż.

– Księga, nic więcej. – Raistlin uśmiechnął się ze znużeniem. – Zapewniam cię, że nie zmieni się w smoka i nie porwie cię na mój rozkaz. Powtarzam: to książka, encyklopedia, jeśli wolisz. Bardzo stara, napisana jeszcze w Wieku Snów.

– Dlaczego chcesz, żebym ją obejrzała? Co to ma wspólnego ze mną? – spytała podejrzliwie Crysania. Jednak spokój Raistlina dodał jej otuchy. Przestała nawet zwracać uwagę na błyskawice i ryk burzy.

– Jest to encyklopedia magicznych urządzeń wyprodukowanych podczas Wieku Snów – ciągnął niewzruszenie Raistlin, stojąc przy swym biurku. Nie odrywał oczu od Crysanii. – Przeczytaj!

– Nie umiem czytać w języku magii – rzekła Crysania, marszcząc brwi, lecz potem jej czoło wygładziło się.

– A może zamierzasz „przetłumaczyć” mi ten tekst? spytała zadziornie.

Oczy zabłyśły Raistlinowi z gniewu, lecz niemal natychmiast ustąpił on smutkowi, który trafił Cysanię w samo serce. – On nie jest zapisany w języku magii – powiedział cicho. – Inaczej nie prosiłbym cię tutaj. – Zerkając na swe czarne szaty, uśmiechnął się gorzko. – Dawno temu już zapłaciłem karę. Nie wiem, dlaczego łudziłem się nadzieją, że ty mi zaufasz.

Przygryzając wargę, głęboko zawstydzona Crysania obeszła biurko i stanęła z drugiej jego strony. Raistlin wezwał ją gestem, a ona zrobiła krok naprzód ku otwartej księdze. Mag wypowiedział rozkaz i z łaski stojącej obok Crysanii trysnęło żółte światło, które wystraszyło ją niemal w równym stopniu, co błyskawica.

– Czytaj – powiedział Raistlin, wskazując stronę. Starając się wziąć się w garść, Crysania przejrzała szybko zawartość stronicy, choć nie wiedziała, czego szuka. Wtem coś przyciągnęło jej uwagę. Urządzenie do podróży w czasie, taki tytuł nosiło jedno z haseł. Obok niego znajdował się rysunek przedmiotu podobnego do tego, jaki opisał kender.

– Czy to jest to urządzenie, które Par-Salian dał Caramonowi, żebyśmy mogli wrócić? – spytała, spoglądając na Raistlina.

Mag pokiwał głową. W jego oczach odbijało się żółte światło łaski.

– Czytaj – powtórzył cicho.

Zaciekawiona Crysania przejrzała tekst, zaledwie jeden ustęp opisujący urządzenie zaprojektowane i skonstruowane przez wielkiego maga, dawno już zapomnianego. Nie była w stanie pojąć wymagań dotyczących użycia aparatu i jego opisu, jako że dotyczył spraw tajemnych. Wyłapywała strzępki tekstu:...

*zanieś osobę znajdującą się już pod działaniem zaklęcia czasowego w przód, bądź wstecz... musi zostać poprawnie złożone, a fasetki obrócone w przepisowej kolejności... przeniesie tylko jedną osobę, tę, która otrzymała je w chwili rzucania czaru... użycie przedmiotu ograniczone jest do elfów, ludzi, ogrów... nie jest wymagane żadne słowo zaklęcia...*

Crysania dotarła do końca i niepewnie spojrzała na Raistlina. Przyglądał jej się dziwnie, wyczekująco. W głębi duszy czuła niepokój, strach i odrętwienie, jakby jej serce zrozumiało szybciej niż mózg.

– Jeszcze raz – rzekł Raistlin.

Starając się skupić, choć teraz znów docierała do niej burza szalejąca na zewnątrz, Crysania ponownie rzuciła okiem na tekst.

Znalazła. Słowa skoczyły ku niej, chwytając ją za gardło.

*Przeniesie tylko jedną osobę...*

*Przeniesie tylko jedną osobę!*

Pod Crysania ugięły się nogi. Na szczęście Raistlin podsunął jej krzesło, bo inaczej upadłaby.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w głąb pokoju. Choć oświetlony błyskawicami i magicznym światłem laski, nagle wydał jej się ciemny.

– Czy on wie? – spytała wreszcie zmartwiałyimi wargami.

– Caramon? – parsknął Raistlin. – Skądże znowu. Gdyby mu powiedzieli, skreśliłby ten głupi kark, próbując zanieść urządzenie tobie, i błagałby cię na kolanach, byś go użyła, a jego obdarzyła przywilejem zginięcia za ciebie. Nie wyobrażam sobie, żeby cokolwiek sprawiło mu większą radość. Nie, pani Crysanio, użyłby go śmiało, bez wątpienia z tobą i kenderem stojącymi u jego boku. I byłby załamany, kiedy wyjaśniono by mu, dlaczego wrócił sam. Ciekawe, jak Par-Salian poradziłby sobie z tym – dodał Raistlin z posępnym uśmiechem. – Caramon jest zdolny zwalić im na głowy tę Wieżę. To jednak bez znaczenia.

Jego spojrzenie natrafiło na jej wzrok, choć Crysania starała się go uniknąć. Zmusił ją siłą swej woli, by spojrzała mu w oczy. I znów zobaczyła siebie, tym razem samotną i straszliwie zatrwożoną.

– Oni przysłali cię tu, byś umarła, Crysanio – rzekł Raistlin głosem, który był niewiele silniejszy od szeptu, a jednak przeniknął do samego wnętrza Crysanii, rozbrzmiewając w jej umyśle echem głośniejszym niż grzmoty. Czy to jest to dobro, o którym mi mówiłaś? Ba! Oni żyją w strachu, tak samo jak król-kapłan! Boją się ciebie tak samo, jak boją się mnie. Ku dobru, Crysanio, prowadzi jedynie moja droga! Pomóż mi pokonać zło! Potrzebuję cię!

Crysania zamknęła oczy. Znów widziała przed oczyma pismo Par-Saliana na kartce, którą znalazła – twoje życie albo twoja dusza – zyskaj jedno, a stracisz drugie! Istnieje dla ciebie wiele dróg powrotu – jedna to dzięki Caramonowi. Czyżby celowo wprowadził ją w błąd? Jaka jeszcze inna droga istniała, oprócz drogi Raistlina? Czy to miał na myśli czarodziej? Kto mógł jej udzielić odpowiedzi? Czy był ktoś w tym posępnym i żalonym świecie, komu mogła zaufać?

Drżąc, Crysania podniosła się z krzesła. Nie oglądając się na Raistlina, patrzyła przed siebie w pustkę. – Muszę iść – wykrztusiła załamującym się głosem – muszę pomyśleć...

Raistlin nie próbował jej zatrzymywać. Nawet nie wstał. Nie odezwał się ani słowem – póki nie dotarła do drzwi.

– Jutro – szepnął. – Jutro...

## ***Rozdział XV***

Trzeba było całej siły Caramona i dodatkowo dwóch strażników świątynnych, by wyważyć wielkie wrota świątyni i wypuścić go. Wiatr uderzył wielkiego mężczyznę z pełną mocą, odrzucając go z powrotem pod kamienny mur i przyciskając do niego na chwilę, jakby Caramon był nie większy od Tasa. Wreszcie wygrał. Huragan przycichł na tyle, by pozwolić mu zejść po schodach.

Nawałnica nieco osłabła, gdy wszedł między wysokie budynki, lecz wciąż trudno było iść. Miejscami spieniona woda była głęboka na trzydzieści centymetrów i nieraz groziło mu przewrócenie się. Błyskawice na wpół go oślepiły, a grzmoty ogłuszyły.

Nie trzeba wspominać, że nie widział zbyt wielu ludzi. Zatrwożeni mieszkańcy Istar nie wychodzili z domów, na przemian to przeklinając, to wzywając na pomoc bogów. Mijani przez Caramona przypadkowi podróżnicy, wygnani w burzę nie wiadomo z jakiej rozpaczliwej przyczyny, przywierali do ścian budynków lub stali żałośnie skuleni w bramach.

Caramon jednak brnął naprzód, chcąc czym prędzej wrócić na arenę. Serce przepełniała mu nadzieja i pomimo burzy był w dobrym humorze. A może właśnie z powodu burzy. Z pewnością teraz Kiiri i Pheragas posłuchają go, zamiast patrzeć na niego tak dziwnie, gdy próbował przekonać ich, by uciekli z Istar.

– Nie mogę wam powiedzieć, skąd wiem, po prostu wiem! – błagał ich. – Nadciąga katastrofa, wyczuwam to!

– I mamy opuścić finałowy turniej? – rzekła chłodno Kiiri.

– Nie odbędzie się przy takiej pogodzie! – Caramon machnął rękoma.

– Żadna gwałtowna burza nie trwa długo! – stwierdził Pheragas. – Popada i będzie piękny dzień. Poza tym – zmrużył oczy – co zrobiłbyś bez nas na arenie?

– Cóż, walczyłbym sam, gdyby zaszła taka potrzeba powiedział Caramon, zaczerwieniony. Zamierzał zniknąć na długo przed turniejem – on, Tas, Crysania i być może... być może...

– Jeśli zajdzie potrzeba... – powtórzyła Kiiri dziwnym, szorstkim tonem, wymieniając spojrzenia z Pheragasem. Dzięki, że pomyślałeś o nas, przyjacielu – rzekła, patrząc zgryźliwie na żelazną obrożę, którą nosił Caramon, taką samą, jak jej własna – ale nie, dziękujemy. Ryzykowalibyśmy życie – zbiegli niewolnicy! Jak myślisz, jak długo byśmy tam pożyli?

– To nie będzie ważne, nie po... po... – Caramon westchnął i z żalem pokręcił głową. Co mógł powiedzieć? Jak sprawić, by zrozumieli? Nie dali mu szans. Odeszli bez jednego słowa, zostawiając go samego w jadalni.

Ale teraz z pewnością go wysłuchają! Zrozumieją, że to nie jest zwyczajna burza. Czy będą mieli dość czasu, by bezpiecznie uciec? Caramon zmarszczył brwi i po raz pierwszy żałował, że

nie przykładął większej wagi do książek. Nie miał pojęcia, jak rozległy był obszar niszczącego efektu upadku ognistej góry. Potrząsnął głową. Może już było za późno.

Cóż, próbował, powiedział sobie w duchu. Odrywając myśli od losu swych przyjaciół, zmusił się do pomyślenia o czymś weselszym. Wkrótce opuści to okropne miejsce. Wkrótce wszystko będzie się wydawało złym snem.

Będzie w domu z Tiką. Może z Raistlinem! – Skończę budowę nowego domu – powiedział, myśląc z żalem o całym zmarnowanym czasie. Przed oczami stanął mu obraz. Widział siebie, siedzącego przy kominku w ich nowym domu, i Tikę opierającą głowę na jego kolanach. Będzie jej opowiadał o ich przygodach. Raistlin będzie z nimi, wieczorami będzie czytał i studiował, odziany w białe szaty...

– Tika nie uwierzy w ani jedno słowo – powiedział do siebie Caramon. – Ale to nieważne. Znów będzie miała w domu mężczyznę, w którym się zakochała. I tym razem nie opuści jej nigdy, za nic! – Westchnął, czując jej sprężyste, rude loki owijające się wokół jego palców i widząc, jak błyszczą w blasku ognia.

Te myśli niosły Caramona przez burzę ku arenie. Mężczyzna wyciągnął z muru blok, który służył wszystkim gladiatorom wybierającym się na nocne wycieczki (Arack zdawał sobie sprawę z jego obecności, lecz przymykał oko tak długo, jak długo przywilej ten nie był nadmiernie wykorzystywany). Oczywiście nikogo nie było na arenie. Treningi odwołano. Wszyscy siedzieli skuleni, przeklinając podłą pogodę i zakładając się, czy będą jutro walczyć.

Arack był w nastroju równie podłym, co pogoda i stale liczył sztuki złota, które wymkną mu się z rąk, gdyby musiał odwołać finałową rozgrywkę – sportowe wydarzenie roku w Istar. Próbował pocieszyć się myślą, że on obiecał mu piękną pogodę, a kto jak kto, ale on powinien wiedzieć. Mimo to krasnolud ponuro wyjrzał na zewnątrz.

Ze swego dogodnego punktu widokowego, z okna w wieży wysoko nad areną, dostrzegł Caramona zakradającego się przez kamienny mur. – Raag! – wskazał ręką. Spojrza – wszy na dół, Raag skinął głową na znak zrozumienia, chwycił wielką pałkę i zaczekał, aż krasnolud odłoży swe księgi rachunkowe.

Caramon śpieszył do celi, którą dzielił z kenderem, chcąc czym prędzej opowiedzieć mu o Raistlinie i Crysanii. Jednakże ich ciasna klitka była pusta.

– Tas? – powiedział, rozglądając się, by się upewnić, że nie przeoczył go gdzieś w cieniu. Choć błyskawica oświetliła pokój jaśniej niż światło dnia, po kenderze nie było śladu.

– Tas, wychodź! Nie ma czasu na zabawy! – rozkazał srogo Caramon. Tasslehoff któregoś dnia przeraził go śmiertelnie, chowając się pod łóżkiem, a potem nagle wyskakując, kiedy Caramon odwrócił się. Ogromny mężczyzna zapalił lucywo i utyskując, osunął się na podłogę i poświecił pod łóżkiem. Ani śladu Tasa.

– Mam nadzieję, że ten mały głupek nie próbował wyjść na zewnątrz w taką burzę! –

powiedział do siebie Caramon, a jego poirytowanie zmieniło się w nagłą troskę.

– Wywiałoby go do Solące. A może jest w jadalni i czeka na mnie. Może jest z Kiiri i Pheragasem. Właśnie! Tylko wezmę urządzenie i pójdę do niego...

Mówiąc do siebie, Caramon podszedł do małej, drewnianej skrzyni, w której trzymał zbroję. Otworzył ją i wyjął wymyślny, złoty kostium. Omiótł go pogardliwym spojrzeniem i rzucił na podłogę. – Przynajmniej nie będę musiał tego nakładać – rzekł z ulgą. – Chociaż... – uśmiechnął się nieco zawstydzony – zabawnie byłoby zobaczyć reakcję Tiki, gdybym to nałożył! Czy nie roześmiałyby się? Ale mógłbym się założyć, że i tak spodobałbym się jej. Gwizdząc wesoło, Caramon szybko wyjął wszystko ze skrzyni i jednym ze składanych sztyletów ostrożnie podważył fałszywe dno, które wbudował w kuferek.

Gwizd zamarł mu na wargach.

Skrzynia była pusta.

Caramon rozpaczliwie obmacywał całe wnętrze kuferka, choć było oczywiste, że wisior tak duży, jak jego magiczne urządzenie, nie mógłby wpaść w żadną szczelinę. Z sercem bijącym jak oszalałe ze strachu, Caramon zerwał się na równe nogi i zaczął przeszukiwać pokój, świecąc pochodnią w każdy kąt. Jeszcze raz zajrzał pod łóżka. Rozerwał nawet swój słomiany materac i zaczynał dobierać się do materaca Tasa, gdy nagle coś zauważył.

Brak było nie tylko kendera, ale także wszystkich jego sakiewek i ulubionych przedmiotów. Również płaszcz.

I wtedy Caramon już wiedział. Tas zabrał urządzenie.

Ale dlaczego? Caramon poczuł się przez chwilę tak, jakby strzelił w niego piorun. Nagłe zrozumienie przebiegło z jego umysłu do ciała, wywołując szok, który go sparaliżował.

Tas widział się z Raistlinem – powiedział o tym Caramonowi. Co Tas tam robił? Dlaczego poszedł odwiedzić Raistlina? Caramon nagle zdał sobie sprawę, że kender zręcznie skierował ich rozmowę na inny temat.

Caramon jęknął. Wścibiśki kender oczywiście wypytywał go o urządzenie, lecz zawsze sprawiał wrażenie, że odpowiedzi go zadowolają. Z pewnością nigdy nie ruszał tego przedmiotu. Caramon co jakiś czas sprawdzał, czy nadal tam się znajduje – takich przyzwyczajęń nabierało się mieszkając z kenderem. Niemniej jednak, gdyby Tas był wystarczająco zaciekawiony, zaniósłby je Raistlinowi. Często tak postępował za dawnych czasów, kiedy znajdował coś magicznego.

A może Raistlin podstępem nakłonił Tasa, by ten mu je przyniósł? Mając urządzenie w swym posiadaniu, Raistlin mógł zmusić ich do udania się z nim. Czyżby knuł to od samego początku? Czyżby oszukał Tasa i omamił Crysanię? Caramonowi zakręciło się w głowie z dezorientacji. A może... – Tas! – wykrzyknął Caramon, nagle zdecydowany na stanowcze działania. – Muszę znaleźć Tasa! Muszę go zatrzymać!

Ogromny mężczyzna chwycił przemoczony do suchej nitki płaszcz. Wybiegał właśnie za drzwi, gdy drogę zagroził mu wielki, mroczny cień.

– Z drogi, Raag – warknął Caramon, ze zdenerwowania zapominając, gdzie jest.

Raag przypomniał mu o tym natychmiast, ściskając wielkim łapskiem masywne ramię Caramona. – Gdzie idziesz, niewolniku?

Caramon usiłował wyrwać się z uścisku ogra, lecz Raag po prostu jeszcze mocniej zacisnął rękę. Rozległo się chrupnięcie i Caramon jęknął z bólu.

– Nie rób mi krzywdy, Raag – odezwał się jakiś głos z wysokości rzepek kolanowych Caramona. – On musi jutro walczyć. Co więcej, musi wygrać!

Raag wepchnął Caramona z powrotem do celi z tak niewielkim wysiłkiem, jak dorosły człowiek podrzuca dla zabawy dziecko. Masywny wojownik potknął się, poleciał do tyłu i ciężko upadł na kamienną posadzkę.

– Ale ty masz dzisiaj dużo zajęć – rzekł od niechcienia Arack, wchodząc do celi i sadowiąc się na łóżku.

Caramon podniósł się i rozcierał posiniaczony bark. Rzucił szybkie spojrzenie na Raaga, który wciąż stał w drzwiach, zagradzając drogę.

– Raz już wyszedłeś w tę paskudną pogodę, a teraz znów się gdzieś wybierasz? – Krasnolud pokręcił głową. – Nie, nie. Nie mogę na to pozwolić. Jeszcze mi się zaziębisz...

– Hej – powiedział Caramon, szczerząc zęby w bladym uśmiechu i oblizując suche wargi. – Miałem właśnie zamiar pójść do jadalni znaleźć Tasa. – Skulił się mimowolnie, gdy za oknem strzelił piorun. Rozległ się huk i dał się czuć swąd palonego drewna.

– Zapomnij o tym. Kender uciekł – rzekł Arack, wzruszając ramionami – i moim zdaniem, wyglądało na to, że na dobre – spakował wszystkie swoje manatki.

Caramon przełknął ślinę i chrząknął. – Pozwól mi więc go znaleźć... – zaczął.

Uśmiech Aracka nagle zmienił się we wściekły grymas.

– Nic mnie nie obchodzi ten mały sukinsyn! Chyba już zwrócił mi się jego koszt dzięki temu, co zdążył dla mnie nakraść. Ale ty – w ciebie sporo zainwestowałem. Twój plan ucieczki nie powiódł się, niewolniku.

– Ucieczki? – Caramon zaśmiał się głucho. – Ja nigdy... Ty nic nie rozumiesz...

– A więc janie rozumiem? – warknął Arack. – Nie rozumiem, że usiłowałaś nakłonić do ucieczki dwoje z moich najlepszych wojowników? Chcesz mnie doprowadzić do ruiny, tak? – Przenikliwy wrzask krasnoluda wzniosł się ponad wycie wichru na zewnątrz. – Kto cię do tego namówił? – Arack nagle zrobił chytrą i przebiegłą minę. To nie twój pan, więc nie kłam. On był u mnie z wizytą.

– Raist-ee... Fist-Fistandantil... – wymamrotał Caramon i szczęką mu opadła.

Krasnolud uśmiechnął się zarozumiale. – A tak. Fistandantilus ostrzegł mnie, że możesz

spróbować czegoś podobnego. Nawet zasugerował odpowiednią dla ciebie karę. Finałowa walka jutro nie rozegra się pomiędzy twoim zespołem a minotaurami. Wystąpisz sam przeciwko Kiiri, Pheragasowi i Czerwonemu Minotaurowi! – Krasnolud nachylił się i spojrzał szyderczo na Caramona. – A ich broń będzie prawdziwa!

Caramon przez chwilę patrzył na Aracka, nic nie rozumiejąc. Potem wymamrotał ponuro: – Dlaczego? Dlaczego on chce mnie zabić?

– Zabić? – Krasnolud zachichotał. – On nie chce ciebie zabić! Uważa, że zwyciężysz! „To próba, powiedział mi, nie chcę niewolnika, który nie jest najlepszy! I to będzie tego dowód. Caramon pokazał mi, co potrafi, w walce z Barbarzyńcą. To była pierwsza próba. Niech ta próba będzie dla niego jeszcze cięższa”, powiedział. Och, ten twój pan jest niezrównany!

Krasnolud zachichotał, klepiąc się po kolanach i nawet Raag wydał pomruk, mogący wskazywać na rozbawienie.

– Nie będę walczył – oświadczył Caramon, a jego twarz przybrała wyraz zaciętej stanowczości. – Zabij mnie! Nie będę bił się z przyjaciółmi. A oni nie będą bić się ze mną!

– On wiedział, że tak powiesz! – ryknął krasnolud. – Prawda, Raag? Słowo w słowo. Na boga, ale on cię zna!

Można by pomyśleć, że jesteście krewnymi! „Więc”, mówi mi, „jeśli odmówi walki, a co do tego nie mam wątpliwości, wtedy powiesz mu, że jego przyjaciele będą walczyć zamiast niego, tylko, że będą bić się z Czerwonym Minotaurem, który będzie miał prawdziwą broń”.

Caramon nagle wyraźnie przypomniał sobie młodego mężczyznę wijącego się w mękach na kamiennej podłodze, gdy trucizna z trójzębu minotaura rozeszła się w jego organizmie.

– A co do tego, czy twoi przyjaciele będą walczyć z tobą – krasnolud parsknął – Fistantilus tym też się zajął. Po tym, co im powiedział, będzie im naprawdę spieszno stanąć na arenie!

Caramon spuścił głowę. Zaczął się trząść. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, ścisnęło go w dołku. Ogrom zła brata przytłoczył go, a w myślach miał jedynie ciemność i rozpacz.

Raistlin omamił nas wszystkich, omamił Crysanię, Tasa, mnie! To Raistlin sprawił, że zabiłem Barbarzyńcę. Okłamał mnie! Okłamał też Crysanię. Nie jest w stanie pokochać jej bardziej niż czarny księżyc jest w stanie rozjaśnić nocne niebo. On ją wykorzystuje! A Tas? Tas? Caramon zamknął oczy. Przypomniał sobie minę Raistlina, gdy ten odkrył kendera, jego słowa – „kender może zmienić bieg czasu czy w taki sposób planują mnie powstrzymać?” Tas był dla niego niebezpieczeństwem, zagrożeniem! Teraz już nie miał wątpliwości, gdzie poszedł Tas.

Wiatr na zewnątrz świszczął i huczał, lecz nie tak głośno, jak ból i udręka w duszy Caramona. Chory i targany mdłościami, wstrząsany lodowatymi spazmami ostrego jak igły bólu, ogromny wojownik zupełnie przestał się orientować, co się wokół niego działo. Nie widział gestu Aracka ani nie poczuł chwytających go wielkich łapsk Raaga. Nie poczuł nawet więzów



krępujących mu nadgarstki.

Dopiero później, kiedy przeszło mu to okropne uczucie mdłości i zgrozy, ocknął się i zbadał swe otoczenie. Znajdował się w małej, pozbawionej okien celi, głęboko pod ziemią, prawdopodobnie pod areną. Raag mocował łańcuch do obroży na jego szyi i przykuwał do kółka w kamiennej ścianie. Potem ogr pchnął go na ziemię i sprawdził rzemienie, którymi były związane przeguby Caramona.

– Nie za mocno – Caramon usłyszał ostrzegawczy głos krasnoluda. – On musi jutro walczyć.

Rozległ się odległy łoskot grzmotu, słyszalny nawet tu pod ziemią. Na ten dźwięk Caramon podniósł głowę z nadzieją. Nie możemy walczyć w takiej pogodzie...

Krasnolud wyszczerzył zęby, wychodząc w ślad za Raagiem. Już miał zamknąć drewniane drzwi, gdy wystawił głowę zza rogu i broda mu się zatrzęsała radośnie na widok miny Caramona.

– Och, a tak przy okazji. Fistantilus powiedział, że jutro będzie piękny dzień. Dzień, który na długo pozostanie w pamięci Krynny...

Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem, przekręcono klucz.

Caramon był sam w gęstej, wilgotnej ciemności. Jego umysł był spokojny, bowiem mdłości i szok starły zeń jak z tablicy wszystkie uczucia i emocje. Nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić o radę, nikogo, kto podjąłby za niego decyzję. Nawet Tasa. I wtedy uświadomił sobie, że nikogo nie potrzebuje. Sam podejmie tę decyzję.

Teraz wiedział, teraz już pojmował. Dlatego magowie wysłali go w przeszłość. Oni znali prawdę. Chcieli, żeby sam ją poznał. Jego bliźniaczy brat był bezpowrotnie stracony.

Raistlin musi zginąć.

## ***Rozdział XVI***

Nikt nie spał w Istar tamtej nocy.

Wściekłość burzy narastała, aż wydawało się, że zniszczy wszystko na swej drodze. Wycie wichru przypominało zabójczy krzyk banshee i przebijało się nawet przez bezustanne gromy. Rozwidlona błyskawica tańczyła wśród ulic, a pod jej ognistym dotykiem eksplodowały drzewa. Grad rozbijał nawet najgrubsze szyby, pozwalając deszczowi i wichrowi wedrzeć się do domów, niczym dzikim zdobywcom. Wezbrane wody z rykiem płynęły ulicami, zgarniając kramy, zagrody dla niewolników, wózki i powozy.

Mimo to nikomu nie stała się krzywda.

Zupełnie jakby bogowie w tej ostatniej godzinie osłonili żyjących, łudząc się nadzieją i błagając, by posłuchali ostrzeżeń.

O świcie burza ucichła. Świat nagle wypełniła przejmująca cisza. Bogowie czekali, nie śmiejąc nawet odetchnąć, by nie przegapić tego jednego cichego wołania, które mogło ocalić świat.

Słońce wstało na bladoniebieskim niebie. Żaden ptak nie zaśpiewał na jego powitanie, żaden liść nie zaszeleścił w porannym wietrzyku, nie było bowiem porannego wietrzyku. Powietrze stało ciche i śmiertelnie nieruchome. Dym z nad dopalających się drzew szedł prostymi smugami w niebo, a woda po powodzi szybko opadała, jakby spływała do olbrzymiego kanału. Ludzie wyglądali nieśmiało na zewnątrz i rozglądali się z niedowierzaniem, że tak niewielki jest rozmiar szkód, po czym zmęczeni bezsennymi nocami, wracali do łóżek.

Była jednak w Istar jedna osoba, która spokojnie spała całą noc. Prawdę powiedziawszy, zbudziła ją nagła cisza.

Jak Tasslehoff lubił wspominać, rozmawiał z upiorami w Mroczej Puszczy, spotkał kilka smoków (na dwóch latał), podszedł bardzo blisko do przekłętego zagajnika Shoikan (odległość ulegała skróceniu za każdym razem, gdy o tym opowiadał), stłukł smoczą kulę i osobiście pokonał Królową Ciemności (z niewielką pomocą). Taka zwykła burza z piorunami jak ta, nie mogła go przestraszyć, a co dopiero zakłócić mu snu.

Zabranie magicznego urządzenia okazało się proste. Tas pokręcił głową nad naiwną dumą Caramona z jego sprytnej skrytki. Tas powstrzymał się przed powiedzeniem o tym ogromnemu mężczyźnie, lecz to podwójne dno potrafiłby wykryć każdy kender w wieku powyżej trzech lat.

Tas entuzjastycznie wyjął magiczny przyrząd z pudełka i przyjrzał mu się z podziwem i rozkoszą. Zapomniał już, jak jest uroczy i śliczny. Pośpiesznie powtórzył sobie w myślach instrukcje Raistlina. Czarodziej dał mu je zaledwie kilka dni temu i kazał mu się ich nauczyć – uważając, że Tas natychmiast zgubi zapisane polecenia, jak stwierdził zgryźliwie Raistlin.

Nie były trudne i Tas przypomniał je sobie po chwili.

*Twój czas należy do ciebie,  
Choć podróżujesz przezeń.  
Jego przestwór widzisz  
Wirujący w wieczności,  
Nie zakłócaj jego biegu.  
Chwyć mocno koniec i początek,  
Obróć je wspak do siebie,  
A wszystko, co jest luźne, utrwali się.  
Przeznaczenie będzie nad twą głową.*

Urządzenie było tak piękne, że Tas mógłby wpatrywać się w nie z podziwem przez dłuższy czas. Nie miał jednak czasu, więc pośpiesznie wepchnął je do jednej ze swych toreb, chwycił pozostałe sakwy (na wypadek, gdyby znalazł coś wartego zabrania ze sobą – albo, gdyby coś znalazło jego), narzucił pelerynę i wybiegł pośpiesznie. Po drodze pomyślał o swej ostatniej rozmowie z magiem ledwie kilka dni temu.

– „Pożycz” ten przedmiot w nocy – poradził mu Raistlin. – Burza będzie przerażająca i Caramonowi może przyjść do głowy chęć ucieczki. Poza tym najłatwiej będzie ci zakraść się niepostrzeżenie do pomieszczenia zwanego Świętą Komnatą w świątyni podczas szalejącej nawałnicy. Burza skończy się nad ranem, a wtedy król-kapłan i jego ministrowie rozpoczną procesję. Pójdą do Świętej Komnaty i tam właśnie król-kapłan wygłosi swe orędzie do bogów. Musisz być w tej komnacie i uruchomić urządzenie w tej samej chwili, gdy król-kapłan przestanie mówić...

– W jaki sposób ono działa? – przerwał pełen zapału Tas. – Czy zobaczę, jak strzela z niego w niebiosa promień światła, czy coś takiego? Czy sprawi, że król-kapłan padnie jak długi?

– Nie – odparł Raistlin, pokaszując cicho – ono nie... hm... sprawi, że król-kapłan padnie jak długi. Ale masz rację co do światła.

– Naprawdę? – Tas rozdziawił usta. – Sam się tego domyśliłem! To fantastyczne! Muszę nabierać wprawy w tych magicznych sprawach.

– Tak – odrzekł sucho Raistlin. – A teraz zanim mi przerwano...

– Przepraszam, to się już nie wydarzy. – Tas zamknął usta, gdy Raistlin zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Musisz się zakraść do Świętej Komnaty w nocy. Za ołtarzem wiszą kotary. Ukryj się tam, a nikt cię nie zauważy.

– Zapobiegnę Kataklyzmowi, wrócę do Caramona i opowiem mu o tym! Będę bohaterem... –

Tas przerwał i nagle myśl zaświtała mu w głowie., – Ale jak mogę być bohaterem, jeśli zapobiegnę czemuś, co nigdy się nie wydarzy? To znaczy, skąd oni będą wiedzieli, że coś zrobiłem, jeśli nie...

– Och, będą wiedzieli – powiedział cicho Raistlin.

– Naprawdę? Aleja nadal nie rozumiem... Och, pewno jesteś zajęty. To chyba powinienem już pójść? W porządku. To co, powiadasz, że po tym wszystkim wybierasz się w podróż – rzekł Tas, popychany zdecydowanie w kierunku drzwi przez dłoń Raistlina spoczywającą na jego ramieniu.

– A dokąd się wybierasz?

– Tam, gdzie mam ochotę – powiedział Raistlin.

– Czy mógłbym pójść z tobą? – spytał entuzjastycznie Tas.

– Nie, będziesz potrzebny w swoich własnych czasach – odpowiedział Raistlin, przyglądając się kenderowi bardzo dziwnie. Przynajmniej Tasowi tak się wtedy wydawało.

– Żeby zaopiekować się Caramonem...

– No tak, chyba masz rację. – Kender westchnął. On wymaga opieki. – Dotarli do drzwi. Tas przyglądał im się przez chwilę, a potem popatrzył żałośnie na Raistlina.

– Nie sądzę, żebyś mógł... tak jakby śmignąć mnie gdzieś, jak ostatnim razem? To było bardzo fajne...

Powstrzymując się od westchnięcia, Raistlin posłusznie „śmignął” kendera do kaczego stawu ku jego niezmiernej radości. Prawdę mówiąc Tas nie pamiętał, kiedy Raistlin był dla niego aż taki miły.

To na pewno z powodu zapobieżenia Kataklizmowi, doszedł do wniosku Tas. Prawdopodobnie jest mi ogromnie wdzięczny, tylko nie potrafi tego wyrazić. A może nie wolno mu być wdzięcznym, bo jest zły.

To była interesująca myśl i ociekający wodą Tas zastanawiał się nad nią. Po wyjściu z sadzawki powrócił na arenę.

Tas znów przypomniał sobie o tym, kiedy wychodził z areny w nocy przed Kataklizmem, który miał się nie wydarzyć, lecz jego rozmyślenia o Raistlinie zostały brutalnie przerwane. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że burza się nasiliła i był zdumiony wściekłością wiatru, który dosłownie porwał go i cisnął nim o kamienny mur areny, gdy tylko kender wyskoczył na zewnątrz. Po krótkiej przerwie na odzyskanie tchu i sprawdzenie, czy niczego sobie nie złamał, kender pozbiierał się i znów ruszył w stronę świątyni, mocno ściskając w dłoni magiczne urządzenie.

Tym razem miał dość przytomności umysłu, by przywierać do budynków, odkrywając, że tam wiatr nie targał nim tak bardzo. Prawdę mówiąc, wędrówka podczas burzy okazała się ekscytującym przeżyciem. Raz błyskawica strzeliła w drzewo obok niego i strzaskała pień

w drobny mak. (Często się zastanawiał nad tym, czy mak może nie być drobny?) Innym razem źle ocenił głębokość płynącej ulicą wody, został porwany przez jej nurt i w szybkim tempie zniesiony przecnicę dalej. Było to zabawne i byłoby jeszcze fajniejsze, gdyby mógł oddychać. Wreszcie woda wrzuciła go obcesowo w jakiś zaułek, zdołał stanąć na nogi i kontynuował podróż.

Tasowi niemal było żal kończyć tyle przygód, lecz przypominając sobie o Ważnej Misji – przeczołgał się przez ogród i zakradł do wnętrza świątyni. Kiedy już tam się znalazł, zgodnie z przewidywaniami Raistlina łatwo „zgubił się” w zamieszaniu wywołanym przez burzę. Dookoła biegali kapłani, którzy starali się wytrzeć wodę i zebrać potłuczone szkło z rozbitych szyb, rozpalic zdmuchnięte pochodnie i pocieszyć tych, którzy nie mogli dłużej wytrzymać napięcia.

Tas nie miał pojęcia, gdzie jest Święta Komnata, lecz niczego tak bardzo nie lubił, jak wędrowania po nieznanym miejscu. Dwie czy trzy godziny (i wiele wypchanych sa – kiewek) później, natrafił na pomieszczenie idealnie odpowiadające opisowi Raistlina.

Pokoju nie oświetlały pochodnie, lecz błyskawice rozjaśniały go wystarczająco, by kender dostrzegł ołtarz i zasłony, o których wspominał Raistlin. Zmęczony już Tas ucieszył się z możliwości odpoczynku. Po zbadaniu pokoju i stwierdzeniu, że jest okropnie nudny, przeszedł obok ołtarza (również pustego) i wsunął się pod zasłony, łudząc się cichą nadzieją, że znajdzie jakąś tajemną jaskinię, gdzie królkapłan odprawia święte obrządki niedostępne oczom śmiertelników.

Rozejrzał się wokół i westchnął. Nic. Tylko ściana zasłonięta kotarami. Usiadłszy za zasłonkami, Tas rozłożył pelerynę do wyschnięcia, wyjął wodę ze swej kitki, a potem – w blasku błyskawic za witrażami w oknach – zaczął sortować interesujące przedmioty, jakie trafiły do jego mieszkań.

Po chwili jego powieki zrobiły się ciężkie, a od ziewania bolały go szczęki. Zwinąwszy się w kłębek na posadzce, zapadł w sen. W ostatniej chwili pomyślał o tym, czy Caramon już zauważył jego nieobecność i czy bardzo się gniewa?

Następną rzeczą, jaką sobie uświadomił, była cisza. Dlaczego wytrąciła go ze słodkiego snu, było początkowo tajemnicą. Niejaką tajemnicą pozostawało również miejsce, w którym się znajdował, lecz wkrótce przypomniał sobie.

A, tak. Jest w Świętej Komnacie w świątyni króla-kapłana w Istar. Dziś jest dzień Katakliżu, a raczej byłby. Być może, dokładniej rzecz biorąc, nie był to dzień Katakliżu. Albo dziś był kiedyś dzień Katakliżu. Dochodząc do wniosku, że to strasznie jest mylące – zmienianie biegu czasu to tyle kłopotu – Tas postanowił nie myśleć o tym i dowiedzieć się, dlaczego jest tak cicho.

Wtedy doznał olśnienia. Burza się skończyła! Jak powiedział Raistlin. Wstał i wyrzwał z za

zasłony do Świętej Komnaty. Przez okna widział jaskrawe słońce. Tas przełknął ślinę z podniecenia. Nie miał pojęcia, która jest godzina, jednakże sądząc po jaskrawości słońca, musiało być późno. Przypomniawszy sobie, że wkrótce zacznie się procesja. Królkapłan wezwał bogów o godzinie Wysokiej Straży, kiedy słońce stanęło w zenicie na niebie.

I rzeczywiście, gdy Tas pomyślał o tym, dzwony odezwały się, zdawałoby się tuż nad nim, a ich bicie spłoszyło go bardziej niż grzmoty. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie będzie skazany na to, by iść przez życie, słysząc jedynie ten dźwięk w uszach. Wtedy dzwony na wieży przestały bić, a po chwili ucichły również dzwony w jego głowie. Westchnąwszy z ulgą, wyjrzał znów zza zasłony do wnętrza komnaty i właśnie zastanawiał się, czy istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś tu przyjdzie posprzątać, gdy dostrzegł ciemną postać, która zakradała się do pokoju.

Tas cofnął się. Trzymając kotary rozsunięte jedynie odrobinę, wyglądał jednym okiem. Postać miała spuszczoną głowę, kroczyła powoli i niepewnie. Zatrzymała się na chwilę, by oprzeć się o kamienną ławę z boku ołtarza, jakby była zbyt zmęczona, by iść dalej, a potem osunęła się na kolana. Choć odziana była w białe szaty, jak wszyscy w świątyni, Tasowi wydała się znajoma, więc kiedy był pewny, że postać nie zwraca na niego uwagi, zaryzykował poszerzenie szpary.

– Crysania! – rzekł do siebie. – Ciekawe, dlaczego przyszła tu tak wcześnie? – Potem ogarnęło go nagłe uczucie rozczarowania. Przypuśćmy, że ona też tu przybyła, żeby zapobiec Kataklizmowi? – Do licha! Raistlin powiedział, że ja to mogę zrobić – mruknął Tas.

Wtedy uświadomił sobie, że Crysania coś mówi – albo do siebie, albo się modli – Tas nie miał pewności. Przycisnąwszy się najbliżej do kotary, przysłuchiwał się jej cichym słowom.

– Paladine, największy, najmądrzejszy boże wiecznego dobra, usłysz mój głos w tym najtragiczniejszym dniu. Wiem, że nie mogę powstrzymać tego, co ma się zdarzyć.

Być może również brak mi wiary, bo śmiem wątpić w słuszność tego, co robicie. Proszę jedynie o to: pomóżcie mi zrozumieć! Jeśli jest prawdą, że muszę umrzeć, powiedzcie mi, dlaczego. Pozwólcie mi zobaczyć, że moja śmierć przysłuży się jakiejś sprawie. Pokażcie mi, że nie poniosłam klęski we wszystkim.

Dajcie mi posłuchać tego, czego nie usłyszał żaden śmiertelnik, który przeżył: słów królkapłana. To dobry człowiek, być może zbyt dobry. – Crysania ukryła głowę w dłoniach. – Moja wiara wisi na włosku – powiedziała tak cicho, że Tas ledwo ją słyszał. – Wskażcie mi jakieś usprawiedliwienie tego strasznego czynu. Jeśli to wasza kapryśna zachcianka, zginę – być może to było moim przeznaczeniem – pośród tych, którzy dawno temu utracili wiarę w prawdziwych bogów...

– Powiedzmy, że nie utracili wiary, wielbna córko z powietrza odezwał się głos, który tak zaskoczył kendera, że omal nie wypadł zza zasłony. – Powiedzmy raczej, że ich wiarę

w prawdziwych bogów zastąpiła wiara w fałszywych: pieniądze, władzę, ambicję...

Crysanía uniosła głowę z westchnieniem, które Tas powtórzył niczym echo, lecz to widok jej twarzy, a nie migoczącej postaci w bieli, która zmaterializowała się tuż-tuż, wywołał westchnienie kendera. Crysanía na pewno nie spała od wielu nocy, jej oczy były zapadnięte. Policzki miała wychudzone, wargi suche i popękane. Nie zadała sobie trudu, by się uczesać – włosy spadały jej na twarz niczym czarna pajęczyna. Z lękiem i niepokojem przyglądała się dziwnej, widmowej postaci.

– K-kim jesteś? – wyjąkała.

– Nazywam się Loralon. Przybyłem, by cię stąd zabrać. Twoim przeznaczeniem nie jest śmierć, Crysanio. Jesteś ostatnią prawdziwą kapłanką na Krynnie i możesz dołączyć do nas, którzyśmy odeszli przed wieloma dniami.

– Loralon, wielki kapłan z Silvanesti – wykrztusiła Crysanía. Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się, a potem, spuściwszy głowę, odwróciła wzrok i spojrzała na ołtarz. – Nie mogę pójść – rzekła stanowczo i przyklękła, zaciskając nerwowo dłońie. – Jeszcze nie. Muszę wysłuchać króla-kapłana. Muszę zrozumieć...

– Czy jeszcze nie rozumiałaś? – spytał srogo Loralon. – Co czułaś w swej duszy dzisiejszej nocy?

Crysanía przełknęła ślinę, po czym odgarnęła włosy drżącą dłonią. – Lęk zmieszany z szacunkiem, pokorę – szepnęła. – Z pewnością wszyscy to czują w obliczu potęgi bogów...

– Nic więcej? – dopytywał się Loralon. – A może zazdrość? Pragnienie naśladowania ich? Istnienia na tym samym poziomie?

– Nie! – odparła gniewnie Crysanía, a potem zaczerwieniła się i odwróciła.

– Chodź ze mną, Crysanio – nalegał Loralon. Prawdziwa wiara nie wymaga usprawiedliwienia wiary w to, co w głębi serca uważa za właściwe.

– Słowa z mego serca odbijają się pustym echem w mym umyśle – odparła Crysanía. – Są tylko cieniami. Muszę zobaczyć prawdę jaśniejącą w czystym blasku dnia! Nie, nie odejdę z tobą. Zostanę, bo chcę usłyszeć, co on powie! Dowiem się, czy bogowie mają rację!

Loralon przyjrzał jej się wzrokiem, w którym było więcej litości niż gniewu. – Ty nie spoglądasz w światło, a stoisz przed nim. Cień, jaki dostrzegasz przed sobą, jest twym własnym cieniem. Następnym razem, Crysanio, będziesz wyraźnie widzieć wtedy, gdy oślepi cię ciemność... ciemność bezkresna. Żegnaj, wielebna córko.

Tasslehoff mrugnął i rozejrzał się. Stary elf zniknął! Czy w ogóle był tutaj? zastanawiał się niespokojnie kender. Ależ musiał być, bowiem zziębnięty i zdezorientowany Tas wciąż pamiętał jego słowa. Co ten elf chciał przez to powiedzieć? Wszystko to brzmiało tak dziwnie. Co Crysanía miała na myśli? Została tu wysłana na śmierć?

Potem kender poweselał. Żadne z nich nie wiedziało, że Kataklyzm się nie wydarzy. Nic

dziwnego, że Crysania czuła się smutno i nieswojo.

– Prawdopodobnie od razu poweseleje, kiedy dowie się, że mimo wszystko świat nie legnie w gruzach – powiedział Tas do siebie.

Wtedy kender usłyszał odległe głosy intonujące pieśń. Procesja! Już się zaczynała. Tas niemal krzyknął z podniecenia. Obawiając się wykrycia, szybko zasłonił usta dłońmi. Potem zerknął po raz ostatni na Crysanię. Siedziała, żałośnie kuląc się na dźwięk muzyki. Zniekształcona melodia brzmiała przenikliwie, ostro i niemile. Twarz kobiety była tak blada, że Tas na chwilę zaniepokoił się, lecz potem dostrzegł, że jej wargi zaciskają się stanowczo, a oczy ciemnieją. Spoglądała nie widzącym wzrokiem na swe złożone dłonie.

– Wkrótce poczujesz się lepiej – powiedział jej bezgłośnie Tas, a potem zanurkował ponownie za kotarę, by wyjąć z sakwy cudowne magiczne urządzenie. Usiadł, trzymając je w dłoniach i czekał.

Procesja ciągnęła się w nieskończoność, przynajmniej z punktu widzenia kendera. Ziewnął. Ważne Misje są okropnie nudne, stwierdził z irytacją. Miał nadzieję, że kiedy to się skończy, ktoś doceni, ile sobie zadał trudu. Bardzo korciło go, by pomajstrować przy magicznym urządzeniu, lecz Raistlin wbił mu do głowy, że ma je zostawić w spokoju aż nadejdzie czas, a wtedy wypełnić polecenia co do joty. Tak przejmujący był wyraz oczu Raistlina i tak chłodny jego głos, że zdołały się przebić nawet przez lekceważenie kendera. Tas siedział z magicznym przedmiotem w rękach i niemal bał się poruszyć.

Potem, w chwili gdy zrozpaczony zaczynał rezygnować (i tracił czucie w lewej stopie), usłyszał tuż za drzwiami komnaty piękny śpiew! Jaskrawe światło wpadało przez zasłony. Kender zmagął się z ciekawością, lecz wreszcie nie mógł się oprzeć, by raz zerknąć. Nigdy nie widział królakapłana. Mówiąc sobie, że musi koniecznie zobaczyć, co się dzieje, znów wyjrzał przez szparę w zasłonach.

Blask nieomal go oślepił.

– Wielki Reorxie! – wymamrotał kender, zasłaniając oczy. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś, będąc dzieckiem, spojrział w słońce, chcąc sprawdzić, czy rzeczywiście jest olbrzymią, złotą monetą, którą można ściągnąć z nieba. Potem musiał przeleżeć trzy dni w łóżku z zimnymi kompresami na powiekach.

– Ciekawe, jak on to robi? – spytał Tas, odważając się znów spojrzeć przez palce. Spoglądał w serce światła tak samo, jak niegdyś w słońce. I ujrzał prawdę. Słońce nie było złotą monetą. Król-kapłan był tylko człowiekiem.

Kender nie doznał strasznego szoku, jaki odczuła Crysania, gdy przeniknęła złudzenie. Być może dlatego, że Tas nie miał wcześniej wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać król-kapłan. Kenderzy nie czują lęku absolutnie przed nikim i niczym (choć Tas musiał przyznać, że czuł się dziwnie w obecności upiornego rycerza, lorda Sotha). Toteż był jedynie lekko zdziwiony, że



przenajświętszy król-kapłan jest po prostu łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, o bładoniebieskich oczach przerażonego jelenia, który ugrzązł w gęstwinie. Tas był zaskoczony i rozczarowany.

– Tyle sobie zadałem trudu na nic – pomyślał poirytowany kender. – Nie będzie Kataklizmu. Nie sądzę, by ten człowiek potrafił rozzłościć mnie wystarczająco, bym w niego rzucił plackiem, a co dopiero całą ognistą górą.

Jednak Tas nie miał nic innego do roboty (i naprawdę umierał z chęci uruchomienia magicznego urządzenia), więc postanowił zostać, by popatrzeć i posłuchać. Może mimo wszystko coś się wydarzy. Próbował zobaczyć Crysanie, zastanawiając się, co ona o tym sądzi, ale poświata otaczająca króla-kapłana była tak jasna, że nic nie widział.

Król-kapłan powoli zbliżył się do ołtarza. Tas zastanawiał się, czy król-kapłan dostrzeże Crysanie, lecz najwyraźniej jego również oślepił jego własny blask, bowiem tylko przesunął wzrokiem po niej. Po dojściu do ołtarza nie ukląkł, by się pomodlić jak Crysania. Tasowi wydawało się, że gniewnie potrząsnął głową.

Ze swego punktu obserwacyjnego za ołtarzem i nieco na lewo, Tas miał wspaniały widok na twarz mężczyzny. Podekscytowany kender znów ścisnął magiczne urządzenie w dłoni. Teraz bowiem straszliwe przerażenie w wodnistych oczach przysłoniła maska arogancji.

– Paladine – zagrzmiął król-kapłan i Tas odniósł wrażenie, że ów człowiek zwraca się do swego podwładnego. – Paladine, ty widzisz zło, które mnie otacza! Byłeś świadkiem nieszczęść, które były plagą Krynny przez te ostatnie dni. Ty wiesz, że to zło jest skierowane przeciwko mnie osobiście, tylko ja bowiem z nim walczę! Teraz chyba widzisz, że twoja doktryna równowagi jest nieskuteczna!

Głos króla-kapłana stracił zgrzytliwe brzmienie i stał się miękki niczym dźwięk fletu. – Oczywiście, ja to rozumiem. Musiałeś stosować tę doktrynę w dawnych czasach, gdy byłeś słaby. Teraz jednak masz mnie, twego prawdziwego przedstawiciela na Krynny. Dzięki naszej połączonej potędze mogę zmieść zło z powierzchni świata! Zniszczyć rasy ogrów! Zaprowadzić posłuch wśród niepoprawnych istot ludzkich! Znaleźć nowe tereny dla krasnoludów, kenderów i gnomów, ras i stworzeń nie będących twym dziełem...

Jakież to obraźliwe! pomyślał dotknięty Tas. Mam niemal ochotę nie stawać bez przeszkód i pozwolić rzucić na niego tę górę!

– I będę rządzić w chwale – głos króla-kapłana wznosił się maksymalnie – stworzywszy wiek mogący się równać nawet z opiewanym w legendach Wiekiem Snów!

– Król-kapłan rozpostarł szeroko ramiona. – Dałeś, Paladine, tyle Humie, który był zaledwie odszczepieńcem i rycerzem niskiego stanu! Żądam, abys dał mnie również moc przepędzenia cieni zła, które zalegają nad tą krainą!

Król-kapłan umilkł i czekał z rozłożonymi rękoma.

Tas wstrzymał oddech, również czekając i ściskając magiczne urządzenie w rękach.

I wtedy kender poczuł to – odpowiedź. Ogarnęła go zgroza, trwoga, jakiej nigdy dotąd nie zaznał, nawet w obecności lorda Sotha, ani w zagajniku Shoikan. Z drżeniem kender padł na kolana i spuścił głowę, łkając i dygocąc, błagając niewidzialną siłę o litość i wybaczenie. Słyszał dochodzące zza kotary echa swego niedorzecznego bełkotu i wiedział, że Crysania również poczuła straszny, palący gniew, który przetoczył się nad nim niczym grzmot burzy.

Król-kapłan nie powiedział jednak ani słowa. Po prostu spoglądał z wyczekiwaniem w niebiosa, których nie mógł widzieć przez grube mury i sklepienia swej świątyni – niebiosa, których nie mógł widzieć z powodu własnego blasku.

## ***Rozdział XVII***

Podjąwszy stanowczą decyzję co do kierunku działania, wycieńczony Caramon zapadł w sen i na kilka godzin ogarnęła go błoga nieświadomość. Obudził się z drgnieniem i ujrzał nad sobą Raaga, który rozkuwał go z łańcuchów.

– A co z tym? – spytał Caramon, podnosząc spętane przeguby.

Raag pokręcił głową. Choć Arack w rzeczywistości nie sądził, by Caramon był tak głupi, żeby bez broni próbować napaść na ogra, krasnolud widział dość obłędu w jego oczach zeszłej nocy, by nie ryzykować.

Caramon westchnął. Rzeczywiście brał pod uwagę tę możliwość, podobnie jak wiele innych, lecz odrzucił ją. Najważniejszą sprawą było zostać przy życiu – przynajmniej póki nie upewni się, że Raistlin nie żyje. Potem to już nie miało znaczenia...

Biedna Tika... Będzie czekać i czekać, aż któregoś dnia obudzi się i uświadomi sobie, że on nigdy nie wróci do domu.

– Ruszaj się! – warknął Raag.

Caramon ruszył w ślad za ogrem po wilgotnych i krętych schodach, które wiodły na górę z magazynów pod areną. Potrząsnął głową, porzucając myśli o Tice. Mogłyby osłabić jego zdecydowanie, a na to nie mógł sobie pozwolić. Raistlin musi zginąć. Zupełnie jakby błyskawica w nocy rozjaśniła tę część umysłu Caramona, która od lat spoczywała w ciemności. Wreszcie zobaczył prawdziwe rozmiary ambicji swego brata, jego żądzę władzy. Wreszcie Caramon przestał znajdować usprawiedliwienie dla niego. Bolało go to, lecz musiał przyznać, że nawet ten czarny eJf, Dalamar, znał Raistlina dużo lepiej niż on, jego bliźniaczy brat.

Miłość go zaślepiła i najwyraźniej zaślepiła również Crysanię. Caramon przypomniał sobie powiedzenie Tanisa: „Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby coś zrobionego z miłości obróciło się na złe”. Caramon parsknął. Cóż, zawsze jest ten pierwszy raz – to było ulubione powiedzonko starego Flinta. Pierwszy... i ostatni.

W jaki sposób zabije brata, Caramon jeszcze nie wiedział. Nie martwił się jednak. Czuł dziwny spokój. Myślał z jasnością i logiką, która go zdumiewała. Wiedział, że potrafi tego dokonać. Raistlin również nie zdoła go powstrzymać, nie tym razem. Zaklęcie magicznej podróży w czasie będzie wymagało od maga pełnego skupienia. Powstrzymać Caramona mogła jedynie śmierć.

Dlatego więc, rzekł zawzięcie w duchu Caramon, muszę żyć.

Stał spokojnie bez drgnięcia i bez słowa, gdy Arack i Raag z wysiłkiem wkładali na niego zbroję.

– Nie podoba mi się to – mruzczał nieraz krasnolud do ogra podczas ubierania Caramona.

Spokój wielkiego mężczyzny i jego beznamiętny wyraz twarzy bardziej niepokoiły krasnoluda, niż gdyby szalał niczym byk. Jedynie w chwili, gdy Arack przypasał mu krótki miecz, dostrzegł przebłysk ożywienia na twarzy Caramona. Potem ogromny mężczyzna spojrzął na broń i rozpoznał w niej bezużyteczny rekwizyt. Arack zauważył jego gorzki uśmiech.

– Miej na niego oko – polecił Arack, a Raag skinął głową. – I trzymaj go z dala od pozostałych, aż do wyjścia na arenę.

Raag znów skinął, po czym wyprowadził Caramona, wciąż ze związanymi rękoma, na korytarz pod areną, gdzie czekali Kiiri i Pheragas. Kiiri wydeła wargi i odwróciła się oziębło. Caramon bez drgnienia wytrzymał spojrzenie Pheragasa, a jego wzrok ani nie błagał, ani o nic nie prosił. Początkowo czarnoskóry mężczyzna sprawiał wrażenie zbitego z tropu, lecz – po kilku słowach wyszeptanych przez Kiiri – on również się odwrócił. Caramon zauważył, że mężczyzna zgarbił się i potrząsał głową.

Wtem rozległ się ryk tłumu i Caramon przeniósł spojrzenie na trybuny, widoczne z jego miejsca. Był niemal środek dnia, jako że igrzyska rozpoczęły się punktualnie o godzinie Wysokiej Straży. Słońce błyszczało na niebie, widownia była liczna i w szczególności dobrym humorze. Po wstępnych rozgrywkach dla rozbudzenia apetytu gawiedzi i zwiększenia napięcia, prawdziwą atrakcją była finałowa rozgrzywka, mająca zdecydować o tym, kto zdobędzie tytuł mistrza: niewolnik, który wywalczy sobie wolność, lub jak w przypadku Czerwonego Minotaura – dość bogactwa, by starczyło mu na lata.

Arack mądrze utrzymywał tempo pierwszych kilku walk, czyniąc z nich zabawę, nawet komedię. Sprowadził na tę okazję kilku krasnoludów źlebowych. Dał im prawdziwą broń (oczywiście, nie mieli pojęcia, jak się nią posługiwać) i wypuścił na arenę. Widownia wyła z radości, śmiejąc się do łez na widok krasnoludów źlebowych, którzy potykali się o własne miecze, zawzięcie dźgali się nawzajem rękojeściami sztyletów lub z wrzaskiem uciekali z areny. Publiczność nie bawiła się ani w połowie tak dobrze, jak krasnoludowie, którzy wreszcie cisnęli broń na bok i rzucili się w wir walki w błocie. Trzeba ich było siłą usuwać ze sceny.

Tłum klaskał, lecz wielu zaczęło tupać nogami, niecierpliwie żądając głównej atrakcji. Arack pozwolił, by potrwało to kilka chwil, wiedząc z doświadczenia, że to wzmaga podniecenie. Nie mylił się. Wkrótce trybuny kołysały się, gawieź klaskała, tupała i śpiewała.

Toteż nikt w tłumie nie poczuł pierwszego wstrząsu.

Caramonowi żołądek podskoczył do gardła, gdy ziemia zatrzęsała mu się pod nogami. Ogarnął go zimny strach nie lęk przed śmiercią, lecz obawa, że może zginąć, zanim osiągnie swój cel. Spoglądając nerwowo w niebo, starał się przypomnieć sobie wszystkie legendy, jakie kiedykolwiek słyszał o Kataklizmie. Wydawało mu się, że przypomina sobie, iż wydarzył się on wczesnym popołudniem. Towarzyszyły mu trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i wszelkiego rodzaju straszliwe katastrofy naturalne na całym Krynnie, zanim jeszcze ognista góra wbiła

miasto Istar tak głęboko w ziemię, że zalały je wody morza.

Caramon ujrzał z pełną wyrazistością ruiny zgubionego miasta, jak wtedy, gdy ich statek został wessany przez wir topieli, znanej obecnie jako Krwawe Morze Istar. Wtedy ocalili ich morscy elfowie, lecz dla tych ludzi nie będzie ratunku. Znów zobaczył pochylone i strzaskane budynki. Ze zgrozą i zaskoczeniem uświadomił sobie, że przez cały czas starał się zapomnieć o tym widoku.

Ja nigdy naprawdę nie wierzyłem, że to się stanie, uświadomił sobie, drżąc ze strachu, gdy ziemia zatrzęsła się współczująco. Mam zaledwie kilka godzin, może nawet mniej. Muszę wydostać się stąd! Muszę dotrzeć do Raistlina!

Potem uspokoił się. Raistlin oczekiwał go. Raistlin go potrzebował – a przynajmniej potrzebował „wyszkolonego wojownika”. Raistlin postara się, by miał masę czasu po to, by zwyciężyć i dotrzeć do niego. Albo czasu, by przegrać.

Mimo to Caramon poczuł niezmierną ulgę, gdy drżenie ustało. Wtedy usłyszał głos Aracka dobiegający ze środka areny i ogłaszający finałową rozgrywkę.

– Panie i panowie, niegdyś walczyli jako zespół i jak wielu z was wie, byli najlepszym zespołem, jaki widzieliśmy od wielu lat. Nieraz byliście świadkami, jak każdy z nich ryzykował życie, by ocalić towarzysza. Byli niczym bracia – Caramon skrzywił się – lecz teraz, panie i panowie, są zagorzałymi wrogami. Kiedy bowiem chodzi o wolność, majątek, zwycięstwo w największych igrzyskach – miłość musi pójść na bok. Panie i panowie, możecie być pewni, że dadzą z siebie wszystko. Oto walka na śmierć i życie pomiędzy siriną Kiiri, Pheragasem z Ergothu, Caramonem Zwycięzcą i Czerwonym Minotaurem. Nie opuszczą tej areny inaczej jak nogami do przodu!

Tłum wiwatował i ryczał. Choć widzowie wiedzieli, że to oszustwo, uwielbiali wmawiać sobie, że tak nie jest. Ryk stał się głośniejszy, gdy wszedł Czerwony Minotaur, jak zawsze z pogardą malującą się na jego bestialskiej twarzy. Kiiri i Pheragas spojrzeli na niego, na trójzab, który trzymał w ręku, a potem na siebie. Kiiri mocno zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu.

Caramon znów poczuł drżenie gruntu. Potem Arack wywołał jego imię. Nadszedł czas zacząć zawody.

Tasslehoff poczuł pierwsze wstrząsy i przez chwilę sądził, że to tylko jego wyobraźnia, reakcja na straszliwy gniew, huczący wokół nich. Wtedy zobaczył kołyszące się zasłony i uświadomił sobie, że to już...

Uruchom urządzenie! rozległ się głos w umyśle Tasslehoffa. Ręce mu drżały. Tas spojrzął na wisior i powtórzył instrukcje.

Twój czas należy do ciebie, hm, zobaczmy, obracam tę fasetkę do siebie. Już. Choć podróżujesz przezeń. Przesuwam tę płytkę z prawa na lewo. Jego przestwór widzisz tylna płytka opada, tworząc dwa dyski połączone prętami... to działa! Wirujący w wieczności, przekreśl od

dołu górną część w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Nie zakłócaj jego biegu. Upewnij się, że łańcuch wisiora nie zaplątał się. Tak, teraz jest dobrze. Chwyć mocno koniec i początek. Trzymaj dyski z obu końców. Obróć je wspak do siebie, właśnie tak. Wszystko, co jest luźne, utrwali się. Łańcuch zwinie się do wnętrza! czyż to nie cudowne? Działa! Teraz! Przeznaczenie będzie nad twą głową. Trzymam je nad głową i... Zaczekaj! Coś jest nie tak! Nie sądzę, aby to się miało zdarzyć...

Małutki, wysadzany klejnotami fragment wypadł z urządzenia, uderzając Tasa w nos. Potem następny i następny, aż zrozpaczonego kendera zalał deszcz wykładanych drogimi kamieniami fragmentów.

– Co to? – Tas spojrział z obłędem w oku na urządzenie, które trzymał nad głową. Rozpaczliwie pokręcił znów oboma końcami. Tym razem deszcz wysadzanych klejnotami elementów stał się prawdziwą ulewą i spadał na posadzkę z dzwiecznym brzękiem przypominającym odgłos dzwoneczków.

Tasslehoff nie sądził, by tak powinno się dziać. Mimo wszystko, nigdy nic nie wiadomo, szczególnie jeśli chodzi o zabawki czarodziejów. Wpatrywał się w urządzenie, wstrzymując oddech i czekając na światło...

Nagle ziemia skoczyła mu pod nogami i wyrzuciła go za kotary, tak że padł jak długi u stóp króla-kapłana. Ten jednakże nawet nie dostrzegł pobielałego jak ściana kendera. Król-kapłan rozglądał się i patrzył z obojętną ciekawością na falujące zasłony i drobne pęknięcia, których sieć nagle przecięła marmurowy ołtarz. Uśmiechając się do siebie, jakby utwierdzony w przekonaniu, że to znak zgody bogów, król-kapłan odwrócił się od rozsypującego się ołtarza i wyszedł główną nawą obok drżących ław.

– Nie! – jęknął Tas, potrząsając urządzeniem. W tym momencie rurki łączące oba końce berła rozpadły mu się w dłoniach. Łańcuch prześlizgnął mu się przez palce. Drżąc niemal tak samo jak podłoga, na której leżał, Tasslehoff wstał z trudem. W rękę trzymał kawałki popsutego magicznego urządzenia.

– Co ja zrobiłem? – lamentował Tas. – Postąpiłem zgodnie z poleceniami Raistlina, jestem tego pewien! Ja...

I nagle kender zrozumiał. Łzy sprawiły, że błyszczące, potrzaskane kawałeczki rozmyły mu się w oczach. – On był dla mnie taki miły – wymamrotał Tas. – Kazał mi bez końca powtarzać instrukcje – żeby się upewnić, że je dobrze zapamiętasz, tak powiedział. – Tas mocno zacisnął powieki i bardzo pragnął, żeby po ich otwarciu okazało się, że to był zły sen.

Ale kiedy je otworzył, nie było tak.

– Dobrze wszystko zapamiętałem. On chciał, żebym je popsuł! – szepnął Tas i zadrżał. – Dlaczego? Żebyśmy tu wszyscy utknęli? Żeby zostawić nas tu na śmierć? Nie! Jemu jest potrzebna Crysania, tak oni twierdzili, ci magowie w Wieży. – Właśnie! – Tas odwrócił się

raptownie. Crysanio!

Kapłanka jednakże nie słyszała go ani nie widziała. Klęczała i patrzyła wprost, niewzruszona, nawet gdy ziemia zatrzęsała się pod jej kolanami. Szare oczy Crysanii jarzyły się niesamowitym, wewnętrznym blaskiem. Jej dłonie, wciąż złożone jak do modlitwy, były ściśnięte tak mocno, że palce zrobiły się sinoczerwone, a kostki zbieleły.

Poruszała wargami. Czyżby się modliła?

Chowając się pośpiesznie za kotarami, Tas szybko pozbierał wszystkie drobne klejnociki urządzenia, podniósł łańcuch, który niemal zsunął się do szpary w podłodze, a potem upchnął wszystko w jednej sakiewce, którą starannie zamknął. Spojrzawszy ostatni raz na posadzkę, wysunął się ostrożnie do Świętej Komnaty.

– Crysanio – szepnął. Bardzo nie chciał przerywać jej modłów, lecz sprawa była zbyt ważna.

– Crysanio? – powiedział, podchodząc i stając naprzeciwko niej, jasne było bowiem, że kapłanka nie zdaje sobie sprawy z jego obecności.

Obserwując jej wargi, odczytał nie wypowiedziane słowa.

– Wiem – mówiła. – Znam jego błąd! Być może mnie bogowie dadzą to, czego jemu odmówili!

Zaczerpnawszy tchu, spuszczała głowę. – Paladine, dziękuję ci! Dziękuję! – Tas usłyszał jej zarliwe słowa. Potem szybko wstała. Rozejrzała się dookoła, z pewnym zdziwieniem patrząc na przedmioty w komnacie, które poruszały się w zabójczym tańcu i nie widzącym spojrzeniem musnęła kendera.

– Crysanio! – bełkotał Tas, tym razem łapiąc ją za białe szaty. – Crysanio, ja je popsuję! Naszą jedyną drogę powrotu! Kiedyś stłukłem smoczą kulę. Ale zrobiłem to celowo! Tego nigdy nie zamierzałem popsuć. Biedny Caramon! Musisz mi pomóc! Chodź ze mną, porozmawiaj z Raistlinem, każ mu je naprawić!

Kapłanka spojrzała na TassJehoffa pustym spojrzeniem, jakby był kimś obcym, kto zaczepiają na ulicy. – Raistlin? – szepnęła, łagodnie, lecz stanowczo odsuwając dłonie kendera od swych szat. – Oczywiście! Próbował mi powiedzieć, lecz ja nie chciałam słuchać. Teraz wiem, teraz znam prawdę!

Odpychając Tasa od siebie, Crysania zebrała poły swej powiewnej, białej szaty, wybiegła spomiędzy ław i pomknęła główną nawą, nie oglądając się ani razu wstecz, gdy świątynia zatrzęsała się w posadach.

Dopiero kiedy Caramon zaczął wchodzić po schodach wiodących na arenę, Raag zdjął okowy z nadgarstków gladiatora. Ruszając palcami i krzywiąc się, Caramon poszedł w ślad za Kiiri, Pheragasem i Czerwonym Minotaurem na środek areny. Widownia krzyczała radośnie. Caramon zajął miejsce pomiędzy Kiiri i Pheragasem i z niepokojem spojrzał w niebo. Było już po godzinie Wysokiej Straży i słońce powoli zaczęło się zniżać.

Istar nie będzie żyć dość długo, by ujrzeć zachód słońca.

Rozmyślając o tym, że on również nie zobaczy, jak czerwone promienie słońca padają na mury, roztopiają się w mo – rzu i rozświetlają czubki drzew vallen, Caramon poczuł szczypanie łez. Płakał nie tyle nad sobą, co nad tymi dwojgiem stojącymi obok niego, którzy muszą dziś umrzeć i nad wszystkimi niewinnymi ludźmi, którzy zginą, nie wiedząc, dlaczego.

Płakał również nad swym bratem, którego kochał, lecz który umarł dawno temu.

– Kiiri, Pheragasie – rzekł Caramon ściszoneg głosem, gdy Czerwony Minotaur wyszedł naprzód, by się skłonić – nie wiem, co powiedział wam mag, ale ja was nigdy nie zdradziłem.

Kiiri nie chciała nawet spojrzeć na niego. Zobaczył, jak wykrzywiła wargi. Pheragas zerknął na niego kątem oka, dostrzegł łzy na twarzy Caramona i zawahał się, marszcząc brwi, nim również się odwrócił.

– To naprawdę nie ma znaczenia – ciągnął Caramon – czy uwierzycie mi, czy nie. Możecie pozabijać się o ten klucz, jeśli chcecie, bo ja znajdę wolność w swój sposób. Teraz Kiiri spojrzała na niego z niedowierzaniem. Tłum zerwał się i wołał minotaura, który obchodził arenę, wymachując trójzębem.

– Oszalałeś! – szepnęła najgłośniejsz, jak miała odwagę. Jej spojrzenie powędrowało znacząco ku Raagowi. Jak zwykle, wielkie, przysadziste ciało ogra zasłaniało jedyne wyjście.

Niewzruszony Caramon nie uległ.

– Nasza broń jest prawdziwa, mój przyjacielu – rzekł szorstko Pheragas. – Twoja nie!

Caramon skinął głową, lecz nie odpowiedział.

– Nie rób tego! – Kiiri przysunęła się bliżej. – Pomożemy ci udawać na arenie. Chyba tak naprawdę żadne z nas nie uwierzyło temu w czarnych szatach. Musisz przyznać, że to osobliwe – to twoje namawianie nas do opuszczenia miasta! Myśleliśmy, że chcesz zagarnąć całą nagrodę dla siebie. Posłuchaj, na początku walki udaj, że jesteś ranny. Niech cię wyniosą. Pomożemy ci uciec dziś w nocy...

– Nie będzie dzisiejszej nocy – powiedział cicho Caramon. – Ani dla mnie, ani dla nikogo z nas. Nie mam wiele czasu. Nie mogę nic wyjaśnić. Proszę tylko o jedno: nie próbujcie mnie zatrzymać.

Pheragas zaczerpnął tchu, lecz słowa zamarły mu na wargach, gdy kolejny wstrząs, tym razem silniejszy, targnął ziemią.

Teraz wszyscy to zauważyli. Arena zachwiała się, mosty nad jamami śmierci zaskrzypiały, podłoga uniosła się na słupach i opadła, niemal przewracając Czerwonego Minotaura. Kiiri przytrzymała się Caramona. Pheragas zapał się jak żeglarz na pokładzie kołyszącego się okrętu. Tłum nagle zamilkł, gdy trybuny zadrżały. Ktoś usłyszał trzask drewna i wrzasnął. Kilka osób zerwało się na nogi. Drżenia jednakże ustąpiły równie szybko, jak się zaczęły.

Zrobiło się cicho, zbyt cicho. Caramon poczuł, jak włosy stają mu dęba na karku



i przechodzą go ciarki. Nie śpiewał żaden ptak, nie zaszczekał żaden pies. Tłum milczał i czekał, przerażony. Muszę się stąd wydostać! postanowił Caramon. Jego przyjaciele już się nie liczyli, nic nie było ważne. Miał tylko jeden cel: powstrzymać Raistlina.

I musi działać natychmiast, zanim nastąpi kolejny wstrząs i nim ludzie otrząsną się z tego. Rozejrzawszy się szybko, Caramon dostrzegł Raaga stojącego w pobliżu wyjścia. Żółta, cętkowana twarz ogra była zmarszczona w grymasie zdumienia, a jego umysł starał się zrozumieć, co się dzieje. Nagle pojawił się Arack, prawdopodobnie żywiący nadzieję, że nie będzie zmuszony zwrócić widzom pieniędzy. Tłum zaczął się uspokajać, choć wielu rozglądało się niepewnie.

Caramon zaczerpnął głęboko tchu, a potem pochwycił Kiiri w ramiona i zamachnął się z całej siły, ciskając zaskoczona kobietą prosto w Pheragasa, tak że oboje przewrócili się na ziemię.

Kiedy Caramon zobaczył, że upadli, odwrócił się gwałtownie i swym masywnym ciałem runął prosto na ogra, z całą siłą zdobytą podczas miesięcy treningu wbijając bark w brzuch Raaga. Był to cios, który zabiłby człowieka, lecz ogrowi jedynie na chwilę zabrakło tchu. Impet uderzenia Caramona pchnął ich obu do tyłu, na ścianę.

Póki Raag nie mógł złapać tchu, Caramon rozpaczliwie starał się wyrwać ogrowi potężną maczugę. Jednakże w chwili, gdy wyszarpnął ją z uścisku Raaga, ogr wrócił do siebie. Rycząc z gniewu, obiema masywnymi rękoma wymierzył Caramonowi cios od dołu w podbródek. Od tego uderzenia olbrzymi wojownik poleciał z powrotem na arenę.

Caramon przez chwilę nie widział niczego, prócz nieba i areny wirującej bez przerwy wokół niego. Mimo iż był oszołomiony, jego instykt wojownika wziął górę. Zauważywszy jakiś ruch z lewej strony, Caramon przetoczył się na bok w chwili, gdy trójząb minotaura spadł w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą było jego ramię z mieczem. Słyszał, jak minotaur warczy i ryczy w zwierzęcej furii.

Caramon z trudem wstał i potrząsnął głową, by mu się w niej przejaśniło. Wiedział, że nie ma szansy na uniknięcie następnego ataku minotaura. Wtedy czarne ciało znalazło się pomiędzy nim a Czerwonym Minotaurem. Błysnęła stal, gdy miecz Pheragasa zablokował cios trójzębu, który zabiłby Caramona. Zataczający się Caramon cofnął się, by zaczerpnąć tchu i poczuł, jak chłodne dłonie Kiiri pomagają mu ustać na nogach.

– Nic ci nie jest? – mruknęła.

– Broń! – zdołał wysapać Caramon, któremu wciąż dzwoniło w głowie od uderzenia minotaura.

– Weź moją – powiedziała Kiiri, wtykając Caramonowi w dłoń swój krótki miecz. – Odpocznij trochę. Ja zajmę się Raagiem.

Szalejący z wściekłości i podniecenia walką ogr pędził ku nim z szeroko otwartą, zaślinioną

paszczą.

– Nie! Ty potrzebujesz... – zaczął protestować Caramon, lecz Kiiri tylko pokazała zęby w uśmiechu.

– Patrz! – powiedziała, po czym wymówiła dziwne słowa, które przypominały Caramonowi język magii. Miały jednakże ledwo wyczuwalny elfi akcent.

Wtem niespodzianie Kiiri znikła. Na jej miejscu stała gigantyczna niedźwiedzica. Caramon jęknął, nie mogąc przez chwilę pojąć, co się zdarzyło. Potem przypomniał sobie Kiiri była siriną obdarzoną mocą zmiany swej postaci!

Stanąwszy na tylnych łapach, niedźwiedzica górowała nad ogromnym ogrem. Raag zatrzymał się i wytrzeszczył oczy z niepokojem na ten widok. Kiiri ryknęła wściekle i pokazała ostre zęby. Słońce zaśniło na jej pazurach, gdy zamachnęła się olbrzymią łapą i trafiła Raaga w plamistą twarz.

Ogr zawył z bólu. Strużki żółtawej krwi pociekły z ran po pazurach, a jedno oko znikło w krwawej masie. Niedźwiedzica rzuciła się na ogra. Przyglądający się temu z zatrwożonym podziwem Caramon widział tylko żółtą skórę, krew i brązowe futro.

Tłum, choć z początku krzyczał radośnie, nagle uświadomił sobie, że ta walka nie jest udawana. To działo się naprawdę. Na chwilę zapadła cisza, a potem – tu i tam – ktoś zaczął wiwatować. Wkrótce oklaski i dzikie krzyki były ogłuszające.

Caramon jednak szybko zapomniał o ludziach na trybunach. Zobaczył swą szansę. Tylko krasnolud blokował wyjście, a twarz Aracka wykrzywił grymas gniewu i strachu. Caramon z łatwością może go wyminąć...

W tym momencie usłyszał pomruk zadowolenia minotaura. Odwróciwszy się, Caramon dostrzegł, że Pheragas zgiął się wpół z bólu, został bowiem uderzony trzonkiem trójzębu w splot słoneczny. Minotaur odwrócił oręż i wzniósł do zadania śmiertelnego ciosu, lecz Caramon głośno krzyknął, odwracając uwagę minotaura na dość długo, by wytrącić go z rytmu.

Czerwony Minotaur odwrócił się, by stawić czoło nowemu wyzwaniu. Z uśmiechem na porośniętej rudym futrem twarzy minotaur zobaczył, że Caramon jest uzbrojony tylko w krótki miecz. Rzucając się na Caramona, minotaur pragnął szybko zakończyć walkę. Caramon jednakże zręcznie uskoczył. Uniósł nogę i kopnięciem strzaskął minotaurowi rzepkę kolanową. Był to bolesny, okaleczający cios, od którego minotaur zwałił się na ziemię.

Wiedząc, że wróg jest wykluczony na co najmniej kilka chwil, Caramon podbiegł do Pheragasa. Czarnoskóry mężczyzna nadal skulony trzymał się za brzuch.

– Daj spokój – mruknął Caramon, otaczając go ramieniem. – Widywałem już, jak obrywałeś, po czym wstawiałeś i zjadałeś obiad z pięciu dań. Co ci jest?

Nie było odpowiedzi. Caramon poczuł, że ciało mężczyzny drży konwulsyjnie i zobaczył, że jego czarna skóra lśni od potu. Wtedy Caramon zauważył trzy krwawiące skaleczenia, jakie

zostawił trójzab na ramieniu mężczyzny.

Pheragas spojrzął na przyjaciela. Widząc przerażenie Caramona, zdał sobie sprawę, że ten wie. Dygocząc z bólu spowodowanego trucizną, która krążyła w jego żyłach, Pheragas osunął się na kolana. Caramon objął go krzepkimi ranu'nami.

– Weź... mój miecz – wykrztusił Pheragas. – Szybko, głupcze! – Minotaur znów był na nogach, Caramon zawahał się jedynie przez chwilę, a potem wyjął wielki miecz z drżącej dłoni Pheragasa.

Pheragas przewrócił się, zwijając się z bólu.

Caramon ścisnął w rękę miecz i oślepiony łzami, wstał, by szybko sparować nagłe pchnięcie Czerwonego Minotaura. Choć minotaur kulał na jedną nogę, był tak silny, że bez trudu nadrabiał uszczerbek sprawności spowodowany bolesnym okaleczeniem. Do tego minotaur wiedział, że aby zabić, wystarczy drasnąć ofiarę, Caramon natomiast musi znaleźć się w zasięgu jego trójzaba, by użyć swego miecza.

Powoli podkradali się do siebie, bez końca zataczając kręgi. Caramon nie słyszał widowni, która tupiała, gwizdała i wiwatowała jak szalona na widok prawdziwej krwi. Nie myślał już o ucieczce, nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, gdzie się znajduje. Górę wziął jego instynkt wojownika. Wiedział jedno. Musi zabić.

A zatem czekał. Pheragas nauczył go, że minotaurzy mieli poważną wadę. Uważając się za lepszych od wszystkich innych ras, z reguły nie doceniali przeciwnika. Popełniali błędy, jeśli się odczekało wystarczająco długo. Czerwony Minotaur nie był wyjątkiem. Myśli minotaura nie stanowiły tajemnicy dla Caramona – ból i gniew, wściekłość, pragnienie zakończenia życia tej tępej, mizernej istoty ludzkiej.

Obaj zbliżyli się do miejsca, gdzie Kiiri wciąż zaciekle walczyła z Raagiem. Nagle, pozornie zajęty przyglądaniem się Kiiri, Caramon poślizgnął się w kałuży żółtej krwi. Czerwony Minotaur z radosnym rykiem skoczył naprzód, by nadziać ciało człowieka na swój trójzab.

Jednakże poślizgnięcie było udawane. Miecz Caramona błysnął w słońcu. Kiedy minotaur dostrzegł, że został oszukany, starał się zatrzymać swój wypad. Zapomniał jednakże o okaleczonym kolanie. Nie utrzymało jego ciężaru i Czerwony Minotaur zwałił się na arenę, a miecz Caramona rozłupał zwierzęcy łeb.

Wyszarpując swój oręż, Caramon usłyszał straszliwe warczenie za swymi plecami. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak ogromna niedźwiedzica zwiera szczęki na wielkim karku Raaga. Jednym szarpnięciem łba, Kiiri wgrzyła się w tętnicę szyjną ogra, który nawet nie krzyknął.

Caramon chciał pobiec do nich, gdy dostrzegł ruch z prawej strony. Odwrócił się szybko, wszystkimi zmysłami wyczuwając niepokój, gdy obok niego przemknął Arack. Twarz krasnoluda była obrazem żalu i wściekłości. Caramon dostrzegł błysk sztyletu w dłoni krasnoluda

i rzucił się naprzód, lecz było za późno. Nie mógł zatrzymać ostrza, które zagłębiło się w klatce piersiowej niedźwiedzicy. Na rękę krasnoluda natychmiast chlusnęła ciepła krew. Wielka niedźwiedzica ryknęła z bólu i złości. Machnęła olbrzymią łapą. Pochwyciwszy krasnoluda, Kiiri uniosła Aracka resztkami sił i cisnęła nim. Ciało krasnoluda uderzyło o Iglicę Wolności, gdzie wisiał złoty klucz, i nadziało się na jeden z niezliczonych ozdobnych kolców. Krasnolud wrzasnął przeraża – jęco, a cała wieżyczka zawałowała się i spadła z rumorem do płonących jam pod areną.

Kiiri upadła, brocząc krwią z rany na piersi. Tłum oszalał, wykrzykując imię Caramona. Ogromny mężczyzna nie słyszał. Nachylił się i wziął Kiiri w ramiona. Czarodziejskie zaklęcie, które utkała, rozwiało się. Niedźwiedzica znikła, a on przygarniał blisko do siebie Kiiri.

– Zwyciężyłaś – szepnął Caramon. – Jesteś wolna. Kiiri spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Potem życie z niej uciekło. Martwe spojrzenie jej oczu utkwiło w nieboskłonie, nieomal – jak się wydawało Caramonowi wyczekująco, jakby teraz wiedziała, co się zbliża.

Łagodnie położywszy jej ciało na przesiąkniętej krwią arenie, Caramon wstał. Zobaczył zwłoki Pheragasa zastygłe w ostatnim, pełnym udręki skurczu. Zobaczył nie widzące, rozwarłe oczy Kiiri.

– Odpowiesz za to, mój bracie – rzekł cicho Caramon.

Za nim rozległ się jakiś dźwięk, szmer przypominający gniewny ryk morza przed sztormem. Caramon zawzięcie ścisnął miecz, gotów stawić czoło każdemu wrogowi. Jednakże nie zastał tam wroga, jedynie pozostałych gladiatorów. Na widok zakrwawionej twarzy Caramona, jeden po drugim ustępowali mu z drogi.

Spojrząwszy na nich, Caramon uświadomił sobie, że wreszcie odzyskał wolność. Wolność, by odszukać brata, wolność, by położyć raz na zawsze kres złu. Czuł, jak jego dusza wznosi się, a śmierć nie ma dla niego znaczenia i nie budzi strachu. W nozdrzach miał zapach krwi i słodkiego szaleństwa bitwy.

Dysząc żądzą zemsty, Caramon podbiegł do obrzeża areny, gotów zejść po schodach wiodących do tunelów pod nią, gdy pierwsze z trzęsień ziemi zburzyło skazane na zagładę miasto Istar.

## ***Rozdział XVIII***

Crysania nie widziała ani nie słyszała Tasa. Jej umysł oślepiały niezliczone kolory wirujące w jego głębi, migoczące jak cudowne klejnoty, nagle bowiem zrozumiała. Dlatego Paladine sprowadził ją tutaj – nie po to, by oczyściła pamięć króla-kapłana, lecz by uczyła się na jego błędach. I wiedziała, wiedziała w głębi duszy, że rzeczywiście nauczyła się. Mogła wezwać bogów, a oni odpowiedzą – nie gniewem, lecz potęgą! Zimny chłód w jej wnętrzu pękł i uwolniona istota wyskoczyła ze swej skorupy prosto w słoneczny blask.

Oczami wyobraźni widziała siebie jedną ręką trzymającą wysoko medalion Paladine'a, którego platyna błyszczała w słońcu. Drugą ręką wzywała legiony wyznawców, którzy tłoczyli się wokół niej z pełnymi podziwu i zachwytu minami, podczas gdy ona wiodła ich ku krainom niewyobrażalnego piękna.

Wiedziała, że nie ma jeszcze klucza do otworzenia drzwi. Nie mogło to wydarzyć się tutaj, gniew bogów był zbyt wielki, by zdołała go pokonać. Gdzie jednak znaleźć klucz, gdzie szukać drzwi? Od tańczących kolorów zakręciło jej się w głowie, nic nie widziała ani nie mogła myśleć. Wtedy usłyszała cichy głos i poczuła dłonie chwytające ją za szaty.

– Raistlin... – usłyszała swój głos, ale reszta słów przepadła. Jednakże nagle przejaśniło jej się w głowie. Kolory i światło znikły, została sama w ciemności, która budziła spokój i koła jej duszę.

– Raistlin – szepnęła. – On próbował mi powiedzieć...

Ręce nadal czepiały się jej szat. W roztargnieniu odsunęła się. Raistlin zaprowadzi ją do portalu, pomoże jej znaleźć klucz. Zło obraca się przeciwko sobie, powiedział Elistan. Raistlin nieświadomie pomoże jej. Dusza Crysanii zaśpiewała radosny hymn na cześć Paladine'a. Kiedy wrócę w chwale, kiedy całe zło na świecie zostanie pokonane, wtedy Raistlin ujrzy moją potęgę, zrozumie i zacznie wierzyć.

– Crysanio!

Ziemia zatrzęsała się pod stopami Crysanii, lecz ona tego nie zauważyła. Usłyszała jakiś głos wołający ją po imieniu, cichy głos przerywany kaszlem.

– Crysanio! – Znów się odezwał. – Nie ma czasu. Pośpiesz się!

Głos Raistlina! Rozglądając się z niepokojem, Crysania szukała go, lecz nikogo nie zobaczyła. Wtedy zdała sobie sprawę, że przemawia do jej myśli i prowadzi ją. – Raistlinie – wyszeptała – słyszę cię. Nadchodzę.

Odwróciła się i pobiegła nawą, a potem wybiegła ze świątyni. Była głucha na wołanie kendera za jej plecami.

– Raistlin? – rzekł zdumiony Tas, rozglądając się dokoła. Wtedy zrozumiał. Crysania idzie

do Raistlina! Jakimś magicznym sposobem wołał ją, a ona miała zamiar go odnaleźć! Tasslehoff wyskoczył na korytarz świątyni za Crysania. Ona na pewno nakłoni Raistlina do naprawienia tego urządzenia...

Kiedy Tas znalazł się na korytarzu, rozejrzył się w obie strony i dostrzegł Crysanię. Jednak serce mu niemal wyskoczyło na podłogę – biegła tak szybko, że dotarła niemal do końca korytarza.

Upewniwszy się, iż popsute elementy urządzenia są bezpieczne w sakiewce, Tas pobiegł za Crysanią, nie spuszczać z oczu jej łopoczących, białych szat.

Nie trwało to długo. Kobieta natychmiast znikła za rogiem.

Kender biegł tak, jak jeszcze nigdy, nawet wtedy, gdy ścigały go wymaginowane straszdyła z zagajnika Shoikan. Jego kitka powiewała za nim, a z podskakujących szaleńczo sakiewek sypała się ich zawartość, zostawiając połyskujący szlak pierścionków, bransoletek i błyskotek.

Trzymając mocno w garści miszek z magicznym urządzeniem, Tas dotarł do końca korytarza i wykonał zakręt z poślizgiem, z rozpędu zderzając się z przeciwległą ścianą. Och, nie! Serce już nie tylko łomotało mu w piersi, ale wręcz wyskoczyło i z hukiem wylądowało u jego stóp. Z irytacją życzył sobie, aby jego serce siedziało w jednym miejscu. Od tych jego podskoków zaczynało go mdlić.

Wokół było pełno kapłanów, a wszyscy byli odziani w białe szaty! Jak miał zauważyć Crysanię? Wtem dostrzegł ją, mniej więcej w połowie korytarza. Jej czarne włosy błyszcząły w blasku pochodni. Zobaczył też, że wzburzeni kapłani krzyczeli i wściekle patrzyli na oddalającą się biegiem kobietę.

Tas rzucił się do pościgu, znów odzyskawszy nadzieję. Crysanią musiała zwolnić szaleńcze tempo z powodu tłumu w świątyni. Kender przemknął obok, ignorując okrzyki i uskakując z zasięgu chwytających go rąk. – Crysanio! – wołał rozpaczliwie.

Tłum kapłanów na korytarzu gęstniał, wszyscy bowiem śpieszyli na zewnątrz. Zastanawiali się, co to za dziwne wstrząsy ziemi, i starali się domyślić, cóż to mogło oznaczać.

Tas zobaczył, że Crysanią przepychała się przez tłum.

Właśnie zza rogu wyszedł Quarath, wołając króla-kapłana. Nie patrząc, dokąd biegnie, Crysania wpadła wprost na niego, a on ją zatrzymał.

– Zatrzymaj się! Moja droga! – krzyknął Quarath, potrząsając nią w przekonaniu, iż wpadła w histerię. – Opanuj się!

– Puść mnie! – Crysania wrywała się z jego rąk.

– Ona oszalała z przerażenia! Pomóżcie mi ją przytrzymać! – zawołał Quarath do kilku kapłanów stojących w pobliżu.

Do Tasa nagle dotarło to, że Crysania rzeczywiście wyglądała na obłąkaną. Teraz, kiedy się zbliżył, zobaczył jej twarz. Jej czarne włosy były zmierzwiłone, oczy miały barwę bardzo, bardzo

ciemnej szarości, burzowych chmur. Zaczerwieniona z wysiłku Crysania zdawała się nie słyszeć niczego i żaden głos nie docierał do jej świadomości, może z wyjątkiem jednego.

Na polecenie Cjuaratha kapłani pochwycili Crysanie. Wrzeszcząc niezrozumiale, Crysania walczyła z nimi. Rozpacz dodała jej sił i była już bliska ucieczki. Jej białe szaty pękały im w rękach, gdy próbowali ją przytrzymać. Tasowi wydało się, że widzi krew na obliczu wielu kapłanów. Podbiegając, miał zamiar skoczyć na plecy najbliższemu kapłanowi i grzmotnąć go w głowę, gdy oślepiło go jaskrawe światło, które zatrzymało wszystkich – nawet Crysanie.

Nikt się nie poruszył. Przez chwilę Tas słyszał jedynie sapanie zadyszanej Crysanii i ciężki oddech tych, którzy starali się ją zatrzymać. Potem odezwał się głos.

– Bogowie nadchodzą – rzekł melodyjny głos ze środka jasności – na me wezwanie...

Ziemia pod stopami Tasslehoffa podskoczyła wysoko, podrzucając kendera niczym piórko. Kiedy Tas leciał w górę, ziemia zapadała się, a następnie podniosła się na jego spotkanie, gdy zaczął spadać. Kender uderzył w podłogę z impetem, a zderzenie pozbawiło oddechu jego małe ciało.

W powietrze strzelił kurz, szkło i drzazgi, rozległy się wrzaski, krzyki i łoskoty. Tas był w stanie jedynie próbować złapać oddech. Leżąc na marmurowej posadzce, która skakała, kołysała się i trzęsa pod nim, przyglądał się ze zdumieniem, jak pękają i walą się kolumny, trzaskają mury i giną ludzie.

Świątynia Istar rozpadała się.

Czołgając się na czworakach, Tas rozpaczliwie starał się nie tracić z oczu Crysanii. Do niej zdawało się nie docierać to, co działo się wokół. Ci, którzy ją trzymali, wypuścili ją przerażeni, a Crysania, wciąż słysząc jedynie głos Raistlina, znów ruszyła przed siebie. Tas krzyknął, Quarath skoczył ku niej, lecz w chwili, gdy kapłan podbiegał, olbrzymia marmurowa kolumna w pobliżu zachwiała się i runęła.

Tas wstrzymał oddech. Przez chwilę nic nie widział, a potem marmurowy pył osiadł. Z Quaratha została tylko krwawa plama na podłodze. Crysania, najwyraźniej cała i zdrowa, stała i spoglądała oszołomionym wzrokiem na elfa, którego krew zachlapała jej szaty.

– Crysanio! – krzyknął ochryple Tasslehoff. Ona jednak nie słyszała go. Odwróciła się i chwiejnym krokiem biegła przez rumowisko, nie widząc i nie słysząc niczego, prócz głosu, który wołał ją jeszcze bardziej ponagłajaco.

Z trudem stając na nogi, cały obolały i posiniaczony, Tas pobiegł za nią. Zbliżywszy się do końca korytarza, zobaczył, że Crysania skręca w prawo i zbiega po schodach. Przed pójściem w jej ślady Tas zaryzykował i obejrzał się szybko za siebie, skłoniony do tego straszną ciekawością.

Jaskrawe światło wciąż wypełniało korytarz, oświetlając ciała zabitych i umierających. W murach świątyni ziały szczeliny, sklepienie ugięło się, powietrze pełne było duszącego

kurzu. A z wnętrza tego blasku Tas wciąż słyszał d(‘biegający głos, który teraz brzmiał zgrzytliwie, ostro i fałszywie.

– Bogowie nadchodzą...

Za murami wielkiej areny w Istar Caramon przedzierał się przez ulice śmierci. Podobnie jak Crysania, on również słyszał w umyśle głos Raistlina. Caramon słyszał go tak, jak słyszał go w łonie ich matki, jak głos swego bliźniaczego brata, zew wspólnej krwi.

Caramon nie zważał na krzyki konających ani błagania o pomoc tych, którzy byli uwięzieni pod gruzami. Nie zwracał uwagi na to, co działo się wokół niego. Budynki waliły się, kamienie sypały się na ulice, ledwo mijając go. Jego ramiona i tors wkrótce zaczęły krwawić od małych, poszarpanych rozcięć. Nogi miał pokaleczone w setkach miejsc.

Nie zatrzymywał się jednak. Nie czuł nawet bólu. Wspinając się po gruzach, podnosząc olbrzymie belki i odrzucając je z drogi, Caramon powoli brnął przez umierające ulice Istar do świątyni, która błyszczała w słońcu. W ręce trzymał zakrwawiony miecz.

Tasslehoff szedł za Crysania w dół i w dół, do samego wnętrza ziemi – tak przynajmniej wydawało się kenderowi. Nie wiedział nawet, że takie miejsca istnieją w świątyni i zastanawiał się, jak to możliwe, że przegapił wszystkie te ukryte schody podczas swoich wędrówek. Zastanawiał się również, skąd Crysania dowiedziała się o ich istnieniu. Przechodziła przez tajne drzwi, niewidoczne nawet dla kenderskich oczu Tasa.

Trzęsienie ziemi ustało, świątynia wzdrygnęła się jeszcze raz na wylężnione wspomnienie, po czym zadrżała i ponownie znieruchomiała. Na zewnątrz był zamęt i śmierć, lecz wewnątrz panowała cisza i spokój. Tas odniósł wrażenie, że cały świat wstrzymuje oddech i czeka...

Tu na dole – gdziekolwiek byłoby to tu – Tas nie zauważał wiele zniszczeń, być może dlatego, że było to tak głęboko pod ziemią. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu, tak że trudno było oddychać, a czasami w ścianie pojawiała się rysa albo pochodnia spadała na ziemię. Większość jednak pochodni tkwiła w uchwytych na ścianach i wciąż rzucała upiorny blask w tym pyle.

Crysania nie zatrzymywała się ani nie wahała i pewnie sunęła przed siebie, choć Tas szybko stracił poczucie kierunku i tego, gdzie się znajduje. Dotrzymywał jej kroku, lecz coraz bardziej zmęczony, miał nadzieję, że wkrótce dotrą tam, gdzie mają dotrzeć. Żebra bolały go niemiłosiernie. Każdy oddech palił go niczym ogień, a nogi sprawiały wrażenie podkutych żelazem.

Zszedł śladem Crysanii po kolejnych marmurowych schodach, zmuszając obolałe mięśnie do ruchu. Kiedy znaleźli się na dole, zmęczony Tas podniósł głowę i poczuł przyptyw otuchy. Znajdowali się w ciemnym, wąskim korytarzu, który kończył się ścianą, a nie schodami!

Tutaj paliła się tylko jedna pochodnia w uchwycie nad ocienionym wejściem.

Z radosnym okrzykiem Crysania wbiegła do środka i znikła w mroku.



– Oczywiście! – uświadomił sobie z ulgą Tas. – Laboratorium Raistlina! Musi być tu na dole.

Pośpieszył naprzód i był już bardzo blisko drzwi, gdy jakiś ogromny, ciemny kształt rzucił się na niego od tyłu i zbił go z nóg. Tas przewrócił się na podłogę, a ból żeber zaparł mu dech w piersi.

Podnosząc głowę i walcząc z bólem, w blasku pochodni kender dostrzegł błysk złotej zbroi, ostrze miecza zamigotało. Poznał opalone na brąz, muskularne ciało mężczyzny, lecz jego twarz – twarz, która powinna być mu znajoma – należała do kogoś, kogo Tas nigdy przedtem nie widział.

– Caramon? – wyszeptał, gdy mężczyzna wyminął go biegiem. Caramon jednakże nie dostrzegł go, ani nie usłyszał. Tas rozpaczliwie starał się podnieść.

Wtedy uderzyła fala powstrząsowa i ziemia uciekła Tasowi spod nóg. Zataczając się do tyłu na ścianę, usłyszał nad sobą trzask i zobaczył, że sufit się wali.

– Caramonie! – krzyknął, lecz jego głos znikł w łoskocie drewnianych belek, które uderzyły go w głowę. Tas starał się nie stracić przytomności, pomimo bólu. Jednak jego umysł, jakby uparł się, że nie chce mieć nic wspólnego z całym tym bałaganem i zgasił światła. Tasa pochłonęła ciemność.

## *Rozdział XIX*

Słyszając w myślach spokojny głos Raistlina prowadzący ją przez śmierć i zniszczenie, Crysania bez wahania wbiegła do komnaty w podziemiach świątyni. Dopiero wewnątrz powstrzymała swe pełne entuzjazmu kroki i rozejrzała się, czując bolesny uścisk w gardle.

Była ślepa na grozę rozpadającej się świątyni. Teraz spojrzała na krew na swej sukni i nie mogła sobie przypomnieć, skąd się tam wzięła. Tu jednak wszystkie przedmioty rzucały się w oczy z ogromną wyrazistością, choć laboratorium rozjaśniało tylko światełko tryskające z kryształu na czubku magicznej laski. Rozglądając się dookoła, owładnięta przemożnym wrażeniem zła Crysania nie mogła zrobić jednego kroku.

Nagle usłyszała jakiś odgłos i poczuła, że coś dotknęło jej ramienia. Odwróciła się gwałtownie i ze strachem dostrzegła uwiecznione w klatkach mroczne, bezkształtne stworzenia. Wyczuwszy jej ciepłą krew, poruszyły się w blasku laski, a jedna z ich wyciągniętych rąk dosięgnęła Crysanii, która odsunęła się i spadła na coś twardego.

Była to otwarta skrzynia, w której znajdowały się zwłoki, być może młodego mężczyzny. Skóra była jednakże napięta na kościach niczym pergamin, a usta rozwarte w upiornym, niemym krzyku. Ziemia zatrzęsała się pod stopami kapłanki, a ciało w skrzyni podskoczyło, dziko wpatrując się w nią pustymi oczodołami.

Crysania jęknęła, choć żaden dźwięk nie wydostał się z jej gardła, i oblała się zimnym potem. Zaciśnęła mocno powieki, by nie widzieć tego straszego widoku. Świat zaczął jej się wymykać i wtedy usłyszała cichy głos.

– Chodź, moja droga – rzekł głos w jej myślach. Chodź. Ze mną jesteś bezpieczna. Istoty zła Fistantilususa nie skrzywdzą cię, póki ja tu jestem.

Crysania poczuła, jak życie wraca do jej ciała. Głos Raistlina przynosił otuchę. Młodości minęły, ziemia przestała drżeć, kurz opadł. Świat pogrążył się w śmiertelnej ciszy.

Crysania z ulgą otworzyła oczy. Ujrzała Raistlina stojącego w pewnej odległości od niej i przyglądającego jej się spod kaptura błyszczącymi oczyma. Kiedy jednakże Crysania spojrzała na niego, mignęły jej kłębiące się w klatkach kształty. Wzdrygnęła się i nie spuszczała wzroku z bladej twarzy Raistlina.

– Fistantilus? – wymówiła pytanie suchymi wargami. – On to zbudował?

– Tak, to jego laboratorium – odparł chłodno Raistlin. – Stworzył je wiele lat temu. Bez wiedzy kapłanów użył swej magii, by wykopać tunele pod świątynią niczym robak, wgryzając się w litą skałę, nadając jej kształty schodów oraz tajnych wejść i rzucając na nie swe czary, tak że jedynie niewielu wiedziało o ich istnieniu.

Crysania zobaczyła, jak przez twarz Raistlina przemknął sardoniczny uśmiech, gdy mag

odwrócił się do światła.

– Pokazał je kilku osobom w ciągu tych lat. Jedynie garstce uczniów dane było poznać jego sekret. – Raistlin wzruszył ramionami. – I żaden z nich nie uszedł z życiem, aby o tym opowiedzieć. – Ściszył głos. – Lecz Fistan – dantilus popełnił błąd. Pokazał laboratorium jednemu z młodych uczniów. Wątlęmu, błyskotliwemu młodzieńcowi o ostrym języku, który wypatrzył i zapamiętał każdy zakręt tajnych korytarzy, który przestudiował każde słowo zaklęcia ujawniającego tajemne przejścia, recytując je bez końca przed snem każdej nocy, by powierzyć je swej pamięci. I oto stoimy tu, ty i ja, tymczasem bezpieczni od gniewu bogów.

Wykonując gest dłonią, wezwał Crysanię, by podeszła do wielkiego, bogato rzeźbionego, drewnianego biurka. Na blacie spoczywała oprawiona w srebro magiczna księga, którą czytał. Wokół biurka był usypany krąg ze srebrnego proszku. – Tak dobrze. Nie spuszczaaj ze mnie wzroku. Ciemność nie jest wtedy tak przerażająca, nieprawdaż?

Crysania nie potrafiła odpowiedzieć. Zdała sobie sprawę, że raz jeszcze pozwoliła mu w swej słabości wyczytać ze swych oczu więcej, niż zamierzała mu okazać. Oblała się rumieńcem i szybko odwróciła wzrok.

– B-byłam jedynie zaskoczona, to wszystko – powiedziała. Nie mogła jednak powstrzymać się od wzdrygnięcia, gdy obejrzała się na skrzynię. – Co to jest... lub raczej było? – szepnęła ze zgrozą.

– Bez wątpienia jeden z uczniów Fistantilusa odparł Raistlin. – Mag wyssał z niego siły witalne, by przedłużyć własny żywot. Było to coś, co czynił często.

Raistlin kaszlnął, oczy mu spochmurniały i pociemniały od jakichś strasznych wspomnień. Crysania dostrzegła, że przez jego zazwyczaj beznamiętną twarz przebiegł skurcz strachu i cierpienia. Zanim jednak zdołała zapytać o coś więcej, rozległ się trzask i łomot do drzwi. Mag w czarnych szatach szybko odzyskał panowanie nad sobą. Podniósł głowę i jego wzrok wyminął Crysanię.

– Ach, wejdz, mój bracie. Właśnie rozmyślałem o próbie, co oczywiście przywiodło mi ciebie na myśl.

Caramon! Crysania z ulgą odwróciła się, by powitać ogromnego mężczyznę o budzącej otuchę powierzchowności i jowialnej, dobrodusznej twarzy. Jednakże słowa powi – tania zamarły jej na wargach, pochłonięte przez ciemność, która zdała się pogłębić wraz z przybyciem wojownika.

– Mówiąc o próbach, jestem zadowolony, że przeżyłeś swoją, bracie – rzekł Raistlin, a jego sardoniczny uśmiech powrócił. – Ta pani – spojrzał na Crysanię – będzie potrzebowała ochrony. Nie potrafię wyrazić, jak wiele dla mnie znaczy fakt, że będzie nam towarzyszył ktoś, kogo znam i komu mogę zaufać.

Crysania skuliła się od tego straszliwego sarkazmu i zobaczyła, że Caramon drgnął, jakby

słowa Raistlina były drobniutkimi, zatrutymi kolcami, które wbiły się w jego ciało. Mag jednak zdawał się tego nie zauważać. Czytał księgę zaklęć, szepecząc słowa i rysując w powietrzu symbole delikatnymi dłońmi.

– Tak, przeżyłem twoją próbę – stwierdził cicho Caramon. Wchodząc do komnaty, znalazł się w świetle laski. Crysania wstrzymała oddech ze strachu.

– Raistlinie! – krzyknęła, odsuwając się od Caramona, gdy wielki mężczyzna zaczął się zbliżać z okrwawionym mieczem w dłoni. – Raistlinie, spójrz! – powiedziała Crysania, wpadając na biurko w pobliżu miejsca, gdzie stał mag i nieświadomie następując na krąg srebrnego proszku. Jego ziarenka przylgnęły do rąbka jej szaty i migotały w świetle laski.

Poirytowany czarodziej podniósł głowę.

– Przeżyłem twoją próbę – powtórzył Caramon – tak jak ty przeżyłeś swoją w Wieży. Tam złamano twe ciało. Tutaj ty złamałeś mi serce. Teraz w tym miejscu nie ma niczego, tylko zimna pustka, czarna jak twoje szaty. I podobnie jak głownia tego miecza, splamiona jest krwią. Nieszczęsny minotaur zginął od tego ostrza. Przyjaciel oddał życie za mnie, następny umarł w moich ramionach. Wysłałeś na śmierć też kendera, prawda? Ilu jeszcze zginęło dla zrealizowania twych złych zamiarów? – Głos Caramona obniżył się do morderczego szeptu. – To już koniec, mój bracie. Nikt więcej nie zginie z twojego powodu. Z wyjątkiem jednej osoby – mnie samego. To pasuje, prawda, Raist? Przyszliśmy na świat razem, razem go opuścimy.

Zrobił kolejny krok. Raistlin miał zamiar coś powiedzieć, lecz Caramon przerwał mu.

– Nie możesz użyć czarów, by mnie powstrzymać, nie tym razem. Znam zaklęcie, jakie zamierzasz rzucić. Wiem, że będzie wymagało całej twojej mocy, całego skupienia. Jeśli użyjesz choćby najdrobniejszego skrawka swej magii przeciwko mnie, nie będziesz miał dość sił, by opuścić to miejsce i mój cel zostanie osiągnięty. Jeśli nie zginiesz z mojej ręki, umrzesz z rąk bogów.

Raistlin popatrzył na brata, po czym wzruszając ramionami, odwrócił się i ponownie zaczął czytać księgę. Dopiero kiedy Caramon zrobił kolejny krok i Raistlin usłyszał zgrzyt jego złotej zbroi, poirytowany westchnął i spojrzał na swego bliźniaka. Jego oczy, które błyszczały z głębin kaptura, zdawały się jedynymi punkcikami światła w pokoju.

– Mylisz się, mój bracie – rzekł cicho Raistlin. – Zginie jeszcze jedna osoba. – Jego lustrzane spojrzenie padło na Crysanię, która w białych szatach migoczących w mroku stała pomiędzy dwoma braćmi.

Oczy Caramona złagodniały z litości, gdy on również spojrzał na Crysanię, lecz wyraz zdecydowania na jego twarzy nie uległ zmianie. – Bogowie zabiorą ją do siebie rzekł łagodnie. – Ona jest prawdziwą kapłanką. Żaden z prawdziwych kapłanów nie zginął w Katakлизmie. Dlatego Par-Salian posłał ją w przeszłość. – Wyciągnął rękę i wskazał. – Spójrz, oto tam stoi kapłan i czeka.

Crysania nie musiała się odwracać i patrzeć, wyczuła bowiem obecność Loralona.

– Idź do niego, wielbna córko – rzekł Caramon. Twoje miejsce jest w świetle, nie tutaj w ciemności.

Raistlin nic nie powiedział, nie wykonał żadnego ruchu, jedynie stał spokojnie za biurkiem ze smukłą dłonią spoczywającą na księdze czarów.

Crysania nie drgnęła. Słowa Caramona trzepotały się w jej umyśle niczym skrzydła złych stworzeń, które fruwały wokół Wieży Wielkiej Magii. Słyszała słowa, lecz nie miały dla niej żadnego sensu. Widziała tylko siebie trzymającą w dłoni błyszczące światło, wiodącą ludzi. Klucz... Portal... Widziała Raistlina, który trzymał klucz w dłoni, widziała, jak wzywają gestem. Znów poczuła palący dotyk warg Raistlina na swym czole.

Światło zamigotało i zgasło. Loralon znikł.

– Nie mogę – próbowała powiedzieć Crysania, lecz z jej ust nie wydobył się głos. Nie było takiej potrzeby. Caramon zrozumiał. Zawahał się, patrząc na nią przez długą chwilę, po czym westchnął.

– Niech więc tak będzie – rzekł chłodno Caramon, gdy on również wszedł do srebrnego kręgu. – Kolejna śmierć nie będzie miała dla żadnego z nas większego znaczenia, prawda mój bracie?

Crysania patrzyła z fascynacją na okrwawiony miecz, który lśnił w blasku laski. Wyraźnie wyobraziła sobie, jak przeszywa jej ciało, i spojrzawszy w oczy Caramonowi, dostrzegła, że on wyobraża sobie to samo i że nawet to go nie powstrzyma. Ona była dla niego niczym, istotą ludzką. Była wyłącznie przeszkodą na drodze do jego prawdziwego celu – jego brata.

Cóż za straszliwa nienawiść, pomyślała Crysania i wtedy, kiedy zajrzała głęboko w oczy, które były teraz tak blisko niej, zaświtała jej nagła myśl – coś za straszliwa miłość!

Caramon rzucił się na nią z wyciągniętą ręką, chcąc ją pochwycić i odsunąć na bok. Działając w panice, Crysania wymknęła mu się z rąk i zatoczyła do tyłu, wpadając na Raistlina, który nie uczynił gestu, by ją dotknąć. Caramon chwycił jedynie rękaw jej szaty, rozdarł go i poszarpał. Z wściekłością cisnął białą tkaninę na ziemię i teraz Crysania wiedziała, że musi umrzeć. Mimo to wciąż zasłaniała własnym ciałem jego brata.

Błysnął miecz Caramona.

Zrozpaczona Crysania ścisnęła medalion Paladine'a, który nosiła na szyi.

– Stój! – wykrzyknęła słowo rozkazu, jednocześnie zamykając oczy z przerażenia. Skuliła się, czekając na okropny ból stali rozrywającej jej ciało. Wtedy usłyszała jęk i brzęk miecza padającego na kamienie. Ogarnęła ją ulga, od której poczuła się słaba i bliska omdlenia. Szlochając, osuwała się na kolana.

Jednakże smukłe dłonie pochwyciły ją i podtrzymały, szczupłe, muskularne ramiona przygarnęły ją do piersi, a cichy głos triumfalnie wymówił jej imię. Spowijała ją ciepła czerń,

tonęła w ciepłej czerni, zapadając się coraz głębiej. Słyszała słowa szeptane jej do ucha w dziwnym języku magii.

Niczym pająki albo pieszczące dłonie, słowa pełzały po jej ciele. Nucone słowa przybrały na sile. Błysnęło srebrne światło, a potem znikło. Ramiona Raistlina otaczające Crysanię zacisnęły się w ekstazie, a ona zataczała kręgi bez końca, porwana przez tę ekstazę, wirując i oddalając się wraz z nim w głąb czerni.

Objęła go, położyła głowę na jego piersi i pogрузzyła się w tym mroku. Spadając, słyszała słowa magii mieszające się ze śpiewem swej krwi i śpiewem kamieni w świątyni.

I przez cały ten czas jedną, zgrzytliwą nutę – chrapliwy, rozdzierający serce jęk.

Tasslehoff Burrfoot usłyszał śpiew kamieni i uśmiechnął się sennie. Pamiętał, że jest myszą, która mknie przed siebie przez srebrny pył, póki śpiewają kamienie...

Tas ocknął się niespodziewanie. Leżał na zimnej, kamiennej posadzce pokrytej pyłem i gruzem. Ziemia pod nim zaczynała znów dygotać i trząść się. Tas odgadł po osobliwym i nieznanym uczuciu strachu, jakie w nim narastało, że bogowie nie żartują. Tym razem trzęsienie ziemi się nie skończy.

– Crysanio! Caramonie! – krzyknął Tas, lecz usłyszał jedynie echo swego piskliwego głosu, które wróciło do niego, odbiwszy się głucho od dygocących ścian.

Wstając z trudem na nogi i nie zważając na ból głowy, Tas zobaczył, że pochodnia wciąż paliła się nad ciemnym pokojem, do którego weszła Crysania, jedynej, jak się wydawało, części budynku, której nie tknęły konwulsyjne wstrząsy podłoża. Magia, pomyślał jak przez mgłę Tas, wchodząc do wnętrza i rozpoznając czarnoksiężskie przedmioty. Szukał śladów życia, lecz zobaczył tylko okropne stwory w klatkach, które rzucały się na drzwiczki swych cel, czując bliski kres swego udręczonego istnienia, a jednak nie chcąc rozstawać się z życiem, choćby nie wiem jak bolesnym.

Tas rozglądał się rozpaczliwie. Gdzie się wszyscy podziali? – Caramonie? – spytał nieśmiało. Nie było jednak odpowiedzi, jedynie odległe grzmoty. W słabym świetle pochodni na zewnątrz Tas dostrzegł błysk metalu na podłodze w pobliżu biurka. Chwiejnym krokiem zdołał tam dotrzeć.

Zacisnął dłoń na złotej rękojeści miecza gladiatora. Opierając się o biurko, żeby nie upaść, spoglądał na srebrną głownię pokrytą czarnymi plamami krwi. Potem podniósł jeszcze coś, co leżało na posadzce obok miecza – strzępek białego materiału. Zobaczył złoty haft przedstawiający symbol Paladine'a połyskujący matowo w świetle pochodni. Na podłodze był krąg z proszku, który niegdyś mógł być srebrem, lecz teraz był wypalony na czarno.

– Oni odeszli – rzekł Tas do zamkniętych w klatkach, bełkocących stworów. – Odeszli, a ja zostałem całkiem sam.

Nagły wstrząs przewrócił kendera na posadzkę, tak że wylądował na czworakach. Dał się

słyszeć rozzdzierający trzask i zgrzyt, tak głośny, że niemal ogłuszył Tasa i skłonił go do podniesienia głowy. Kiedy spoglądał z lękiem i podziwem na sklepienie, rozpękło się szeroko. Kamienie popękały. Fundamenty świątyni rozstały się.

I wtedy sama świątynia runęła. Mury zawaliły się, marmur rozpadł. Piętro po piętrze wybuchało niczym płatki róży rozwierającej się w świetle poranka, róży, która zwiędnie przed zmierzchem. Spojrzenie kendera śledziło tę przerażającą zagładę, aż wreszcie ujrzał, jak sama wieża świątyni pęka i wali się na ziemię z rumorem bardziej niszczycielskim niż samo trzęsienie ziemi.

Nie mogąc ruszyć się z miejsca, chroniony potężnymi, mrocznymi zaklęciami, które rzucił od dawna nieżyjący zły czarnoksiężnik, Tas stał w laboratorium Fistantilusa i spoglądał w niebiosy.

I ujrzał, jak z nieba zaczął spadać ognisty deszcz.

*Z ksiąg Astinusa*

*Iconochronos – Rzeka Czasu*

## **Chronologia wydarzeń na Krynnie.**

### **Kontynent Ansalon**

#### **Wiek Narodzin Gwiazd**

##### **(Wiek bogów)**

Najwyższy bóg kreśli pośród chaosu plany nowego początku i zapisuje je w księdze zwanej Tobril.

*Przybycie bogów.* Na wezwanie najwyższego boga przybywają z pustki inni bogowie, a pierwsza wylania się para najpotężniejszych – Paladine, bóg jasności i Takhisis, bogini ciemności.

*Stworzenie Krynnu.* Reorx uderza swym młotem w chaos i z iskieł powstają gwiazdy. Reorx tworzy glob Krynnu, rozdzielając niebiosa od ziemi i lądy od mór. Pozostali bogowie obdarzają Krynn roślinnością, zwierzętami, pogodą i porami roku.

*Stworzenie smoków.* Takhisis, Paladine i Reorx tworzą z żywiołów ziemi pięciu władców świata – pierwsze smoki. Ulegają one jednak wpływowi Królowej Ciemności i stają się złe.

*Stworzenie dobrych smoków.* Paladine i Reorx tworzą z szlachetnych metalipięć następnych smoków, w które Mishakal tchnął życie. Tak powstają dobre smoki.

*Wojna wszystkich smoków.* Knowania Takhisis prowadzą do wojny bogów, smoków i wszystkich istot światła i ciemności. Grozi powrót chaosu. Bogowie godzą się i wycofują do światła, mroku i neutralnej szarości.

*Wojna wszystkich bogów.* Wybuch kolejnego konfliktu bogów, tym razem o duchy gwiazd. Bogowie dobra pragną się nimi zaopiekować, bogowie zła zawładnąć nimi, a neutralni bogowie chcą tylko je uwolnić.

*Stworzenie równowagi.* Najwyższy bóg tworzy kosmiczną szalę równowagi. Każda rodzina



bogów może dać jeden dar duchom gwiazd, a potem ma zostawić je w spokoju. Bogowie jasności dają im materialne ciała, bogowie ciemności przeklinają je słabością i śmiertelnością, a bogowie neutralności obdarzają je wolną wolą.

*Czas narodzin.* Powstają dzieci ziemi – ogry z kamienia, elfowie z drewna i ludzie z gliny. Zimne, piękne i puste ogry zamieszkują góry, stopniowo oddając się pod władzę bogów zła. Ich wygląd zewnętrzny ostatecznie znacznie odzwierciedlać ohydę ich wnętrza. Elfowie – wysocy, dumni, wdzięczni i samotni niczym drzewa, zamieszkali w lasach, zawsze czcząc bogów dobra. Ostatni i najpospolitsi byli ludzie, nieprzewidywalni i równie zdolni do zła, jak i dobra. Zepchnięci na dzikie równiny, sami stali się dzicy i prymitywni.

### **Wiek Snów: 9000 – 5000**

#### **(Wiek Podstaw)**

8500 – 5000 PC (Pre-Cataclius – przed kataklizmem) Narodziny cywilizacji. Powstaje państwo ogrów.

8700 PC Narodziny krasnoludów. Reorx tworzy swoją umiłowaną rasę – kowali, którzy staną się przodkami krasnoludów.

6000 – 5000 PC Ludzie wyzwalają się z niewoli ogrów. Upadek ogrów.

5000 – 3000 PC Powstanie królestwa elfów.

### **Wiek Jasności: 4000 – 2000**

#### **(Wiek Elfów)**

4000 PC Powstanie dynastii Silvanosa. Pierwszy Sinthal-Elish, rada elfów, jednoczy wszystkich elfów pod władzą Silvanosa.

3500 – 3350 PC Pierwsza smocza wojna. Bogowie magii tworzą Graystone, nasycają go swym duchem i umieszczają na jednym z księżyców.

3350 PC Powstanie Silvanesti. Elfowie budują swe królestwo na wzór starożytnej i zaginionej cywilizacji ogrów.

3100 PC Uwolnienie Graystone. Na skutek podstępu złych bogów Graystone wymyka się spod kontroli. Magia wkracza na Krynn. Szalejąca swobodnie dzika magia powoduje przemiany istot – powstają elfowie morscy, kenderzy, minotaury, gnomy, gryfy, harpie i inne dziwaczne stwory.

3100-2900 PC Powstanie Kal-Thax, pierwszego królestwa krasnoludów.

2692 – 2645 PC Druga smocza wojna.

2645 – 2550 PC Stworzenie praw magii. Dzika magia rozpetana podczas wojny ze smokami groziła zniszczeniem świata. Wybudowano więc w odległych rejonach pięć bastionów magii, w których mogli schronić się wszyscy czarodzieje. Powstają Wieże Wielkiej Magii.

2600 PC Powstanie cesarstwa Ergoth, pierwszego mocarstwa ludzi.

2150-2000 PC Założenie Thorbardinu, wielkiego królestwa krasnoludów.

2192-2140 PC Wybuch bratobójczych wojen. Sithel, syn Silvanosa, przypadkowo ginie z rąk ludzi. Wybuch wojna z ludźmi. Jest to początek bratobójczych wojen, w których półelfowie zmuszeni są opowiedzieć się po którejś ze stron, często walcząc z własnymi braćmi.

2073 PC Podpisanie paktu mieczowego. Rozejm ten podpisały oba narody elfów, krasnoludy i ludzie z cesarstwa Ergoth.

2072 PC Wykucie miota Kharasa.

2050 – 2030 PC Wielki marsz. Kith-Kanan, syn Sithela, nie mogąc zgodzić się z własnym bratem, z którym toczył wojnę, postanawia wyprowadzić część elfów na zachód. Powstaje naród Qualinesti.

2000-1900 PC Wybudowanie twierdzy Pax Tharkas. Jest to wspólny wysiłek ludzi, elfów i krasnoludów, trwały pomnik pokoju.

1900-1750 PC Bunty na wschodzie. Panowanie okrutnych cesarzy w Ergoth jest przyczyną powtarzających się powstań.

1801 PC Wielkie powstanie w Vingaard. Yinas Solamnus, dowódca straży cesarskiej Ergoth,

zostaje wysłany na czele wojsk, by zgnieść kolejny bunt.

1799-1791 PC Rebelia róży i upadek Ergoth. Po zbadaniu przyczyn powstania, Solamnus uznaje zasadność buntu przeciwko uciskowi władzy cesarza i wraz z większością swych wojsk przyłącza się do rebelii.

1791 PC Wojna lodowych leż. Yinas Solamnus oblega stolicę Ergoth, Daltigoth. Cesarz wreszcie zgadza się zawrzeć pokój, dając północnym prowincjom niepodległość.

1775 PC Założenie zakonu rycerzy solamnijskich. Yinas Solamnus tworzy bractwo rycerzy, broniących dobra i prawa na świecie. Patronami trzech poszczególnych zakonów: róży, miecza i korony, są trzej bogowie dobra – Paladine, Kiri-Jolith i Habbakuk.

1750-1300 PC Narodziny narodów. Powstaje Sancrist, Solamnia i Istar. Ergoth chyli się ku upadkowi.

1060-1018 PC Trzecia smocza wojna.

1020– 1018 PC Huma – pogromca smoków. Młody rycerz solamnijski, Huma, zakochał się w srebrnej smoczycy. Natchnieni przez Paladine, razem wykuli pierwszą smoczą lancę i ruszyli do boju, w którym oboje ponieśli śmierć. Takhisis wycofała się ze świata i zabrała ze sobą wszystkie smoki.

### **Wiek Potęgi: 1000 – 0 (Wiek Fałszywego Boga)**

1100-800 PC Rozkwit i dominacja Istar.

910-460 PC Wojny z ogrami i barbarzyńskimi plemionami ludzi. Elfowie i krasnoludowie podpisują pakt mieczowy z Istar, gwarantujący wsparcie w wojnach z najeźdźcami. Solamnia po raz drugi podpisuje ów pakt, praktycznie podporządkowując się mocarstwu Istar.

280 PC Istar – centrum cywilizacji. Istar ogłasza się moralnym autorytetem świata. Powstaje urząd króla-kapłana.

260-212 PC Budowa świątyni króla-kapłana. Świątynia króla-kapłana zostaje wzniesiona, by

głosić chwałę Istar.

118 PC Ogłoszenie manifestu cnót. Król-kapłan układa surową listę przewinień, za które grozi śmierć na arenie gladiatorskiej.

80 – 20 PC Dominacja klasy kapłańskiej w Istar. Następują rządy teokratyczne. Bogowie przestają udzielać swych łask kapłanom Istar.

19 PC Oblężenie Wież Magii. Rozpoczyna się prześladowanie czarodziejów. Król-kapłan Istar wypowiada wojnę magom. Nazwana później przegraną bitwą walka kończy się zniszczeniem dwóch wież i rzuceniem przekleństwa na trzecią. Król-kapłan zajął dla siebie wieżę Istar, czarodziejom pozostała wieża Wayreth.

6 PC Edykt o kontroli myśli. Do listy wykroczeń zaczęto zaliczać niepraworządne myśli. Magowie na usługach kapłanów, czytając w myślach za pomocą czarów, wykrywali niepokornych. Nastąpiły czasy terroru.

0 Kataklyzm Król-kapłan w swej pysze sięga po władzę boską. Zagniewani bogowie zrzucają na Istar ognistą górę. Przekłętą Istar znika pod powierzchnią morza. Bogowie zabierają z Krynnu prawdziwych, wiernych im kapłanów.

### **Wiek Ciemności I-???** **(Wiek Smoków)**

1 – 300 AC (Ait-Cataclius – po kataklyzmie) Lata mroku. Kataklyzm wywołał straszliwe zmiany wyglądu Krynnu. Zmianie ulega ukształtowanie terenu i klimat. Lud zniszczonych państw staje się barbarzyński. Szaleją wojny, głód i zarazy. Prześladowani rycerze solamnijscy zmuszeni są ukrywać się.

39 AC Wojny krasnoludów. Ludzie i krasnoludowie podgórcy z Xak-Tsaroth proszą o schronienie w Thorbardinie, królestwie górskich krasnoludów. Zostają jednak brutalnie przepędzeni, co daje początek długiej wojnie i zagorzałej nienawiści między krasnoludami ze wzgórz i z gór.

141 AC Otworzenie bramy z otchłani na Krynn. Takhisis odnajduje kamień fundamentów z przeklętej świątyni w Istar i zanosi go do swojej siedziby w Nerace, gdzie wyrasta z niego mroczna wersja świątyni Istar, poświęcona Takhisis.

142-152 AC Przebudzenie smoków.

157 AC Berem znajduje zielony klejnot. Zielony klejnot stanowi część kamienia fundamentów i element niezbędny do otworzenia bramy z otchłani. Klejnot wrasta w ciało Berema, a duch zabitej przez niego siostry zamieszkuje kamień fundamentów.

210 AC Takhisis zastaje bramę zamkniętą. Królowa Ciemności odkrywa przyczynę zatrzaśnięcia bramy i rozpoczyna nieustające poszukiwania tego, kto nieświadomie zagroził jej drogę.

287 AC Kradzież jaj dobrych smoków.

296 AC Przysięga. Używając skradzionych jaj jako zakładników, Takhisis wymusza na dobrych smokach przysięgę nieingerencji w kolejną wojnę.

332 – 340 AC Mianowanie smoczych władców. Na polecenie swej królowej, złe smoki weszły w porozumienie ze złymi ludźmi i ogrami, tworząc w ten sposób smocze armie.

342 AC Stworzenie smokowców. Takhisis uczy swych kapłanów i czarnoksiężników, jak stworzyć dziesiątki złych smokowców z jednego jaja dobrego smoka.

348 AC Początek wojny lancy.

349 AC Upadek Silvanesti.

350 AC Umocnienie zła. Cały wschodni Ansalon znajduje się pod panowaniem Takhisis.

351 AC Uderzenie na zachód. Wraz z nadejściem wiosny rozpoczyna się atak na wschodnie obrzeża Solamni. Rycerze, będąc w rozsypce, nie są w stanie powstrzymać natarcia. Dopiero jesienią front się zatrzymuje. Solamnia jest oblegana, Qualinesti uciekają ze swej ojczyzny w ślad za swymi kuzynami Silvanesti. Zajęcie Równin Pyłu i miasta Tarsis odcina drogę odwrotu krasnoludom. Do końca roku niemal cały Ansalon znajduje się w cieniu smoczych skrzydeł.

352 AC Rada białego kamienia. Przedstawiciele ocalałych ras zbierają się na Sancrist i niechętnie zawierają przymierze. Wraz z nadejściem wiosny w obrońców wstępuje nowa

nadzieja – przybycie dobrych smoków pozwala w pełni wykorzystać smocze lance. Latem armie Białego Kamienia rozpoczynają szturm na wschód, odbijając Solamnię i większość zagrabionych terytoriów. Ostateczna bitwa w dolinie Neraki kończy się zniszczeniem świątyni Takhisis, a wraz z nią bramy królowej ciemności. W szeregach sił zła wybuchają walki. Wojna lancy dobiega kresu.

353 AC Koniec wojny lancy. Resztki smoczycy armii wycofują się na wschód. Wojna kończy się tymczasowym rozejmem. Smocze armie nadal okupują znaczną część południowego i wschodniego Ansalonu.

356 AC Władca przeszłości i teraźniejszości. Raistlin Majere i jego brat, Caramon, za pomocą urządzenia do podróży w czasie, wybierają się w przeszłość, by zmienić los Istar i rzucić wyzwanie samej Królowej Ciemności. Raistlin wędruje przez czas i otchłań, mając nadzieję, że pokona Królową Smoków.

357 AC Wojna Błękitnej Pani. Jedna z najpotężniejszych władczyń smoków zawiera pakt z upiorem rycerza solamnijskiego, Sotha i na czele smoczycy armii rusza na Solamnię. Obiega i pali Palanthis, lecz lord Soth, dokonawszy zemsty, wycofuje się. Pozbawiona wsparcia Błękitna Pani ponosi klęskę i ginie. Podczas obrony Palanthis ponosi śmierć znaczna część rycerzy solamnijskich. Oddaje swe życie również Raistlin Majere, który poświęca się, by zamknąć wrota wiodące do piekieł – otchłani i uniemożliwić Takhisis powrót na Krynn. Równowaga zostaje przywrócona.